



GILES MILTON

SAMURAJ
WILLIAM



NOIR SUR BLANC

SAMURAJ WILLIAM

105546

GILES MILTON

SAMURAJ
WILLIAM

Obieżyświat, który otworzył wrota Japonii

Przełożył

Michał Kłobukowski

NOIR SUR BLANC

GILES MILTON

TM

Aurelii

Na okładce wykorzystano rycinę Magjusa *Minamoto Yorimasa* —
fragment „Famous Generals of Japan” — ok. 1858,
© Bridgeman Art Library
Pozostałe motywy ilustracji na okładce: prawa zastrzeżone

Opracowanie redakcyjne: Jan Gondowicz

Indeks: Hanna Wachnowska

Tytuł oryginału: *Samurai William. The Adventurer
Who Unlocked Japan*

Copyright © 2002 Giles Milton

For the Polish edition
Copyright © 2004, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 83-7393-068-4

872170

PODZIĘKOWANIA

Samuraj William powstał dzięki listom i pamiętnikom z czasów króla Jakuba. Mam wielki dług wobec badaczy, którzy zebrali i ogłosili owe barwne zapiski. Ważniejsze źródła wymieniam na końcu, lecz na osobną wzmiankę zasługuje jedna praca: pomnikowe *The English Factory in Japan* Anthony'ego Farringtona, wspaniały zbiór tekstów z epoki — książka ta oddała mi bowiem nieocenione usługi, kiedy kresliłem grupowy portret Anglików w Japonii.

Bardzo mi pomogli uczeni i tłumacze. Dziękuję Laurze Inoue z Tokio za dobre rady, ciężką pracę i grzaną śliwowicę. Dziękuję także pracownikom tokijskiej Japan Foundation Library. Jestem również ogromnie wdzięczny Takako Suga, mojej przewodniczce i tłumaczce w Hirado.

Dziękuję też Marjolein van der Valk za przekład obszernych fragmentów *De Ries van Mahu en de Cordes*. Jestem szczególnie zobowiązany Peterowi ten Arve z Rotterdamu za odnalezienie i przetłumaczenie z niderlandzkiego dawnych rękopisów.

Wśród londyńczyków dziękuję Maggie Noach i Jill Hughes; Rolandowi Philippsowi, Lizzie Dipple i Celi Levett. Dziękuję również George'owi Tiffinowi za fotokopie mnóstwa zamieszczonych tutaj ilustracji; Frankowi Barrettowi i Wendy Driver; a także niezmiernie uczynnym i przyjacielskim pracownikom London Library, w której napisałem znaczną część tej książki.

Jestem szczególnie wdzięczny Paulowi Whylesowi za wieloletnią lekturę oraz propozycje ważnych zmian.

Na koniec pragnę ogromnie podziękować Alexandrze za dofinansowanie otuchy, wsparcie i życliwe rady; dziękuję też Madeleine i Héloïse za przekomarzanki i żarty.

PODRÓŻ DO JAPONII: 1598-1600



PRZYGODY I NIESZCZĘŚCIA

- 1 Wyspy Zielonego Przylądka: załoga *Liesde* przypuszcza atak na wyspę Praja.
- 2 Przylądek Lopez: miejscowy wódz zaopatruje żeglarzy w wędzone mięso hipopotama.
- 3 Annabon: marynarze zapadają na dyzenterię.
- 4 Cieśnina Magellana: zimowe sztormy i napady „dzikusów”.
- 5 Mocha: wielu pada ofiarą rzezi.
- 6 Hawaje: ośmiu dezertuje.
- 7 Wyspy Bonin: przy życiu pozostało zaledwie dwudziestu czterech.
- 8 Bungo: lądowanie w Japonii.

PROLOG

DOTARLI na kraj świata. Rozszalały sztorm zagnał ich w głąb nieznanego, którym na mapach i globusach władowały jedynie potwory z otchłani. Nocne niebo iskrzyło się orientalnym przepychem, lecz obce gwiazdozbiory tylko zwodziły na manowce zabłąkanych, samotnych obieżyświatów.

Już od prawie dwóch lat William Adams i jego załoga rzucali wyzwanie niepokonanym, wzburzonym oceanom. Ścierali się ze zbrojnymi w dzidy wodzami wyspiarskich plemion, zmagali z chorobą i głodem. I oto dwunastego kwietnia 1600 roku niezliczeni ocalali po raz kolejny dostrzegli ziemię, na której spodziewali się zginąć z rąk dzikich barbarzyńców.

Dzwon wielkiego klasztoru Manju-ji zadźwięczał skoro świt. Podczas gdy wąły blask wiosennego słońca rozlewał się po stokach gór nad południowym wybrzeżem, kilkanaście innych świątyń odpowiedziało gromkim echem. Nad deltą rzeki Oita nastał już dzień, ale w pagodach i pałacach Funai wciąż panowała noc. Między ich spiczastymi dachami wzięły cienie. Dopiero za kilka godzin światło dzienne miało przedrzeć się w głąb labiryntu zaułków i alejek.

Dziwny statek, który dryfując ospale, wpływał właśnie do portu, był w okropnym stanie. Z rej zwisały strzępy żagli, a burtę zbiały od słońca. Miał okazałą rufę i żebrowany dziób, wyraźnie więc różnił się od dżonek, które zawijały czasem do portów na południowym wybrzeżu Japonii. Ledwie go spostrzeżono, wszczęto alarm i niebawem grupka miejscowych powiosłowała w stronę statku, żeby mu się przyjrzeć. Gdy wspięli się na pokład, oczom ich ukazał się żaloszny widok. Kilkunastu podróżników leżało bez sił we własnych nieczystościach, jęcząc boleśnie. Skórę wielu z nich pokrywały plamy — nieomylny objaw zaawansowanego szkorbutu; innych powaliły tropikalne choroby. Żywność dawno już im się skończyła, jedli więc szczuły i wazelakie robactwo, żywiące się resztkami, które pływały

w plugawej brei w zębie. Jeden tylko William Adams był dość przytomny, aby powitać przybyszów. Ten pierwszy kontakt z cywilizacją starszą – a może i bardziej wyrafinowaną niż jego własna – głęboko go zdumiał.

Adams natychmiast zrozumiał, że miejscowi przybyli bynajmniej nie z misją ratunkową, lecz rabunkową. Wciąż jednak nie tracił nadziei, że na brzegu on i jego ludzie spotkają się z życzliwym przyjęciem. Stoczywszy długą walkę ze sztormami i z głodem, dokonali wyczynu nie lada, przepłynęli bowiem Atlantyk i Pacyfik, a po drodze przedarli się przez zdradliwą Cieśninę Magellana. Przetrwali antarktyczne zamiecie i tropikalne sztormy, patrząc ze zgrozą, jak ich przyjaciele i towarzysze żeglugi słabną i giną. Spośród pięciu statków tylko jeden dotarł do Japonii. Z około stu ludzi załogi ocalało zaledwie dwudziestu czterech, z czego sześciu było o krok od śmierci.

Spędziwszy na morzu ponad dziewiętnaście miesięcy, Adams dopłynął do Japonii, baśniowej wyspy, której nie tknął przed nim stopą żaden Anglik. Schodząc na ląd, modlił się, żeby jego podróż odkrywczą dobiegła wreszcie końca. Miało się jednak okazać, że jeszcze się nawet nie zaczęła.

Dalekomorscy podróżnicy z elżbietańskiego Londynu nie wiedzieli o Japonii prawie nic. Kiedy rozwijali mapy i spoglądali ku Dalekiemu Wschodowi, napotykali tam tylko niewyraźne bazgroły, kropki i groteskowe potwory morskie. Na mapie świata, sporządzonej w roku 1569 ręką Gerardusa Mercatora, Japonia ma kształt romboidalnego kleksa, z którego dwie sąsiednie wyspy sterczą niby czułki. Wizja Edwarda Wrighta niewiele jest trafniejsza. Rysując Japonię, wy dobył on z otchłani własnej wyobraźni wyspę, podobną do zdeformowanej krewetki z długą, puszystą brodą. Chociaż nadał swojej mapie dumne miano „wiernego opisu hydrograficznego”, przyznał zarazem, że z należyłą dokładnością narysował jedynie „tę część świata, którą już odkryto”. Japonia leżała, niestety, dalej.

Erudyci z innych krajów północnej Europy o położeniu i ludności Japonii wiedzieli równie mało. W Niderlandach, Francji i Świętym Cesarstwie Rzymskim informacje o owym tajemniczym „królestwie” czerpano wyłącznie z relacji wielkiego weneckiego podróżnika, Marco Polo. Pochodziła ona jednak sprzed trzystu lat i opierała się jedynie na pogłoskach. Sam Marco Polo nigdy nie dotarł do Japonii (którą nazywał „Cipangu”), ale dowiedział się od Chińczyków, że „mieszkańcy jej są biali, cywilizowani i przystojni”; odnotował również, jakoby byli wściekle

dumni i „od nikogo niezawisli”. Dodał, że nikt – nawet Chińczycy – nie śmie do Japonii żeglować, ponieważ leży ona niezmiernie daleko, a po drodze czyha moc niebezpieczeństw.

Zakazane królestwa jawiły się szlachetnie urodzonym awanturnikom jako królestwa bogate, a już odległa Japonia – Kraj Wschodzącego Słońca – rzekomo ociekała przepychem. „Złota posiadają tu nieprzebrane zasoby – pisał Polo, wielce tym faktem podekscytowany – znajdują je bowiem na swych własnych wyspach”. Dach cesarskiego pałacu był „ze złota wysokiej próby w całości udziałany”, okna zaś lśniły i migotały, „bogactwo tego gmachu przekracza tedy wszelkie granice i jest ponad ludzkie pojęcie”.



Przyczyną wielu katastrof morskich były niedokładne mapy. Powyższa rycina holenderska (ok. 1596), którą pewien kapitan uznał za „arcywierną”, wzorem wcześniejszych map przedstawia Japonię w kształcie krewetki.

Zwabieni tak kuszącymi skarbami, angielscy ryzykanci całą hurmą wypuścili się na niezbadane morza, ufni w łaskę boską i w sprzyjające wiatry. Przystudiowali mapy, zajrzeli do wykresów i stwierdzili – całkiem zresztą logicznie – że najkrótsza droga na Wschód wiedzie przez mroźny Ocean Arktyczny. Nie zdawali sobie sprawy, że ich kruche galeony zderzać się będą

z monstualnymi górami lodowymi wśród urwisk przezroczy-
stych jak szkło. Najbardziej spektakularnym fiaskiem zakończy-
ła się wyprawa, którą w roku 1553 poprowadził na Wschód sir
Hugh Willoughby. Na północ od Moskwy jego statek dostał się
w lodowe szczęki Morza Białego, a cała załoga zamarzła na
śmierć podczas arktycznej zimy.

Sądono, jakoby do Japonii i Chin jeszcze prędzej dopłynąć
można było szlakiem północno-zachodnim, biegnącym wzdłuż
górnego krańca Ameryki Północnej, lecz on także jął z wielkim
apetytem pożerać elżbietańskich wilków morskich. Jak pisał że-
glarz arktyczny George Beste, „panuje tam mróz tak siarczysty,
że nie jeno ciała ludzkie skuwa, ale i liny tudzież inszy takielaż”.
Po morzu nawet w pełni lata pływała gęsta kora, ponieważ strasz-
liwe sztormy kruszyły okalającą biegun czapę lodu, toteż ogromne
jego bryły tarasowały drogę drewnianym statkom. „Lód ze-
wsząd nas otoczył”, pisał uczestnik jednej z wypraw, „tak że ni
lądu, ni morzaśmy nie widzieli”.

George Beste zachęcał rodaków do wypraw na Wschód, nęcąc
ich widokami niewyobrażalnych bogactw: „Całe światy stają
otworem i kłonią się przed tymi, co zechcą pierwsi je posiść, za-
mieszkać i uprawiać”. W szesnastym wieku światowe bogactwa
były po prostu do wzięcia, a ogromne połacie oceanów wciąż jesz-
cze czekały na żeglarza, który je przemierzy. „Zaiste, są ziemie ni-
czyje, nikomu niepoddane, a tak przy tym żyzne, że łatwo w nich
wyrośnie zboże i ziarno wszelakie”. Beste wypowiadałby się z nie-
co może mniejszym zapalem, gdyby wiedział, jakie niebezpieczeń-
stwa grożą na morzach południowych. Elżbietańskie galeony były
kruche, bez reszty zdane na łaskę wiatrów i morskich prądów. Nie
istniały żadne mapy, z których można by się czegoś dowiedzieć
o mieliznach i rafach Morza Wschodniochińskiego, o tajemniczej
wyspie zwanej Japonią powiadano zaś, że szaleją wokół niej nie-
obliczalne sztormy, zdolne jednym haustem połknąć statek.

W podróżach ku najdalej na wschód położonym krainom
portugalscy śmiałkowie spisali się lepiej od angielskich. W roku
1488 opłynęli południowy kraniec Afryki — Przylądek Dobrej
Nadziei — zapuszczając się swoimi karakami na nieskartowane
wody Oceanu Indyjskiego. Zaledwie w dziesięć lat później dotar-
li do Indii, a w roku 1511 opanowali malajski port Malakka. Pręc
coraz dalej na wschód, prowadzili potajemny handel na przy-
brzeżnych wodach Chin: nabywali mianowicie od kupców —
poddanych dynastii Ming — jedwab i porcelanę. Gdy jednak
opłynęli miękkie podbrzusze owego wielkiego cesarstwa, zawa-

żali się i stracili animusz. Dysponowali ograniczonymi środkami
i całą małą liczbą ludzi jak na tak ogromne terytorium. Dosięgli
na najdalszych rubieżach znanego podówczas świata, a zarazem
granice własnych możliwości, i na tym postanowili poprzestać.

Ukapiem po upływie kolejnych trzydziestu lat budzące grozę
żelich tropikalne zanosły do Japonii pierwszych cudzoziemców.
Wyglądowali oni w kraju do żadnego innego niepodobnym. Zastali
tam miodochów ascetów i wyperfumowanych dworzan, wykwinne
pałace i kryte łaką świątynie. Nowo przybyli awanturnicy stwier-
dzili ze zdumieniem, że Japończycy oddają się najwyszukańszym
mischem, a ich etykieta dworska stanowi system tyleż zawily, ile
obłąkany z tropu.

Usta starożytna cywilizacja miała też jednak swoją mroczną
stronę. Wojska władców feudalnych toczyły bitwy, których roz-
mach przewyższał wszystko, co w tej dziedzinie знаła Europa.
W operacjach wojennych brały udział setki tysięcy żołnierzy, a po-
bitwane armie nierzadko popełniały zbiorowe, rytualne samobój-
stwa, żeby uniknąć hanbiącej niewoli. Na najdalszym krańcu
ziemi leżała zatem kraina czarowna, lecz zarazem pogrążona
w głębokiej melancholii.

Historia samuraja Williama to jeden z najbardziej nietuzinko-
wych zyciorysów z czasów króla Jakuba. Jednym z jej wątków są
dane cywilizacji, którą — choć jej wyrafinowanie przekraczało
wszelkie ówczesne wyobrażenia o jeszcze nieodkrytych kultu-
rach — miały z czasem rozedrzeć konflikty, wywołane machina-
cją Europejczyków. Opowieść zaczyna się w roku 1544 (prawie
sześdziesiąt lat przed przybyciem Williama Adamsa do Kraju
Wschodzącego Słońca), kiedy to porywisty monsun tak zadął
w żagle dżonki, wiozącej grupkę portugalskich kupców, że prze-
płynęła ona całe Morze Wschodniochińskie, a oczom jej załogi
ukazały się lesiste brzegi Kiusiu — najdalej na południowy za-
chód wysuniętej spośród Wysp Japońskich. I tak to w owym roku
1544 trzech portugalscy awanturnicy wyszli na ląd, wkraczając na
tę samą starożytną lenną Bungo.

NA DWORZE W BUNGO

NIGDY jeszcze w tych stronach nie widziano ludzi o tak dziwnym wyglądzie. Mieli wielkie nosy, długachne wąsiska i nosili bufiaste, pikowane pantaloney. Najwidoczniej bardzo słabo też wyznawali się na japońskiej etykietce i obyczajach. Gapiom, których tłumek zgromadził się na nabrzeżu w Funai, wydawali się przybyszami z innego świata.

Do Japonii zagnała ich „burza potężna a gwałtowna”, która na przybrzeżnych wodach odtańczyła swoje ostatnie pas. Dżonki z rzadka tylko przepływały Morze Wschodniochińskie, toteż przybycie statku sponiewieranego przez sztorm rychło zwróciło uwagę gubernatora Funai. Udał się on do portu, tam zaś cudzoziemcy wyjaśnili mu za pośrednictwem chińskich tłumaczy, że „pochodzą z kraju zwanego Portugalia, leżącego na drugim krańcu świata”.

Gubernator nie był pewien, jak powinien się zachować, zawiadomił więc o tej wizycie miejscowego władcę, pana na Bungo. Władca kazał przybyszów natychmiast stracić, cały ich dobytek ukraść, a statek skonfiskować, obawiał się bowiem, że jeśli ich oszczędzi, przysporzą mu kłopotów co niemiara. Wiadomość ta wywołała w pałacowych komnatach niejakie poruszenie, zwłaszcza gdy doszła do uszu najstarszego syna władcy. Oświadczył on ojcu, że postępek ten okryłby Bungo niesławą w oczach całej Japonii, i zapowiedział, że do morderstwa nie dopuści.

Władca Bungo zmienił więc zdanie, acz niechętnie, winszował sobie jednak potem tej laskawości, gdy dowiedział się nieco więcej o przybyszach z „drugiego krańca świata”. Doniesiono mu bowiem, że są oni gustownie odziani i wysławiają się z niemalą delikatnością. W uporządkowanym, ściśle zhierarchizowanym społeczeństwie japońskim przywiązywano do tych spraw najwyższą wagę, toteż władcę szczególnie ucieszyła nowina, że „cudzoziemcy noszą się wcale nie jak kupcy: chodzą w jedwabiach, zazwyczaj z mieczami u boku”. Wystosował zatem do gu-

bernatora Funai pismo, w którym nakazywał mu niezwłocznie sprowadzić przed swoje oblicze jednego z cudzoziemców albo i wszystkich naraz. „Solennie mię zapewniono — napisał — że ludzie ci opowiedzieli wamci wiele zajmujących historii o wszelakich sprawach całego uniwersum i na wiarę swoją poprzysięgli, że istnieje gdzieś inny świat, od naszego wspanialszy”.

Z czasem okazało się, że raptowne zainteresowanie władcy Bungo cudzoziemcami wynikało głównie z czezej ciekawości. Miał on senne usposobienie, cierpiał na najrozmaitsze choroby zarówno prawdziwe, jak i urojone, i od dawna doskwierała mu nuda. „Rozumiesz wamc — napisał w liście do gubernatora Funai — że moja zadawniona niedyspozycja, której towarzyszy bólów i cierpień tyle, ląkanie jakowejś dystrykcji”. Obiecał, że każdy, kto odwieździ jego skromny dwór, zostanie przyjęty z największymi honorami i uszanowaniem.

Bez chwili wahania ustalono, który z trzech Portugalczyków złoży wizytę władcy Bungo. Gubernator portu natychmiast wyznaczył do tej roli Fernão Mendesa Pinto, gadatliwego awanturnika, ponieważ „odznaczał się on najżywszym spośród całej trójki dowcipem, który budzi zachwyty w mieszkańcach Japonii, łacniej niż inni mógł więc rozweselić chorego”. Jego żywy dowcip — orzekł gubernator — „dostarczy melancholijnemu władcy już nie dystrykcji, lecz wręcz uciechy”.

I tak też się stało. Pinto — awanturnik zaiste ekstreordynaryjny, wprost nie z tej ziemi, a zarazem *fidalgo*, czyli szlachcic — nosił wyzywające stroje, które znamionowały barwną osobowość. Był nieuleczalnym romantykiem i kolekcjonerem opowieści. Ponad sześć lat przed opisywanymi zdarzeniami wyruszył z Portugalii na poszukiwanie wszelakich dziwactw i niedorzeczności. Gdy po wielu latach zaczął pisać relację ze swoich podróży, na stronie tytułowej umieścił ten oto chwytliwy anons: „Pięć statków pode mną się rozbiło, szesnaście razy mię przedawano i trzynastokrotnie brano w niewolę”.

W jego książce, zatytułowanej *Peregrinaçam*, czyli „Peregrynacye”, roi się od opowieści o barwnych zdarzeniach i niezwykłych przygodach, w których główną rolę zazwyczaj gra nieustraszony narrator. Napisał ją wprawdzie dla krewnych i przyjaciół, wkrótce jednak ukazała się drukiem i zrobiła furorę. Wydawca nie za dbał, niestety, o to, aby przestrzec czytelnika, że autor jest plagiatorem, który bez najmniejszych zahamowań stroi się w cudze piórka. Pinto twierdził, jakoby dotarł do Japonii przed wszystkimi innymi Europejczykami, choć dziś wiemy — jak i jemu same-



Portugalscy kapitanowie budzili w Japończykach mieszaninę fascynacji i odrazy. Ci zawoadiacy obieżyświatowie nosili bajeczne kostiumy, ale rzadko się myli i za nic mieli japońską etykietę i uprzejmość.

mu było zresztą wiadomo — że rok wcześniej morze wyrzuciło na tamtejszy brzeg garstkę rozbitków. Zmieniał daty, zapożyczał fabuły i w przesadnych barwach odmalowywał własne zuchwałstwo, żeby tym lepiej zabawić odbiorców. W jego relacji z pobytu w Japonii jest jednak sporo prawdy. Niewątpliwie dopłynął do Bungo wraz ze swoim rodakiem, niejakim Jorge de Farią, a jego informacje na temat linii brzegowej Wysp Japońskich są na ogół zgodne z rzeczywistością. Na wiarę zasługują też opowieści o zdarzeniach, które miały miejsce za jego bytności na terenie

wspomnianego lenna, prawdziwość ich potwierdzają bowiem inne źródła. Syn władcy Bungo, Otomo Yoshishige, opowiedział w późniejszym okresie uderzająco podobną historię pewnemu japońskiemu kronikarzowi, który ją zanotował. Angielski tłumacz *Peregrynacyj* nie całkiem się pomylił, stwierdzając, że „żaden jeszcze autor nie napisał tak wiele i tak prawdziwie o owych orientalnych krainach”.

Pinto ruszył więc w odwiedziny do władcy Bungo, towarzyszył mu zaś imponujący orszak dworzan, bogato odzianych i dzierżących buławy — insygnia piastowanych urzędów. Portugalczyka z miejsca uderzył przepych ich szat, misternie haftowanych w płatki kwiatów i naszytych złotym filigranem. Na późniejszych przybyszach większe wrażenie robiły osobliwe rysy twarzy Japończyków. Mieli oni bowiem — jak napisał pewien jezuita, padre Luis Frois — „małe oczka i noski”, i w przeciwieństwie do Portugalczyków, którzy zapuszczali bajeczne wąsiska, nie nosili zarostu. Jak pisał kronikarz, wszelakie owłosienie wyskubują z twarzy szczypczykami, aż zostaje gładka, lśniąca skóra. Ich fryzury także budziły w Europejczykach wielką wesołość. Japończycy golili prawie całą głowę, „jedynie z tyłu pozostawiając długi koński ogon, związany w kok”. Nawet sposób, w jaki mieszkańcy Japonii dłubali w nosach, wywoływał komentarze. „My robimy to kciukiem i palcem wskazującym”, pisał pewien podróżnik, „oni natomiast posługują się małym paluszkim, ile że nozderka mają przyciasne”.

Gdy Pinto dotarł do wielkiego pałacu w Funai, zaprowadzono go prosto do sypialni. Jego Wysokość raczył wylegiwać się w łóżku, lecz na widok Portugalczyka siadł i uczynił przybyszowi ten rzadki zaszczyt, że się uśmiechnął. „Ważcina wizyta w moim kraju — rzekł — równie wielką sprawia mi przyjemność, jak wielki jest pożytek, który deszcze z nieba padające naszym polom ryżowym niosą”. Pinto mocno się zdumiał tym niezwykłym przyjęciem, a potem tak o nim napisał w swoim dzienniku: „Tameczny władca cokolwiek mnie oszołomił nowością wysłowienia swych i osobliwym sposobem powitania”. Wnet jednak zapanował nad sobą i przeprosił za swoje chwilowe oniemiaenie, tak oto je tłumacząc: „Znalazłem się wszak u stóp króla, którego wielkość i na sto tysięcy lat łącznie mogła mi być mową odjąć”. Dodał, że w porównaniu z władcą Bungo czuje się „niczym jakoś głupia mrówka”.

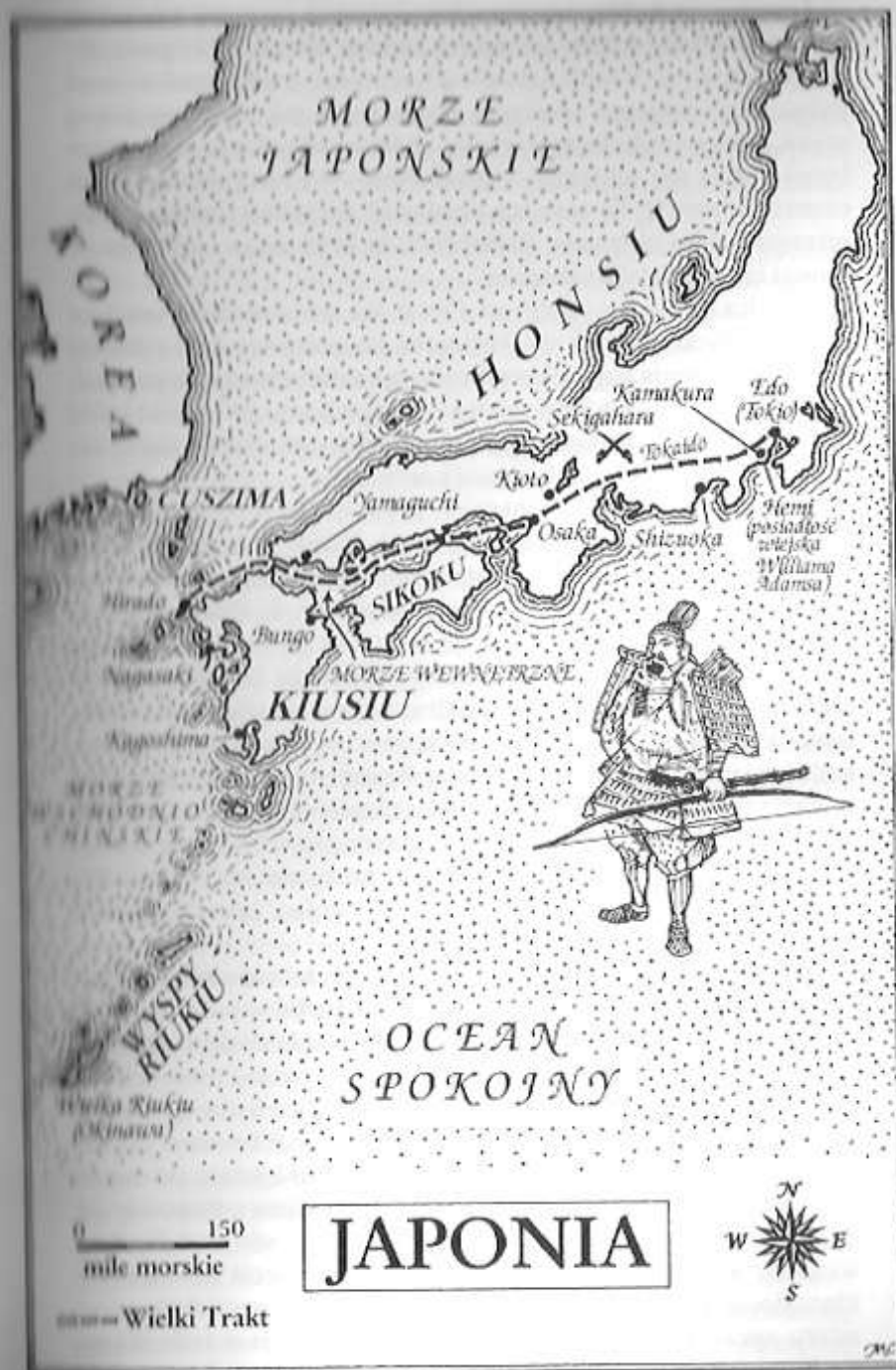
Pinto rzeczywiście mógł wziąć władcę Bungo za króla całej Japonii, ponieważ dopiero w kilka lat później dowiedzieli się Por-

tugalczycy, że Otomo Yoshiaki — tak bowiem się on nazywał — jest zaledwie jednym z sześćdziesięciu sześciu wasali. Jego małe lenno zajmowało niewielki obszar na wyspie Kiusiu — jednej z czterech głównych wysp, z których składało się japońskie państwo.

Jego Wysokość nie zrobił nic, aby Portugalczyka wyprowadzić z błędu, ani w żaden sposób nie okazał, że pragnąłby czegoś się dowiedzieć o kraju, z którego Pinto przybył. Zaczął natomiast omawiać swój ulubiony temat, czyli własną osobę, korzystając z chińskich tłumaczy portugalskiego gościa, żeby za ich pośrednictwem opowiedzieć mu o swojej chorobie. „Wielce będę zobowiązany, jeśli zechcesz waść zdradzić mi, czyliś w swym kraju, na drugim końcu świata leżącym, nie słyszał o jakim lekarstwie na przypadłość ową, co tak mię dręczy”. Jego Wysokość cierpiał nie tylko na podagrę. Żołądek buntował mu się po każdym posiłku, złożonym ze skorupiaków i innych owoców morza. „Brak apetytu — wyznał gościowi Otomo Yoshiaki — od dwóch bez mała miesięcy ciągiem mi doskwiera”.

Pinto wpadł w panikę, gdy gospodarz poprosił go o pomoc lekarską, i zaczął grać na zwłokę. „Medycyna to nie moje dominium” — oświadczył zrazu. Potem jednak zląkł się, co będzie, jeżeli władcę rozczaruje, uderzył więc nagle w całkiem inny ton i oznajmił, że ma na statku „pewien rodzaj drewna”, które po wygotowaniu w wodzie zdolne jest „uleczyć ludzi nawet i znacznie ciężiej schorowanych aniżeli Jego Wysokość”. Gdy drewno to dostarczono do pałacu, Pinto sporządził wywar, „której to drykwii Yoshiaki zażywał przez dni trzydzieści... aż ze wszystkim ozdrowiał”.

Chociaż władca Bungo szybko zawarł przyjaźń z Pintem i był najwidoczniej szczerze wdzięczny za otrzymany lek, jego rodacy niewielu dopatrzyli się zalet w pierwszych przybyszach z Europy. „Są to handlarze z południowo-zachodniej Barbaryi” — z lekceważeniem pisze autor japońskiej kroniki *Yaita-hi*. „Mają niejaki rozumienie różnicy między Wyższym a Niższym, ale nie wiem, czy dopracowali się należytego systemu ceremonialnej etykiety”. Inni ze zgrozą stwierdzali, że cudzoziemcy bez żenady obrzucają się nawzajem głośnymi wyzwiskami. „Dają upust uczuciom, ani trochę się przy tem nie hamując — napisał ze wzgardą pewien skryba — i nie rozumieją znaczenia liter”. Co gorsza, przybysze chodzili w plugawych sukniach i cuchnęli zastarzałym potem, a ich nieogolone twarze budziły w miejscowych odrazę.



Japończycy byliby zapewne bez dalszych ceregieli odprawili Portugalczyków, gdyby nie nader istotny sprzęt, który przyplynał w ładowniach cudzoziemskich statków, a mianowicie broń palna – muszkiety i arkebuzy. Zniszczenie, jakie siał ten rodzaj oręża, zdumiewało Japończyków. „Mieszkańcy kraju tego nigdy broni palnej nie widzieli – pisał Pinto – i nie pojmowali, na czym działanie jej się zasadza, ponieważ zaś sekret prochu strzelniczego był im nieznany, stwierdzili, że kryć się za tem musi jakowaś czarodziejska sztuczka”.

Władca Bungo wypytywał Pinta, ilu też strzelców ma pod swoim dowództwem król Portugalii, co gościowi dało pretekst do opowiedzenia największej bujdy, jaką dotychczas się popisał. Oświadczył bowiem, że jest ich aż dwa miliony. „Wielce to króla stropiło” – napisał potem, po czym dodał, ogromnie z siebie zadowolony, że była to „odpowiedź arcycełna”.

Syn władcy Bungo, Yoshishige, szybko zdał sobie sprawę, ile wart byłby tak niebezpieczny oręż w kraju, w którym wciąż jeszcze walczone na miecze i strzelano z kusz. Zapragnął własnoręcznie wypróbować arkebus, bojąc się zaś, że Pinto mu na to nie pozwoli, zakradł się nocą do komnaty gościa i wziął broń bez pytania. Było to głupie posunięcie. Młody Yoshishige miał nikłe pojęcie o nabijaniu broni palnej i niewiele większe o strzelaniu. Wypełnił lufę pokąźną porcją prochu, napchał do niej siankańców i przytknął fidybus. Nastąpił potężny wybuch, któremu towarzyszył oślepiający błysk. „Nieszczęściem arkebus rozpadł się na troje i zadał księciu dwojakiego rodzaju obrażenia, a miedzy innymi kciuk prawy niemal ze szczętem mu oderwał”. Młody książę spojrział na zmasakrowany palec, zemdlął i „padł jak nieżywy”.

Była to dla Pinta najgorsza z możliwych wiadomości. Wypadek, któremu uległ książę, natychmiast wywołał w pałacu zamieszanie i wzbudził wściekłość, skrupiło się to zaś na nieproszonym gościu. „Wszyscy uznali, że go był ubił – pisał Pinto – toteż dwaj spośród dworzan dobyli mieczów i już chcieli mię zgładzić”. Władca Bungo powstrzymał ich jednak, pragnął bowiem przedtem dokładniej wypytać Pinta. Kazał mu uklęknąć, po czym Portugalczykowi związano ręce. Następnie jeden z tłumaczy jął go przesłuchiwać w obecności sędziego, który stał nad Pintem, ściskając w dłoni sztylet „we krwi młodego księcia umaczany”. Pinto dostał przy tej okazji krótką lekcję na temat japońskiego wymiaru sprawiedliwości. W zwyczajnych okolicznościach skazanych przestępców publicznie okaleczano, potem zaś chłostano na

śmierć lub ścinano. Ciała zostawiano na widoku, iżby rozkładały się, służąc ludności za ponurą przestrożę. Pinto spotkać miała nie mniej makabryczna kara. „Jeżeli nie odpowiesz na pytania, które ci zadam – uprzedził go przesłuchujący – zostaniesz poćwiartowany, a szczątki twe w powietrzu rozrzucone będą niczym pióra martwej kury, wiatrem z miejsca na miejsce noszone, z ciała, z którym za życia zrosnięte były, oskubane”.

Stróżów prawa aż ręce świerzbiały, żeby Pinto czym prędzej usieć, ale władca Bungo zaproponował znacznie roztropniejsze wyjście: ponieważ młodemu Otomo zdarzył się wypadek z winy gościa, na tymże gościu spoczywa teraz obowiązek przywrócenia ofiary do życia. Skoro dostarczył lekarstwo na podagrę, zdoła być może zaaplikować jakowys inny eliksir, który wskrzesi młodego księcia. Pinto już po raz drugi od dnia przyjazdu znalazł się w roli lekarza, tyle że tym razem jego własne życie zależało od tego, jak rolę tę zagra.

Młody Yoshishige wyglądał, jakby nie było już dla niego ratunku. Gdy nastąpił wybuch, książę runął na podłogę i teraz leżał, „we krwi własnej unurzany, ręką ni nogą nie ruszając”. Pinto stwierdził jednak po pobieżnych oględzinach, że obrażenia nie są aż tak poważne, jak sądzą zgromadzeni dworacy. Rana na czole sprawiała okropne wrażenie, ale w rzeczywistości była to „furdla”, a i kciuk, zwisający na kilku ścięgnach, był najprawdopodobniej do uratowania. „Najgroźniej przedstawiała się rana prawej ręki – pisał Pinto – przeto od niej właśnie opatrywanie zaczął, szwów siedm na nią zakładając”. Niezbyt zręcznie sobie z tym poradził, toteż z rany nadal sączyła się krew, zastosował więc bardziej tradycyjną kurację: przyłożył mianowicie „...białka jaj... jakam widywał, że w Indjach czynią”. Sposób okazał się skuteczny. Krew zakrzepła, książę odzyskał przytomność i jął wracać do zdrowia. W ciągu dwudziestu dni całkiem wydobrzeł „i uwolnił się od wszelkich niedomagań prócz nieznacznej słabości w kciuku”. Nowoczesne wynalazki – muszkiety i arkebuzy – dowiodły przy tej okazji swojej skuteczności, zapewniając sobie stałe miejsce na japońskich polach bitew. W kilka miesięcy po wypadku księcia Yoshishige miejscowi zbrojmistrze produkowali broń palną na wzór tej, którą przywiózł Pinto.

Ten ostatni był zaskoczony wykwintnymi manierami Japończyków, natomiast świętę Yoshiakiego napawało obrzydzeniem grubiaństwo i nieokrzesanie, jakim Portugalczycy popisywali się przy stole. Kiedy w roku 1556 Pinto po raz drugi przyplynał do Japonii, zaproszono go na uroczystą biesiadę, na której rychło



Wręczenie prezentów stanowiło istotny element japońskiego stylu życia i miało bardzo ceremonialną oprawę. Szogun i jego dworzanie oczekiwali od europejskich kupców kosztownych i egzotycznych podarunków.

jednak stał się celem drwin. „Zaczęliśmy pałaszować po swojemu – napisał potem – wszystko, co przed nami postawiono”. Dodał też, że patrząc, jak on je, „król i królowa więcej mieli uciechy niżli z wszystkich komedyj, jakie można by przed nimi wystawić”. Japończycy, jak się okazało, „zwykli jadać dwojgiem tych patyczków... i poczytują za wielką niegrzeczność, gdy kto

dłońmi własnymi mięsiva się ima”. Zanim skończono pierwsze danie, wesołość gospodarzy ustąpiła miejsca pogardzie, a zgromadzeni dworzanie „naszym kosztem czas zabijali, dworując z nas sobie i szydząc”. Uczta raptownie się zakończyła, kiedy do sali wszedł pewien japoński kupiec z nareczem drewnianych strap broni i wyjaśnił Pintowi i jego ludziom, że skoro dłonie „bez wątplenia stale cuchną nam mięsem i rybą... towar ten winien nam się wielce przydać”, co reszta biesiadników powitała grómkim śmiechem.

Pinto zakończył swoją pierwszą wizytę w Japonii kilkumiesięcznym pobytom na dworze Yoshiakiego Otomo. Zafascynowały go bogactwo i splendor nowo poznanej krainy, a chociaż jego relację z podróży chwilami czyta się jak średniowieczną baśń, stała się ona pierwszym naocznym opisem tamtych stron. Znalazło w niej również wyraz zdumienie, które wkrótce miało też ogarnąć następnych przybyszów z Europy. Jeden z nich wysłał do ojczyzny tę oto wstrząsającą wiadomość: otóż Japończycy niemal pod każdym względem są rasą wyższą. „Nie myślcie, że to barbarzyńcy – napisał – nie dorastamy im bowiem do pięć, wyjawszys jedynie religię naszą”.

Pinto zdołał jakoś przeżyć w Japonii dzięki bładze, fanfaronadzie i radosnej pogodzie ducha. Ponieważ stale przebywał w granicach lenna Bungo i ani razu zbytnio się nie oddalił od wybrzeża, chyba nie zauważył, że szesnastowieczna Japonia jest jednym z najmniejbezpiecznych miejsc na świecie. W Kraju Wschodzącego Słońca trwała wówczas *sengoku jidai* – epoka straszliwych wojen domowych – a władzę sprawował ten, kto miał akurat za sobą największą potęgę wojskową. „Japończycy dręczą się wzajem i zabijają – napisał jeden z pierwszych przybyszów z Europy – na wygnanie skazują i dóbr wszelkich wedle własnego widzimisię zbawiają, czynią to zaś taką modą, że zdrada wszędy się szerzy i nikt najbliższemu sąsiadowi nie ufa”.

Formalnie krajem rządził cesarz, który samozwańczo przybrał tytuł „Władcy Niebios”. Mieszkał on w Kioto, dostojnie wyobławany. W złotych czasach średniowiecznej Japonii otaczał go mienno zhierarchizowany tłum dam dworu i szambelanów, od rana do nocy oddających się estetycznym zatrudnieniom. Lecz gdy cesarskie kufry opustoszały, wielu arystokratów porzuciło inne ceremonialne rozrywki i udało się na prowincję, władca musiał więc radzić sobie bez nich. Pewien japoński kronikarz napisał, że jego pałac niczym nie różnił się od chłopskiej budy; nie-

liczni dworzanie, jacy jeszcze przy nim pozostali, zarabiali na nędzne utrzymanie, sprzedając autografy swoich wierszy i handlując antykami w bocznych uliczkach Kioto. Abdykacja nie wchodziła w rachubę, dworu nie było bowiem stać na sfinansowanie niezbędnych obrzędów i rytuałów. Kiedy w roku 1500 zmarł cesarz Go-Tsuchimikado, z powodu oplakanego stanu cesarskich finansów jego rozkładające się zwłoki sześć tygodni leżały, zanim je pochowano. Cesarzowi, który panował w omawianym tutaj okresie, wiodło się niewiele lepiej. Jego koronację z braku funduszy odwlekano przez dziewięć lat. Nawet gdy już zasiadł na tronie, był zaledwie pozbawioną rzeczywistej władzy marionetką. „Zaiste, król to prawdziwy — napisał jeden z komentatorów — lecz nikt go nie słucha”.

Oparcie zapewniał cesarzowi szogun — „gromiący barbarzyńców generalissimus”⁸, który zarazem przewodził możnym feudalom. W latach czterdziestych szesnastego wieku on także nie miał już jednak żadnej autentycznej władzy, ponieważ kraj popadł w anarchię. Setki watażków, zbójców i najemników wrywały go sobie z rąk. Wielcy daimyowie, czyli panowie feudalni — tacy jak Otomo Yoshiaki, władca Bungo — uwikłani byli w nieustanną wojnę bratobójczą, wzajemnie zajmując sobie ziemie oraz mordując bliższych i dalszych krewnych.

Rzeczywista władza spoczywała w rękach najbardziej bezlitosnych rycerzy zbójów, pospolitych bandytów i uzbrojonych mnichów, regularnie pustoszących wiejskie okolice. Powodzenie tych wypadów zależało w znacznej mierze od siły samurajów, czyli wojowników o dwóch mieczach, których miał pod komendą ten czy ów watażka. Wojownicy ci byli niegdyś, w mglistej już przeszłości, całkowicie oddani swoim panom. „Nie umrzemy bezczynnie — brzmiała ich dewiza — lecz zginiemy u boku naszego króla”. W omawianym okresie wielu z nich nie zasługiwało już jednak na zaufanie, a ci, którzy mieszkali w rejonach pogranicznych, byli aż nazbyt skłonni przejść do obozu majątniejszego lub skuteczniej działającego wielmoży.

Panom feudalnym i szogunowi zagrażali również zbrojni mnisi. Japońskie kroniki obfitują w opowieści o zakonnikach, którzy szyderczym śmiechem kwitowali pogroźki, że ich warowny klasztor na szczycie wzgórza zostanie zburzony. Bezpiecznie ukryci za potężnymi murami, wiedzieli, że nikt ich stamtąd nie ruszy, toteż wielu z nich poniechało modlitw na rzecz pikantniej-

⁸ *Sei taishōgun* (przyp. tłum.).

szych obrzędów, takich jak hulaszczce biesiady, pederastia i cudzołóstwo. W owych mrocznych czasach nie brakowało też jednak jaśniejszych punktów. W kilku największych klasztorach buddyjskich mnisi wyznania zen sporządzali niezrównane rękopisy. Kaligrafię po mistrzowsku uprawiali także co bardziej wykształceni spośród panów feudalnych. W tym burzliwym okresie kwitła również poezja, teatr *nō* i dworski ceremonial picia herbaty.

Pomimo niepokojów i walk o władzę zubożały dwór cesarski nadal funkcjonował, kultywując wyniosłe majestatyczny ton, i cieszył się ogromnym szacunkiem. „Chociaż lat już temu czterysta stracił on [cesarz] swą pozycję, serwituty tudzież dochody — napisał jezuita Luis Frois — i znaczy dziś nie więcej niżli posąg bożka, wciąż otacza go najwyższe poszanowanie”. Jego szlachetnie urodzeni dworzanie o wygolonych głowach, tak zwani *kuge*, nie mieli żadnej władzy, a mimo to traktowano ich jak ludzi ze wszech miar dostojnych. W ściśle zhierarchizowanym społeczeństwie ich szlachetne tytuły były czymś więcej aniżeli czczymi symbolami; najbardziej zubożały dworzanie, raz z cesarskiego nadania uszlachceni, spoglądał na choćby najpotężniejszego rycerza z bója z najwyższą pogardą. Była to jedna z japońskich osobliwości; przybysze z zagranicy nigdy nie potrafili zrozumieć, czemu ten czy ów potężny feudal, władający dwiema lub trzema prowincjami, cieszy się znikomym poważaniem; fakt, że cesarz nie zaszczylił go dworskim tytułem, nie był wszak dla cudzoziemców dostatecznym wytłumaczeniem.

W ślad za Pintem przybyło wkrótce kilku innych portugalskich poszukiwaczy przygód. Zimą roku 1547 kapitan Jorge Alvarez odwiedził Japonię i orzekł, że robi ona znacznie większe wrażenie niż przybrzeżne tereny Chin lub wyspy Indii Wschodnich. Obszernie opisał jej góry i sady, kończąc relację krótką charakterystyką mieszkańców. Miał o nich wiele dobrego do powiedzenia. Z przyjemnością odnotował, że Japończycy „do rasy białej należą” i „zaczynają prezencją się odznaczają”. Z podziwem wspominał też o ich jadłospisie, złożonym głównie z rozgotowanej pszenicy. „Warzą z niej kleik — napisał — i za każdym razem bardzo wstrzemięźliwie się posilają”.

Japończycy byli także pobożni i co dzień rano dłuższy czas spędzali „na modłach, palcami paciorki różańca przebierając”. Bis starość wielu z nich zamykało się w buddyjskich klasztorach, aby ostatnie lata życia poświęcić modlitwie i kontemplacji. Portugalskiemu duchowieństwu obraz ten wydał się nader zachęcający. Jedynym zgrzytem było to, że zaraz po modlitwach

mnisi zakazywali kimona i „dopuszczali się sodomii z chłopcami, których im na naukę oddano”.

Relacja Alvareza zafascynowała jego rodaka, Franciszka Ksawerego — młodego jezuitę, który lat z górą dziewięć przemieszkał w Indiach i na Archipelagu Malajskim. Stwierdził on, że przed misjonarzami pojawia się oto całkiem nowe pole do popisu, a jego ekscytacja wzrosła, gdy kapitan Alvarez przedstawił go pewnemu Japończykowi o otwartym umyśle, uchodźcy imieniem Anjiro. Ten ostatni w roku 1548 przeszedł na chrześcijaństwo, po czym w asyście sługi oraz przyjaciela towarzyszył Ksaweremu w wyprawie do Japonii.

Podczas rejsu nie obyło się bez trudności. Dżonka, którą podróżował Franciszek Ksawery i jego towarzysze, płynęła zdradliwym szlakiem, wymykając się huraganom i podwodnym rafom, piratom i mieliznom. Kiedy córka kapitana wypadła za burtę i utonęła, złożona z chińskich „pohańców” załoga odprawiła diaboliczne rytuały, składając w ofierze morskie ptaki i namaszczać krwią posążek swojej bogini. Po trzech męczących tygodniach na morzu podróżnicy ujrzeni w końcu lesisty brzeg Kagoshimy na południu Japonii. Był piętnasty sierpnia 1549 roku: dwudziesty drugi dzień, siódmy miesiąc, osiemnasty rok okresu zwanego Tembun.

Kagoshima leżała prawie dwieście kilometrów na południowy zachód od Funai i była znacznie bardziej imponującym miastem — stolicą lenna Satsuma. Na jej lesistych wzgórzach stały wielopiętrowe pagody o charakterystycznie wygiętych dachach. Franciszek Ksawery przybył akurat wtedy, gdy wyglądała najbardziej malowniczo. Zaledwie przed tygodniem jej mieszkańcy obchodzili wielkie święto Bon — buddyjski dzień Wszystkich Świętych — toteż miejskie cmentarze obsypane były świeżymi kwiatami.

Franciszek Ksawery z zachwytem stwierdził, że ten wyspiarski naród z nawiązką spełnia jego oczekiwania. Napisał potem, że Japończycy „poczucie honoru rozwinięte mają nad podziw i wyżej niżli wszystkie insze nacye go cenią”. Co prawda przekonał się później z rozczarowaniem, że buddyjscy mnisi „skłaniają się ku grzechom sprzecznym z naturą”, był jednak pewien, iż Japonia okaże się żyznym poletkiem. „Gdybyśmy jeno władali ich językiem — dodał — nie wątpię, że wielu nawróciłoby się na chrześcijaństwo”.

Kagoshima leżała w jednej z najbardziej konserwatywnych prowincji, stanowiącej bastion pradawnego kultu szinto, toteż na

ulicach niło się od starożytnych drewnianych kaplic, do których wiodły charakterystyczne bramy z dwiema poziomymi belkami u góry. Były tam też świątynie buddyjskie, a w nich ołtarze z pochłanymi posągami, polyskującymi w wątłym blasku świec. W mieście miały swoją siedzibę wszystkie najważniejsze odłamy, a między innymi egzotycznie odziani wyznawcy fanatycznej sekty *hokke* i noszący szare szaty mnisi ze szkoły *ji-shū*. Mieszkał on razem z mniszkami i krążyły plotki, jakoby po całych nocach oddawali się szaleńczej kopulacji.

Franciszek Ksawery udał się do wielkiego klasztoru Fukosho-ji, położonego w odległości krótkiego spaceru od portu. Było to przepiękne miejsce, oświetlone drzewami kamforowymi, owiane zapachem kwitnących śliw. Zdobiły je kamienne latarnie i sadzawka z kwiatami lotosu, most ze smoczą bramą i olbrzymie kamienne posągi o ohydnie wykrzywionych twarzach. Franciszek Ksawery zgłosił się do czcigodnego opata, osiemdziesięcioletniego buddyisty *sen* imieniem Ninshitsu, i stwierdził, że jest on życzliwie usposobiony. Przełożonego od dawna trapiła kwestia nieśmiertelności duszy, zafascynowały go więc poglądy religijne jezuitów i jego pro-



Mniszkańcy Kiuisu nosili wykwintne stroje, dwornie się wysławiali i przestrzegali nieustychanie subtelnych kodeksu uprzejmości. „Honor wyżej niżli wszystkie insze nacye cenią”, napisał Franciszek Ksawery.

sta pobożność. Po dłuższej rozmowie, podczas której Anjiro służył za tłumacza, opat zaprowadził gościa do sali medytacyjnej, żeby Franciszek Ksawery mógł zobaczyć modlących się mnichów. Kiedy Portugalczyk spytał, co też oni robią, Ninshitsu z rezygnacją wzruszył ramionami. „Jedni liczą datki, które w ostatnich miesiącach od wiernych dostali – odparł – inisi zaś myślą, gdzie by tu szaty najpiękniejsze obstalować... Krótko mówiąc, ani jeden nie myśli o niczym choć trochę istotnym”.

Wkrótce po przybyciu Franciszka Ksawerego do Kagoshimy pogoda zaczęła się zmieniać. Wraz z jesiennymi wiatrami nadciągnęły raptowne ulewy i dni stały się chłodniejsze. Chryzantemy zakwitły i zwiędły; pola ryżowe, z których zebrano plon, zamieniły się w szare, błotniste mokradła, a dęby po krótkiej, lecz efektownej feerii barw zrzuciły listowie. Tylko liście drzew kamforowych wokół klasztoru Fukusho-ji oparły się chłodnym podmuchom północnego wiatru.

Franciszek Ksawery i jego towarzysze drżeli w swoich bawelnianych okryciach. W ich kwaterze panował przejmujący ziąb, ponieważ okna wyklejane papierem niezbyt skutecznie powstrzymywały lodowate poduchy, które nadciągały od strony morza. Z nastaniem zimy spadły pierwsze śniegi – coś, czego Franciszek Ksawery nie widział, odkąd wypłynął z Portugalii. Siedział więc w domu i pilnie uczył się japońskiego, napotykał wielkie trudności. Jego próba ułożenia katechizmu w języku japońskim, zapisanego fonetycznie alfabetem łacińskim, zakończyła się zupełnym fiaskiem. Dwa razy dziennie wspinał się po stromych kamiennych schodach, wiodących do klasztoru Fukusho-ji, siadał przy dalszym końcu mostu ze smoczą bramą, z którego miał widok na spokojną sadzawkę z lotosami, i próbował czytać na głos fragmenty swojej książki. Ale przekład był nieudolny, a doktryna chrześcijańska wydawała się mnichom niezrozumiała. Co gorsza, jego niezdarne styl raził uszy tych wielce wykształconych ludzi, śmiali się więc i pomawiali Franciszka Ksawerego o szaleństwo.

Dzięki działalności kaznodziejskiej, którą równolegle prowadził w bardziej dyskretny sposób, zdołał wszelako zjednać garstkę neofitów. Pierwszy dał się ochrzcić pewien zubożały samuraj; przybrał on imię Bernarda i poświęcił się studiowaniu Biblii. Matka, żona i córka Anjura także się nawróciły, podobnie jak właściciel domu, w którym mieszkał Franciszek Ksawery. Były to jednak nieliczne wyjątki. Jezuita przekonał się, że nawet życzliwie nastawieni słuchacze mają do jego kazań stosunek sceptyczny. Usiłował naginać do swoich potrzeb japońskie słowa i za

ich pomocą objaśniać miejscowym ludziom, na czym polega chrześcijaństwo, ale szybko uwikłał się w zupełne pomieszanie pojęć. Japońska terminologia religijna zanadto wpisana była w japoński system znaczeń, aby dało się przekazać dzięki niej teologii ewangelicznej.

Chciało się to, zanim Franciszek Ksawery zapuścił się w głąb kraju, znał więc – podobnie jak przed nim Pinto – wyłącznie nazwy przybrzeżne. Odkąd po raz pierwszy dotknął stopą japońskiej ziemi, zamierzał udać się do Kioto, opiewanego miasta cesarzy (zwanego wówczas Mijako), aby u samego cesarza ubiegać się o zezwolenie na działalność misyjną. Miał też nadzieję uzyskać prawo wstępu na słynny uniwersytet Heizan, żeby stoczyć tam debatę z wszechstronnie wykształconymi mnichami i w nadziei ich nawrócić.

Pod koniec sierpnia 1550 roku ruszyli wreszcie w pełną trudną podróż. Pierwszym jej etapem był niebezpieczny rejs, podczas którego stawiali czoło sztormom i piratom, a drugim – ryzykowna przeprawa przez góry o śnieżystych szczytach. Zaznane w drodze umartwienia bynajmniej nie zniechęciły Franciszka Ksawerego; podniósł sobie nawet poprzeczkę, odrzucając propozycję jazdy wierzchem na jednym z jucznych zwierząt i żywiąc się jedynie małymi porcjami prażonego ryżu. „Był tak bez rozsyłu zapamiętany w Bogu – napisał jeden z towarzyszy wędrowni – że zbaczal ze szlaku, wcale tego nie zauważając, i także dla się niepostrzeżenie rozdzierał na sobie płudry i ranił stopy”. Wiewieli w trakcie tej podróży zyskał neofitów, większości napotkanych ludzi wydawał się bowiem dziwną postacią, a jego uboga prezencja akurat w Japonii niewielki mogła wzbudzić szacunek. Zanim dotarł w pobliże Kioto, z jego czarnej kamizeli zostały tylko strzępy. W umocowanej sznurkiem syjamskiej czapce wyglądał jak błazen.

Franciszek Ksawery dużo sobie obiecywał po wizycie w sławnym mieście cesarzy. „Wieleśmy się o tamtejszych wspaniałostkach nasłuchali – pisze w swoich wspomnieniach. – Zapewniano nas, że miasto owo składa się z ponad dziewięćdziesięciu tysięcy domów i że jest w nim znakomity uniwersytet”. Opowiedano mu o monumentalnych świątyniach i klasztorach, o złotych kaplicach i bawialniach, w których cesarz i jego dwór urządzali sobie intelektualne turnieje. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Kioto bowiem zdążyło tymczasem obrócić się w ruinę. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać było rozpadające się domostwa i świątynie: wojny, zarazy i powodzie doprowadziły miasto

do oplakanego stanu. Wspaniałe niegdyś bramy — Słoneczników i Księżycowego Kwiatu — zdruzgotał tajfun, a strzyżony żywopłot z bambusa, który dawniej otaczał pałacowe apartamenty, zmiotła powódź. Księżniczki i dworskie miłośnice nie układały już całymi dniami wierszy, lecz czatowały przy zewnętrznym parkanie, próbując wyzebrać od przechodzących kupców coś do jedzenia. Sam cesarz zaszył się w najszybszych zakamarkach pałacu.

Gdyby Franciszkowi Ksaweremu pozwolono zajrzeć w te zakazane korytarze, oczom jego ukazałby się nader niezwykły widok. Otóż marionetkowy cesarz wyglądał i zachowywał się jak prawdziwa marionetka. Nosił dziwną czapkę z ogromnymi nausznikami i słomiane sandały na dwudziestoparocentymetrowych obcasach, a z obu mankietów zwisały mu jedwabne kutasy. „Jego cesarska mość nigdy stopą ziemi nie tyka — napisał pewien Europejczyk, który w późniejszym okresie odwiedził cesarski dwór — a czoło bielą i czerwienią ma pomalowane”.

Pobyt w Kioto nieco zachwiał Franciszkiem Ksawerem. Uświadomił on sobie, że jeśli chce odnieść w Japonii jakikolwiek sukces, musi uzyskać od możnych feudałów zgodę na działalność misyjną. Zaczął też rozumieć, że jego wystrzępiona sutanna i zaniebane włosy — widome oznaki ubóstwa — nie robią na Japończykach dobrego wrażenia. Gdy zatem przybył do miasta Jamaguchi i poprosił o audiencję tamtejszego możnowładcę, Ouchiego Yoshitake, przywdział nowo nabyte jedwabie i przedstawił się jako ambasador namiestnika Indii. Ofiarował też Ouchiemu dary, pierwotnie przeznaczone dla cesarza — zegar, portugalskie wino i dwa teleskopy — po czym olśnił cały dwór swoim zasobem wiadomości, popisując się wykładami z dziedziny astronomii i geografii świata. Nareszcie udało mu się więc zrobić wrażenie. „Nie wiedzą oni, że ziemia krągłą jest — napisał w swojej relacji — ani też nie znają szlaku słońca na niebie, radzi więc dopytują o te tudzież o inne sprawy, jako to komety, błyskawice, deszcz i śnieg”. Franciszek Ksawery zauważył, że Ouchi i jego świta z zachwytem słuchają tych opowieści i „mając nas za ludzi uczonych, słowom naszym łacniej dają wiarę”. Dowiedziawszy się, że w porcie Funai czeka na niego statek, wyjechał w końcu z Jamaguchi, przedtem jednak zdołał pozyskać około pięciuset neofitów. Wielu z nich, o ironio, przekonała jego znajomość astronomii, a nie zasad chrześcijaństwa.

W listopadzie 1551 roku Franciszek Ksawery opuścił Japonię, spędziwszy w niej ponad dwa lata. Wyraźnie się przez ten czas postarzał i posiwił. Bagatelizował jednak trudności, z jakimi się



Franciszka Ksawerego wywarły wrażenie tylko na nielicznych mnichach buddyzmu. Jego nieudane próby mówienia po japońsku były zniechęcające dla uszu tych świetnie wykształconych, choć ubogich ludzi.

kontynuował w ciągu owych dwóch lat, i napisał o swoim pobycie w Japonii pełną wielkim optymizmem list do misjonarzy. Japończycy, oświadczył, „to najlepszy z ludów wszystkich, jakieśmy dotychczas odkryli, i mniemam, że nigdy wśród pogan nie znajdziemy rasy, która z Japończykami równać by się mogła”. Choć miał z nimi ograniczony kontakt, wystarczająco im się przyjął, aby wywnioskować, iż „są to ludzie nadzwyczaj dobrych manier i w ogólności dobrzy, bynajmniej nie złośliwi”.

Podczas gdy Franciszek Ksawery zajęty był wygłaszaniem kazań, portugalscy kupcy swoim zwyczajem zbierali zyskowniejsze łupy. Stwierdzili mianowicie, że Japończycy uwielbiają jedwabie i gotowi są za nie płacić niebotyczne ceny, sami bowiem nie mogą tych tkanin kupować, odkąd cesarze z dynastii Ming, mając już dość pirackich napadów, pustoszących nadmorskie okolice ich kraju, wydali zakaz, na mocy którego żadnemu Japończykowi pod groźbą śmierci nie wolno było lądować na jakimkolwiek wybrzeżu. Ów dekret cesarski stwierdzał, że Japończycy

to „Złoty wiek, piąty etap” i buntownicy przeciwko suweren-
nemu cesarzowi Chin”. Stawa te w portugalskich uszach brzmia-
ły jak najśodsza muzyka. „Niezgoda między Chinami a Japonią
jak najbardziej Portugalczykom dogadza – napisał pewien jezui-
ta – tym łatwiej mogą bowiem dzięki tej dysharmonii prowa-
dzić swoje świeckie interesy”.

Okolo roku 1555 Portugalczycy zdołali zawładnąć leżącą
u południowych brzegów Chin wysepką Makau, zyskując tym
samym dostęp do wielkiego rynku jedwabniczego, jakim był
ówczesny Kanton. Z typową dla siebie energią zaczęli kupować
olbrzymie ilości jedwabiu, przygotowując swoją pierwszą wiel-
ką wyprawę kupiecką do Japonii. Nabywali też „wszelką inszą
chińszczyznę” – porcelanę, piżmo, róż i rabarbar.

W roku 1555 ogromna karaka wyładowana jedwabiami po-
płynęła do Japonii pod dowództwem kapitana Duarte da Gamy.
Po przybyciu na miejsce szybko dobito targu i statek wrócił do
Makau, przywożąc tak niebywale mnóstwo srebra, że nawet mni-
si wybałuszyli oczy. „Będzie dni temu dziesięć czy dwanaście
wielki statek z Japoniję tu przybył – napisał pewien jezuita, pa-
dre Belchior – z ładunkiem tak bogatym, że teraz wszyscy
Portugalczycy i statki wszystkie, jakie jeno są w Chinach, Japoniję
odwiedzić zamierzają”. Powodzenie tej pierwszej wyprawy stało
się bodźcem, dzięki któremu rozwinął się ożywiony handel, gdy
portugalscy kupcy zajęli się tą lukratywną działalnością. Zyski
były rzeczywiście oszałamiające, a podekscytowani komenta-
torzy pisali o ogromnych ilościach srebra, jakie eksportowano
z Japonii. Jeden z nich obliczał je na dwadzieścia milionów gra-
mów rocznie; inny – Diogo de Couto – twierdził chępliwie, że
„cały ładunek... wymienia się na sztaby srebra, warte ponad mi-
lion [cruzados] w złocie”. Trzeci szacował, że Portugalczycy wy-
wożą z Japonii bez mała połowę jej rocznego wydobycia srebra,
przetopionego na sztaby.

Kupcy z Makau pobudowali ogromne barki do przewozu sre-
bra – mało zwrotne, o monstualnej wyporności blisko dwóch
tysięcy ton. Owe *não do trato*, czyli „wielkie nawy”, miały szerokie
kadłuby i nieraz aż cztery gładkie pokłady, mogły więc pomieścić
sto dwadzieścia tysięcy stóp sześciennych srebra w sztabach –
ilość doprawdy oszałamiającą. Wedle ówczesnych standardów
były to istne lewiatany, przytłaczające swoim ogromem tubylcze
dżonki. Handel srebrem zorganizowano według zdecydowanie
ekscentrycznych zasad: wyłączne prawo odbywania corocznej
podróży do Japonii sprzedano – całkiem dosłownie – temu

kupcowi z Makau, który przelicytował pozostałych. Wielu kapi-
tanom tego rodzaju rejsy przyniosły tak wielki majątek i władzę,
że wada sodowa uderzała im do głów, chodzili więc zadzierzy-
stym krokiem po japońskich portach, ze zbrojną eskortą, w asy-
stancie orkiestr dętych i murzyńskich niewolników. Japończycy ni-
gdy przedtem czegoś podobnego nie widzieli.

Chociaż nadal uważali Portugalczyków za barbarzyńców,
w pewnym momencie zrozumieli, że ci cudzoziemscy kupcy
mogą dostarczyć im upragnione jedwabie. Przekonali się też, że
będą mieli większe szanse zwabić kupców do swojego lenna, jeże-
li zdołają przypodobać się jezuitom, którzy przywozili jedwab-
niczym Otomo Yoshishige z Bungo jako jeden z pierwszych
pisał, że handel i religia idą w parze. Wystosował do najwyższych
funkcyj jezuitów utrzymany w nader przymilnym tonie list, błaga-
jąc, aby zakonnicy zechcieli wskazać kupcom jego port jako naj-
bardziej przydatny. „Po trosze i dlatego – oświadczył – że
będę wtedy władny na powrót Ojców tu urządzić... zapewniając
im większe wygody od tych, jakich zrazu tutaj zażywali”. Nie był
to wszelako jedyny powód. Władca Bungo koniecznie chciał wejść
w posiadanie broni portugalskiego wyrobu, poprosił więc o dwu-
miesięczne działa, zwane *espera*. Gwoli poparcia tej prośby
wysłanek: „Jeśli bowiem królestwo moje zamożne będzie i dobrze
obronione, wówczas i Kościół Boży dostatkowi zazna a przezpieczeń-
stwa”. W mocno przesłodzonym postscriptum dodał, że zawsze
chciał przebywać w gronie Portugalczyków, a z całego swojego do-
datku najbardziej ceni sobie list od królowej Portugalii, „który tak
łatwo mu drogi, iż stale na piersi go noszę niczym relikwią”.

Prośba nieszczęsnego Yoshishige nie znalazła posłuchu. Por-
tugalscy kupcy i księża odkryli bowiem na północno-zachodnim
wybrzeżu Kiuisu znacznie dogodniejszą przystań: Nagasaki.
Przeznaczony od roku 1571, jeśli kierować swoje wielkie barki wła-
śnie ku tej głębokim, bezpiecznym wodom. „Jest to naturalna wa-
żność – pisał jeden z Portugalczyków – jakiej żaden japoński
statek silą wziąć by nie zdołał”. Nagasaki wkrótce okazało się
dla kupców miejscem wielce sprzyjającym, a dla jezuitów –
stacją opatrnościowym. Tamtejszy władca, Omura Sumitada,
w roku 1562 dał się ochrzcić, przybierając imię Dom Bartolemeu.
Wtedy też zobaczył, ile jedwabiu, adamaszku i porcelany łąduje na
brzoźkach jego państewka, poszedł o krok dalej i oświadczył,
że zamierza uczynić chrześcijaństwo jedyną religią w swoim len-
nie, starając się na wygnanie wszystkich, którzy nie zechcą się na-
bawić. Cel ten został niebawem osiągnięty i grupa jezuitów

GÓRY LODOWE ORIENTU

„pod silną eskortą... ruszyła w objazd po kraju, nakazując burzenie świątyń pogańskich” — czyli buddyjskich i szintoistycznych. W ciągu siedmiu miesięcy ochrzczono dwadzieścia tysięcy osób, w tym także mnichów z około sześćdziesięciu klasztorów. Jezuici z radością patrzyli, jak mnisi — „ci sami, którzy przedtem mieli nas za gorszych od niewolników... przychodzą tu znak poddaństwa dłońmi i czołem ziemi dotykając”.

Jezuici zdawali sobie sprawę, że Dom Bartolemeu kieruje się nie tyle chrześcijańską wielkodusznością, ile nosem do interesów. Postąpił tak, a nie inaczej, ponieważ — jak odnotowali — „zyskał dzięki temu pewność, że do jego portu zawsze zawinie Wielki Statek, to zaś ogromną chwałę mu przyniesie i uczyni go wielkim panem za przyczyną cel i zysków stąd ciągniętych”. Wkrótce ofiarował mnichom jeszcze ważniejszą koncesję. Dziewiątego czerwca 1580 roku odstąpił im port w Nagasaki — rzekomo jako źródło pieniędzy na utrzymanie misji. Zastrzegł sobie jednak prawo do pewnych korzyści: nadal miał ściągać wszelkie podatki i należności, a w razie niebezpieczeństwa mógł się chronić w tamtejszej fortecy.

Portugalczycy mieli zatem czerpać wielkie zyski, póki ich monopolowi na handel z Japonią nie zagrozi żadna konkurencja. Nie wiedzieli jednak, że w portach londyńskiej dzielnicy Limehouse właśnie przygotowuje się wyprawę do Kraju Wschodzącego Słońca.

W dniu 15, w porze odpływu, nabrzeża w Limehouse przedstawiły spektakularny widok. Szerniałe belki ociekały wodą i wyciekły. W porannym półmroku przypominały wrak galeonów. Wzdłuż nabrzeża było kościół świętego Dunstana, a z Tamizy — w kierunku Ludwika — rzut kamieniem w górę rzeki zaczynała się gromadzić woda. Gromadziły się na niej tłumy, żeby dziwo-wnie rozstrzygnąć o losach trupów, które zwisiały z nadrzecznych mostów, spętane od wody, wystawione na widok jako ponurą atrakcję. Były to szczątki korsarzy i flibustierów, przyłapanych na złodziejstwie galeonów i statków przybrzeżnych. Skazani na straszenie czekała straszliwa kara: przywiązywano ich do słupów przy młynie wodzianym, izby tam pozostali, aż póki przy-jeżdżał karczownik, żeby ich nie zaleje”.

W zwykłe dni nabrzeża ożywały dopiero o pierwszym brzo-wnym rankiem dwudziestego maja 1580 roku już na kilka godzin przed świtem w Limehouse panował niecodzienny ruch: wozy i fragary krząpali się, przygotowując do rychłego rej-zy. Robotnicy portowi nie znali celu ich przemieszczania, ale mogli jednak się powstrzymać od komentowania obcego bagażu. Do ładowni obu statków zanieśli już bo-żę, kłosałowe puchary mistrzowskiej roboty i cynowe dzba-ki, kości słoniowe i grzebienie z kości słoniowej; słowem, ład-unki nie całkiem zwyczajny — zważywszy, że statki te wyruszały do dalekich, bałtyjskich krajów.

Właściciele wspomnianych statków należeli do grona ambitnych, nietuzinkowych przedsiębiorców elżbietańskiej Ang-lij. George Barne, nałogowy poszukiwacz przygód, od prawie czterdziestu lat „nowych sposobności handlowych odkrywaniem” zaczął od wyprawy do Afryki, podjętej jeszcze w la-cie poprzednim szesnastego wieku. W późniejszym okresie zorganizował kilka kolejnych ekspedycji do Gwinei, a z jednej

z nich jego ludzie przywieźli czaszkę słonia i pięciu czarnych niewolników. Pozbawieni kontaktu z rodzinami, niewolnicy ci wykazali całkowity brak wdzięczności i narzekali — poniekąd słusznie — że Anglia jest krainą nieustającej mżawki. „Ziąb z wilgocią pospołu cokolwiek we znaki im się dawa” — napisał kronikarz owej wyprawy. Przez wiele następnych lat rozbudowywał sir George całą sieć przedstawicielstw handlowych, teraz zaś upatrzył sobie daleki kontynent azjatycki.

Jego współnik, sir Rowland Heyward, także miał spore doświadczenie w organizowaniu wypraw do nieznanymi krajów. Jako jeden z założycieli Kompanii Moskiewskiej, która zapoczątkowała wymianę handlową z bezkresnym państwem Iwana Groźnego, uzyskał daleko idące przywileje, obejmujące nie tylko handel z Moskwą, lecz i z tak odległymi miejscowościami, jak Astrachań, Nowogród i Kazań — położone nad Wołgą wielkie miasto Tatarów. W późniejszym okresie zwrócił się do cara z prośbą o koncesję na prowadzenie robót budowlanych na terenie całego imperium. Iwan dał się omamić, oświadczył więc w stosownym dokumencie: „Zezwalamy niniejszym angielskiemu kupcowi... budować domy w Wołogdzie, Cholmogorach i nad morzem; także i w Iwangorodzie, w Karelii i wszędy, dopokąd władza nasza sięga”. Nawet i to nie zdołało jednak zaspokoić nienasyconego apetytu sir Rowlanda. Już po kilku latach ubiegać się zaczął o koncesję na handel z Persją i skłonił królową Elżbietę, aby zaprezentowała się tamtejszemu władcy, występując o zgodę na prowadzenie działalności handlowej w granicach jego imperium.

Teraz zaś uwagę obu kupców przykuły najodleglejsze krainy Dalekiego Wschodu — Chiny i Japonia, o których krążyły pogłoski, jakoby ich bogactwa przekraczały wszelkie ludzkie pojęcie. Sir Rowland wiedział, że jeśli zdoła jako pierwszy zaklepać sobie prawo do handlu z tymi królestwami, niechybnie zdobędzie majątek i sławę. Nie przerażały go trudności logistyczne, jakich nastęrczała tego rodzaju podróż, ani nie zniechęcała odległość. Wraz z sir George'em jął gromadzić wszelkie dostępne informacje, z właściwym sobie entuzjazmem i animuszem obmyślając przedsięwzięcie.

Obaj armatorzy przekonali się niebawem, że znaczną część najcięższej pracy już za nich wykonano. Zaledwie trzy lata wcześniej — w roku 1577 — angielski entuzjasta Richard Willes natknął się na dwa nieznanne dokumenty, zawierające opisy Chin i Japonii. Zdając sobie sprawę, że wpadł mu w ręce istny skarb — suma wiedzy o obu tych krajach była bowiem bliska zeru — Willes po-

stanowił opublikować owe relacje w książce, zatytułowanej *Podróż opisanie*.

Raport z wędrówki po Chinach dotarł do jego rąk za pośrednictwem portugalskiego kupca, którego pojмали i długo więzili mandaryni dworu cesarza z dynastii Ming. W relacji swojej kupiec ten napisał, że potężny władca Chin wymierza straszliwie okrutne kary swoim poddanym, ci zaś mnożą się z nieznośną wręcz szybkością. „Kraina ta jest tak gęsto zamieszkaną — odnotował Willes — że ziemi skrawek by najmniejszy nie leży odlogiem”. Liczna ludność oznaczała wielkie obroty handlowe. Dla londyńskich kupców była to arcywymyślna wiadomość. Nicco mniej apetycznie brzmiał opis chińskich obyczajów kulinarnych. Chińczycy pałaszowali ponoć wszystko, co się rusza. Willes ze zdumieniem wyczytał, że „żaby po tejże cenie są sprzedawane, co kury..., jako też psy, koty, szczury, węże i insze niezysłe mięsiva”.

Sprawozdanie z Japonii miało wydźwięk dużo bardziej optymistyczny. Willes zdobył plik prywatnych listów „o japońskiej nacyi”, które pewien mnich jezuita, padre Luis Frois, napisał do swoich braci zakonnych — bynajmniej nie po to, żeby studiowali je (ta zwłaszcza publikowali) protestancy kacerze. Willes szybko odniósł do nich ich wartość i zaczął tłumaczyć je „słowo w słowo, jako następuje”.

Powstała w ten sposób publikacja wywołała wielkie poruszenie wśród londyńskich poszukiwaczy przygód, dowodziła bowiem, że Marco Polo nie pomylił się ani trochę. Japonia była istotnie „wspaniałą wyspą pośród mnóstwa barbarzyńskich narodów i krain nieokrzesanych”, tak przy tym bajecznie bogatą, że za otrzymywane towary płacić mogła szczerym kruszczem, zamiast prowadzić handel wymienny. Złota — jak uprzedzał Marco Polo — miała co prawda niewiele, „liczne za to srebra kopaltne”, idące tysiące ton rocznie. Jeszcze bardziej zachęcająco brzmiała wiadomość, że Japończycy w niczym nie przypominają dzikusów i ludożerców, jacy zamieszkiwali podobno wiekiśmte wysp Wschodu. Mieli być „układni, uprzejmi, dowcipni, duszmi i do igrasstwa nieskorzy”, Willes mógł więc zareczyć czytelnikom, że angielskich kupców życzliwie powita w Japonii cywilizowany lud, który „pod względem cnoty i szczerości w moim” przewyższa wszystkie narody wschodniej półkuli.

W owym zaczarowanym królestwie nie brakowało oczywiście pułapek. Wybrzeże było niesłychanie zdradliwe, a krążyły też pogłoski, jakoby na wodach otaczających Japonię kwitło pi-

ractwo. Także klimat miał być nieznośnie surowy. Willes odnotował, że „śniegu pada tyle, iż zasypuje on całe domy, a ich mieszkańcy nie wychodzą za próg”. Śnieg ten – dodał – częstokroć zalega tak głęboką i zbitą warstwą, że gdy Japończycy chcą się dostać do domu, muszą tłuc dachówki. Ale gorycz tej złej nowiny wnet osłodziła dobra, chłodny klimat oznaczał bowiem, że może tam być wielki popyt na angielską wełnę.

Choć Japończycy byli podobno dwornymi i bynajmniej nie klamliwi, przejawiali zarazem niepokojącą skłonność do przemocy i brutalności. Często zdarzało się, że dusili własne dzieci, aby nie marnować cennej żywności, i mieli dziwnie melancholijne usposobienie. Samobójstwo było zjawiskiem codziennym i niemal zawsze krwawym. Mężczyzna, który postanawiał odebrać sobie życie, przywdziewał swój najświetniejszy strój z jedwabiu, dobywał ogromnego miecza o zakrzywionej klindze, po czym „ciąwszy się przez pierś i brzuch cały, własną ręką żywota się zbawiał”.

Podczas gdy mieszkańcy największej z Wysp Japońskich uchodzili za niezwykle kulturalnych, ludność dzikich prowincji pół-



Czytelnicy Richarda Willesa ze zdumieniem dowiadywali się o istnieniu czegoś takiego jak seppuku – rytualne samobójstwo japońskie. Delikwent rozprućwał sobie zakrzywionym mieczem brzuch „od pierśi aż po pachwinę”.

niwnych, w których wyprawa Barne'a i Heywarda miała wszelkie szanse dokonać pierwszego lądowania, wywodziła się z rodu szarych barbarzyńców. Wyspę Hokkaido zamieszkiwali ponoć „mugrowie dzicy, w skóry bestyj odziani, topornej budowy; brody ich długachne, wonsiska monstrualne”. Wąsy te były tak długie, że ich posiadacze w trakcie swoich regularnych pijatyk mieli je czelomo podparać specjalnymi widelkami.

Kiedy dwaj armatorzy dowiedzieli się, jaki bezmiar bogactw kryją w sobie owe wschodnie krainy, postanowili niezwłocznie przygotować statki do rejsu, zaczęli więc zabiegać o inwestorów i gromadzić informacje. Najbardziej oczywista trasa wiodła wzdłuż wybrzeży Afryki, wokół Przylądka Dobrej Nadziei i dalej przez Ocean Indyjski. Był to jednak szlak niebezpieczny. Portugalscy kupcy awanturnicy przemierzali go od blisko stu lat, zabijali więc zawładnąć wieloma spośród najlepszych przystani i źródeł słodkiej wody. Wydawało się niezbyt prawdopodobne, że gościnnie powitają angielskich heretyków w portach, które uważali za swoją własność. Druga trasa, biegnąca wokół południowego krańca Ameryki i dalej przez bezkresne wody Pacyfiku, była niewiele bardziej zachęcająca. Skalista Cieśnina Magellana nawet przed najbardziej utalentowanymi nawigatorami piętzyła straszliwe niebezpieczeństwa, a Pacyfik był tyleż nieobliczalny, ile niespany. Co gorsza, pierwszym skrawkiem stałego lądu miały podle wszelkich rachub okazać się Filipiny, które mocno dzierżał w garści Filip II, król Hiszpanii.

Sir Rowland i sir George uznali, że obie te trasy są zbyt ryzykowne. Lepiej obznajomieni z mrozną Północą aniżeli z tropikalnym Południem, stwierdzili, że podróż wzdłuż północnych wybrzeży Rosji, aczkolwiek bezsprzecznie niebezpieczna, będzie za to stosunkowo krótka. Zasięgnąwszy rady Richarda Hakluyta, wielkiego elżbietańskiego znawcy zagadnień związanych z wyprawami badawczymi, obmyślili plan równie śmiały, jak prosty. Postanowili mianowicie założyć na jednej z wielu wysp Arktyki – powiedzmy, na wyspie Wajgacz, nieopodal cieśniny Karskie Wrota – bazę, która służyłaby jako magazyn. Podczas długiej zimy zgromadzone w niej zapasy mogłyby uratować podróżnikom życie, a czasem zaś można by tam urządzić wielką hurtownię, pośredniczącą w handlu między Anglią a najdalszym Wschodem. Był to nieskomplikowany, klarowny zamysł, pozwalający uniknąć zarówno wszelkich konfliktów z Portugalczykami bądź Hiszpanami, jak i katastrofy porównywalnej z tą, którą zakończyła się w roku 1553 wyprawa sir Hugh Willoughby'ego.

Sir Rowland i sir George wiedzieli, że poprzednie ekspedycje poniosły porażkę z powodu „słabej znajomości arkanów kosmologii i sztuki nawigacji”. Bez wahania postanowili więc zatrudnić najlepszych kapitanów, jakich uda się znaleźć. Po długich poszukiwaniach ich wybór padł na Arthura Peta i Charlesa Jackmana — żeglarzy zahartowanych i godnych zaufania, którzy nieraz już odbywali długie rejsy w strefie arktycznej. Jackman brał udział w dwóch wyprawach sir Martina Frobishera, zorganizowanych z zamiarem odkrycia północno-zachodniego szlaku, a Pet dobrze znał najdalej na północ wysunięte rubieże Rosji. Obaj skwapliwie przyjęli propozycję uczestnictwa w kolejnej niebezpiecznej, lecz ekscytującej podróży. Dołączył do nich Nicholas Chancellor — londyński kupiec, który miał nadzieję jako pierwszy Anglik zbić majątek na Dalekim Wschodzie.

Trudniejsze okazało się zwerbowanie załogi. Kiedy sir Rowland i sir George puścili w obieg wiadomość o swoim zamiarze, w portach nad Tamizą spotkała się ona ze zdecydowanie letnim przyjęciem. W końcu zgłosiło się zaledwie trzynastu marynarzy i dwóch chłopców okrętowych, a chociaż niewielka była szansa, że uda się powiększyć załogę o choćby jeszcze paru amatorów przygód, obaj kupcy postanowili mimo to zrealizować plan. Richard Hakluyt — wspomniany już specjalista od wypraw badawczych — był do głębi zaniepokojony małą liczebnością załogi i przestrzegał, że utrata nawet i kilku marynarzy może stać się przyczyną zupełnej katastrofy. „Skoro jest was garstka zaledwie, musicie dołożyć wszelkich starań, żeby oszczędzać ludzi — radził — i starać się ani jednego na niebezpieczeństwo nijaką nie narażać”.

Sir Rowland i sir George wynajęli dwa nieduże statki — „Jerzego” i „Williama” — zakotwiczone „na Tamizie naprzeciw dzielnicy Limehouse”. Następnie zaczęli dopracowywać szczegóły przedsięwzięcia, przede wszystkim zaś podpisali z obydwoma kapitanami formalny kontrakt. Głównym celem wyprawy miało być „poszukiwanie i odkrycie drogi morskiej... wiodącej do krajów bądź posiadłości możnego xięcia, władcy Kitaju, jako i do miast Cambalu [Pekin] i Quinsay [Hangczou]”. Ponieważ wiadomo było, że rejs ten wystawi odporność załogi na najcięższe próby, marynarzom zalecono, aby „połączyli się więzią życzliwości, niczym najdrożsi przyjaciele i bracia... gwoli osiągnięcia i należytego ziszczenia celów rzeczzonej podróży”. Mieli się kochać, wzajemnie za siebie modlić i „siły wszystkie poświęcić zleconemu im zadaniu”.

Richarda Hakluyta poproszono o sporządzenie szczegółowego wykazu zapasów i towarów, które w podróży mogły się okazać niezbędne, a doktor John Dee, znany matematyk i astrolog, służył swoim doświadczeniem w sprawach nawigacji i topografii. Radził kapitanom nie zatrzymywać się w chińskim porcie Hangczou, lecz „żeglować dalej, aż ku wyspie Japonii, tam bowiem napotkacie chrześcijan, jezuitów z krain wielu... którzy wskazań i zaleceń matieżnych udzielić wam mogą”. Zasięgnięto też zdania Williama Blounta, znawcy mórz, którego dziełem była szczegółowa mapa wybrzeży Morza Białego. Prosił on usilnie Peta i Jackmana, żeby kontynuowali tę pracę, sporządzając mapy, z których można będzie wyczytać, „gdzie wznoszą się wysokie urwiska, a gdzie płaską niziną, gdzie są piaski, gdzie wzgórza, a gdzie lasy”. W nagrodę za te trudy wolno im było nazwać każdą zatokę i cypel „wedle własnego waszmościów uznania”.

Sir Rowland i sir George dokładnie przemyśleli, jakiego rodzaju ładunek powinny zawieźć na Daleki Wschód ich statki, i przyznali rację Hakluytowi, że wyprawa ta nie jest zwyczajną ekspedycją kupiecką, lecz pływającą wystawą towarów i wyrobów, która zademonstrować ma wysoki poziom cywilizacyjny sibietańskiej Anglii.

Z zapisków Hakluyta wyczytać można, jaki niepokój budziła w nim perspektywa nawiązania kontaktu z pogańskim krajem, który cieszył się zarazem renomą nie mniej cywilizowanego i wykształconego niż Europa. Przedtem podróżowano jedynie do krain „nieokrzesanych” i „barbarzyńskich”, gdzie podróżnicy napotykali prymitywnych „dzikusów, w skóry cuchnące odzianych, dudy dzierżących”. Kiedy William Hawkins wyprawiał się do Ameryki Południowej, Anglicy stawali tam twarzą w twarz z Indianami o policzkach dla ozdoby przekłutych kośćmi. W wyniku ekspedycji Williama Towersona do Gwinei odkryto „dżicz murzyńską”, palaszującą surowe mięso i mieszkającą w lepiankach z łota. Im więcej świata poznawali Anglicy, tym bardziej utwierdzali się w przekonaniu, jakoby dalekie krainy zamieszkiwały prymitywne plemiona, które biegały nago, z obnażonym „sromem”. Były to w znacznej mierze pobożne życzenia lub przesądne sąsiedzenie. Mieszkańcy najdalej na północ wysuniętych obszarów Ameryki dowiedli, że w wysokim stopniu opanowali łowiecki tryb życia i bynajmniej nie „pożerają się wzajem”, lecz ówczesne relacje przedstawiają ich jako „drapieżnych, krwiożerczych, ludzkim mięsem żyjących” i wyszydzą upodobanie, jakim rzekomo pałali do prostych przedmiotów, „jako to dzwoni-



Richard Hakluyt wiedział ze słyszenia o zamłotowaniu do wykwiintu, jakim odznaczali się Japończycy, zwłaszcza szlachetnie urodzeni. Kiedy kapitanowie Pet i Jackman ruszali w rejs, zabrali ze sobą tylko najwyższej jakości towary.

ków, zwierciadeł i innych zabawek”. Nawet mieszkańcy obrzeża Wysp Brytyjskich uchodzili wśród londyńskiej elity czasów elżbietańskich za bandę prymitywów. Opinię szczególnie zacofanej zyskała sobie zwłaszcza jedna nacja — bałwochwalcza, zabobonna, „w barbarzyńskiej pograżona niewiedzy”: Walijszczy.

Hakluyt wiedział, że podczas rejsu Peta i Jackmana na Wschód zetkną się Anglicy ze znacznie bardziej kulturalnym ludem, nalegał więc, aby ładownie wypełniono jedynie towarami najwyższej jakości. Radził zabrać niewielką kolekcję srebrnych monet z wybitym na nich szlachetnym obliczem królowej Elżbiety „gwoli pokazania tamtejszym rządcom... który to gest niemy powie roztropnym ludziom więcej, aniżeli waszmościowie imaginować sobie potraficie”. Zalecił wziąć też mapę Anglii, i to nie byle jaką. Musiała to być mapa „w nadobnych barwach odrobiona... największa z największych”. Podróżnicy mieli również zabrać ze sobą „najładniejsze” dzieła angielskich kowali: „zamki i klucze, zawiasy, skoble, zasuwę, etc., wielkie i małe, wyśmienitej roboty”. W ładowniach umieszczono też okulary (czyli „szkła naoczne”) i delikatne naczynia szklane; klepsydry i „z kości słoniowej grzebienie”; zwierciadła weneckie; rękawice robione na drutach, cynowe flaszki i skórzane guziki. Wełna — główny towar eksportowy Anglików — była licznie reprezentowana w postaci ręcznie dzianych skarpet i rękawic, a także szlafmyc i koców. Nie brakowało też nasion słodkownych kwiatów, szkatulek na hubkę i krzesiwo, miechów do roznieciania ognia i drukowanych ksiąg. Każdy z tych przedmiotów starannie wybrano, aby dowieść, że Anglia jest krajem bogatym, ze wszech miar wysoko rozwiniętym i kulturalnym.

„Jerzy” i „William” wyruszyły z Limehouse wiosną 1580 roku. Na krótko zawinęły do Harwich, żeby uzupełnić zapasy żywności, a następnie wypuściły się na Morze Północne. Wkrótce po ich odpłynięciu Richard Hakluyt dostał odpowiedź na pytanie, z którym zwrócił się do znakomitego kartografa flamandzkiego, Gerardusa Mercatora. Mercator gotów był podzielić się z Petem i Jackmanem nader istotnymi wiadomościami, bardzo im szczęśliwie się złożyło, że jego list dotarł o kilka tygodni za późno. Kartograf ostrzegał, że jednym z głównych niebezpieczeństw, z jakimi liczyć się muszą wyprawiający się na północ rejarze, jest obłędna niedokładność kompasu. „Im bliżej bieguna północnego — pisał — tym srożej igła busoli od północy się odchyla, już to ku zachodowi, już to ku wschodowi”. Dodając, że zawodność kompasu często bywa przyczyną katastrof, tymi oto słowami uprzedził Hakluyta: „Jeśli Pan Arthur [Pet] należycie się nie wyposażą... lub nie wykaże dostatecznej biegłości, aby dostrzeższy błąd busoli, jednakowoż wziąć nań poprawkę, lękać się, iż wśród lodów utwięźnie”.

Frocz kaprysów kompasu czyhało na Peta i Jackmana wiele innych niebezpieczeństw. Podwodne występy gór lodowych łatwo mogły zaszkodzić kadłubom statków z epoki elżbietańskiej, których dębowe burty nie były dość mocne, aby wytrzymać taki napór. Kiedy zaledwie kilka lat wcześniej Martin Frobisher wyruszył na poszukiwanie przejścia północno-zachodniego, jego ludzie musieli bacznie obserwować ruchy lodowych gór i „po wielokroć znajdowali się o włos od najstraszliwszej z gróźb”. Patrzyli ze zgrozą, jak „klepki na trzy cale z okładem grube... pękają i łamią się na dwoje”. Nawet w pełni lata, gdy w rejonach arktycznych panowała najlaskawsza pogoda, zdarzało się, że silny wiatr z północy w jednej chwili wyganiał całą gromadę gór lodowych na wody jeszcze przed chwilą czyste i przyjazne.

Nieprzejrzyste niebo utrudniało pracę nawigatorom, których instrumenty przydatne były tylko wtedy, gdy dawało się dokładnie ustalić położenie słońca. „W hiperborejskich rejonach zawsze nad horyzont się chyli — napisał pewien nawigator — a to gorsza, często oceniają je wapory i gesta mgła”. Zimą sytuacja stawała się krytyczna, „ład spowija bowiem ciemność straszliwa i noc nieprzerwana, toteż kształtu jego odgadnąć nie sposób”.

Mimo panujących w Londynie ponurych nastrojów kapitanowie Pet i Jackman szybko zbliżali się do portu Wardhouse, położonego w miejscu, gdzie dziś przebiega granica między Rosją

a Finlandią. Uzupełnili tam zapasy. „William” poddano zaś pilnym naprawom, miał bowiem uszkodzony ster, „a i kadłub cokolwiek przeciekał”. Naprawa kadłuba zajęła cały dzień.

Wkrótce po wypłynięciu z Wardhouse kapitanowie Pet i Jackman po raz pierwszy się poróżnili. Z powodów, które nadal pozostają niewyjaśnione, Jackman chciał zawinąć do najbliższego portu. Pet zarzucił mu tchórzostwo i szyderczym tonem oznajmił byłemu przyjacielowi, że „jeśli nie czuje się w mocy podjąć trudom dalszej żeglugi, niechaj robi, jak mu rozum dyktuje”. Dodał, że „Jerzy” popłynie dalej sam. Była to osobliwie głupia decyzja, w dodatku jaskrawo sprzeczna z warunkami kontraktu, który wyraźnie stwierdzał: „Nigdy nie wolno wam z oczu wzajem się stracić”.

Po zaledwie czterech dniach kapitan Pet zapisał w dzienniku zwięzłe, lecz złowieszcze spostrzeżenie: „Dzisiaj oto napotkaliśmy lód”. W pełni lata, daleko na południe od trasy, którą statek niebawem miał obrać, pływały góry lodowe. Pet kazał rozwinąć wszystkie żagle i wkrótce „Jerzy” odpłynął na bezpieczną odległość. Kapitan uznał, że góry te jako swoisty wybryk natury pozostały jeszcze z zimy, ukryte w jakimś cienistym zakątku Morza Białego.

Po kolejnym tygodniu żeglugi załoga wzniosła radosny okrzyk, ujrawszy przez gęstą mgłę, ulewę i mroczne chmury widoczny na południe od Nowej Ziemi brzeg wyspy Wajgacz. Ów skrawek lądu wytyczał granicę między Morzem Barentsa a Karskim, był więc na drodze ku Dalekiemu Wschodowi kamieniem milowym. Wpływając na Morze Karskie, żeglarze zostawiali za sobą Europę, jego usiane lodową krą fale były bowiem o brzegi Azji.

Wyspa Wajgacz zyskiwała dzięki temu niejakię znaczenie strategiczne. Hakluyt uważał więc, że zbyt długo ją lekceważono, i namawiał Peta i Jackmana, aby założyli tam bazę — jeżeli nie na samej wyspie Wajgacz, to na którejś z pobliskich. „Tym sposobem... — pisał — moglibyśmy dostarczać owym pogańskim nacyom swe towary... nie ryzykując zapuszczania się całą hurmą we wątpia ich krainy”. Radził zbudować fort oraz nieduży magazyn i zaprosić pekińskich kupców, żeby regularnie odwiedzali to miejsce. Postępując się nimi jako pośrednikami, Anglicy mogliby zorganizować sieć handlową, której macki objęłyby cały Daleki Wschód.

Plan ten miał tylko jedną, ale za to poważną wadę. Otóż wyspę Wajgacz dzieliła od miasta chińskich cesarzy nieco większa

odległość, niż Hakluyt sobie wyobrażał: ponad trzy tysiące kilometrów syberyjskich pustkowi — tajga, tundra i wieczna zmarzlina. Po drodze należało też przebyć pustynię Gobi i ogromne łańcuchy górskie północnej Mongolii. Wydawało się wielce nieprawdopodobne, że chińscy kupcy zechcą odbyć tę podróż w celu kupna angielskich skarpet i rękawic.

Okazało się też, że wyspa Wajgacz wcale nie jest idealnym miejscem na bazę. Była zupełnie bezludna: ani śladu osiedli, żadnej żywności. Żeglarze drżeli w swoich kaftanach, chłostani porywistym, mroźnym wichrem. Kilku z nich „pośród mgły gęstej” wydoszło się na brzeg. Wkrótce napotkali duży kamienny krzyż, „u stóp którego człek jakowys leżał pogrzebion”. Widok ten wywarł osobliwe wrażenie na przytomnym z natury kapitanie Petcie. Poczł on nagle, że postąpił z gruntu niewłaściwie, ruszając w dalszy rejs bez „William”, wyrył więc na krzyżu swoje nazwisko. „Taby ci, co na «Williamie» płyną, mogli dowiedzieć się o naszej tutaj bytności, gdyby statek ich do brzegów tych przybił”.

Kapitan Pet musiał widocznie zdać sobie sprawę, że do Chin im jeszcze nie mały kawał drogi, kazał bowiem swoim ludziom wrócić na pokład i ruszył w dalszą podróż. Wkrótce stało się jasne, że przeprawa przez Morze Karskie nawet tak sprawnemu nawigatorowi jak on nastrocza straszliwe trudności. Rojło się tam od skalistych wysepek, potężnych prądów przybrzeżnych, a na domiar złego „wybrzeże skuła lodu wielka obfitość”. Pogoda także nie pogorszyła. „Wietrznie, deszczowo i mglisto” — zanotował w dzienniku Pet, dodając, że okresy, gdy wicher bezlitośnie smaga statek, przeplatają się z porami zupełnej ciszy. Niebawem miało jednak nastąpić pomyślne zdarzenie. Dwudziestego trzeciego listopada „o dziewiątej wieczór «Williamasmy» zoczyli”. Zmęczone i przygnębione załogi obu statków spotkanie to ogromnie ucieszyło. Pet i Jackman też nie posiadali się z radości, puściwszy w niepamięć wszelkie urazy. Na „Jerzym” wyczyszczono do polasku instrumenty dęte i zagrano na cześć bratniego statku dziarski bejnal. „Zadęliśmy w fanfary i z dwóch muszkietówmsy wygabili”, pisze Pet. Sam jednak wołał wyrazić swoją wdzięczność w modlitwie: „Świadomi, że owo nasze spotkanie wielkiej łaski łoga jest dziełem, które raczył On zesłać nam obu ku pocieszeniu, przed Jego Majestatem dzięki składamy”.

Niebawem się przekonał, że „William” rozwija na Morzu Karskim niewielką prędkość. Statek kapitana Jackmana miał zlamaną belkę sterową i strzaskane pióro steru, toteż z ogromnym trudem trzymał kurs. Naprawienie uszkodzonego steru okazało

się nielatwe, ponieważ woda była za zimna, żeby ludzie mogli dostatecznie długo w niej wytrzymać. Musiano więc przenieść wszystkie działa i cały ładunek na dziób, a gdy statek przechylił się jak huśtawka i wynurzyła się rufa, cieśle wzięli się do dzieła i po kilku pełnych niepokoju godzinach zdołali usunąć szkodę. „William” nareszcie odzyskał sterowność.

W ciągu kilku dni, które nastąpiły po ich nieoczekiwanym spotkaniu, kapitanowie Pet i Jackman mogli dokładniej zastanowić się nad dalszą strategią. Myśl o kontynuowaniu rejsu napałała ich głęboką obawą. Z północy wiał lodowaty, porywisty wicher, a w wodzie z niepokojącą szybkością gromadził się lód. „Wiatru mamy do woli – pisze Pet – a lodu i mgły więcej nawet, niżlibyśmy sobie wieszowali”. Dodatkowym problemem był brak danych. William Borough udzielił im wskazówek, jak dopłynąć do wyspy Wajgacz, lecz na dalszym etapie podróży jego rady niezbyt się przydawały. „Ziemie będziecie zapewne mieli waszmościowie po swojej prawicy” – poinformował ich, dodając, że Pekin leży w odległości mniej więcej sześciuset kilometrów. Przyznał jednak, że nie jest tego całkiem pewien.

Wiele przemawiało za tym, żeby zawrócić, lecz gnani silną podniętą, jaką dawała im świadomość, że płyną ku nieznanym łądom, ci twardzi ludzie ruszyli w dalszy rejs. W ich olbrzymie przedsięwzięcie włożono już tyle przemyśleń i ciężkiej pracy, że ustąpić w obliczu trudności wydawało się czymś niegodnym. Ciekawi byli zresztą spotkania z cywilizowanymi ludami Wschodu. Richard Hakluyt dokładnie ich poinstruował, jak mają przy takiej okazji się zachować. Podkreślał, że Chińczycy i Japończycy to nie dzikusy, nie można więc obejść się z nimi tak bez pardonowo, jak jest to przyjęte w stosunkach z afrykańskimi plemionami lub południowoamerykańskimi „bydlakami”. Należało okazać im szacunek i uprzejmość, zaprosić na pokład i ugościć. „Najpierw – radził – popod lukami wykadźcie waszmościowie wonnością co najśłodsza, iżby statek wasz upojnie zapachniał”. Kiedy Japończyków potraktuje się już w odpowiednio dworny sposób, należy ich uraczyć najwyborniejszymi lako- ciami, jakie znajdują się w spiżarni statku: „jako to marmelada... wędzone śliwki... migdały... gruszki suszone”. Trzeba im podać cukier, oliwę z Zante, wodę z cynamonem i suchary w occie – przysmak z czasów elżbietzańskich, który „gdy go lekko posłodzić, chłodzi, koi i odświeża ducha w czleku”. Hakluyt radził też otworzyć flakony „wonnych wód... iżby nimi spryskać gości, gdy ci już wejdą na pokład”. Kiedy zaś będą się zbierać do odej-



Richard Hakluyt zachęcał podróżników do gromadzenia informacji o japońskim ustroju. Anglików zdumiała doskonała jakość i zabójcza skuteczność samurajskich mieczów, które precyzyjnie wykuliwali i ostrzyli mistrzowie fachu platnerskiego.

liła, warto im podarować rozmaite dżemy i konfitury. „Darując im owe przetwory – napisał – wielce możecie im się przypodobać”.

Hakluyt żywił wielką nadzieję, że Anglicy zostaną zaproszeni na brzeg i będą mogli przy okazji przeprowadzić mały zwiad.

Przyjrzyjcie się waszmościowie zwłaszcza tamtejszym okrętom – pisał – Baczcie, jakie mają żagle, takielunki, kotwice, kaptany, artylerię, arsenały i amunicję”. Anglicy mieli też zdobyć miarę prochu, żeby sprawdzić jego skuteczność, oszacować jakość japońskich pancerzy i odporność „murów tudzież wałów, otaczających ich miasta”. Ale Hakluyta interesowały nie tylko wojniana. Prosił też, żeby kapitanowie przywieźli trochę nasion „induskiemiś ziół oraz kwiatów” i postarali się o „xięgę jakobową starą, drukiem złożoną”, aby ktoś mógł z niej się nauczyć języka. Podał nawet, że dobrze by było sprowadzić do Anglii „jakiegoś młodzianka”, którego można by nauczyć angielskiego i zbliżyć, żeby wyjawiał tajemnice swojej ojczyzny.

Kapitanowie postanowili bez względu na ryzyko brnąć dalej, brnąc wśród ajbergów i lodowego paku, póki nie napotkają przeszkody nie do przebycia. „Otóż i natknęliśmy się na sztuki lodu tak ogromne – czytamy w dzienniku okrętowym – że nawet z topu nie widać było, co przesłaniają”. Po bez mała tygodniowej bezczynności postanowili spróbować jednak się przebić. Nie było to łatwe: „Lód tego dawał nam się we znaki” –

pisze Pet. Gdy tylko wydostali się z pułapki, „Jerzy” zawadził o górę lodową z taką siłą, że burty zadygotały, a kotwica skręciła się w żelazny węzeł. Niebawem zaczęły zderzać się raz po raz z górami lodowymi, a przy każdej takiej kolizji dobiegał z głębi kadłuba głuchy loskot. „Łód zadał nam wiele jeszcze potężnych ciosów – pisze Pet. – Na cud to zakrawa prawdziwy, że statek z obieży tej cało wyjąć zdołał”. „William” mocno jednak ucierpiał, a jego szalupę roztrzaskało w drzazgi. Co gorsza, oba statki wkrótce uwięzły w lodzie i dopadła je tak sroga zamięć, że śnieg grubą warstwą przysypał pokłady. Bezpieczeństwo żeglarzy stanęło pod wielkim znakiem zapytania, a ich determinacja na tyle osłabła, że zaczęli skromniej oceniać szanse dotarcia na Daleki Wschód. Właściwie w ogóle przestali już mówić o dopłynięciu do Japonii lub do Chin i tylko modlili się, żeby udało im się wyrwać z pola lodowego i wrócić do Anglii, zanim statki ulegną zmiążdżeniu, a oni sami zginą śmiercią głodową.

Tym razem modlitwy ich zostały wysłuchane. W skorupie lodowej pojawiła się wąska szczelina, skorzystali więc z okazji, żeby rozwinąć żagle i się wymknąć. O dziewiątej wieczór dotarli na skraj pola lodowego, które ich więziło, i nagle wypłynęli na czyste wody, „co uradowało nas niepomału i nie bez ważkiej przyczyny, jeliśmy tedy modły dziękczynne zanosić”. Pomknęli prosto ku najdalej na północ wysuniętemu cypłowi Norwegii, ratując życie i statki. W Trondheim rozstali się, ponieważ Jackman, wciąż przygód niesyty, koniecznie chciał dopłynąć do Islandii. Pet nie zamierzał mu towarzyszyć. Marzyły mu się już tawerny skąpane w blasku świec i ladacznice z Southwark. Wziął kurs na Londyn i wpłynął w ujście Tamizy dwudziestego piątego grudnia, „w dzień Chrystusowych Narodzin”. Załoga padła na kolana i odmówiła modlitwę, dziękując Bogu, „że nam całym i zdrowym powrócić dozwolił”. Marynarzom z „William” mniej się poszczęściło, wszelki słuch bowiem o nich zaginął.

Ekspedycja kapitana Peta zakończyła się spektakularną porażką. Nie zdołał przedrzeć się przez pokryte krą wody, które omywały północne wybrzeże Rosji. Jego przedsięwzięcie nie mogło natchnąć optymizmem nikogo, kto by zechciał zorganizować kolejną wyprawę na Północ. Uczestnicy rejsu spodziewali się, że po powrocie będą paradować w kubrakach z chińskiego jedwabiu i w kaftanach nabijanych ćwiekami z japońskiego srebra, a tymczasem wrócili z odmrożeniami i zdekompletowanymi palcami u nóg. Mało tego: niesławną rejteradę Peta całkowi-

nie przyjął powrót Francisca Drake'a, który tuż przedtem zakończył triumfalną podróż dookoła świata. We wrześniu 1580 roku wprowadził swój okręt – „Złotą Łanię” – do portu Plymouth, gdzie powitano go jak bohatera: nie tylko dlatego, że jako pierwszy Anglik zdołał opłynąć kulę ziemską, lecz i z tej przyczyny, że zdobył zdumiewająco bogate łupy. Przywiózł między innymi pięć ogromnych skrzyń złota, dwadzieścia ton srebra, a monet i pereł tyle, że potrzeba było wielu tygodni, aby je zbierać. Kosztowności, które odebrał Hiszpanom, w sumie warte były krócie: półtora miliona pesos!

Królowa Elżbieta była z tego wielce rada, gdy zatem Drake dotarł wreszcie do Londynu, zaszczyliła go prywatną, sześciogodzinną audiencją. Królową cieszył nie tylko ogrom zdobytych bogactw, lecz i to, że Drake podczas swojego rejsu dał olśniewający popis umiejętności żeglarskich, na zawsze obalając mit hiszpańsko-portugalskiego monopolu na pływanie po morzach południowych. Angielscy podróżnicy wielokrotnie usiłowali przebić się przez północne pola lodowe, w przeświadczeniu, że rejs pobudnionym szlakiem równałby się samobójstwu. I oto Drake dowodził, że oceany Indyjski i Spokojny przestały być niedostępne, a marynarze angielscy mogą pływać, któredy zechcą, i doskonale potrafią bawić się z katolickimi rywalami w kotka i myszkę. Królowa miała w przyszłości usprawiedliwiać wyprawy swoich wólków morskich słynnym stwierdzeniem, że „morze i powietrze jednako do wszystkich należą”.

Postanowiła zignorować porażkę kapitana Peta i tym samym została go z powrotem w anonimowość, z której tylko na krótko się wyrzucił. Opowiadając się po stronie zwycięzcy, ufundowała liczne obchody, aby uczcić sukcesy Drake'a w tropikach. „Złotą Łanię” kazala umieścić w porcie Deptford jako pomnik owego historycznego rejsu i czwartego kwietnia 1581 roku wydała na jej pokładzie bankiet. Była to wspaniała uroczystość: od czasów króla Henryka nie świętowano tak wystawnie. Okręt udekorowano sztandarami i proporcami, a wzdłuż całego wybrzeża w Deptford powiewały barwne flagi. Królowej dopisywał humor; być może zdawała sobie sprawę, że triumf Drake'a jest punktem zwrotnym w dotychczas awanturkowo usposobionych kupców angielskich. Wchodząc na pokład „Złotej Łani”, którą tymczasem wypucowano do czysta, pokazała Drake'owi pozłacany miecz, grożąc żartem, że zetnie mu głowę. On jednak wiedział, że jest bezpieczny. Władczyni kazala mu uklęknąć, po czym wręczyła oręż swojemu gościnnemu honorowemu, markizowi de Marchaumont, rozkazu-

jąc, żeby nadal rycerskiemu obieżyświatowi tytuł szlachecki. Sir Francis odwdzieczył się za ten zaszczyt wspaniałymi darami, a wszystkie one pochodziły z łupów, wydartych Hiszpanom. Było wśród nich pięć ogromnych szmaragdów, „koszyk ze srebra udziałany” i wspaniały złoty globus o oceanach z zielonej emalii. Te właśnie oceany mieli odtąd nadzieję przemierzać elżbietańscy awanturnicy.

W miarę jak zapadała noc, bawiono się coraz hałaśliwiej. Dźwięki wioł i bębenków niosły się w dal po rozległej rzece. Im robiło się później, tym bardziej gęstniał tłum gapiów, pragnących podziwiać to historyczne zdarzenie. W pewnej chwili tylu ich zgromadziło się na trapie, łączącym okręt z nabrzeżem, że deski zaczęły trzeszczeć i ugiąć się pod ciężarem. Nagle rozległ się donośny trzask i nie mniej niż sto osób runęło do mętnej wody. Co przenikliwsi mogli dopatrzeć się w tym epizodzie przestrogi, że technika czasów elżbietańskich nie zawsze zdoła nadażyć za właściwym tej epoce entuzjazmem.

Nie wszystkich zaproszono do uczestnictwa w triumfie Drake'a. Zaledwie o kęs drogi w górę rzeki od Deptford zaczynało się Limehouse, getto biedoty. Przedstawiciele dolów społecznych epoki elżbietańskiej gnieździłi się w tamtejszych zapuszczonych czynszówkach, urągających wszelkim zasadom higieny, stłoczeni jak śledzie w becze. Dzielnica ta, leżąca poza murami Londynu, stanowiła rozległe, chaotyczne skupisko chat i domostw, które zbudowano niedbale, żeby jakoś sobie poradzić z przeludnieniem. Miłośnik starożytności John Stowe ubolewał, że w ciągu ostatnich kilku lat wzniesiono dużo nowych budynków, a „cieśle-okrętowi tudzież... insi ludzie morza postawili sobie wiele dużych i mocnych domów, jako też mniejsze domki dla marynarzy pobudowali”. Miasto rzeczywiście zbyt szybko się rozrastało, toteż dla wielu osób liczba wznoszonych gmachów była powodem do niezadowolenia. W roku powrotu Drake'a z podróży dookoła świata królowa Elżbieta wydała edykt zakazujący stawiania jakichkolwiek nowych budynków bliżej niż trzy mile od bram miejskich. Szczególną ostawę ściągnął na Limehouse zamieszkujący je „ludek rozzhukany, wyuzdany a niesforny”, lecz bynajmniej nie wszyscy lokatorzy tej dzielnicy byli złodziejami i drobnymi przestępcami. Osiedliło się tam również wielu cieśli, marynarzy i pilotów, którzy już to budowali statki szlachetnie urodzonym awanturnikom, już to na nie się zaciągali. Tamiza służyła za „najgłówniejszy magazyn i targowisko wszelakich towarów, jakie w królestwie tutejszym znaleźć można”, a wzdłuż

brzegów keje i mola tworzyły istny labirynt. Na nich to właśnie gromadzili się poszukujący pracy marynarze, gotowi wyruszyć w rejs po nieznanych morzach.

Jednym z tych „ludzi okrętnych” był William Adams, który z tytułu uszlachecenia Drake'a miał siedemnaście lat. Urodził się w rzymskim miasteczku Gillingham w hrabstwie Kent. Ochrzczono go dwudziestego czwartego września 1564 roku, zapewne kilka dni po narodzinach. Pochodził ze skromnej, zubożalej rodziny, która zostawiła po sobie niewiele śladów. O młodym Williamie historia także by zapomniała, gdyby nie wyniosło go w górę koło historii, pozwalając mu zacząć jakże efektowne nowe życie na drugim końcu świata.

Wszystkie dostępne nam informacje o jego dzieciństwie zawierają się w liście, który napisał wiele lat później, ogarnięty melancholią i tęsknotą za domem. Lekarz z czasów królowej Elżbiety stwierdziłby na podstawie tego listu nadmiar czarnej żółci i zalecił końską dawkę naparu z ostu „mózgowi ku pocieszeniu”. Adams wołał jednak leczyć się pisaniem do dawno utraczonego przyjaciela, którym w tych oto słowach przypominał, kto jego: „Z Kentu jestem rodem, z mieściny Gillinghamem zwanej, w dwie mile angielskie od Rochester, [a] jedną od Chatham położonej”. Dalej pisze, że od dwunastego roku życia „w Limehouse spędził Londynu zem się chował”.

Tutaj świadczy o tym, że jego autor niezbyt systematycznie kształcił się za młodu i beztrósco podchodził do życia. Posługuje się łubową, fonetyczną ortografią, miewa za to uroczo pikantne sformułowania. Ludzie epoki elżbietańskiej przestrzegali niewiele zasad, ilekroć zdarzało im się wodzić piórem po papierze. William Adams nie trzymał się żadnych reguł, toteż jego składnia i gramatyka są mocno ekscentryczne. Dość zacytować chociażby „dostany deszcz” i „na der spszyjajoncom pogode”, „pszyprajaj” i „sionitowe zemby”.

Tutaj zachował się żaden portret Adamsa — chyba że jakiś jego rysunek kryje się wśród twarzy Europejczyków, uwiecznionych na japońskich parawanów, zwanych *byōbu*. Lecz z listów przebija się chimeryczna osobowość, łącząca w sobie brawurę i niecierpliwość ze spokojnym urokiem, który w obcej, dalekiej krainie musiał wywierać czarujące wrażenie. W późniejszych latach Adams często zadziwiał swoich rodaków tym, że do wschodnich księząt i samurajów zwracał się równie szorstko jak do najostatniejszego stewarda. Podobnie zdumiewała ich zręczność, z jaką zrzucał starą skórę i dostosowywał się do cudzoziemskich obyczajów.

Musiał chyba być mężczyzną iście niedźwiedziej postury, twardym jak solony boczek, wręcz stworzonym do tego, aby wychodzić cało z wszelkich opresji. Tam gdzie inni słabli i umierali, powaleni skorbutem, zatrutymi strzałami lub „krwawą biegunką”, jemu dopisywało zdrowie. Jadał pingwiny na surowo, żeby utrzymać się przy życiu, a gdy wyssał z ich kości ostatnią kroplę szpiku, cierpliwie żuł stwardniałą od soli skórę, którą obszyte były wanty. Miał też jednak drugie, bardziej złożone oblicze. Potrafił zachowywać wyniosły dystans, kiedy indziej zaś bywał rozbijającą szczery. Inni Anglicy brali jego bezceremonialność za arogancję i zarzucali mu, że zadziera nosa. Nie rozumieli, że właśnie dzięki tej właściwości umiał nie tylko przetrwać, ale wręcz świetnie sobie radzić w najrozpaczliwszych sytuacjach.

Na szturmana i cieślę wyszkolił go sławny Nicholas Diggins. Adams miał szczęście, że trafił na tego akurat mistrza, był on bowiem znakomitym cieślą, budowniczym wielu statków dla szlachetnie urodzonych awanturników z Londynu. Nauczył młodego Williama, jak budować nieduże, mocne jednostki typu karaweli, które angielscy kapitanowie właśnie zaczęli darzyć szczególnym upodobaniem, jak konstruować i poszywać szkielet statku. Lekcje te miały kiedyś ocalić uczniowi życie.

Adamsa mniej jednak ciekawiło budowanie statków niż sama żegluga, spędzał więc sporo czasu na rzece lub na morzu. Kiedy w roku 1588 wyzwolił się z czeladnictwa, natychmiast dano mu pod komendę „Richarda Duffielda” — statek dostawczy, który zaopatrywał w żywność i amunicję flotę angielską, toczącą boje z hiszpańską armadą. Podczas gdy lord Howard i sir Francis Drake stawiali czoło wrogowi, Adams woził dostawy dla chorych i konających marynarzy.

Kilka miesięcy po rozgromieniu floty króla Filipa II ożenił się Adams z ukochaną Mary Hyn. Ślub odbył się w kościele świętego Dunstana w Stepney, nieco na wschód od londyńskiej twierdzy Tower. Pani Adams nieraz miała potem doskwierać przewlekła samotność, jej mąż wziął sobie bowiem morze za kochankę. Dostał posadę w Londyńskiej Kompanii do Handlu z Berberią i odtąd przez dziesięć lat kursował między Anglią a dzikim wybrzeżem Afryki Północnej. Była to niebezpieczna praca, ponieważ władzę w północnoafrykańskich portach sprawowali pozbawieni skrupułów namiestnicy tureccy lub po zbójcku drapieżni wielmoże, którzy do angielskich kupców odnosili się ze wzgardą. Kiedy jeden ze statków — „Jesús” — nieszczęśliwym trafem wpadł w ręce tureckich janczarów, załodze

nie okazano ani odrobiny litości. „Obszukai nas i zdarli nam i grzbiotów przyodziewek — napisał potem kapitan. — Włamali nam do kufrow i dobytek nasz ze szczętem złupili”. Kilku ludzi powieszono, resztę zaś „ogolono gwałtem”, skuto łańcuchem i zasadzono do galernicznych wiosel.

Adams uczył się fachu pilota w czasach wielkich przemian. Anglicy podróżnicy aż nazbyt długo bagatelizowali „zawodną naukę i daremną jeometrię”, woląc polegać na pradawnej wiedzy o morzu. Wiedzieli, że zapowiedzią sztormu jest „zgiełk lub burza wielki”, a rychłą katastrofę wyczytać można z głębokiej toni: „khorwiny harcują — napisał jeden z nich — [a mewy] znad morza ku stałemu lądowi odlatują”. Wiele powszechnie używanych podręczników i kompendiów żeglarskich tkwiło korzeniami w zamierzchłej przeszłości, odwołując się do samorodnej wiedzy żółka morskiego. Niczego więcej nie było zresztą trzeba podjąć napów po wodach przybrzeżnych, gdzie powodzenie zależało od dokładnej znajomości linii brzegowej, raf i pływów. Ale dalekomorskie wyprawy w nieznaną wymagały całkiem nowych umiejętności. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Drake, toteż salnie zachęcał początkujących szturmanów do studiowania matematycznych zasad nawigacji. Tego samego zdania był John Dee, który pomógł sir Rowlandowi i sir George’owi obmyślić plan podróży na Wschód. Twierdził mianowicie, że mistrz sztuki kartanckiej winien być znawcą „hydrografii, astronomii, astrologii i harmonii”, dodając, iż „podstawą i fundamentem wszystkiego... [jest] arytmetyka i jeometria”.

William Adams jako jeden z pierwszych adeptów zyskał dostęp do naukowo traktowanych arkanów nawigacji. Prekursorskie znaczenie wydanej w roku 1577 książki Williama Bourne’a *A Regiment for the Sea* („Instrukcja morska”) polegało na tym, że autor zawarł w niej rozmaite niebezpieczeństwa, czyhające na uczestników wypraw dalekomorskich. Wyjaśniał angielskim nawigatorom, jak określać szerokość geograficzną za pomocą laski Jakuba i astrolabium, a nawet zaprojektował skomplikowane *triquatrum*, które — jak twierdził — umożliwiało bardzo przybliżone odczytanie długości geograficznej. W tym samym mniej więcej okresie ukazał się genialny podręcznik Holendra Lucasa Waghenaera *Wapen der Zeevaert*, wydany następnie po angielsku jako *The Water’s Mirror* („Zwierzciadło żeglarska”), oraz wspaniała *Art of Navigation* („Sztuka nawigacji”), przetłumaczona z hiszpańskiego. Kapitan Martin Cortès, pouczał nawigatorów, jak ustalać położenie geograficzne podczas przeprawy przez niezbadane wody,

NA PEŁNYM MORZU

i wyciągnął pewien nader ważny wniosek. Stwierdził mianowicie, że znający astronomię i matematykę żeglarz może choćby i najczarniejszą nocą poprowadzić statek aż za horyzont „dzięki niezawodnej znajomości swej sztuki... wiedząc, jaką zdąży drogą”.

W trakcie jednego z rejsów handlowych ku berberyjskim brzegom dotarła do uszu Adamsa pogłoska, jakoby w Rotterdamie po tajemnie planowano wysłanie wielkiej floty na słynne Wyspy Korzenne w Indiach Wschodnich. Armatorzy nabyli już pięć statków, teraz zaś kompletowano załogę, wyluskując bynajmniej do tego się niekwapiących kandydatów z miejscowych tawern i lochów. Organizatorzy ekspedycji poszukiwali jeszcze dobrego nawigatora, który bez szkody przeprowadziłby ich statki przez Atlantyk i Pacyfik. Ryzyko było wielkie, ale spodziewane zyski – ogromne. Gdyby plan się powiódł, w drodze powrotnej nawigator dowodziłby statkiem wyladowanym przyprawami i złotem.

Adams nie wahał się ani chwili. Miał trzydzieści cztery lata i zaczynało go już nużyć wożenie angielskiej wełny do Afryki Północnej. Wiedział, że pomimo różnicy narodowości może pójść na służbę do Holendrów, wielu Anglików zaciągało się bowiem na holenderskie statki. Chyba też nie przejmował się zbytnio, że na dłuższy czas zniknie z życia żony i córki. Jak wielu innych awanturników z czasów królowej Elżbiety, koniecznie chciał skorzystać z okazji, jakie nastroczała epoka, podpisał więc kontrakt, zobowiązując się wziąć udział w podróży, nęcącej obietnicą bogatych łupów.

Wiosną 1598 roku Adams spakował kufer i wszedł na pokład statku, płynącego do Rotterdamu. Nie było czasu na zbyt długie pożegnania: dzielnica Limehouse szybko skryła się za zakrętem rzeki. Najpierw znikły w oddali nabrzeża, a potem wieża świętego Dunstana zsunęła się za horyzont. Niebawem oczom podróżnych ukazał się nowy widok: otwarty przestwór morza. Naza jutrz o zmierzchu niewielki statek, którym płynął Adams, zbliżał się już do płaskich brzegów Holandii.

WILLIAM Adams nie popłynął do Rotterdamu sam. Wraz z nim kontrakt podpisał jego brat Thomas i jedenastu innych poszukiwaczy przygód. Spośród nich Timothy Shotten miał już za sobą jedną podróż dookoła świata, w roku 1586 odbył bowiem rejs u boku Thomasa Cavendisha. Jego obecność dodawała animuszu niewielkiej grupce, zmierzającej do Holandii, ponieważ dzielił się z towarzyszami obfitym zasobem wiadomości o dalekich krainach Wschodu.

Holendrzy zyczliwie powitali Adamsa oraz pozostałych Anglików i chętnie zgodzili się włączyć ich do załogi. Gdy jednak przybyłszy spytali o cel wyprawy, armatorzy nabrali wody w usta. W Rotterdamie aż huczało od plotek, jakoby organizatorzy ekspedycji w istocie niezbyt interesowali się handlem ze Wschodem, a w przygotowaniach mówili tylko dla zachowania pozorów. Mieli rzekomo polecieć kapitanom swojej floty naśladowanie Drake'a, który z takim powodzeniem plądrował hiszpańskie posiadłości w Ameryce Południowej i opróżniał ze złota tamtejsze skarbcie.

Zgromadzona flota prezentowała się okazale, stojąc na kotwicy w Loerresche Gap – głębokim kanale, łączącym Rotterdam z Morzem Północnym. W sumie tworzyło ją pięć statków – „Hoop”, „Geloof”, „Liefde”, „Trouw” i „Blijde Boedschop” – których nazwy w późniejszym (niezbyt ścisłym) przekładzie angielskiego kronikarza ekspedycji brzmiały: „Nadzieja”, „Wiara”, „Miłość”, „Wierność” i „Wesoły Zwiastun”. Dobrano je w sposób wybitnie chybiony: nadziei i wiary było jak na lekarstwo, miłości zaś trochę, a wierność okazała się zawodna. Kiedy niedobitki załogi „Wesołego Zwiastuna” wróciły w końcu do kraju, ich opowieści bynajmniej nie wywoływały salw śmiechu ani chichotów. Wręcz przeciwnie: słuchacze lali łzy i wzdychali.

Admiralem został Jacques Mahu, bystry młody kawaler o wyjątkowo uprzejmym obejściu. Polubił on Adamsa i zaproponował mu stanowisko nawigatora na „Hoop” – swoim statku flago-



Pięć statków holenderskiej floty wprost jężyło się od oręża. Powszechnie podejrzewano, że wyprawa ma w istocie łupieżczy cel.

wym. Młodszego z braci Adamsów umieszczono na „Trouw”, a resztę Anglików rozlokowano po pozostałych statkach.

Adams zaokrętował się pod koniec czerwca 1598 roku. Wziął ze sobą między innymi ukochaną mapę kuli ziemskiej, mosiężny globus, astrolabium i kompas. Prócz tych przyborów jedynie znajomość nocnego nieba miała mu być pomocą w pilotowaniu „Nadziei” podczas rejsu na drugi koniec świata.

Szczęśliwie się złożyło, że Timothy Shotten mógł się z nim podzielić naocznym opisem obu znanych wówczas dróg na Wschód. Roily się one od niebezpieczeństw. Podróż szlakiem zachodnim, okrążającym południowy kraniec Ameryki, wymagała długiej przeprawy przez bezludny przestwór Oceanu Spokojnego. Szlak wschodni, biegnący wokół najdalej na południe wysuniętego przylądka Afryki, był niewiele bardziej zachęcający, ponieważ słynął z nieobliczalnej pogody. Kiedy siedem lat wcześniej spróbował nim popłynąć angielski podróżnik James Lancaster, jego statek sponiewierały huragany i ugodził piorun, co miało dla załogi zgubne skutki. „Kilku oślepiło, jednym posiniaczyło nogi i ręce, innym zasię piersi odbiło, tak że dwa dni po owym wypadku wciąż krwią plwali”.

Organizatorzy ekspedycji wybrali pierwszy wariant, dając w ten sposób świeży żer domniemaniom, jakoby istotnie pragnęli zagarnąć hiszpańskie skarby. Lecz dotarcie do tych skarbów miało się okazać niełatwe. Shotten w roku 1586 przekonał się o tym na własnej skórze. Jego ludzie musieli sprostać niewyobrażalnym trudom, gdy wpłynęli na morza południowe, a najgorsze niebezpieczeństwa czyhały w Cieśninie Magellana, łączącej Atlantyk

z Pacyfikiem. Dostali się tam „w szpony przeciwnych wiatrów i pogody tak jadowitej a plugawej, jaką jeno imaginować sobie można. Wobec straszliwych ulew i zapalczywej wichury... najciężej spośród naszych łańcuchów i kotwic na azard wystawionymi były”. Uzupelnienie zapasów żywności okazało się w tej jałowej krainie prawie niemożliwe. Gdy marynarze wyskoczyli na ląd, żeby poszukać jadalnych roślin, znaleźli się oko w oko „z dzikimi wielką hurmą”. Szybko stało się jasne, że barbarzyńcy patrzą na przybyszów z wyraźnym apetytem. „Ludożercze to było plemię — czytamy w relacji z owej podróży — surowym mięsem i ludzkiej inszym plugactwem się karmiące”.

Prymitywne warunki, w jakich żyły myśliwsko-zbieracze plemiona z Patagonii, wstrząsnęły Shottenem i jego kompanią. Tamtejsi krajowcy walczyli kamiennymi toporami i jadalni na wpół gorste ryby, „dzicy niczym bestyje dziedziczące”. Zdarzały się wśród nich wielkoludy o koślawych kościach i pokraki o zniekształconych kończynach i stopach. „Zmierzyliśmy ślad stopy jednego z nich — napisał pewien podróżnik — i była ona długa na cali osiemnaście”.

Jakie to dziwy czekały w odległej przyszłości na Adamsa i jego ludzi, a droga z Rotterdamu do Patagonii pełna była niebezpieczeństw. Rankiem dwudziestego czwartego czerwca holenderska flota popłynęła na zachód kanałem La Manche. „Wyruszyliśmy z sześciu statków... — lakonicznie pisze Adams — i w lipca dobiegając brzegi Anglijeśmy z oczu stracili”. Wiatr sprzyjał, toteż statki szybko przemierzały Atlantyk, kierując się na południe ku Zatoce Baskajskiej.

Wiceadmirał Simon de Cordes zwerbował załogę, nęcąc ludzi obietnicą, że „wszelakiego prowiantu mieć będą pod dostatkiem”, i dotrzymał słowa. Jego kapitanowie szafowali zapasami z tak niespotykaną hojnością, że majtkowie na widok ogromnych porcji wprost nie wierzyli własnemu szczęściu. Dawano im „sucharów tyle... iż zjeść wszystkich naraz nie mogąc, kufrы i baryki nimi napelniali”. U wybrzeży Afryki Północnej de Cordes zdecydował sobie jednak, że w pierwszych tygodniach rejsu był przesadnie szczodry. Aby naprawić ten błąd, wprowadził „regulamin chlebotny”, czyli ograniczył racje żywnościowe, zamierzając stanąć je powiększyć, gdy uda się uzupełnić zapasy. Mimo to widać było gołym okiem, że te, które wiozą ze sobą, są mocno słabostarczające. W połowie sierpnia — niecałe dwa miesiące od rozpoczęcia podróży — przydziały żywności drastycznie obniżyły, doprowadzając je do niezbędnego minimum. Marynarze

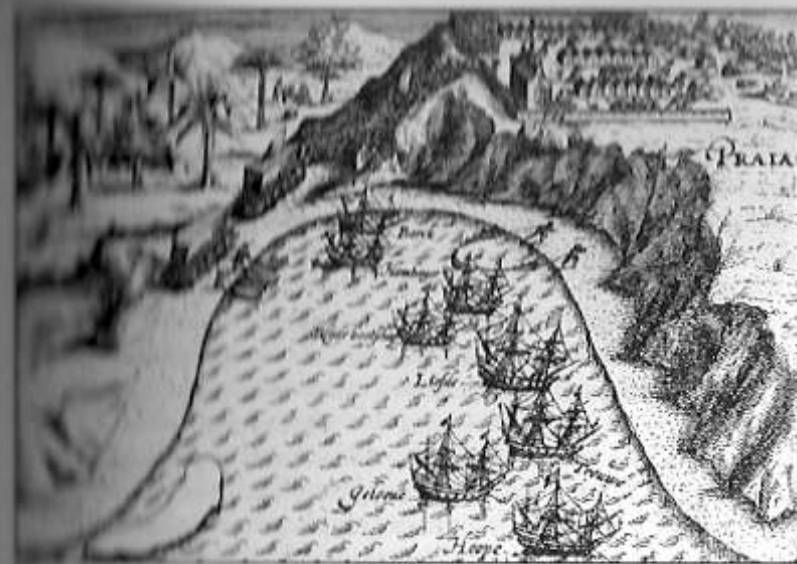
mieli odtąd dostawać zaledwie ćwierć kilo chleba dziennie, trzy kubki wina i nieco gotowanej ryby, jeżeli sposobna pogoda pozwoli rozpalic ogień. Była to uboga dieta jak na potrzeby wygłodniałych ludzi.

Adams, którego tymczasem przeniesiono na „Liefde”, zdawał sobie sprawę, że nie sposób osiągnąć Cieśniny Magellana bez postoju u wybrzeży Afryki dla zaopatrzenia się w wodę, owoce i sól. Wiedział też, że z postojem takim wiąże się ogromne ryzyko, bo podczas gromadzenia prowiantu niełatwo będzie ominąć nadbrzeżne forty Portugalczyków. Ale potrzeba zdobycia świeżych owoców i czystej wody stawala się coraz pilniejsza, gdyż tropikalne słońce bezlitośnie prażyło wygłodzoną i odwodnioną załogę. „Wielu naszych ludzi zachorowało od niezdrowego powietrza” – napisał Adams, którego Shotten zawczasu uprzedził o niebezpieczeństwach wód równikowych. Szkorbut i dyzenteria – budząca przerażenie „krwawa biegunka” – groziły śmiercią osłabłym z niedożywienia ludziom.

Wiele statków płynących na południe zatrzymywało się na Wyspach Zielonego Przylądka. Była to ostatnia okazja, żeby odnowić zapasy przed przeprawą przez południowy Atlantyk. Lecz choć ten „zielenią kwitnący” archipelag obfitował w dzikie gaje cytrynowe i plantacje pomarańczy, cieszył się zarazem złą sławą z racji cuchnącego zaduchu, który stale wisiał tam w powietrzu. Sir Richard Hawkins, handlarz niewolników, twierdził, że „mało gdzie na świecie klimat równie jest niezdrowy jako na wyspach owych... dwakroć się tam zatrzymywałem i za każdym razem kosztowało mię to połowę moich ludzi, zmarłych od febr i biegunek wszelakich; jedni przede śmiercią dygotali, drugich paliła gorączka, a jeszcze inni dygotali w gorączce, cierpiąc od obu przypadłości naraz”.

Na domiar złego wyspy te mieli we władaniu Portugalczycy, nieskorzy gościnnie powitać ludzi, którzy jawili im się jako pospolicci *piratas*, i to co gorsza protestanckiego wyznania. Kiedy Jacques Mahu wysłał na brzeg poselstwo, zawiadamiając o swoich pokojowych zamiarach, Portugalczycy zwięzłe odpowiedzieli, że „słowom przybyłej floty nie dają wiary”. Odmówili też dostarczenia wody i żywności, póki gubernator, bawiący akurat w podróży, nie wyda stosownego rozkazu.

Rozjuszony kapitan van Beuningen z „Liefde” zaproponował przypuszczenie bezpardonowego szturm na wyspę Praja. Pozostali kapitanowie przyklasnęli śmiało pomysłowi i wysłali stu pięćdziesięciu zbrojnych, rozkazując im wspiąć się na urwisty



Flota „Liefde” zajęła fort na wyspie Praja (prawy górny róg), oddawszy Holendrom jedynie cztery dziesięć wystrzałów. Holendrom brakowało jednak żywności i wody, szybko więc zrozumieli, że odnieśli czcze zwycięstwo.

urwisty i zdobyć warownię. „Pomaszerowali w stronę fortu... pod dzwonią rozwianymi chorągwiami”. Była to niebezpieczna operacja, ponieważ bastion mieścił się na wysokiej skale, prowadziła zaś do niego droga „tak stroma, że sześciu śmiałków łącznie bronili się tam mogło przed tysiącem”. Bitwa dobiegła jednak końca, ledwie oddano może z dziesięć strzałów. Portugalska załoga uciekła, a ludzie van Beuningena triumfalnie wkroczyli do fortu. Zwycięscy Holendrzy „ławami, skrzyniami, krzesłami i drewnianymi belkami wspaniale zabarykadowali”. Ufni, że panują nad wszystkim, co leży w ich polu widzenia, zaczęli obmyślać dalsze posunięcia.

W wolna jednak pojęli, że zajęcie fortu nie było wcale takim znowu dobrym pomysłem. Oto bowiem tkwili na szczycie bezładnej góry, a do upragnionego prowiantu nie zdołali zbliżyć się ani o krok. Udało im się jedynie wzbudzić w Portugalczykach jeszcze większą wrogość. Van Beuningen rozumiał, że odniósł czcze zwycięstwo i ma tylko jedno wyjście: musi opuścić dopiero zdobytą pozycję. Jego ludzie, spotulniali i zawstydzeni niepomalu, rozebrali świeżo wzniesione barykady i zdjęli z lawet armatki. Jak dowiadujemy się z dziennika jednego z uczestników ekspedycji, „wyrezonowali, że lepiej kapitulacją ogłosić, niż po dobroci uzyskać to, czego im potrzeba”.

Portugalski gubernator na wieść o postępowaniu Holendrów wpadł w furję i skarcił intruzów surowymi słowy, oświadczając, że „gdyby przyjaźnie sobie poczynali, łącznie mogliby dostać, o co proszą”. Porwany gniewem, kazał im natychmiast opuścić Wyspy Zielonego Przylądka i wyprowadził na brzeg całą swoją artylerię, szykując się do odparcia ewentualnego ataku. Holendrzy nader niechętnie pogodzili się z przymusową sytuacją i ruszyli w dalszy rejs, mając zaledwie minimalne zapasy żywności i wody.

Taki obrót zdarzeń rozwścieczył Adamsa. Nawigator nie miał cienia wątpliwości, kto ponosi winę za cały ten niefortunny epizod. „Zmitrężyliśmy na wyspach owych dni dwadzieścia i cztery — napisał później. — Zmitrężyliśmy aż tyle czasu, ponieważ jeden z kapitanów floty wpoił naszemu jenerałowi przekonanie, jakobyśmy mieli znaleźć tam stawy wielką obfitość, jako to kóz i inszego zaprowiantowania”. Fakt, że nie udało się uzupełnić zapasów żywności, był dla schorowanych i wygłodzonych podróżników ciężkim ciosem, wkrótce zaś miało ich dotknąć jeszcze boleśniejsze nieszczęście. W dniu dwudziestego drugiego września na „Hoop” wciągnięto na maszt flagę, wzywającą wszystkich kapitanów do niezwłocznego stawienia. Czekala ich zaiste ponura nowina. Flota straciła admirała: dowodzący wyprawą Jacques Mahu zmarł na galopującą febrę. Wiadomość ta zdruzgotala zarówno oficerów, jak i zwykłych marynarzy, Mahu cieszył się bowiem powszechną sympatią. „Był to człek łagodnego, uroczego usposobienia — napisał jeden z podwładnych. — Uczciwy, ostrożny, sumienny i wobec ludzi morza troskliwy wielce”. Sprawiono mu uroczysty pogrzeb. „Ciało złożono w trumnie do połowy kamieniami napełnionej i kirem przykryto, zaczem kapitanowie ponieśli trumnę z rufy na dziób i przy smętnych dźwiękach werbli oraz trąb tudzież dud zawodzeniu do wody ją spuścili”. Następcą został — zawczasu wyznaczony w zapieczętowanych dokumentach — wiceadmiral Simon de Cordes.

Żalсна sytuacja floty mocno niepokoiła Adamsa. Nie było mowy o zawróceniu, mieliby wtedy bowiem przeciwko sobie zarówno prądy morskie, jak i wiatry. Ale z pustką w ładowniach i w brzuchach podróżować w nieznaną znaczyło prosić się o katastrofę. Przede wszystkim musieli więc zdobyć żywność, ponieważ zaś wszystkie statki były skorbutem „rażone i zarażone”, postawiono żagle „z tą myślą, żeby dać ludziom wzmoc się na siłach i nabrać wody tudzież innych niezbędnych zapasów na wyspie Anno-Bueno”.

Była to ryzykowna decyzja, ale w tych okolicznościach i tak przeliczeniowo najlepsza. Górzysta, lecz żywna wyspa Anno-Bueno leżała u brzegów Gwiney nieopodal równika. Droge do niej i głęboka wskazywał dymiący wulkan, który wznosił się nad tym kawałkiem ziemi, porośłym tropikalną zielenią. Najbezpieczniejszą choć zarazem najdłuższą szlak prowadził wzdłuż wybrzeża Afryki: należało dopłynąć do przylądka Lopez, odległego od tej wulkanicznej wysepki zaledwie o kilka dni żeglugi. Za wyborem trasy przybrzeżnej przemawialo to, że można by po drodze napełnić beczki słodką wodą, lecz była i druga strona medalu: tamtejszy ląd zamieszkiwały podobno wojownicze plemiona. Kiedy statki płynął tamtędy z Cavendishem, krajowcy niespodziewanie atakowali statek. Jeden z marynarzy zraniony został strzałą w udo i onę wyciągając, drzewce ułamał, grot zaś w ciebie wbił”. Był to zgubny błąd, ponieważ „przez noc trucizna wbiła się tak głęboko, że ranny spuchł niespotykane, brzuch stał jako i części wstydlive czarne miał jak inkaust, a rankiem ze strasem pomarł”.

Tym razem lądowanie okazało się niemożliwe. Ilekroć hollenderska flota zbliżała się do brzegu, napotykała gwałtowny przeciwny i niebezpieczny przybój, musiała więc płynąć aż do przylądka Lopez. Dopiero tam udało się zakotwiczyć i „na ląd przetransportować chorych naszych”. Podróżnicy znaleźli się w samym sercu Afryki Równikowej. Brzeg porastała splątana gęstwa zieleń: z olbrzymich laurów i mirtów, z kwitnących akacji i monstrualnych, tropikalnych paproci spływały do wody ciepłej i gęstej jak miazga jaskrawozielone wąsy. Statki tonęły w odorze gnijącej roślinności, a ludzie narzekali, że „nękają ich utrapione, duszące upały, z których zaś pestylencye rozliczne i dech morowy”. Co gorsza, był to szczyt pory deszczowej, toteż cała dżungla parowała gorącą wilgocią. Tylko nieliczni spośród załogi widzieli przedtem jakbyśby odrobinę podobnego.

Tedy jednak dotarli do przylądka Lopez, zapanował ostrożnie wstrząsliwy nastrój, wiadomo bowiem było, że okolicę zamieszkuje przyjaźnie nastawione szczepy. Kiedy angielski podróżnik William Towerson odwiedził owe strony, urzekli go tamtejsi krajowcy — a zwłaszcza ich lubieżne niewiasty, których widok po wielu miesiącach spędzonych na morzu był prawdziwą mową dla oka. „Mają one piersi długości zaiste niezwykłej — napisał. Biusty te osiągały podobno takie rozmiary, że — według Towersona — „niektóra na ziem je kładzie, iżby samej się wpuścić”. Ku wielkiej radości wilków morskich z jego załogi

kobiety te, „w rozpuście a nieczystości się lubując”, chętnie zwa-
biały marynarzy do swoich strzechą krytych chat. Anglikom
było w to graj, a jeszcze bardziej Holendrom, którzy na własnej
skórze przekonali się, że owe tubylcze dziewoje „cielesne obcu-
wanie z Niderlandczykiem poczytują sobie za znak pomyślności
losu i chępią się potem w swoim gronie takową konkietą”.

Tamtejszych mężczyzn natura obdarzyła jeszcze szczodra-
niżeli kobiety. Z wielką też satysfakcją wystawiali na widok pu-
bliczny owo wyposażenie. „Mają oni przyrodzenie wielkie — na-
pisał holenderski podróżnik Pieter de Marees — i arcy je sobie ce-
nią”. Tubylcy często urządzali pijatyki, po których stawali się
„bardzo rozwiązli”, słono jednak za to płacili. Wielu toczyły nio-
bki, żyjące „w jeich przyrodzeniu, a co gorsza i w sakwie [jadrach]”.
Choć byli to „dzicy i barbarzyńscy mężowie”, wykazywali nie-
zwykłą wrażliwość w kwestii puszczania wiatrów. „Wielce uwa-
żają, iżby czasem nie pierdnać w czyjej przytomności — pisze de
Marees — i bardzo ich zdumiewa ta nasza niderlandzka moda, co
pierdzieć pozwala, ile dusza zapagnie, sami bowiem nie ścierpią,
iżby kto przy nich pierdział, poczytują to bowiem za wstyd wiel-
ki i zniewagę sobie wyrządzoną”.

Wiceadmirał Simon de Cordes wiedział, że najpilniejszym za-
daniem jest zdobycie żywności i wody. Wysłał więc na brzeg ka-
pitana Sebalda de Weert, dowódcę „Geloof”, żeby nawiązał sto-
sunki z miejscowym wodzem. Kapitan bynajmniej nie zachwyił
się tym, co zobaczył w pobliskiej wiosce. Kacyk — malutki czło-
wieczek — siedział na „tronie”, przypominającym szewski zydeł
„ledwie na piendzi dwie wysoki”. Wokół stóp owinięte miał ja-
gnięce skórki, a na grzbiecie „strój fiołkowej barwy, złotą koron-
ką zdobiony, nosił się więc niby wioślarz jaki. Nie wdziawał
wszelako koszuli, butów ni pończoch, jeno głowę okrywał chus-
tą po części barwioną, a wokół szyi owijał paciorków szklanych
wiele”. Prócz chusty miał jeszcze jedno nakrycie głowy, wybitnie
ekscentryczne — stożkowatą czapkę błazeńską — a twarz pu-
drował na białą. Jego dworzanie najwidoczniej pragnęli mu do-
równać, malowali się bowiem jaskrawą czerwienią i nosili rów-
nie dziwaczne czapki „zdobne kogucimi pióry”.

Sebald de Weert nabral o kacyku jeszcze gorszego mniema-
nia, kiedy zajrzał do jego lepianki i pociągnął nosem. „Pałac —
napisał z pogardą — nie umywał się choćby do zwykłej stajni”.
Kapitan de Weert postanowił urządzić mały popis, żeby zaimpo-
nować wodzowi. Kazał trębaczom zadać w instrumenty, a gdy
wybrzmiały fanfary i na polanie znowu zapadła cisza, wyjaśnił,

że przyszył „w poszukiwaniu prowiantu dla swoich ludzi”,
iżby skłnął głową i mruklwym tonem rzucił żonom jakieś po-
życie. Kobiety czym prędzej pobiegły do garnków i zaczęły się
przy nich krzątać. Po dłuższym czasie wróciły, niosąc gliniane
naczynia. Kapitan de Weert spodziewał się, że on i jego ludzie
staną poczęstowani mięsem i świeżymi owocami, niecierpli-
wie czekał więc chwili, kiedy wreszcie będzie mógł się uraczyć.
Jego nadzieje szybko jednak się rozwiały. W jednym garnku po-
siedziała potrawkę z wędzonego mięsa hipopotama, która Holend-
rom ani trochę nie smakowała, a w pozostałych „batatów pie-
czonych nieco”.

Wszystko było to zresztą ostatnie rozczarowanie. Wódz spodziewał
się, że Holendrzy odwzajemnią mu się równie życzliwym ge-
stem, zaczął więc domagać się, aby teraz z kolei dostarczono je-
dzienne ze statku. Kapitan de Weert z ociąganiem polecił swoim
ludziom przynieść to i owo z zapasów, „iżby kacyk nie szczekał
niecierpliwie”. Między innymi pojawiła się butelka hiszpańskiego
wina, które wódz wypił jednym haustem. „Wino hiszpańskie wy-
stawiwszy, Gwinejczyk ze wszystkim panowania nad sobą się wy-
stąpił, saczem słudzy wynieśli go, aby spoczynku zażył”. Kacyk



Wódz z przylądka Lopez siedział na tronie „ledwie na piendzi dwie wysoki”,
a na głowie miał dziwaczny stożkowaty kapelus, podobny do błazeńskiej czapki.
Holendrzy zadali w trąby (po prawej), żeby zrobić na nim wrażenie.

zapadł w głęboki sen, a załódze pozostało jedynie wsłuchiwać się w burczenie we własnych brzuchach.

Kapitanowie holenderskiej floty zrozumieli, że na przylądku Lopez nie uda im się zgromadzić wystarczająco obfitych zapasów. Coraz bardziej też niepokoił ich niezdrowy, tropikalny klimat. „Wielu zdrowych zachorowało, ile że powietrze w owym kraju nader było wraże”. Szesnastu ludzi wyzionęło ducha. Pochowano ich w afrykańskiej dżungli. Sam de Weert zapadł na „okrutną febrę”. Postanowił ruszyć dalej w stronę Annabon, lecz gdy tylko tam wylądowali, natychmiast się okazało, że wyspa roi się od portugalskich muszkieterów. Co gorsza, tamtejsze powietrze było „jeszcze plugawsze niżli gwineyskie, [toteż] pośród żeglażów z dnia na dzień coraz bardziej szerzyły się horoby”. Z nocnej wyprawy łupieżczej przynieśli wprawdzie skromną zdobycz – suchary, parę serów i kilka butelek wina – było to jednak stanowczo za mało, żeby nakarmić setki wygłodniałych ludzi. Wielu z nich nękała ostra dyzenteria. Febra także zgarniała obfite żniwo. Zmarł na nią między innymi Thomas Spring, „młodzian angielski, obiecujący wielce”.

Drugiego stycznia 1599 roku flota znowu podniosła kotwice i ruszyła w kierunku Ameryki Południowej. Modlono się, żeby statki wytrzymały tę trudną przeprawę. Tropikalne wody z okolic Afryki wyraźnie osłabiły ich konstrukcję, gdy więc wkrótce po odbiciu od Annabon wziął flotę w obroty gwałtowny wicher, spowodował poważne uszkodzenia. „Geloof” straciła grotmaszt, który pękł na trzy części, przy czym okazało się, że drewno wewnątrz jest miękkie jak gąbka i podziurawione przez robaki jak rzeszoto. Uszkodzony statek wzięła na hol „Liefde”, a tymczasem cięśle ustawili nowy maszt. Szkoła było zresztą zachodu, gdyż wiatr niebawem zupełnie ustał i zaległa cisza, flota wpłynęła bowiem właśnie w bezwietrzną strefę południowego Atlantyku, w której „statek tkwić może pośród bezruchu wiatrów i wód nawet i sześć miesięcy... [ponieważ] powietrze ani drgnie”. Wobec groźby, że przed dopłynięciem do Ameryki Południowej trzeba będzie spędzić na morzu jeszcze wiele tygodni, wiceadmirał Simon de Cordes podjął jedyną możliwą w tej sytuacji decyzję: po raz kolejny obciął i tak już skromne przydziały żywności. „Jenerał nasz rozkazał – zanotował Adams – aby człek każdy na dni cztery dostawał jedynie chleba funt, czyli ledwie ćwierć funta dziennie, z równie skompą racją wina i wody”. Pewien marynarz z „Liefde” tak zgłodniał, że zakradł się do kambuza i ściągnął trochę chleba. Natychmiast wymierzo-

no mu bezlitosną karę: powieszono go dla przykładu, a ciało inżyniera przestrodze rzucono do morza.

Adams wiedział, że w wyniku ograniczenia przydziałów żywności szybko wzrosnie liczba zgonów i zachorowań. „Z osłabienia, skomposę strawy mającego za przyczynę – pisze – ludzie nasi popadli w niemoc taką i głodową chorobę, że poczęli żądać skury cielence, którymi liny obszyte były”. Przesycona skóra okazała się fatalnym pokarmem dla chorych ludzi, toteż ludzie coraz bardziej jął dawać się we znaki skorbut.

Straszliwa ta choroba była plagą wszystkich dalekomorskich statków, a jej objawy każdy z łatwością rozpoznawał. „Niesie ona z sobą wielkie pragnienie napitku – pisał sir Richard Hawkins – i powoduje ogólną nabrzmiałość ciała części wszelkich, zwłaszcza nosa i dziąseł, a nieradko również i zębów wypadanie”. Marynarze dostali ziemistej, plamistej cery. Zaczęło im też cuchnąć z ust. W miarę jak ich stan się pogarszał, pojawiły się trudności z oddychaniem, chroniczne zmęczenie i depresja. Objawami trudnego stadium choroby były sińce, opuchlizna i dotkliwy ból. Chorobę ogarniała serność, cierpieli z powodu niewydolności nerek i ostrej biegunki. Podczas podróży statkiem ta ostatnia przyrostność była szczególnie dokuczliwa, każda wizyta w latrynie wymagała bowiem ryzykownego balansowania na rufie.

W kwestii przyczyn skorbutu panowały rozbieżne opinie. Jedni składają go na karb nieróbstwa – pisał Hawkins – a znomi drudzy winią zań pychę”. Jeszcze inni twierdzili, że powodem tej choroby jest panujący na statkach brud, toteż „najłatwiej zapobiedz jej można, utrzymując statek w czystości, raz po raz przyskakując go octem lub smołą palącą”. Żaden z uczestników holenderskiej wyprawy nie wiedział, że już od siedmiu lat znane jest lekarstwo na skorbut, odkrył je zaś angielski podróżnik, James Lancaster. Zabrał mianowicie ze sobą w rejs „soku cytrynowego ileżak zapasik niemały i póki onże się nie wyczerpał, co rano ów sok zadawał każdemu z załogi, odmierzając na głowę łyżek trzy”. Skorbut był wyraźnie widoczny: „Tym oto sposobem jenerał wielu spośród swoich ludzi uleczył, resztę zaś ocalił”. Lek ten szybko, niestety, poszedł w zapomnienie, skorbut pozostawał więc plagą marynarzy jeszcze przez sto sześćdziesiąt jeden lat.

Kiedy wiatr wreszcie się wzmógł, statki zaczęły nabierać prędkości. Z tropików wpłynęły w mroźną strefę południowoatlantycką zimy, toteż pogoda radykalnie się zmieniła. Raptowny spadek temperatury spowodował kilka spektakularnych zgonów. Jeden z Anglików płynących na „Trouw” jadł właśnie kromkę chleba,

gdy nagle zeszytywniały mu wszystkie kończyny. Zdumiony tym widokiem lekarz floty Barent Potgeiter napisał: „Człek ten siedział na ławce... gdy wtem runął do tyłu, z wyglądu niezdrów srodze, tocząc pianę z ust. Nie odezwał się już ni słowem i w kilka godzin pomarł”. Dwa dni później inny członek załogi, niejaki Jonghman von Utrecht, uległ podobnemu atakowi: „Wrzeszczał, tocząc z ust pianę, drapiąc, wierzgając i prąc”. Zniesiono go do kubryku i pozbawiono jadła oraz wody. Zaczął sam do siebie mamrotać, dostał omamów i rozwolnienia. Śmierć miał straszną: „Tak już ze wszystkim odszedł od zmysłów, że nie poradził sam się oczyścić ani zwyczajnie wypróżnić, że zaś ziąb wielki panował, wilgoć, którą był powleczon, zamarzła, toteż zdrentwiał cały i nóg oboje trza mu było urzezać”. Zmarł kilka dni po tej bolesnej operacji.

Pod koniec marca podróżnicy natychmiast po przebudzeniu ujrzeli widok, którego nigdy nie mieli zapomnieć. „Ziemięśmy zoczyli — pisze Adams — na szerokości pięćdziesięciu stopni, po dwóch albo i trzech dniach zmagania z wiatry przeciwnemu”. Dotarli do brzegów dzisiejszej Argentyny. Marynarze chcieli niezwłocznie rzucić kotwice, ale silny wiatr z północy wydymał żagle, toteż kapitanowie postanowili płynąć dalej, z nadzieją, że w Cieśninie Magellana będą stosunkowo bezpieczni. Była to mądra decyzja, wpłynęli bowiem do cieśniny w ostatniej chwili. „Natychmiast — odnotował Adams — nastąpiła zima, a wraz z nią śniegu wielka obfitość”.

Cieśnina Magellana stanowiła dla nawigatorów z czasów elzbietańskich straszliwą przeszkodę. Roilo się tam od ukrytych płycizn i podwodnych skał, a przesmyk miejscami tak się zwężał, że trzeba było manewrować z największą ostrożnością. Monumentalny krajobraz napawał ludzi Drake'a nabożnym lękiem: „Góry wyniosłymi szczytami i iglicami pną się ku niebu — napisał jeden z nich — taką wysokość osiągając, że pomiędzy cuda świata tego śmiało liczyć je można; spowite zaś są, zda się, mnogimi sferami zakrzepłych chmur i zamarzniętych meteorów”. Siły natury wywołały wśród statków Drake'a wielkie zamieszanie. Jego eskadry „srodze poturbowały wiatry porywiste i nieznośne morz zagniewanych poruszenia, ludzi zaś trwożył widok szczybatych skał”.

Adams miał jako nawigator bezpiecznie przeprowadzić flotę tym ryzykownym szlakiem. Pragnął co rychlej wydostać się z cieśniny, bo zima nadciągała z niepokojącą szybkością i wiadomo było, że wodę wkrótce zetnie mróz. Lecz widok tysięcy pingwinów, „które to ptastwo większe jest od kaczek”, okazał się dla zgłodniałych marynarzy nieodpartą pokusą, rzucono zatem ko-

łotki. Ludzie wyszli na brzeg i w kilka minut zatkukli pałkami ponad tysiąc czterysta nieszczęsnych ptaków.

Adams nie bez racji obawiał się zmiany pogody, kilka następnych dni przyniosło bowiem „śniegu i lodu tyle, że aż dziw brał”. Jeden statek postradał kotwicę, gdy podczas sztormu urwał się kotwice; wkrótce potem nadciągnęła gęsta mgła, zmuszając flotę do ograniczenia prędkości. Kiedy się rozwiała, wiatr zmienił kierunku: wiał teraz z południa, syjąc gradem i śniegiem. De Weert zamknął się w kajucie i zanotował w dzienniku, że wraz ze swoim ludźmi wpadł w pułapkę „wiekuistej sztormowej zimy... i zimą ten nieustannie wynajduje im coraz to nowe zatrudnienia; zabrana jest to zaś praca, gdy flota ani o piędź do zamierzonego celu się nie zbliża”. Niebawem tak zmarł, że nie mógł już dalej prowadzić dziennika, wyliczał więc tylko rozmaite powody do narzekania: „deszcz, wiatr, śnieg, grad, głód, potracone kotwice, uszkodzone statki i takielunek, choroby, zgony, dzicy, niedostatek rzeczy potrzebnych, za to potrzeb aż nadto — wszystko sprzyjało się, żeby dopełnić niedoli naszej”.

Adams nie tracił wiary, że zdołałby przeprowadzić flotę wśród lodu i szarów lodu. „Wielekroć w ciągu owej zimy wiatr sprzyjał mojemu zamysłom przebycia cieśniny” — pisze. Ale kilka statków



„Woda i lód” kończyła się żywność, gdy wtem majątek na oku dostrzegł na brzegu z wysypkiem w Cieśninie Magellana pingwiny. Marynarze w parę minut zatkukli ponad tysiąc czterysta ptaków.

potracilo kotwice, a jedyna dostępna mapa dna morskiego gwałtownie przeszyła wielką niedokładnością, uznano więc, że płynąć dalej w stronę Pacyfiku byłoby zbyt niebezpiecznie.

Wkrótce zaczęło brakować jedzenia i drewna opałowego. Życie stawało się udręką, „strogi mróz dodawał bowiem ludziom apetytu, z wielkim zapasów uszczerbkiem”. Simon de Cordes kazał rozdać załogom sześć ton suszonej fasoli, nie wystarczyło to jednak, żeby na dłużej odegnać głód. Niektórzy marynarze próbowali czerpać zyski z rozpaczliwych chorych, sprzedając im swoje racje, sami zaś żywili się surowymi małżami. Dwóch z załogi „Blijde Booschop” skazano na śmierć za kradzież oleju. Na brzegu wzniesiono szubienicę i jednego ze skazańców powieszono. Drugi uniknął śmierci, okazując głęboką skruchę, lecz po kilku dniach znów go przyłapano, gdy kradł olej. Tym razem schłostano go do żywego mięsa. W trakcie posiłków kapitanowie musieli stać na straży z kijami w rękach, aby w razie potrzeby bić nimi kłanbrnych i niesfornych.

Pierwsze spotkanie z tubylczymi „dzikusami” nastąpiło w początkach maja, kiedy do statków przywiosłowała grupa krajowców. „Mierzą oni stóp dziesięć albo i jedenaście... skórę mają czernowonawą, a włosy długie” — ze zdumieniem spostrzegli marynarze. „Dzicy mężowie” przez pewien czas rzucali w ich stronę kamienie i obelgi, po czym odплыnęli. Jakies trzy tygodnie później niewielka grupka żeglarzy napotkała na brzegu „dzikusów liczną kompaniją”. „Dzicy” zdołali schwytać pięciu Holendrów, „zaczem trzech pierwszych rozdarli na sztuki”, po kolei wyrywając im kończyny. Dwóch pozostałych ocalał Simon de Cordes, lądując z plutonem straży. Tubylcze plemiona z południowych rubieży Ameryki napały podróżników zgrozą: „Barbarzyńcy ci chodzili całkiem nago, jeden jeno ramiona przykryte miał skórą psa [lwa] morskiego” — czytamy w ówczesnej relacji. Ich broń stanowiły drewniane oszczepki ze śmiercionośnymi grotami, które „w ciało tak przenikliwie się wrażały, że wyciągnąć je było prawie niepodobna”. Podczas jednej napaści harpun taki przebił „odzienia warstwy cztery i w piersi głęboko utkwil”. Niekiedy grot wnikał w tkanki na taką głębokość, że „na wskroś trza go było przepychać”.

Ponieważ cieśnina zatarasowana była lodem, a na brzegu roilo się od wrogo usposobionych dzikusów, żeglarze, chcąc nie chcąc, przebywali na statkach. Simon de Cordes usiłował poprawić nastroje, urządając małą uroczystość. Utworzył mianowicie zakon, „izby na wiek wieków upamiętnić wyprawę tak nieprzezpieczną a niezwykłą”, i mianował podległych sobie kapitanów „Rycerzami



Żeglarze z południowego krańca Ameryki byli olbrzymiego wzrostu. Jak pisze jeden z hiszpańskich kronikarzy: „mierzą oni stóp dziesięć albo i jedenaście... skórę mają czernowonawą, a włosy długie”. W bitwie okazali się groźnymi przeciwnikami.

„Rycerzami” „Lwa”. Kapitanowie złożyli przysięgę wierności, po czym całe towarzystwo uzbroiło się po zęby i przy dźwiękach bębna popłynęło ku brzegowi. Tubylcy jakby rozwiiali się w powietrzu, a podróżnicy wydali okrzyk triumfu i obiecali zrobić pomnik, co w ich mocy, „gwoli podboju hiszpańskich posiadłości”. De Cordes kazał następnie na pamiątkę tej uroczystej okazji postawić obelisk i umieścić na nim tablicę z nazwiskami rycerzy załogi, a u stóp pomnika pochować zmarłych.

Pomnik udał się wspaniale, a uroczystość wyraźnie dodała ducha załogom. Nie na długo, niestety: słup pamiątkowy roztrzaskali w drobne kawałki „dzicy, którzy trupy z grobów również wytrali i poświęcili, a jednego z sobą unieśli”. Najcięższym okaleczeniem uległo ciało osobistego balwierza Simona de Cordesa: głowę tubylcy zmiażdżyli maczugą, serce porzucili na pobliskich skałach, a genitalia odcięli. Żeglarze szybko pochowali golibrodę, a wraz z nim wszystkie szczątki, jakie zdołali odszukać.

W ostatnim tygodniu sierpnia zima zaczęła folgować: padał śnieg z deszczem, a potem już tylko deszcz. W początkach września flota podniosła wreszcie kotwice i znów ruszyła przez cieśninę w stronę Pacyfiku. Choć nie zachowały się dokładne dane na temat straty zgonów, jakie miały miejsce podczas przymusowego postoju w cieśninie, ofiar musiało być grubo ponad sto. Śnieg i lód po-

brały krwawe myto. „Wielu naszych od głodu pomarło” – wspomina Adams, a de Weert dodaje, że na „Geloof” – jego własnym statku – tylu ludzi zmarło „z chorób i innych przyczyn, iż ze stu dziesięciu jeno trzydziestu ośmiu się ostało”.

Zaledwie po kilku dniach majtkowie pełniący służbę na oku po raz pierwszy dostrzegli Ocean Spokojny. Wszyscy od dawna marzyli o tej chwili, powinni więc byli sobie wieszować, że wreszcie nadeszła. Brakowało jednak czasu na świętowanie. „Kiedyśmy na Morze Południowe wpłynęli – pisze Adams – po dniach sześciu lub siedmiu dopadł nas sztorm znacznej siły”. Flota rozproszyła się: statki „wzajem od się odegnane” wicher pchnęła w rozmaite strony. Jeden zapędził aż na daleki Pacyfik, a pozostałe z powrotem do cieśniny. Po wspólnym rejsie, który trwał ponad rok, każdy płynął teraz samopas.

W przewidywaniu takiego obrotu zdarzeń Simon de Cordes zawczasu wyznaczył punkt zborny na wybrzeżu peruwiańskim. Lecz po tylu przebytych trudach i cierpieniach przymusowa rozłaska złamała ducha w wielu marynarzach, a niewiele brakowało, żeby zdruzgotała i statki. Na „Blijde Boodschop” spadła ogromna fala, miażdżąc bukszpryt oraz fokmaszt i rwąc żagle w strzępy. Odtąd statek ten przez wiele tygodni dryfował samotnie, zdany na łaskę żywiołów, póki nie wpadł w ręce Hiszpanów. Załogę uwięziono, poddano przesłuchaniom i surowo ukarano za to, że osmieliła się wtargnąć na wody, do których rościła sobie prawo Hiszpania. Tylko garstce udało się z czasem wrócić do ojczyzny.

Załoga „Geloof” oświadczyła, że ma już serdecznie dosyć cierpień, i postanowiła zaniechać dalszej podróży. Statek zapuścił się z powrotem w Cieśninę Magellana i w lipcu 1600 roku dopłynął do Rotterdamu, mając na pokładzie zaledwie trzydziestu sześciu ludzi spośród stu dziesięciu, którzy wyruszyli w rejs.

Załoga „Trouw” ulepiona była z twardszej gliny. Rzuciwszy ostrożność na wiatr, wzięła kurs na zachód, w stronę Indii Wschodnich. Wybór ten okazał się nieroztropny, gdy bowiem statek przybył na Wyspy Korzenne, natychmiast zawładnęli nim Portugalczycy. Spośród dwudziestu czterech ludzi, ocalałych z pierwotnej liczby osiemdziesięciu sześciu, jednych zakuto w kajdany i uwięziono, innych zaś stracono. Sześciu zdołało z czasem uciec z lochów i wrócić do rodzin w Niderlandach. Jedyny w całej flocie Szkot, niejaki William Lyon, w roku 1606 wciąż jeszcze tkwił w niewoli.

Natomiast „Liefde” wicher mocno zbiła z kursu. „Wieluśmy sztormów zaznali – pisze Adams – toteż w końcu zagnało nas

do południu aż w okolice stopnia pięćdziesiątego czwartego”. Blizna bez miała trzy tygodnie, nim zdołano sprowadzić statek z powrotem na pierwotny kurs – tylko po to, żeby wicher znów wypchnął go na południe. „Po dniach ośmiu lub dziesięciu nocą zszedł wielce fok nam porwało” – czytamy we wspomnieniach szturmana Williama. Sztorm ucichł w końcu, „myśmy zaś napotkali całkiem dorzeczne wiatry i pogodę, którym dzięki daliśmy postąpić w zamierzoną podróż ku brzegom Peru”.

Kapitanowie zawczasu umówili się, że będą czekać na towarzyszy trzydzieści dni. Adams chciał wykorzystać ten czas na uzupełnienie świeżych zapasów, które miał nadzieję kupić od lokalnych za rozmaite drobiazgi. Po krótkich postojach na przybrzeżnych wyspach Mocha oraz Santa Maria w listopadzie 1599 roku „Liefde” rzuciła kotwicę „w piaszczystej zatoce” i grupa marynarzy popłynęła szalupą w stronę brzegu „pogwarzyć z nadmiernym ludem”.

Kiedy dwadzieścia lat wcześniej zaryzykowało taką wycieczkę kilku ludzi Drake’a, spotkał ich wyjątkowo paskudny koniec: „gwałtili ich dzieci i „nożami jęli się do nich dobierać, wykrawając i odlatując łaski”, które rzucali w powietrze, tańcząc przy tym, póki nie wpadli w trans. Następnie „psim obyczajem pożarli nas ukrawki, sycąc się nimi w sposób arcypotworny i z naturą sprzeczny”.

Krajowcy powitali „Liefde” równie gościnnie, jak niegdyś „Flota Lanie”. „Nie pozwalając nam wynieść na ląd – pisze Adams – strzał wielkie mrowie ku nam wypuścili”. Te oznaki wrogoci ostudziły zapał załogi, która jednak szybko zdała sobie sprawę, że musi stoczyć walkę o pożywienie, bo w przeciwnym razie czeka ją głód. „Nijakiej strawy na statku nie mając, wiedząc nadzieją, że uda nam się dobrać zapasów, przemógłszy opór kobyliców, wylądowaliśmy w sile dwudziestu siedmiu, a może trzydziestu chłopów, zaczęliśmy dzikich mężów owych z wybrzeża naszemu przegнали”. Podczas lądowania wielu żeglarzy odniosło ranę, co tylko utwierdziło ich w postanowieniu, że muszą zdobyć żywność, zanim wrócą na statek. „Daliśmy im tedy znaki, iż waktualów takniemy, z daleka okazując żelazo, srebro i przydatne wszelaki jako towar na wymianę za nie”.

Na widok szklanych paciorków i innych drobiazgów tubylcy rzucili łuki i postanowili przyjąć propozycję handlu. „Uraczyli naszych ludzi winem i kartoflami, iżby jedli i pili. Dali im też innych owoców”. Skromny poczęstunek nie zapełnił pustych brzuchów żeglarzy, lecz krajowcy „na migi kazali im na statek powró-

cić, a nazajutrz znów stawić się w tym samym miejscu, gdzie oni barbarzyńcy czekać będą z wielkim spyżem zapasem”.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy na „Liefde” zapanował optymistyczny nastrój. Wierząc, że Indianie mają wystarczająco dużo żywności, aby napełnić ładownię statku, załoga odetchnęła z ulgą, omiędła ją bowiem spotkanie z Hiszpanami. Kapitan van Beuningen postanowił nazajutrz rano popłynąć wraz ze swoimi oficerami szalupą do brzegu i przywieźć stamtąd jak najwięcej pożywienia. „Sam kapitan wsiadł do jednej z łodzi — pisze Adams — a z nim razem cała siła, jaką wystawić zdołaliśmy”. Van Beuningen spodziewał się, że tubylcy przyniosą swoje produkty nad samą wodę, skąd łatwo mógłby załadować je do szalup, oni jednak zachowali się, jakby nie rozumieli znaków, które im dawał, i odpowiedzieli na migi, że ma wylądować. Posłuszny instynktowi doświadczonego żołnierza, kapitan miał się na baczności. Gdyby wysiadł na brzeg, on i jego ludzie wystawiliby się na całkiem realne niebezpieczeństwo, bynajmniej zaś nie pragnął wpakować się w zasadzkę. Ale Indianie uparcie odmawiali zejścia nad wodę, niewielki zatem pozostawili mu wybór. „Postanowił lądować, pomniawszy tego, co na statku naszym pierwsi uradzone”.

Van Beuningen nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Wylądował z dwudziestoma siedmioma spośród swoich najlepszych żołnierzy piechoty morskiej — w których liczbie znalazł się Thomas, młodszy brat Adamsa — i polecił im zachowywać się tak, jakby przedstawiali sobą wielką potęgę. Nikt po stronie Holendrów nie wiedział jednak, że „mniej więcej o strzał z muszkietu od łodzi zasadzili się Indianie w sile ponad tysiąca”. Tubylcy czekali z napiętymi lukami, a gdy zabrzmiał umówiony sygnał do ataku, „niezwłocznie rzucili się na naszych z wszelakim orężem, jaki jeno mieli, i wytracili ich do nogi, o ile nam wiadomo”.

Napaść była tak niespodziewana i wściekła, że już po kilku sekundach walka dobiegła końca. Zginął kapitan van Beuningen, a wraz z nim kwiat załogi. Ocaleli tylko ci, którzy pozostali w szalupach. Ledwie mogąc uwierzyć, że masakra nie była czystym przywidzeniem, w trosce o własne życie pomknęli w stronę statku, żeby podzielić się z innymi straszliwą wiadomością. „Długośmy wyczekiwali, czy aby który z naszych jeszcze się nie pojawi — pisze Adams — że jednak wszyscy ubici byli, przeto łodzi wrócili... [przywołując] wieść straszną o śmierci wszystkich ludzi naszych”.

Adams był zdruzgotany. W zasadzce zginęli jego najbliżsi przyjaciele, „a wśród nich brat mój Thomas”. Przez siedemnaście z górą

Hiszpancy ludzie ci wspólnie gnieździł się w panującej na statku panice. To w jednej chwili spadł na nich miążdzący cios, który potknął ich wiarę w siebie i w możliwość kontynuowania rejsu. „Liefde” miała odtąd mocno niewystarczającą obsadę, a morale spadło rekordowo niski poziom. „Wielceśmy wszyty nad tym łodzi — pisze Adams — została nas bowiem garstka tak nieliczna, że ludzie było komu ankiek wydzwignąć”.

Kiedy stało się jasne, że nie należy spodziewać się powrotu tubylczy więcej niedobitków, pożeglowano „z boleścią wielką” ku przybrzeżnej wyspie Santa Maria. Tam na załogę „Liefde” czekała nareszcie dobra wiadomość. „Odnaleźliśmy naszego Admirała [„Hoop”] — pisze Adams — którego widok niejaką natchnął nas pociechą”. Lecz statek admirałski także padł ofiarą łapalii tubylców. „Zastaliśmy ich pogrążonych w bólezi równo jak nasza głębokiej, albowiem stracili swego generała wraz z dwudziestoma siedmioma ludźmi, których na wyspie Mocha ukłó”.

Starało podjąć decyzję. Wszyscy byli zdania, że nie zdołają się pogodzić z resztą floty. Wiedzieli też, że nie mogą nawet marynarze przepłynięciu Pacyfiku, jeżeli nie napełnią ładowni żywnością. Mieli już jednak za mało zdrowych ludzi, aby zaryzykować kolejne lądowanie na tym samym wybrzeżu.

Gdy tak roztrząsali swoją trudną sytuację, nastąpiło zdarzenie, które pozwoliło im przejąć inicjatywę. Dwaj Hiszpanie — za pomocą ze straży przybrzeżnej — podплыли łodzią, żeby wywieścić się o cel podróży „Liefde”. Wypyтали Adamsa i przeprowadzi na statku inspekcję, po czym oświadczyli, że zamierzają zejść na brzeg. „Myśmy wszagże po niewoli ich zatrzymali — pisze Adams — co poczytali sobie za obelgę niemałą”. Szturman Wilham oznajmił im, że jeśli chcą odzyskać wolność, będą musieli się wykupić. „Pokazaliśmy im, że w wielkiej jesteście potrzebie wzięciem wiktualióf i gdyby dali nam tyle to a tyle owiec i tyle to a tyle sztuk bydła, puścilibyśmy ich wolno”. Hiszpanie byli oburzeni, ale chcąc nie chcąc, wyrazili zgodę. Przekazali na ład stożkową wiadomość, w wyniku czego na oba statki dostarczono wielkie ilości pożywienia; było go tyle, że marynarze z „Liefde” i „Hoop” „po większej części ozdrowieli z niedomagań swoich”. Statki nareszcie gotowe były do dalszej podróży.

Simon de Cordes musiał przede wszystkim wyznaczyć następnego kapitana van Beuningena. Wybrał doświadczonego Jacoba van der Maeka, oddając pod jego rozkazy „Liefde”, po czym zwołał zebranie w rozszerzonym gronie — z udziałem Adamsa



Holenderską flotę zaatakowano w Cieśninie Magellana (powyżej) i na południowoamerykańskim wybrzeżu Pacyfiku. Szczególnie ucierpiała załoga „Liefde”, z której zaledwie w kilka sekund zginęło dwudziestu trzech ludzi.

i Shottena — żeby zdecydować, „co uczynić winniśmy, aby podróż owa jaknajwiększą korzyść kupcom naszym przyniosła”. Możliwości było kilka. Najbardziej oczywistym wariantem wydawał się rejs na Wyspy Korzenne, znane jako „spichlerz korzenny” Indii Wschodnich, gdzie zarówno kwiat muszkatolowy, jak i gotową gałkę sprzedawano za bezcen. Inwestorzy byłiby zadowoleni, ponieważ handel przyprawami dawał ogromne zyski. Plan ten miał tę dodatkową zaletę, że wiele tamtejszych wysepek i pomniejszych atoli nie dostało się jeszcze we władanie Portugalczyków ani Hiszpanów. Można też było popłynąć na Filipiny, choć tam akurat groziło starcie z siłami hiszpańskimi. O decyzji przesądził ostatecznie towar, zgromadzony w ładowniach „Liefde”. Były one wypełnione suknom, niewielkie zaś istniało prawdopodobieństwo, że w tropikalnym klimacie Wysp Korzennych znajdą się na nie nabywcy. „Rozumieliśmy... że Moluki i większa część Indii Wschodnich to gorące są kraje — pisze Adams — gdzie wełniane sukno nie będzie cieszyć się wzięciem”.

Materiał ten przedstawiałby znacznie większą wartość dla mieszkańców okolic północnych, w których panował chłodniej-

klimat, a zimy były ostre. Im dłużej podróżnicy zastanawiali się, jak obrócić kierunek, tym bardziej oczywista nasuwała im się odpowiedź. Należało ruszyć na północny wschód od Chin — ku bogactwu z bajecznych bogactw królestwu. „W końcu do Japonii płynąć uradzili” — pisze Adams, dodając, że „wełnę sprzedali sobie na owej wyspie cenią”. Przedstawiono tę propozycję w formie długim rejsu załodze, która bynajmniej nie kwapiła się do odprawy przez Cieśninę Magellana, „zaczem wszytcy — jak się do Japonii wyruszyć zgodzili”.

Magalarze wzdraliby się może przed tą decyzją, gdyby mieli chociażby pojęcie o wchodzących w grę odległościach. Przejazd przez Atlantyk zajęła im ponad rok, a potrwałaby jeszcze dłużej, gdyby nie sprzyjające pasaty. Od Japonii dzielił ich najdłuższy na świecie ocean, którego prądy i wiatry pozostawały kompletną niewiadomą. Kiedy Ferdynand Magellan płynął przez Pacyfik, on i jego ludzie przeżyli jedynie dzięki temu, że mieli potrawkę z myszy w trocinach. Kronikarz tamtej wyprawy zamieścił swoją relację surową przestrogą: „Mniemam, że nikt nigdy już podobnej podróży nie przedsięwzięmie”.

Pod koniec listopada 1599 roku „Liefde” i „Hoop” wyruszyły w mroźne. Pogoda zrazu sprzyjała, płynęły więc szybciej, niż ktośkolwiek się spodziewał. „Minęliśmy ekwinokcjum przy południowym wietrze — pisze Adams — który miesiąc kilka jeszcze temu towarzyszył”. Dzięki temu statki trzymały się w niewielkiej odległości od siebie, póki nie dotarły do „wysp niejakich”, zagubionych gdzieś pośrodku Pacyfiku, „przez ludojezdzkie plemiona przez zamieszkanymi”.

Niektórzy marynarze, znużeni długim pobytom na morzu, na widok stałego lądu nie oparli się pokusie. Złamani przeżyciami podróży, przerażeni perspektywą rejsu przez pusty ocean, sprzyjał im się potajemnie, że spróbują szczęścia na wyspie wśród morskich bezdroży, zamiast dalej płynąć butwiejącą „Liefde”. „Dotarliśmy do wysp owych się zbliżyli... ośmiu naszych w szalunku od nas zbieżalo”. Ucieczka ta zaskoczyła Adamsa i resztę załogi. „Za słabi, żeby ruszyć w pogoń, porzucili zbiegów na pastwę losu. „Suponujemy, iż od dzikich pożartymi byli” — zanotował w dzienniku Adams. Miejsce lądowania dezertersów długo pozostało zagadką, szturman William — podobnie zresztą jak jego kapitan — nie miał bowiem pojęcia, gdzie właściwie wówczas znajdował się statek. Nie jest jednak wykluczone, że załoga „Liefde” dotarła do Hawajów, zarazem bezwiednie je odkrywając. I to z górą sto siedemdziesiąt dziewięć lat przed kapitanem

Cookiem. Gdy w roku 1822 wylądował na Hawajach angielski misjonarz William Ellis, powiedziano mu, że dużo wcześniej niż Cook przybiła do tamtejszych brzegów jakaś szalupa. Tubylcza ludność wysp gościnnie powitała przybyłych nią żeglarzy. Dano im za żony hawajskie panny i przyznano tytuły honorowych wojdów.

Utrata ośmiu ludzi mocno nadwerżyła morale reszty załogi „Liefde”. Wkrótce potem nastąpiła burzliwa pogoda, kończąc pomyslną passę. „Dopadła nas taka wichura i ulewa, że aż dźwi brał, nigdy w podobnie sztormowej obieży się nie znalazł” — pisze Adams. Wiatr świsnął w takielunku, a wśród fal piętrzyły się wyniosłe granie i rozwierały wąwozy, żeglarze lękali się więc, że nie wyjdą z tej przygody cało. Statki były w kiepskim stanie, a zresztą wcale nie zbudowano ich z myślą o walce z tak rozjuszonym żywiołem. Dęło coraz mocniej, toteż obie jednostki wpadały w niebezpieczny przechył. Nagle z bocianiego gniazda „Liefde” dobiegł krzyk majtka: „Hoop” przewróciła się do góry dnem, a jej światła zgasły. W kilka sekund znikła pod powierzchnią morza, które pochłonęło ją jednym potężnym haustem. Ani statku, ani nikogo z załogi nigdy więcej nie ujrzano.

Adams zanadto był zajęty, aby szerzej się rozwódzić nad utratą „Hoop”. Z typowym dla siebie stoicyzmem i wstrzemięźliwością poświęcił katastrofie zaledwie cztery słowa: „Zdjął nas wielki żal”. Reszta załogi była bardziej wstrząśnięta, obawiała się bowiem podzielić los kamratów. Marynarze całą nadzieję pokładali w tym, że Adams zdoła ich przeprowadzić cało przez sztorm.

„Liefde” została odtąd sama na pustym oceanie, a jej załoga nie miała najmniejszego pojęcia, jakie właściwie są współrzędne statku. Mapy i zliczenia były beznadziejnie niedokładne, więc i instrumenty nawigacyjne na nic się zdały, płynęli zatem dalej w uprzednio obranym kierunku, wierząc, że zmierzają ku północnemu zachodowi. „Zgodnie z wcześniejszym zamysłem ku Japonjiśmy zdążali — pisze Adams — ...aleśmy jej nie odnaleźli, ile że na wszelakich mapach, rycinach i globusach położenie jej mylnie jest oznaczone”. Ludzie znów cierpieli najokropniejszy niedostatek. Byli półżywi z głodu i chorzy na szkorbut, a wielu nękała ostra dyzenteria. „We wielkiej niedoliżmy się wondrous znaleźli — odnotował Adams — zostało nam bowiem nie więcej niż dziewięciu czy dziesięciu zdrowych ludzi, zdolnych chodzić o własnych siłach albo przynajmniej po raku pęlsać”. Choroba powalała wszystkich, nie licząc się z rangą ni z szarżą, a „kapitan nasz i reszta każdej chwili śmierci się spodziewali”.

Adams przestał prowadzić notatki, pozostali także zamilkli. Byli słabi i osłabieni lub chorzy, żeby wodzić gęsim piórem po papierze. Pół koniec marca w ich polu widzenia znalazła się wyspa Bonin — zapewne jedna z niegościnnych wysp Bonin — „Wielu naszych wondrous znów zachorowało”. Obsadzenie szalupy i dopłynięcie do tego jałowego skrawka ziemi okazało się zadaniem ponad siły: już cztery miesiące i dwadzieścia dwa dni płynęli przez Pacyfik i nawet Adams był bliski rozpacz. Nie wątpliwe, że jeżeli w ciągu tygodnia nie dotrą do stałego lądu, czeka ich nieuchybna śmierć.

10 dni dwunastego kwietnia 1600 roku, ponad dwadzieścia dni od wyruszenia z Rotterdamu, ujrzali tuż po przebudzeniu statok nieomal mistyczny. Wzdłuż horyzontu ciągnęła się niebieskoczerwona smuga, w miarę upływu godzin coraz wyraźniejsza. Zwołał swoich ludzi; chorych wyrwał z odrętwienia i wyszedł na pokład. Zrazu oczom nie wierzył, lecz wkrótce przekonał się, że statek naprawdę zbliża się do celu.

Wiatry, od tak dawna przeciwnie, nagle zmieniły kierunek i popchnęły „Liefde” w stronę lądu. Brzeg rysował się coraz wyraźniej, aż wreszcie ukazały się urwiska, drzewa i duże skupisko budynków. „I tak oto bezpiecznie kotwicęśmy rzucili, miłą jaką od nas był Burgiem zwanej”. William Adams dotarł do Japonii prawie czterdziestu lat później niż Pinto, ale wylądował dokładnie w tej samej zatoce.

W IMIĘ OJCA

ZALOGA „Liefde” była zbyt osłabiona, żeby dopłynąć szalupą do brzegu. Marynarzy nękał szkorbut i dyzenteria, a z niedożywienia łamało ich w kościach. Z dwudziestu czterech pozostałych przy życiu większość nie miała siły wstać, a niektórzy byli o krok od śmierci. „Oprócz mnie co najwyżej sześciu — pisze Adams — mogło ustać na nogach”. Ujrawszy zbliżającą się do statku grupę Japończyków o groźnym wyglądzie, nawigator natychmiast zrozumiał, że wszelki opór byłby daremny, bo nikt z załogi nie ma siły nabić muszkietu. „Dopuszcziliśmy ich na pokład, bronić się niezdolni”.

Japończycy, którzy wtargnęli na statek, w niczym nie przypominali „barbarzyńców” ani „dzikusów”, z jakimi Adams i jego ludzie dotychczas się stykali. Owi groźni wojownicy — nieduzego wzrostu, lecz krzepkiej budowy — byli zarazem wytwornie odziani i z nienaganną starannością uczesani. Gdy wspięli się po burcie i weszli na pokład, zaprezentowali się wcale szykownie. Adams nie miał okazji zapisać swoich pierwszych wrażeń, lecz inni cudzoziemcy tuż po przybyciu do Japonii zazwyczaj czuli, że ubrani są nie dość elegancko w porównaniu z gospodarzami. Owi ekscentryczni Azjaci pedantycznie golili włosy nad czołem, odsłaniając lśniąca łysinę, resztę zaś wiązali na karku w długi i bujny koński ogon, namaszczeni wonnym olejkiem i zwiłali w kok. Ubierali się w szaty z najlepszych jedwabi, „krojem szlarkom podobne”, a u boku nosili straszliwe miecze o zakrzywionej klindze, tak ostre, że można było nimi przeciąć kosc. Załoga „Liefde” miała duże szczęście, bo przy tej akurat okazji broń pozostała w pochwach. Przybysze nie zdradzali najmniejszego zainteresowania Adamsem ani jego ludźmi. Chorych, którzy jęczeli, leżąc na pokładzie, także ignorowali. „Krzywdy nie wyrządzili nam nijakiej — pisze Adams — lecz skradli wszystko, co jeno skraść się dało”. Plądrowanie to przeprowadzone zostało w sposób systematyczny, ze sporą dozą pedanterii. Rabusie

niezależnie zrewidowali statek, rekwirując wszystko, co im przypadło do gustu. „Wszystko pobrali — pisze Adams — a co tylko dobre było lub warte zabrania, ze sobą wzięli”. Najbardziej ubolewał nad tym, że stracił cały komplet map i instrumentów nawigacyjnych — swoje narzędzia pracy. Nawet jego ukochanej mapy świata, którą ukrył w kajucie kapitańskiej, szalownikom nie udało się odnaleźć.

Wspaczliwie usiłował z nimi się porozumieć, żeby poprosić o świeżość i świeżą wodę. Próbował przemówić po holendersku i portugalsku, bo obydwojma językami w miarę biegle władał, ale inni patrzyli na niego obojętnie i odszczekiwali coś po japońsku. W końcu zaniechał prób porozumienia, „ile że żadna mowa mi w ząb nie pojmowała, co rzecz druga”. Jedyne słowo, które udało się zrozumieć, brzmiało „Bungo”: była to nazwa lenna, którego brzegów on i jego ludzie zakończyli męczeńską wędrówkę.

W Bungo dużo się zmieniło przez prawie sześćdziesiąt lat, jakie minęły od chwili, gdy przybył tam Pinto. Otomo Yoshiaki dawno już nie żył, jego rodzinę spotkało zaś wiele nieszczęść, w tym także klęsk na polach bitewnych. Lenno nie istniało już w swojej oryginalniejszej postaci, podzielono je bowiem między zwaśnione brzońki. Wojna była stanem chronicznym, a przemoc — stylem życia. Tym razem jednak do Adamsa uśmiechnęło się szczęście. Młodszy syn herca, pod którego władzą pozostawał ten odległy naletek wybrzeża, zaintrygowała wiadomość o przybyciu „Liefde”. Kiedy doniesiono mu o splądrowaniu statku, nakazał przystąpić do dyscypliny i poniewczasie „wysłał żołnierzy na pokład, aby pod ich strażą kupcom dóbr nijakich nie złupiono”. Wzrost wyszabrowanych towarów zwrócono prawowitym właścicielom, a winowajców ukarano.

Młodszy herc zadowalał się sprawą, że statek — nie miał wrażliwości — nie może pozostać zakotwiczony z dala od brzegu, gdzie jego zbutwiała konstrukcja zdana byłaby na łaskę wiatrów i fal. Trzy dni po przybyciu do Japonii „statek nasz do zacnego portu wholowano, iżby czekał tam, aż póki naczelnny król wyspy naszą nie zasięgnie o nas nowiny i wola jego względem dalszych losów naszych jawną się nie stanie”. Adamsa i jego ludzi zaczęto nagle traktować bardzo życzliwie. Przydzielono im domek tuż nad morzem, „gdzieśmy wszystkie nasze chore złożyli i wszelką potrzebą strawę otrzymaliśmy”. Dla niektórych świeże owoce i czysła woda pojawiły się za późno. Trzej najsłabsi zmarli wkrótce po przeniesieniu na ląd, a kilku innych nie mogło jeść, zbyt bowiem

byli chorzy. „Długo leżeli, schorowali bardzo – pisze Adama – i w końcu takż pomarli”. Osiemnastu ocalałych członków zgromadzenia ze zdumiewającą szybkością wyzdrowiało. Niebawem zaczęli wieszować sobie nawzajem, że wyszli cało z tak okropnych tarapatów. Po nieopisanie ciężkiej podróży na drugi koniec świata życliwie ich tam przyjęto.

Tak im się przynajmniej zdawało. Nie wiedzieli, że wylądowali na terytorium opanowanym przez portugalskich jezuitów, którzy już od półwiecza krzewili w tej części Japonii swoją wiarę. Owym fanatycznym zakonnikom przewodził Alessandro Valignano – czarujący, lecz bezlitosny potomek arystokratycznego rodu, sprawujący zwierzchność nad wszystkimi jezuitkami misjami i nad każdym mnichem od Przylądka Dobrej Nadziei aż po zatokę Nagasaki. Pałał on namiętną nienawiścią do protestanckich kacerzy i od ponad dwudziestu lat pilnował, żeby żadna cudzoziemska religia prócz katolickiej nie zdobyła w Japonii przyczółka.

Valignano przybył na Wyspy Japońskie w roku 1579, przywioząc ze sobą głęboko zakorzenione przesady, którymi zaraził się w innych krajach Wschodu. Do tubylców wszelkiej nacji odnosił się ze wzgardą. Twierdził, że „smagłe rasy głupie są wielce i zjadliwe, najpodlejszego ducha”, a większość z nich to „istne bestie, mało co z ludzi w sobie mające”. Lecz gdy wylądował w owej dalekiej krainie, wkrótce musiał odwołać wcześniejsze oszczerstwa. Zdumiony wyrafinowaniem Japończyków, przyznał, że ta dziwna rasa góruje nad Portugalczycami zarówno pod względem wykształcenia, jak i manier. „My, z Europy przybyli, czujemy się jako dzieciuchy wierutne... [i] musimy dopiero uczyć się jeść, siedzieć, rozmawiać, odziewać się, tudzież zachowywać uprzejmie, etc”. W nie mniejszym stopniu oszałamiała go skomplikowana etykieta, jakiej przestrzegali Japończycy. Opisał ich kraj jako „inny świat, w którym żyje się na innszą modłę, innsze są obyczaje i takż innsze prawa”. Najbardziej zaskakująco brzmiało jego wyznanie, że „sprzeczności i rozbieżności między japońskim a europejskim obyczajem bynajmniej nie świadczą, (...) jakoby Japończycy byli w jakimkolwiek rozumieniu ludem barbarzyńskim, barbarzyńcami zaiste bowiem nie są”.

Po przyjeździe stwierdził Valignano, że misja jezuitcka cienie przedzie i zdołała nawrócić zaledwie garstkę owieczek. Szybko zrozumiał, że największym problemem jest postawa mnichów wobec tubylców. Większość misjonarzy pod względem wykształcenia znacznie ustępowała potencjalnym neofitom i nie potrafiła obja-



Jezuici założyli w Nagasaki ośrodek operacyjny (powyżej) i latami uczyli się obyczajów i manier. Nim nastął rok 1600, dokonali wielu nawróceń i zdolali nawet przeniknąć na dwór szoguna.

ni zasad swojej wiary. Szczególnie zdumieni zainteresowaniem, którym mnisi darzyli ubogich i chorych, Japończycy nie pojmowali, że to troska o przedstawicieli najniższych warstw społecznych. Kiedy jezuitci założyli w Bungo szpital dla trędowatych, w tamtejszych wyższych sferach wzbudziło to obrzydzenie. Trędowaci byli dla nich wyrzutkami – „najpodlejszymi, najbardziej wzgardzonymi i niegodziwymi w Japonii całe”. W społeczeństwie japońskim nie było miejsca na miłosierdzie, toteż wielu uznało, że mnisi wykładają się tymi ludzkimi odpadkami z jakichś niskich pobudek. W późniejszym okresie regułą się stało, że jezuitci „dawali posiłek ubogim, gdy ci wyrazili chęć przyjęcia ich wiary”, a osoby z wyższych sfer „mamiły najnowszej mody błyskotkami... i przygryzali im się, bibeloty i paciorki ofiarowując”.

Valignano pojął, że tego rodzaju nieporozumienia wyrządzały sprawie jezuitów ogromną szkodę. Dostrzegł też, że jeżeli

mnisi chcą nawracać ludność i mieć wpływ na władców, istnieje tylko jedno rozwiązanie – tyleż proste, ile szokujące. Jezuitom muszą się mianowicie zjaponizować: ubierać się z japońska, jeść japońskie potrawy i przyswoić sobie wysoce skomplikowane zasady etykiety, obowiązujące w tym mocno zhierarchizowanym społeczeństwie. Krótko mówiąc, muszą nauczyć się zachowywać z ogładą i finezją, a także wpoić sobie japońskie cnoty: umiar, opanowanie i schludność.

Valignano wiedział, że będzie to wymagało od mnichów ogromnej siły woli oraz wyrzeczenia się wielu przyjemności, które dotychczas uważali za swój oczywisty przywilej. Aby pomóc im sprostać temu zadaniu, napisał podręcznik *savoir vivre'u*, zatytułowany *Advertimentos*, ogólnie w nim objaśniając, jak należy zachowywać się w towarzystwie. Następnie ułożył dwa bardziej praktyczne poradniki: *Sumario* i *Historia del Principio*. „Zabroniłem wszystkiego, co wiarygodność i autorytet ojców podważało – stwierdza w jednym ze swoich pism – jako też poczynań, które w jaskrawy sposób nie licowały z zakonnym dostojem”. Przede wszystkim zakazał hodowli świń i kóz oraz zarzynania krów, zauważywszy, że „Japończycy z odrazą wielką mięs jakichkolwiek pożywać się wzbraniają”. Pieczona wieprzowina i duszona wołowina miały odtąd zniknąć ze stołów refektarza, przyległego do klasztoru Santa Casa da Misericordia w Nagasaki. Jezuitom kazano przejść na dietę japońską, złożoną z „ryb solonych bądź surowych, limon, ślimaków morskich i temu podobnych gorzkich lub słonych specyałów”. Mnisi brzydzyli się surowymi rybami, które były „nie mniej wstrętne nam, Europejczykom, niżli nasza strawa Japończykom jest obrzydłą”. Ale Valignano nie chciał nawet słyszeć o kompromisie. Poradził mnichom, żeby pod ślimaki morskie intonowali *Te Deum*, upominając ich, że „nie powinni zachwiać się w postanowieniu ni nazbyt łatwo ulec odrazie, jaką strawa ta zrazu budzi”.

Valignano kazał regularnie myć kuchnie i refektarze, naczynia szorować do czysta, a obrusy namaczać przed praniem. Mnisi mieli też nauczyć się kulturalnego zachowania przy stole, dotychczas było ono bowiem skandaliczne. Wykwintne maniery, jakich przestrzegali Japończycy w trakcie posiłków, fascynowały Portugalczyków, odkąd Pinto zasiadł do uczyty z władcą Bungo. Teraz zaś jezuitów zmuszono do jedzenia pałeczkami. Dla starszych wiekiem była to istna męka, gorzko więc wyrzekali na ten nowy obyczaj. „Najpierw jedną ręką ujmujesz pałeczki i stukasz o stół ich czubkami, żeby je należycie wyrównać – napisał pewien

zobowiązany *padre*. Potem musisz podnieść *goki* [dużą miskę] i wziąć z niej ryżu galki trzy, zaczem stawiasz miskę z powrotem na stole. Z powrotem na stół ją odstawiasz, powiadam, nigdzie nie idź”. W ten sposób z wolna pochłaniali posiłek, mozolnie łykając kolejne kaski, póki wszystkiego nie zjedli. Valignano kazał im też zastąpić cynowe naczynia wytworną japońską zastawą: kubkami z czarnej lub karminowej laki, „drzewnianymi, to- kielką roboty”.

Wskazywał im również, żeby zgodnie z japońską modą jedli, siedząc na piętach, co dla niego samego – człowieka monumentalnej postury – musiało być istną męką. Nie narzekał jednak na mnichom nie pozwalając głośno wyrażać niezadowolonia. „Wzrost i ładam – pisał – [aby] każdy spośród moich najdroższych *padres*... nauczył się panować nad sobą we wszystkim, co się tyczy japońskiego jadła”. Dopiero wieczorem, po wyjściu japońskiej służby, zakonnikom wolno było jeść mięso, a i tak musieli „baczyć, iżby okrawków ni kości na stół nie upuszczali”. Valignano przestrzegał ich, że Japończycy mają niezwykle wrażliwe powonienie, toteż „zupę na wołowym mięsiwie warzoną z solonej łać należy, nie zaś do misek [z laki], aby czarki i miski do zupy nie przeszły mięsną wonią, zanim Japończykom znowu usiądą się w którejs z naszych siedzib zasiąść do jedzenia”.

Aleksandrowi Valignano nie wystarczało, że jego mnisi przejęli od Japończyków czysto zewnętrzne reguły zachowania. Skłonił ich, żeby nauczyli się myśleć i postępować, jakby naprawdę byli Japończykami: z godnością i stoickim dostojem. „Muszą sobie mieć baczenie, iżby niecierpliwości, gniewu czy rozdrażnienia nie okazać, ani też mową ni wyrazem oblicza nie dać poznać, że jakkolwiek w ogóle żywią namiętność, wielki bowiem stąd byłby uszczerbek dla ufności i szacunku, jakimi Japończycy zwykli mają ojców darzą”.

Wiedząc, jaką niesławę ściągnęło na jezuitów założenie szpitala dla trędowatych, Valignano kazał odtąd przyjmować do szpitala jedynie osoby z najwyższych sfer. Ponieważ zaś społeczeństwo japońskie było ściśle zhierarchizowane, powziął zaskakującą decyzję zorganizował podległych sobie mnichów na wzór japoński, nadając im strukturę, w której każdy znał swoje miejsce i wiedział, jak ma się zwracać do starszeństwa. Z wolna, w bólach i często pod przymusem, nauczyli się jezuiti naśladować swoich gospodarzy. Gdy w roku 1596 pewien świeżo przybyły z Europy mnich wstąpił do seminarium w Nagasaki, zaszokowało go, jak łatwo zakonnicy przejęli obyczaje przybranej ojczyzny. „Do tyła

wzór z Japończyków biorą — pisał — że noszą ich stroje, mówią ich językiem [i] tak jak oni jadają, w kuczki na podłodze siedząc”. Jeszcze bardziej zdumiał się, ujrawszy, że „jedzą patyczkami, tych samych ceremonij co Japończycy przestrzegając”, a w dalszym ciągu swojej relacji dodaje: „Ułożyli się pod tytułem *Japońskie obyczaje i obrzędy*, aby klerykom w seminariach czytana była”.

Valignano nie trudził się daremnie; jego wskazówki przyniosły zakonowi ogrom korzyści. Zanim Adams wraz ze swoimi ludźmi wylądował w Japonii, jezuita udało się pozyskać dla nowej wiary ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dusz. Mieli wpływy w najwyższych sferach i często przyjmowano ich na dworze. Pozostawali też w dobrych stosunkach z feudałami i gubernatorami miast, a rozmieszczeni po całej Japonii ojcowie na bieżąco przekazywali lokalne wiadomości rezydującym w Nagasaki zwierzchnikom.

Do tych ostatnich dotarła niebawem wieść o dziwnym, steranym przez oceany statku, który dopłynął do Kiusiu. Dwaj ojcowie spostrzegli go, gdy był jeszcze na pełnym morzu, i zdziwili się, że tak wielka jednostka zmierza w stronę Bungo. „Nie było to monsunowa pora, którą statki z Chin przypluwać tutaj zwykły”, pisał Diogo do Couto, opisując przybycie „Liefde”. Mnisi uznali, że jest to statek hiszpański z Filipin, a „sztorm jakowyś z kursu go zbił”.

Bojąc się, że załogę — w której domyślali się braci w katolickiej wierze — wzburzone fale porwą wraz ze statkiem z powrotem na pełne morze, ubłagali miejscowego władcę, żeby pomógł żeglarzom dostać się na ląd, a nawet sami wybrali się „łodziąmi, niosąc pomoc”. Stwierdziwszy ze zgrozą, że statek należy do Holendrów — przedstawicieli protestanckiej nacji — zawrócili ku brzegowi, aby wysłać do portugalskiej społeczności w Nagasaki pilną wiadomość. Pojawienie się heretyków było najgorszą rzeczą, jaka mogła się stać, należało więc niezwłocznie ich uściszyć — czyli po prostu zabić.

Mnisi mieli ważny powód, żeby załozce „Liefde” życzyć śmierci, i to jak najrychlejszej. Holenderscy wrogowie katolicyzmu przywieźli wszak ze sobą istną bombę teologiczną i mogli za jej pomocą wstrząsnąć fundamentami budowli, którą wznosił Valignano. Jezuita od początku bowiem utrzymywał, jakoby w Kościele katolickim panowała całkowita jedynomyślność co do wiary i doktryny, a powszechnie uznawanym zwierzchnikiem był papież. Nie przyznawali się Japończykom, że odkąd narodził się protestantyzm, zachodnioeuropejskie chrześcijaństwo pozostaje rozdarte schizmą.

Ważną nowinę od mnichów z Bungo przekazano wprost do króla i cesarza da Misericordia. Mocno nią skonsternowani ojcowie natychmiast powiadomili miejscowe władze japońskie, że pojawienie się statku, który przybył z nieproszoną wizytą, jest sprawą nader poważną, i zaczęli knuć spisek, mający na celu unicestwienie załogi „Liefde”, jak i jej załogi. „Statkiem tym — oświadczyli królowi z możnowładców — żeglują luterkańscy korsarze, wrogowie Portugalczyków i chrześcijan wszystkich”.

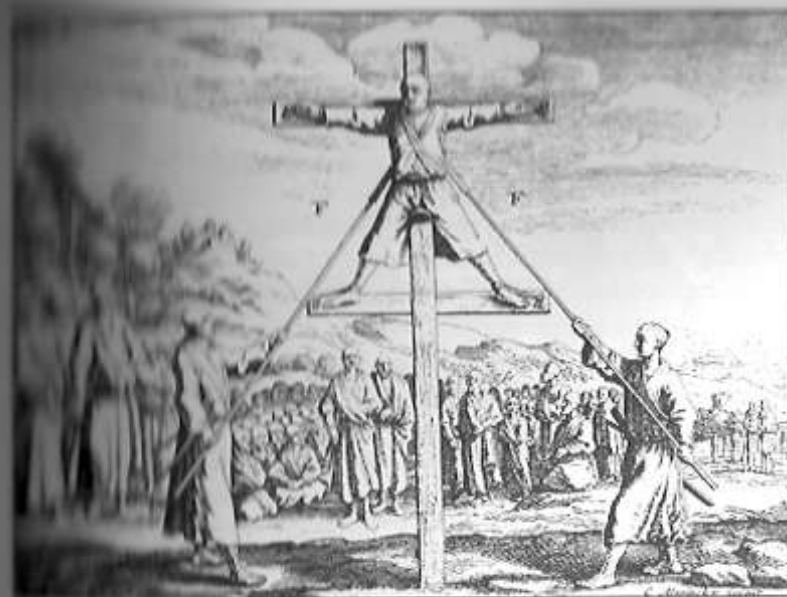
Japończycy z wielką powagą podeszli do tej przestrogi. Natychmiast przejął się nią pan Terasawa, „jenerał-gubernator prowincyj owej”. Pospieszył on do „królestwa Bungo... i na holenderskich łodziach ich dobytek areszt położył”. Zdziwiła go szczupłość ładowni, znalazł w nich bowiem tanie tkaniny i rozbitne drobiazgi, mocno odbiegające jakością od jedwabi i innych szlachetnych tkanin, które Portugalczycy zwykle sprowadzali z Chin. „Liefde” wiozła jedenaście ogromnych skrzyń szorstkiego wełnianego sukna i pakę z czterystoma gałązkami koralowca, kufer pełen bursztynu i kilka sztuk szkarłatnej tkaniny, a także „wielką ilość szklanych paciorków rozmaitej barwy, trochę luster i szkatułek, wiele dziecinnych fujarek [i] dwa tysiące cruzados”. Wciąż większe zdumienie wywołała „gwoździ, żelaza, młotów, szpilek i kilofów mnogość taka... jakby zamierzali dokonać podboju i na stałe osiąść”. Największy niepokój wzbudziła jednak ilość zgromadzona na statku. Wiozł on mnóstwo wszelakiego sprzętu wojennego, w tym dziewiętnaście wielkich dział z brązu, pięćset muszkietów, pięć tysięcy kul armatnich, trzysta kul kulochowych, trzy skrzynie wypełnione kolczugami oraz trzydzieści pięćdziesiąt pięć grotów do strzał. Tego rodzaju ładunek wzbudził wrażenie, że załoga statku rzeczywiście para się rzekomo wojennym, a niechlujny wygląd żeglarzy utwierdzał gubernatora w przekonaniu, iż nie są to uczciwi kupcy. „Nie przybyli też starannie odziani, z przepychem, w orszaku sług i służebnych, jak to inni kupcy mają we zwyczaju, lecz jako prosti żołdacy i majtkowie nam się jawili”. Portugalczycy bez trudu udolali upewnić gubernatora, że „nie są to ludzie znacznej waleczności”.

Pan Terasawa chciał dowiedzieć się czegoś więcej o rejsie „Liefde” i o celu jej wizyty, poprosił więc jezuitów, żeby posłużyli mu za tłumaczy. Adamsowi wyznaczono rolę rzecznika załogi. Wywiązał się z tego zadania, objaśniając, jak dotarł wraz ze swoimi ludźmi do Japonii. Autor jednej z portugalskich relacji wyraża się o nim z niechętnym szacunkiem, przyznając, że szturman

William był „dobrym kosmografem, a i na astrologii co nieco w wyznawał”. Druga relacja jest mniej litościwa. Stwierdza mianowicie, że Adams „nie przedstawił żadnego choćby w miarę dokładającego opisu swojej podróży”, i daje do zrozumienia, jakoby powodem, dla którego rejs „Liefde” przez Pacyfik trwał tak długo, były błędy w sztuce żeglarskiej: „Kiedy wysiedli na ład, wszyscy tak byli osłabli, że wyglądali całkiem jak nieboszczycy”.

Adams obawiał się, że jezuita przekręcają jego słowa. W swoich pismach wyraża się o tłumaczach jako o „zaprzysięgłych wrogach” i twierdzi, że pod wpływem ich raportu „zarówno gubernator, jak i prości ludzie nabrali o nas tak podłego mniemanja, iż jenośmy czekali, kiedy krzyżować nas poczną, którym to sposobem kradziesz i insze zbrodnie w kraju owym karanymi są. Jeszcze bardziej zaniepokoił się, gdy dotarło do niego, że jezuita opisują jego ludzi jako *wako*, czyli piratów. Takie oskarżenie musiało wzbudzić gniew japońskich władz, ponieważ wielu kupców z Bungo ucierpiało z powodu pirackich napadów. Piractwo uznawano w Japonii za straszliwą zbrodnię i karano jeszcze surowiej niż w Anglii. Adams nieraz musiał widywać w Londynie, jak na nadbrzeżnej szubienicy w Wapping wieszano bukanierów. W Japonii przyjętą w takich razach karą było ukrzyżowanie, gwarantujące powolną i bolesną śmierć. Ofiarę przykuwano do krzyża, a potem z wolna zakłuwano włóczniami. Najwięksi wirtuozi spośród oprawców umieli podobno wbić w ciało szesnastie włóczni, omijając wszystkie narządy wewnętrzne. „Używają pewnego rodzaju żelaznych kajdan — pisze florentyński podróżnik, Francesco Carletti — które do belek krzyża mocują, potem zaś wokół nadgarstków, szyi i nóg owijają”. Gdy już skazańca solidnie przykuto, krzyż stawiano w pozycji pionowej, a oprawca na dany rozkaz czynił swoją delikatną powinność. „Ciało cierpiętnika włócznią przekłuwa, wrażając ją w prawy bok i kierując ku górze... tak że grot z lewego barku wychodzi, cały korpus po drodze przebiwszy”. Ten sam zabieg aplikowano też od lewej strony, toteż włócznie krzyżowały się wewnątrz tułowia. Czasem wbijano ich tyle, że skazańca wyglądał jak ogromny jeź.

Żeglarzy z „Liefde” mocno niepokoiło to, jak jezuita wypaczał sens ich wypowiedzi. „Tak oto z dniem każdym — pisze Adams — coraz usilniej sposobili przeciwko nam sędziów i lud cały Portugalowie”. Dla zdesperowanych niedobitków, których los zagwał na wybrzeże obcej i być może wrogiej krainy, były to dni trwogi. Nękanii strachem, spędzali bezsenne noce i dni pełne gro-



Ukrzyżowanie sposobem japońskim gwarantowało powolną i bolesną śmierć. Ciało przykuwano do krzyża, po czym zakłuwano włóczniami, starając się nie uszkodzić narządów wewnętrznych.

ty. Dwaj w końcu się załamali. Gisbert de Coning i Jan Abelszoon z Onidewater zmówili się w sekrecie, że przejdą na stronę jezuitów i zdradziwszy towarzyszy, uratują własną skórę. Coning niepodstrzeżenie wymknął się z domu, skontaktował z jezuitami i posłał się za kupca, a zarazem właściciela dóbr wszystkich, jakie były na statku”. Oudewater wkrótce poszedł w jego ślady. „Owi zabójcy wszelkimi sposobami usiłowali zawładnąć dobytkiem z ładowni statku — pisze Adams — i uwiadomiali tamtych [jezuitów] o wszystkim, co się podczas rejsu naszego wydarzyło”. Toteż choć dwaj sprzedawczykowie postawili swoich towarzyszy w jeszcze groźniejszej niż dotąd sytuacji, pan Terasawa wahał się, czy skazać załogę „Liefde” na śmierć. Przybycie statku było tak dziwnym zdarzeniem, a jego ładunek wydawał się tak niecodzienny, że gubernator postanowił zasięgnąć opinii kogoś wyżej postawionego. Na dwór w Osace posłano więc gońca z prośbą o radę, jak należy postąpić z niespodziewanymi gośćmi.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. „Po naszym przybyciu dni dziewięć — pisze Adams — najwyższy władca owej krainy przysłał po mnie, wzywając przed swoje oblicze”. Z Osaki

wysłano pięć galer, „aby zabrać mię na dwór Najjaśniejszego Majestatu”. Adams nie miał żadnego wyobrażenia o tym, kim jest ów „Majestat” i ile czasu minie, zanim statki zawiną do portu w Osace, zdawał sobie jednak sprawę, że podróż ta przesądzi zarówno o jego własnym losie, jak i o losach podkomendnych.

Osaka sprawiała imponujące wrażenie. Było to miasto co najmniej równie wielkie jak Londyn, rozdzielone rzeką „niby Tamizą szeroką”. Lecz w przeciwieństwie do Londynu, którego mieszkańcy musieli zadowalać się jednym jedynym mostem, w dodatku prastarym, w Osace były mostów dziesiątki, „wszystkie zaś snycerskim kunsztem bogato zdobione” i udekorowane okuciami z miedzi. Pewien Anglik, który bawił w mieście przejazdem, gdy legło już ono w gruzach po długotrwałym oblężeniu, stwierdził: „nigdy nie widział niczego, co by ruinom mostów owych dorównywało”. Ale główną atrakcją Osaki stanowił rozległy, gęsto i starannie zaprojektowany zamek, którego rozmiary i elegancja mocno górowały nad londyńską twierdzą Tower. Ów gmach, wywierający swoim ogromem nieodparte wrażenie, był jednym z cudów Japonii. Wśród jego licznych „blanek i bastionów ziały strzelnice, z których razić można było wroga pociskami z broni palnej małego kalibru i strzałami, a nie brakowało też hurdycek i machikulów do miotania kamieni na nacierających”. Uchodząc za niezdobyty, otaczały go bowiem zawrotnie wysokie mury. Do bramy wjazdowej prowadził masywny most zwodzony.

Monumentalne mury zewnętrzne zbudowano pod kątem obronności, lecz wewnątrz goście odkrywali zaczarowany świat belwederów i pięknych ogrodów, ozdobnych sadzawek i miniaturowych wodospadów. Kiedy kilka lat przed Adamsem bawił tam z wizytą padre Luis Frois, zdumiało go to, że w obrębie murów mieszczą się istne krajobrazy, skomponowane w pomniejszonej skali, „przedstawiające cztery pory roku wraz z surowymi głazami, drzewami, krzewami, wszelaką roślinnością i wieloma innymi dziełami natury”. W Japonii ogromne sumy wydawano na zakładanie wykwintnych parków, a ich kręte ścieżki i zwichrowane drzewa o całe lata świetlne oddalone były od uporządkowanych pejzaży, które tak ukochało angielskie ziemianstwo. „Znajdują oni [Japończycy] wiele rozkoszy i upodobania w samotnych, nostalgicznych zakątkach — pisze jezuita João Rodrigues — [jako to] lasy z cienistymi zagajnikami, urwiska i skaliste okolice, samotne ptaki... i wszelka insza samotna rzecz”. Zamek w Osace zdobyły niewielkie belwedery, ozdobne pawilony do podawania herbaty oraz „przepyszne, urocze, wy-



Zamek w Osace był jednym z cudów Japonii. Fortyfikacje wzniesiono wprawdzie z myślą o obronności, lecz w obrębie murów przybysze odkrywali zaklęty ogród rozkoszy.

stane *sashiki* [salony], z których podziwiać można wielość widokowych w dole pól zielonych i rzek nadobnych”.

Padre Luis Frois jeszcze bardziej się zdziwił, gdy wprowadzono go do zamkowych komnat. Jedna skrzyła się złotem, druga srebrzem, a wiele przystrojono jedwabiem i adamaszkiem. „A choć w Japonii niemasz zwyczaju sypiania ni w łózkach, ni na matkach, dwa łoża z kompletem pościeliśmy użrzieli, suto wyłaczane, zdobione bogactwem wszelakich fidrygalków, jakie na dworskich łożach w Europie się widuje”. Japończycy możni władcy wydawali krocie na ozdabianie swoich pałaców, których przystoją stanowił przedziwne skrzyżowanie wystawności ze stylem spartańskim. Mebli używano bardzo niewiele, za to drzwi i stołarka lśniły pozłotą, a ściany wykładano papierem, ręcznie malowanym w drzewa, strumienie, ptaki i jeziora. Były tam śniegowe, zimowe pejzaże z bezlistnymi drzewami, kiście soczystych owoców znamionowały jesień, a jaskrawo kolorowe kwiaty przywodziły na myśl wiosnę.

Adamsa zaprowadzono w głąb zamku w Osace, aż do sali posłuchań. Była to, jak miał później wspominać, „komnata cudownie przepyszna, złotem obficie wyłaczana”. Rozsunięto drzwi, sługi pokornie padli na twarze i oto William Adams z Limehouse stanął przed obliczem niebywale otyłego mężczyzny o długich rękach i rzadkiej brodzie: Tokugawy Ieyasu.

Wbrew przypuszczeniom Adamsa nie był on królem Japonii, miał jednak ogromną władzę. Swoją niezwykłą karierę zawdzięczał bezwzględności i sprytowi. Ten potomek rodu samurajów prowincjuszy sformował niezbyt liczną, ale wysoce sprawną armię i przy jej pomocy rozszerzał granice swoich włości, aż stał się budzącą respekt potęgą. Zdarzyło się to w nader sprzyjającej chwili. Toyatomi Hideyoshi – genialny dowódca, wyniesiony do rangi pierwszego ministra na dworze bezsilnego cesarza – zdążył tymczasem pomału zmiażdżyć opór najbardziej wojowniczych watażków japońskich i marzył o założeniu własnej dynastii, lecz gdy zmarł w roku 1598, jego syn miał zaledwie pięć lat. Władza centralna spoczęła zatem w rękach pięcioosobowej rady starszych, którzy przysięgli utrzymać pokój, póki młody dziedzic nie dośrośnie. Jednym z członków rady był właśnie Ieyasu, teoretycznie równy pozostałym czterem. Bardzo się jednak od nich różnił. Nieustraszony, przenikliwy, bywały w świecie, budził lęk i szacunek w każdym, kto z nim się zetknął. Zachowane portrety przedstawiają go jako człowieka górę, którego niezmierną tuszę spowijają



Ieyasu – człowiek podstępny i światowej – budził nabożny lęk w każdym, kto go spotkał. W starszym wieku tak utył, że nie mógł dosięgnąć konia.

okazywać w delikatne wzory. Ilekroć wymagały tego okoliczności, potrafił ubrać się jak prawdziwy dandys, toteż wiele osób dziwo-łubiło się jego wspaniałym strojom. „W szacie z błękitnego atlasu z gwiazd i półksiężyców srebrnych roje wyszywają z mieżem u pasa” – pisze ktoś spośród gości na jego dworze. Ieyasu oblicze miał czeigodne, swoim olbrzymim kaldunem wzbudzał wielką wesołość, której dawano upust za jego plecami. „Nikt się prezentuje się równie dziwacznie jak pan Tokugawa – pisze jeden ze współczesnych. – Ma ci on takie tłuste brzuszysko, że bez pomocy służby nie może nawet zawiązać pasa”. W późniejszych latach sam Ieyasu rad nierad musiał podzielić ten pogląd. „Złotko – przyznał – mam ja brzuszysko ogromne i nie mogę z nim wstać ani zsiść z konia”. Pasjonował się polowaniem i łobakami i lubił ćwiczenia wojskowe. Niektórzy wręcz twierdzili, że interesuje go wyłącznie wojna, łucznictwo i oręż.

Ten genialny strateg podczas bitew ruchami wojsk kierował z łonta. Chociaż inni suwereni pomawiali go o chłód i brak poczucia humoru, pod tą ociążałą powierzchownością kipiała skryta namiętność. Miał zwyczaj, gdy bitwa na dobre już rozgorzała, walczyć pięścią w łęk siodła, aż tryskała krew. Robił to tak często, że środkowe stawy palców zrogowaciały mu z czasem i zerwływniały, przeto na starość z trudem je zginał”.

Iokugawę Ieyasu fascynował świat leżący poza granicami Japonii. W oficjalnej kronice jego panowania można przeczytać, jak bardzo pragnął poznawać przybyszów z innych krain: „nie sposób było wedle niego inaczej rządzić państwem, niżeli na sta-łej głębokiej wierze w słowa mędrców i uczonych się opierając”. Ta sama kronika stwierdza, że „wszelakich kwestyj był ciekaw”. Zaledwie rok przed przybyciem „Liefde” wezwał do siebie na audiencję franciszkanina imieniem Jeronimo de Jesús i kazał mu nakłonić Hiszpanów z Filipin, żeby osiedlili się w jego kraju. „Jest mym gorącym pragnieniem, aby zjawili się z wizytą... – powiedział – ...pożywili się a pobrali sobie, co jeno zechcą”. Jego główną pobudką bynajmniej nie była tu jednak bezinteresowna zyczliwość. Chciał, żeby hiszpańscy cieśle pomogli mu budować statki, którymi dałoby się bezpiecznie pływać aż do Meksyku i Indii Wschodnich. Hiszpanie odrzucili zaproszenie, rozumiejąc, że budowanie statków Japończykom „równałoby się wzięcieniu im tego właśnie oręża, którego potrzebują, aby zniszczyć Filipiny”.

Audiencja u Ieyasu była dla Adamsa niesłuchanym zaszczytem. Tokugawa przyjmował jedynie ludzi najbogatszych i spr-

wujących najwyższe urzędy, zwykłejś śmiertelnicy musieli natomiast kontentować się rozmową z jego doradcami. Panująca w dworze pompa i wystawność miała wzbudzać w gościach lek. Służących traktowano jak zwierzęta: „po raku wchodzili i wychodzili, z uszanowaniem największym, a w milczeniu”. Liczni sekretarze odziani byli w najprzedziwniejsze kostiumy. „Wszystcy wspomina pewien świadek — ...nosili długie pantalone, co na dwie piędzi wlokły się za nimi po podłodze, niepodobna byłoby wtedy uźrzeć ich stóp”.

Ilekoć któregoś z wielkich panów zaszczycono audiencją, musiał przynieść z sobą moc darów. Jeden *daimyō* ofiarował Tokugawie prezenty warte dwadzieścia tysięcy dukatów, po czym „przystanawszy ponad sto kroków od miejsca, gdzie siedział Jego Dostojność... pokłon złożył głęboki, nisko głowę pochylając, jakby posadzkę myślił ucałować”. Pomimo tak pokazowej uległości możnowładcy temu nie udało się nawet porozmawiać z Ieyasu, który „odwrócił się i wyszedł, a wraz z nim orszak liczny”.

Chociaż Adams ani trochę nie wyznawał się na dworskiej etykiecie, Ieyasu przyjął go bardzo życzliwie. „Dobrze mi się przypatrzył — wspomina szturman William — i zdało mi się, iż na der mi sprzyja”. Ieyasu bardzo się ucieszył, że ma okazję poznać przybysza z nieznaney krainy, który w dodatku był podobno zaprzysięgłym wrogiem Portugalczyków i Hiszpanów. Zaimponował mu też powściągliwy, małowimny sposób bycia Adama. Tokugawa nie wątpił, że zabłąkany żeglarz zna wiele cennych sekretów. Rozmowę utrudniał jednak brak wspólnego języka. „Uczynił ku mnie wiele rozmaitych znaków — pisze Adams — z których jedne pojąłem, inszych zasię ni w ząb”. Zawiedziony i zirytowany Ieyasu kazał wezwać „kogoś, kto po portugalsku mówi poradzi” — jezuitę lub nawróconego Japończyka — po czym zaczął wypytywać Adama o jego ojczyznę i o przebieg podróży do Japonii.

„Król zapytał, z jakiego pochodzę kraju — pisze Adams — i co nas skłoniło, aby zawitać do jego krainy, tak przecie odległej”. Szturman William odparł, że jego ojczysty kraj leży po drugiej stronie kuli ziemskiej, i wyjaśnił, „iż mieszkańcy ziemi naszej z dawien dawna wybierali się do Indji Wschodnich i przyjaźni z wszystkimi królami i możnowładcami w drodze handlu zarzążyć pragnęli”. Dodał też, że w Anglii i w Niderlandach produkuje się wiele towarów, które bardzo przydadzą się Japończykom, a dużo wyrobów japońskich może z kolei znaleźć zastosowanie w Europie.

Ieyasu był spostrzegawczy i szczwany, szybko więc zorientował się, że między Adamsem a Portugalczykami istnieje niebezpieczna, głęboka wrogość. Zaskoczyło go to, ponieważ jezuita nie odparł na jego twierdzenia z naciskiem, jakoby w Europie panowała całkowita jedność zarówno pod względem religijnym, jak i politycznym. Kiedy zrozumiał, że bynajmniej tak nie jest, zaczął o to rozpytywać Adama. Spytał go między innymi, „czyli krajom naszym wojować się zdarza”. Adams po chwili milczenia dołożył do wniosku, że nic mu nie szkodzi powiedzieć prawdę. Odpowiedział, że owszem, wojujemy z Hiszpanami i Portugalczykami, z innymi nacyami żyjąc wszelako w pokoju”. Zaintrygowany Ieyasu zapytał o przyczynę wojen. Adams zaspokoił jego ciekawość: „Objąłem mu w tej materii rzeczy wszystkie — wspomina — on zaś z czymś na kształt zadowolenia wybuchł słowami: „Objąłem mu w tej materii rzeczy wszystkie””. Tokugawę szczególnie interesował głęboki konflikt religijny między jezuitami a załogą „Liefde”. „Zadał mi przede różnorakość wielką inszych pytań, religiji się tyczących — Pytania te okazały się tak drobiazgowo, że Adams nawet do wszystkich nie zapisał, twierdząc, że „notować tu każdy szczegół na zbyt wielka byłaby nuda”.

Że nie mniejszą fascynacją słuchał Ieyasu, gdy Anglik opisywał drogę, którą „Liefde” dotarła do Japonii. Portugalczycy pływali zaporozną szlakiem, zahaczającym o Przylądek Dobrej Nadziei, Tokugawę zdumiało więc to, że Adams i jego ludzie obrali przeciwną drogę i przemierzili drugą półkulę. „Mając na podorędziu mapę świata całego — pisze Adams — pokazałem mu ją”. Kiedy pokazał na mapie zygzakowate przesmyki Cieśniny Magellana, Ieyasu powiedział, że właśnie tamtędy przeprowadził „Liefde”, Ieyasu zaczął powątpiewać w jego prawdomówność. „Jął rzecz rozstrzygnąć — pisze szturman William — i osądził, że łże”.

Audiencja trwała do północy, dopiero wtedy bowiem Tokugawę ogarnęło znużenie. Na koniec spytał jeszcze, jakie towary przywiozła „Liefde”. Adams służył odpowiedzią, po czym zapytał, czy on i jego ludzie nie mogliby otrzymać takich samych swobód na handel jak te, z których od dawna korzystają Portugalczycy. „Coś mi na to odrzekł, co by to jednak być miało, nie pojąłem” — wspomina. Ieyasu wyszedł z sali posłuchań, pozostawiając Adama w niepewności.

Anglik sądził, że audiencja nie mogła udać się lepiej, dostoyny rozmównik sprawiał bowiem takie wrażenie, jakby wręcz oczarował go cudzoziemski gość i jego odpowiedzi. Lecz Adams mylnie odeztał zamiary, ukryte za nieprzeniknioną twarzą Ieyasu, a na-

dzieja łaski, którą hołubił, okazała się płonna. Tokugawie przybycie „Liefde” nadal wydawało się mocno podejrzane, a słowa Adama bynajmniej tych podejrzeń nie rozwiały, toteż bez dalszych ceregieli – jak wspomina szturman William – „do lochu cisnąć mię kazał”.

Było to najgorsze, co mogło się stać, ponieważ w japońskich więzieniach panowały straszliwe warunki. Skazanych trzymano zazwyczaj w celach bez okien i światła. Rozbierano ich do naga, chociaż niektórym pozwalano zachować przepaskę biodrową, zwaną *fundoshi*, i zabraniano się myć. Tymi, w których sprawę toczyło się śledztwo, pomiatano mniej więcej tak samo jak resztą. Do załatwiania potrzeb fizjologicznych służyło wiadro, wiede jednak cierpiało na dyzenterię i nie miało siły ruszyć się z miejsca, leżeli więc we własnych nieczystościach.

Nie zachowały się wspomnienia Adama z okresu uwięzienia, zabrano mu bowiem wszystko, co miał przy sobie, w tym także przybory do pisania. Inni, którzy wyszli cało z podobnych nieczarni, zdawali jednak przelać na papier swoje rozdzierające opowieści. „Odór panował tam wprost nieznośny – pisze pewien franciszkanin, nieszczęśliwym trafem wtrącony do lochu. – Ciżba żywych więźniów zionęła takim żarem, że gdy który umierał, jego truchło w godzin siedem rozkładało się, nabrzmiewając przy tem i okropniejąc, aż samym swym widokiem grozę budziło”. Adamsowi przypadł w udziale wyjątkowo zły los. Anglik był bowiem bezsilny wobec knoń jezuitów, którzy – zabiegając o to, żeby doprowadzić go do zguby wraz z jego ludźmi – starali się uzyskać u Ieyasu wyrok śmierci na wszystkich protestantów. „Podczas owego długiego uwięzienia – napisał potem szturman William – Jezuiści i Portugalczycy wieloma wrogimi świadectwami obciążali mnie i pozostałych... [twierdząc] iżeśmy są złodzieje i rabusie narodów wszystkich”. Zakonnicy oznajmili Tokugawie, że jeśli Adamsowi i reszcie załogi „Liefde” „z życiem ująć się dozwoli, będzie to ze szkodą dla Jego Maiestatu i kraju całego”.

Pobyt w więzieniu był dla Adama przerażającym doświadczeniem. Anglik spędzał całe dnie w oczekiwaniu, że lada chwila powloką go na miejsce straceń. „Co dzień wyglądałem – pisze – śmierci na krzyżu, wedle justycy japońskiej obyczaju”. Ieyasu oparł się jednak namowom jezuitów, gdyż pozostając pod urokiem spotkania z Adamem, skłaniał się ku temu, żeby darować rozbitkom życie. Oświadczył mnichom, że Adams i reszta „nijakiej szkody ni krzywdy nie wyrządzili jego krainie... [było

to] razem wbrew wszelkiej rozprawie i sprawiedliwości postać się na stracenie”.

Pragnął jezuitom jeszcze i ten afront, że kazał ponownie przyprowadzić Adama przed swoje oblicze i tym razem zadał mu kilka więcej pytań „co się tyczy znamion i warunków, właściwych wojnie i pokojowi, zwierząt i wszelkiej żywioły, i także niebpa”. Odpowiedzi przypadły mu do gustu, uwolnił więc Anglika z więzienia i osadził w strzeżonym domu w Osace.

W ciągu kilku tygodni po pierwszym spotkaniu z Adamem przelał Ieyasu dwie ważne decyzje. Postanowił darować życie załocie „Liefde”, zarazem jednak zabraniając jej opuścić Japonię. Wstał marzył o tym, żeby wznieść na wyższy poziom technikę żeglarską stoczni i kwalifikacje tamtejszych nawigatorów, było też jasne, że nieustraszeni przybysze mogą być w tym wielce pomocni. Pragnął też unowocześnić japońskie kopalnie srebra, i dlatego z „Liefde” najwyraźniej posiadali niezbędne po temu umiejętności.

Adama przez półtora miesiąca trzymano w areszcie domowym, zanim Ieyasu znów go wezwał. Tym razem wynik spotkania był pomyślny. „Spytał mię [Tokugawa], czyli pragnę udać się do okien i rodaków mych uźrzeć. «Z wielką chęcią», odparłem, na to kazał mi uczynić. Tym sposobem – z ulgą pisze Adams – wrócić mi wrócono”.

Przez cały czas uwięzienia nie miał żadnych wiadomości o towarzyszach, wkrótce jednak dowiedział się, że żyją i w znacznej mierze już wydobrzedli po trudach rejsu. Podczas gdy siedział w lochu, a potem w areszcie domowym, „Liefde” na rozkaz Ieyasu zawinęła do portu w Osace i tam też Adams ponownie spotkał się z resztą załogi. „Kapitana i drugich znaszdem ze wszystkimi ozdrowiałych” – pisze z radością. Kiedy wszedł na pokład, zarówno jemu, jak i jego towarzyszą „lzy w oczach się zakręciły... dano im bowiem do zrozumienia, iże dawno już mię stracono”. Jezuiści oznajmili marynarzom z „Liefde”, że Ieyasu kazał Adamsa na śmierć, oni zaś też niebawem zostaną zabici.

Choć udało im się znów spotkać, wciąż nie wiedzieli, co ich czeka. Byli tak bezradni i w takiej nędzy, że nie mieli nawet za co kupić jedzenia. Z rozpaczy poprosili Ieyasu o pomoc. Zareagował szybko i wielkodusznie. Kazał natychmiast zwrócić prawowitym właścicielom wszystko, co skradziono z „Liefde”, i ofiarował załodze pięćdziesiąt tysięcy reali odszkodowania – dość dużo, żeby wypełnić ładownie świeżą żywnością. Żeglarze spędzili na statku jeszcze miesiąc, po czym dostali od Ieyasu kolejną

wiadomość: „Cesarz rozkazał okrent nasz odprowadzić ku nam wschodniejszej części owej krainy” — czyli do Edo, gdzie mieściła się stała rezydencja Tokugawy.

Był to straszliwie ciężki rejs „za przyczyną wiatrów przeciwnych, co nas nękały”. Minęło kilka tygodni, zanim dotarli do celu. Adamsowi najbardziej zależało na tym, żeby uzyskać zezwolenie na sprzedaż ocalałego ładunku, chciał bowiem za te pieniądze kupić żywność i wyposażyc statek. Żeglarze mieli nadzieję, że po napełnieniu ładowni uda im się odpłynąć z Japonii, tymczasem zaś jeli zabiegać o niezbędną w tej sytuacji zgodę na opuszczenie kraju. „Robilem, com jeno mógł — pisze Adams — żeby przed naszym statkiem droga stanęła otworem”. Jego prośby nie znalazły jednak posłuchu. Uciekł się więc do przekupstwa, ofiarowując znaczne sumy ludziom z otoczenia Tokugawy. Kroki te okazały się wszelako daremne, a ich skutkiem było uszczuplenie i tak już mizernych zasobów. W ciągu kilku tygodni — wspomina szturman William — „znaczłą część ofiarowanych nam pieniędzyśmy strwonili”.

Ieyasu po prostu nie miał głowy do tego, żeby zająć się sprawą „Liefde”. Nieoczekiwanie bowiem zwróciła się przeciwko niemu rada starszych, gdyż czterej pozostali jej członkowie utworzyli bynajmniej nie święte przymierze pod wodzą Ishidy Mitsunariego i zaczęli przygotowywać się do starcia na polu bitwy, w nadziei, że raz na zawsze rozbiją siły Tokugawy. Ten ostatni chłodnym okiem śledził rozwój wydarzeń. Miał pod swoim dowództwem ogromną i wierną armię, a otuchy dodawała mu świadomość, że zawsze może użyć znakomitej broni, którą skonfiskowano na „Liefde” natychmiast po przybyciu statku. Gdyby doszło do wojny — na co się wyraźnie zanosilo — dziewiętnaście okrętowych armat oddałoby nieocenione usługi.

Bitwy przybierały w Japonii iście epicki wymiar; nierzadko uczestniczyły w nich dziesiątki tysięcy ludzi. Trzon każdej armii tworzyli samurajowie, z zabójczą skutecznością władający mieczami o długich, zakrzywionych klingach. Ich doborowe oddziały, świetnie wyszkolone i zdyscyplinowane, siały spustoszenie w szeregach wroga. W późniejszym okresie Adams nieraz widywał, jak się sprawują. Zdumiony ich okrucieństwem, przyznał, że są to „nader mężni wojownicy”, którzy rzadko biorą jeńców. „a gdy kto przeciw prawu wykracza, sprawiedliwość srodze jest mu wymierzana”.

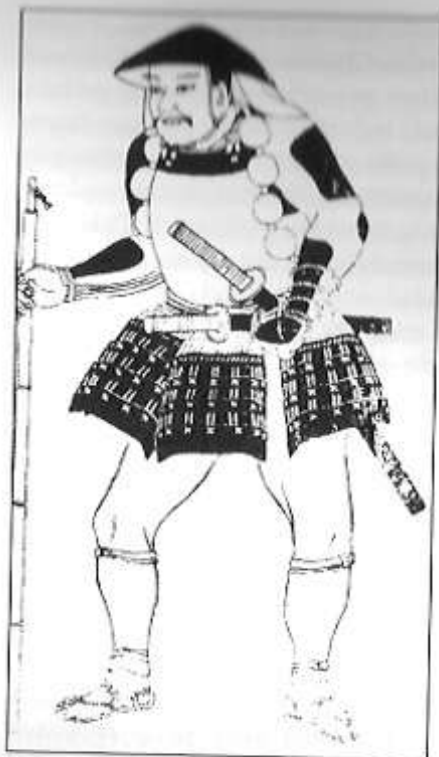
Samurajowie starali się zazwyczaj wyciąć klin we wrogich szeregach, roznosząc na mieczach każdego, kto ośmielił się stawie

opór. Celem tej strategii było wzniesienie zamętu i chaosu, a także wywołanie odwagi przeciwnika. Chociaż w walce wykazywali błyskawicę wręcz skuteczność, bitwa potrafiła trwać wiele godzin, a niekiedy nawet kilka dni. Zdrada była zjawiskiem powszechnym i nierzadko zdarzało się, że całe pułki w ogniu walki przechodziły na stronę dotychczasowego adwersarza. Żołnierzy uczono walczyć do śmierci i życia, toteż prawie nigdy się nie poddawali. Pokonani woleli raczej popełnić rytualne samobójstwo niż dać się pojmać.

Ieyasu miał od szpiegów dokładne wiadomości o posunięciach swoich wrogów i wiedział, że chcą oni wciągnąć go w otwarty konflikt. Czując wielką ochotę do walki, parę dni po trzecim spotkaniu z Adamsem opuścił Osakę i pojechał do Edo, żeby rozkazać przygotowania wojenne. Wrogie wojska liczyły prawie osiemdziesiąt tysięcy mieczów, on natomiast mógł polegać na nieco więcej siedemdziesięciu tysiącach. Obie armie trwały w stanie podwyższonej gotowości, lecz każda starała się wyczuć słabe strony przeciwnika, toteż przez półtora miesiąca zachowywały jeden naprzeciw drugiego napięty dystans.

Pierwszy ruch wykonała armia Ishidy. W połowie października jego ludzie zaczęli gromadzić się wokół wioski Sekigahara, położonej około siedemdziesięciu kilometrów od Osaki. Wojsko cesarza wkrótce ruszyło za nimi i oszańcowało się na zboczach skalistych wzgórz. Panowała okropna pogoda, było więc pewne, że bitwa będzie brudna i bezładna. Wczesnym rankiem dwudziestego pierwszego października doszło do drobnej zrazu starcia, lecz napadnięci zniecacka ludzie Ishidy stawili zaciekły opór, prowokując starcie, którego skala przeszła najśmielsze oczekiwania obu stron. Rozwinięto złożone proporce, samurajowie dobyli mieczów, a tymczasem z gęstej mżawki zrobiła się widowiskowa wręcz ulewa. Od zachodu nadciągnęła wichura, która przesłaniała nad wzniesionymi wokół Sekigahary umocnieniami, budząc zamęt i spustoszenie. Potem na pole bitwy zstąpiła zawiewana mgła, spowijając walczące armie. Prawie bez ostrzeżenia, a już na pewno bez planu, wzdłuż całej linii frontu rozgorzała walka, a jej uczestnicy tonęli po kolana w grzęzawisku.

Trudno orzec, ile szkody wyrządziły wielkie działa z „Liefde”. W jednej z hiszpańskich relacji czytamy, jakoby bez przerwy strzelano z nich do wroga. Gdyby istotnie tak było, kule armatnie spowodowałyby ciężkie straty wśród tłumu pieszych szermierzy. Prawdopodobnie wydaje się, że Ishida postanowił wykorzystać przewagę zaskoczenia i natarł na tyły wielkiej armii Ieyasu. Zamierzał poprowadzić do boju pierwsze oddziały, potem zaś wezwać do



Japońskie wojska odznaczały się bezlitosną skutecznością. Oficer (z lewej) dowodził oddziałem muszkieterów w bambusowej lasce, nosił zapasowy stempel. Kawalerzyści (niżej) gotowali w helmach jedzenie i pili z nich konie.



...wojska swoich groźnych sprzymierzeńców, żeby przedarć się przez obie flanki Tokugawy. Lecz sprzymierzeńcy stali jak mur, a gdy wreszcie włączyli się do walki, runęli na armię Iyeyasu, machając ją w puch. Kiedy dwie dywizje, z których każda liczyła ponad dziesięć tysięcy ludzi, rzuciły się do bezładnej walki, szala zwycięstwa zdecydowanie przechyliła się na stronę Iyeyasu. Jego żołnierze zwietrzyli rychły triumf i zaczęli atakować ze zdwojoną energią, zrozumiałwszy, że ogarnięta paniką armia pierzcha w ślad za poharńbionym wodzem. Ishidę pokonano potem i ścięto, a zwycięski Ieyasu został niekwestionowanym władcą Japonii.

Jego zwycięstwo stało się punktem zwrotnym w dziejach kraju. Choć i książę infant Hideyori wciąż jeszcze żył, oczekując chwili, gdy przejmie tron, nikt nie wątpił, że odtąd o wszystkim decyduje Ieyasu. Zbierając pokłosie wielkiej bitwy, zreorganizował lenna i kontrolował ziemie wielu możnym, którzy walczyli po przeciwnej stronie. Umocnił swoją władzę, a po trzech latach przybrał stały tytuł szoguna, spełniając w ten sposób od dawna hołubione marzenie i legitymizując swoją pozycję.

Ważne bardzo wiadomo, kiedy do Adamsa i jego ludzi dotarła tażde pożądana nowina o zwycięstwie Ieyasu. Byli wtedy na „Liefde”, zakotwiczonej w zatoce Edo, i zaprzętały ich własne problemy. „Czterech czy pięciu z załogi zbuntowało się przeciwko kapitanowi i mnie — pisze Adams — resztę podburzając, wielu było wręcz turbacji napytali”. Niektórzy marynarze postanowili spędzić szczęście na lądzie, inni woleli pozostać na statku. I tak nawet ci ostatni wkrótce poczuli, że mają dość niekończącego się oczekiwania, i dołączyli do buntowników. „Każdy czynił, co mu się najlepszem zdało” — wspomina Adams, który przystał na propozycję swoich ludzi, żeby rozdzielić między nich sumę otrzymaną od Ieyasu. „Pieniądze rozdzielono wśród załogi zgodnie z tym, jakie kto zajmował w niej miejsce... [i] każdy obrał drogę, jaką mu rozum dyktował”.

Gdy Ieyasu zasłyszał o wydarzeniach na „Liefde”, w duchu musiał zapewne się ucieszyć: żeglarze najwidoczniej pożegnali się z nadzieją, że zdołają kiedykolwiek odplłynąć z Japonii. Postanowił więc w nagrodę uczynić im nadzwyczaj hojną propozycję: każdy dostawał odtąd kilogram ryżu dziennie — więcej, niż trzeba było, żeby przeżyć. Tokugawa miał jednak dla nich pewne zadanie, a szczególnie ważną rolę wyznaczał Williamowi Adamsowi.

SAMURAJ WILLIAM

JEDYNYM ogniwem, jakie łączyło załogę ze światem poza granicami Japonii, była „Liefde”. Póki utrzymywała się na wodzie, żeglarze mieli szansę uciec z Kraju Wschodzącego Słońca i po długim rejsie wrócić do rodzin i przyjaciół. Doskonale zdawali sobie jednak sprawę, że statek jest w opłakanej kondycji. Wręgi zbutwiały, rozsypywały się framugi wielodzielnych okien, ściśle wpuszczonych w rufę. Pod wpływem sztormów, deszczów tropikalnych i srogiej zimy stan „Liefde” mocno się pogorszył. Po dwóch z górą latach bez remontu jej dzielność monka budziła wielkie wątpliwości.

Żeglarze wiedzieli, że szanse ucieczki na „Liefde” są znikome. Choćby nawet (rzecz mało prawdopodobna) uzyskali zgodę na opuszczenie Japonii, istniała minimalna szansa, że płynąc takim wrakiem przez Morze Wschodniochińskie, ujdą z życiem. Jeden z nich wdrapał się na pokład i odrąbał alfaston — zdobiącą dziób podobizną Erazma z Rotterdamu. Miała to być jedyna pamiątka z podróży, bo wkrótce potem „Liefde” rozpadła się w kawałki i zatonała. Przygłębiło to marynarzy, odtąd bowiem skazani byli na dłuższy pobyt w Japonii. Wiedzieli, że póki nie wyratuje ich z opresji jakiś angielski lub holenderski statek, tkwić będą w jednym z najdalszych zakątków świata.

Stratę „Liefde” mocno też odczuł Ieyasu, który nie mógł wszak się nadziwić, jak zdołała ona przepłynąć Cieśninę Magellana i Pacyfik. Świadom, że Adams i jego ludzie nie tylko znają się na żegludze, ale potrafią utrzymać statek na wodzie nawet w najmniej sprzyjających warunkach, postanowił zlecić im budowę repliki „Liefde”.

Japonia miała wiele stoczni i portów, lecz z dawien dawna odczuwało się w nich brak prawdziwych fachowców. Chociaż żeglarze japońscy śmiało sobie poczynali, wyprawiając się swoimi barkami na dalekie oceany i prowadząc regularny handel z Indiami Wschodnimi, ich statki były kiepsko skonstruowane i źle się spi-

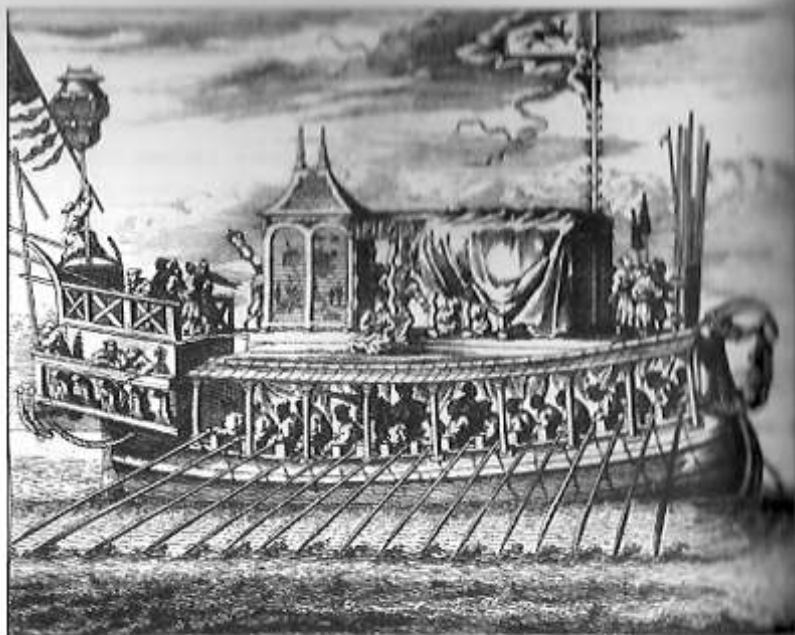
ły na pełnym morzu. Chiński znawca przedmiotu Mao Yuan („Złoty kodeks sztuce wojennej z roku 1600, zatytułowanym *We Pei* [w 133 przygotowaniach do wojny]), pisze o nich ze wzdrganiem, że statki japońskie są „założnie małe... i zatopić je należy łatwo”. Wyśmiewa też stosowanie trawy zwanej *tambokuso* jako materiału uszczelniającego, utrzymując, iż „sporo jest przy tym zachodu, a materiał kosztowny wielce”. Ieyasu przyznał mu rację, postanawiając wykorzystać umiejętności Adama.

Ieyasu wezwał mnie — wspomina ten ostatni — jak to już przedtem przy wielu okazjach był czynił”. Tym razem nie przagnął jednak rozmawiać o geografii ani o matematyce. „Zażądał, żebym zbudował mu statek niewielki, do handlu zdatny”, który mógłby dotrzeć aż do Filipin i Meksyku.

Żądanie to wprawilo Adama w popłoch. Pod kierunkiem Richarda Digginsa poznał wprawdzie podstawy stoczniowego rzemiosła, nigdy jednak sam nie zbudował statku. Nie miał też żadnego doświadczenia, jeśli idzie o przycinanie i kształtowanie belek, łączących szkielec kadłuba. Był to ogromnie skomplikowany proces, nastroczający mnóstwa trudności. Gdyby nie udało się szkielec należyście uformować i wytrzymać, po wypłynięciu na pełne morze statek mógłby przewrócić się do góry dnem. Adams wytłumaczył z grubsza Tokugawie, jakie problemy wiążą się z tym przedsięwzięciem, i jał zająkliwe wymawiać się od zleconego mu zadania: „Odparłem, że nie jest cieślą i nijakiej wiedzy o rzemiosle nie posiadam”. Słyszac, że Adams wzbrania się spełnić polecenie, Ieyasu zmarszczył brwi i kazał Anglikowi mimo wszystko zbudować statek. „Bierz się do dzieła — rzekł. — A jeślić się nie powiedzie, mniejsza stem”.

Adams ujrzał przed sobą rzadką szansę udowodnienia, że może służyć Tokugawie ogromne usługi. Rzucił się zatem w wir pracy. Porażał sprowadzać budulec i dyrygować wykonawcami. Prawie nie pewno pomagał mu Pieter Janszoon, cieśla z „Liefde”, dysponujący wieloma niezbędnymi narzędziami i większością nieodzownych umiejętności. Budowniczy obrali sobie za wzór utraconą „Liefde”, niemal wiernie rekonstruując jej szkielec. Przez długie miesiące ciągli belki i klepki na poszycie, pomalu składając je w całość. Gdy wreszcie ukończyli pracę i spojrzeli z dystansu na jej stan, wydał im się on wcale udany. Statek był pomniejszoną kopią „Liefde” — „pod każdym względem wedle mody naszej ustrojony” — i miał około osiemdziesięciu ton wyporności.

Bo umocowaniu ostatniej liny i wciągnięciu bander zaproszono na nabrzeże Tokugawę, żeby zobaczył gotowe dzieło. „Wszedł



Japończycy budowali wspaniałe statki paradne, lecz nie potrafili konstruować jednostek pełnomorskich. Ieyasu postanowił wykorzystać umiejętności Adamsa

na pokład, iżby się przypatrzeć — pisze Adams — zaczem widok statku wielce go ukontentował”. Ieyasu rzeczywiście był zachwycony. Oznajmił Adamsowi, że odtąd może on odwiedzać dwór, kiedy tylko zechce, i ma „niezawodnie przed jego [Tokugawy] obliczem stawać”.

Jeszcze większe wrażenie wywarł na władcy majestatyczny widok statku pod pełnymi żaglami. „[Ieyasu] drugi taki sam sporządzić mi przykazał, do reysów oceanicznych sposobny”. Nowa jednostka miała być znacznie większa, o wyporności około stu dwudziestu ton, jej budowa trwała więc jeszcze dłużej. Gdy po wielu miesiącach pracę ukończono, Adams był ogromnie dumny ze swojego dzieła. „Udałem się [tym statkiem] w podróż z Kioto do Edo — wspomina — czyli równie daleko, jako bym się w Anglii wyprawił z Londynu do przylądka, który z kornwalijską Lisardem lub Końcem Ziemi zowią”. Statek ten dowiódł z czasem swojej dzielności morskiej, gdy bez szkody odbył ryzykowny rejs przez Pacyfik. Ieyasu pożyczył go bowiem hiszpańskiemu gubernatorowi Filipin, którego własny okręt rozbił się u wybrzeży Japonii.

Utrudziwszy się w przekonaniu, że mądrze zrobił, pozostawiając Adamsa przy życiu, Tokugawa regularnie wzywał go do dworu. „I co czas jakiś obdarowywał mnie rozmaitymi prezentami, w końcu zaś rentę roczną mi przyznał”. Szturman William miał w ten sposób znaczny dochód — około siedemdziesięciu bakanów w srebrze i ponad kilo ryżu dziennie.

Imiennie ze zgrozą śledzili karierę tego wilka morskiego, zaprzeczając prawdziwej wiary. Byli wściekli, kiedy nie udało im się doprowadzić do jego ukrzyżowania, a teraz zdali sobie sprawę, że im to zagraża on ich stosunkom z szogunem. „Odkąd języka się nauczył — pisze padre Valentin Carvalho — do Ieyasu miał swobodny i mógł pałac odwiedzać, kiedy mu się żywnie podobało. Był zaś heretykiem był, Kościół nasz tudzież sługi jego nieustannie zmuszając się silił”. Wiedzieli, że zamordować Adamsa byłoby niebezpiecznie, spróbowali więc innego sposobu. Zdwoili siły, żeby nawrócić go wraz z jego ludźmi na katolicyzm, rozumując, że jeżeli uda im się osiągnąć w tej kwestii choćby częściowy sukces, przyniesie to ich misji wielki pożytek.

Uważali sobie sprawę, że nie będzie to łatwe zadanie, na wypadek niepowodzenia mieli więc w zanadru rezerwowe warianty — między innymi tę niezwykłą propozycję, iż „samemu oraz kompaniom jego bezpieczne Japonii następcą opuszczenie”. Przekonani, że Adams i jego ludzie „mową swoją tudzież doktryną przewrotnymi duszyczki chrześcijan zaraża, tak jeszcze wobec wiary katolickiej świeże i nieobyte”, gotowi byli narazić się na gniew Ieyasu, który nieuchronnie spadłby na nich, gdyby pozwolili Adamsowi i reszcie ukradkiem wymknąć się z kraju.

W roku 1605 jeden z zakonników — jest prawie pewne, że był to padre João Rodrigues — spotkał Adamsa na dworze i podjął śmiały zuchną próbę nawrócenia Anglika: „Skorzystał ze sposobności, iżby za pomocą argumentów tudzież faktów bezspornych, z Pisma Świętego zaczerpniętych, fałszywości jego wiary mu dowieść, a prawdziwość religii katolickiej wykazać”. Adams odmówił się do mnicha z lekceważeniem i śmiało stanął w obronie protestantyzmu. „Miał ci on bystry rozum — czytamy w jezuitckiej relacji — a choć i nieuczony, na obronę swych błędów owoż Pismo święte przytaczać próbował”.

Widząc, iż Adams nawrócić się nie da, padre zaproponował, że pomoże ocalałym członkom załogi „Liefde” dostać się na najbliższy statek, jaki odpłynie z Nagasaki. Lecz choć szturman William gorąco pragnął opuścić Japonię, bynajmniej się nie kwapił powierzyć własnego życia najzjadlejszym wrogom. Odrzucił

więc propozycję i jeszcze bardziej rozgniewał jezuitów, nągnięci wając się z ich słabnących wpływów na dworze.

Adamsa i jego ludzi próbowała także nawrócić niewielka grupa franciszkanów, przyjęła jednak dużo mniej tuzinkową strategię. Jeden z braci — niejaki Juan de Madrid, fanatyk i niewątpliwie wariat — doszedł do wniosku, że z tak zatwardziały heretykami nie ma co debatować, zaproponował więc, że zamiast tego uczyni cud. Wezwał potencjalnych konwertytów nad zatoką Uruga nieopodal Edo i kazał im wybrać jeden z dwóch wariantów nadprzyrodzonego zdarzenia. Wskazując dwa szczyty górskie, wznoszące się po przeciwnych stronach zatoki, oświadczył, że „drzewo wielkie z wierzchołka jednej góry na drugą może wodą przenieść może”. Gdyby zaś protestanci woleli inny rodzaj cudu, mógł też „górze całą ze szczytem usunąć z widoku”.

Śmiejąc się w kulak, heretycy odparli drwiąco, że właściciel tych ziem byłby nierad, gdyby jego góra nagle znikła. Stropiony nieco ich wesołością, braciszek zaproponował dwa kolejne warianty: „wstrzyma słońce na fermamencie, jako za czasów Juanaego wstrzymanym było... [lub] przejdzie po wodzie, ze świętego Piotra wzór biorąc”. Zatrzymania słońca protestanci wcale sobie nie życzyli, twierdząc, że ich wrażliwa skóra doznałaby oparzeń. Bardzo im natomiast przypadła do gustu ostatnia propozycja. Zgodnie orzekli, że o niczym tak nie marzą jak o tym, aby ujrzeć brata Juana chodzącego po powierzchni wody.

Adams nastawiony był nie mniej sceptycznie niż pozostali. Oświadczył, że „głęboko jest przeświadczone, iż cuda wszelkie dawno już ustały, a te z ostatnich czasów zmyśleniem są jedynie, nijakiego szacunku niegodnym”. Sceptycyzm dodał tylko ani muszu braciszkowi, zdecydowanemu dowieść mocy swojej wiary. Franciszkanin był tak pewien sukcesu, że obszedł całe miasteczko Uruga, zapowiadając dokonanie cudu, „toteż zdarzenie owo podziwiać przyszły mieszkańców tysiące”.

Ludzie z „Liefde” wprost nie mogli się doczekać widowiska. Żaden nie wierzył, że braciszek dokona cudu, z radością czekali więc, aż ośmieszy się na oczach olbrzymiego tłumu. Lecz gdy brat Juan zaczął ostatnie przygotowania, raptem się zaniepokoił. Znany był jako dobry pływak, zaświtało im więc, że zamierza uciec się do jakiejś sztuczki czy szachrajstwa. „Braciszek zaopatrzył się w drewna kawał wielki kształtu krzyża — czytamy w jednej z relacji — co sięgał mu od pasa aż do stóp”. Nie bardzo było wiadomo, jakim właściwie sposobem urządzenie to ma pomóc bratu Juanowi utrzymać się na powierzchni, sprawiało jednak

niebezpieczną konstrukcję, która „każdego pływaka, niechby i miernego, zmusiłaby przed pójściem na dno, ten zaś akurat człek swymi rękami i nogami pływaczymi zdążył był szeroko zasłynąć”.

Właśnie już jednak za późno, żeby zdemaskować przed tłumem jego szalbierstwo. Brat Juan zszedł bowiem nad samą powierzchnię, zachowując się z wielką ostentacją i popisując przed licznymi zgromadzoną gawiedzią. Modlił się i żarliwie żegnał znakiem krzyża, przyczym ostrożnie postawił stopę najpierw na powierzchni, a zaraz potem na dnie. Podobnie stało się z drugą stopą. Wzrost sunął naprzód, lecz jego ciało jakoś nie miało ochoty poddać się ciężarowi, a „drewna kawał wielki” najwyraźniej nie spełniał swojego zadania. Franciszkanin brnął dalej, szybko się pochylając, ponieważ brzeg w tym miejscu stromo opadał. Krzyż nie tylko nie posłużył jako boja, ale ścigał w dół niefortunnego konwertytę. Brat Juan tkwił już w wodzie po szyję i wyglądało na to, że każda chwila zanurzy się z głową. Ludzi z „Liefde” ogarnęła panika. Kłehior van Santvoort podbiegł do czołna i zepchnął je na bok, żeby wyratować niemądrego *padre*, ten bowiem „mimo całej swojej sprytu i świętości już był utonął”. Mokrego, ubłoconego i przerażonego wyciągnięto z morza. Jego śmiała próba nie powiodła się — „ku papistów wszytkich tudzież inszych braci i braci ian niezmiernemu zgorszeniu”.

Nazajutrz rano Adams odwiedził brata Juana, chcąc go wypytować o niedoszły cud. Nieszczęśnik był w kiepskiej formie. Anglik zapytał go „złożonego chorobą”, choć gdy zagadnął o rzekome zdolności cudotwórcze, franciszkanin natychmiast odzyskał siły. „Gdybyście — odparł — byli we mnie wierzyli, bez wątpienia podolałbym”. Adams nie oparł się pokusie, żeby dokułać braciszkowi, mówiąc: „Co się mię tyczy, tom zawczasu wyznał swoją niewiarę w to, że się waści uda, teraz zaś jeszcze lepiej sposobność mi się zdarza, aby opinię tę podtrzymać”. Złamanym i upokorzonym, brat Juan uznał w końcu swoją porażkę, i „spakował manatki i wyniósł się z kraju”. Popłynął do Stanów, wcześniej dotarła tam jednak wieść o jego wyczynie. Tłum podziwu tłum zgotował mu triumfalne przyjęcie i nadał przydomek *O Milagreiro*, czyli „cudotwórcza”. Ale tamtejszy biskup — również franciszkanin — okazał się mniej wyrozumiały i „za ową pochopną próbę do lochu go wsadził”. Bo też próba chodzenia po wodzie rzeczywiście była pochopna; wiadomość o nieudanym spacerze niebawem obiegła całą Japonię i podobno jeszcze w wiele lat później „żywa była pamięć o tak niezwykłym cudotwórcy”.

Kiedy jezuita i franciszkanie pogodzili się z tym, że nie zdołają nawrócić zalogi „Liefde”, zaczęli ze zdwojoną uwagą śledzić poczynania protestantów. Zakon jezuitów, który utrzymywał swoich mnichów w wielu japońskich miastach, zorganizował cały system łączności, umożliwiający szybkie przekazywanie wiadomości do centrali w Nagasaki. Nie zawsze jednak było łatwo mieć Holendrów i Anglików na oku, gdy rozdzielwszy między siebie otrzymane od Ieyasu pieniądze, osiemnastu ocalałych rozbiło się na mniejsze grupki i każda poszła własną drogą. Jedni postanowili kręcić się wokół dworu w nadziei, że uda im się skorzystać z opieki Tokugawy. Inni uznali się za pokonanych przez zły los i do szczętnie zapili. Po paru latach od chwili, gdy morze wyrzuciło ich na japoński brzeg, żyło tylko trzynastu.

Kilku całkiem nieźle urządziło się w przybranej ojczyźnie. Jan Joosten van Lodensteijn dostał tej łaski, że Ieyasu przyznał mu taką samą rentę jak Adamsowi. Przedsiębiorczemu platnikowi z „Liefde”, Melchiorowi van Santvoort, poszło jeszcze lepiej. Wydzierżawił od Japończyków pewną liczbę dzonek i zaczął z wielkim powodzeniem (choć na małą skalę) prowadzić handel między Japonią a Indochinami. Żaden jednak nie umiał tak jak Adams dowieść, że jest szogunowi po prostu niezbędny. Szturman William stał się protegowanym Tokugawy i ku przerażeniu jezuitów zyskał rangę wyroczni: „Cokolwiek bym rzekł – pisał Adams – [Ieyasu] nigdy mi kłamu nie zadał”. Anglik uczył Tokugawę geometrii i matematyki, służył za tłumacza i udzielał najrozmaitszych rad w sprawach zagranicznych. Przedtem przez wiele lat Ieyasu pytał w tych kwestiach o zdanie padre João Rodriguesa, a także korzystał z jego usług jako nadwornego tłumacza. Teraz jednak zaczął coraz bardziej zdawać się na Williama Adamsa, skazani na pośrednictwo Anglika jezuita znaleźli się więc w sytuacji nie do pozazdroszczenia. „Wielkie zdumienie ogarnęło niegdysiejsze wrogi moje – pisze Adams – oto bowiem błagać mię muszą o przysługę”. Początkowo niechętnie pośredniczył w ich sprawach (byli to wszak ci sami ludzie, którzy jeszcze niedawno próbowali doprowadzić do jego ukrzyżowania), w końcu jednak postanowił, jak pisze, „dobrem za zło odplacić... [a] Bóg pobłogosławił me trudy”.

Liczył na to, że mocna pozycja na dworze pozwoli mu z czasem uzyskać od szoguna zgodę na wyjazd z Japonii. Odkąd przybył do tego kraju nieomal jako rozbitek, nie miał żadnych wiadomości od żony i córki, coraz bardziej więc pragnął wrócić do domu. W nadziei, że prośba jego spotka się z zrozumieniem,

przebiegł do Ieyasu z wielkim uczuciem: „Zgłosiłem się z supliką do króla, żeby kraj swój opuścić mi dozwolił, ile że małżonkę i dziecię i działki w zgodzie z naturą i sumieniem użrzeć laknę”. Ieyasu spochmurniał, słysząc to żądanie, i odmówił zgody: „Moja miłość nie byłaby kłopotem – wspomina Adams – i nie zechciałbym cię mi ruszyć do kraju mego nigdy więcej”.

Wraz po raz ponawiane prośby Adamsa o zgodę na wyjazd z Japonii martwiły szoguna, doskonale zdawał on sobie bowiem sprawę, że angielski sługa posiada wiele pożytecznych umiejętności. W nagrodę za oddane usługi postanowił więc obsypać go zapłatami, obdarować ziemią i innym dobrem, licząc, że zachęci ten sposób Anglika do osiedlenia się w Japonii na stałe. Adams chciał już kupić dom w Edo, teraz zaś ni stąd, ni zowąd wszedł w posiadanie znacznie większej majątności. „W zamian za przysługę, któremu już był wyświadczył i dzień w dzień świadczę, pozostać w jego służbie, cesarz zapewnił mi utrzymanie”.

„Dobro utrzymanie” stanowiła rozległa posiadłość wiejska, położona w Hemi na półwyspie Miura nieopodal Edo. Dom – podobnie jak większość japońskich dworów – był zapewne zbudowany z czerwonego drewna i wznosił się na palach. Przez rozłożone drzwi z bambusa wychodziło się na werandę z widokiem na lasy, zagajniki i śnieżysty szczyt dalekiej góry Fudzi. Adamsowi, któremu znaczna część życia upłynęła wśród panującego w Limehouse niechlujstwa i nędzy, majątek ziemski zapewnił wysoką pozycję i powszechny szacunek. Szturman William był kultą dziedzicem, obarczonym obowiązkami i odpowiedzialnością, a zarazem sprawującym całkiem realną władzę nad podległymi mu ludźmi. W granicach posiadłości leżało kilka stajek, zamieszkałych przez „osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu włóścian”, czyli poddanych, „którzy są niewolniki albo długi moje”. Ilekroć Adams wracał z Edo do swojego dworu, „okoliczanie” stawali szpalerem wzdłuż drogi, witając pana i jego gości.

Widok ten zdumiałby każdego angielskiego dziedzica. W czasach jakobińskich angielscy ziemianie byli, owszem, właścicielami rozległych terenów. Do nich też należały jelenie i sokoły, spawalniki i teriery. Lecz sprawując władzę nad dzierżawcami, musieli się liczyć z dworskimi oficjalistami i stanowiskiem parafii. Adamsa nie kępowały tego rodzaju ograniczenia. „Każdy ma własną swą i służbę w absolutnej władzy – pisze Valignano w *Historia del Principio*. – Może posiekać, jeśli nie całkiem usieć, tego jeno zechce, sprawiedliwie lub nie, jak mu się żywnie podo-



William Adams w swoim majątku w Hemi uprawiał ryż. Sadzili go i zbierali chłopcy pańszczyźniani, którzy – jak pisał – „są niewolniki albo slugi moi”

ba, przed nikim sprawy nie zdraić”. Dzierżawcy i poddani ze strachu przed karą okazywali Adamsowi najwyższy szacunek. Ilekroć wracał do Hemi, towarzyszyli mu, biegnąc obok jego konia, i zachowywali się z ostentacyjną pokorą. Stoicyzm, z jakim chłopcy japońscy zgadzali się na swój los, nie przestawał zdumiewać Europejczyków. „Żyją szybko i wcale są kontenci mimo nędzę i ubóstwo swoje” – pisze Valignano, po czym dodaje: „Zmiany rangi społecznej są w Japonii pospolitą, wręcz codzienną rzeczą, w żadnym innym bowiem kraju na świecie koło fortuny nie obraca się tak żwawo jak tutaj”.

Niebawem szogun zdobył się wobec Williama Adamsa na jeszcze większą hojność. Z wdzięczności za oddane dworowi usługi i w dowód szacunku, jakim darzył Anglika, podjął zaskakującą decyzję: postanowił mianowicie przyznać mu „tytuł lordowski... [którego] nigdy przedtem żaden cudzoziemiec nie oczymał”. Owa „lordowska” godność była rzeczywiście wielkim zaszczytem i nie miała precedensu w dziejach Japonii. Wyniesiony do rangi *hamamoto*, czyli chorążego, został Adams w peł-

tego słowa znaczeniu dworzaniem Tokugawy. Związał się z grupą wielkich wojowników, którzy od wieków pisali japońską historię, gdyż wszyscy inni *hamamoto* byli zahartowanymi wojownikami samurajami, tworzącymi coś w rodzaju elitarnego korpusu oficerskiego czy też wojskowej biurokracji. Ludzi tych cenił szogun ze względu na ich niezachwianą wierność oraz okazane w bitwach męstwo, toteż znaczną część czasu poświęcał doskonaleniu się w sztuce wojennej. Adamsa awansowano do rangi samuraja niejako wbrew tej tradycji. Anglik nigdy nie był pod wodzą Ieyasu, nie był też mistrzem wojennego rzemiosła. Przysłużył się władcy w sposób bardziej przyziemny, ale nie mniej użyteczny. Jako doradca i tłumacz dostarczył mu wiele ze swiata, o którym Ieyasu nie przedtem nie wiedział.

Wspomina się, że w jakiś czas po tym awansie Adams porzucił europejski strój i zaczął się ubierać zgodnie z japońską modą. W późniejszych latach z dumą wspominał dwa krzywe miecze, które nosił jak każdy samuraj. W swoich pismach często też narzekał o kupowaniu jedwabiu i atlasów. Z tych właśnie tkanin wykonanej sztytu tradycyjne kimono dworskie o zwisających rękawach, wykwintnie zdobione. Cudzoziemcom trudno było się im przyzwyczaić, kiedy usiłowali owinąć się tymi wielkimi płachtami i nie potrafili umocować je na sobie. Prawidłowe ich noszenie wymagało specjalnej wprawy. „Pierwej prawą połą się owijają – pisze pewien hiszpański nowicjusz – zaczem na prawą nakładają połą drugą”. Tkaninę przytrzymywał wytworny pas jedwabny, owinięty wokół brzucha i związany na biodrach. Jeśli nie zawiązano go dostatecznie ciasno, całe kimono mogło zsunąć się na ziemię.

Adams najwidoczniej poradził sobie z japońskimi ubiorami. Wyznał się też biegle władać wysoce skomplikowanym językiem. Lubił, kiedy nazywano go Anjin Sama, czyli Pan Pilot. Niebawem poczuł się w przybranej ojczyźnie tak bardzo u siebie, że zaczął w swoim dzienniku posługiwać się kalendarzem japońskim, pisząc na przykład: „ósmego dnia miesiąca, który *Shemo* miesiąc”.

I chociaż od lat ubiegał się o zezwolenie na wyjazd, otrzymanie tytułu i majątek przekonały go, że w Japonii ma pewniejszą przyszłość niż w Anglii. Był właścicielem posiadłości ziemskiej i domu w Edo. Osiągnął też na dworze pozycję, o jakiej w rodzinnym kraju nie mógłby nawet marzyć. Nadal jednak wspominał żonę i córkę, a w listach rozmyślał nad ich losem: „W Bogu wierzę, że dostanę przez tego czy owego spośród przyjaciół



Cudzoziemcy długo musieli ćwiczyć się w sztuce noszenia kimono. Często bywały to uszyte z mocno wzorzystej tkaniny. W biodrach przepasywano je szeroką szarfą.

moich nowinę o bliskich mi osobach, o żonie i dzieciach, często cierpliwie wyczekuję". Wiedział jednak, że może minąć wiele lat, zanim jego listy dotrą do Anglii na holenderskich statkach, które zawijały do japońskich portów, a jeszcze mniej prawdopodobne jest, iż uda mu się kiedyś znów połączyć z rodziną.

Od dawna pociągała go córka zarządcy dróg, niejakiego Magome Kageyu, który zawiadywał systemem rozstawnych koni na jednym z wielkich traktów cesarskich, wybiegających z Edo. Choć piastował ważne stanowisko, nie był człowiekiem szlacheckiego rodu ani też nie miał wysokiej pozycji społecznej. Do tego, żeby wybrać jego córkę Oyuki na kochankę, raczej nie skłonili Adamsa względy finansowe, a już na pewno nie nadzieja nowych konekt, jakie mógłby nawiązać, mając Magome za teścia. Prawdopodobnie był szczerze zakochany, toteż po odbyciu nakazanych obyczajem zalotów ożenił się z dziewczyną. Odtąd po dwóch stronach kuli ziemskiej mieszkały dwie panie Adams, nic o sobie nawzajem nie wiedząc.

Adams był zachwycony tą dobrą passą i potrafił docenić to, że wszystko ułożyło się jak najlepiej. „Bóg — pisze — zasławił się u mnie, gdy wpadł w ową wielką niedolę”. Adams miał otrzymać jeszcze lepszą wiadomość. W roku 1609 — z dawien dawna jego zaprzysięgli wrogowie — zostali pokonani w nieoczekiwany kryzys, z którego wynikło ostre starcie między spokojnej zatoce Nagasaki.

* * *

Nagasaki nie było widać z morza. Z obu stron otaczały je strome zbocza zaleszone cedrów. Labirynt uliczek ukazywał się oczom żeglarzy dopiero, gdy statek wpływał do zatoki, która w tym czasie służyła za naturalną przystań. Wioska kwitła, od roku 1580 jej gospodarstwa rolne i drewniane chaty przeszły pod dyktando jezuitów. Nagasaki stało się znakomicie prosperującym portem, czerpiącym wielkie zyski z handlu chińskimi jedwabami, a na jego ulicach wznosiły się najrozmaitsze budowle: kościoły, seminaria duchowne i domy mieszkalne. Lecz przybylsze, którzy spodziewali się zastać w tym miejscu portugalskie miasto, byli zdumieni, stwierdzali ze zdumieniem, że przypomina ono wiele bardziej osad, rozrzuconych wzdłuż brzegów Kiusiu. Domy kupców i rzemieślników były ozdobnymi dachami w stylu japońskim, wzniesionych do góry okapach, a nawet całkiem skromne domostwa miały przesuwne drzwi bambusowe, wyklejone prześwitującym papierem. Najbardziej zaskakujące wrażenie sprawiał kościół katolicki. Zbudowano go na planie sześciokąta, a układ piętrowy nawiązywał do pagody. W sumie budynek ten przypominał bardziej buddyjską świątynię niż chrześcijański dom modlitwy.

W zacienionych drzewami ulicach często kłębił się gęsty tłum, czekał na gdy w porcie składał coroczną wizytę statek z Makau. Kupcy i marynarze uganiaли się za prostytutkami i przesiadywali w piwniczkach molinach, a wąsaci *fidalgos* — portugalscy szlachcice — wędrowali w bufiastych pantalonach, butach ze sprzączką i kapeluszach o miękkim rondzie. Najbogatsi kupcy przybywali z własnym orszakiem niewolników i sług, którzy nosili ich w portkach jedwabiem lektykach. Wielu spośród tych kupców należało do bractwa Misericordia, zrzeszającego zarówno mnichów, jak i ludzi świeckich, połączonych wzniosłymi ideałami i wspólnotą katolickiej wiary.

Doroczne przybycie portugalskiego okrętu z Makau zwiastowały uczty i obchody. W roku 1609 okazja jeszcze bardziej niż

zwykle domagała się świętowania, ponieważ od wielu lat nie dotarł do Nagasaki ładunek równie bogaty jak ten, który przysyłała „Nossa Senhora de Graça” („Nasza Pani Łaskawa”). W jej ładowniach leżała wręcz oszalamiająca ilość jedwabiu – dwieście ton, wartych sześćset tysięcy cruzados – i cała góra srebra w sztabach. Jezuita byli zachwyceni, bo jako pośrednicy w tej dziwniejszej transakcji mieli szansę zgarnąć okazałe zyski.

Wkrótce się okazało, że przybycie okrętu z tak cennym ładunkiem budzi zazdrość i chciwość. Japoński gubernator Nagasaki wysłał uzbrojoną straż dla dokonania oględzin ładunku – czego miał zresztą pełne prawo – ale pyszałkowaty kapitan nie wpuścił jej na pokład. Oburzyło to gubernatora. Oznajmił, że nie będzie uda się na okręt, lecz jemu także odmówiono wstępu. Jego oburzenie szybko ustąpiło miejsca furii, gdy poznał nazwisko kapitana. Był nim André Pessoa, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej jako gubernator Makau mocno naraził się Japończykom swoimi poczynaniami w owej kolonii. Kiedy grupa japońskich marynarzy zaczęła rozrabiać, Pessoa kazał swoim ludziom nie drzeć się do ich kwatery. Wielu Japończyków zginęło przy tej okazji. Tym, których schwytano żywcem, kazano oświadczyć w piśmie, że biorą na siebie całą odpowiedzialność za rozlew krwi. Gdy ich zwolniono, wrócili do Japonii i opowiedzieli o swoich cierpieniach.

Wiadomość o tym, jak kapitan Pessoa zachował się w Makau, szybko dotarła do Ieyasu, który w pierwszym odruchu chciał ukarać Portugalczyków grzywną. Lecz gdy usłyszał, że Pessoa zlekceważył też gubernatora Nagasaki, postanowił uciec się do bardziej radykalnych rozwiązań, czyli „ubić kapitana, Portugalczyków wygubić do nogi i zagarnąć okręt wraz z ładunkiem całym”. Kapitana Pessoa wezwano przed oblicze Tokugawy, zapewniając go, że nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności za śmierć japońskich marynarzy. Wietrząc zdradę, nader niechętnie odmówił zejścia na ląd i pozostał na okręcie, kryjąc się w rzędami armat. Nieposłuszeństwo to tak rozwścieczyło Ieyasu, że kazał miejscowemu wielmoży, niejakiemu Arimie Harumoto, pojmać kapitana i zawładnąć okrętem.

Arima z satysfakcją zabrał się do wykonania rozkazu, ponieważ w konflikcie w Makau uczestniczyli jego ludzie, był więc żądny zemsty. Zgromadził około tysiąca dwustu samurajów i w pierwszym tygodniu stycznia 1610 przygotował atak, który miał nastąpić pod osłoną nocy. Samurajowie w trzydzieści łodzi przepłynęli zatokę Nagasaki, tak pewni zwycięstwa, że po drodze obrzucali Pessoa

kamieniami i strzelali z muszkietów w nocne niebo. Dopiero gdy dotarli na niebezpiecznie małą odległość, Pessoa poczęsto strzelał do nich salwami burtowymi, co dla samurajskiej floty było dla niego istną rzezią. Na domiar złowagi „każdej salwie towarzyszył hajnal na fletach [trąbkach] odegrany”.

Japońskie Armię musieli się wycofać i przegrupować, lecz choć nie mogli wypływać lodziami w stronę okrętu, nie mogli do niego dobić. Przez trzy noce z rzędu wielkie działa Pessoa strzelały ich do odwrotu. Szóstego stycznia portugalski kapitan postanowił przeprowadzić swoją karakę z zatoki i ruszył ku otwartemu morzu, które nęciło go nadzieją bezpieczeństwa. Zdesperowany postanowił przeprowadzić decydujący atak na portugalski okręt. Aby zwiększyć skuteczność ataku, kazał swoim ludziom zbudować drewnianą platformę na dwóch łodziach wielkich się niosła”. Dorównywała ona szerokością masztom portugalskiego okrętu, a dla ochrony przed ogniem pokryto ją mokrymi skórami. Pragnąc zwiększyć skuteczność ataku, Arima wzmocnił armię tysiącem ośmiuset świeżo przywiezionych najemników. Atak rozpoczął się około dziewiątej nocy i okazał się dużo skuteczniejszy od poprzednich. Kilku portugalskich żołnierzy udało się przedostać na pokład, gdzie zaczęli dobijać Portugalczyków. Dwóch samurajów udało się zdobyć choćby długich mieczów o zakrzywionych klingach, rozsiekali ich portugalscy obrońcy. Dwóch samurajów własnoręcznie zabił Pessoa.

Okręt „Nossa Senhora de Graça” triumfowała i już zaczynała odchodzić z zatoki, gdy sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Przypadkowy strzał z muszkietu pewnego samurajskiego żołnierza trafił w granat, którym jeden z obrońców miał właśnie strzelać do Japończyków. Od płonącego szrapnela zapalił się rozsypany proch i nagle zajął się ogniem bezanżagiel. W ciągu paru sekund zapłonęło całe omasztowanie. Pessoa z miejsca zrozumiał, że wszystko jest stracone, a okręt nie uniknie zagłady. Podniecony i wściekły, postanowił zainscenizować efektowny finał. „Z nieulekłym sercem miecz i tarczę bez słowa w karabinie ustawił, zaczęłam w jedną dłoń krucyfiks, w drugą zaś głowę mieczu stawiając, pod pokład zszedł i w prochowoni ogień podłożył”. W kilka minut był natychmiastowy i katastrofalny w skutkach. „Nossa Senhora de Graça” nieco się uniosła, pękła na dwoje, tryskając strugami ognia, i poszła na dno. Spoczęła trzydzieści dwa sążnie pod wodą, a po Pessoa nie zostało ni śladu, ni popiołu.

Ieyasu był wściekły, kiedy o tym usłyszał. Zagroził, że wybijie wszystkie portugalskie kupców w Nagasaki i wygna z kraju wszystkich jezuitów. W końcu jednak rozsądek wziął górę i Tokuga-

wa odwołał pogroźki. Jednego tylko spośród skazanych na wygnanie nie zechciał ulaskawić: uparł się, że padre João Rodrigues, niegdyś nadworny tłumacz, musi spakować manatki i wyjechać. Po prostu przestał być potrzebny, Ieyasu miał już bowiem nowego tłumacza — Williama Adamsa — którego towarzystwo bandzie mu odpowiadało.

Zatonięcie „Nossa Senhora de Graça” mocno podkopało pozycję jezuitów. Stracili trzydzieści tysięcy cruzados, znaleźli się więc „w najżałośniejszym położeniu, jakie imaginować sobie można”. Był to zarazem cios dla portugalskich kupców, ponieważ przepadł im całoroczny dochód. Ich sytuację pogorszyła wizyta dwóch statków holenderskich, które przybiły do wysepki Hirado, położonej zaledwie o parę godzin żeglugi od Nagasaki. Jednym z nich podróżował przedsiębiorczy kupiec, pracownik holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, niejaki Jacques Specx. Miał przed sobą niewdzięczne zadanie, kazano mu bowiem założyć w Japonii faktorię, czyli placówkę handlową.

Kupcom i mieszczanom z Rotterdamu już dawno nasunął się pomysł nawiązania stosunków handlowych z Japonią. Minęło ponad osiem lat, odkąd dotarła do nich wiadomość o niezwykłym rejsie „Liefde”, dostarczona przez holenderskiego obywatela świata, Olivera van Noort. W Indiach Wschodnich spotkał on japońskich kupców, którzy opowiedzieli mu, jak to „wielki okręt z Niderlandów, sztormami stargany... do Japonii był zawinął”. Nowina ta zaintrygowała holenderskich mieszczan, zbyt byli jednak wtedy zaprzątnięci wyrabianiem sobie pozycji w innych krajach Wschodu. Ze wszystkich placówek holenderskich najbliższej Japonii leżała faktoria w Pattani na Półwyspie Malajskim, którą kierował ślamazarny Victor Sprinckel. Wykazywał on niewielkie zainteresowanie pomysłem przeprawy przez Morze Wschodniochińskie, a jeszcze mniejszy entuzjazm budziła w nim idea niesienia pomocy rodakom na obczyźnie. Kiedy w roku 1600 dwaj ludzie z „Liefde” zaproponowali mu nawiązanie stosunków handlowych z Japonią, oparł się ich namowom, zląkał natomiast przybyszów za to, że pozwolili, aby William Adams — jedyny ocalały z załogi Anglik — został najzaufanszym powiernikiem Ieyasu.

Jacques Specx był bardziej dynamiczny od Sprinckela, ale szybko zdał sobie sprawę, jak trudne go czeka zadanie. Miał zaledwie trzech pomocników, przy czym żaden nie znał miejscowego języka, a ich suma wiedzy o Japonii równała się niemal zeru. Kiedy dzięki pomocy Adamsa poprosił Tokugawę o zezwolenie na

handel, został życzliwie przyjęty. Ieyasu natychmiast oświadczył, że pragnie handlować, i wystosował do księcia Maurycego, „pana na Niderlandach”, entuzjastyczny list, w którym zapewnił go, iż zachwycony jest perspektywą goszczenia w Japonii holenderskich przybyszów. „Cóż stoi na przeszkodzie wzajemnym i okresnym wizytom między krajami dwoma, które duch pobawny ożywia — napisał — choćby dzieliły je mórz i lądów tysiące albo i dziesiątki tysięcy mil?”

Entuzjastyczny list Ieyasu przyjęto w Holandii chłodno. Kupcy nie mieli wolnych statków, które mogliby wysłać do Japonii, zatemnie więc Specx godzinami wpatrywał się smętnym okiem w horyzont, z nadzieją, że ujrzy przyjazną banderę. W obawie, że Tokugawa cofnie mu zezwolenie na handel, zwrócił się do Adamsa z prośbą o pomoc w załatwieniu drugiej audiencji u szoguna. „Imię Adamsa tak bowiem wkraść się w łaski monarchy — czytamy w dzienniku pewnego Holendra z tamtych czasów — że żaden władca ni ziągę w owej krainie nie był odeń lepiej ustosunkowany”.

W lutym 1611 Specx i Adams udali się na dwór, gdzie wyszedł im na spotkanie naczelnik doradców szoguna wraz z kilkudziesięcioma innymi urzędnikami dworskimi. Szturman William powitał Specksa, jak należy się zachować w takiej sytuacji, a Holender z kolei zastosował się do jego wskazówek. „Sililiśmy się z japońskimi rozmawiać — ze zdumieniem odnotował Specx — z czego wiele wzajemnych komplementów wynikało”. Tymczasem zbliżało się południe, a wraz z nim pora audiencji u Ieyasu. Drzwi otworzył wykwintnie odziany dworzanin. Specksa wezwano do sali posłuchań i kazano mu położyć przyniesione w darze dywany i kły słoniowe na przygotowanym w tym celu stoliku. Następnie zaproszono go przed oblicze Tokugawy, żeby złożył władcy hołd. „Złożyłmy już pozdrowili cesarza — wspomina holenderski autor dziennika — zapytał nas, ilu mamy żołnierzy na Molukach; czy handlujemy na Borneo; i czy prawdą jest, jakoby właśnie stamtąd pochodziła najlepsza kamfora?” Potem Ieyasu zaczął wypytywać Specksa o wyroby północnoeuropejskie i o to, „jakie też wonec drewna mamy u siebie w kraju i które z nich najwyżej cenimy”. Adams tłumaczył odpowiedzi Holendra, które Tokugawa przyjmował z widocznym zadowoleniem. Speckowski powiedział szogunowi, że szogun „rzadko z kim uradza tak poufale, nawet i z wielkimi panami kraju swego”.

Gdy tylko spotkanie dobiegło końca, Adamsa wezwano z powrotem do sali posłuchań na prywatną audiencję. Siedział tam

Ieyasu, mając rozłożone przed sobą dary od Holendra, i „kolej tkaniny, bibeloty, aksamity i oręże wszystkie obzierał, aż rzekł: «Gdy przybędą niderlandzkie okręty, czy przywiozą ciekawostek a wyrobów pięknych wiele?»» Adams zapewnił go, że tak właśnie się stanie, „obiecując Jego Wysokości, iż statki z Holandi przybyłe dóbr pięknych obfitością będą ładowne. Na co odparł cesarz: «Tak, tak, widzę ja, iż Olendrzy mistrzami są rzemieł wszelkich, a także i wojennego cechu zacni z nich majstrowie»».

Dzięki temu, że w roli tłumacza wystąpił Adams, Holendrom przedłużono zezwolenie na handel. „Olendrowie są już urzędnikami — pisze Anjin Sama — jam zaś zdobył dla nich przywilej [handlowy], jakiego Hiszpanie ni Portugalczycy przez tych pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, odkąd tu nastali, nigdy nie zdołali uzyskać”. Właśnie przekazywał Speckowski tę dobrą nowinę, gdy dotarła do niego niepokojąca wiadomość o przybyciu na dwór liczne go poselstwa hiszpańskiego, które zamierza prosić o natychmiastowe wygnanie Holendrów z Japonii. Ani Adams, ani Specx nie przewidział takiego obrotu zdarzeń. Stojący na czele poselstwa Sebastian Vizciano, ambasador z Nowej Hiszpanii, zaprezentował się z możliwie największą pompą, „w kaftan z kryzą, kurtę, pantalon, pelerynę, ludzich czapkę z piórem i złoceniami świetnie odziany”. Na nogach miał białe trzewiki z fikuśnymi guziczkami, a całości dopełniały złoty miecz i sztylet. Posłowie towarzyszyła eskorta dwudziestu czterech muszkieterów, którzy z takim zapalem dawali ognia, że „baryłkę prochu w ledwie godzinę zużyli”.

Poselstwo zabiegało nie tylko o wygnanie Holendrów z Japonii. Vizciano przedłożył też szereg innych żądań, a najważniejsze z nich dotyczyło zgody na skartowanie wybrzeża wyspy Ieyasu wyraził tę zgodę z właściwą sobie wspaniałomyślnością, wkrótce jednak poczuł, że ubliża mu niepoohamowana pycha ambasadora, ten bowiem odmówił padnięcia na twarz przed Tokugawą (uzasadniając tę odmowę faktem, iż król hiszpański jest największym władcą na kuli ziemskiej) i zażądał, aby duchownym hiszpańskim pozwolono bez ograniczeń odwiedzać Japonię. Ieyasu, który dotychczas zachowywał spokój, okazał w końcu gniew. „Wyznawana u was w kraju doktryna w niczym do tutejszej jest niepodobna — oświadczył — ...najlepiej zatem będzie, jeśli położymy kres jej głoszeniu na ziemi naszej”.

Oburzony Vizciano zaczął się domagać, aby Holendrów — a wraz z nimi Adamsa — wygnano z Japonii. Tego już było Tokugawie za wiele. Wstrząśnięty arogancją Hiszpana oznajmił

mu, że „nawet diabłom z piekła rodem” zapewniłby traktowanie godne „aniołów niebieskich”, póki byłyby posłuszne japońskim prawom. Ostrzegł też Vizciana, że „kraj Jego Wysokości dla wszystkich cudzoziemców otwartą jest i nikomu wstępu w jej granice odmawiać się nie godzi”.

Specx i Adams byli zachwyceni, kiedy opowiedziano im o szlachetnym zachowaniu kapitana Vizciano, który otwarcie się dotknął, że król Hiszpanii „za nic sobie ma handel z Japonją”, a jednemu z japońskich wielmożów oświadczył, iż hiszpański władca pragnie jedynie ocalić japońskich pogan przed wiekuiącą siłą w ogniu piekielnym: „Jego chrześcijański maiestat — powiedział — żywi pobożne pragnienie wpojenia Świętej Wiary katolickiej nacyom wszystkim gwoli ich zbawienia”. Zniesmaczony jego tupetem Ieyasu zwrócił mu podarunki, „jako miał nadzieję czynić cudzoziemcom, gdy żądań ich spełnić się nie śmiał”. Nigdy przedtem nie spotkał się z tak jawnie okazywaną pychą, dał więc wyraz głębokim wątpliwościom, czy aby do tego zrobił, pozwalając Hiszpanowi odwzorować na mapie postrzępioną linię brzegową Japonii.

Kiedy poprosił Adamsa o radę, Anglik starannie ją sformułował, aby możliwie najbardziej zaszkodzić hiszpańskiej sprawie. Chciał mianowicie, że król Hiszpanii wypełnia dalekosiężny plan podboju całego świata i obrał nader sprytną strategię: otóż do krajów, którymi chce zawładnąć, wysyła jezuitów i innych zakonników, żeby nawrócili jak najwięcej ludzi, gdy zaś potem przybędą wojska główne, łatwo im jest zdobyć przyczółek i przypuścić zeń atak. Adams oświadczył szogunowi, że prośbę taką odrzuciliby królowi angielski władca, jest bowiem oczywiste, iż Hiszpanie pragną jedynie wybrać dogodne miejsce dla desantu.

Wkrótce po wizycie Sebastiana Vizciano Adams znów pobiegł listami ku Anglii. Nękały go obawy, czy aby wiadomość o jego ocaleniu dotarła do Londynu, bo jeśli nie, to rodzina i przyjaciele nie otrzymali „nijakiej pewnej wieści, jak mniemam... czyli żywi, czyli martwi”. Rozpaczliwie pragnął zawiadomić bliskich, że wciąż jeszcze żyje. „Prośby i błagania w imię Jezu Chrysta zanotowałem, żeby przynajmniej bytność moja tutaj w Japonii małżonce mej wiadomą się stała” — pisze. Problem polegał jednak na tym, że Adams nie mógł mieć całkowitej pewności, czy jego listy rzeczywiście dotarły do Anglii. Nieliczne statki holenderskie, które załadowały do portów japońskich, potrzebowały kilku lat, aby wrócić do kraju, i nie było żadnej gwarancji, że ich kapitanowie przekażą gubernatorowi korespondencję Adamsa.

Anjin Sama nie wiedział, że Holendrzy z rozmysłem zatrzymują jego listy. Ci samolubni, bezwzględni, z gruntu nieuczciwi, twardzi kramarze gotowi byli zrobić wszystko, żeby wiadomości o Japonii nie dotarły do Anglików. Zdołali nawet zataić przed Adamsem, że angielskie statki od prawie dziesięciu lat kursują do Indii Wschodnich, a grupka angielskich obywateli już w roku 1603 założyła na Jawie stałą placówkę. Podczas wieloletniego pobytu na Wyspach Japońskich dzieliła więc Adamsa od rodaków odległość, którą można było przebyć statkiem w niecałe dwa miesiące.

Kiedy wreszcie to wykrył i uświadomił sobie, jak bardzo zawiedli Holendrzy jego zaufanie, wpadł w furję. „Gdybym wiedział, że nasze angielskie okrenty w Indjach handlują — napisał potem do przyjaciela — dawno już byłbym cię fatygował listami swemi, lecz Olendrowie czymali rzecz owę w najściślejszym przede mną zataieniu aż do roku 1611, kiedym to raz pierwszej wieść tę oczymał”.

Wysłał więc rozpaczliwy list do grupki Anglików, którzy urządzili się w jawajskim porcie Bantam. W liście tym opowiedział o wszystkich przygodach, jakich zaznał podczas jedenastu lat w Japonii. Nie mając pojęcia, do kogo właściwie pisze, opatrzył swoją epistołę dość żałośnie brzmiącym nagłówkiem: „Do przyjaciół i rodaków nieznanym”.

„Osimielałem się skreślić tych oto wierszy kilkoro — napisał — zacnej kompaniję zlaknionym będąc... którą to efronterją mę danować waszmościowie raczcie”. Zdając sobie sprawę, że adresaci nie wiedzą, kim jest, powiadomił ich, iż nazywa się William Adams i dorzucił nie bez dumy: „Znają mię co nieco w Radcliffe i w Lincolnehouse”. Błagał, żeby rodacy, nie szczędząc wysiłków, przekazali jego list do Anglii, i dostarczył im wykaz swoich dawnych przyjaciół. „Wiem ci ja — napisał — że litosierdzie ze współczuciem po społu nakazują, iżby przyjaciele moi jako i krewni wieść dostali, że wcięż żyw jest, acz pielgrzymki smętnej całunem spowity”.

Zachęcał też rodaków, żeby przybywali do Japonii, donosząc im, że panujące w tym kraju warunki jak mało gdzie na świecie sprzyjają handlowi. „Ludzie tutejsi [są] z przyrodzenia dobrzy, dworni bez miary i waleczni w bojach”. Dodał, że w Japonii przestępczość i oszustwa stanowią znikomy problem i że „w świecie całym nie masz krainy lepiej od wewnątrz rządzonej”. Świadom, że zazdrość o sukcesy Holendrów zawsze Anglików mobilizuje, powiadomił ich również, iż „Olendrowie mają tutaj grosiwa gowy wierutne”.

Wiedział, że skoro Portugalczycy i Hiszpanie popadli w nielaskę, a personel placówki holenderskiej jest nie dość liczny, trudno w najlepszym momencie, aby Anglicy z Bantamu spróbowali szczęścia w Japonii.

DO NIEZNANYCH KRAJÓW

NOC w Bantamie zapadała nagle. Gdy tylko bezlitosne równikowe słońce zniknęło w Morzu Jawajskim, niebo zalewało atramentowa czernią. Mieszkającą w tym zdradzieckim porcie garstkę Anglików na osiem godzin ogarniał strach, że tubylczy łowcy głów poderzną im gardła. Szef placówki, niejaki Augustine Spalding, przywykł o zmierzchu ryglować warowną bramę, modląc się, aby w środku nocy nie nadleciały zza palisady płonące strzały.

Bantam — główny przyczółek Anglików w Indochinach, a zarazem tętniący życiem port na północnym wybrzeżu Jawy — przyciągał liczne flotylle chińskich dżonek, arabskich daw i miejscowych proa, przybywających aż z Indii, Chin i Japonii. Był to jeden z najważniejszych ośrodków handlowych w Indiach Wschodnich. Zarówno drobni przekupnie, jak i znaczniejsi kupcy handlowali tam muszkatem z Moluków, indyjskimi perkalami, chińską porcelaną, a niekiedy też wyrobami z japońskiej laki.

Niewielką angielską faktorię założono w Bantamie już w roku 1603, kiedy to doświadczony kapitan James Lancaster (dowódca pierwszej wyprawy, zorganizowanej przez Kompanię Wschodnioindyjską) polecił zgromadzić zapas przypraw jedenastu ludziom, których tam zostawił. Ku swojemu zdumieniu znaleźli się oni wśród wielonarodowej społeczności. Rojące się od kupców bazy i targi korzenne tworzyły barwne widowisko. Jawajscy tubylcy nosili przepaski biodrowe z perkalu i aksamitne tuniki. Bogaci kupcy wkładali czapki z tafty i owijali się szerokimi perkalowymi pasami. Wyglądali w tych strojach, jakby wybierali się na dwór, aby wziąć udział w wieczorowym przyjęciu. Kupcy chińscy ubierali się jeszcze strojnziej: przywdziewali długie szaty i togi, a głowy często nakrywali jedwabnymi czepkami, tylko częściowo zasłaniającymi długachne warkocze; zaplecione w przetłuszczony węzeł. Zakapturzone opończe wysokich urzędników miejskich prezentowały się dość groźnie, a miejscowi kapłani mieli ten dziwny

wzrost, że całowali ziemię. Jeszcze bardziej niepokojące wrażenie sprawiała grupa szalonych wróżbitów, którzy — jak twierdzi angielski faktor, Edmund Scott — „biegali po ulicach jak błędni, nagle miecze w dłoniach dzierżąc, włosy z głów rwąc i na ziem się rzucając”. Kolorytu lokalnego dopełniał małoletni władca Bantamu, który lubił jeździć po mieście rydwanem zaprzężonym z parą śnieżnobiałych bawołów.

Bantam w sam raz nadawał się do tego, żeby w nim kupować przyprawy, lecz dla ludzi, którzy po rocznej z górą podróży przeciekającym i urągającym wszelkim zasadom higieny statkiem i tak już cierpieli na ostrą dyzenterię, był najgorszym na świecie adresem. Zaledwie pierwsi faktorzy angielscy zdążyli studiować sobie dom, natychmiast zaczęli umierać. Kierownik i jego zastępca umarli w ciągu kilku miesięcy, a resztę powaliły gwałtowne ataki zatrucia i ostrej febry. Rychło się przekonali, że gnający, nekany chorobami Bantam jest jednym z najmniej higienicznych miejsc na Wschodzie. Spustoszenie siały tam tyfus i cholera, nieustannie też zagrażała malaria, ponieważ mokradła i błotniste równiny służyły moskitom za doskonałe lęgowisko. Wkrótce kapitan określił Bantam mianem „zaśmiardłej potrawy”. Inny kwaśno stwierdził, że „chory wydobrzeć tam nie zdoła, za to ten, kto przybył w dobrym zdrowiu, jak nie umrze”.

Angielska faktoria — jednopiętrowy budynek z drewna i trzciny — stanowiła nadzwyczaj wątłą konstrukcję: „wszystkie górne piętra naszych domów z racyi upału na przestrzał są otwarte” — pisał jeden z jej mieszkańców. W porze monsunów często zalewały ją deszcze: woda spływała kaskadą przez luźną strzechę i ściekała aż do portu. W południe ściany i dach nie chroniły ludzi przed prażącym słońcem, a wieczorami atakowały ich chmury moskitów. Najgorsze były jednak noce: na całym obwodzie zewnętrznego parkatu umieszczano płonące pochodnie, „bez nich bowiem Jawajczycy, nie że ralkiem są czarnej karnacyi, mogliby zmienacka spaść na nas ciemną nocą, nimbyśmy ich wysłępic zdążyli”.

Faktorzy nie wiedzieli, co to sen, gdyż jawajski światek przepędzający napastował ich od zmierzchu aż do świtu. „Jeśli się ćwiczyć w podpalaniu naszego głównego domu — pisze Scott — dziesiątki i strzały ogniste w noc miotając”. Trzciniowy dach parokrotnie zajmował się ogniem i ledwie zdążano go w porę ugasić. Anglików nieustannie przesładowała myśl, że spłoną żywcem w swoim składzie towarów. „Na samo słowo «ogień» — wspomina Scott — w mej przytomności wyrzeczone już to po angielsku, jak to w malajskim, jawajskim bądź chińskim narzeczu, choćbym



niem najgłębszym zmorzon leżał, wnet z łóżka bym wyskoczył". Byli nieustannie oddawali się zdradzieckim knowanom, „byli nocą wyrznąć nas do nogi”, toteż faktorów nie opuszczała troska, że zginą z rąk łowców głów nagłą lub powolną, męczenniczą śmiercią. Wiele przemawiało za tym, żeby przenieść faktorię na inną stronę, ale nie potrafili się do tego zmobilizować. Ponieważ spędzili ponad dziewięć lat w jednym miejscu, ta niewielka placówka dawała im namiastkę poczucia stabilizacji, a z czasem stała się centrum operacyjnym dla wszystkich angielskich kupców handlujących na Wschodzie.

Dwudziestego szóstego kwietnia 1612 roku kierujący faktorią Augustine Spalding ujrzał z radością, że do zatoki wpływa angielski statek. „Żadne angielskie okręty wprzód tu nie zawijały” – odnotował. Marzył o takiej chwili od ponad roku, wybiegł więc na brzeg, żeby się upewnić, czy mu się aby nie przywidziało. Wzrok go nie mylił: statek pod nader trafną nazwą „Glob” przybył do Bantamu, kończąc w ten sposób czwarty etap rejsu, i raczej niezwyklej odysei, której szlak wiódł przez porty Azji Południowo-Wschodniej.

Wyprawę tę obmyślili dwaj śmiali przedsiębiorcy, Peter Floris i Lucas Antheunis. Dwa lata przed omawianymi zdarzeniami ci samotni, niewyraźni osobnicy pojawili się w Londynie i udali prosto na Philpot Lane, gdzie mieszkał kierujący Kompanią Wschodnioindyjską sir Thomas Smythe. Natychmiast wydali mu się podejrzani. Przyznali wprawdzie, że są Holendrami, ale przeszłość mieli mocno tajemniczą; nasuwało się wręcz przypuszczenie, iż występują pod przybranymi nazwiskami, aby ukryć swoją tożsamość. Obaj zdążyli jednak zdobyć spore doświadczenie w handlu na Wschodzie, a złotousty Floris z imponującą elokwencją wykladał, jak można najbardziej skorzystać na bogactwach Orientu. Jeden z jego rodaków wspomniał później, jakoby miał on dostęp do „wszelakich sekretów i konszachtów, co mogło przynieść im [Anglikom] pożytek zaiste nieoceniony”.

Floris przedstawił sir Thomasowi nadzwyczaj śmiały plan. Coraz bardziej zaniepokojony nadmierną podażą przypraw na rynkach londyńskich i amsterdamskich, wiedział zarazem, że na Wschodzie czekają ogromne, wciąż jeszcze nietknięte bogactwa. Wpadł więc na pomysł, żeby zaniechać handlu przyprawami w takiej formie, w jakiej zazwyczaj go prowadzono, i zająć się nader zyskownym handlem wewnętrznym w Azji Południowo-Wschodniej, sprzedając i kupując luksusowe towary na Jawie, w Indochinach i Japonii. Rozumiał, że drogo sprzedać da się tyl-



Bantam zamieszkiwała wielonarodowa społeczność. Tubylczy kupcy (u góry) nosili za pasem sztylety o płomienistych klingach, zwane krisami. Cudzoziemscy handlowcy (u dołu) w swoich barwnych szatach wyglądali jeszcze egzotyczniej od tubylców. Trzej tutaj przedstawieni — zapewne kupcy korzennni — pochodzą z Pegu (w Birnie, dzisiejszy Myanmar), Persji i Arabii.



to największe rarytasy, potrzebna mu więc była grupka awanturników, gotowych zapuścić się w głąb terenów, których nigdy przedtem nie odwiedził żaden Anglik: w monsunowe lasy Indochina, w nieskartowany interior Syjamu (dzisiejszej Tajlandii) lub wciąż jeszcze podówczas nieznaną Japonię. Floris i Antheunis chcieli zorganizować sieć niewielkich faktorii, obejmującą cały Wschód od Jawy aż po Japonię, i zamierzali osadzać swoich ludzi wszędzie, gdzie się da.

Smythe żywił namiętne umiłowanie przygód — pod warunkiem, że wynikały z nich wymierne korzyści — a pomysł Florisa mocno go zaintrygował. Sir Thomas także od dawna z troską patrzył na to, że z powodu nadmiernej podaży nastąpił wyraźny spadek cen przypraw, radził więc kupcom przerzucić się na inne towary — takie jak jedwab — „których nadmiaru w tutejszych szatach chrześcijańskiego rejonach nie masz”. Jeszcze większym entuzjazmem zapalał na wieść, że Floris i Antheunis gotowi są zaangażować w przedsięwzięcie półtora tysiąca funtów. Chętnie zgodził się zatem, żeby ruszyli w rejs pod auspicjami Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Król Jakub I też udzielił im poparcia, zdając sobie sprawę, że zwiększone wpływy z opłat celnych pomogą mu napelnić pusty skarbiec. Napisał więc listy polecające do wschodnich książątek i cesarzy. Jeden z nich, adresowany do „wielkiego króla Japonii”, utrzymany był w pochlebnym, wręcz służalczym tonie. Król donosił japońskiemu „królowi”, że jest pod ogromnym wrażeniem opowieści o jego „wiążącej a łaskawej dyspozycyjej”, przy czym wyjaśniał, iż pisze, pragnąc „o przyjaźń i życzliwość i łaskawości zabiegać”. Nader dyplomatycznie przemilczał to, że chciałby też zyskać dostęp do nieprzebranych — jak fama niesie — bogactw Japonii. Wspomniawszy jednak, iż spodziewa się dać początek „wymianie towarów, które obu naszym krajom intratę przynieść mogą”. Nie sprecyzował, jakie by to miały być towary, lecz każdy Anglik z łatwością odgadłby, co król ma na myśli. Angielski monarcha chciał, żeby Japończycy kupowali angielskie sukno, szczerze płacąc za nie srebrem.

Królowi Jakubowi marzyło się założenie w Japonii stałej placówki handlowej, poprosił więc szoguna o „królewską nad handlowym ich urządzeniem opiekę”. Oświadczył też, że kazał Florisowi i jego ludziom „okazywać poddanym Waszej Królewskiej Łaski wszelkie względy, jakie dworność i przyjaźń dyktuje”, i wyraził nadzieję, iż zachowanie uczestników wyprawy podczas pobytu w Japonii nie pozostawi nic do życzenia. Obiecał japoń-

skiemu „królowi”, że gdyby któryś z jego poddanych wybrał się w podróż do Anglii, będzie tam miał zapewnione „wygody i potrzeby wszelakim dogadzanie”. List kończył się modlitwą „[oby] Bóg Wszechmogący... zachował Waszą Królewską Mość w dobrym zdrowiu, we wszystkich przedsięwzięciach sprzyjając Jej... i zwycięstwem nad nieprzyjaciół ją obdarzył”.

Choć król Jakub I i sir Thomas Smythe pokładali w tej ekspedycji wielkie nadzieje, głośno dawali wyraz wątpliwościom, czy aby mądrze robią, zlecając dwóm Holendrom zadanie, które ma poniekąd charakter angielskiej misji dyplomatycznej. Smythe dołożył szczególnych starań, żeby wybrać odpowiedniego kapitana. Anthony Hippon „był to człek zacności i mądrości wielkiej”, obdarzony tak wybitnym talentem przywódczym, że zyskał przydomek „dobrego pasterza”. Sir Thomas powiększył też liczbę uczestników wyprawy o znanego sobie osobiście kupca, Roberta Browne’a. Wybór ten należałoby uznać za trafny, gdyby nie to, że Browne był wyjątkowo podatny na chorobę morską. Po każdym obfitym obiedzie, złożonym z boczku i przestalego piwa, dostawał gwałtownych torsji, wychylał się za burtę i wymiotował. Każda przejażdżka szalupą na brzeg zadawała mu jeszcze straszliwsze katusze, wkrótce więc okazało się, że nieszczęśnik musi „gnuśnić na pokładzie”.

Pozostałym kupcom i żeglarzom zdrowie dopisywało, lecz pożytek był z nich znikomy. Szyper Thomas Essington miał kłótniwy charakter i niewielkie doświadczenie. Szturman John Johnson raz po raz „do tyła się upijał, że na nogach ledwie zdolen był stać”, a starszy oficer okazał się nałogowym hazardzistą. Majtkowie John Palmer i Richard Bishop zapalali do siebie tak namiętną nienawiścią, że doszło między nimi do pojedynku, a wielu innych członków załogi na różnych etapach rejsu wszczynano bunt.

„Glob” wyruszył z południowej Anglii w pierwszym tygodniu lutego 1611 roku i jął szybko zmierzać w stronę Przylądka Dobry Nadziei, gdzie rzucono kotwicę i wysłano szalupę na ląd. Choć Floris ubolewał, że „o tej roku porze leguminy da się tam nabyć małowiele”, zdołano załadować na „Glob” osiemdziesiąt owiec i dwadzieścia sztuk bydła. Był to zapas aż nazbyt wystarczający do dalszej żeglugi w stronę Indii, gdzie podróżnicy mieli nadzieję kupić bawełnę i perkal, tak cenione w Syjamie i na Jawie.

Floris i Antheunis bywali już na subkontynencie indyjskim i wiedzieli, że na wschodnim wybrzeżu Indii są trzy główne ośrodki handlowe — Pulikat, Petapoli i Macilipatnam. Próba ładowania w najdalej na południe wysuniętym z tych trzech por-

tw — Pulikacie — o mało nie zakończyła się katastrofą, gdy wysłano bowiem w stronę brzegu szalupę, zerwała się wściekła nawałnica. „Byliśmy w ciężkiej obieży — napisał Floris — zabrałszy zaś Imć Browne, a to z racy choroby, na którą cierpi”. Podczas gdy Browne powierzał swoje wymiociny ciepłym wodą Zatoki Bengalskiej, pozostali ciągnęli za wiosła i w końcu dopłynęli do brzegu, gdzie jednak okazało się, że mają niewielkie szanse zrobić w tych stronach interes, ponieważ urządziła się tam już grupa holenderskich awanturników, a miejscowa władczyni — nader kapryśnie usposobiona dama — odmówiła imo przybyłym audiencji. Upał coraz bardziej dokuczał, nerwy dawały znać o sobie, a stan Roberta Browne’a jeszcze się pogorszył. Kupiec wymiotował tak straszliwie, że do opieki musiano sprowadzić na brzeg kapitana Hippona, bo prócz objawów choroby morskiej widoczne były symptomy jakiejś paskudnej tropikalnej przypadłości. Floris coraz bardziej burzył się przeciwko traktowaniu, jakie go spotkało, aż wreszcie postanowił podnieść żagle. Orzekłszy z furją, że władczyni to „stara kuleta”, zabrał ludzi z powrotem na „Glob” i popłynął na północ w stronę Petapoli.

Tam jednak handel okazał się jeszcze mniej owocny, Floris zaczął więc obracać kurs na Macilipatnam. Robert Browne był już w tak złym stanie, że spytał, czy nie można by go wysadzić na brzeg, skąd udałby się do Macilipatnamu drogą lądową. Nie miał jednak siły wsiąść do szalupy, musiał więc dalej znosić kołtanie i wstrząsy. Jeszcze przez tydzień ciężko chorował, a gdy śmierć pokryła mu się trupią bledością i przybrała żalobny wyraz, stało się jasne, że koniec jest bliski. Z dziennika okrętowego dowiadujemy się, iż „kole dziewiątej wieczór chory Imć Browne oddał ducha... nazajutrz zaś rano na brzegu był pochowany, gdzieśmy też grobowiec mu wzniesli gwoli pamięci jego przyjaźnym przechodniom powierzenia”.

W Macilipatnamie mieli ostatnią na tym wybrzeżu szansę dojecha targu, Floris uparł się więc, że tym razem musi im się udać. Choć miejscowy władca był „łotrem” i „niegodziwcem”, handlowi udało się niezwykle tanio kupić perkale, sarongi i ręcznie malowane tkaniny. Zachwycony, że nabył znaczną ilość dóbr „za mały stan posiadania wielce jest w tej dobie zadowolający”. Mógł teraz pożeglować do Bantamu, mając pewność, że kupi tam jeszcze więcej towarów, na które bez trudu znajdzie nabywców w Pattani na Półwyspie Malajskim.

W Bantamie zgotowała mu radosne przyjęcie malejąca garstka Anglików, którzy mieli nieszczęście tam mieszkać. Augustine Spalding ubolewał, że angielskie statki tak rzadko odwiedzają owe strony, i zwierzył się Florisowi, jak trudno jest mu choćby minimalnie wychodzić na swoje. Głównym problemem był brak dobrych pracowników; z tych akurat, którzy z największym zapędem wyszukiwali coraz to nowe rynki, firma miała podejrzenie małą korzyść. Tuż przed przybyciem Florisa wysłał Spalding grupę ludzi na zachodnie wybrzeże Borneo, do leżącego wśród bagien portu Sukadana, gdzie diamenty można było kupić za bezcen. Lecz choć tych swoich przedstawicieli szczerze wyposażył w srebro, faktoria znalazła się niebawem w obliczu bankructwa. „Naszym jeniuszom nijak zaświtać nie może, na czyją korzyść ten stan rzeczy się obraca” — z sarkazmem zanotował Floris, który doskonale zdawał sobie sprawę, że fundusze faktorii sprzeniewierzyli sami pracownicy jej filii.

Podczas pobytu w Bantamie zdążył sprzedać część bawełnianych tkanin i obmyślić następny etap podróży. Augustine Spalding namawiał go na rejs do Japonii, dodając, iż pewien holenderski statek przywiózł niedawno list, który William Adams napisał przed rokiem „do przyjaciół i rodaków nieznanych”.

„Posłyszawszy, jakoby angielscy kupcowie jacyś zamieszkiwali na wyspie Jawą zwanej — brzmiały pierwsze słowa owej epistoły — ze sposobności tak sprzyjającej skorzystać spiesząc, osiemleciał się skreślić tych oto wierszy kilkoro”. Floris już wcześniej słyszał pogłoski o samotnym Angliku, osiadłym w Japonii, nie miał jednak pojęcia, do jak wysokich stanowisk doszedł Adams. Z listu, który otrzymał Spalding, można było się dowiedzieć, że jego autor należy do najbliższego otoczenia szoguna i ma wielkie wpływy, płynnie mówi po japońsku i jest właścicielem wiejskiej posiadłości, leżącej nieopodal zamku Tokugawy. List ten zawierał też nader kuszącą nowinę, że Japonia obfituje w bogactwa naturalne, a jej mieszkańcy zlaknieni są zagranicznych towarów. Floris zapragnął więc wybrać się do Kraju Wschodzącego Słońca i oświadczył Spaldingowi, że przekaże Adamsowi wszelką korespondencję. Nie mógł jednak zrealizować tego pomysłu natychmiast, najpierw bowiem musiał pozbyć się kupionej w Indiach bawełny, co wymagało udania się do Pattani na Półwyspie Malajskim.

„Glob” wyruszył z Bantamu w maju 1612 roku. W ciągu piętnastu miesięcy, jakie minęły od początku rejsu, zaledwie siedmiu członków załogi zmarło od chorób, lecz wkrótce po rozpoczęciu

dalejnego etapu podróży dała o sobie znać bantamska kłątwa. Holenderski statek przepłynął Morze Jawajskie i ruszył wzdłuż wschodniego wybrzeża Sumatry, śmiertelność alarmująco wzrosła. „Założona z Bantamu pestylencja dzień w dzień w nas godziła — napisał Floris, patrząc, jak słabnie i wymiera załoga. — Otośmy dotychczas dwóch od biegunki [czerwonki pelzakowej] postradali”. W dwóch kolejnych dniach „Arthur Smith na biegunkę skonał”. W końcu tak osłabło, że nie nadawali się do pracy przy żaglach i takielunku. Gdy statek wpłynął do Zatoki Syjamskiej i rzucił kotwicę w porcie Pattani, w panującej tam wilgotnej duchocie marynarze nadal zapadali na rozmaite choroby.

W położonym na Półwyspie Malajskim mieście Pattani działała jeszcze wtedy niewielka grupa holenderskich kupców z Victorem Sprinckelem na czele. Byli to ci sami ludzie, którzy osiedlili się tam w roku 1605. Pattani — podobnie jak Bantam — było żywym, wielonarodowym portem. Egzotycznie ubrani kupcy z Syjamu traktowali je jak skład towarów i ośrodek handlu. Między Pattani a Japonią kursowały niekiedy statki. Na nabrzeżach często widywano się całe sągi syjamskiej cezalpinii⁴, bardzo cenionej w Japonii. Innym ważnym towarem był bezoar — kamień, stanowiący ponoć skuteczne antidotum na trucizny.

Holenderscy kupcy zdążyli się przekonać, że życie w Pattani ma swoje miłe strony. „Cudzoziemcom zwyczajnie niewiasty się obdarowuje, iżby za dnia w domu usługiwały — napisał jeden z nich — nocą zaś inakże świadczyły posługi”. Mógł to być nader przyjemny sposób spędzania tropikalnych nocy, pod warunkiem, iż rzeczona niewiasta nie była zamężna. „Cudzołóstwo w Indierci jest karane, którą sami rodzice winowajczyni taką modą wymierzają, jaka im się stosowną wyda”.

Holendrom — po których można się było skądinąd spodziewać zyczliwości wobec Florisa i Antheunisa — nie spodobało się, że ich rodacy są w angielskiej służbie, okazali więc jedynie „odrazę z niesmakiem pospołu”. Niemłoda już „królowa” Pattani zachowała się o wiele przyjaźniej. Wysoka, ołsniewająca, gibka jak młódka, wywarła na Florisie wielkie wrażenie. „[Była to] — napisał o niej — starka nadobna, acz w leciech posunięta, pewnie z kopę ich bowiem miała”. Ulubioną rozrywką, której oddawała się z wielką energią, były „łowy na woły [bawoły] dzikie”. Z zapędem też tańczyła. Nade wszystko lubiła jednak pa-

⁴ Inaczej *brezyljka sappan*. Z jej drewna, zwanego czerwonym drewnem, wyodrębniano podówczas czarny tusz, a ze strąków — czerwony (przyp. red.).

trzeć, jak jej dworacy robią z siebie błaznów, a gdy spostrzegła, że Florisa i jego ludzi również bawi widok tubylczych tańców, wymogła, iż sami także trochę potańczą, „co starej królowej niepomierną sprawiło uciechę”. Przeważnie zachowywała się bardzo towarzysko, lecz gdy miała już dość rozmowy, po prostu zasuwiała kotarę, odgradzając się nią od gościa. „W Indiach całych niewielem widział niewiast onej podobnych” – czytamy u Florisa.

Także owej „nadobnej” władczyni przywiózł Floris list od króla Jakuba I. Wręczył go z największą pompą i zadęciem, na jakie potrafił się zdobyć. Królewskie pismo „w złotej misie złożono – którą poniósł na grzbiecie słoń w orszaku minstrelki, kopijników i chorążych wielu”. Zachwycona tym popisem królowa pozwoliła Florisowi założyć faktorię i rozpocząć działalność handlową. Był to nader pomyślny obrót zdarzeń, najpierw jednak należało wyłowić ludzi. Świeże owoce mango i ananasy niewiele pomogły tym, co nadal cierpieli na czerwonkę, „których było wielkie mnóstwo... rzekłbyś, plaga jakowaś na statku się szerzyła”. Choroba najpierw zaatakowała prostych marynarzy, lecz nim statek zawi-



Królowa Pattani (w prawym górnym rogu, na słoniu) była baraną postacią. Dla rozrywki najchętniej polowała na dzikie bawoły. „W Indiach całych niewielem widział niewiast onej podobnych” – napisał Floris.

łód do Pattani, zaczęła nękać nawet i najwyższe szarże. Kapitan Hapsen zachorował wkrótce po przybyciu i odtąd słabł nieprzerwanie, aż stało się jasne, że już nie wyzdrowieje. Jego śmierć była ciężkim ciosem, w osobie kapitana załoga straciła bowiem „okrężny metropolny zarząd i spraw morskich znawcę”. W ślad za dowódcą uległ chorobie nawigator Thomas Smith, „astronom i żeglarz mamenty”, który dotychczas bezpiecznie prowadził „Glob” przez szlaki i płycizny. Potem nastąpiły dalsze zgony, aż w sumie zmarło dziewiętnastu ludzi.

Wiść o tej klęsce szybko rozniosła się po całym Pattani, toteż miejscowi przestępcy uznali, że pora uderzyć na Anglików, wdzierając się do ich składu towarów i skraść cenny zapas indyjskiej bawełny. „W dom nasz wtargnęli złodzieje – pisze Floris – i przedziwnego dopuścili się lupiestwa”. W składzie spało co najmniej piętnastu ludzi, w tym „Imć Lucas i ja w osobnym łóżu blisko siebieśmy spoczywali, a popod moją koją wielkie czarne psisko warowało”. Złoto i najcenniejsze zwoje bawełny przechowywano w ogromnym kufrze, „miedzy łóżem a kufrem było zaś miejsca ledwie dość, iżby wieko otworzyć i zamknąć”. Mimo to bezszelestnie stąpającym złodziejom udało się wejść do izby, nie budząc psa, rozbić kłódkę, na którą zamknięty był kufier, i ukraść pieniądze, bawełnę oraz rapier Florisa. „Dziw miarze, iż ani ja, ani nikt spośród domowników niczego nie zobaczył i nie posłyszał” – pisze Floris, zwłaszcza że „w domu paliła się lampa wisząca, a na dziedzińcu straż trzymano”.

Pomimo tych niepowodzeń podróżnicy usiłowali sprzedać część bawełny i kupić przeznaczone na rynek japoński towary. Miejscowi Holendrzy nadal unikali Florisa, zdołał on jednak zaprzyjaźnić się z jakimś Peterem Johnsoonem – obieżyświatem, który oznajmił mu, że wkrótce wybierze się do Japonii. Kiedy Floris uznał, że Johnsoonowi można zaufać, spytał go, czyby nie chciał przekazać listu Adamsowi. Johnsoon chętnie się zgodził, stwierdzając, iż „rad będzie pomoc okazać, da mu to bowiem sposobność wyświadczenia uprzejmości Imć Adamsowi, wobec którego jest dłużny”.

Niebawem stało się oczywiste, że handel w Pattani ucierpiał z powodu okolicznych wojen, a niegdyś zamożnym kupcom bynajmniej nie spieszo jest wydawać pieniądze na zbytkowne towary, które Floris sprowadził z Indii. Na „Globie” wszyscy zrozumieli, że muszą znaleźć inny rynek zbytu, zanim będą mogli ruszyć w rejs przez Morze Wschodniochińskie. Decyzja ta wywołała sprzeczne reakcje. Część załogi była więcej niż gotowa

wracać do domu, dość już napatrzywszy się śmierci i chorób, innym jednak pokonywanie trudności wręcz służyło. Niewielka grupka awanturników pod wodzą Lucasa Antheunisa zaproponowała, że uda się na niezwykłą wyprawę w głąb lasów Syjamu. Spodziewali się nabyć w tamtejszym interiorze wonne drewno, a także skóry egzotycznych zwierząt, niezbędne dla rozpoczęcia handlu z Japonią. Floris wyraził zgodę i pomógł zbudować łódź, którą śmiałkowie mieli popłynąć do Syjamu. Obiecał ruszyć w ślad za nimi na „Globie”, gdy tylko wyczerpie wszelkie możliwości handlu w Pattani.

Antheunis i jego ludzie odплыli w trzecim tygodniu lipca 1612 roku i zaledwie tydzień później wylądowali na syjamskim wybrzeżu. Miejscowa władczyni przyjęła ich życzliwie, oświadczając, że muszą udać się w głąb lądu, do Ajutthai — stolicy tej skwarnej i parnej krainy, „izby królowi wieść o przybyciu naszym zanieść”. Podczas tej podróży mieli zapuścić się na nieskarowane tereny. Nie istniały żadne mapy syjamskiego interioru, oni zaś słabo sobie wyobrażali, jakie ludy napotkają po drodze. Przed nimi odwiedził Syjam tylko jeden Anglik — elżbietański awanturnik Ralph Fitch, który prawie trzydzieści lat wcześniej dotarł tam drogą lądową z Indii. Kiedy w końcu wrócił do Anglii, jego najżywsze wspomnienia nie dotyczyły szans nawiązania wymiany handlowej, lecz dziwacznych obyczajów seksualnych, jakim hołdowali syjamscy mężczyźni. „Noszą [oni] kuleczki, inaczej galki nieduże, w przyrodzeniach swoich” — napisał później „Rozcinają skórę i pod nią one wsuwają, jedną z prawa, drugą zaś z lewa”. Syjamski tłumacz wyjaśnił Fitchowi, że ten bolesny zabieg uniemożliwić ma pacjentowi „płci męskiej bezczeszczenie”, dodał jednak z porozumiewawczym mrugnięciem, iż „nie wiasty do tak sprawionych wielce się palą”.

Ani Antheunis, ani jego ludzie nie mieli czasu zaprztać sobie głowy tymi seksualnymi dziwactwami, ich uwagę pochłaniała bowiem podróż w górę mętnej rzeki Menam. Wspomagani przez uzbrojonych w muszkiety „czarnuchów”, wiosłowali pod prąd walcząc ze spienionym nurtem. Gdy mijali sennie miasteczko Bangkok, dołączyli do nich tamtejszy burmistrz i jego zauszniak, którzy — jak pisze Antheunis — „nader życzliwe zgotowali im przyjęcie”. Potem łódź znów popłynęła w stronę Ajutthai. Im dalej zapuszczali się na północ, tym większe jeżyły się przed nimi trudności, ponieważ w kraju panowała niepewna sytuacja i lądowanie groziło niebezpieczeństwem. Coraz trudniej też było płynąć pod prąd ciężko wyladowaną łodzią. Mijali omszałe świąty-

ści i zawilgłe wioski, przeklinając tropikalny klimat. Z powodu bezamnej pogody — „trwała wszakże deszczów pora” — byli nieustannie przemoczeni do nitki. Nurt potężnej rzeki nabierał tempa, aż nagle wyrwał się spomiędzy niskich brzegów i mulista woda zalala gęstwę roślinności. „Skoro tylko kraina cała pod wodę poszła — napisał jeden z podróżników — wody rzeki ku nam z zjadłością wielką runęły”. Minął miesiąc z okładem, zanim dotarli do Ajutthai — starożytnego miasta panujących, w którym rezydował król Intharadza i jego dwór.

Władca ten z zachwytem, choć i z niejakim zaskoczeniem powitał niespodziewanych gości, „pytając, jak dawno temu ojczyznę swą porzuciliśmy, zaczem kazał nam się rozgościć i wolność handlu łaskawie przyobiecał”. Kiedy mu wyjaśniali, że chcą kupić rozmaite towary, aby je potem sprzedać w Japonii, słuchał z uwagą. Zdumiony brawurą Anglików, podarował każdemu z nich „pucharek złoty i cośkolwiek z przyodzienią”. Wkrótce okazał jeszcze większą hojnością, dał bowiem przybyłym „dom grzeczny wielce”, zbudowany z cegły, „który lat wiele jeszcze posłużyć może”. Ów „dom grzeczny” okazał się zbyt wygodny dla kilku spośród awanturników Antheunisa, zaczęli więc snuć szalone i zuchwałe rojenia o tym, żeby zapuścić się jeszcze bardziej północne rejony, w tropikalny interior Syjamu. Chcieli nadzieję dotrzeć do bajecznego miasta Luang Prabang, położonego w sercu lesistych gór, które stanowią dziś część najdalej na północ wysuniętej prowincji Laosu. Można tam było dotrzeć jedynie po wielotygodniowej podróży łodzią w górę bystrzyc, parujących rzek. Ich ociekające wodą brzegi porastała gęsta dżungla, w której kryło się wiele niebezpieczeństw oraz wiele gatunki niezwykłych zwierząt: langury, gibbony, mniejsze małpy i polatuchy. Tamtejsza ludność miała być podobno wojownicza i dzika. Holender John Huyghen van Linschoten, który długie lata spędził w Goa, gromadząc wiedzę o Wschodzie, relacjonował, że plemiona północnego Syjamu „w dzikości żyją chudekim mięsem się karmią, a ciała swe rozżarzonym żelazem smarują, za zamię swobody sobie to poczytując”.

Nierażona groźbą pożarcia przez kanibali, kilkuosobowa grupa w początkach roku 1613 wyruszyła na północ, mając nadzieję „w handlu tamecznym się rozeznać”. Wziąwszy ze sobą znaczną ilość bawełnianej tkaniny w czerwone pasy, którą Malajczyki nazywali gingamem, przędzę bawełnianą i ręcznie malowane płótna, śmiałkowie popłynęli w górę rzeki Menam, mijając potężne tekowce i ogromne lasy bambusowe. Wkrótce stało się

jasne, że handlować w tych stronach się nie da, ponieważ wielu kupców uciekło przed wojną, ekspedycja wróciła więc, przywożąc tylko nieco złota „nizkiej próby”.

Antheunis nie próżnował, gdy jego ludzie penetrowali północny Syjam. Dowiedziawszy się od kupców z Ajutthai, że Japończycy „bardzo są łasi” na cezalpinie, przyglądał się ze zdumieniem, jak dwie japońskie dżonki u nadrzecznej kei napelniają ładownie wielką ilością kosztownych towarów. Z jeszcze większym zdziwieniem stwierdził, że na jednej z nich pływa pewien Holender. Był to Jan Joosten van Lodensteijn, ocalały z załogi „Liefde”. Opowiedział on Antheunisowi, jak zaczął handlować z Indochinami, i zwierzył się, że liczy na „zysk niemały”. Spotkawszy wkrótce potem innego niedobitka z „Liefde”, Melchiora van Santvoorta, który na handlu indochińskim zdążył już zrobić majątek, Antheunis wypytał go o Williama Adamsa i poprosił o dostarczenie szogunowi listu od króla Jakuba I. Santvoort łaskawie się zgodził, zwiększając tym samym szansę, że „Glob” zostanie w Japonii życzliwie powitany.

Podczas gdy Antheunis i jego ludzie zajęci byli w Ajutthai, Floris popłynął na „Globie” z Pattani do Syjamu. Gdy rzucił kotwicę w ujściu Menamu, ogromne zwały czarnych chmur zapowiedziały rychłe nadejście potężnego tropikalnego sztormu. Położona w głębi łądu Ajutthaya pierwsza padła jego ofiarą. Straszliwa wichura runęła na miasto dwudziestego czwartego października 1612 roku, natychmiast powodując rozległe zniszczenia. „Zerwał się sztorm raptowny i powietrza wielkie poruszenie – napisał jeden z Anglików – jakiemu podobnych najstarsi ludzie w owym kraju nie pamiętali; drzewa z korzeniami wyrwane o ziem rzucało”.

Niebawem sztorm taranem uderzył w „Glob”. Pękły dwa łańcuchy kotwiczne, statek zaczął więc dryfować w stronę „skał ostrych wielce”, o które mógł rozbić się w drzazgi. Na szczęście załoga zdołała wyprowadzić go na głębsze wody. Mniej poszczęściło się ośmiu marynarzom, którzy właśnie płynęli szalupą „Zanim na pokład wnijsz zdążyli, uźrzeli, że statek się oddala, buraganowej mocy wichrem porwan”. Jęli wiosłować co sił, próbując doścignąć „Glob”, lecz od strony pełnego morza mknęły monstrualne fale, zalewając kruchą łódź. „Szalupa pod wodę poszła – napisał później Floris – a wraz z nią ludzi czterech utonęło”. Najbardziej makabryczną śmiercią zginął bosman George Pondet „od wieloryba połknięty” w całości niczym Jonasz. Bestia jeszcze przez pewien czas zataczała kręgi wokół statku, z wolna trawiając posilek.

Wypadek ten do głębi wstrząsnął tymi, którzy uszli z życiem. Osamotnieni, zdęci trwogą pośród tropikalnych wód, zaczęli rozstrzygać spory i „kapitanowi przymawiać napastliwie”. Zapamiętanie najłatwiej było znaleźć w alkoholu. Szturman John Johnson tak się upił i wyzbył zahamowań, że „jął ubliżać kapitanowi ze wgardą wielką i dla łżonego krzywdą niemałą, wyzykając go od lotrów, lajdaków, psów i inszymi niegodziwymi obżerając słowy”. Krzyczał i wrzeszczał, „aż wreszcie z miejsca powstał i cios pięścią kapitanowi zadał”. Floris nie pozostał mu dłużny i przez chwilę „mocowali się obaj, póki inni się w to nie wdał, iżby ich rozdzielić”. Johnsona wzięto pod klucz, żeby nie błądzał w kajucie, miał się jednak opętańczo, toteż Floris „obowi owej kajuty goźdźmi zabić kazał”. Lecz nawet ten środek ostrożności okazał się niewystarczający. Johnson wyłamał drzwi i zataczając się, wyszedł na pokład, „a z saczka sztylet obnażony mu sterczał”. Tym razem schwytano go i zamknięto w kabynie o mocniejszych drzwiach, których już wyważyć nie zdołał.

Wobec tak skandalicznego zachowania załogi Floris stracił całą awanturniczą. Wprawdzie nie całkiem pożegnał się z myślą o podróży na Wyspy Japońskie, ale kupcy z Pattani ostrzegli go, że „ci z Japoniję wielką żywią wrogość do miasta naszego i w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat dwakroć je ogniem spaliło”. Musiał też stawiać czoło coraz niesforniejszej załodze, bynajmniej niespragnionej dalszych przygód. Pod wpływem dobitnego klimatu Pattani i tropikalnych chorób marynarze podupadli na ciele i duchu. Wielu z nich „ku nieumiarkowanemu gnostwu się skłaniało” i za nic nie chciało się wyrzec ukochanego trunku. „Trudno – podsumował sytuację znużony Floris – żeby lampart cętek swych deseń przeinaczył”. Nadal próbował sprzedawać bawełnę, lecz nawet on stracił animusz, gdy w Pattani wybuchł pożar, który strawił prawie całe miasto. W październiku 1613 roku kazał podnieść kotwicę i pożeglował do huli, zostawiając na zgłiszczach Pattani garstkę swoich ludzi. Końcu innych wolało pozostać na odległej syjamskiej placówce w Ajutthai, którą kierował niezłomny Lucas Antheunis. Pozbawiony kontaktu ze światem zewnętrznym, nie tracił jednak nadziei, że angielskie statki przyplyną jeszcze kiedyś do Syjamu, gromadził więc zapasy cezalpinii, tak cenionej w Japonii.

Dłuzas gdy Floris i jego załoga cierpieli w Pattani, w Bantamie bawiła inna grupa angielskich obieżyświatów. Dowodził nimi niebaczny na przeszkody kapitan John Saris, który odwie-

dział już ten port przed trzema laty. W październiku 1612 roku po raz drugi ujrzał przed sobą Bantam, wprowadził więc do zatoki swój statek, zwany „Goździkiem”. Nie cieszył się jednak z powrotu. Panował nieznośny skwar, a moskity były istną plagą, zwłaszcza w porze zmierzchu. „Okolica tutejsza tak jest nieznośna” — napisał, ubolewając, że jego ludzie „na brzegu nieprzebiecznie sobie folgują, napitków i kurew bez umiaru zażywają”. Łajdaczyć się w Bantamie rzeczywiście było niebezpiecznie, wśród tamtejszych prostytutek szerzył się bowiem syfilis. Pierwszy zmarł bosmanmat John Scott, któremu „franca wątpia wżarła”. „Niech Bóg ma w opiece resztę załogi; jeśli wierzyć medykowi, niejeden [z nich] już jest zarażon” — wzdycha Saris w swoich notatkach.

Kapitan Saris od dawna marzył o podróży do Japonii. W czasie poprzedniego rejsu do Bantamu zbadał możliwości nawiązania wymiany handlowej z ową nieznaną krainą i stwierdził, że można by w niej osiągnąć znaczne zyski, sprzedając luksusowe towary. Wyobraził sobie, że zrobi majątek na handlu jedwabiami i atlasami „słodkościami” i drewnem sandałowym. Zastłyszal też od bantamskich kupców, jakoby Japończycy pasjonowali się „zmysłowymi facecyami [małowidłami], o wojnach na morzu i lądzie opowiadającymi”. W Londynie przekazał te informacje sir Thomasowi Smythe’owi, który więcej niż chętnie zgodził się, żeby Saris odbył tę wysnioną eskapadę. Przypomniano mu wprawdzie, że „najbliższym i najpierwszym celem onej naszej wyprawy są Indie”, upoważniono go też jednak do zapuszczenia się dalej na wschód. „Zyczeniem naszym jest, kapitanie Johnie Saris, iżbyś waść poprowadził «Goździk» i co rychlej na Japonję kurs wziął”.

Dziwne, że dowódcą wyprawy, której przyświecał tak delikatny cel, mianowano akurat Johna Sarisa. Ten skrajny służbiasty, a zarazem ekscentryk, pedantycznie przestrzegał dyscypliny, lecz jednocześnie był pod pewnymi względami niezwykle barwną postacią. Pasjonował się pornografią i sztuką erotyczną, toteż swoją kabinę udekorował całą kolekcją aktów, przedstawiających pulchne i bujne piękności. Największą chlubą tych zbiorów było wielkie płótno z nagą Wenus o obfitych piersiach, „nader wyuczenie odrobioną”. Miał też jednak wiele innych eksponatów, które skromnie określał mianem „ksiąg tudzież obrazów” i w zaciszu swojej kajuty pokazywał wybranym gościom.

Wiosną 1611 roku dyrektorzy Kompanii Wschodnioindyjskiej nic nie wiedzieli o słabości do pornografii, której ulegał Saris. Ten szorstki w słowach młodzieniec wydał im się idealnym kandyda-



Wizualizacja kapitana Sarisa wynikała, że Japończycy są zapalonymi konsumentami, na co wskazuje chociażby przedstawiona tu scenka uliczna z Kioto. Saris miał nadzieję wzbogacić się na obrocie jedwabiami, atlasami i drewnem sandałowym.

tem na dowódcę. Podobnie jak wielu innych prokurentów był w rodzinie jednym z młodszych synów i gdy zrozumiał, że nie ma szans odziedziczyć nic z rodzinnego majątku, postanowił ruszyć na morze. Barwne rysy jego charakteru były jak najbardziej podobne do Smythe’a, ponieważ właśnie dzięki nim mógł Saris dość umiejętnie wywiązać się z zadań angielskiego ambasadora. Musiał zaś spełnić tę funkcję, wiózł bowiem kolejne listy od króla Jakuba I. Zarazem jednak potrafił odnaleźć się w roli opryskliwego szorstkiego w mowie wilka morskiego. Jego ludzie narzekali na to, że ma „wredną dyspozycją” i „tyraniczne maniery”, lecz szybko rozumieli, iż polajanki i chłosta niezbędne są dla utrzymania dyscypliny.

Pod umiejętnym dowództwem Sarisa „Goździk” szybko opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i dotarł do Komorów, leżących nieopodal Madagaskaru. Kapitan po raz pierwszy miał tam okazję sprawdzić, jak działa jego ambasadorski urok na tubylczego króla. Kazał swoim ludziom odegrać fanfarę na cześć egzotycznego władcy imieniem Bubukari, po czym zaprosił Jego Królewską Mość na ucztę. Pominąwszy to, że właśnie trwał ramadan, więc król pościł, spotkanie udało się nad podziw. Jeszcze lepiej spisał się Saris, kiedy dopłynął do piaszczystych wybrzeży Arabii: miłą, potoczystą pogawędką tak oczarował namiestnika Mokki, że z nim się połapał, amfitrion zaprosił go do prywatnej komnaty „gdzie chłopięta rzyciodajne trzymał”. Zdjęty zgrozą, Saris wprędce się wymówił i wyszedł, lecz na odjeźdźnym namiestnik pomógł mu jeszcze przywdziać nowy szykowny strój, na który składała się między innymi złocista kamizelka, jedwabny pas i turban w wielobarwne prążki.

Saris dotarł do Bantamu pod koniec października 1612 roku i zaczął przygotowywać wyprawę do Japonii. Wiedział, że w kwestii nawiązania stosunków z japońskim dworem będzie całkowicie zdany na Williama Adamsa, miał więc nadzieję skontaktować się z nim wkrótce po przybyciu. Rozumiejąc, że największym problemem — zwłaszcza tuż po zejściu na ląd — okaże się bariera językowa, zatrudnił tłumacza, znanego jako John Japan, który płynnie mówił po japońsku i malajsku. Kolejnym zadaniem było znalezienie kogoś, kto zna i malajski, i angielski. Poszło to zdumiewająco łatwo. Sarisowi doniesiono, że pewien Hiszpan, niejaki Hamando Ximénes, „malajskim narzeczem bardzo biegle włada”. Ximénes zaakceptował warunki umowy i zaakreutował się na „Goździku”. Nim zaczął się rok 1613, Saris zdołał zakończyć przygotowania do podróży. Kupił zapas żywności i trochę przypraw, nabył też wiele tamburyn i piszczalkę, żeby jego ludziom nie brakło rozrywki. Czternastego stycznia wezwał syfilityczną załogę z powrotem na pokład i kazał oddać efektowną salwę z armat. Gdy jej huk rozniósł się echem po zatoce, „Goździk” odbił od brzegu i skierował się ku nieznanym wodom.

Podróż do Japonii źle się zaczęła. Tuż po wyruszeniu z Bantamu statek zaczął przeciekać, więc przez dwanaście godzin cała załoga stała przy pompach. Wkrótce potem znów dała znać o sobie bantamska klątwa. Dwaj marynarze zmarli na jakąś tropikalną chorobę. Jednym z nich był ulubiony trębacz Sarisa, David Usher, który potrafił zagrać każdą melodię, jakiej żądano. Kapitan gorzko ubolewał nad stratą „tak znamienitego w swej sztuce mistrza”.

Saris miał zamiar ruszyć szlakiem wiodącym przez samo serce „pikantnej strefy” i zrobić postój na obfitujących w goździki wyspach Tidore i Ternate, znanych jako Wyspy Korzenne. Ale tamtejsi handlarze holenderscy z wielkim niezadowoleniem powitali go na wodach, które zdążyli już uznać za własne. Spyтали, kto doprowadził tam jego statek, a gdy Saris odmówił odpowiedzi, zagroził, że „na naszych oczach w drobne kaski go [nawigatora] porzucartują”. Tubylczy wodzowie zachowali się jeszcze bardziej niepokojąco. Załoga „Goździka” patrzyła ze zgrozą, jak król wyspy Tidore wraca po bitwie z lupem w postaci stu odciętych głów. Marynarze zadrżeli z przerażenia na wieść, że władca ten bardzo by pragnął dodać do swojej kolekcji kilka głów angielskich. „Kazałem zdwoić strażę — wspomina Saris — lonty zaśię trzymać zapalone i wszystko mieć w pogotowiu, iżby zdradzie w czas zaradzić”. Te środki ostrożności zniechęciły tubylczego króla, toteż Anglicy odплыnęli z głowami na karkach. Wkrótce jednak zaczęli z wielką skutecznością zabijać się sami. John Meredith „mózgi się zbawił”, stanąwszy na drodze padającemu drzewu, a James Miles w podobnych okolicznościach „ciężko był ranion”. Ale nie brakło też beztróskich chwil. Wódz pewnego plemienia wyspiarskie w zamian za kilka opasek biodrowych dał załodze dwieście kotusów, a gdy „Goździk” rzucił kotwicę u brzegów wyspy Buntang, leżącej przy południowo-wschodnim skraju Celebesu, żeglarze stwierdzili ze zdumieniem, że ambasadorem króla łowców głow jest Anglik — mister Welden — który zakochał się w miejscowej dziewczynie. Saris zaproponował, że weźmie go na pokład, ale Welden chwalił sobie swój los, odparł więc, iż podróż do Japonii „na jego zgubę niechybnie by się obróciła”.

Prawie pół roku po wyruszeniu z Bantamu ujrzał Saris na horyzoncie ląd — „najmilszą i najowocniejszą spośród ziem, któreśmy sposobność widzieć mieli, odkądśmy Angliję opuścili”. Dopłynęli do Miyako-jimy — jednej z wysp Riukiu, najbardziej z nich wszystkich oddalonej od Japonii: jakieś osiemset kilometrów na południe. Próba lądowania się nie powiodła, ponieważ gnany silnym wiatrem „Goździk” minął wyspę, musiał więc płynąć dalej przez Morze Wschodniochińskie. Po pięciu dniach szamotaniny z linami i żaglami załoga znowu dostrzegła ziemię, tym razem była to Kiusiu.

Zmierzając ku zatoce Nagasaki, spotkał „Goździk” cztery japońskie łodzie rybackie. Dwóch spośród ich szyprów zaangażowali Anglicy jako nawigatorów, którzy mieli ich doprowadzić do przybrzeżnej wyspy Hirado, na której — jak wiadomo było Sari-

PRZYWITANIE Z IMĆ ADAMSEM

sowi — mieszkała garstka holenderskich kupców. „Goździk” przepłynął wąskim kanałem między Kiusiu a skalistym brzegiem Hirado. Po lewej stronie — w miejscu, gdzie brzegi obu wysp zdawały się stykać ze sobą — otwierał się ciasny przesmyk, wiedący do głębokiej zatoki. Na samym jej środku stromo wznosiła się nad migotliwą powierzchnią wody wysepka porośnięta mśnami. Na ich ciemnozielonym tle odcinała się jaskrawą czerwień brama świątyni szinto.

O trzeciej po południu dziesiątego czerwca 1613 roku „Goździk” rzucił kotwicę w zatoce Hirado. Po dwóch z górą latach na morzu kapitan Saris dotarł wreszcie do Japonii.

WIDOK „Goździka” wywołał na brzegu spore poruszenie. Mieszczanie z Hirado nie przywykli do niespodziewanych gości, a przybyciu statku wkrótce więc doniesiono miejscowemu władcy. Natychmiast przyjechał on do portu i kazał przygotować ludźmi, miał bowiem zamiar udać się na pokład.

Kapitan Saris z zaciekawieniem przypatrywał się nadciągającej floty, podziwiając barwne stroje możnowładcy i towarzyszącego mu chłopca. „Obaj mieli na sobie szaty jedwabne — napał — a do tego coś na kształt spodnic, lecz i spodnie także”. Każdy z nich nosił u pasa dwa ogromne miecze o zakrzywionych, grozę budzących klingach. Wdrapawszy się na pokład, pokazali Sarisa i jego ludzi w nader niezwykle sposób: zdjęli buty i zaczęli raz po raz się kłaniać. Kapitan i reszta załogi patrzyli na to ze zdumieniem. „Lewą dłonią prawą dłoń przysłoniwszy — przypomina Saris — obojgiem kolana przykrywali, zaczem rękami mając czy też poruszając, wołali: «O! O!»”. Gdy tak bili po sobie, kapitan zaprowadził ich do swojej kajuty „gdzieżem ucztę im przygotował, jako i muzykantów znacznych”.

Saris zadbał, żeby przyjąć gości z należytyim staraniem. Tak się szczęśliwie złożyło, że miał na statku egzemplarz *Podstaw nauki* Richarda Hakluyta, zawierający rady, skierowane przed ponad trzydziestoma laty do kapitanów Peta i Jackmana. Teraz wskazania te wreszcie się przydały, a Saris ściśle się do nich zastosował. „Ufetowałem Jego Wysokość ucztą, z rozmaitych prezentów złożoną, podanych w szkle, co wielce mu dogodziło...” Także gdy goście kosztowali solonego boczku i suszonego grochu, Saris uprzejmie gawędził, starając się za pośrednictwem tłumaczy dowiedzieć czegoś więcej o swoich szlachetnych współczesnikach. Obaj pochodzili z książęcego rodu Matsura, który od trzynastego wieku rządził małym lennem Hirado. Starszy z gości miał na imię Shigenobu i sprawował władzę w Hirado aż do roku 1589, kiedy to oficjalnie wycofał się z życia publicznego.

Formalnie przejął wtedy rządy jego młody wnuk, lecz starzec nie wypuścił steru z rąk i najwyraźniej nadal wszystkim kierował. Wymawianie ich imion nastręczało Sarisowi ogromne trudności, a honorowe tytuły wprawiały go w jeszcze większe pomieszenie. Precz odrzuciwszy japońską etykietę, postanowił w końcu nazwać starego władcę królem Foyne, a młodego – królem Hi genem.

Ich lenno było doprawdy niewielkie (wyspa Hirado mierzyła za ledwie trzydzieści kilometrów wzdłuż i niecałe dziesięć wszere), leżało jednak w strategicznym punkcie tuż przy północno-zachodnim wybrzeżu Kiusiu. Portugalczycy po raz pierwszy pojawili się tam w roku 1550, kiedy ród Matsura wojował z pewnym możnym władcą z wyspy Kiusiu, i szybko znaleźli neofitów, skłonnych nie wrócić się na chrześcijaństwo. Ówczesny władca Hirado twierdził wprawdzie, że „żywi wobec chrześcijańskiej religii odrazę nieprzezwyciężoną”, gotów był jednak ścierpieć obecność jezuitów, w nadziei, że w ślad za nimi do Hirado przybędą kupcy. Król Foyne pozostał wierny tej polityce otwartości, bardzo się więc ucieszył, że angielski kapitan postanowił rzucić kotwicę w granicach jego lenna.

Kiedy posiłek dobiegł końca, Saris sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana i wydobyl list króla Jakuba I, „które to pismo władca miejscowy przyjął z wielką uciechą, oświadczając, że nie odpieczętuje go, aż póki nie przybędzie Ange, iżby treść listu mu wyłożył”. Saris nie miał pojęcia, o kim mowa, lecz tłumacz wyjaśnił, że *Anjin* znaczy po japońsku „pilot” i „to właśnie miano Imc Adams w owych stronach nosi”.

Saris i tak zamierzał niebawem spytać o Williama Adamsa z radością więc dowiedział się, że wciąż jeszcze jest on wśród żywych, a jego sława niesie się, jak Japonia długa i szeroka. Zrozumiał też, że sir Thomas Smythe nie mylił się ani trochę, twierdząc, iż Adams „w wielkich u króla łaskach pozostaje”. Smythe polecił kapitanowi Sarisowi zasięgać rady Adamsa we wszelkich szczegółowych sprawach, związanych z handlem i etykietą: „Pragniemy znać jego zdanie w kwestyi kursu, jaki obrać nam trzeba, iżby ten oto list Jego Królewskiej Mości do rąk adresata dotarł”. Adamsa należało też zapytać, jakie i w jaki sposób szogunowi wręczyć dary. Saris został poinstruowany, że ma zabrać nawigatora Williama z powrotem do Anglii, gdyby wyraził on takie życzenie. „Jeśli w chwili waszego z Japoniję się odprawiania rzeczony William Adams jał molestować waści, iżbyś go z powrotem do kraju rodzinnego zabrać zechciał... kaitu jaknajwygodniejszą na statku zapewnić mu chciej”.

Saris oznajmił królowi Foyne, że gorąco pragnie zawrzeć znajomość z człowiekiem zwanym Ange, ponieważ dzierży on klucze japońskiego dworu. Król z ochotą spełnił to życzenie, oddając na usługi gościa łodzie i posłańców. Ci natychmiast udali się do Hirado, gdzie Adams wówczas mieszkał, i przekazali mu prośbę o jak najszybsze przybycie do Hirado.

Zanim dobiegła końca skromna uczta, którą wydał Saris, wyraźnie się ściemniło, królowi Foyne zaczęło więc być spieszo do domu. Żegnając się z kapitanem, podziękował za gościnę i obiecał „mizrywek znacznych i szczerze fundowanych wiele”. Obietnica ta spełniła się nadspodziewanie szybko, ledwie bowiem „król” z wnukiem odbili od statku, podpłynęła do niego kolejna grupa gości. Tworzył ją liczny orszak szlachetnie urodzonych panów w eskortie kilkudziesięciu żołnierzy. Przybysze wdrapali się na pokład, taszcząc liczne dary: polcie mięsa odyńców i saren, takie ptactwo i kosze wyładowane wszelakim owocem i rybami. Saris początkowo odniósł się do tej wizyty podejrzliwie, ale za gościnnymi i hojnością gości bynajmniej nie kryła się zdrada. Japończycy powitali angielską załogę i wnet powiosłowali z powrotem w stronę brzegu.

Najajutrz po przybyciu „Goździka” król Foyne znów zawitał na statek, przywoząc cały orszak szlachetnych panów wraz z żonami i córkami, ciekawymi widoku cudzoziemców. Saris koniecznie chciał pokazać plci nadobnej swoją erotyczną kolekcję i w pewnym momencie zdołał zwabić panie i panienki na stronę. Weszły one do kajuty, gdzie wisiała podobizna Wenus, nader sprośnie odobiona... zaczęły padły na twarze i z nabożeństwem wielkim przed bogini oddały, za Najświętszą Panią ją wzięwszy”. Saris obserwował się tej scenie, nie wierząc własnym oczom. Jak miało się potem okazać, kobiety – potajemnie ochrzczone – nie zdawały sobie sprawy, że biją poklony przed chlubą pornograficznej kolekcji Sarisa.

Incydent ten wprawił kapitana w niejakie zakłopotanie, lecz nie trochę go nie zniechęcił. Japońskie damy wyraźnie mu się spodobały, ich piękne twarze były bowiem bardzo w jego guście. Dłonie miały urodne, dłonie i stópki zgrabnie utoczone – napięte – skórę nieskalaną i białą, lecz bez rumieńca, który to niedostatek sztuką nadrabiają”. Stroiły się w najwykwintniejsze kimono z jedwabiu, a delikatne stopy wsuwały w botki „jedwabnymi sznury związane”. Sarisa urzekło to, że chodzą z gołymi nogami, a on najbardziej zachwycił się ich włosami „splcionymi w kok baranowy wielce”. Bynajmniej nie wszyscy cudzoziemcy podzie-

lali ten zachwyt. Pewien jezuita ze zgrozą odkrył, że Japonki mają zwyczaj malować zęby na czarno, co jego zdaniem „usta ich do pieczar jakowychś mrocznych osobliwie upodabnia”.

Król Foyne szybko zauważył kierunek zainteresowań Sarisa, chcąc zaś uniknąć niezręcznej sytuacji, „zażądał, iżby nikt w kajucie kapitańskiej nazbyt długo nie bawił”. Saris z ociąganiem spełnił to życzenie, stwierdził jednak z radością, że królewski zakaz ani trochę nie popsuł atmosfery zabawy, która coraz bardziej się rozkręcała. W końcu przyłączył się do niej sam władca i wbrew swemu wcześniejszemu żądaniu zachęcał panie, żeby się jak najlepiej bawiły. „Niewiasty z królem przybyłe cokolwiek onieśmiałonymi się zdały — pisze Saris — on wszelako życzył sobie, iżby swywolne były”. I rzeczywiście „swywolię” zaczęły. Śpiewały angielskim wilkom morskim, dały też popis gry na samisenie — instrumencie, o którym Saris napisał, iż „wielce przypomina on naszą lutnię, ile że niczym ona jest wybrzuszony, jeno szyjką dłuższą opatrzony”. Zarówno goście, jak i gospodarze ogromnie się rozbawili, a gdy nadeszła pora pożegnania, kapitan zaprosił Japończyków na wielką ucztę.

Po kilku dniach król Foyne przywiózł kolejną grupę kobiet. Te były trochę mniej onieśmiałe od poprzednich; niebawem tak się „rozswywoliły”, że Saris zaczął się zastanawiać, czy to aby nie prostytutki. „Były to wszelako komedyantki — wspomina w zapiskach — jednego męża jakoby niewolnice”. Ich właściciel — albo po prostu sutener — traktował je jak przedmioty użytkowe. „Cenę on wyznacza, którą człek każdy zapłacić winien, iżby sobie z tą czy ową folgował”. Można było od nich żądać wszelkich usług, z czego Japończycy korzystali, nie widząc w tej sytuacji niczego niemoralnego. „Najślachetniej spośród nich urodzeni bynajmniej za hańbę sobie tego nie poczytują, że w podróży będą, po owe gamratki do oberży posyłają”. Dziewczeta te często były świetnie wykształcone, ćwiczone w sztuce aktorstwa i śpiewu, dokładnie też wiedziały, jakich przestrzegać form podczas nalewania napitków. Cieszyły się najwyższym szacunkiem ze strony tych, co je zatrudniali — nawet rozpustników, którzy „wykorzystać je zamyślali”, ale po śmierci traktowano je jak zwierzęta. „Niegodnym tego, aby spocząć choćby pośród najgorszych, uzdeczkę im ze słomy splecioną zakładają... [i] ulicami na pola truchło ich wleka, iżby je cisnąć na stertę gnoju, psom i ptastwu na pożarcie wydając”.

Co krnąbrniejsi członkowie załogi niebawem pozazdrościli Sarisowi jego swawoli i uznali, że im też należy się odrobina ucie-



Japonki ogromnie przypadły do gustu kapitanowi Sarisowi. „Liczka miały wielkie, dłonie i stópki zgrabnie utoczone” — napisał później. Były też bardzo „swywolne”.

chy. Piekarz okrętowy Thomas Jones postanowił pod osłoną nocy wplawić się na brzeg, lecz wyłowiono go i zaciągnięto z pomocnikiem na statek. Innym lepiej się powiodło. Christopher Evans, od dawna znany z różnych wybryków, miał to szczęście, że pływał szybciej od Jonesa. Kilkakrotnie udało mu się dopłynąć do brzegu, gdzie „najplugawszym sposobem w podłych rozpusty przybytkach czas trwonił, na pokład wrócić się wzbraniając”. Gdy go w końcu schwytano, Saris dla przykładu kazał winowajcę zakuć w dyby. Rozwścieczyło to Evansa. „Poprzysiągł do zguby przywieść Jacka Sarisa, jako nazwać mię czelność miał”.

Kara okazałaby się może skuteczniejsza, gdyby Saris wymierzył ją na sposób japoński, który — jak się kapitan niebawem przekonał — był niesłychanie brutalny i surowy. Kiedy trzech miejscowych wszczęło uliczną awanturę, król Foyne kazał ich natychmiast stracić. Po dokonanej egzekucji wszyscy krzepcy mężczyźni z miasteczka „szabel swych [zwanych *katana*] ostrość na trupach onych wypróbować się stawili i nie odeszli, aż póki wszystkich trzech nie rozsiadli na kawałki nie większe niżli dłoń męska”.

Wszystkich nowo przybyłych cudzoziemców zdumiewała zdawkowa łatwość, z jaką Japończycy dopuszczali się przemocy. Było powszechnie przyjęte, że samurajowie wypróbują miecz na przestępcach i wytrwale rąbią ich martwe ciała, „poko zewłok nieszczęsny w mięso siekane się nie obróci”. Mieli też zwyczaj z powrotem zszywać poćwiartowanego nieboszczyka i wielokrotnie powtarzać na nim swoje wprawki. „Częstokroć zszywają ciała mieczami pocięte — zauważa jezuita João Rodrigues — a rozkosz i radość, jaką sprawia im ciał ludzkich rozcinanie, doprawdy podziw budzi”.

Głównym celem wizyty Sarisa w Japonii było założenie angielskiej faktorii. Wymagało to pomocy Williama Adamsa, ponieważ Anglicy nie mogli rozpocząć handlu bez zgody szoguna. Saris wkrótce się jednak przekonał, że w prowincjonalnym lenie Hirado na sam dźwięk imienia angielskiego nawigatora wszystkie drzwi stają otworem. Kiedy spytał króla Foyne, czy mógłby „dom wygodny pełen na brzegu zająć”, starzec chętnie się zgodził i natychmiast zaproponował, że weźmie z sobą paru ludzi z załogi „Goździka” i pokaże im kilka nieruchomości.

Miasteczko Hirado tętniło życiem. Był tam niewielki port z długim nabrzeżem, po kilku kamiennych stopniach schodziło się nad samą wodę, a brzegi wąskiego strumyka łączył stary most. Co lepsze siedziby wzniesiono z wonnego drewna kamłorowego, a przed najgorszymi burzami chronił je okalający miasto łańcuch gór. Hirado nie było miastem zamożnym, lecz zbudowane je na starożytnych fundamentach, a jego nieliczne klasztory zgromadziły w ciągu stuleci znaczne bogactwa. Kiedy Saris ze swoimi ludźmi wylądował w Japonii, wielki klasztor buddyjski, zwany Yasumadake, miał już czterysta lat. Stał wśród bujnej roślinności, a w jego pięknych drewnianych budynkach mieszkali około stu mnichów.

Szczególnie wygodnie żyło się w Hirado sługom króla Foyne. Ulice tłumnie przemierzali wytwornie odziani dworzanie, a także kupcy i żołnierze. „Hirado leży tuż nad wodą — napisał powień Anglik, który przybył tam kilka lat po Sarisie. — Posępstwo w pancerzach chadza, atoli ślacha nader znacznie i dostatnie w krótkie oponcze się odziewa, w lektykach podróżując, przed którymi sługi pikę niosą na ośm albo i dziesięć stóp długą”.

Ludzie Sarisa szybko znaleźli odpowiedni dom. Należał on do Li Tana — głowy miejscowej kolonii chińskiej — i składał się z wygodnej części mieszkalnej oraz przestronnego magazynu. Li zobowiązał się dokonać niezbędnych napraw i „miejscową modłą

wszystkie wygodne pokoje w maty wyposażyć”, natomiast Anglicy zgodzili się z góry zapłacić półroczny czynsz.

Na mocy dodatkowej umowy z Sarisem miał też Li Tan dostarczać jego ludziom jedzenie i napoje. Ci spośród Anglików, których czasowo oddelegowano do Hirado, wcale nie byli z tego porozumienia zadowoleni. Jasperowi, jednemu z cieśli okrętowych, chińskie jadło tak bardzo nie smakowało, że znieważył Li Tana „grubemi słowy”, stwierdzając, iż „nie winem ich poi, lecz gwałtem cienkuszem, zaczem po domu całym zastawą jął ciskać”. Wzburzył ten wstrząsnął Li Tanem, który nigdy w życiu nie widział podobnego zachowania. Równie oburzony był kapitan Saris, kazał więc bosmanmatowi wychłostać porywczego Jaspera. Ale bosmanmat zanadto się upił, żeby spełnić rozkaz, toteż Saris własnoręcznie wysmagał ich obu. Już po kilku godzinach porażał chyba jednak swojej surowości, bo wysłał na brzeg dwie baryłki wina i jedną jabłecznika.

Posłał też dary dla Japończyków, dowiedziawszy się, że wysoga tego panujący w ich kraju obyczaj. Król Foyne otrzymał ponad siedemdziesiąt prezentów, a gdy je rozpakowywano w miejscu widocznym z pokładu „Goździka”, przy każdym kolejnym podarunku Saris kazał strzelać z armat, „jako jest w podobnych razach przyjęte”. Całą szalupę upominków dostali też członkowie rodu panującego, a rozmaitym wielmożom ofiarowano sztuki bawełny i innych tkanin. Kiedy król Figen głośno zachwycił się parasolem Sarisa, obszytym złotą frędzlą, kapitan nie miał nierad zrozumiał aluzję i oddał parasol młodemu władcy. Ten z widoczną radością „przyjął dar, tysiącnymi komplementy się odplacając”.

Dopiero potem nawiązał Saris stosunki z nieliczną kolonią Holendrów osiadłych w Hirado. Chwilowo nieobecnego Jacques’a de Sullca zastępował kapitan Hendrick Brouwer, osobnik dość dwulicowy, którego poważnie zaniepokoiło przybycie „Goździka”. Saris długo zastanawiał się nad odpowiednim dlań prezentem i w końcu wybrał „angielskiego masła faskę”. Ponad dwa lata pływało ono po morzach, musiało więc być mocno zjełczałe. Obaj panowie doskonale rozumieli, że bliskie położenie faktorii holenderskiej i angielskiej może stać się powodem rywalizacji. Saris próbował zapobiec konfliktom, proponując zawarcie ugody, która zabraniałaby stosowania cen dumpingowych. Nie minęło jednak dwanaście godzin, zanim holenderski kapitan złamał porozumienie, „wymawiając się tym, iż nie ma na nie pozwolenstwa zwierzchników swych”.

Przy następnym spotkaniu kapitan Brouwer zachował się jeszcze mniej przyjaźnie. Zawiadomił Sarisa, że z Syjamu właśnie przybyła dżonka z dużym ładunkiem drogocennej cezalpinii zgromadzonym przez Lucasa Antheunisa. Saris początkowo przyjął tę wiadomość z zadowoleniem, ponieważ sprzedana z ogromnym zyskiem cezalpinia przyniosłaby spory sukces nowo założonej faktorii. Znacznie mniejszą radość – i silne podejrzenia – wzbudziła w nim wieść, iż Holendrzy kupili już cały transport i zamierzają zbyć go sami. Brouwer pokazał Sarisowi jakiś światek, który miał być rzekomo dowodem kupna, lecz angielski kapitan nie dał mu wiary i odparł: „drwić z siebie nie dozwolę”. Oświadczył też, że jeśli nie otrzyma bardziej przekonującego dowodu transakcji, „uczyni, co mu się żywnie spodoba”. Źle to wróżyło dalszym stosunkom między Anglikami a Holendrami w Japonii.

Minęło kilka dni, zanim wieść o przybyciu „Goździka” dotarła do Williama Adamsa, a dopiero po paru tygodniach mógł on wyruszyć w bez mała tysiąckilometrową podróż z Edo. Pod koniec lipca 1613 roku przeprawił się z Kiusiu na Hirado i ujrzał zakotwiczony w zatoce „Goździk”. Spędziwszy w Japonii ponad trzydzieści lat, miał oto wreszcie spotkać rodaków.

Wiadomość o pobycie Adamsa w Hirado ogromnie podekscytowała Sarisa, który wiele o nim słyszał i zdawał sobie sprawę, że właśnie w rękach angielskiego nawigatora leży klucz do handlu z Japonią. Wiedział też – armatorzy udzielili mu bowiem w tej kwestii pisemnych wskazówek – że musi okazać Adamsowi jak największy szacunek. Mając to na względzie, kazał przygotować armaty do salwy na cześć doradcy szoguna. „Powitałem go najlepiej, jakem potrafił”, zanotował. Lecz gdy łódź Adamsa zbliżyła się do statku, Saris przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi. Spodziewał się wizyty rozsądnego przyziemnego żeglarza rodem z Anglii, podobnego do tych, których miał w swojej załodze, a tymczasem stanął oko w oko z nader niezwykłą postacią. Przybysz niewątpliwie był Anglikiem, ale ubierał się i zachowywał, jakby urodził się i wychował w Japonii. „Zachwalał nam ten kraj z uczuciem tak nadzwyczajnym, iż wedle większości z nas w Japońca ze szczętem się przedzierzgnął”. Innymi słowy, William Adams z Limehouse wynarodowił się do cna.

Saris rozumiał, że nie jest to pora na krytykę. Adams był inteligentny, władał zupełnie niezrozumiałym dla cudzoziemców językiem i miał ogromny zasób informacji. Kapitan „Goździka” wiedział, że musi nadskakiwać ekscentrycznemu gościowi, choć serce mu się przy tym krajało. „Zwróciłem się doń z błaganiami,

który wybrał sobie w domu pokój, który mu się spodoba – napił – i uświadomił kucharza, w jakim najbardziej gustuje jadło, razem [rozkazałem] ono sprowadzić”. Chciał zapewnić Adamsowi jak największe wygody. Oświadczył też, że ilekroć gość zapagnie odetchnąć świeżym powietrzem, „imé Cocks i ten czy ów spośród kupców naszych winien na jego życzenie w takowej przechadzce po mieście kompaniją mu trzymać”.

Adams przerwał Sarisowi w pół słowa. Podziękował mu za łaskawe zaproszenie, wyjaśnił jednak, że ma w mieście zaprzyjaźnionego Japończyka – kupca imieniem Yasuemon – i właśnie u niego zazwyczaj się zatrzymuje. Nie życząc sobie, żeby „niektoś spośród faktorów bądź inszych ajentów go odprowadzał”, oświadczył, że do domu Yasuemona chętnie uda się sam. Saris spodziewał się, że towarzystwo Anglików sprawi Adamsowi wielką radość, reakcja ta bardzo go więc zdziwiła. Poczł się urażony i odparł zwięźle, iż szturman William „niechaj czyni wedle swojej woli”. Dał jednak do zrozumienia, że zachowanie Adamsa wydaje mu się rażąco nieuprzejme. Powiedział, że podróż „Goździkiem” była nadzwyczaj męcząca, on zaś – nie wspominając już o reszcie załogi – „rad by się rozkoszował nader miłym towarzystwem Waszmości”.

Adams wysłuchał go ze zrozumieniem, ale decyzji nie zmienił. Odparł – jak pisze Saris – „iż stawi się na każde me wezwanie, znajdując go zaś albo w jego własnym domostwie, albo u Holendrow”. Odpowiedź ta jeszcze bardziej rozwścieczyła Sarisa. Był on gotów pogodzić się z tym, że Adams woli mieszkać u japońskich przyjaciół, lecz gdy Anjin Sama przyznał, iż pozostaje na przyjaźielskiej stopie z Holendrami, angielskiemu kapitanowi do nosu popsulo to humor. Przecież nie kto inny, tylko kapitan Brouwer dopiero co zagarnął transport cezalpinii, który Saris uważał za własność angielską.

Wielu ludzi z załogi „Goździka” koniecznie chciało pogawędzić z Adamsem, spytali więc, czy mogą go odprowadzić do domu Yasuemona, a gdy „od ich towarzystwa uprzejmie się wycofał”, poczuli się urażeni i oświadczyli dowódcy, że „nie w smak im ta odmowa, sądzą bowiem, iż Adams ma ich za niegodnych tej łaski, coby z nim razem iść mieli”. Zachowanie Adamsa wprawiło Sarisa w najwyższe zdumienie; uznał, że jest to pysa, i odniósł się do niej z ledwie ukrywaną wzdrganą. Pelen dyktando sposób bycia szturmana Williama wziął za przejaw buty, nie rozumiejąc, że doradcę szoguna przybycie „Goździka” i jego niechlujnej, niesfornej załogi napawa poważnymi obawami. Nie

zdawał też sobie sprawy, że Japonia w niczym nie przypomina żadnego z państw, które wraz ze swoimi ludźmi miał okazję odwiedzić podczas długiej podróży z Anglii. W Kraju Wschodzącego Słońca nade wszystko ceniono etykietę i uprzejmość — przymioty, jakimi mało kto na „Goździku” mógł się poszczycić.

Z natury popędliwy Saris nigdy nie wahał się krytykować ludzi, których postępowanie mu nie odpowiadało, lecz tym razem ugryzł się w język. Chwila nie sprzyjała temu, żeby bez ogródek powiedzieć, co myśli, nie były to bowiem zwyczajne okoliczności. Próbował nawet dociec, czemu Adams tak dziwnie się zachowuje. Przyszło mu do głowy, że nawykły do japońskich manier Anjin Sama może oczekiwać prezentów, wybrał więc nieco tkanin oraz różnych drobiazgów i posłał mu je, „iżby pamięć potulnymców w nim ożywiały”. Nie doczekawszy się reakcji, wysłał drugi pakiet, a w nim turecki dywan, jedwabne podwiązki, skórzane pantofle z Hiszpanii, efektowny biały kapelusz i parę nakietów. Podarunki te musiały chyba wreszcie znaleźć uznanie w oczach Adamsa, bo po kilku godzinach odwzajemnił się, przysyłając pięknie rzeźbioną szkatułkę czy też skarbonkę z Makau. Saris przyjął ją „dobrotliwie”, lecz odnotował w dzienniku, że jego dary kosztowały majątek, a prezent od Adamsa wart był może z sześć szylingów.

Adams po raz kolejny naraził się Sarisowi, gdy ten poprosił go o oszacowanie wartości, jaką ładunek „Goździka” mógłby przedstawiać na rynku japońskim. Szturman William dokładnie przetrząsał zawartość ładowni i stwierdził ze zgrozą, że właściwie zubożał z przywiezionych towarów — ani tkaniny, ani inne dobra — nie ma większych szans zainteresować japońskich nabywców. Zakładając, że Saris woli usłyszeć prawdę niż kojące kłamstwo, Adams oznajmił mu, iż „to, co przywiózł był z Anglii, nienazbyt popętnym się zdawa”. Bawelna była jego zdaniem „tania okrutnie”, a cynę sprzedawano za półdarmo. Goździków, których Saris nie zapomniał kupić na Wyspach Korzennych, w kuchni japońskiej wcale nie używano. Kiedy kapitan poprosił o ogólną ocenę swoich szans, Adams odpowiedział wymijająco. „Różnym różnie się wiedzie — rzekł. — Jednemu lepiej, drugiemu marniej, tuż wszelako, iż sprawisz się waść nie gorzej inszych”. Szczerze to nie przypadła do gustu kapitanowi Sarisowi: nieprzywykły do krytyki, zaczął podejrzewać, że Adams celowo rzuca mu kłody pod nogi.

Saris bawił już w Hirado mniej więcej od siedmiu tygodni i pilno mu było złożyć wizytę na dworze szoguna. Nie miał szans

dostać się tam bez pomocy Adamsa, lecz skoro ten już się pojawił, kapitan „Goździka” zaproponował, żeby niezwłocznie wyruszyć. Adams zgodził się i przy poparciu króla Foyne, który pożyczył Anglikom niedużą galereę i trochę pieniędzy, zaczęli szykować się do drogi. Na odjeźdźnym Saris mianował swoim zastępcą Richarda Cocksa — najstarszego wiekiem spośród kupców „Goździka”. Kazał mu utrzymywać na statku jak najściślejszą dyscyplinę, póki sam nie wróci. Z czasem okazało się, że łatwiej było wydać takie polecenie niż je wykonać.

W pierwszych dniach sierpnia 1613 roku Adams i Saris wyruszyli z Hirado. Towarzyszyło im dziesięciu Anglików — w tym lekarz i kucharz — oraz siedmiu Japończyków, którzy mieli służyć za eskortę podczas wędrówki przez mniej ludne okolice. Aby dotrzeć na dwór, trzeba było miesiąca nieprzerwanej podróży. Miasto Hakata, w którym Ieyasu urządził sobie główną rezydencję, leżało ponad osiemset kilometrów od Hirado. Najszybciej i najbezpieczniej można było tam się dostać, sunąc zygakiem wzdłuż północnego wybrzeża Kiusiu, aby potem przez zdradliwy kanał Kanmon wypłynąć na Wewnętrzne Morze Japońskie i ruszyć do Osaki. Stamtąd szlak wiódł przez wiejskie okolice aż do Tōkaidō, czyli Wielkiego Traktu, prowadzącego do Shizuoki i dalej.

Niebawem przekonali się, że nie wszędzie przyjmowani są tak miło uprzejmie jak w Hirado. Kiedy zeszli na ląd w miejscowości Hakata na północnym brzegu Kiusiu, otoczył ich gniewny tłum, który „wrzeszczał i pohukiwał, zgiełk wokół nas czyniąc taki, żeśmy się ledwie wzajem słyszeli”. Adams wyjaśnił, że złośliwa młodź ciska w nich kamieniami, ponieważ wzięła ich za koreańczyków. Sarisowi wydawało się, że wiele tamtejszych kobiet wygląda jak istne diablice, „albowiem oczy od nieustannego nurkowania niczym krew mają czerwone”.

Po dotarciu do kanału Kanmon skierowali się na południowy zachód i przedostali na Wewnętrzne Morze Japońskie, którądy mogli stosunkowo bezpiecznie dopłynąć aż do Osaki. Miasto samo swoim ogromem wywarło na Sarisie — tak jak przedtem na Adamsie — głębokie wrażenie. Wydało się mu „wielkie niby Londyn murami otoczony”, a monumentalny zamek był dziełem technicznego geniuszu. Saris zdumiał się na widok błanek i bagnetów: „Potężne głazy — napisał — ociosują tak akuratnie, że jeden do drugiego pasuje tam, gdzie go kładą, bez nijakiej zaprawy się obchodząc”. W zamku mieszkał młody Hideyori, przy którym Ieyasu sprawował niegdyś urząd regenta, teraz zaś wydał za niego swoją wnuczkę.

Anglicy przycumowali u nabrzeża w Osace i popłynęli barką do Fushimi, gdzie Saris po raz pierwszy miał okazję ujrzeć niewielką cząstkę straszliwej potęgi wojskowej, na którą w razie kryzysu mógł liczyć szogun. Patrzył, jak w miejscowym garnizonie następuje zmiana załogi: „Wojacy maszerowali w nader żołnierskim szyku, piątkami, a co dziesięć rzędów szedł oficer”. Obyli się bez najmniejszej pompy czy widowiskowości, które w Anglii stanowiłyby nieodzowny element takiego zdarzenia. „Nie grały bębny ni żadne inne muzyczne instrumenta”. Nie było też miejsca na nieporządek czy bezład podobny temu, który nieuchronnie wkładał się podczas przemarszów angielskich żołnierzy. Wyprężeni na baczność piechurzy dumnie nieśli broń i prezentowali się groźnie, w zwartym szyku maszerując przez kraj. Tylko dowódca pozwalał sobie na pewien luksus. Jego wierzchołek okryty był sutym czaprakiem z sukna i futer. Komendant „w świetnej pozie na nim jachał”, przodem zaś sześciu oficerów niesło krytą purpurowym aksamitem lektkę.

Sarisowi na zawsze utkwiał w pamięci widok tych maszerujących żołnierzy oraz ich zdyscyplinowanie. „Przemarsz i zapatrzenie trzech tysięcy ludu w takim się odbywały ordynku — napisał — iż żaden podróżny ni mieszkaniec okolic, gdzie kwatrowali, nijak od nich nie ucierpiał”. Oberżyci i właściciele zajazdów byli wręcz zachwyceni, że mają ruch w interesie, i „podej-



William Adams i kapitan Saris pierwszy etap podróży na dwór odbyli galeonem. Zostawili ją w Osace, skąd popłynęli do Fushimi niedużą barką.

bowali ich u siebie z taką radością, z jaką innych gości przyjmują, wojacy płacili bowiem za wszystko, co dla się brali”.

Adams poprowadził Sarisa i jego ludzi słynnym traktem Tokaidō, łączącym Edo z Kioto. Było na nim tłoczno od kupców, drobnych przekupniów i wieśniaków, których dziwne kapelusze i tradycyjne ubiory tworzyły barwne widowisko. „Co i rusz — wspomina Saris — widuje się chudoby i wiejskie domy, sioła... jaki i promy na rzekach słodkowodnych tudzież świątyń ichnich świąte, które *fulltakeasse* zowią”. Angielskiego kapitana zdumiała jakże nawierzchni. Była ona wysypana piaskiem oraz żwirami i „gładka nad podziw... tam zaś, gdzie droga góry napotyka, przejazdy w onych wyrąbano”. Rolę słupów milowych pełniły „rosny ogrodową modą gracko wokół przyszyrzyżone, iżby przeżożnicy oraz ci, co konie w najem dają, nie ściągali opłat wietrznych niż im należne”.

Na tym właśnie przykładzie w najbardziej uderzający sposób uwidaczniał się kontrast między Japonią a Anglią. Kiedy Saris podróżował z Londynu do krewnych w Yorkshire, cierpiał katusze z powodu wyboistych dróg i nędznych kwaterek. Angielskie drogi były błotniste i dziurawe, a w deszczowych miesiącach często wręcz nieprzejezdne. „Zimą nierzadko otwierają się w nich przepastne, nader uciążliwe wądoły” — stwierdza William Harrison w swoim *Anglijej opisanii* z roku 1587, dodając, że wielu właścicieli gruntów zaniedbuje oczyszczanie przydrożnych rowów, „skąd droga koleinami głębiej jeszcze niżli wprzódry zryta się stawa, podróż czyniąc wielce hałaśną”.

Adams listownie zawiadomił dwór, że wkrótce przybędzie z grupką angielskich gości. Na wieść o tym Ieyasu natychmiast wysłał lektkę i konie, aby umilić przybyšom dalszą podróż. Sarisowi najbardziej spodobało się to, że przydzielono mu niewoźnika, który miał jedynie biec przed nim z piką w rękę. Co wieczór zatrzymywali się na nocleg w przydrożnych zajazdach, gdzie częstowano ich ryżem i rybami, „marynowanymi ziółmi, fasolą, rzodkwią i inszymi korzeniami”. Saris zauważył „sera wielką obfitość”, nie wiedział jednak, że karmią go tofu, wytwarzanym nie z mleka, lecz z soi.

Po drodze niewiele napotkali niebezpieczeństw, a dzięki obecności Adamsa tylko z rzadka zaczepiano ich bądź znieważano. Ajim Sama wyjaśnił Sarisowi, że w Japonii działa precyzyjny system rządów lokalnych, które poddają ludność surowej dyscyplinie, toteż „w świecie całym niemasz krainy lepiej we wnętrzu rządzonej”. Każde miasto miało swojego gubernatora, a każda ulica

zamknięta była brama. Domy stały grupami, a każdą zarządzał starszy kwartału. Wszyscy mieszkańcy bacznie śledzili, co robią sąsiedzi, zwłaszcza po zmroku, kiedy zaczynała obowiązywać godzina policyjna. „Wszystkie ulice zamyka się, gdy zmierch zapada — pisze Hiszpan Rodrigo de Vivero y Velasco — a żołnierze służbę pełnią nieustannie... Jeśli kto zbrodnię popełni, wszczyni się larum i bramy, nie mieszkając, zamyka, iżby złoczyńcę pomać”. Przyjemność podróży zakłócał jedynie widok, który witał Anglików w oplotkach kolejnych miast, gdzie wzdłuż drogi stały krzyże, a na nich wisiały zwłoki złodziei i morderców. Gdy zbliżali się do Shizuoki, liczba nieboszczyków mocno zaniepokoiła Sarisa. Najpierw minęli szafot, na którym zatknięto odcięte głowy. Potem zobaczyli kilka rzędów krzyży, „na nich zasię truchła skażonych zwłose”. Co gorsza, na ziemi wały się kawałki ciał, „z których wykrajane, których straciwszy, użyto po wielekroć gwoli te tan [mieczów] probowania”. Szczątki te leżały wręcz na środku drogi, „przejazd wielce niesmacznym czyniąc”.



Na Wielkim Trakcie Tokaidō roilo się od kupców i innych podróżnych. Łączył on ogromne Edo z Kioto i Osaką; transport uregulowany był ścisłymi przepisami i przebiegał bardzo sprawnie.

Do Shizuoki przybyli o świcie szóstego września, równo miesiąc po wyruszeniu z Hirado. Adams załatwił wszystkim kwatery, a gdy Saris i reszta odpoczywali po długiej podróży, udał się na dwór, iżby sekretarza o przybyciu swym uwiadomić. Staławszem wrócił z dobrą nowiną. Ieyasu ogromnie się ucieszył, że dotarli na miejsce, i obiecał w najbliższych dniach udzielić im audiencji. W oczekiwaniu na nią Saris wybrał stosowne prezenty: złotą misę i dzban, atlasową koldrę, jedwabny dywan i trzy holenderskie serwetki.

Nadszedł wreszcie wielki dzień. Przed domem Anglików stała wspaniała lektyka. Adams i Saris wgramolili się do niej, i gdy ją niesiono, po obu stronach maszerowała zbrojna eskorta. U bram zamku Shizuoka przybyszów powitali dwaj „mężowie poważni a przystojni”. Z nich dwóch starszy rangą był sekretarz szoguna, Honda Masakumi, którego na dworze tytułowano *tsukube no suke*. Adams w obszernych słowach wyjaśnił Sarisowi, jak ważne jest przestrzeganie ścisłych zasad japońskiej etykiety. Każdej z dworskich rang odpowiadał jej tylko należny tytuł, a wszystkich dworzan trzeba było witać z najgłębszym uszanowaniem. Saris w milczeniu wysłuchał tych objaśnień, lecz nie chciał się korzyć przed japońskim dworem, wzgardliwie odrzucał rady Adamsa. Kiedy go przedstawiano dworzanom, okazał wyraźny brak manier i bez ogródek oznajmił sekretarzowi szoguna (którego przezwiał „Kutaskórą”), że list króla Jakuba I zamierza wręczyć Tokugawie osobiście. Hondę ogarnęła zgroza. Żądanie Sarisa było sprzeczne z dworskim protokołem, listy mogł bowiem wręczać szogunowi wyłącznie jego sekretarz. Saris stanął okoniem i — jak twierdzi Adams — grubiańsko zapowiedział, że „jeśli listu własnoręcznie oddać mu nie dozwolą, to stancyj swojej powróci”. Ogromnie strapiiony tą sceną Honda zaczął lajać Adamsa za to, że sprowadził na dwór tak niechcianego Anglika, i „orzekł, iż nie pouczyłem Sarisa w kwestii manier i obyczajów, których cudzoziemcy wszyscy przestrzegać winni”. Kapitan postanowił za wszelką cenę wyjść z tej sławnej utarczki zwycięsko i poprzysiął, że nie pozwoli nikomu się wyręczyć w przekazaniu listu szogunowi.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Adamsa i Sarisa zaproszono do przedsionka. Stał tam fotel Tokugawy, „przed którym nakazali mi hołd oddać”. Po długim czekaniu zaprowadzono ich do wewnętrznej komnaty przed oblicze Ieyasu. Saris nadal odmawiał przestrzegania reguł dworskiej etykiety, zgodny z którą powinien był pokornie paść na twarz. Zamiast tego

podszedł prosto do szoguna, po czym — jak pisze — „list króla naszego wręczyłem JKMości, on zaś w dłoń swoją pismo królewskie wziął i do czoła przyłożył”.

Tak przynajmniej scenę tę zrelacjonował Saris. Adams zapamiętał ją zdecydowanie inaczej. Dowiadujemy się od niego, że Honda w ostatniej chwili wyrwał Sarisowi list, gdy kapitan miał już podać go Tokugawie, i osobiście wręczył królewskie pismo szogunowi. Tak czy owak karygodne zachowanie Sarisa nie wywarło na szogunie zauważalnego wrażenia. Władca przelotnie spojrzął na list, po czym korzystając z usług Adamsa jako tłumacza, oznajmił angielskiemu kapitanowi, iż — jak twierdzi sam Saris — „milem jest widzian po uciążliwej podróży i winienem odpocząć dni parę”. Ieyasu obiecał ułożyć przez ten czas stosowną odpowiedź na królewską prośbę o zezwolenie na handel. Zachęcił Anglików, żeby tymczasem się zabawili i przy okazji trochę zwiedzili miasto, będące siedzibą dworu.

Ieyasu namawiał też Sarisa do zwiedzenia Edo, gdzie rezydował jego syn Hidetada. Saris z radością przyjął propozycję i poprosił Adamsa, żeby mu towarzyszył w podróży. Mieli do przebycia sto kilometrów, z postojem w starożytnej Kamakurze. W tym tam było obejrzeć niezwykle kaplice i świątynie. Kamakura leżała dwadzieścia pięć kilometrów na północ od posiadłości Adamsa w Hemi. Była niegdyś „najświetniejszym miastem w Japonii ceskiej”, a w zamierzchłej przeszłości pełniła nawet rolę cesarskiej stolicy. Zajmowała podobno obszar czterokrotnie większy niż Edo — miasto „wielkością Londynowi równe” — ale znaczna jej część dawno już legła w gruzach. Wciąż jednak była ważnym ośrodkiem religijnym, do którego ściągali liczni pielgrzymki, a na ulicach stało mnóstwo „przepysznie okazałych” świątyń buddyjskich, monumentalnych mauzoleów, wyniosłych pagód i rozległych klasztorów. Każdą z tych budowli otaczał rozkoszny ogród, pełen peonii, magnolii, kwitnących krzewów morelowych i barwnych hortensji. „Po dziś dzień w sosnowych lasach stoi te pagód, czyli świątyń pogańskich, wiele — pisze Richard Cocks, który przy późniejszej okazji odwiedził Kamakurę — wokół nich biegną zaś ścieżki w dobrej reparacji utrzymane”.

Zarówno Anglikom, jak i jezuitom zupełnie niezrozumiałe wydawały się obrzędy, które odprawiali tamtejsi mnisi. Jedni bili w bębny, modląc się do bożków, inni natomiast oddawali się swoim rytuałom, mając na głowach wielkie, dwuspiczaste kapelusze. Najbardziej radykalni przestrzegali reguły, która sprawiała takie wrażenie, jakby jej celem było cielesne umartwianie. „Poistota



W Japonii było kilku Wielkich Buddów. Powyższa rycina przedstawia świątynię *Kōtokuin* w Kamakurze. Ludzie Sarisa weszli do wnętrza posagu Buddy i Kamakury, „wrzeszcząc a polukując, aż się harmider niezmierny uczynił”.

nie kąpiel biorą we wodzie, wprzód na dwór ją wystawiwszy, aby do cna ochłodła — pisze pewien jezuita — ...a zaś gorącą kąpiel kąpią się nieledwie we wrzątku”.

Miało co tak dziwiło Europejczyków bawiących w Kamakurze, że „monaster pogańskich mniszek, którym głowę niby papistowski zakonnikom ze szczętem golą”. Była to słynna świątynia *Shōin*, założona ponad trzysta lat przed przybyciem Sarisa jako schronienie dla maltretowanych żon. Jej pensjonariuszkom po sześciu miesiącach pobycie automatycznie udzielano rozwodu. Prawo stało też, że „mąż żaden gwałtem niewiasty stamtąd porywał nie będzie”. Mężczyznom, a nawet kochankom wolno było natomiast bez ograniczeń odwiedzać zakonnice, te bowiem — czytamy w jednej z relacji — „zapasów miłosnych za grzech ni stromość sobie nie poczytują, lecz żyją, jak im się jeno podoba”.

Na Sarisa największe wrażenie zrobił słynny *daibutsu*, czyli Wielki Budda z Kamakury — monumentalny posąg z miedzi o wysokości piętnastu metrów. Jego budowę ukończono w roku 1252. Skonstruowany z grubych płyt z brązu, przymocowanych do żelaznego szkieletu, stał samotnie na łące wśród wiotkich

traw i kwiatów polnych. Przedstawiał — jak pisze Saris — „człeka, co na ziem klęknął, pośladki na piętach wsparłszy, ręce zaś miał potężne nad podziw, a całe ciało nader w proporcjach utrzymane”. W niczym nie przypominał posągów ani maszek, jakie kapitan widywał w Anglii. Budda ten miał uszy o podłużnym kształcie, włosy ułożone w pierścionki, wąsy podobne do dwóch ślimaków pomrowów, jak gdyby przyszpilonych pod nosem. Siedział w pozycji lotosu, złożony dłoń w geście kontemplacji. Saris i jego ludzie z wielką uciechą stwierdzili, że mogą wleźć do wnętrza posągu. „Niektórzy z naszych w sam jego korpus wliczać jeli — pisze kapitan — wrzeszcząc a pohukując, aż się harmider niezmierny uczynił”. Zgodnie z odwieczną tradycją angielską na zakończenie wizyty zdewastowali Buddę, ryjąc w miękkiej miedzi swoje nazwiska.

Po dwóch dniach stanęli w Edo — mieście niezwyklej urody, którego złocone dachówki i kryte laką drzwi „wielce chwalebny pozór na nas sprawiały”. Czasu na zwiedzanie mieli niestety mało, bo gdy tylko wjechali do miasta, doniesiono im, że młody Hidetada nie może się doczekać spotkania. Kiedy Saris wręczył mu podarunki, książę odwzajemnił się dwiema lakierowanymi zbrojami dla króla Jakuba, które wiszą dziś w londyńskiej twierdzy Tower. Dał mu też długi miecz zwany *tachi*, „jakiemu podobne jeno najwyższej rangi żołnierze nosić mają prawo”.

Adams podsunął Sarisowi pomysł, żeby nie wracać od razu do szoguna, lecz wybrać się na wycieczkę do pobliskiego portu Uraga. Leżał on u wejścia do zatoki Edo, szturman William uważał zaś, że byłoby to znacznie lepsze miejsce na angielską faktorię niż Hirado: blisko dworu, który regularnie odwiedzali bogaci wielmoże, a jednocześnie daleko od faktorii portugalskich, hiszpańskich i holenderskich.

Port Uraga wywarł na Sarisie nader korzystne wrażenie. „[Jest] to przystań bardzo zacna — czytamy w zapiskach kapitana — w której okręty stać mogą równie przepiecznie jak na Tamizie pod Londynem”. Zgodził się też, że „dużo poręczniej będzie naszym okrętom zawijać tutaj niżli do Hirado”. Pośród innych stał wówczas na kotwicy w zatoce pewien statek hiszpański. Adamsowi zlecono sprzedanie go wraz z ładunkiem temu, kto zaproponuje najwyższą cenę. Gotów był odstąpić hiszpańską jednostkę Sarisowi za sto funtów — „co wedle nas bardzo było drogo” — i nie dał się wciągnąć w żadne targi. Saris odrzucił ofertę, ale skorzystał z okazji, żeby kupić część ładunku, w tym cztery biurka i osiem składanych parawanów.

Następnie Anglicy wrócili do Shizuoki, aby odebrać odpowiedź szoguna na list króla Jakuba. Napisano ją po japońsku, lecz Adams przetłumaczył tekst na kwiecisty język międzynarodowej dyplomacji. „Nowina o wielkiej roztropności i potędze Waszej Królewskiej Młoci uradowała nas niepomału” — oznajmiał Ieyasu królowi Jakubowi. Oświadczając z naciskiem, że pragnie, „iżby przyjaźń z WKMością trwała była”, prosił o przysłanie do Japonii następnych statków. Między wierszami chwalił Adamsa i Sarisa jako „mistrzów w ślachtetnej sztuce nawigacyi zawołanych”. Nie krył również podziwu, że nie dając się zniechęcić „oceanów przestworowi nieległemu ni ogromowi bezkresnych chmur i sztormów walnych, swoje dzieło odkrywców wytrwale czynili”. Wręczył też kapitanowi Sarisowi dokument, w którym pisemnie wyrażał zgodę na prowadzenie działalności handlowej, dając Kompanii Wschodnioindyjskiej „nieograniczoną swobodę osiedlania się w Japonii, kupowania, przedawania i mieniania się na towary tamże”. Gwarantował wszystkim Anglikom swoje całkowite poparcie i protekcję. Saris był zachwycony, że jego misja na dworze tak wspaniale się powiodła. Podziękował szogunowi, pożegnał go i dziewiątego października 1603 roku zaczął przygotowywać się do powrotu na Hirado.

Tuż przed wyruszeniem z Shizuoki uzyskał Adams drugą, podobną audiencję u Ieyasu i raz jeszcze poprosił go o zgodę na powrót do Anglii. „Uźrawszy, że imperatorowi humor dopisuje, śmiało się na tę śmiałość” — pisze. Przyniósł na to posłuchanie dokument z podpisem Tokugawy, nadający mu prawo własności majątku w Hemi. „Japońską modą z zanadru żem owo pismo wyjął... i przed Jego Wysokością je złożył, dziękując najuniżeniej za wielką łaskę mi wyświadczoną”. Ieyasu milczał przez chwilę, obracając myśli. „Szczere we mnie utkwivszy weźrzenie — wspomina Adams — spytał, zali do kraju mego udać się pragnę”. Anjin ten wyznał, że zżera go tęsknota: po piętnastu latach niewidzenia marzy o ponownym spotkaniu z rodziną i z przyjaciółmi. Ieyasu łaskawie spełnił prośbę. Nie wątpił, że jeszcze niejednego angielskiego statek odwiedzi jego kraj, odparł więc, „iż krzywdę by mi wyrządził, gdyby zatrzymać mię zechciał, ile żem w jego służbie chwalebnie się sprawiał”.

Adams uszom nie wierzył. Od lat błagał szoguna, żeby pozwolił mu wyjechać z Japonii, teraz zaś ni stąd, ni zowąd oznajmiono mu, że może wrócić do Anglii na „Goździku”. „Dzięki więc Bogu udało mi się — czytamy w jego wspomnieniach — żem zwolnienie z ciężkiej a niewdzięcznej służby mej uzyskał”. Do Hirado wrócił z hiszpańskim humorem, „niepomierzenie ucieszony”.



Cesarz żył w niesamowitym odosobnieniu, zajmując przepyszną pałac w Kiocie. Choć pozór obdarzony wszelkimi możliwymi godnościami, nie miał jednak władzy ani autorytetu szoguna i był po prostu marionetką.

Z początkiem listopada stanęli w Hirado, gdzie powitano ich salwami z armat. W czasie pobytu na dworze nie miał Sarisa żadnych wiadomości o tym, co dzieje się na „Goździku”, obawiał się więc, że pod jego nieobecność załoga złamie dyscyplinę. Niewiele się pomylił: już w kilka dni po odjeździe kapitana marynarze zaczęli zbyt kochać, wykorzystując japońskie święto Bon jako „okazję łupiestwa i złodziejstwa, jako też po tawernach i bordelach łazęgowania sposobność”. Prowodzyrem był Christopher Evans, który wyprawiał się wplaw na ląd i testował miejscowe domy publiczne. Kiedy schwytano go i udzielono nagany, „stał się okoniem, mówiąc, iż mężem jest i kobiet zażywać będzie, jeśli tylko dopaść ich zdoła”. Sprawy przybrały poważniejszy obrót, gdy Francis Williams tak się spił, że „rozum ze szczętem prosił

o jednego z królewskich pałką zdzierlił”. Miał szczęście, że udało mu się uciec, zanim rozstiekali go siepacze starego króla Foyne.

Publizysta Richarda Cocksza dodawała tylko śmiałości nieobliczalnym marynarzom; od wybryku Williama minęły zaledwie dwa dni, gdy Simon Colphax i John Lambart wymknęli się na pokład i upili do nieprzytomności i wdali między sobą w tak ostrą bitwę, że Lambart został ciężko ranny. Tymczasem Evans pobił się z Johnem Boulesem o pewną śliczną kurewkę. Cocks raz po raz wysyłał na brzeg co zaufańszych oficerów, każąc im wyciągnąć marynarzy z burdeli, niebawem więc ściągnął na siebie jednego sutenera, który prowadził jeden z nich. Stręczyciel oznajmił, że „gdybym raz jeszcze wszedł w dom jego, ludzi naszych zabiję, zabiję mnie i każdego, kto by mi towarzyszył”. W początkach października ulotniły się ostatnie pozory dyscypliny. Pewnego ranka Cocksowi zaraz po przebudzeniu doniesiono, że zmasakrowało siedmiu ludzi pod wodzą niepokornego Christophera Evansa. Król Foyne obiecał pomóc w ich odszukaniu, oświadczając, że „żywych lub umarłych znajdzie”. Z właściwą sobie wielkodusznością dodał, „iż ubić ich nie chciałby za nic na świecie, ile że w drodze powrotnej do Anglii ludzi cierpieliłoby niedostatek”. Evans i jego kompani okazali się w końcu lepszymi uciekinierami niż żeglarzami, gdyż mimo wytrwałych poszukiwań nigdy więcej ich nie ujrano. Przyjęto, że jakimś portugalskim statkiem uciekli do Makau.

Zmartwień przysporzyła Cocksowi nieobliczalna pogoda. Huragan uderzył w Hirado z siłą „za mej pamięci nigdy niewidzianą” — pisze zastępca Sarisa. Ponad sto budynków natychmiast złożyło się jak domki z kart, a wzburzone fale strzaskały kamienie nabrzeże, zatapiając pięćdziesiąt łodzi. „Goździk” jedynie swoim pięciu kotwicom zawdzięczał, że morze nie wyrzuciło go na brzeg. Mniej szczęścia miał magazyn, który tuż przedtem wynajęli Anglicy. Potworna ściana wody runęła na miasto i w domu angielskim ścianę kuchenną zburzyła ledwo co pozostała, zaczęła do pieca się wdarła i całkiem go popsowała”. Struktura była tak silna, że „dachówki zdzierzała... a dom drżał w posadach, jakoby wszczęło się ziemi zatrzęsienie”. W mieście wybuchła panika; dziesiątki przerażonych mieszkańców biegali po ulicach, przyświecając sobie pochodniami. Iskry wpadały do domów, a wiatr wzniecał płomienie, toteż całe domy „na żarze poszły”. Cocks śledził ze zgrozą, jak „wicher ognie wzbudził po domach płonące i płatami rozłożystymi w powietrze je wznosił, nader zatruwające teatrum wyczyniając”. Tylko ulew-

ny deszcz uratował drewniane miasto przed zupełnym zniszczeniem.

Saris doznał zawodu, usłyszawszy, jak pod jego nieobecność sprawowała się załoga. Bynajmniej też nie ucieszyła go wiadomość, iż Cocks przez ten czas prawie niczego nie zdołał sprzedać — podobno dlatego, że kupcy z Hirado nie chcieli handlować z Anglikami, póki Ieyasu nie wyda oficjalnej zgody. Była i inna ważna przeszkoda. Anglicy mieli nadzieję, że w Japonii dużym popytem będzie cieszyło się sukno, lecz miejscowi nie kupowali go — i nie bez powodu. „Wy bowiem — mawiali — swoje sukno nam raicie, wždy sami by najrzadziej je przywdziewacie”. Trudno było zaprzeczyć: nikt z załogi „Goździka” nie chadzał w sukiennych strojach. Kapitan i inni oficerowie ubierali się w jedwabie i atłasy, a zwykle wilki morskie nosiły baraban. Saris zrozumiał, że Japończycy nie bez racji wzbraniają się kupować sukno, i karcąco wyraził się o swoich ludziach (lecz nie o sobie): „Oby — napisał — naród nasz bardziej się kwapił używać i pożytkować owo dobro nam przyrodzone... co dla innych nacji zachętą byłoby i pokusą”.

Podczas długiej podróży na dwór Saris tylko utwierdził się w przekonaniu, że Adams zachowuje się wyniośle i wzgardliwie. Choć wybryki ludzi z „Goździka” mocno zaniepokoiły lokalną społeczność, kapitan wciąż nie rozumiał, że Anjin Samę przybycie tak licznej grupy Anglików napawa mnóstwem obaw, i czuł się urażony pełnym dystansu sposobem bycia Adamsa. Mając już dość słuchania jego rad i pragnąc wzmocnić swoją zachwianą pozycję, przypuścił miażdżący atak na Yasuemona, z którym szermierz Williama łączyły w Hirado wspólne interesy. Kiedy Saris i Adams udali się na dwór, Yasuemon pozostał w porcie i — jak twierdził kapitan „Goździka” — oszukiwał Anglików, ilekroć wraz z nimi wyprawiał się na targ. John Saris zbesztł Adamsa za „szalbierstwa i hultajstwa, których dopuścił się jego człowiek, przeniwierczo i nierozumnie nas zwodzając”. Zarzuty te wstrząsnęły Adamsem. Potraktował je jako osobistą zniewagę. „Wielka to niegodziwość tak źle mieć o słudze mym mniemanie” — stwierdził. Saris ani trochę nie przejął się tą ripostą i gotów był posunąć się jeszcze dalej, gdy w sprawę wmieszał się Richard Cocks, rozdawując sytuację.

Ale John Saris powiedział o parę słów za dużo. Jego postawa okazała się nie do przyjęcia dla Adamsa, który zaczął mieć poważne wątpliwości, czy zniesie towarzystwo kapitana podczas kilkuletniej podróży do kraju. Stwierdził też z niepokojem, że

wróciłby do Anglii z bardzo niewielką sumą pieniędzy. Cały jego majątek ulokowany był w ziemi i innych nieruchomościach, które na zawsze by stracił, opuszczając Japonię. Zbliżała się chwila decyzji. Saris chciał wyruszyć jak najszybciej, spytał więc Adamsa, czy zamierza płynąć „Goździkiem”. Adams odrzucił zaproszenie: „Odrzekłem, iż spędziłem w tym kraju lat wiele i wciąż tkwię w biedzie... pragnę zatem dorobić się czegośkolwiek, zanim powrócę”. Nie krył też niesmaku, jaki wzbudziły w nim pomówienia, które Saris pośrednio wymierzył również i w niego. „Nie chciałem z nim żeglować z racji wstępnego rozmowy, jakie mi był uczynił — pisze — bardzo dziwnych i nieporozumianych”. Saris nie tracił śliny na słowa przeprosin, lecz przyjął odmowę Adamsa i zaproponował mu posadę faktora kompanii Wschodnioindyjskiej.

Adams chętnie przystałby na ten kompromis — gdyby tylko udało go zawrzeć na swoich warunkach. Wiedział, że jego usługi są znacznie bardziej potrzebne Kompanii niż jemu ta posada, wstrzymywał się więc z decyzją, starając się wynegocjować jak najlepszą pensję. Saris początkowo zaproponował mu osiemdziesiąt funtów rocznie, dodając, że londyńscy kupcy przekazali jej pani Adamsowej dwadzieścia szterlingów na jedzenie i odzież. „Dzięki najumięńszemu Czcigodnej Kompanii składam za owo dzieło chrześcijańskiego miłosierdzia” — z wdzięcznością napisał Adams, odrzucił jednak skąpą ofertę Sarisa. Zażądał stu czterdziestu czterech funtów, dowodząc, że Holendrzy wynagradzają go aż stu osiemdziesięcioma funtami rocznie. Po zajadłych targach stanęło na stu funtach. Była to wprawdzie hojniejsza gaża niż czterdzieści funtów, oferowane pozostałym angielskim faktorom w Japonii, ale śmiesznie niska dla kogoś, kto miał takie wpływy na dworze. Na domiar złego musiałoby minąć wiele lat, zanim Adamsowi przekazano by te pieniądze z Anglii. Holendrzy próbowali znieść go korzystniejszą propozycją i „wszelkich dokładał starań, byle go od nas odciągnąć”, wspomina Cocks, lecz Adams — powodowany lojalnością wobec rodaków — przyjął z końcem warunki Sarisa. Dwudziestego czwartego listopada 1613 roku podpisał dwuletni kontrakt i został pełnoetatowym pracownikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Przed odjazdem Sarisa należało jeszcze rozstrzygnąć dylemat, gdzie założyć angielską faktorię. Adams opowiadał się za Uragą. Była to ze wszech miar najsensowniejsza lokalizacja: blisko stolicy regionu — a więc miasta, w którym mieszkali wszyscy najbogatsi wielmoże i kupcy. Ale Saris nie zamierzał więcej słuchać rad

POD DACHEM RICHARDA COCKSA

Adamsa. Wybrał Hirado. O jego decyzji przesądziły bynajmniej nie perspektywy handlowe, lecz sprytnie machinacje tamtejszego feudała. Król Foyne miał nadzieję czerpać z handlu zagranicznego ogromne zyski, wszelkimi sposobami starał się więc wkraść w łaski angielskiego kapitana. „Stary król przysłał do mnie z wieścią, że w odwiedzinie przybędzie — pisze Saris — i niedźwiady tańczące [prostytutki] mi sprowadzi”. Władca Hirado dotrzymał słowa: „Trzy gamratki miejscowe niezabawem przywiódł”. Angielski kapitan był zachwycony jego gościnnością. Pod koniec listopada zwołał podwładnych na naradę i oznajmił im, że postanowił założyć faktorię w tym właśnie porcie.

Dziewięć dni po naradzie wyznaczył siedmiu ludzi, którzy mieli pozostać w Japonii i wraz z Adamsem służyć Kompanii. Jeszcze tego samego dnia całą załogę sprowadzono na statek, żeby „Goździk” mógł w każdej chwili odpłynąć. Nie było czasu na pożegnania; faktorzy nie mieli też kiedy się rozmyślić. Przy silnym wietrze z północy Saris kazał podnieść kotwicę i postawić żagle. Z nabrzeża w Hirado grupka Anglików patrzyła, jak statek znika za horyzontem.

ANGLICY pozostawieni w Hirado z ciężkim sercem spoglądali w ślad za odpływającym „Goździkiem”. Z jednej strony ekscytowała ich myśl o rozpoczęciu nowego, pełnego przygód życia w Japonii, z drugiej zaś obawiali się, że minie wiele lat, zanim do tych dalekich brzegów przybije kolejny statek z Anglii. Najgorszą plagą, z jaką borykali się faktorzy na Wschodzie, była samotność. Z powodu małostkowych zawiści i rywalizacji przyjaźnie szybko okazywały się nietrwałe. Musieli więc zdobyć się na wielki hart ducha, żeby uniknąć konfliktów w swoim gronie.

Kapitan Saris sporządził długą listę pouczeń (które sam określał mianem „napomnień”), szczegółowo omawiając zasady prowadzenia faktorii na co dzień. Wyznaczył też każdemu z pracowników ściśle sprecyzowany zakres obowiązków i ustalił hierarchię służbową. Najbardziej oczywistym kandydatem na przełożonego wydawał się William Adams; już ponad trzynaście lat mieszkał w Japonii i zdążył przez ten czas nawiązać niezbędne stosunki na dworze. Był też na dobrej stopie z wieloma spośród najbogatszych kupców japońskich i wiedział, które towary osiągają na tamtejszym rynku najwyższe ceny. Lecz myśl o wyniesieniu go na tak wysokie stanowisko budziła w kapitanie Sarisie nieprzezwyciężony opór. Gardził gminnym pochodzeniem Adamsa i zazdrościł mu znajomości japońskiego, mianował więc szefem kupca Richarda Cocksa.

Cocks był pogodnym, niefrasobliwym jegomościami, który dzięki swobodzie bycia i urokowi osobistemu wszędzie umiał znaleźć sobie przyjaciół. Podwładni nazywali go „uściwym panem Cocksem”. Pasją jego życia była własnoręczna hodowla owoców i warzyw. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy zacznie doglądać nowych, egzotycznych roślin. Choć mówił o sobie, że jest „nieuczony”, godzinami ślezczał nad ulubioną książką — *Historią Turcji* — a wieczorami pisywał barwny, pełen dygresji dziennik. Najlepiej się czuł, sadząc siewki, obrządzając gołębie

pocztowe i pielęgnując rasowe złote rybki, których zgromadził całą kolekcję.

Podobnie jak kapitan Saris był młodszym synem swoich rodziców, miał zatem nikle szanse odziedziczyć po nich majątek. Kazało mu to utkwic wzrok w horyzontach odległych od ojczystego Staffordshire. Już w młodym wieku udał się do Londynu i został terminatorem u bogatego sukiennika, po czym przeniósł się do leżącego w południowo-wschodniej Francji miasta Bayonne. W roku 1605 jego protektor, sir Thomas Wilson, zwerbował go na szpiega, każąc śledzić poczynania angielskich uchodźców wyznania rzymskokatolickiego, którzy przez Bayonne zmierzali ku Hiszpanii.

O Cocksie mawiano, że jest „jednym z przywoitszych”, miał on jednak pewien słaby punkt, który bardziej dalekowzroczni kupcy mogliby uznać za poważną wadę u kandydata na przełożonego faktorii: ze wzruszającą naiwnością wierzył w ludzką dobroć, a choć twierdził, jakoby potrafił natychmiast dostrzec każdą „fintę” czy matactwo, podczas pobytu w Bayonne własna szczerść omal go nie zrujnowała. Dał się oszukać szczeranemu Portugalczykowi i stracił przez to tyle pieniędzy, że nie był w stanie spłacić swoich angielskich wierzycieli. Wrócił do kraju okryty niesławą, z tak zszarganą opinią, iż unikali go przyjaciele i kobiety. W liście skarżył się znajomemu, że kłopoty, których sobie napytał, „kosztowały go kilka dobrych sposobności ożenku”. Zgnębiony tą sytuacją, a zarazem świadom, że skoro ukończył czterdziesty piąty rok życia, ma już właściwie za sobą najlepsze lata, postanowił opuścić Anglię i w Japonii zacząć wszystko od nowa.

Zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce mieć pożytek z umiejętności tych sześciu ludzi, nad którymi go postawiono, musi ostrożnie się z nimi obchodzić. Najbardziej doświadczony był Richard Wickham z Wiltshire, który przed przyjazdem do Japonii wiedł żywot wyjątkowo obfitujący w przygody. Gdy w roku 1600 po raz pierwszy wybrał się na Wschód, skończyło się to dla niego fatalnie: Portugalczycy schwytali go i zawieźli do Goa. Arogancja, z jaką przemawiał tam do swoich ciemniejszych, zdumiewała innych więźniów. W końcu zawieziono go do Lizbony statkiem, którym podróżował ambasador perski. Wickham zdobył przyjaźń ambasadora, ten zaś odwzajemnił mu się „życzliwością wielką” i pozwolił zamieszkać u siebie w domu. Wickham niebawem uciekł, wsiadł na statek zmierzający do Anglii i wrócił tam akurat w porę, żeby zaokrętować się na „Goździka”.

Taka energia i brawura powinna była ogromnie się spodobać Richardowi Cocksowi, Wickham miał jednak poważną wadę charakteru, z powodu której stosunki między obydwoma panami szybko się popsuly. Był chciwy i bezwzględny, a do Japonii przyjechał wyłącznie z myślą o tym, żeby napchać sobie kieszenie. Kapitan Saris twierdził, że jest to „człek chimeryczny”, i ze zgorzłą wspominał, jak Wickham po śmierci jednego z marynarzy z „Goździka” przedstawił mocno podejrzanym testament, rzekomo czyniący go jedynym spadkobiercą.

Kolejny powód do gniewu zyskał, gdy tuż przed odpłynięciem „Goździka” Wickham zażądał podwyżki. Kapitan zrazu odmówił, lecz wobec nalegań w końcu się ugiął. „Iżby się uwolnić od znacznych a nieznośnych ambarasów, którymi co dnia głowę mi kręci, uprzednie jego zasługi ofiarowałem się zdwoić” — pisał. Ale nawet tak hojna podwyżka nie zadowoliła malkontenta: poprzysiągł więc sam ufundować sobie pensję, handlując na własny rachunek. Zachowywał się skandalicznie, miał jednak w zanadrzu mocny atut: był przyjacielem sir Thomasa Smythe’a, Saris zaś wiedział o tym i bał się przywołać go do porządku.

Podczas gdy Wickham skutecznie przysparzał sobie wroga, Williama Eatona — następnego z kolei w hierarchii służbowej — zaprzętało zawieranie przyjaźni. Był on z natury sumienisty i serdeczny; Cocks pisze o nim, że jest to „człek ponad poszlakę wszelką uciwy, przyjaciół swoich szczerzy druh”. Początkowo powierzono mu prowadzenie codziennych spraw angielskiej faktorii, wykazał się jednak taką pracowitością, że szybko awansował na faktora, czyli pełnoprawnego kupca. Jego poprzednie stanowisko zajął William Nealson, który z racji kłótliwego sposobu życia zupełnie sobie nie radził na obczyźnie. Zżerany tęsknotą za krajem, szukał pociechy w butelce, lejąc w siebie hektolitry sake i bimbru. Skutki były katastrofalne, ponieważ alkohol wywierał silny wpływ na jego usposobienie i „bombastyczne humory”. Kapitan Saris uważał go za jednego z najbardziej niesfornych ludzi na „Goździku” i miał o nim niskie mniemanie. „Niechaj nad spamięcią ma pieczę — pouczył Cocks. — Niech i księgi rachunkowe przepisywa, a i do innych prac, jakie mu zlecicie, także zdaniem być winien”. Nawet te rutynowe czynności okazały się jednak za trudne dla Nealsona. Często urywał się z pracy i jeździł do gorących źródeł na pobliską wyspę Iki, gdzie alkoholu było w hość, a kurwy odznaczały się szczególną urodą.

Reszta trzech pracowników angielskiej faktorii mieli bezpośrednio zajmować się handlem. Najbardziej doświadczony z nich

nosił przepyszne nazwisko Tempest Peacock („Sztorm Paw”) i był przedsiębiorczym jegomościami, „z arkanami kupiectwa wielce obeznanym”. Dzięki swojemu bystrości, matematycznemu umysłowi szybko zrozumiał, że on i jego koledzy powinni otrzymywać znacznie wyższe pensje, jeżeli mają związać konie z końcem w tym kraju, w którym życie było rujnująco drogie. „Życie tutaj bardzo jest to kosztowna impreza — napisał w liście do londyńskich kupców — jeśli więc nie dostaniemy ni pensji ponad to, co nam obiecano... do domu z pustą kieszką powróćmy”. Ku jego wielkiemu niezadowoleniu prośba ta nie spotkała się z żadnym odzewem.

Zastępcą Peacocka został Walter Carwarden, zapewne złotnik z zawodu, natomiast młody Edmund Sayers — prawdopodobnie krewny Sarisa — dopiero uczył się fachu.

Kapitan Saris miał mierne zdanie o ludziach, których Kompania Wschodnioindyjska wybrała na swoich przedstawicieli w Japonii. Szczególnie krytycznie oceniał Nealsona i Wickhama, lecz największą niechęcią darzył Williama Adamsa — ósmego, a zarazem najważniejszego pracownika angielskiej faktorii. Podczas pobytu w Japonii czuł wobec niego coraz bardziej jęczącą zawiść, która w chwili, gdy sporządzał swoje „napomnienia”, ustąpiła miejsca namiętej nienawiści. Odmówił mu więc jakiegokolwiek udziału w kierowaniu faktorią, pouczając Cocksą, że „jedynie do tego jest on zdalny, by dżonką dowodzić, a gdy nie znajdziecie dlań na morzu zatrudnienia, niechaj za lingwistę wam służy u dworu”. Twierdził — w jaskrawej sprzeczności z prawdą — że Adams jest leniwy i samolubny, toteż „ostrogę dawać mu potrzeba, w innym bowiem razie niewielki zeń odniesiecie pożytek”. Kazał też Cocksowi mieć się na baczności przed dwulicowością Adamsa, sugerując, iż przez większość czasu będzie on najprawdopodobniej fraternizował się z Holendrami, bo „gorętszym niżli własny swój naród darzy ich przywiązaniem”.

Wobec tak zajadlej krytyki dziwne może się wydawać, że Saris w ogóle zaproponował Adamsowi posadę, był jednak wystarczającym realistą, aby rozumieć, iż tylko dzięki doświadczeniu Anjii Samy angielska faktoria ma szansę prosperować. Dlatego też kazał traktować go z szacunkiem, „iżby was nie poniechał dla Hiszpanów albo inszych Holendrów”, wtedy bowiem Anglicy znaleźliby się w mocno kłopotliwej sytuacji.

Skoro tylko „Goździk” odplynął z Hirado, Adams przedstawił Cocksowi miejscowym kupcom. Pomógł mu też wyszykować magazyn i urządzić kwatery dla pracowników. Ówczesna rycina przed-



Hirado było niewielkim, malowniczym portem rybackim u podnóża gór. Choć Richard Cocks zainwestował wiele czasu i pieniędzy w rozbudowę angielskiej placówki, faktoria holenderska (powyżej) była większa i bardziej imponująca.

stawia faktorię jako niewielki dom o spadzistym dachu, nad którym łopocze ogromny sztandar świętego Jerzego. Rzeczywistość musiała wyglądać nieco inaczej, Cocks poświęcił bowiem sporo czasu i pieniędzy na rozbudowę placówki. Początkowo wynajął budynek na pół roku, płacąc istic królewski czynsz w wysokości dwadzieścia funtów. Zdając sobie sprawę, że następny statek z Anglii przybędzie najwcześniej za rok, postanowił natychmiast kupić nieruchomość i wypełniając zalecenie londyńskich kupców, zrobić z niej „domostwo zacne i mocne”. Kiedy jednak opukał ściany i sufit, szybko się przekonał, że dom jest w opłakanym stanie. Musiał wydać sumę ponaddziesięciokrotnie wyższą niż pierwotna cena, zanim w ogóle dało się tam zamieszkać. Kupiono zatem belki i deski, aby budynek powiększyć. Najęto również tynkaczy, kazał im uszczelnić ściany pomieszczeń mieszkalnych, żeby mniej wiało. Cocks postarał się też zmniejszyć ryzyko pożaru, na które nieustannie wystawieni byli Anglicy w Bantamie. Dach głównego budynku kazał pokryć dachówką, a cały teren ogrodzić metrowej grubości murem.

Cocksowi marzyło się kierowanie ogromną, przynoszącą wielkie zyski placówką. Miał też nadzieję wyhodować mnóstwo owoców i warzyw, aby uniknąć wydatków na żywność, która była droga. W rachunkach raz po raz pojawiają się wzmianki o tym, jak kupował sąsiednie domy, a następnie kazał je przera-

biać na budynki gospodarcze lub burzyć i na ich miejscu urządzić ogrody warzywne. W styczniu 1614 roku „za funtów dwaście nabył domów starych pięć wraz z przyległościami... od których co dnia pożar nam zagrażał”. Domy te zburzono, a na opustoszałej parceli założono sad i warzywnik. W lutym tego samego roku Cocks kupił dom najbliższego sąsiada, „a zaś na wyburzonym placu podwórzec urządzon będzie, iżby pożarowi zapobiedz”. Kolejno wykupywał pobliskie nieruchomości, toteż z czasem spory kawał ziemi wokół faktorii przeszedł na jej własność. Szopy i domy mieszkalne miały odtąd służyć do bardziej odpowiednich celów. Kilka z nich przerobiono na składy, z małą ską *godownami* zwane. W jednym urządzono salę wystawową, aby klienci mogli w niej oglądać próbki towarów. Znalazło się też miejsce na magazyn żywności, w którą zaopatrywały się statki. Następnie Cocks podniósł standard pomieszczeń mieszkalnych, w których siedmiu ludzi miało sypiać, jadać i godzinami się nudzić. Na podłogach ułożono japońskie maty *tatami*. Aby wprowadzić nieco mniej spartański klimat, u miejscowych rzemieślników zamówiono trochę mebli. Cocks miał nadzieję, że jego podwładni będą wzorem Japończyków sypiali na podłodze, oni jednak zaczęli sarkać na te niewygody i odmówili przejścia tubylczych obyczajów. Po wielu bezsennych nocach na trzciniowych matach Richard Cocks kazał zamówić łóżka i faktorzy nareszcie zaczęli się wysypiać.

W ciągu kilku miesięcy, jakie upłynęły od wyjazdu kapitana Sarisa, wypracowali tak swobodny i przyjemny plan dnia, jak nigdy nie zdarzało się to na „Goździku”. Saris podczas rejsu do Japonii każdego ranka i wieczoru zwoływał na pokład niesformą załogę, „iżby wszyscy wraz do Boga Wszechmogącego z uszanowaniem a pokorą modły zanosili”. Czytano im z Biblii budujące passusy, przypominając, że najcięższe kary grożą za „błuznierstwa przeciw Bogu, kłątwy, kradzies, pjaństwo i insze nieporządki”. Cierpieli też — podobnie jak uczestnicy wszystkich ówczesnych podróży dalekomorskich — z powodu koszmarnego jadłospisu. Podstawę wyżywienia stanowiły suchary i owsianka, robione się od wołków zbożowych. Solone mięso i kluski cuchnęły tak okropnie, że przy jedzeniu musieli zatykać nosy. Nigdy zresztą nie mogli najeść się do syta. Saris uważał, że aż nazbyt hojnie służy żywnością, i codziennie notował, ile jej spożyto, lecz obciążano go „licznymi zarzuty skąpstwa naprzeciw załodze wymierzonego”. Był też jedynym kapitanem, który „z leguminy zapasem niemalym do Anglijej powrócił”.

Cocks kazał natychmiast zaniechać wstrzemięźliwości, którą Saris tak dręczył załogę. Hirado obfitowało w żywność. Prawie nie było dnia, żeby dworzanie króla Foynie nie przynieśli Anglikom w darze całych półmisków mięs, owoców i świeżo złowionych ryb. Przynoszono też inne smakołyki: „kasztany i granaty; giuski, winogrona i orzechy; marmelady i słodkości wszelakie”. Szczególnie smakowite było ptactwo łowne: Anglicy zajadali się kuskami z rożna, „leśnemi golembiami” i kurakami; rozkoszowali się także delikatnym smakiem ryb, w które obfitowała zatoła Hirado, choć mylnie nazywali je sztokfiszami. Nauczyci się nawet jeść przynoszone przez tubylców „wodorośla”.

Cocks zaczął się szczerzyć umiejętnością urządzania wystawnych uczt, zwłaszcza dla odwiedzających go dygnitarzy. Adams straszył mu, jak ważne jest przypodobanie się japońskim feudałom. Cocks spełnił to zalecenie co do joty i wychodził ze skóry, żeby dowieść swoich talentów kulinarnych królowi Foynie, znawcy dobrej kuchni. Gdy dowiedział się, że król zamierza udać się na połów ryb w zatoce Hirado, wezwał swoich ludzi do spiżarni i „świeżnie dwie, kaczki dwie, także i dwie kury tudzież połędwicę nieprzową im wyfasował”. Całe to mięso upieczono nad ognikiem, wzięto też „słodkości bez liku”, lecz król wraz z orszakiem wcale nie kwapił się do wyjścia na brzeg, tak bardzo pochłonęło go rybołówstwo. Niezrażony Cocks „poczęstunek na łodzi królewskiej podać kazał, gdzie też ucztować jeli do woli”. Japończycy byli pod wielkim wrażeniem tej szczodrości i troski; dzięki temu, że Adams znał miejscowe obyczaje, Cocks zjednął sobie wśród mieszkańców Hirado wielu przyjaciół.

Angielscy faktorzy nie mogli się nadziwić, jak szybko przywykli do wygód, które zapewniał im nowy dom. Początkowo zachwycał ich bogaty i urozmaicony jadłospis, lecz niebawem zaczęli wybredzać, żądając coraz to nowych smaków i różnorodnych przypraw. Cocks wkrótce po odjeździe Sarisa zatrudnił kucharską ludźmi jednak narzekali, że jego potrawy im nie smakują, więc niesławnie go zwolniono. „Kucharza imieniem Yoske własnymy odprawili — zanotował Cocks — ile że leniów mamy w domu dostatek, on zaś potrafił zdziałać tyle co nic”. Inni służący okazali się bardziej użyteczni. Oprócz tłumaczy Tome'a i Miguela najął Cocks do prowadzenia domu całą armię japońskich służących. Lokaj Eurque podawał Anglikom *sake*, a kuchcik przeżywał „Lukowym” sprzątał. W domu był też kucharz i kilku ludzi do drobnych posług, a także paru źle opłacanych wyrobników. Anglicy z lada powodu pomiatali służącymi, zwłaszcza gdy oka-

zywali się oni nieposłuszni, niezręczni lub nieuczciwi. Jednego z nich wychłostał „słudzy domowi... a każdy na gołe ciało tudzież pośladki liną we dwoje złożoną wymierzył mu plag dziesięć”. Smagano go, „aż póki skóra ze wszystkim nie zlała, za-czem morską wodą onego polano”. „Oby stało się to dla głupsza przestrogą, boć głupcem on mi się zdawa” — zapisał w dzienniku Cocks.

Każdemu z pracowników faktorii przydzielono też chłopca do posług. Te nieszczęsne dzieci wypożyczano za półdarmo od rodziców, którzy na czas przewidziany umową zrzekali się wszelkich praw do potomstwa. Niektórzy Anglicy traktowali małoletnich służących brutalnie; robił to zwłaszcza Nealson, którego napadały go „humory”. Jego boy imieniem Larrance wkrótce uciekł, „ile że pan bił go... bez umiaru”. Byłoby skądinąd zrozumiałe, gdyby rodzice Larrance’a stanęli po stronie syna, kiedy wrócił do nich cały we łzach. Oni jednak natychmiast odesłali go z powrotem do angielskiej faktorii. Cocks pisze, że Larrance „był



W Hirado mieszkało wielu rybaków. Richard Cocks i jego ludzie często jadał ryby z pobliskiej zatoki. Uradowani obfitością jadał w Japonii, najęli kuchary i przygotowywania biesiad.

był boy w całym naszym gospodarstwie najlepszy”: niewielka porcja dla posiniaczonego, sponiewieranego chłopczyzny.

Największą radość sprawiało Anglikom to, że zaczęli niebawem dzielić łoża z miejscowymi kobietami. Kiedy lądowali w Hirado, mieli za sobą ponad dwa lata przymusowego celibatu. Nieliczni wśród nich ryzykanci, którzy w Bantamie zakosztowali tamtejszych „cieliec”, z obrzydzeniem wspominali owe niechlujne syfilityczki. Dzięki ladacznicom z Hirado mężczyźni mogli osiągnąć zaspokojenie seksualne w znacznie przyjemniejszy sposób, szybko więc nawiązali bliskie stosunki z tubylczymi niewiastami. Było to dokładnie to, czemu londyńscy kupcy za wszelką cenę chcieli zapobiec. Purytanin sir Thomas Smythe ze zgrozą słuchał plugawych opowieści, które docierały z Indii Wschodnich, i żądał, aby kapitanowie zakazali podwładnym odwiedzać burdel. Próżno się ludził, że jego ludzie w Japonii „poczynac będą sobie skromnie a oszczędnie, wszelkich dokładając starań, iżby żyłot wieść cnotliwy nienagannie”. Zbyt wysokie były to jednak wymagania wobec mężczyzn, rozpaczliwie łaknących kobiecego towarzystwa. Dla urozmaicenia wieczornych pijatyk Cocks często sprowadzał „tańczące niedźwiady”, czyli prostytutki, a jego ludzie trwonili mizerne pobory na kurwy i stałe konkubiny. W pamiętnikach i listach pisali o tym na ogół całkiem otwarcie, choć niekiedy chętni się seksualnymi podbojami w sposób zamalowany, posługując się szyfrem.

Łatwość, z jaką Japonki dawały się werbować do celów seksualnych, już wcześniej krytykowali jezuici i franciszkanie, a nawet niektórzy kupcy. „Nierzadko się zdarza, że ojciec rodzony, matka lub bracia... biedą przyciśnięci bez wahania za pensów kilka w nierząd puszczają dziewczynę, nim za mąż wyjść zdąży” — pisał florentyński obieżyswiat Francesco Carletti, który przybył do Japonii zaledwie trzy lata przed Adamsem, zszedł na ląd w pobliskim Nagasaki i doznał szoku, ujrzawszy, jak w mieście tym kwitnie prostytucja. Dziewczyny były do wzięcia na chwilę lub dłużej, i to nieraz bardzo tanio. „Częstokroć biorą oni [cudziemu kupcy] za trzy czy cztery skudy śliczną dziewczę lat szesnastu lub piętnastu... nie obarczając się żadnym wobec niej obowiązkiem prócz tego, by odesłać ją z powrotem do domu, gdy już się nią nasycą”. Oburzony Carletti zakończył swoją relację stwierdzeniem, że w Japonii „cielesnym upalom łatwo folgować można, jako i wszelkim innym występkom”.

Adams nigdzie nie napomyka, jakoby w Hirado odwiedzał tamtejsze „cielice”. Wręcz przeciwnie: powodem wzgardy, z jaką

odnosił się do marynarzy z „Goździka”, niewątpliwie były ich rozwiąże, hulaszczę obyczaje. Cocks i jego ludzie, mniej od Adamsa wybredni, w pogoni za rozkoszą fizyczną bardzo chętnie wiązali się z miejscowymi dziewczkami. Niebawem zaczęli regularnie korzystać z usług tamtejszych „pośredników” i oddał niecierpliwie wyczekiwali namiętnych nocy u boku swoich nowych, egzotycznych konkubin.

Cocksovi, któremu z Angielkami wiodło się żałośnie, społa bała się dziewczyna imieniem Matinga. Wziął ją sobie na kochankę, lecz szybko zrozumiał, że bynajmniej nie jest to uległa kuchtą. Pochodziła z dobrej rodziny i oczekiwała nieustannych upominków, strojów i rozmaitych drobiazgów. Cocks z przerażeniem stwierdził, że sporą część jego pensji pochłania utrzymywanie Matingi, która domagała się osobnego domu oraz własnej służby i niewolników. Kupił jej pięć złotych pierścieni i wydał znaczne sumy na jedwabne kimona, kunsztownie haftowane pasy i kieszonkowe szkatułki, ale kochanka rzadko okazywała zadowolenie z prezentów, a jeszcze rzadziej — z seksualnych wyczynów Cocksa. Pragnęła kogoś bardziej męskiego i wkrótce zaczęła nęglądać się za panami, którzy mogli dostarczyć silniejszych bodźców. Po Hirado szybko rozeszły się pogłoski o jej niewierności. „W całym mieście rymy wraże na Matingę składano”. Wyprowadzony z równowagi Cocks kazał „pojąć każdego, kto by owym sprośnymi przyspiewkami się zabawiał, i karę mu wymierzyć”. Dopiero później odkrył, że Matinga go zdradza, i to pod samym jego bokiem.

Nie on jeden znalazł sobie damę do towarzystwa. Wickham zapalał namiętnością do miejscowej dziewczyny imieniem Femage, a Eaton związał się z młodą osobką, przezywaną O-man (od angielskiego *woman* — „kobieta”). Obsypywali swoje konkubiny prezentami w postaci sztuk jedwabiu i atlasu, lecz za to szybko wygasł — przynajmniej w przypadku Eatona, któremu znudziła się O-man, odstąpił ją więc Wickhamowi. Transakcja ta rozwścieczyła jej matkę. Zaczęła się ona uskarżać, że Eaton „jej przedał człeku, co z ziemi japońskiej ją wywiezie”.

Chociaż Adams pomógł Cocksovi i jego ludziom urządzić się w Hirado, nie bardzo miał czas uczestniczyć w ich rozrywkach. Zaprzętało go porywające zadanie, które osobiście wyznaczył mu Ieyasu. Szogun od dawna zafascynowany był wiedzą, jaką Anglik posiadał w dziedzinach geografii i astronomii. Stwierdził też z zdziwieniem, że nawet jezuici podziwiają jego znajomość satelity nawigacji. Padre Diego Carvalho określił go nawet mianem „wie-

kiego skutnika i matematyka”. Ieyasu postanowił więc wykorzystać talenty Anjin Samy, zatrudniając go — acz nieoficjalnie — jako nadwornego kartografa. Adams wywiązał się z tej roli, sporządzając globus, dzięki któremu szogun mógł lepiej zdać sobie sprawę z wzajemnych usytuowań ziem i królestw. Chciał też wyjaśnić Fukugawie, czemu wierzy w możliwość dotarcia do Anglii drogą morską wzdłuż północnych wybrzeży Rosji — szlakiem, który ponad trzydzieści lat wcześniej usiłowali pokonać kapitanowie Ito i Jackman. Wszystkie późniejsze próby również zakończyły się fiaskiem: żaden statek nie przedarł się przez lody Morza Karskiego.

Adams wpadł na pomysł rozpoczęcia rejsu od drugiej strony, czyli od wschodu. Rozentuzjzmowany szogun zasypał go pytaniami, dotyczącymi północnego szlaku, i „wiedzieć chciał, czyli nadacy nasi północnozachodniej drogi owej znaleźć nie zdołają”. „Nie wątpimy, iż ponad Rosją wiedzie droga — odparł Anglik. — Kazałem tedy przynieść mapę świata całego, zaczem otrzymał, jako zaiste jest ów szlak nieodległy”.

Zafascynowany Ieyasu polecił Adamsowi zaplanować i poprowadzić podróż odkrywczą owym północnym szlakiem. „Dziwił mi, [że] jeśli tam popłynę, glejt mi da do krainy Ito [Hokkaido], gdzie jego poddanych przyjaźnie witają”. Adams uprzedził szoguna, że zorganizowanie takiej ekspedycji wymagać będzie wielkiej znajomości rzeczy. Napisał zatem do dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej, zawiadamiając ich o powziętym zamiarze i prosząc, żeby przysłali „okrętników takich, co by w drogę tę ruszyć mogli”. Zastrzegł, że wszyscy muszą być bardzo doświadczeni, gdyż „lud tutejszy doborowych oczu wydać”. Poprosił też o „kapasy, klepsydry, globusów i mapy... jako też map kilkoro, w tym jedną świat cały uwidaczniącą”, chciał bowiem za ich pomocą wyjaśnić szogunowi wszystkie zawilości i niebezpieczeństwa takiej wyprawy, a także pokazać mu, którądy zamierza ją poprowadzić.

Adams miał wystarczające poczucie rzeczywistości, aby wiedzieć, iż przygotowania potrwać zapewne kilka lat. Rozumiał także, że jeśli wyprawa zakończy się powodzeniem, będzie to sukcesie „sławne jak mało które”. Świadomość ta mobilizowała go do studiów, śleczal więc nad księgami w domu zaprzyjaźnionego kupca Yasuemona, podczas gdy pozostali Anglicy raz po raz urządzali pijatyki i biesiady.

Wiedzieli co prawda, że wkrótce będą musieli zaniechać pogody na rozrywkę i zająć się handlem z Japończykami, twierdzili jed-

nak, iż niewiele mogą zdziałać, póki faktoria i przyległe do niej magazyny nie zostaną wyremontowane, a ich ściany i dachy – uszczelnione. Adams nie mieszał się do tego. Nie on przecież, lecz Cocks był szefem angielskiej faktorii i miał kiedyś odpowiedzieć za wszystkie niedociągnięcia. Ale Richard Cocks bynajmniej nie ugiął się pod brzemieniem odpowiedzialności. Godzinami poświęcał się ogrodnictwu – swojej wielkiej pasji – pielęgnując warzywnik i świeżo założony sad. Japończyków zdumiewało tu zamilowanie. Starali się sprawić mu przyjemność, przynosząc w prezencie sadzonki drzew. Pewnego razu zaprzyjaźniony kapłan buddyjski przywiózł do faktorii piętnaście młodych pomarańczy, cytryn i kasztanowców. Po czterech dniach nieoczekiwanie dostarczono kolejne trzy drzewka. Cocks osobiście wybrał się do Nagasaki, żeby kupić „figowce dwa, pomarańczę i bżoskwinię”. Wróciwszy do faktorii, stwierdził, że jakiś nieznany ofiarodawca zostawił tam dla niego krzew pigwy i gruszę. Sad Cocks'a zakwitł niebawem, obiecując obfite zbiory fig, winogron, pomarańczy i cytryn.

Zdarzały się też niepowodzenia. W deszczowe czerwone popołudnie górna partia zbocza, na którym rosła część sadu, „od ulewy okrutnej się zapadła, zaśię z muru sad okalającego trząsnęła, kwater runęło, drzew owocnych niemało psowając”. Cocks pośpieszył ratować, co się dało, stwierdził jednak, iż „reszta musi wielce wstrząsnioną być i także runąć gotową, ile ze gruntu ustempliwym się stawał”.

Zapalił się też do hodowli złotych rybek i odtąd kolekcjonował je z namiętnością, która zdumiewała nawet Japończyków. Wszystko zaczęło się od tego, że brat Li Tana podarował Anglikowi „tycienki akwarium (czyli rybnik), a w nim ryb żywych parę”. Cocks wkrótce zgromadził istne stado. Kupował rasowe rybki w takich ilościach, że w całym Hirado o tym mówiono. Jego akwarium budziło zawiść miejscowych arystokratów, którzy starali się wyhuskać dla siebie co cenniejsze okazy. Nierzadko w bardzo obcesowy sposób upominali się o tę czy tamtą spośród złotych przyjaciółek Cocks'a. Zastłyszawszy, że ma on pewną szczególnie piękną rybkę, brat króla Foyne „śnął umyślnego z wielką, iż mieć ją dla się łaknie”. Cocksowi nie w smak było rozstanie z ulubienicą, wiedział jednak, że odmowa wywoła wielką obrzętę. „tedy dałem mu ją” – pisze. Zachwycony Nobutoki odwzajemnił mu się, przysyłając w darze „psisko wielkie a czarne”.

Cocks'a zgniewało wkrótce to nieustanne lupiestwo, starał się więc w miarę możliwości puszczać mimo uszu natrętne prośby

możnych z Hirado, opętanych namiętnością do złotych karasi. Często jednak bywał zmuszony ulec. „Król hiradzki przystał ludzi z błaganem, iżbych dwie złote rybki wziąć mu dozwolił – pisze – którem to żądanie bardzo po niewoli spełnił”.

Anglicy szybko przejęli najlepsze z miejscowych obyczajów. Podczas długiego rejsu na „Goździku” nie myli się ani nie prali ubrań, gdy zatem przybyli do Japonii, obrzydliwie cuchnęli. Ten brak troski o higienę osobistą przerażał Japończyków. Nie rozumieli, czemu cudzoziemcy nie lubią się kąpać. Tę samą niemą uwagę zauważyli już wcześniej u Portugalczyków, którzy z dala umiali japońskie łaźnie, jedli zaś palcami, i to w dodatku niemyłymi. Padre João Rodrigues w swojej *Historia da Igreja do Japão* wspomina, jaką wzgardę budziło to w tubylcach, z pasją i z zaborowym pisząc o japońskiej schludności i łaźniowych obyczajach: „Istnienie gołymi palcy wielce ich zdumiewa, a zaś widok brudnych ubrań tudzież jadem poplamionych obrusów mdli i hydzi”. Nawet w takiej prowincjonalnej dziurze jak Hirado wielmożnie strupulatnie przestrzegali zasad higieny i chlubilili się swoją wypracowaną, namaszczonej wonnościami skórą. „U magnaterii jako i u zwykłej ślachty w każdym domu dla gości jest łaźienka – stwierdza Rodrigues. – Bardzo są one czyste i w wodę gorącą jako i zimną zaopatrzone, powszechnym jest bowiem w Japonii obyczajem myć ciało całe raz albo i dwa razy na dzień”. Japończycy obnawali się bez żadnych zahamowań; w publicznych łaźniach nabierali się do naga, „o to, czy kto użrzy poufne ich instrumenta, nie troszcząc się wcale”. Najpierw myli się wodą bieżącą, a potem wchodzili do ogromnych wanien, aby leniwie rozkoszować się kąpielą w wodzie z gorącego źródła.

Kiedy Cocks i jego podwładni spróbowali tego dziwnego sposobu spędzania czasu, stwierdzili ze zdumieniem, że bardzo im on odpowiada. Postanowili nawet urządzić swój własny łaźnik, czyli dom kąpielowy, w którym mogliby zażywać wyczasów i podejmować japońskich gości. Głównym pomieszczeniem była w nim łaźnia parowa, zbudowana z wonnego drewna; wchłaniało ono wilgoć, potem zaś ociekało aromatycznymi kroplami. Przed wejściem amatorzy kąpiele rzucali szmatę i luźnymi przepaskami owijali biodra. Znalazłszy się w środku, wylegiwali się, oddychając parnym powietrzem, którego „ciało wielce zmięcza... [tak że] całego brudu wgrzyżłego i potu się ono zbywa”. Był to zarazem cudowny lek na kaca – częstą u Anglików z Hirado przypadłość. Z zaróżowioną skórą, z mrużnionymi stawami, z których ustąpił ból, przechodzili

do chłodniejszej izby i spryskiwali się nawzajem orzeźwiająco zimną wodą.

Cocks intensywnie rozbudowywał faktorię, toteż niebawem zajęła ona spory kawał ziemi. W sprawozdaniach pomija się jednak milczeniem pewien nader ważny budynek. Otóż japoński obyczaj nakazywał zaspokajać potrzeby fizjologiczne w wychodkach, stojących na uboczu, przy brukowanej ścieżce. W przeciwieństwie do Anglików, u których nie istniało coś takiego jak rynsztok, a ulice często zamieniały się w strumienie odchodów. Japończycy szczycili się niepokalaną czystością swoich ścieków i latryn. „Wnętrze — pisze padre Rodrigues — w zaiste niezwyyczajnej schłodności utrzymują... jest tam nawet naczynie z pachnidłem i świeży papier w sam raz poręcznie przycięty”. Jezuita dodaje, że w owych wygodkach „żaden odór przykry się nie uniosa, gdy bowiem goście wychodzą, do miejsca tego przypisany posługacz wszystko wedle potrzeb wyprząta”. Co rano każdy wychodek odwiedzała ekipa czyścicieli, którzy słono placili za to, żeby wolno im było usunąć odchody i nawieźć nimi pola i warzywniki. Cocks i jego ludzie musieli być niepomierne zdumieni tak dziwnym postępowaniem, nie jest więc jasne, czy przyjęli również i ten zwyczaj.

Angielska faktoria wkrótce upodobniła się do japońskich domów. Zbudowano ją w miejscowym stylu, a liczna służba japońska utrzymywała w niej wzorową czystość. Kucharzom nie zawsze udawało się utrafić w gusta kulinarne Anglików, umieli jednak pilnować porządku w kuchni. Dbałość o higienę stanowiła dla nich naturalny odruch, bo nawet w najpośledniejszych gospodarstwach japońskich garnki i rondle przed każdym gotowaniem z największą starannością szorowano, a wszelką surowiznę, której podczas przyrządzania kucharz dotykał palcami, myto i odkażano. „Mają [Japończycy] osobnych krajaczy ryb, jako i ptastwa tudzież zwierzyny łownej — pisze Rodrigues. — Jadło wszystkie na niepokalanych stołach o grubym blacie się krawa, widełcy, nożami i tasakami je obrabiając, niczego zaś gołymi dłońmi się nie tyka”.

Dzięki tak skrupulatnie przestrzeganej czystości oraz zdrowej kuchni japońskiej byli Anglicy w świetnej formie. Czuli się zupełnie inaczej niż w Bantamie, gdzie tyłu ich powaliły tajemnicze choroby tropikalne. Zdumiony, że jego ludziom tak dopisuje zdrowie — chociaż dopłynęli do Japonii mocno osłabieni — Cocks napisał o tym uśmiechu fortuny do jednego z bantamskich faktorów: „Wszyscy Anglicy, co na «Goździku» przybyli



Japończycy bardzo zważali na higienę i czystość, zwłaszcza w kuchni. „Mają [Japończycy] osobnych krajaczy ryb, jako i ptastwa” — napisał jezuita João Rodrigues około roku 1620. Jak widać na powyższej ilustracji (schyłek XIV w.), już od średniowiecza stanowiło to normę.

nie jednego wyjąwszy, chorzeli bardzo ciężko, wcalem tedy się nie spodział, że który z nich wyżyje”. A jednak — dodał — „od łobowania w Hirado wydobrzeli i zdrowiem się cieszą”.

Parokrotnie zdarzyło im się, owszem, zachorować, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, zanim ich żołądki przywykły do zdrowej japońskiej strawy. Przerażeni, że nabawili się jakowejś nieznanej choroby, poprosili Adamsa o radę. „Zimnica dokuczyla mi okrutnie — czytamy u Cocks’a. — Bole straszliwe mi zadawała we wszystkich członkach ciała mego, ażem myślił, jakobych pożytek wszelki z nich postradał, a do szczeru skaleczał”. Dieta złożona ze świeżych owoców i produktów morskich pozwoliła mu szybko odzyskać siły, a gdy jeszcze spędził kilka dni u gorących źródeł, zupełnie stanął na nogi.

Richard Wickham miał nieszczęście zachorować w podróży do Kioto. „Zimnica pałaca mię dręczy” — napisał do przyjaciół, którzy pozostali w Hirado. Dodał, że „gorączka owa tak mię dręzi, iż ni nocą, ni dniem spoczynku zaznać nie mogę, który mi niedostatek wielce we znaki mi się dawa”. Ponieważ coraz bardziej bladł i opadał z sił, poprosił Cocks’a, żeby ten jak najprędzej przysłał mu nieco alkoholu, wierzył bowiem, że będzie to skuteczny lek na jego dolegliwości. Podjął też drastyczną decy-

zję: postanowił mianowicie szukać pomocy w chirurgii. Przyjaciółom oznajmił, że zamierza „sam w chirurga się zabawić, mam ja bowiem lancet bardzo ostry”. Cocks na tę wieść wpadł w panikę i zaczął błagać Wickhama, żeby nie przeprowadzał na sobie tego zabiegu. „Posłuchaj wasze mej rady: na sztukę medyczną zbytnio się nie spuszczać, chyba że w największej znajdziecie się potrzebie” – odpisał mu.

Japończycy z całego serca przytaknęliby temu twierdzeniu, przerażały ich bowiem barbarzyńskie praktyki medyczne Europejczyków, a zwłaszcza mania puszczania krwi. „Japończyk wylej skona, niżeliby do bolesnych metod chirurgji naszej miał się uciec” – pisze jezuita Luís Frois. W Japonii chętniej sięgano po naturalne leki – wywary z korzeni i ziół, z morskich ślimaków i wodorostów; lykano też słodzone pigułki, które podobno oczyszczały organizm. Cudzoziemców zdumiewało szeroko rozpowszechnione stosowanie akupunktury. „W niemal każdej chorobie zwykli oni brzuch swój, ręce i plecy swoje etc. na kłucie srebrnymi igły a ziółmi przyżeganie wystawiać” – z niedowierzaniem pisze pewien mnich. Iglami nakluwano najwrażliwsze punkty ciała. Zabieg ten nader skutecznie uśmierzał bóle.

Lekarze japońscy płacili wysoką cenę za błędy w sztuce, ponieważ mylną diagnozę i źle dobraną kurację karano śmiercią. „Gdy zachorzał imperator – pisze Wickham – poćwiartował rozkazał najznamienitszego spośród swych medyków, który oświadczył był mu... że pacjentowi tak leciwemu żadna drygakiew wiele pomódz nie zdoła”.

Ta niepomahowana brutalność stanowiła codzienny element japońskiego stylu życia. Anglicy nie mogli ochłonąć ze zdziwienia w obliczu przerażającej surowości tamtejszego prawa. Adams obszernie napisał o tym do rodaków osiadłych w Bantamie, aby uprzedzić ich, że za niesforne zachowanie grozi w Japonii kara główna. „Sprawiedliwość wymierzają tu nader surowo – stwierdził – nijakich względów dla ludzi nie mając”. Ostrzegł też, że złodziei rzadko kiedy wtrąca się do więzienia, lecz „z miejsca na stracenie wiedzie”, a miasta i miasteczka zarządzane są w sposób skrajnie rygorystyczny. Pisząc to, musiał zdawać sobie sprawę, że wśród nowo przybyłych marynarzy znajdzie się wielu rozbułanych pijaków, którzy zechcą wszczynać burdy, częstokroć prowadzące do aktów przemocy. Pragnąc zapobiec nieszczęściu, zawitał do kolegów po fachu, iż „z zabojców prawie żadnemu ujść się nie udaje”, ponieważ japoński wymiar sprawiedliwości funkcjonuje dzięki płatnym donosicielom: za głowę zbiegłego przestępcy

wyznacza się nagrodę w wysokości nawet i trzystu funtów i wypłaca ją każdemu, kto złoży obciążające zeznania.

Adams wychował się w zaułkach Limehouse, gdzie przemoc była częstym zjawiskiem, szybko więc stał się zagorzałym orędownikiem surowego prawa japońskiego. Twierdził, że dzięki polityce szoguna, opartej na zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”, „w jechnich miastach wszędy można chadzać nocą, na nijaki szwank ni nieprzeprzechność się nie narażając”.

Król Foyne był równie nieubłagany jak reszta japońskich możnowładców. Rządził swoim lennem za pomocą karzącego miecza, bezlitośnie miażdżąc nieposłusznych. Dla ludzi Cocks publiczne kłucie głów i makabryczne wypruwanie wnętrzności stanowiło znajomy widok, w Londynie bowiem tego rodzaju sceny również często miały miejsce. Zaskoczyło ich jednak to, że twierdzenie Adamsa, jakoby sprawiedliwość japońska nie znała litości, potwierdziło się w całej pełni: nawet za drobne wykroczenia groził najwyższy wymiar kary. Co gorsza, od wyroku nie było odwołania, a król Foyne nigdy go nie „cofał ni surowości jego nie łagodził”. Gdy zapadał werdykt, niezwłocznie wymierzano karę. Skazańcowi polecano ukłęknąć, po czym oprawca ucinał mu głowę. Następnie i ją, i resztę ciała siekano w drobne kawałki.

Cocks i jego ludzie byli wstrząśnięci tą brutalnością i patrzyli ze zgrozą, jak za drobne przestępstwa karze się śmiercią ledwie wyrosnięte dzieci. W pierwszych miesiącach nerwy nie pozwalały im się w to mieszać. Gdy jednak zadomowili się w nowym miejscu, zaczęli kierować skargi do króla Foyne. W grudniowe popołudnie roku 1615 Cocks dowiedział się, że „szesnastoletnie pachole ma być ćwiartowanym za kradzież małej łódki i onej na miszą insulę wyprowadzenie”. Wyrok ten wydał mu się przesadnie surowy, toteż „z błaganiami o ulaskawienie do króla się zwrócił”. Wysłał też gońca do oprawcy, prosząc, żeby wstrzymał się z wykonaniem werdyktu, póki nie dowie się, jak zareagował król Foyne. I tak już rozwścieczony, że Anglik ośmielił się prosić o łaskę dla skazańca, kat wpadł w jeszcze większą furję na wieść, że król Foyne zamierza chłopcu darować winę. Nie zwlekając ni chwili, dobył miecza i „zglądził go, zanim nadeszło ulaskawienie, a na drobne kawałki posiekał”.

Ludzkie życie miało w Hirado niską cenę, a śmierć była czymś tak pospolitym, że tubylcom nie burzył spokoju widok trupów leżących w rynsztokach lub na polach. Wrażliwшему dla Japończyków Cocksowi te makabryczne widowiska na zawsze wbijały się w pamięć. Gdy pewnego dnia spacerował po

obrzeżach miasta, „znalazł dziewięć lat jedenastu czy też dwunastu, co martwe na wznak leżało popod ścianą [czyjejs chatki]”. Spozstrzegł z odrazą, że „psi nieboszczką się karmią i obie nogi z podbrzuszem wraz już pożarli”. Nie zdołał ustalić jej tożsamości ani przyczyny śmierci, zapisał jednak, że „mniema się, iż jakowys niegodziwiec, gwałtem się nią nacieszywszy, ubił niebogę, abo też niewolnego stanu była i pan jej uśmiercił ją, gdy w nielaskę popadła, zaczem psom na pożarcie cisnął, co w tych stronach zwyczajny jest proceder”. Dodał, że właściciele niewolników są panami ich życia i śmierci, „mogą tedy za lada kaprysem onych zabijać, niczyjej sprawiedliwości nie poddani”. Nawet zwłokom marynarzy z „Goździka”, zmarłych w Hirado, nie dano spoczywać w pokoju. Mijając niewielki cmentarzyk, na którym pochowano kogoś z załogi, Cocks zauważył, że „lotry jakoweś trumnę wykopały, całun i koszulę ukradły, truchło zaś nagie na ziem rzuciły”.

Gdy Cocks krytykował drakońskie rządy króla Foyne, zdumiewało to władcę, lecz bynajmniej go nie niepokoiło. Anglicy byli już podówczas w pałacu częstymi gośćmi. Składali regularne wizyty, wspinając się po długich kamiennych schodach w towarzystwie swoich boyów, japoński obyczaj nakazywał bowiem, aby „każdemu choć trochę znacniejszemu czleku, od rang najwyższych aż po najniższe, chłopię towarzyszyło, które u wójścia sandały odeń wziąć miało”.

Pałac był piękną drewnianą konstrukcją, wzniesioną na szczycie Tomigake — skalistego wzgórza nieopodal miasta. Ozdobną mapą Hirado, sporządzoną mniej więcej siedem lat po przybyciu „Goździka”, przedstawia go jako rozległy, otoczony murami kompleks budynków z zadaszoną bramą wjazdową i ogromnym dziedzińcem wewnętrznym. Wyłożone laką wnętrza — podobnie jak we wszystkich szlacheckich budowlach — umeblowane były skąpo. Zasuwane drzwi prowadziły na werandy z cedrowego drewna, z których otwierał się panoramiczny widok na głęboką zatokę i okoliczne góry, porośnięte sosnowym lasem.

Etykieta dworska wymagała, żeby z okazji każdej wizyty Cocks i jego ludzie przynosili wykwinne i kosztowne dary. Podczas pierwszego spotkania Saris ofiarował królowi drogą tkaniny i drobiazgi. Cocks obrał mniej konwencjonalną strategię, stwierdziwszy, że Jego Królewska Mość polubił tradycyjną kuchnię angielską, a zwłaszcza posilne duszeniny, plawiące się w pestym sosie. Najchętniej jadał potrawę z solonych mięs różnych gatunków — „angielskiej wołowiny porcja, świniny także kawał

obie z cebulą i rzepą warzone”. Tak zaczęła się osobliwa wymiana: Foyne dawał Cocksowi miejscowe ryby (żółciec, sebę), a także owoce morza i kraby, natomiast Cocks składał mu w darze porcje mięsa sprzed dwóch lat, niektóre przywiezione aż z Anglii.

Król Foyne regularnie odprowadzał ceremonialną herbatę, tak niezwykle i zawiłą, że dla Cocks'a i jego podwładnych wprost niepojęty. Była to metoda kontemplacji tajników duszy, stworzona przez filozofów pustelników ze szkoły buddyzmu zen. Padre João Rodrigues pisze, że obrzęd ten stanowił „rodzaj samotniczej religii” i wymagał wielu przygotowań w sferze fizycznej i umysłowej. Król Foyne i jego goście przebiegali się w nieskazitelnie czyste szaty i golili głowy, nim zaczęli drobnymi łyżkami popijać zawieszistą zieloną herbatę, która miała podobno silne właściwości lecznicze. Liście mielono na pył i kilka jego łyżeczek smieszczano w porcelanowym naczyniu, po czym zalewano urzątkiem, a pozostałe grudki rozdrabniano bambusową trzepaczką. Herbatę podawano w specjalnych czarkach, lecz przed jej wypiciem goście musieli wypłukać usta i obmyć dłonie. Niektó-



Wioszczy japońscy feudalowie, Foyne utrzymywał wierną armię na wypadek wypadku. Dobrze uzbrojeni wojownicy chętnie wypróbowały miecze na trupach przestępców.

rzy ludzie Cocks'a zasmakowali w tym niezwykłym napoju. William Eaton ogromnie go polubił, a Richard Wickham parokrotnie posyłał do Hirado „czaju garnce”. Woleli jednak bardziej odurzające napitki i często wieczorami dudlili wino, okowitę i miejscową sake.

Coraz częściej spotykali się na stopie towarzyskiej z holenderskimi kolegami po fachu. Organizowane raz po raz pijatyki w mieszanym składzie obu stron poprawiały humor. Wróciwszy do Hirado wkrótce po odplynięciu „Goździka”, kapitan Speck szybko zawarł z Richardem Cocksem głęboką i trwałą przyjaźń. Anglicy rychło stwierdzili, że oplaca się utrzymywać dobre stosunki z tymi europejskimi pobratymcami. William Adams przekonał się zresztą o tym wiele lat wcześniej. Choć w dziedzinie handlu trwała między obydwojema narodami zajadła rywalizacja, ich przedstawiciele często podejmowali się nawzajem w swoich faktoriach. Te wieczorne libacje zawsze przebiegały hałaśliwie. Nocną ciszę zakłócały liczne toasty i głośne śpiewy. Imprezę kończyła zazwyczaj potężna salwa z armat, budząc nerwowych mieszkańców Hirado serią eksplozji, które niosły się echem. „Wielekroć dawano ognia — napisał Cocks po pewnej szczególnie obficie zakrapianej biesiadzie — tak w domu, jako i na okrętach”. Rankiem Cocks i Speck z metnym wzrokiem i z tętentem w głowach wymieniali dziękczynne liaty. Stopniowo przybierały one na wylewności i uprzejmości, ponieważ pisano je zapewne jeszcze w stanie zamroczenia. W jednym z nich Speck jowialnie oświadczył Cocksowi, iż „gotów jest mnie i każdemu inszemu człeku z naszej angielskiej nacyej jaką jeno zdoła wyświadczyć przysługę abo radość sprawić”. Darząc Cocks'a szczerą sympatią, dodał, że „życzliwości, której od nas zamiał, a osobliwie ode mnie samego, nie zapomni póki życia, wie bowiem, iż z dobrego serca ona płynie”.

Adams spędzał co prawda wiele czasu w swoim mieszkaniu u Yasuemona, lecz towarzyszył pozostałym Anglikom, gdy udawali się na przyjęcia i święta, urządzone w domach kupców z Hirado. Niektóre miały nader barwny przebieg. Podczas dorocznego festiwalu Bon, poświęconego zmarłym, całe miasto przystrajano proporcami i płonącymi świecami. „Poganie ulic wszystkie licznymi obwiesili lampiony — pisze Cocks — z innymi zaś świątynie swe odwiedzali, które *hotoke* zowią, jako i miejsca pochówku, zmarłych przyjaciół zapraszając, iżby ucztować z nimi przyszli”. Mieszkańcy tłumnie wylegali na ulice w nadziei, że uda im się spotkać z duszami utraconych bliskich. Był to niezwykle widok, gdy ludzie gawędzili z wyobrażonymi widmami i składali

li ofiary z żywności na grobach, aby pomóc ich lokatorom przeżyć następny rok. „Zaczem każdy do domu swego powracał, ryż, wino tudzież insze jadlo na grobie ostawiwszy, iżby pod nieobecność żywych pomarle biesiadować mogły”. Po powrocie do domów niektórzy rzucali kamienie na dach — podobno po to, żeby odegnąć duchy, które mogły się jeszcze za nimi wlec.

Przy takich okazjach spożywano ogromne ilości jedzenia i wina. Biesiadnicy „jedli zasię i pili... z wielkim weselem i żartowaniem, po większej części na umór się upijając”. Pijaństwo, jak z czasem przekonali się Anglicy, stanowiło element japońskiego stylu życia. Wielu Japończyków nie widziało nic złego w tym, żeby upiwszy się do nieprzytomności, ucztować dalej, póki wszyscy nie zwałą się na ziemię. Ten japoński obyczaj jako jeden z nielicznych skwapliwie przejęli Europejczycy i w nim jednym osiągnęli prawdziwe miastrostwo.

Cocks i jego ludzie po kilku miesiącach w Hirado mieli prawo być z siebie zadowoleni. Adams udzielił im bezcennych rad, dotyczących ich nowej ojczyzny, i przedstawił Anglików licznemu gronu miejscowych kupców. Pomógł też rodakom urządzić gustowny dom mieszkalny i kupić drewno oraz dachówki, potrzebne do przeprowadzenia remontu. Faktorzy sprawili sobie kochanki i służbę; żyli wśród luksusów, na jakie żadną miarą nie byłoby ich stać w Anglii. Przygotowując się do rozpoczęcia poważnej działalności handlowej, często zastanawiali się, czy Saris zdołał wrócić do kraju. Jego szczęśliwy powrót był dla nich niezmiernie istotny; właśnie odeń bowiem zależało, kiedy do Hirado przybędzie pierwszy statek z dostawą.

SAMURAJSKA WOJNA

PODCZAS gdy Richard Cocks i jego ludzie miło zadomawiali się w Japonii, „Goździk” szybko płynął do Anglii. Z Hirado wypłynął w grudniu 1613 roku i zaledwie w miesiąc dotarł do Bantamu. Kapitan Saris nie zamierzał narażać życia załogi, zatrzymując się tam dłużej. Wziąwszy ładunek pieprzu i innych przypraw, „Goździk” prawie natychmiast opuścił Jawę, biorąc kurs na położoną tuż na północ od Kapsztadu Zatokę Stołową, w której łatwo było o żywność i wodę. Stamtąd przy sprzyjającym wietrze skierował się Saris ku północy, wypłynął na Atlantyk i pod koniec września 1614 roku zawinął do portu w Plymouth.

Statki wracające do Anglii po tak długiej podróży robiły za zwyczaj krótki postój w jednym z portów na południowym wybrzeżu. Brały stamtąd zapas świeżej wody, aby potem wyruszyć do Londynu i tam wylądować przywiezione towary. Stołeczni kupcy szybko dowiedzieli się, że „Goździk” bezpiecznie przybył do Plymouth, i spodziewali się lada dzień ujrzeć go w Londynie. Daremnie jednak czekali. Statek ponad półtora miesiąca stał na kotwicy. Dalszy rejs uniemożliwiały mu — jeśli wierzyć Sarisowi — straszliwe sztormy, „tak porywiste i życiu naszemu wręcz, jakich w podróży całej ni razuśmy nie napotkali”. Dyrektorzy Kompanii Wschodnioindyjskiej zaczęli podejrzewać, że Saris zawinął do Plymouth tylko po to, aby wylądować towar, który zamierzał sprzedać na własną rękę. Utwierdzili się w tych podejrzaniach, przechwyciwszy dwa listy Sarisa do brata i kuzyna, zawierające prośbę o przysłanie „dwóch przewoźników zaufanych”. Mieli oni zapewne dostarczyć na ląd kapitańską kontrabandę i sprzedać ją na czarnym rynku.

Dyrektorzy Kompanii przestali już wątpić, że Saris „sam dla się nabył towarów wiele i ze statku kryjomo wyprowadzić je zamierza”. Rozwścieczeni postępowaniem swojego kapitana, pragnąc zabezpieczyć ładunek, wysłali do Plymouth dwóch agentów, poleciwszy im dostać się na statek i uniemożliwić jakiegokolwiek

nieprawomocne transakcje. Trzeci agent udał się z ich ramienia do „domu poczmistrza” z zadaniem przejęcia listów Sarisa, czwartemu zaś kazano zamieszkać w gospodzie „Pod Gwiazdą” — ulubionym wodopoju wielu marynarzy — na Bread Street i słuchać, co ludzie mówią.

Nie wszyscy jednak kupcy londyńscy pochwalali te kroki. Przez wrogów miał też Saris w Kompanii Wschodnioindyjskiej przyjaciół, którzy twierdzili, że sprawiedliwiej byłoby uznać go za niewinnego, póki nie pojawi się więcej dowodów. Dzięki staraniom tej frakcji cofnięto rozkaz, wzywający Sarisa do natychmiastowego stawienia się w Londynie, polecenie takie równałoby się bowiem nielaskę. Poplecznicy kapitana przekonali dyrekcję, iż „stosownym będzie obchodzić się z nim po dobroci, aż póki dowody niezbite jakowychś jego występków się nie najdą”.

Nie odwołano jednak czterech agentów, wysłanych już do Plymouth. Zdobyli oni niebawem informacje, warte przekazania zwierzchności. Nie dotyczyły one samego Sarisa, lecz sytuacji w Japonii. Wśród zdeponowanej u poczmistrza korespondencji był między innymi list od Williama Adamsa. Zawierał on wiadomość, że w Hirado zostało siedmiu ludzi, a „cesarz” (czyli Ieyasu) nadał im rozległe przywileje handlowe. Adams pisał też, że Japonia rzeczywiście jest tak bogata, jak wynikało z dawno już krążących o niej legend, a w jej portach można doskonale wyremontować statki nadwerżone podczas długich rejsów. „Nie brak tu niczego — stwierdzał szturman William. — Cieśle, belki, deski i żelaziwo... tanioczą ni jakością by najmniej angielskim nie ustempują”.

Kapitan Saris przybył do Londynu dopiero w połowie listopada, „ładem od południa przyjachawszy”. Powitano go z mieszanymi uczuciami, wielu osobom jego półtoramiesięczny pobyt w Plymouth nadal bowiem wydawał się podejrzany. Szybko jednak wybaczone mu, gdy złożył raport z podróży do Japonii. Na walnym zebraniu kupców szczegółowo zdał sprawę ze wszystkiego, co wydarzyło się podczas rejsu, i poprowadził ożywioną dyskusję na temat towarów, które Japończycy najwyżej sobie cenili. Perspektywy handlu z Japonią przedstawił w przesadnie różowych barwach, mówiąc zgromadzonym dokładnie to, co chcieli usłyszeć. Powiedział między innymi, że sukno — zwłaszcza kolorowe — cieszy się na Wyspach Japońskich wielkim popytem, a można by tam też drogo sprzedać ryps, płótno i indyjską bawełnę.

Był to raport błędny i zwodniczy. Cocks zdołał przecież upłynąć zaledwie drobny utłamek zapasu farbowanych sukien, przywiezionych na „Goździku”, i miał okazję przekonać się — z wiel-

ką dla siebie stratą — że japońscy arystokraci wolą ubierać swoich dworzan i służbę w „barwy melankolji”: czernie i brązy. Niezgodne z prawdą było też twierdzenie Sarisa, jakoby metr grubego sukna mógł osiągnąć cenę sześciu funtów. Kalkulację tę uznać trzeba za szalenie optymistyczną. Wykaz innych towarów, rzekomo poszukiwanych w Japonii, takich jak słodycze, mydło i wyuzdane malowidła, był tyleż dziwaczny, ile nietrafny.

Saris nie bez powodu uraczył słuchaczy tak obiecującą wizją handlu z Japonią. Stojąc w obliczu nielaski, miał nadzieję dzięki takiemu sprawozdaniu szybko odzyskać dobre imię, a zarazem wytłumaczyć, czemu założył w Japonii faktorię. Uspokoiwszy się, że przekonał swoich krytyków, zaczął nakłaniać londyńskich kupców, aby „budować jęli na rad owych wątlým fundamentem... prawda bowiem zawiera się w nich najszczersza”.

I tak też kupcy postanowili uczynić. Uradowani wiadomością o rzekomych korzyściach, jakie można było osiągnąć na rynku japońskim, z uwagą wysłuchali też nowiny, jakoby Holendrzy zainwestowali niedawno w remont swojej faktorii w Hirado półtora tysiąca funtów. Przezorność handlowa Holendrów była powszechnie znana, tak poważna inwestycja mogła więc tylko oznaczać, że tamtejszy rynek zapowiada wyjątkowe zyski.

W połowie listopada 1614 roku udziałowcy Kompanii odbyli dyskusję nad raportem Sarisa. Im dłużej trwało zebranie, tym bardziej rosło podniecenie uczestników, którzy „wszelkie za i przeciw starannie rozważywszy... zgodnie konkluzją tę wyciągnęli iż kraina owa wielce obiecującą się zdawa”. Kupiwszy dwa statki — „Radę” i „Rękodajnego” — zaczęli gromadzić ładunek.

Saris zachwycony był takim obrotem zdarzeń. Zaledwie przed kilkoma tygodniami wisiła nad nim gromowa chmura podejrzeń i niebezpieczeństwo surowej reprimendy. I oto nagle zaczęto traktować go jak bohatera. Jego wyprawa przyniosła dwustupięcentowy zysk, prawie w całości pochodzący ze sprzedaży przpraw, a decyzję założenia faktorii w Hirado uznano za przejaw dalekowzroczności. Wszelkie zastrzeżenia wobec jego działań w roli szefa ekspedycji poszły w niepamięć. Kupcy z niewielkim zainteresowaniem przeczytali listy od swoich przedstawicieli w Japonii, chociaż Cocks, Peacock i Wickham podsuwali znamięte rady, z których znaczna część pozostawała w jaskrawej sprzeczności z opowieścią Sarisa. Szczególnie przenikliwy był list Cocks'a, zawierający przestrożę, iż Japończycy „w jedwabiach tak się kochają, że ani im w głowie sukienno przywdziać strój”. Kierownik faktorii w Hirado zauważył też złowieszczo, że „ich gust

mogą się kiedyś odmienić... lecz tymczasem za czymś innym naszejrzeć nam się trzeba”.

Miesiąc miodowy Sarisa i Kompanii Wschodnioindyjskiej nie potrwał długo. Sir Thomas Smythe udostępnił kapitanowi u siebie w domu pokój, w którym dowódca „Goździka” zdeponował całą swoją prywatną własność. Tuż przed Bożym Narodzeniem gospodarz dowiedział się jednak, że znaczną część owych rzadomości stanowi kolekcja pornograficznych książek i malunków, którą Saris zgromadził podczas rejsu. Kiedy Smythe podzielił się tym odkryciem z pozostałymi kupcami, nimi także ono wstrząsnęło, orzekli więc, że „owe więgi tudzież malowidła mowiązle... hańbę okrutną Kompanii naszej przynoszą, nie godzi się zatem dłużej nieprzystojności tak wielkiej pobłażać”.

Smythe gotów był przymknąć oko na całą tę historię, choć zapewniał kupców, „iż hydzi go owa kolekcya, tymbardziej że we własnym jego domu się załęgła”. Lecz gdy stwierdził, że zbiór erotycznych eksponatów stał się celem żartów, a na londyńskiej giełdzie rozmaici plotkarze wygłaszają na ten temat „mowy szerszerze”, postanowił podjąć bardziej zdecydowane kroki. Z gniewem i troską oznajmił, że uroczystie, publicznie spali całą kolekcję (i to w obecności Sarisa), aby dowieść londyńczykom, iż „nikt spośród udziałowców Kompaniję takowych niecznych tunstyków nie popiera ni pochwała”. Dziesiątego stycznia 1615 roku pornograficzne zbiory kapitana „Goździka” publicznie spalono: „zaczem w ludzkiej przytomności [Smythe] w ogień je śmiał, którym też się zajęły i płonęły tak, póko całkiem z dymem nie poszły, w popiół się obracając”.

* * *

Podczas gdy Saris płynął z powrotem do Londynu, Adams coraz bardziej się niecierpliwił. Miał wprowadzić wygodną kwatery, odpowiadało mu też towarzystwo japońskich przyjaciół, pragnął jednak wrócić do swojego majątku w Hemi i znów zobaczyć rodzinę. Jedną już przecież stracił, pozostawivszy w Anglii żonę i córkę. Przedłużający się pobyt w dalekim Hirado groził utratą drugiej. Sama posiadłość także potrzebowała pańskiego oka. Każda chwila miał się zacząć zbiór ryżu, którym należało pokierować. Raz po raz wynikały też — drobne co prawda — konflikty o miedzę lub inną własność, domagające się rozstrzygnięcia. Zarządzanie majątkiem ziemskim z odległości tysiąca kilometrów było prawie niewykonalne.

To pragnienie powrotu do Hemi miało jeszcze jedną przyczynę. Adams od lat z górami trzynastu nie mógł się doczekać, kiedy do Japonii przybędą wreszcie jego rodacy. Gdy jednak w końcu przybyli, stwierdził z rozczarowaniem, że niewiele go z nimi łączy. W tej akurat sprawie kapitan Saris miał całkowitą słusność: Anjin Sama czuł się bardziej swojsko wśród tubylczych przyjaciół.

Ledwie zakończono prace budowlane, Adams zasugerował Cocksowi, żeby on i jego ludzie pomyśleli o handlu. Rozbudowa faktorii pochłonęła znaczną część kapitału, a hojnie rozdawane prezenty także doprowadziły do uszczuplenia ograniczonych przecież funduszy. Adams zdawał sobie sprawę, że jeśli Anglicy nie zaczną natychmiast handlować, nad faktorią zawiśnie całkiem realna groźba bankructwa.

Handel nie był jednak zadaniem tak łatwym i prostym, jak Cocks się zrazu spodziewał. Ilekroć wchodził do sklepu, uświadamiał sobie, że jego towar „nienazbyt popytnym się zdawa”. W magazynie zalegało pięćdziesiąt bel sukna, około sześciu tysięcy sztuk indyjskiej bawełny, sto dwadzieścia cztery kły słoniowe, wielka ilość pieprzu, cyny i ołowiu, a także czterdzieści sześć baryłek prochu oraz sześć armat. Richard Cocks miał początkowo nadzieję sprzedać to wszystko bez większego trudu, przekonał się jednak, że rynek zawałony jest kością słoniową, na sukno w ogóle nie ma zapotrzebowania, a cyna w Japonii osiąga nie niskie ceny jak w Anglii. Co gorsza, Japończycy sami wytwarzali bawełnianą surówkę, nie interesowało ich więc kupowanie indyjskiej.

Cocks ludzi się, że trudności te wynikają ze specyfiki Hirado a kupcy z innych miejscowości chętnie nabędą jego towary. Kapitan Saris kazał mu zapuścić macki najdalej i najszerszej, jak się da, zakładając w całej Japonii pomniejszych placówki i składy. Było to łatwe zadanie dla kogoś, kto dysponował zaledwie siedmioma ludźmi, lecz Adams miał parę pomysłów, jak można wykorzystać ograniczone fundusze i siłę roboczą. Ustalono, że należy wysłać Williama Eatona do Osaki, Richarda Wickhama do Edo a młodzieńczego Edmunda Sayersa na Cuszimę — górzystą wyspę między Cieśniną Koreańską a Cuszimską. Peacock i Carwarden zaofiarowali się pojechać jeszcze dalej — aż do Kochinchinu, czyli południowego Wietnamu — natomiast Adams zaproponował, że spenetruje odległy Syjam. Neilson i Cocks mieli trzymać straż w Hirado.

Pierwsi wyjechali Wickham i Eaton. W styczniu 1614 roku pożegnali się z przyjaciółmi. Adams wyruszył wraz z nimi, aby

pomóc im znaleźć odpowiednie domy w Edo i w Osace. Coraz bliższy paniki z powodu wielkich sum, które roztrwonil na taniecki, służbę i rozbudowę faktorii, Cocks kazał im jak najprędzej sprzedać towar. „Wszystkie te dobra na gotowiznę wymieńcie, zanim z Anglii inszy jakiś okręt zawita — napisal do nich w cokolwiek rozpaczliwym tonie — iżby nikt wytknąć nam nie mógł, jakobyśmy beczynnienie się wylegiwali, objadając się jeno a pijąc”.

Trzej Anglicy na krótko zatrzymali się w Osace, żeby znaleźć kwatery dla Eatona, po czym wyruszyli do Edo. To wspaniałe miasto wywierało na wszystkich przybyszach niezatarte wrażenie. Sarisa zdumiało dostojenie jego szlachetnej architektury. „Auto wyzłacane kalenice i narożniki tamtejszych dachów, jako też złocone i lakierowane framugi drzwi wielce chwalebny pozór na nas sprawily” — czytamy w zapiskach kapitana. Przestronne, do czysta wymiecione aleje były „szerokie niby najszersze spaciel angielskich ulic”, a zarazem o wiele schludniejsze. Pewien przybysz z Hiszpanii zauważył nawet z przekąsem, że „bardzo czysto są utrzymane: rzekłbyś, nikt nimi nigdy nie chadza”.

Miasto podzielone było na rozmaite dzielnice: szewców, kotlarzy, kowali i krawców. Istniała osobna dzielnica sklepów, w których sprzedawano ptactwo łowne: przepiórki, gęsi, dzikie kaczki, kurawie i kuraki. W innym kwartale można było kupić króliki, szajki i dziki. Targ rybny sprawiał tak egzotyczne wrażenie, że sprowadzano po nim całe wycieczki cudzoziemców. „Przedają tam wszelkie gatunki ryb, jakich czelku zachcieć się zdarza, tako z wód słodkich, jak i słonych — pisze Hiszpan Rodrigo de Vivero z Velasco. — Ryby owe częstokroć w sadzikach z wodą trzymają, można tedy do woli spośród nich wybierać”. Nie mniej barwny był targ owoców: „Jest on miejscem równie ciekawym jak tamto... nie dość bowiem, że owoców znaleźć tam można obfitość i rozmaitość wielką, to jeszcze czystość, z jaką na widok są wystawiane, oskomę budzi”.

Edo było miastem zamożnym. Jego ulice przemierzała ciżba szlacheckich i wielkich panów, ubranych w kimono z doskonałego jedwabiu. Najbogatsi i skłonni do największej ostentacji feudalności przywdziewali efektowne szaty, ozdobione kunsztownymi wzorami kwiatów i liści. „Pomiędzy kwiaty nie złotą wplatają — pisze padre João Rodrigues — a już osobliwie zręcznie purpury różnymi odcieniami się posługują, jeszcze zręczniejszą zaś — fioleto”. Latem mężczyźni przepasywali się szarfami z konopnego lub lnu płótna, damy zaś — jak stwierdza kronikarz — „wszystkie wysokiego, szlachetnego rodu... rękawiczki jedwabne

nakładają, które grzbietom dłoni są osłoną". Najbardziej nie-
zwykle było jednak obuwanie. Japończycy chodzili przeważnie
w klapkach z koziej skóry, wsuwając stopy w pętle, skręcone z ka-
wałków powrósla. Podczas deszczu wkładali kanciaste drewnia-
ne *geta*, przymocowane do dużych palców rzemieniem.

Cocks kazał Wickhamowi nie liczyć się z pieniędzmi przy wy-
najmowaniu mieszkania. „Obierz waść sobie stancją w najświet-
niejszym domu kupieckim, jaki jeno będzie w mieście onym” –
powiedział, dodając, że „mieszkać pod dachem rodowitego
Japończyka lepiej jest niżeli u jakowegoś cudzoziemca”. Na
szczęście Adams miał w Edo powinowatych, przedstawił więc
Wickhama teściowi – Magome Kageyu, który nadal kierował
systemem rozstawnych koni jucznych. Magome dostał przy
Wickhamie posadę subagenta, odpowiedzialnego za bezpieczeń-
stwo angielskich towarów. Miał ponadto udostępnić Anglikowi
wszystkie swoje kontakty zawodowe. Szybko dał się poznać jako
„szczwana sztuczka”: tak zręcznie ściągał Anglikom pieniądze,
że zyskał u nich przydomek Niccolo Machiavellego.

Równie nieuczciwi okazali się tłumacze Wickhama, zwani *ju-
rabasso*. Zatrudniono ich, ponieważ znali portugalski, który przy
handlu pełnił w Japonii rolę języka międzynarodowego, bardziej
jednak byli zaprzątnięci wykradaniem towarów ze składziku an-
gielskiej faktorii w Edo. Jedynie Adams potrafił nad nimi zapa-
nować. Natychmiast po jego wyjeździe zaczęli robić z Wickha-
mem, co tylko chcieli, toteż w końcu napisał on do Eatona, że są
to „jeden w drugiego lotry i oszuści, żadnemu z nich nie lza tedy
ufać”.

Mimo straszliwych trudności, jakie się przed nim piętrzyły,
miał jednak Wickham nadzieję, że jego placówka zacznie w końcu
prosperować. Przybył do Edo w bardzo sprzyjającej chwili, gdy
setki zamożnych, szlachetnie urodzonych Japończyków ściągnęli
tam na uroczystość z okazji odbudowy zamku. Wielu z nich za-
glądało do angielskiego składu, chcąc się przekonać, jaki jest tam
wybór sukien.

Ich ciekawość musiała, niestety, pozostać niezaspokojona.
Sukno nie zdążyło jeszcze dojechać z Hirado, Wickham znalazł się
więc w okropnie irytującej sytuacji, miał bowiem klientów, bez
towaru ani trochę. Z tego wszystkiego nabawił się „zimnicy”, wy-
słał więc do Nealsona list, w którym czytamy: „takem jest znie-
żon... że nie mam nawet kiedy zebrać nijakiej materji, o której
choćby i pisać ci byłoby warto”. Cocks na wieść o nieszczęśliwym
położeniu Wickhama raczej się rozgniewał, niż zmartwił. „Jest

spędzimy jeszcze w Japonii lat choćby i siedm, nigdy nie trafi nam
się sposobność równie dogodna, iżby sprzedać sukno nasze, jak na
tym oto ślachty walnym zjeździe” – napisał.

Pogłoski o tej katastrofie szybko dotarły do Holendrów, osiad-
łych w Hirado. Wykorzystali oni sytuację, wysyłając do Edo włas-
ne sukno. Zdążyli akurat w samą porę, wrócili więc z tej wyprawy
obładowani srebrem. Tego już było Wickhamowi za wiele. Ilekroć
okoliczności sprzysięgały się przeciw niemu, rozglądał się za wi-
nowajcą. Tym razem nie musiał szukać daleko. „Wprost słów mi
brak na to, co o kapitanie Adamsie mniemam – napisał w pry-
watnym liście do Cocksa – żywię wszelako silne podeżrzenie, iż
zagrał on w tej okazyjey na dwie strony”.

Podjeżenia Wickhama wzięły się stąd, że Adams nalegał, aby
sukno wysłano drogą morską. Holendrzy zazwyczaj transporto-
wali towar drogą lądową, Wickhamowi nasunęła się więc myśl,
że Adams celowo sabotuje angielskie przedsięwzięcie. Ugryzł się
w język, zanim wprost go o to oskarżył: „nie wiedziałbym bo-
wiem, jak szkodzie przez takową akuzacyą wyrządzonej zara-
dnie” – wyjaśnia. Podzielił się natomiast z Cocksem swoimi
przypuszczeniami, dodając, iż „warto jednakowoż zachować
sprawę w pamięci jako przestrożę, jeśliby rzecz podobna kiedyś-
kolwiek powtórzyć się miała”.

Do głębi wstrząśnięty tym oskarżeniem, Cocks przeprowadził
gruntowne dochodzenie. Szybko ustalił, że zawinił przewoźnik,
który transportował sukno, natomiast sam Adams jest w tej spr-
awie absolutnie czysty. Zarażony nieufnością Wickhama, Cocks
postanowił wszakże zastosować pewne środki ostrożności.
Zrobił to jednak w bardzo dziwaczny sposób, przyjmując do pra-
cy Gisberta de Coninga – jednego spośród holenderskich niedo-
bitków z załogi „Liefde”. Był to ten sam zdrajca, którego Adams
uniknął od chwili wylądowania w Japonii. Wkrótce okazało się, że
jest nie tylko nielubiany, lecz i nieporadny, toteż jego pensja cał-
kiem niepotrzebnie uszczupliła topniejące fundusze Cocksa.

Odkąd Wickham przeniósł się do Edo, od macierzystej fakto-
rii dzieliło go prawie osiemset kilometrów, lecz koledzy często
do niego pisywali. Cocks w jednym z listów podzielił się z nim
plotką o poważnych kłopotach małżeńskich ich dawnego gospo-
darsza, Li Tana. Otóż między Chińczykiem a jego żoną często do-
chodziło do głośnych awantur. Podczas jednej z nich mąż wrę-
czył żonie swój miecz i kazał jej „palca małego się zbawić”.
Byłaby nawet pokornie spełniła to polecenie, gdyby nie po-
strzymała jej pokojówka imieniem Maria. Odtąd gniew Li Tana

skrupił się właśnie na Marii: „Drogo za to zapłaciła — pizze Cocks — ile że lewy kciuk nieomal ze szczętem jej urzezał”.

Po kilku dniach dostał Wickham tajemniczy list od Williama Nealsona. Autor już w pierwszych słowach zapowiadał, że ma do przekazania niesłychanie ekscytującą nowinę, po czym następował tekst w formie szyfrowanych kalamburów i zagadek, kamuflujących drażliwą informację. „Iżby szaradę tę rozwiązać — pisał Nealson — rozważ pierwej: nie wszystko rogacz, co rogi nosi”. Dalszy ciąg napisany był w podobnym stylu: prawie pół strony wypełniały prowokacyjne aluzje, zahaczające o główny temat „Czytaj owo wspak — zaczynała się jedna z nich. — *Ad dextro ad sinistro: OIGNITAM*”. Zakładając, że Wickham zrozumiał już, w czym rzecz, autor zakończył słowami: „I cóż, mospanie? Czyżbyś jeszcze nie pojął? Wierzaj mi, prawda to najszczerza”. Wiadomość była rzeczywiście ekscytująca: Nealson przepisał się z Matingą, kochanką Cocks'a. Entuzjastyczny ton listu świadczy, że była to udana przygoda, wiarołomca zdawał sobie jednak sprawę, jak zmartwilby się Cocks, gdyby dowiedział się o niewierności Matingi. „Trzymaj język za zębami — przykazał zatem Wickhamowi. — Cokolwiek zaś bym ci odtąd pisał, falom [muru] abo ogniowi powierz”. Wickham na szczęście nie zastosował się do zaleceń przyjaciela, toteż list Nealsona znajduje się dziś w zbiorach British Library.

Lecz i sam Cocks nie zasypiał gruszek w popiele. Rozczarowany rzekomą oziębłością Matingi, znalazł sobie energiczniejszą towarzyszkę łóżkowych igraszek. „Dziewkłem onegdaj był kupił — napisał do Wickhama. — Ma ci ona lat ledwie tuzin i do owych zapasów cokolwiek zda się niedoroślą, wszelako zdziwi się, gdy ci powiem, że stręczą mi już drugą, zdatniejszą, by ją brać na kolano [do łóżka]”. Bezwiednie powtarzając prośbę Nealsona, dodał: „Język trzym za zębami”, choć nie mógł przecież wątpić, że Wickham wyjawi jego sekret pozostałym, i pewnie nawet czepał z tej myśli niejaką przyjemność. To, że niezłe już posunięty w latach Cocks wciąż interesuje się seksem, rzeczywiście zaimponowało Wickhamowi, który odpisując na jego list, kazał mu jednak uważać, aby dziewczyna nie zaszła w ciążę: „Stare wiary w podobie Waszmości najnieprzezpieczniejszym paliwem się stawają w bliskości takiej młodej hubki”.

Szkoda, że pozostali Anglicy nie wzięli sobie tej rady do serca: wkrótce bowiem stwierdzili, że ich konkubiny są brzemiennie. Kobieta Eatona urodziła mu kolejno dwoje dzieci; synowi dała na imię William, a córce — Helena. Kochanka Sayersa, Maria,

wydała na świat córkę. Naloznica Nealsona „także dziewczeczkę powiła”, a i Adamsowi powiększyła się rodzina. Z żoną, którą zostawił w Hemi, miał już Josepha i Susannę. Teraz zaś dowiedział się, że zostanie ojcem kolejnego dziecka — owocu wielomiesięcznej samotności w Hirado. W przeciwieństwie do reszty Anglików był jednak tym faktem zakłopotany i nigdy o nim nie wspominał w listach.

Na przełomie wiosny i lata Cocks z rosnącym optymizmem wenił perspektywę handlu. Wickham zdołał sprzedać swój zapas ołowiu, a przed faktorią Eatona w Osace także rysowały się niezłe widoki. Tempest Peacock i Walter Carwarden pełni wielkich nadziei popłynęli do Kochinchiny, natomiast młody Edmund Sayers próbował handlować na Cuszimie. Cocks snuł ambitne marzenia o tym, żeby rozszerzyć działalność swojego imperium handlowego i dotrzeć z nią aż w głąb Korei, chociaż wstępne doniesienia nie brzmiały zbyt zachęcająco. Opowiadano mu bowiem, że największe miasta koreańskie otoczone są „rozległymi murkami, to choć i konno nijak wożazować się nie da”. Docierano tam jedynie na wielofunkcyjnych wozach, które były czymś w ro-



Richard Cocks i jego ludzie rozkoszowali się towarzystwem japońskich geiszy. Mieli też wieloletnie utrzymanki, a kilku zamieniło się kochankami.

dzaju prototypów amfibii, a podczas przeprawy przez zalane wodą tereny stawiano na nich zagle.

Przez całą wiosnę 1614 roku William Adams pomagał Anglikom zakładać nowe placówki, gdy jednak porożejeżdżali się z Hirado, postanowił co rychlej udać się w zaplanowaną podróż do Syjamu. Na wieść o tym Wickham zaczął gorąco prosić, żeby jemu także pozwolono wziąć udział w rejsie. Bynajmniej nie pragnął towarzystwa Adamsa, traktował jednak tę wyprawę jako znakomitą okazję po temu, aby zająć się handlem na własny rachunek. „Ućciwy” pan Cocks nie dostrzegł jego niskich pobudek i chętnie wyraził zgodę. Faktorię w Edo na pewien czas zamknęto, a Wickham wrócił do Hirado.

Adams potrzebował kilku tygodni, żeby wyremontować swoją dżonkę, zwaną „Morską Przygodą”. Skompletowanie załogi, złożonej ze stu dwudziestu Japończyków, zajęło mu długie miesiące. Zatrudnił też dwóch europejskich kupców — Włocha i Kastylijczyka — którzy pracowali dotychczas jako przedstawiciele handlowi Anglików w Nagasaki. Zanim statek wyruszył w rejs, był już listopad i pogoda zaczynała się psuć. „Morska Przygoda” ledwie zdążyła odbić od brzegu, gdy spadła na nią wściekła burza z piorunami. Rozszalałe fale biły w świeżo połatanе burty, aż w końcu przez szpary w obluzowanym poszyciu chlusnęła do ładowej woda. Japońscy majtkowie przez całą dobę zginali grzbiety przy pompach, „żywiol morski bez ustanku z wnętrza nawy siłąc się wyżęnać”. Poziom wody wciąż jednak się podnosił. Ludzie ze zgrozą zdali sobie sprawę, że nie nadążają z pompowaniem.

Beztraska angielskiego kapitana jedynie wzmagała ich przerażenie. Adams zdawał się rozkoszować trudną sytuacją; zachęcał marynarzy, żeby zdwoili wysiłki, „w kupcach zaś i innych podróżnych, co w bezczynności trwali, taką posiał trwogę, iż szemrać a rebeliją wszczynać jeli”. Wśród wycia wichury i bebotu fal, walących się na pokład, majtkowie w końcu się zbuntowali i oświadczyli Adamsowi, że przestaną pompować, jeśli statek natychmiast nie popłynie ku położonym na Morzu Wschodniochińskim wyspom Riukiu. Kapitan nie miał wyboru: przyjął warunki załogi i z ciężkim sercem wziął kurs na wyspę, zwaną podówczas Wielką Riukiu, a dziś Okinawą. Leży ona prawie osiemset kilometrów na południe od Hirado.

Okolona wieńcem palm Wielka Riukiu była jednym z nielicznych punktów, w których japońscy i chińscy kupcy mogli prowadzić bezpośrednią wymianę handlową. Do roku 1609 stanowiła niezależne królestwo, a jej szczęśliwi władcy żyli z niemalym

przepychem, mieszkając we wspaniałym zamku Shuri o zdobionych laką komnatach. Potem jednak ich dziedzicznymi właścicielami zawładnął Satsuma — wspomniany już wcześniej możnowładca japoński. Miał on nadzieję, że nowo zdobyta prowincja, położona na najdalszych rubieżach jego państwa, nadal będzie funkcjonować jako ośrodek międzynarodowego handlu.

Kiedy po morderczym rejsie Adams wraz ze sponiewieraną przez sztorm załogą wyszedł na brzeg, zgotowano im „cudownie przyjazne powitanie”: nakarmiono ryżem, szynką oraz rzepą i pozwolono przechować na łódzie towary, póki dziurawy statek nie zostanie naprawiony. Jacyś wdzięczniejsi żeglarze mogliby dostrzec uśmiech losu w tym, że morze wyrzuciło ich na nieskalaną plażę w przepysznym raju, w którym przez cały rok panuje tropikalny klimat. Niesforni marynarze zaczęli jednak narzekać na wilgoć, duchotę i dokuczliwe roje zgłodniałych moskitów. Zażądali połowy wypłaty, otrzymane pieniądze przepili, po czym zaczęli swanturować się między sobą, żeby dać upust emocjom. „Onego dnia oficerowie, majtkowie i pasażerowie nasi wszyscy po broń sięgnęli, iżby wzajem z sobą walczyć” — ze zgrozą pisze Adams. Kapitan usiłował powstrzymać „krwawie rozlanie”, lecz wiadomość o burdzie dotarła do bezlitosnego zarządcy wyspy. Ustalił on, kto jest prowodyrem, po czym dobył miecza i rozsiekał nieszczęśnika na kawałki.

Miejscowe władze stwierdziły tymczasem, że okazały awanturnikom wystarczająco wiele wyrozumiałości, i poleciły „Morskiej Przygodzie” opuścić wyspę. Na nic zdały się tłumaczenia Adamsa, że „nie wszystko nabyć zdążył, czego dżące naszej do drogi dalszej potrzeba”. Ludzie z Riukiu nie chcieli też z nim handlować, w sumie sporo więc stracił na tym chybionym przedsięwzięciu. Kosztowało ono ponad sto czterdzieści funtów — był to zatem wydatek, na który faktoria nie bardzo mogła sobie pozwolić — i wzbudziło w mieszkańcach wyspy wiele niechęci. Tylko jeden uczestnik tej katastrofalnej wyprawy zdołał mimo wszystko na niej zarobić. Richard Wickham odkrył, że na Riukiu wonną żywicę drzewa ambrowego można kupić znacznie taniej niż gdziekolwiek na Wschodzie. Wiedząc, iż owa rzadka substancja jest w Japonii ogromnie ceniona jako przyprawa kuchenna, postanowił skorzystać z okazji: dla firmy kupił zaledwie kilogram, a dla siebie aż sto trzydzieści kilogramów. Część odstąpił potem faktorii z pięćdziesięcioprocentowym zyskiem, w sumie więc przyniosła mu ta transakcja mnóstwo pieniędzy. Drugą partię sprzedał cichaczem poprzez działającego w Nagasaki agenta, a trzecią wysłał do

Bantamu. Minęły prawie dwa lata, zanim Cocks uświadomił sobie, jak bardzo dwulicowe jest postępowanie Wickhama, wtedy jednak na podjęcie jakichkolwiek kroków było już za późno.

Wyprawa „Morskiej Przygody” pod prawie każdym względem zakończyła się fiaskiem i przyniosła długofalowe skutki, które miały się ujawniać jeszcze długo po jej zakończeniu. Dwa agenci angielskiej faktorii z Nagasaki, którzy popłynęli z Adamsem na Riukiu, bardzo narazili się portugalskim władzom miasta. To, że poszli na angielską służbę, uznano za zdradę stanu i odstępstwo od wiary katolickiej. Wtrącono ich więc do więzienia, gdzie mieli oczekiwać śmierci.

Cocks zaczął pisać do gubernatora Nagasaki nagłać listy, domagając się zwolnienia więźniów, lecz jego żądaniom nie dano posłuchu. „Próżno wszelkich się ima sposobów, iżby im wolność przywrócić” — czytamy u Williama Eatona. Upokorzony tym, że jego wpływy okazały się tak znikome, Cocks poprosił Adama o wstawiennictwo u szoguna. Anjin Sama chętnie podjął się tej misji. Gdy opowiedział Tokugawie, co spotkało Włocha i Kastylijczyka, Ieyasu kazał Portugalczykom natychmiast ich oswobodzić. „Niezwłocznie rozkaz wydał, aby więźniów na wolność wypuszczono — z wdzięcznością pisze Cocks — wszystkie uprzednio im zrabowane dobra zwracając”. Portugalczycy byli wściekli, lecz bezsilni. Adams znowu ich poniżył, udowadniając zarazem, że Ieyasu nadal pozostaje pod jego wpływem.

Anjin Sama zatriumfował po raz kolejny, gdy w jakiś czas potem wstawił się u szoguna za Specksem i jego ludźmi. Zdobył oni portugalski statek „San Antonio”, który wioził do Nagasaki bogaty ładunek hebanu, złota i przetworów. Nie miał jednak japońskiej licencji na handel, Holendrzy twierdzili więc, że ten łup prawnie im się należy.

Ieyasu nie bardzo wiedział, jaką podjąć decyzję, pozwolił zatem obu stronom wypowiedzieć się przed swoim obliczem. Stwierdziwszy, że rzecznikiem Holendrów jest Adams, rozstrzygnął konflikt na ich korzyść, pozwalając zatrzymać statek wraz z ładunkiem i pojmaną załogą. „Za sprawą Williama Adama głównie to się stało, iż cesarz ku takowemu postanowieniu się nakłonił” — pisze Cocks, zachwycony nowiną, że Adams przy okazji przypomniał szogunowi o zamierzonym przez królów Hiszpanii i Portugalii podboju Dalekiego Wschodu.

Cocksowi sprawiły też radość słodkie bulwy, które Adams przywiózł mu w prezencie z Riukiu. Były to pierwsze znane historykom ziemniaki, jakie posadzono w Japonii. Pod umiejętną

opieką Cocksą dały obfity plon. Już niebawem szczęśliwy hodowca opisał w swoim dzienniku, jak zaniósł lakomemu królowi Foyne „ziemniaków misę”.

Z czasem miało się okazać, że była to jedyna materialna korzyść, jaką faktoria odniosła z wyprawy na Riukiu. Wickham dzięki prywatnym transakcjom zrobił wprawdzie fortunę, ale Cocks został z plótnem w kieszeni. Zanim jednak zdążył ocenić sytuację (i oszacować straty), mocno się ona zaogniła: Japonia stanęła w obliczu wojny domowej, a Ieyasu zaczął gromadzić armię.

Gniew szoguna zwrócił się przeciw zamieszkującym jego państwo chrześcijanom. Tokugawa zarówno jezuitom, jak i franciszkanom okazywał dotąd podziwu godną wyrozumiałość, pozwalając wznosić kościoły i wygłaszać publiczne kazania, jak kraj długi i szeroki. Katolicy założyli wiele kolegiów religijnych, aby kształcić w nich japońskich nowicjuszy; zorganizowali też własną drukarnię, dzięki której mogli rozpowszechniać katechizmy dla misjonarzy. Najbardziej na tej łaskawości szoguna skorzystali jezuiti. W Japonii odnieśli znacznie większe sukcesy niż w jakimkolwiek innym państwie Wschodu. Liczbę nawróceń, które mieli na swoim koncie, ocenia się na prawie trzysta tysięcy. Stu szesnastu jezuitskich misjonarzy pełniło służbę w rozsianych po całym kraju kościołach. Ieyasu przymknął nawet oko na to, że chrzest przyjęło kilku wielkich feudalów, a szereg ważnych stanowisk dworskich obsadził ochrzczonymi Japończykami. Nastąpiła jednak seria niefortunnych zdarzeń, które kazały mu zrewidować dotychczasową strategię wobec cudzoziemskich kapłanów.

Pierwszym sygnałem alarmowym była wizyta Sebastiana Vieciano. Rozwścieczony wyniosłością i butą Hiszpana, szogun spadł w jeszcze większą furję na wieść, że ten antypatyczny misjonarz ma wiele kontaktów z franciszkanami. Ukaral więc zatem, zamykając część jego klasztorów.

Wkrótce potem musiał stawić czoło własnemu lennikowi, Fan Arima — od pewnego czasu chrześcijanin — przekupstwem skłonił jednego ze współwyznawców, piastujących urzędy na dworze, do sfałszowania dokumentu, który rozszerzał granice jego lenna. Ieyasu był wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że dworzanin ośmielił się postawić wspólnotę religijną wyżej niż oddanie swemu seniorowi. Chcąc dać nauczkę innym ochrzczonym urzędnikom, polecił żywcem upiec niełojalnego dworaka, natomiast Arimę pozbawił włości i skazał na wygnanie.

Niebawem doniesiono mu o znacznie poważniejszym incydencie, który ostatecznie przekonał go, że chrześcijaństwo wywiera szkodliwy wpływ na społeczeństwo japońskie i wywołuje w nim głębokie podziały. Pospolitego przestępcę imieniem Jirobioye przyłapano na fałszowaniu pieniędzy i postawiono przed sądem. Zapadł wyrok skazujący, ponieważ zaś winowajca był chrześcijaninem, uznano za stosowne go ukrzyżować. Egzekucji przypatrywały się setki chrześcijan, a gdy Jirobioye w końcu wyzionął ducha, zgromadzony tłum „na kolana padł i duszę jego opiece Boskiej polecił”. Wkrótce potem księża wygłosili serię kazania, mówiąc wiernym o miłości, którą darzą wszystkich chrześcijan – nawet takich grzeszników jak Jirobioye.

Tokugawie zachowanie to wydało się wstrętne. Jeszcze bardziej zaszokowała go nowina, jakoby księża ci otwarcie nakazywali swoim owieczkom słuchać przede wszystkim Kościoła, a dopiero potem panów feudalnych. Tego rodzaju zalecenie podważało społeczny ład w Japonii, Ieyasu uznał więc, że czas położyć kres głoszeniu obcej doktryny. W styczniu 1614 roku wydał słynny edykt przeciw chrześcijaństwu. Zarzucał w nim chrześcijanom, że przybyli do jego kraju, „iżby prawo niegodziwe szerzyć, a reguły prawdziwą obalać z myślą o władzy w państwie odmianie”. Dodał jeszcze, iż „jest to klęski wielkiej zarzewie, zdeptane zatem być musi”. Wszyscy cudzoziemcy wyznania chrześcijańskiego mieli natychmiast wyjechać z Japonii pod groźbą jednej z pięciu kar: napiętnowania, obcięcia nosa, amputacji stóp, kastracji lub śmierci. Edykt godził również w japońskich neofitów. Wolno im było pozostać w kraju, pod warunkiem że wstąpią do którejś spośród głównych sekt buddyjskich. Ojców rodzin obciążono osobistą odpowiedzialnością za to, czy ich dzieci wyrzekną się nowej wiary.

Jezuitów przeraziła tak fatalna odmiana losu. Działali w Japonii już od ponad półwiecza i oto ten sam człowiek, który dotychczas odnosił się do nich z największą tolerancją, nagle skazywał ich na wygnanie. Niektórzy ludzili się wprawdzie, że zdołają pozostać w Japonii „kryjomo a w przebraniu”, wiedzieli jednak, że jest to prawie niemożliwe, „potajemne ich przechowanie ogromnie bowiem trudności nastęcza”. Z wielkim ociąganiem udali się więc do Nagasaki, gdyż właśnie stamtąd kazano im odpłynąć. Mieli jeszcze resztkę nadziei, że Ieyasu cofnie edykt.

Nowe prawo szoguna teoretycznie dotyczyło wszystkich zamieszkałych w Japonii chrześcijan, tak naprawdę wymierzony było jednak przeciwko katolikom. Adams od lat nie szczędził sta-

rań, żeby wyjaśnić Tokugawie, czym różni się katolicyzm od protestantyzmu, i opowiedzieć o rozłomie teologicznym, który na przełomie dziesięciolecia pogrążył Europę w chaosie i pożodze wojennej. Cierpliwość Anjin Samy i przejrzystość jego wywodów sownie się opłacała. Gniew Ieyasu ani trochę nie zaszkodził Anglikom. Polecono im tylko usunąć z dachu faktorii flagę świętego Jerzego, umawszy widoczny na niej krzyż za „godło zelżywe”. Nie kryli radości z radykalnej wolty szoguna, ale też nie byli nią nadmiernie zaskoczeni. Adams od dawna spodziewał się, że katolicyzm w Japonii prędzej czy później poniesie klęskę, a pewnemu Hiszpanowi oświadczył w oczy: „Uźrżysz jeszcze, Wasza Łaskawość, że za lat trzy ni jeden *padre* w tym kraju się nie ostanie”. Wickham posunął się nawet do twierdzenia, jakoby edykt Ieyasu był owocem angielskich knozań, chępiąc się, że „wedle potrzeb i sposobnościśmy jezuitów ludziom tutejszym hydźili”. Do poglądu tego niewątpliwie przychylił się prowincjał zakonu, Valentim Carvalho. Napisał on papieżowi, jakoby Adams i inni „podłymi oszczerstwami... na tyle podejrzeń wystawili kaznodzieje nasze, że [Ieyasu] lęka się i łatwo daje wiarę, iż są to radziej szpiegi niżeli Wiary Świętej w królestwie jego siewcy”.

Edykt Ieyasu wywołał natychmiastowe i dramatyczne skutki. „Damy wszystkie i kościoły, co braci franciszkanów jako i jezuitów były własnością, burzy się a ogniem pali” – napisał William Eaton z Osaki. Dodał, że wszyscy nawróceni Japończycy wyrzekli się nowej wiary, „nie masz już więc w tych stronach ni jednego chrześcijanina japońskiego rodu”. Niezupełnie odpowiadało to prawdzie. Kościoły w Osace rzeczywiście zburzono, bez wielu wyznawców pozostawało na wolności. Bynajmniej też nie wszyscy cudzoziemscy księża udali się do Nagasaki. Lpóra część franciszkanów, jezuitów i ochrzczonych samurajów zaczęła potajemnie chronić się w niezdojetych murach zamku Osaka. Konflikt wisiał w powietrzu, a Ieyasu stał w obliczu największego (i najbardziej rozpaczliwego) wyzwania, jakie dotychczas rzucono jego władzy.

Problem nabrzmiewał od dawna. Dzięki odniesionemu w roku 1600 triumfowi w bitwie pod Sekigaharą stał się Ieyasu na pewien czas niekwestionowanym władcą całej Japonii. Zdołał całkowicie zniszczyć wrogów i (jak się zdawało) uciszyć wszelką krytykę. Taka zwycięstwo to dało mu tylko chwilę wytchnienia. Młody Huleyori, przy którym zajmował początkowo stanowisko regenta, zaszył się w zamku Osaka, a wielu Japończyków uważało go za prawowitego następcę tronu. Gdy zaczął dorastać, coraz więcej

niezadowolonych możnowładców i wydziedziczonych książąt jako gromadzić się pod jego sztandarem.

Wymierzony przeciwko chrześcijaństwu edykt Ieyasu wzmocnił pozycję Hideyoriego, skłaniając ochrzczonych samurajów i kapłanów wojowników do wstąpienia w szeregi jego armii. Zanim nadeszła zima 1614 roku, Ieyasu nie miał już wątpliwości, że nadciąga kryzys, któremu trzeba będzie zdecydowanie stawić czoła. Dawno już postanowił, że z czasem przekaże stanowisko szoguna własnemu synowi, i nie zamierzał pozwolić, aby plany te pokrzyżowało coraz bardziej wojownicze stronnictwo Hideyoriego. Owi malkontenci byli jednak znacznie groźniejsi od przeciwników, z którymi starł się w roku 1600. Mógł wprawdzie być pewny oddania licznej armii – w tym także zahartowanych w bojach weteranów spod Sekigahary – lecz jego wrogowie pod jednym istotnym względem mieli nad nim przewagę: w ich rękach znajdował się potężny zamek Osaka, strategicznie usytuowany w samym sercu Japonii.

Była to twierdza tak monumentalna, że jej widok przytłaczał wszystkich nowo przybyłych cudzoziemców. Zewnętrzne umocnienia tworzyły krąg o promieniu niemal piętnastu kilometrów i powszechnie uchodziły za niezdołbane; główną warownię chroniły dwie głębokie fosy, otoczone murami wysokości czterdziestu metrów, do których z kolei dostępu broniły „rowy bardzo głębokie... i mostów zwodzonych wiele u bram w żelazo okutych”. Każda brama jeżyła się wszelakim orężem, a na wałach stały znaczące ognie machiny. Kiedy Saris zwiedzał zamek, stwierdził ze zdumieniem, że „mury jego są nie mniej niż na sześć albo i siedem jardów szerokie”.

Ieyasu i Hideyori zdawali sobie sprawę z nieuchronności wojny. Wiedzieli też, że przesądzi ona o przyszłości Japonii. Gra toczyła się o niebywale wysoką stawkę, więc do i tak już potężnych armii ściągały tysiące ochotników, którzy chcieli poprawić swój los, udzielając poparcia zwycięskiej stronie. Ieyasu miał do dyspozycji około stu osiemdziesięciu tysięcy ludzi, zgromadzonych wokół zamku Osaka. Ich obóz wyglądał imponująco: szeregi namiotów i pawilonów ciągnęły się całymi kilometrami. Owi zahartowani w boju wojownicy mieli stoczyć bitwę z mniej więcej stu tysięczną armią, w której walczyło wielu spośród najbardziej bezlitosnych samurajów. Pierwszym zadaniem Ieyasu było wyparcie z zamku Osaka tych ogromnych sił, złożonych w znacznej mierze z chrześcijan, fanatycznie oddanych swojej wierze i za nią właśnie walczących. Gdyby udało mu się wykurzyć wrogów z wa-

rowni, musiałby pokonać ich w walce wręcz. Była to niebezpieczna i ryzykowna strategia.

Ieyasu dostał od Adamsa i Eatona wiele broni oraz amunicji i postanowił właśnie za jej pomocą oznajmić rozpoczęcie działań wojennych. Pod koniec grudnia 1614 roku kazał najbardziej doświadczonym artylerzystom wycelować trzynastofuntowe kolu-bryny z „Goździka” w jedną z wież zamkowych. Ostrzał trwał trzy dni. Kolejne salwy trafiały w basztę, nie czyniąc jej większej szkody. Szybko stało się jasne, że artyleria nie podola zamkowym murom, a Ieyasu ma szansę zdobyć twierdzę jedynie drogą oblężenia lub podstępem.

Od dawna słynął z niezrównanego sprytu i w tej ciężkiej operacji po mistrzowsku nim się posłużył. Wywołał w zamku zamieszanie, nadając sprzeczne sygnały: oświadczał, że chce zawrzeć pokój, a nazajutrz podejmował działania bojowe. Słał gońców do matki Hideyoriego, znanej orędowniczki pokoju, lecz zaraz potem zaczynał ostrzeliwać zamek z armat. Nęcił przekupstwem istniejące wśród obrońców frakcje, a jednocześnie kazał zamino-wać fosę. Aż tu nagle – ku największemu zdumieniu załogi –



Łoburze Ieyasu byli zahartowani w bojach i dobrze uzbrojeni. Wkrótce jednak przekonali się, że arkebuzy (powyżej), a nawet armaty niewiele mogą zaszkodzić potężnym murom zamku Osaka.

skapitulował. Wysłał do Hideyoriego poselstwo z listem, w którym oficjalnie przyznawał, że próba zdobycia zamku Osaka była szaleństwem, i z właściwą sobie wyrozumiałością wszystkim przebywającym w twierdzy malkontentom obiecywał łaskę. Młodemu pretendentowi gwarantował swobodę wyboru miejsca zamieszkania i osobistą nietykalność, kładąc pod dokumentem pieczęć zwaną *kappan*, umaczaną we krwi wytoczonej z własnego palca. Określone w liście warunki zyskały tym samym rangę świętych zobowiązań.

Taki obrót wydarzeń kompletnie zaskoczył Hideyoriego i jego ludzi, lecz stary władca najwidoczniej zamierzał dotrzymać słowa. Jego ogromna armia zwinęła obóz i ruszyła w stronę Kioto. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę zarządził odwrót.

W zamku Osaka wybuchła wielka radość, wojsko Hideyoriego uznało bowiem, że bez jednego strzału odniosło znaczące zwycięstwo. Dopiero później okazało się, że triumf był przedwczesny. Rzekomy odwrót armii Tokugawy stanowił jedynie podstęp, genialny fortel stratega. Ieyasu zostawił pod zamkiem niewielki oddział, każąc mu zburzyć zewnętrzne mury i wypełnić fosę gruzem, co musiało fatalnie osłabić twierdzę. Ludzie Hideyoriego ze zdumieniem przyglądali się tym robotom, o których ani słowem nie wspomniano przecież w traktacie. Z troską obrońców przeszło w silny niepokój, gdy ujrzeli, z jakim zapałem żołnierze Tokugawy wybijają ogromną dziurę w murze i zasypują gruzem fosę. Obronność zamku mocno na tym ucierpiała.

Oficerowie Hideyoriego zaczęli protestować, nic to jednak nie dało. Powiadomiono ich zwięźle, że w świetle traktatu fortyfikacje są zbędne. Dopiero wtedy zrozumieli, w jaką wpakowali się pułapkę. Wpadli w panikę i kazali swoim ludziom naprawić mur, a fosę oczyścić z gruzu. Na to tylko czekał Ieyasu. Sięgając po atutową kartę, oświadczył, że Hideyori złamał święte porozumienie. Jediną możliwą odpowiedzią była wojna.

Ruszył przeciwko znacznie osłabionemu zamkowi Osaka na czele stuosiemdziesiątysięcznej armii. Hideyori bał się, że pod ostrzałem artyleryjskim runą osłabione fortyfikacje. Nie widząc wyboru, postanowił stoczyć bitwę w otwartym polu. Zamierzał wyprowadzić przeciwko elitarnym jednostkom Tokugawy niewielki oddział doborowych żołnierzy, podczas gdy znacznie większe siły spróbują się przedrzeć przez szeregi tylnej straży szoguna, a gdy zamieszanie dojdzie do szczytu, sam Hideyori wyjedzie na pole bitwy w otoczeniu gwardii, złożonej z najbardziej oddanych, a zarazem bezwzględnych samurajów.

Wielu chrześcijan z armii Hideyoriego wiedziało, że będzie to walka na śmierć i życie: jeśli przegrają, Ieyasu nie okaże im łaski. Ufni w zwycięstwo, poniechawszy wszelkiej ostrożności, wnieśli sztandary i proporce, które nie pozwalały szogunowi wątpić w to, jaką wiarę wyznają maszerujące pod nimi oddziały. „Na sześciu ogromnych chorągwi pobok Krzyża Świętego zbawiciel ze Świętym Jakubem, Hiszpaniej patronem był przedstawion, na niektórych widniały zaś nawet słowa «Hiszpaniej Wielki Obrońca»”. Rozwinięte na podzamczu flagi i sztandary stworzyły barwne, jaskrawe tło dla szanćców, wzniesionych z szarego kamienia. Pojawiały się coraz to nowe chorągwie, aż nad szeregami obrońców zakotłosał się istny las chrześcijańskich znaków. Jak napisał pewien obserwator, „gdzie nie spojrzeć, wznosił się krzyż, *Jesús* lub *Santiago*... który to widok szoguna niechybnie o mdłości musiał przyprawić”.

Dwie potężne armie stanęły do bitwy na równinie pod zamkiem Osaka. Działania wojenne zaczęły się trzeciego czerwca 1615 roku. W początkowej fazie obrońcom szczęście sprzyjało. Ich strzelcy szybko zdziesiątkowali prawe skrzydło oblegających, a dzięki serii śmiałych ataków, wymierzonych w sam środek wrogich szeregów, wojsko Hideyoriego zbliżyło się na odległość strzału do gwardii Tokugawy. Nim nadeszło południe, wydawało się, że Hideyori ma całkiem realną szansę zwycięstwa. Doprowadziła go jednak do zguby taktyka powolnej wojny na wyniszczenie. Wczesnym popołudniem najlepiej wyszkolone oddziały szoguna przeprowadziły zaciekły kontratak i zapędziły armię buntowników z powrotem do zamku. Hideyori zaczął się obawiać, że bitwa jest przegrana; pragnął już tylko zginąć w walce. W głęboko poruszającym przemówieniu do najwierniejszych oficerów oświadczył: „Ze śmiercią dawno już gotówem się spotkać”. Oficerowie nalegali jednak, żeby dalej bronił zamku, a ich bojowość dodała Hideyoriemu otuchy. Doszło do zacieklej walki wręcz: tysiące samurajów ścierały się na szanćcach i wokół nich. Podczas gdy żołnierze szoguna z wolna parli w stronę wewnętrznej cytadeli, w szeregach obrońców znalazł się zdrajca, który podpalił zamkowe kuchnie. Silny wiatr rozdmuchał płomień i w ciągu zaledwie kilku minut sporą część zamku ogarnął pożar. Piechurzy Tokugawy przedarli się przez ogień, opanowali mury i bramy, po czym wtargnęli w ostatni krąg murów. Hideyori i jego oficerowie zrozumieli, że to już naprawdę koniec. Dobyli ostrych jak brzytwa sztyków, zwanych *wakizashi*, rozcięli sobie brzuchy i rytualnie wygnali wnętrzności. Zamek Osaka padł, a Ieyasu zatriumfował.

Było to jego najbardziej oszalamiające zwycięstwo. Armia Hideyoriego została całkowicie unicestwiona; wszyscy przeciwnicy szoguna — zglądzeni. Na polu bitwy leżało ponad sto tysięcy trupów. W rzece utworzyły one tak wysoko spiętrzoną groblę, że można było przejść suchą nogą na drugi brzeg. Triumf Ieyasu oznaczał zmianę biegu dziejów Japonii. Tokugawa był od tej chwili niekwestionowanym władcą, a członkowie jego rodu mieli aż do roku 1868 piastować urząd szoguna.

Upadek Osaki zadał szczególnie druzgocący cios jezuitom, którzy tak ściśle sprzymierzyli się z pokonanym w końcu Hideyorem. Zarówno oni sami, jak i japońscy neofici udzielili zbuntowanym siłom jednoznacznego poparcia i wytrwali pod ich sztandarem aż po krwawy kres. Rozwścieczyli tym napastników i ściągnęli na siebie nieprzejednaną nienawiść Ieyasu i jego następców.

Cocks już nazajutrz po bitwie usłyszał pogłoski o zwycięstwie szoguna, lecz nikt w Hirado nie umiał mu podać szczegółów. Szef angielskiej faktorii wypytywał wszystkich nowo przybyłych, mając nadzieję, że „pośród łgarstw wielu najdzie się prawdy źdźbło”. Niebawem jednak dokładnie mu opowiedziano, jak miażdżący triumf odniósł Ieyasu. Tuż po kolacji siódmego czerwca 1615 roku „franciszkanin łachmanami okryty a szmierzem srodze” zjawił się w angielskiej faktorii, błagając o litość. Przedstawił się jako ojciec Appolonario i oświadczył, że „był w twierdzy Osaka, gdy ją wzięto, wszelako fortunnym trafem wymknąć się zdołał”. Podczas bitwy stracił wszystko, co posiadał; faktorom powiedział, że „uniósł z sobą jeno przyodziewek, który miał na grzbiecie”, albowiem „atak przypuszczono błyskawiczny i aż dziw brał, iż wojsko z ponad stu dwudziestu tysięcy mężów złożone... tak szybko pokonać się dało”. Franciszkanin poprosił Cocks'a o coś do zjedzenia, tłumacząc, że w ubiegłych tygodniach „wiele zagnał niedoli”. Cocks mimo całej antypatii do katolików zlitował się nad nim i dał mu kilka sztabek srebra, żeby pomóc nieszczęśnikowi dotrzeć do Nagasaki.

Choć zwycięstwo Ieyasu było nieodwołalne, Cocks'a niepokoiły wiadomości o trwającym nadal zamęcie. Handlować nawet w czasie pokoju było niełatwo, a wojna domowa zupełnie tę działalność uniemożliwiła. Richard Cocks martwił się też pogorszeniem stosunków z Adamsem. Zaczęły się one psuć, gdy jeden z tłumaczy angielskiej faktorii, znany kłótnik John Gorezani, znieważył Yasuemon'a, przyjaciela Adamsa. Wynikł stąd spór, a wkrótce ostry kryzys. Zirytowany nieznośnym zachowaniem



Obornice oddziały Ieyasu wdarły się w głąb zamku Osaka. W przełomowej chwili kilku strajca podpalił zamkowe kuchnie (powyżej). Aby uniknąć niewoli, pokonani obrońcy rytualnie wypruli sobie wnętrzości.

tłumacza, Yasuemon kazał mu wynosić się z Hirado. Oświadczył mu Cocksowi, że — jak pisze ten ostatni — „jeśli go nie odprawię... sam go ubiję, idącego ulicą”.

Cocks bardzo się rozgniewał i zwięzłe oznajmił Yasuemonowi, że wszyscy pracownicy faktorii korzystają z opieki szoguna i nikt nie ma prawa „zadrzeć ze mną ni z żadnym spośród sług Ieyasu mego”. Miał nadzieję zakończyć w ten sposób sprawę, jednak więc było jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że Adams zdecydowanie stanął w obronie starego przyjaciela, nie tylko przyznając mu całkowitą rację, ale posuwając się wręcz do stwierdzenia, jakoby obecność Gorezani mocno szkodziła reputacji Anglików.

Rozwścieczyło to Cocks'a, który uznał, że jest to rozmyślna próba podkopania jego autorytetu. Zapisał w dzienniku, iż Adams „kładzie go [Yasuemon'a] ponad całą naszą angielską nację... [i] za poćwióść jego gotów by dać w zastaw własne życie i honor”. Dowiedziawszy się, że Adamsa poparli Holendrzy, „jął go za zdradę posądzać”. „Rad nierad napisać muszę — czytamy

w jego dzienniku – że zarówno ja sam, jak i reszta ziomeków naszych żyjemy przeświadczenie, iż jest on (myślę tu: Imię William Adams) większym Olendrów przyjacielem niżeli Anglików, choć są to przecie jego rodacy”.

Dopiero po upływie czternastu miesięcy Cocks przyznał wreszcie, że pomylił się co do Adamsa, a obecność Gorezana rzeczywiście jest uciążliwa. Oświadczył, że „jegomościa tego głupie zbytki tyle wrogości między ludźmi mu napytały, żem wiele musiał sobie zadać trudu, iżby mu życie salwować”.

Zanim Cocks zdążył całkiem wyzbyć się urazy, pod koniec sierpnia 1615 roku przyniesiono mu miłą wiadomość, że „od Hirado mil trzy lub cztery anker rzucił okręt, którego miano brać «Hosiander»”. Prawie dwadzieścia jeden miesięcy po odjeździe Sarisa przybył zatem do Japonii kolejny statek angielski. Faktoria miała nareszcie otrzymać tak pilnie potrzebne towary.

Zamieszkali w Hirado Anglicy powitali „Hosiandera” istną kanonadą. Sądząc, że statek ten przybył z Anglii i przywiózł mu wieści od bliskich, zgotowali kapitanowi Ralphowi Coppindale triumfalne powitanie. Wkrótce jednak przekonali się, że przedwcześnie zaczęli świętować. „Hosiander” przyplynał z Bantamu wyładowany rozmaitą tandetą, taką jak wosk, pieprz i nożycki. Cocks załamał się, patrząc, jak tragarze przenoszą te towary do składu. Perkale były poplamione i zbutwiały, a wosk „tak podły, iż nikt ani nań spożrzy”. Raz tylko rzuciwszy okiem na ten ładunek, Richard Wickham radził natychmiast odesłać go z powrotem do Bantamu wraz z kąśliwym komentarzem, że „taniemi kupcowie goździki z goździami wymieszane przystali”.

Nie tylko ładunek rozczarował faktorów. Niecierpliwie oczekiwali oni nowego towarzystwa, rychło jednak stwierdzili, że załoga „Hosiandera” składa się z uprzykrzonych awanturników. „Zaiste bowiem – napisał Cocks – nigdy nie widział kompanijęj tak czelnej a sprośnej jak większość z nich”. Prowadzonym był Henry Dorrington – „niesforny, krnąbrny pjanica”, który nie liczył się z niczym zdaniem prócz własnego. Butnie zapowiedział, że zamierza oddawać się pijaństwu i rozpucie, iłknie przyjdzie mu ochota. „Ów Dorrington – z desperacją powiedział Cocks – oznajmił wszem wobec... że ani kapitan, ani pierwszy oficer, ni żadna insza zwierzchność karać ludzi przytapiamem, abo i chłostą nie ma prawa”. Był to na dobrą sprawę bunt, podlegający karze śmierci, a Ieyasu osobiście upoważnił Cocks do wymierzenia jej każdemu Anglikowi, przebywającemu w Japo-

ni. Cocks wzbraniał się jednak skorzystać z tych pełnomocnictw, obawiając się, że wywoła jawną rebelię. Kapitan Coppindale miał jeszcze większe trudności z utrzymaniem dyscypliny. Jako „człek uciwy, cichej i spokojnej dyspozycyi” tak był przygnębiony wybrykami swojej rozhukanej załogi, że zamknął się w budynku angielskiej faktorii.

Pod wpływem Dorringtona dyscyplina niebawem zupełnie się załamała i Anglicy zaczęli walczyć między sobą na ulicach. John Shepherd, prosty majtek, rzucił się na kucharza faktorii, a tłumacz John Japan „jął kraść a podkradać”, korzystając z ogólnego chaosu. Napięcie wzrosło, gdy William Nealson i lekarz okrętowy Morris Jones rzucili się na siebie z pięściami, a po chwili „imię Nealson sztyletu dobył i na medyka z nim ruszył”. Agent dźgnął Jonesa w dłoń i próbował ugodzić w serce, lecz w samą porę go odciągnięto.

Kapitan Coppindale wpadł w jeszcze głębszą rozpacz, dowiedziawszy się, że karenaż statku potrwa dużo dłużej, niż przewidywano. Dwaj cieśle z załogi „Hosiandera” umarli, a sytuację dodatkowo komplikowały niezwykle wysokie przypiływy. Tempo robot spowalniała również pogoda. Mroźny wiatr z północy ściskał lodem liny i żagle. Dygocząc z zimna, marynarze usiłowali zdłotwiałymi dłońmi uporać się z pracą, która wymagała znacznej precyzji. „Dziś rano ziąb nastał okrutny – zapisał Cocks trzynastego stycznia 1616 roku – i śniegi spadły srogie, jakich żem od przybycia do Japonijęj jeszcze nie widział”. Rowlanda Thomasa, płatnika z „Hosiandera”, także zaniepokoił ten gwałtowny spadek temperatury. Śnieg sypał przez cztery dni bez przerwy, aż zakossował ulice Hirado wielkimi zaspami i przeniknął przez szpary pod pokład statku. Panował taki mróz, że Thomas – jak czytamy w jego zapiskach – dygotał nawet przy płonącym ogniu, „kamizelkę i kaftan popod sukienne oponczę włożywszy”. Patrząc na nieublaganie padający śnieg, marzył, żeby „stopę ogrzać pończuch dwiema parami, sukienne na czesankowe złótkbzy”.

Krótkotrwała odwilż pozwoliła załodze wymienić poszycie, zakończyć inne prace remontowe i w ogóle przygotować statek do wypścia w morze. Pragnąc czym prędzej pozbyć się zabijaków z „Hosiandera”, Cocks pomógł im zgromadzić zapasy i towary. Statek przybył do Japonii z ładunkiem, wycenianym na dwa tysiące sto pięćdziesiąt funtów, lecz w znacznej mierze nienadającym się do sprzedania, w powrotny rejs zabierał zaś dosyć miłą kolekcję japońskich mieczów i czarek. Ponadto zawieźć

KWESTIA JĘZYKA

miał do Anglii około pięciuset pięćdziesięciu funtów w srebrze pochodzących ze sprzedaży sukna i broni. Cocks niechętnie restawował się z tą sumą, stanowiła ona bowiem lwią część kapitału faktorii. Rozumiał jednak konieczność udowodnienia londyńskiemu kupcom, że faktoria w Hirado zaczęła wreszcie przynosić zyski.

Zanim statek odpłynął, zwołano walne zebranie, żeby ocenić wyniki handlu z Japonią. Faktorzy z Hirado skłaniali się ku ostrożnemu optymizmowi, chociaż lektura ksiąg rachunkowych nie dawała żadnych po temu powodów. Adams przekonał ich, że w Japonii ze sporym zyskiem będzie można sprzedawać luksusowe towary z Indochin. Ponadto Cocks i jego podwładni oczekiwali rychłego powrotu Tempesta Peacocka i Waltera Carwardena. Mieli też nadzieję zadzierzgnąć stosunki handlowe z mandarynami dynastii Ming. Tak ambitne przedsięwzięcie nie mogłoby się powieść bez powiększenia składu osobowego, poproszono więc kapitana Coppindale'a, żeby wypożyczył faktorii trzech swoich ludzi. Cocks miał więc odtąd więcej gęb do wyżywienia, postanowiono jednak zaryzykować. Faktorom spędzała sen z powiek jedynie obawa, że Thomas Smythe i współnicy pozostawili ich na pastwę losu, kupców londyńskich interesowało bowiem — i skłaniało do działania — wyłącznie pytanie, czy aby zainwestowane pieniądze przyniosą godziwy dochód.

SIR Thomas Smythe dawno już przywykł, że w londyńskim Słomu nachodzą go niezapowiedziani goście. Dom przy Philip Lane odwiedzali kupcy, wysmagani morskimi wichrami żeglarze i wytrawni podróżnicy, prosząc dyrektora Kompanii Wschodnioindyjskiej, żeby w ich sprawie użył swoich wpływów lub wyświadczył jakąś inną przysługę. Witał ich zazwyczaj ciepło i życzliwie, lecz rankiem trzynastego kwietnia 1615 roku musiał przyjąć zdecydowanie nie milego gościa: Mary Adams, opuszczona żona Williama, została tak zupełnie bez pieniędzy, że z miseczką żebraczą przyszła aż z Limehouse.

W ostatnich latach wydatki pani Adams mocno wzrosły. Skromne oszczędności dawno już się rozeszły, brakowało jej zatem pieniędzy na utrzymanie córki imieniem Deliverance, która skończyła tymczasem co najmniej siedemnaście lat. Znalazłszy się w rozpaczliwej potrzebie, bez środków na zakup żywności i odzieży, Mary Adams zwróciła się z prośbą do sir Thomasa, „iżby ulżył jej trzydziestoma funtami z poborów małżonkowi zaległych”. Suma ta bezwzględnie jej się należała. Sam Adams prosił przecież, żeby pieniądze, które winna mu jest Kompania, przekazano żonie, i „obietwał uścić się... w Japonii czy gdzie indziej, jeśli zaś taka będzie Kompaniję wola, niechaj z zasług mu potracą”. Lecz Smythe zawsze z największą niechęcią uszczuplał swoje cenne zasoby srebra, postanowił więc grać na zwłokę.

Wspólnicy poparli tę nielitościwą decyzję, radząc mu zwlekać i zwodzić, a na razie „dwudziestu funtami postarać się ułagodzić niewiastę, dziesięć funtów za miesiąc dwanaście wyłożyć obiecując”. Pani Adams nie dała się jednak zbyć lada czym. Wytrwałość ta w końcu się opłaciła. Nie jest jasne, czy kobieta dostała całą sumę za jednym razem, ale na pewno otrzymała przynajmniej część pieniędzy. Nieublagana postawa dyrekcji nie tylko nie odebrała słomianej wdowie animuszu, lecz zachęciła ją do dalszych nalegań. Mary Adams jeszcze parokrotnie odwie-

działa dyrektorów Kompanii, aby pobrać kolejne sumy, które uważała za należną sobie wierzytelność.

Wkrótce po niepożądanym wizycie pani Adams dotarły niepokojące wiadomości ze Wschodu. Nieustraszeni kapitanowie Smythe'a w pogoni za bogactwami pokonali monsuny i taffany, dzięki czemu macki Kompanii sięgnęły odległych, nieznanych mórz, a na bagnistych archipelagach w strefie równikowej i koronowych atolach Wysp Korzennych powstały placówki handlowe. Na owych dalekich rubieżach niewielkie grupki Anglików zetknęły się z zuchwałymi wodzami plemion, dzikimi łowcami głów i wschodnimi książkami.

Wielu agentów Kompanii Wschodnioindyjskiej żyło w tak zupełnej izolacji, że londyńscy udziałowcy w żaden sposób nie mogli sprawować nad nimi nadzoru. Trzeźwo usposobieni dyrektorzy regularnie zbierali się u Smythe'a i ze zgrozą słuchali pogłosek o burdach i burdelach. Najbardziej szokujące nowiny nadchodziły zwykle z Hirado. Na wieść o bachanaliach Cocksa



Sir Thomasa Smythe'a i dyrekcję Kompanii przerażały pogłoski o pijatykach Richarda Cocksa, urozmaicanych obecnością „grajków” (powyżej) i tancerstw „Żal bierze na wieść o mężach, co mimo wiek swój podeszły czynomi lubieżnymi tak niegodnie się oddają” — napisał jeden z dyrektorów.

urozmaicanych obecnością tancerok, londyńskim purytanom krew krzepła w żyłach. Niewiele jednak mogli zrobić dla naprawienia tej pożałowania godnej sytuacji. Gdy czasem próbowali zaprowadzić dyscyplinę na odległość, ich przedstawiciele na Wschodzie ani trochę się tym nie przejmowali.

Smythe'a i jego ludzi niepokoiło też to, że nie mieli wglądu w księgi rachunkowe najdalej położonych faktorii. Statki z ładunkiem pieprzu i innych przypraw owszem, docierały do Anglii, lecz można było tylko zgadywać, ile należnego kupcom srebra utonęło w kieszeniach nieuczciwych pracowników.

Po dokładnym przeanalizowaniu sytuacji w handlu na Wschodzie sir Thomas zrozumiał, że źródłem wielu problemów jest brak jasnych przepisów. Zaproponował całkowitą zmianę metod zarządzania: założenie składów dla poszczególnych regionów, przywrócenie dyscypliny i niezwłoczne wysłanie do Indii Wschodnich pełnomocnika dyrekcji. W tej ostatniej kwestii wzorował się na Holendrach, którzy dzięki przebojowemu podejściu do handlu opanowali wiele archipelagów i atoli w rejonie Wysp Korzennych.

Najpilniejszym zadaniem londyńskich kupców był wybór przedstawiciela generalnego, który miał reprezentować ich interesy na Wschodzie. Thomas Best, kapitan z wieloletnim doświadczeniem, zaproponował własną kandydaturę, twierdząc, że on jeden w Londynie ma „powagę i umiejętności należyte”. Rozwścieczył jednak dyrektorów, żądając znacznej sumy za dawne usługi na rzecz Kompanii, toteż Smythe nader roztropnie odrzucił jego propozycję, opowiadając się za Williamem Keelingiem. Kandydat ten był o wiele barwniejszą postacią i zdążył już odbyć dwa udane rejsy do Indii.

Keeling w niczym nie przypominał innych kapitanów. Wykształcony i kulturalny, lubił sobie dogadzać i bynajmniej nie sądził, że w długiej podróży na Wschód koniecznie trzeba głodować lub znosić niewygody. Pasjonował się teatrem amatorskim, a zwłaszcza szekspirowską tragedią, i uważał, że jest to dobry sposób na nudę przewlekłych rejsów. Gdy w roku 1607 dowodził ekspedycją, skłonił swoich ludzi, żeby wystawili *Hamleta* na tropikalnym wybrzeżu Afryki Zachodniej. „Trajedią *Hamleta*śmy grali” — zanotował z dumą. Przedstawienie zostało wspaniale przyjęte i wkrótce potem załoga z zapalem rozpoczęła próby *Ryszarda II*.

W dzienniku okrętowym Keeling wbrew ogólnie przyjętemu zwyczajowi pomijał wyniki pomiarów głębokości i kierunki wia-

trów, woląc lżejszy styl. „Nikt niechaj się nie spodziewa dokładne znaleźć tu okreśtu położenie — stwierdza między innymi — ni granic krajów akuratne opisanie”. Zamiast przytaczać owe dane, postanowił wspominać jedynie o „przypadkach, co we flocie samej się zdarzyły”. Ilekroć sięgał po pióro, starał się uraczyć czytelników opowieściami o rozszalałych sztormach, wesolych biesiadach i hulankach z tubylczymi kacykami.

Ze względu na zdobyte w Indiach doświadczenie zaproponowano mu stanowisko „Anglików w Indiach całych komendanta”. Jego nieobliczalne usposobienie budziło jednak pewien niepokój, a niebawem dyrektorzy zmuszeni byli rozważyć dość niecodzienną kwestię. Otóż Keeling tak bardzo kochał żonę, że postanowił zabrać ją ze sobą na Wschód i publicznie obwieścił ten zamiar. Tak nietuzinkowy pomysł zaszokował dyrektorów, ponieważ w myśl niepisanej zasady kobietom nigdy nie pozwalano ruszać w rejs z mężami. Kierownictwo Kompanii dawno już ustaliło, że „niezręczną i niestosowną jest rzeczą, iżby niewiasty takowe wśród niesforemego pospółstwa żeglarzy na okręcie przebywały”. Keeling zgłosił sprzeciw i odwołał się do dworu, błagając, aby pozwolono mu zabrać do Azji ukochaną Annę.

Prośba ta postawiła pruderyjnych dyrektorów w obliczu niełada dylematu. Kilku ochoczo przyklasnęło takiemu rozwiązaniu, dowodząc, iż „z wielkim byłoby to pożytkiem dla spokoju jego umysłu i dobra duszy”. Podkreślali też, że tak długie rozstanie zawsze bywa dla małżonków czymś nienaturalnym, „ten zak, kto męża i żonę na rozłąkę skazuje, klątwę na się ściąga”. Inni kategorycznie zaprotestowali, twierdząc, że skoro Anna jest w ciąży, „owa słabowita niewiasta do podróży niezdatną będzie”. Obawiali się również, iż z powodu żony Keeling nie zechce udać się do najdalej położonych faktorii, a zajęty nią, zaniedba interesy Kompanii. Keeling strasznie się zmartwił, gdy mu to oznajmiono, i oświadczył dyrektorom, że wspólna z żoną podróż „dla zachwów mych istnym byłaby błogosławieństwem”. Odwołał się też do ich purytańskich poglądów, przedkładając, iż obecność Anny w jego kajucie uwolni go od „myśli o zepsuciu wszelakim”. Był to zręcznie dobrany argument. Wiadomość o pornograficznej kolekcji Sarisa dyrektorzy przyjęli przecież ze zgrozą, podobnie jak pogłoski o stosunkach, które ich ludzie nawiązali w Japonii z miejscowymi kobietami. Część zarządu poparła więc sprawę Keelinga, utrzymując, że faktory podróży w towarzystwie żon mniej byłoby skłonni sypiać z prostytutkami. Lecz gdy ich wniosek poddano pod głosowanie, większość go odrzuciła.

Keeling ani nie odwoływał się od tej decyzji, ani na nią nie żałował. Wycofał swoją prośbę tak szybko, że zaczęły krążyć pogłoski, jakoby zamierzał tuż przed odpłynięciem ukradkiem sprowadzić żonę na statek. Podejrzenia te potwierdziły się, gdy w lutym 1615 roku weszła ona w przebraniu na pokład „Czerwonego Smoka”. Dyrektorzy wpadli w tym większy popłoch na wieść, że kobieta potajemnie umawia się z akuszerką, która miałaby jej towarzyszyć. Nie chcąc przemocą usuwać pani Keeling ze statku, zagrozili kapitanowi utratą stanowiska. Skapitulował więc, nie widząc wyboru, był jednak bardzo nieszczęśliwy i napisał oziębły list, w którym przypominał dyrektorom, że „rzadki to okaz męża, co mimo chęci swe najlepsze bez niewieściej kompanii obejść się zdoła”.

Wiosną 1615 roku flota pod dowództwem Keelinga wyruszyła w rejs, żegnana uroczyściej niż zazwyczaj. Jednym z powodów tej pompy był fakt, że na jednym z czterech statków płynął sir Thomas Roe — pierwszy ambasador angielski, oddelegowany do Indii w celu uzyskania od Wielkiego Mogoła przywilejów handlowych. Drugim powodem było rozstrzygające znaczenie wyprawy Keelinga, zależały od niej bowiem przyszłe losy całego angielskiego handlu ze Wschodem.

Podróż miała bardzo miły przebieg; marynarzom w trosce o ich dobry nastrój dostarczano licznych rozrywek. Ilekroć Keeling chciał porozumieć się z którymś z pozostałych dowódców, wysyłał szalupę, a przy okazji obdarowywał kapitana smakołykami i różnymi drobiazgami. Szczególnie wiele uwagi poświęcał sir Thomasowi, obsypując go prezentami i łakociami. Pewnego dnia przysłał mu żywą owcę, przywiezioną na „Czerwonym Smoku” z Anglii, sto „świeżych” ostrzyg z Weymouth i jedwabne struny do altówki, na której ambasador rad grywał. Po kilku dniach sir Thomas odwdzieczył się kompletem nut sześciu włoskich madrygalów. Podarunek ten sprawił Keelingowi wiele radości.

Flota najpierw popłynęła do Indii, aby wysadzić tam sir Thomasa Roe, po czym wzięła kurs na Bantam. U brzegów Jawy pomimo zdrowej diety ludzie zaczęli umierać. Jedni zachorowali na dyzenterię, inni na szkorbut, kilku zaś z gorączką dostało pomieszania zmysłów: zamiast morza widzieli bujną zieloną łąkę i koniecznie chcieli w nią skoczyć.

Keeling obwieścił swoje przybycie do Bantamu salwą z armat. Kierujący tamtejszą faktorią John Jourdain już podczas pierwszej rozmowy uraczył go żalostną sagą o chorobach i bankructwie. Wiele jego ludzi zmarło z powodu sąsiedztwa malarycznych mo-

kradel, a co za tym idzie niezdrowego powietrza, handel ustal zał niemal zupełnie. Faktoria przestała być wypłacalna, a niedobitki jej pracowników podzieliły się na obozy i nieustannie skakały sobie do oczu. Narastał też inny, znacznie poważniejszy kryzys zagrażający wszystkim angielskim placówkom na Wschodzie, łącznie z japońską. Holendrzy, którzy do tej pory atakowali wyłącznie Portugalczyków i Hiszpanów, zaczęli napastować również dotychczasowych sojuszników. Była to zupełna nowość. Anglikom i Holendrów od dawna łączyło przymierze: pływali na tych samych statkach, wyznawali jedną religię i mieli wspólnych katolickich wrogów. Co prawda na Wschodzie kupcy zawsze ze sobą rywalizowali, toteż takie czy inne napięcia były normą, lecz w ciągu ostatnich miesięcy dramatycznie przybrały one na sile i wszystkie wskazywało na to, że Holendrzy zamierzają obrać jeszcze bardziej jastrzębią strategię.

Zdołali wygryźć angielskich faktorów z obfitującej w goźdobi wyspy Ambon, teraz zaś najwidoczniej postanowili zagarnąć dalekie wyspy Banda, aby pozbawić Anglików dostępu do zasobów muszkatu, za który płacono bająnskie sumy. Wiadomo było, że prędzej czy później zastosują tę agresywną politykę w Japonii, gdzie Cocks i jego ludzie i tak stali już na granicy bankructwa.

Jourdaina szczególnie niepokoiło to, że nawet na ulicach Bantamu zaczęło dochodzić do aktów przemocy. Holenderscy marynarze zaatakowali kilku jego ludzi, a bijatyki i brutalne napaści stawały się coraz bardziej codziennym zjawiskiem. Jeden z faktorów — Richard Hunt — szedł pewnego dnia wąską uliczką, gdy stanęło mu na drodze dwóch Holendrów. Powalili go na ziemię, wezwali dwudziestu kompanów i wszyscy razem szli Anglika na kwaśne jabłko. „Srodze go potłukłszy, za włosy chwycili i w pyłe tarzając, zawlekli do domu swego, gdzie w dyby go wsadzili u bramy wystawione, w słonecznym skwarze, a bez kapelusza”. Twierdzili potem, że napaścią tą chcieli dowiedzieć Jawajczykom, o ile silniejsi od Anglików są Holendrzy.

Kilku hardych Anglików przysięgło pomstę, ale Jourdain postanowił obrać rozsądniejszą strategię i zwrócił się do miejscowego *pangerana*, czyli namiestnika. Holendrzy nie chcieli z nim zadzierać, szybko więc uwolnili Hunta, napisali jednak do Jourdaina uwłaczający list. Tak go to rozgniewało, że przysiągł rozłżyców ukarać, lecz pokrzyżowało mu szyki nieoczekiwane przybycie Keelinga.

Ten wkrótce okazał się znacznie ustępliwszy od Jourdaina. Kiedy opowiedziano mu o ostatnich zdarzeniach, zbagatelizował

wybrki Holendrów, oświadczając, iż gotów jest „lekce je sobie ważyć”. Powodem tej pobłażliwości było zapewne to, że wiedział o spodziewanej niebawem wizycie nieustraszonego podróżnika holenderskiego, Jorisa van Spilbergen, który zdążył już do połowy opłynąć kulę ziemską. Keeling koniecznie chciał porozmawiać ze Spilbergenem o jego podróżach, pragnął więc uniknąć konfliktu z Holendrami. Nie tylko nie skrytykował ich ekscesów, lecz powitał Spilbergena w Bantamie salwą armatnią.

Zachwycony tak zaszczytnym przyjęciem, Spilbergen na spotkanie z angielskim kapitanem przywdział swój najparadniejszy strój. „Przybył niczym jenerał jaki — pisze Keeling — japońską łódką świetnej budowy, u której okien proporce jedwabne powiewały”. Nie bardzo wiadomo, skąd łódź ta wzięła się w Bantamie; wyglądała w każdym razie imponująco. Osadę jej stanowiło co najmniej czterdziestu japońskich wiosłarzy, „jeden w drugiego godnie odzianych i tego zbrojnych”. Gdy Spilbergen podpłynął do „Czerwonego Smoka”, w gęstym tropikalnym powietrzu „wyszczął się zgłęk trąb i insza muzyka”.

Holenderski kapitan okazał się przemitym gościem. Wyznał Keelingowi, że darzy Anglików ogromną sympatią. Gospodarz odwzajemnił mu się licznymi komplementami i z uwagą wysłuchał opowieści o przygodach u brzegów Chile, gdzie Spilbergenowi udało się zatopić trzy hiszpańskie galeony. Oczarowany historiami Holendra, Keeling parokrotnie zapraszał go na swój statek i hojnie ugaszczwał.

Jourdain był zaszokowany postępowaniem Keelinga, zwłaszcza że ataki na jego ludzi jeszcze się wzmogły. Uzbrojeni w miecze Holendrzy napadli kilku angielskich marynarzy w jednym z bantamskich zajazdów, a trzech innych Anglików tak pocięli i takuli, iż — jak pisze Jourdain — „wszytycymy za umarłych ich pochytali”. Obrażenia przemyto i opatrzono, lecz poszkodowani „tak srodze poranieni byli, że nigdy całkiem do się nie wrócą”. Holendrzy starali się też podjudzić przeciwko Anglikom miejscowych wodzów, wmawiając im, jakoby ludzie Jourdaina „z ubogiej i podlej nacyi ród swój wiodąc, niewiast byli rozdzwiewiciele i ludzie złodzieje wielkie a pjanice”.

Keeling nadal gotów był „lekce to sobie ważyć”, zorientował się jednak, że kolacje, którymi podejmuje Holendrów, stają się przedmiotem mocno krytycznych komentarzy. Kiedy zaproszono go do holenderskiej faktorii na bankiet, rad nierad odmówił. Wyraził przy tym żal, że sytuacja nie pozwala mu skorzystać z zaproszenia, Spilbergenowi zaś oznajmił, iż „u Niderlandczy-

ków gościć nie może za przyczyną krzywd niezmiernych, nacyi naszej czynionych”.

Gdy ustalo życie towarzyskie, Keeling zaczął szukać wyjścia z kryzysu, w którym znalazła się angielska faktoria. Zdolał napelnić pieprzem ładownie jakże adekwatnie nazwanej „Pieprzniczki”, a od miejscowego namiestnika uzyskał zgodę na ufortyfikowanie faktorii dla obrony przed kolejnymi atakami Holendrów. Nie bardzo jednak wiedział, jak ocalić ją przed finansową ruiną. W krytycznym raporcie, który sporządził na użytek centrali w Londynie, winą obarczył samych dyrektorów. „Na miły Bóg, towary jakoweś co rychlej ślijcie — napisał — bez tego bowiem tutejsze waszmościów przedsięwzięcie przez ich własną krótkowzroczność ducha wyzionie”. „Wszystkie sługi wasze — dodał — ze szczętem na duchu upadły, ile że brak im fundamentu, na którym pomyslnie waszę mogłyby budować”.

Londyńscy mocodawcy kazali Keelingowi ustalić rozmiary kryzysu w placówkach na Wschodzie. Kapitan miał płynąć od portu do portu, spotykać się z faktorami i słuchać ich zażaleń. Zdążył już przeczytać listy od przedstawicieli handlowych, działających w Indiach, i wysłuchać żalosnych opowieści agentów, którzy niedawno wrócili z kilku co odleglejszych filii. Faktoria w Hirado leżała najdalej od Bantamu i wedle wszelkich oznak doszła do równie „nieprzepraczonej kondycji” jak bantamska. Keeling uznał już nawet, że „widoki pieniędzy z Japonii nader są mizerne”, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Pozostał jednak ostatni promyk nadziei. Chociaż Cocks i jego ludzie w listach opisywali bez żadnych upiększeń swoją rozpaczliwą sytuację, podkreślali zarazem, że przybrana ojczyzna obfituje w rozliczne bogactwa. Zwłaszcza Wickham twierdził z entuzjazmem, że z Hirado będzie kiedyś można eksportować „srebra nieprzebrane mnóstwo”, którym da się „nasycić faktorie wszystkie stąd aż po Bantam”. Dodał, iż wszystkie placówki na Wschodzie „całe mogą na tutejszą się spuścić” i że „nigdy więcej nie powinna zająć konieczność gotowizny z Anglii sprowadzania”.

Keeling zamierzał naocznie się o tym przekonać. Chciał odwiedzić wszystkie najdalej położone faktorie i podsunąć ich personelowi najlepszy sposób postępowania. Ledwie jednak zdążył ułożyć plan podróży, gdy otrzymał zupełnie niespodziewaną, lecz bardzo miłą wiadomość. Kapitan „Łabędzia”, który właśnie przyплыł do Bantamu, wręczył mu list od londyńskiej dyrekcji, zawierający „pozwolenie powrotu do Anglii”. Z dotychczas niewyjaśnionych powodów (sam Keeling też nigdy zresztą nie

zdolał w pełni ich zrozumieć) dyrektorzy postanowili odwołać misję, z którą wystali go na Wschód. Nie wierząc własnemu szczęściu, kapitan padł na kolana i zaczął się modlić, wołając: „Łaski Twej, o Panie, obym nigdy nie przepomniał”.

W październiku 1616 roku jego niewielka flota podniosła kotwice i oto Keeling popłynął z powrotem do Anglii i ukochanej żony. Był to koszmarny rejs: statki przeciekały, brakowało żywności. „Wyprawę” opanowały szczury, które z przerażającą szybkością mnożyły się w brudnej ładowni. „Wprost nie do wiary — napisał jeden z żeglarzy — jak hałaśliwe jest to plugactwo, żywność nas pożreć gotowe”. Zwierzęta podgryzały śpiących marynarzy, a tym, co zmarli w nocy, „palce stóp ujadaly ze szczętem, a i insze części ciała obżerały co nieco”.

Gdy statki zbliżyły się do Londynu, Keeling pobiegł myślą ku żonie, a kiedy rzucił kotwicę nieopodal South Downs, oczom jego ukazał się z dawna wyśniony widok. Z nabrzeża machała mu ręką jakaś filigranowa postać. Była to jego ukochana Anna. Czy trzymała w objęciach dziecko, tego kroniki niestety nie podają.

* * *

Nagły wyjazd Williama Keelinga z Bantamu mocno zaszkodził perspektywom angielskiego handlu ze Wschodem. Dodatkową stratą było to, że stan najuboższych, najbardziej zaniedbanych placówek pozostał niezbadany. Jeśli puste kufry faktorii w Hirado mogły z powrotem się napelnić, to właśnie dzięki Keelingowi, skoro jednak wyjechał, Cocks i jego ludzie znów byli silani na siebie.

Jesień i zima 1615 roku okazały się szczególnie trudne, ponieważ William Adams udał się na dwór i nie wracał przez wiele miesięcy. Twierdził, jakoby wezwał go sam Ieyasu, ale Cocks wątpił, czy istotnie tak było. Jego ocenę sytuacji zamącała obawa, że znów zostanie sam w Hirado, toteż po raz kolejny posądził Anjin samę o zdradę. „Podezrzewam, iż kryje się za tym spisek... przez kapitana Adamsa wespół z Olendrami uknuty — zwierza się w swoim dzienniku — ...i mniemam zaiste, że [Adams] dużo bardziej ich miłuje niżeli nas, swych własnych rodaków”. W rzeczywistości nie było jednak żadnego spisku. Szogun naprawdę wezwał Adamsa na dwór: chciał skorzystać z usług angielskiego doradcy, doniesiono mu bowiem, że do brzegów Japonii przybił hiszpański statek. Przybyli na nim w roli ambasadorów trzech franciszkanie, łamiąc tym samym wymierzony przeciwko chrześ-

cijanom odykt Tokugawy. Ieyasu odmówił im audiencji i sprawił Adamsowi tę przyjemność, że polecił mu wygnać Hiszpanów z granic państwa. „Cesarz nie raczył przyjąć upominków ani rozmową przybyłych nie zaszczylił — ze skruchą napisał Cocks — lecz wysłał kapitana Adama, iżby z cesarskich włości kazał im się ekspedycyować”.

Pod koniec listopada tegoż roku Adams wrócił do Hirado, ale zabawił tam bardzo krótko. Niecałe dziesięć dni po gorącym przyjęciu, jakie mu zgotowano, wypłynął w osmiomiesięczny rejs do Syjamu, aby sprowadzić stamtąd transport cezalpinii. Cocks rad nierad wyraził zgodę. Wiedział, że spośród wszystkich Anglików jedynie Adams zdoła przeprowadzić statek przez Morze Wschodniochińskie, lecz jego wyjazd oznaczał, iż angielska faktoria znów musi się obejść bez najważniejszego pracownika, a jej szef w razie nagłego kryzysu nie będzie miał kogo poprosić o pomoc.

Zmartwień przysparzała Anglikom mroźna pogoda. Śnieg padał z nużącą jednostajnością, a temperatura całymi tygodniami utrzymywała się dużo poniżej zera. Z okapów faktorii zwisały soople, brukowane ulice Hirado zatarasowane były głębokimi zaspałami. Wszyscy narzekali na ziąb, ponieważ opalany drewnem piec dawał bardzo mało ciepła. Mieli nadzieję, że z nadejściem nowego roku pojawią się statki, towary i dostatek.

W sylwestra 1615 roku fryzjer Cocksza przyszedł do faktorii z koszem pomarańczy. Przyniósł je, żeby Anglicy mogli udekorować drzwi domu, w którym mieszkali, pradawny zwyczaj nakazywał bowiem „przyozdobić wnętrza drzew gatunkami, co pomyślność i długowieczność znaczą... także i gorzkimi pomarańczami”. Gdy nad Hirado zapadł zmierzch, ludność wylęła na ulice, zamierzając świętować do późnej nocy. Cocksza i jego podwładnych również zaproszono na rozmaite hałaśliwe przyjęcia i religijne uroczystości, przez wiele godzin uczestniczyli więc w radosnych obchodach. „Wszystcy się weselą — pisał padre João Rodrigues — i osobliwe ceremonie odprawiają przy lampkach zapalonych na cześć boga albo też ducha ogniska domowego, jako i inszych duchów tudzież larów”. Mieszkańcy Hirado dawali też sobie nawzajem prezenty, lecz Cocks i jego ludzie z ociąganiem czynili zadość temu obyczajowi. Ich kobiety spędziały się kosztownych podarunków, więc chcąc nie chcąc spełnili te oczekiwania. Cocks kupił Matindze kilka sztuk atlasu i tafty, a jej służącym dał parę bel indyjskiego płótna.

Pod koniec stycznia ocieplilo się, śniegi i lody raptownie stopniały. Cocks miał nadzieję, że wiosną przyplynie statek z Angli-

wiedząc zaś, jakie uszkodzenia może spowodować długi rejs, zaczął gromadzić deski i belki. Na wieść, że w nadmorskiej wiosce Akuno-ura, leżącej na południe od Hirado, wystawiono na sprzedaż wielką ilość drewna, wysłał tam Williama Eatona, kazać mu kupić jak najwięcej.

Eaton natychmiast ruszył w drogę, lecz gdy dotarł na miejsce, lokalni kupcy zaczęli czynić mu wstręty. Szybko przestał panować nad sobą i tak rozwścieczył jednego z traczy, że ten uderzył go pałką. Eaton zareagował z przesadną gwałtownością, waląc przeciwnika kijem po głowie. „Cokolwiek żem mu głowę rozłupał — przyznaje w liście — aż jucha z niej się puściła”.

Uderzony zachwiał się, ale szybko złapał równowagę. Oszołomiony napaścią, żądny zemsty, podniósł pałkę i chciał zadać kolejny cios, lecz Anglik dobył miecza i sztyletu. Zaczęła się ostra walka. „Tak zajadliśmy się okładali — pisze Eaton — że obaśmy w wodę wpadli”. Przymusowa kąpiel bynajmniej nie zgasiła w nich bojowego ducha, dalej więc zawzięcie się okładali pośród fal przyboju. Widząc, że jego pan jest w niebezpieczeństwie, japoński tłumacz Eatona ruszył mu na pomoc: rzucił się do wody, jedną ręką złapał tracza z Akuno-ury, a trzymanym w drugiej ręce drągiem „przez łeb go zdzielił”. Eaton zyskał w ten sposób przewagę, a gdy przeciwnik poślizgnął się na miękkim piasku i runął na wznak do wody, Anglik zadał decydujący cios sztyltem, przebijając któryś z kluczowych narządów. Śmierć nastąpiła w ciągu kilku sekund.

Eatona aresztowano, walkę śledziło bowiem kilkudziesięciu wieśniaków, którzy natychmiast go uwięzili, równocześnie zarządając miejscowego możnowładcę. Kiedy pogłoska o zajściu dotarła do Hirado, Nealson pospieszył do Akuno-ury, aby pomóc przyjacielowi, lecz chłopcy nie chcieli z nim rozmawiać. Sytuację aresztanta pogarszało to, że nie można było poprosić o wystawiennictwo Adama, gdyż płynął on właśnie do Syjamu. Przeważony czekającym go losem, Eaton wpadł w najczarniejszą rozpacz i zupełnie stracił apetyt. „Z żalości wielkiej ostatnimi czasy ledwie kąsek mięsiva zjadł lada jaki” — napisał.

Nie wszystko było jednak stracone. Wieśniacy zabili towarzyszącego Eatonowi tłumacza, co częściowo rozładowało ich wściekłość, a Cocks wystosował do tamtejszego feudała list, żądając łaski dla podwładnego. Powiadomił możnowładcę, że w świetle przywiłków, które Ieyasu nadał przebywającym w Japonii Anglikom, podlegają oni jedynie władzy samego Tokugawy. Pan Akuno-ury stanąłby więc rozkaz szoguna, gdyby kazał zgładzić Eatona. Dzie-

ki temu listowi Eaton odzyskał wolność. Miejscowy feudal oświadczył, że bynajmniej nie przejął się śmiercią jednego ze swoich poddanych, a nie chce sprzeciwiać się rozkazom Ieyasu. I tak oto po dwóch tygodniach grozy Anglik wyszedł z więzienia.

Wkrótce potem Cocks otrzymał kolejną dobrą nowinę. U brzegów Hirado dostrzeżono dwa statki. Okazało się niebawem, że są to „Tomasz” z Bantamu i „Rada” z Londynu, wysłana za namową kapitana Sarisa. Towarzyszył jej „Rękodajny”, zatrzymał się jednak w Indiach Wschodnich. Faktorzy z Hirado mieli wielką nadzieję, że lada chwila dostaną poszukiwane na japońskim rynku towary.

Szybko jednak spotkał ich zawód. W skrzyniach nie było jedwabi, sukno miało nieodpowiedni kolor, a resztę ładunku stanowiły tandetne drobiazgi. Grzebiąc wśród tych rupieci, Cocks ze zdziwieniem znalazł „wyuzdaną” rycinę, przedstawiającą Wenus i Adonisa, oraz drugą, na której „Wenerę z dwoma satyrami wspólnie śpiącą uwidocznilo”. Kupcy najwyraźniej zdążyli już zapomnieć, jak bardzo oburzyło ich doniesienie o pornograficznych zbiorach Sarisa.

Z każdą rozpakowywaną skrzynią Cocks wpadał w coraz głębszą rozpacz. Zdumiony tak niefortunnie pomyślaną dostawą, wystosował list do londyńskich kupców, powiadamiając ich, że będą musieli przysłać „lepsze towary niżeli te, któreśmy do tych pór z Anglii odbierali”. Wickham zachował się mniej dyplomatycznie. Zniesmaczony nędzną jakością ładunku, napisał iż „choćbyśmy w alchemii arkanach najtajniejszych uczonymi byli, tak łącznie nie zdołalibyśmy ostatnich metali w srebro obrócić”. Zanim faktorzy zdążyli postanowić, jak pozbyć się kolejnego transportu tandety, otrzymali tyleż nieoczekiwaną, ile niepomyślną wiadomość ze dworu w Shizuocze. Ieyasu zachorował i nie wiadomo było, czy wyzdrowieje.

Choroba dała o sobie znać, gdy szogun uczcił powrót z łowów z sokołami wystawną ucztą. Zjadł między innymi rybę — świeżo złowionego tajusa, duszonego w oleju sezamowym — lecz posiłek ten nie wyszedł mu na zdrowie. Tokugawa dostał gwałtownych skurczów. Podane lekarstwo na pewien czas złagodziło dolegliwości, wkrótce jednak skurcze wróciły, a chory osłabł z bólu. Zatraskani przyjaciele, obawiając się najgorszego, postanowili uhonorować go tytułem *dajodajana*, czyli ministra-prezydenta „które to miano — jak pisze Cocks — równe jest imionom Cezara lub Augusta pośród rzymskich imperatorów”.

Choć Ieyasu był już ciężko chory (zapewne na raka żołądka), zwłókl się z łoża boleści, aby przyjąć powinszowania nadskakują

ych dworzan. Nikt nie wątpił, że koniec jest bliski. W połowie lipca szogun wręczył swój miecz jednemu z przyjaciół, polecając mu wypróbować broń na skazanym przestępcy i zdać sprawę z tego, jak spisano się ostrze. Przyjaciel z przyjemnością wykonał makabryczne zadanie i zawiadomił Tokugawę, że miecz jest równie ostry jak dawniej. „Tym oto mieczem — oświadczył Ieyasu — przez wiele stuleci potomków mych strzegł będę i chronił”.

Nie przyjmował już pokarmów stałych, lecz co najwyżej wypijał kilka łyków gorącej wody. Siedemnastego lipca 1616 roku złowił się do pozycji siedzącej, napisał dwa krótkie wiersze i wyzionął ducha. Wedle określenia oficjalnej kroniki „odszedł na tamten świat”. Cocks i jego ludzie stracili najpotężniejszego przyrzeczeńca.

To samo można powiedzieć o Williamie Adamsie. Przez szesnaście z górą lat był on całkowicie uzależniony od Ieyasu, który nadał mu tytuł oraz majątek ziemski i zapewnił niepodważalną pozycję na dworze, a w roku 1600 ocalił przed nieomal pewną śmiercią, nie pozwoliwszy jezuitom go ukrzyżować. W końcu zaczął nawet traktować Anglika jak wyrocznie — okno na zagranicę — i często prosił o radę, gdy nie wiedział, jak postąpić z katolikami nowochrześciami. Adams doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystko zawdzięcza Tokugawie, gdy zatem po powrocie z Bantamu dowiedział się o jego śmierci, musiał się głęboko zatroskać. Listy, które pisał tuż potem, zaginęły, lecz inne zachowane nawiązują do pewnego pojęcia o fali niepokoju, jaką wywoływała w Japonii śmierć każdego potężnego feudała. Najwierniejsi słudzy często popełniali wtedy samobójstwo, aby towarzyszyć swojemu panu w krainie umarłych. Od dawna przyjęte było, że lojalni krewni składają siebie w ofierze, poddając się okrutnemu i barbarzyńskiemu obrzędowi *junshin*, czyli pogrzebaniu żywcem. W latach poprzedzających śmierć Ieyasu bardziej jednak upowszechniło się rytualne wypruwanie jelit. Holenderski podróżnik François Caron był świadkiem obu rodzajów samobójstwa i tak go te sceny zdumiały, że dość obszernie je opisał. „Kiedy umiera ktoś z możliwych — czytamy w jego sprawozdaniu — pożegnalną ucztę wydają, na matach i kobiercach siedząc... zaczęli tego podjadłszy a popiwszy, brzuchy sobie rozcinają, aż im wypływają wątróbki i insze bebeczy”. Caron dodaje, że „ten, kto co najwięcej się napruje, niechby i po same gardło, jako to niektórym się zdarza, za najmężniejszego uchodzi i największą estymą jest otoczony”.

Ci, co postanowiali dać się pochować żywcem, szli na śmierć z niezłomną determinacją. „Radośnie udają się we wskazane

miejsce i na ziem się kładąc, ciszczą, iż kamieniami węgielnymi grobowca ich się nakrywa, który to ciężar wnet nieszczęsnych zgniata i na proch miazdzy”.

Wiele osób spodziewało się fali pokazowych samobójstw po zgonie Tokugawy, lecz w Shizuocce zapanował dziwny spokój. Cocks zanotował, że tylko dwóch spośród szlachty wybrało śmierć: „Sami się życia zbawili, iżby na tamtym świecie szogunowi kompaniją trzymać” — czytamy w jego dzienniku. Wierność ta doczekała się nagrody, gdyż obaj zostali pochowani nieopodal Ieyasu, a na ich cześć wzniesiono wspaniałe pomniki.

Śmierć szoguna zbytnio nie zaskoczyła Anglików. Już od wielu miesięcy szepetano, że zachorował, a o jego zgonie doniesiono Cocksowi i pozostałym faktorom dobrze ponad pół roku przed tym, zanim rzeczywiście umarł. Odnieśli się do tej wiadomości sceptycznie. Cocks napisał wtedy w dzienniku: „Za bajkę to radniej poczytuje, z rozmysłem puszczoną gwoli sprawdzenia, jak ludzie ją przyjmą”. W marcu dotarły do faktorii dwa dalsze komunikaty o śmierci Tokugawy, a w kwietniu zaczęto mówić, że Ieyasu spadł z konia i stracił przytomność, „nikt tedy rozmawiać z nim nie może”. Kiedy po pewnym czasie wiadomość tę potwierdzono, Cocks zrozumiał, iż wkrótce pora będzie złożyć wizytę nowemu władcy. Anglicy musieli pokłonić się synowi Ieyasu, szogunowi Hidetadzie, a zwłaszcza uzyskać odeń potwierdzenie przywilejów handlowych.

Na szczęście Adams wrócił z Syjamu niecały tydzień po śmierci Ieyasu. Natychmiast oświadczył, że gotów jest wraz z grupą marynarzy towarzyszyć Cocksowi i Eatonowi, gdy wybiorą się do Edo z prezentami i życzeniami wszelkiej pomysłowości dla Hidetady. Płynąc przez wewnętrzne morze w stronę Fushimi, mieli okazję zaobserwować oznaki wkradającego się chaosu. „Trupa na brzeg wyrzuconegośmy uźrzeli — pisze Cocks — który od lotosów jakowychś zgladzonym będąc, przez wieśniaków bez pochówku był ostawion”. Podróżni odwrócili głowy, pragnąc uniknąć przykrego widoku, wtedy jednak oczom ich ukazała się jeszcze bardziej makabryczna scena: „Na drugim brzegu człek jakiś wnet ukrzyżowan, ile że kupcowi jednemu sługę był ubił”. Nieopodal stały rzędem słupy, przybrane rozkładającymi się głowami ludzkimi. „Głów złoczyńców ośm abo i dziesięć widziałem, na słupkach przydrożnych wystawionych” — zanotował Cocks.

Po kilkudniowym postoju w Osace rozpoczęli ostatni etap podróży do Edo, gdzie zamierzali stanąć w miejskim domu Adamsa. Dworzanie i rękodajni powitali ich życzliwie, składając

im w darze sake, świnie, winogrona i chleb. Zaledwie jednak Anglicy zdążyli się rozgościć, zawisło nad nimi wielkie niebezpieczeństwo. „Kolo trzeciej po południu ziemi zatrząsienie w mieście się wszczęło” — pisze Cocks, oszołomiony siłą tego zjawiska. „Tak zaśię było potężne, że myśliłem, iż dom na głowy wnet nam runie”. Bojąc się, że przygniotą ich walące się ściany, jego ludzie wybiegli na ulicę „boso a bez kapeluszy, domostwo chwiała się bowiem w posadach, trzeszcząc przeraźliwie, aż strach brał słuchać”.

Kiedy skończyło się trzęsienie ziemi, podróżni dokładnie obejrzeliby przeznaczone dla szoguna prezenty i stwierdzili, że niektóre doznały w podróży nieodwracalnych uszkodzeń, inne zaś całkiem się ulotniły. Przesądni Anglicy uznali oba te nieszczęścia za zły omen i zaczęli wątpić, czy Hidetada potwierdzi nadane przez ojca przywileje.

Pierwszy września miał być ważnym dniem, ponieważ wtedy właśnie kazano Adamsowi stawić się wraz z resztą delegacji w pałacu szoguna. Był to rozległy labirynt, którego budowę rozpoczęto przed blisko dziesięć laty, kiedy Tokugawa oficjalnie ogłosił Edo swoją stolicą. Więcej niż sześćset tysięcy robotników wznosiło komnaty i warowne mury o bez mała dwudziestokilometrowym obwodzie. Efekt tych prac był imponujący. Kiedy kilka lat przed śmiercią Ieyasu odwiedził miasto hiszpański gubernator Filipin, fortyfikacje oszołomiły go swoim ogromem. Pałac otaczały trzy rzędy murów i fosa o wartkim nurcie, „między zaś pierwszą bramą a komnatą xięcia więcej niż dwadzieścia tysięcy ludzi zamieszkiwało”. Piękne komnaty ozdobiono wyłaczanymi malowidłami, przedstawiającymi sceny myśliwskie. „Choć najpierwsza komnata nic do życzenia nie pozostawiała — napisał Hiszpan — druga była od niej świetniejsza, trzecia zaś z jeszcze większym przepychem urządzona”.

Wejścia do każdej części pałacu strzegli wartownicy w złocistych, połyskujących w słońcu półpancerzach, zbrojni w dzidy, włócznie i ostre jak brzytwa miecze. Cocks zdumiał ogrom pałacu i jego przepyszny wystrój, rezydencja szoguna była bowiem dużo większa niż wszystkie budowle, jakie Anglik widywał we własnym kraju. W murach pałacu w Edo zmieściłoby się ponad sto pięćdziesiąt londyńskich twierdz Tower. Było to, jak pisze Cocks, „zamczyste gmaszysko”, na pierwszy rzut oka „wiele większe niżeli miasto York”. Od Yorku pałac różnił się także i tym, że otaczały go „trzykrotnym kręgiem fosy szerokie a głębokie, wodą napełnione, podług każdej ciągnął się zasię mur mocar-

ny... cały z obrobionego kamienia niebotycznie wzniesiony, budynkami tegimi a wieżami zwieńczony". Ku zdumieniu Cocks nawet dachówki błyszczały od pozłoty.

Równie wspaniale okazało się wnętrze pałacu, „złotem takoi na sufitach, jako i na ścianach wyłaczane". Pokoje były bogato zdobione malowidłami i freskami, przedstawiającymi „lwy, tygrysy, rysie, pantery, orły tudzież inszą zwierzynę i ptastwo, odrobione jak żywe i nad zdobiącą je pozłotę cenne". Z największych komnat można było wydzielać mniejsze pomieszczenia za pomocą składanych parawanów, „które z góry na dół, bądź też radniej z prawa w lewo suwać się dawa... niczym okien u nas w Anglii zamknięcia".

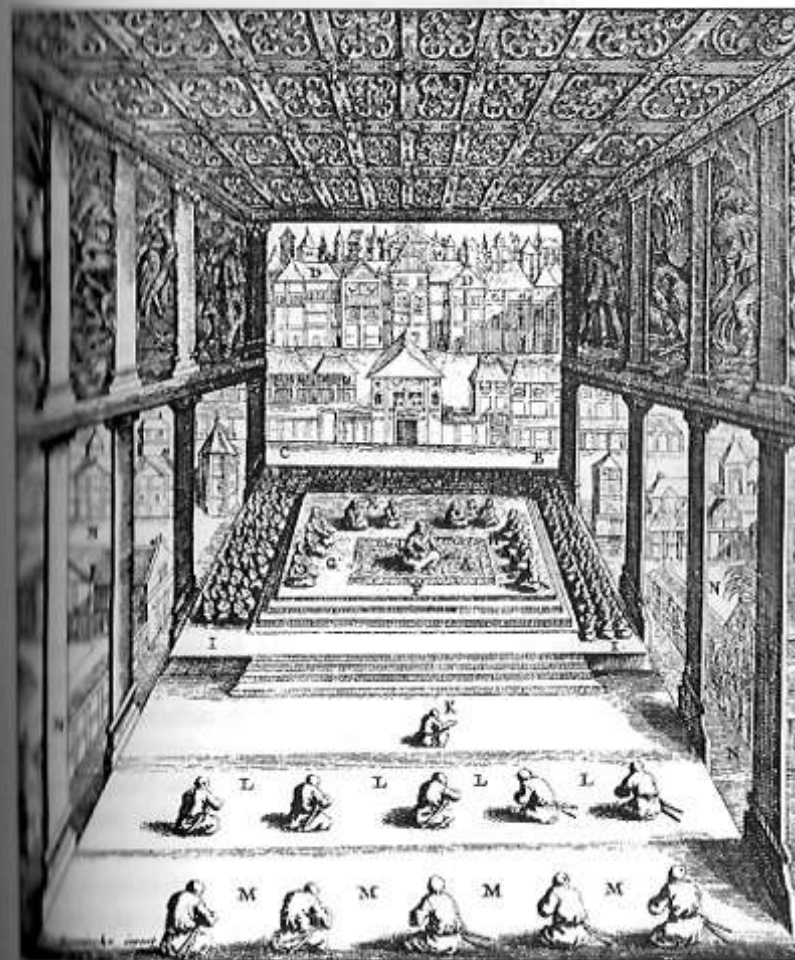
Nie mniej imponujące było umeblowanie. Cocksowi najbardziej spodobały się egzotyczne dywany. „W komnatach wszystkich pałacu owego maty adamaszkim lub brokatem lamowane pod stopy ściela, tak blisko jedną drugiej kładąc, że czubka noża między nie wrazić nie sposób".

Do wewnętrznych komnat zaprowadzili Anglików dwaj główni doradcy Hidetady, zanim jednak wpuścili ich do sali posłuchań, odebrali od nich prezenty: sukno, gałązki koralu, skóry zwierzęce i naczynia. Na progu komnaty szoguna zatrzymał się, nawet bowiem najwyższy rangą Honda Masanobu nie śmiał wejść do niej bez wyraźnego zezwolenia.

Adams wpoił Cocksowi świadomość tego, jak niezwykle ważne jest przestrzeganie zawitych reguł japońskiej etykiety: jeśli podczas wizyty w pałacu zachowa się zgodnie z protokołem, czyśka wielki szacunek, to zaś z kolei ogromnie ułatwi nawiązanie dobrych stosunków z Hidetadą. Podobnych rad udzielił Sarisomei, ten jednak puścił je mimo uszu, czym wzbudził na dworze wielką niechęć. Cocks był bardziej skłonny posłuchać dobrej rady, to też jego pokorna, pełna uszanowania postawa zrobiła na szogonie spore wrażenie. „Kilkakroć zawołał mię, wnijsć każąc, jani wszelako się wzbraniał, co go, jakem później wyrozumiał, wiele ujęło". Po trzecim wezwaniu Cocks wszedł do komnaty i stanął przed obliczem władcy. Siedział on na podłodze, „nogi niczym krawiec skrzyżowawszy", w otoczeniu czterech mnichów o ogolonych głowach. Smagły i mocno zbudowany, w letniej szacie z jaskrawoniebieskiego jedwabiu prezentował się wspaniale, choć kolorowe wstążki, które jak zwykle kazał sobie wplócić w włosy, stanowiły nieco komiczny akcent.

Cocks miał wielkie szczęście, że zaszczycono go prywatną audiencją. Hidetada lubił pompę i wszelkie ceremonie, chętnie wie-

występował w gronie możnych swego kraju, ubranych w tradycyjne stroje. Gdy kilka lat przedtem przyjął Sebastiana Vizciano, Hiszpana zdumiały niezwykle nakrycia głów, jakie nosili wielcy panowie. „Jedni mitry przywdziali, drudzy trójgraniaste kapelusze, naszym birretom podobne, lub czapki kształtu puzder z laki, inni zaś nosili kolorowe turbany, etc., etc.". Sam Hidetada ubrany był nie mniej egzotycznie, lecz pod tą barwną powierzchownością kryła się szczwana, przebiegła natura: twierdzono, jakoby



Protokół był podstawą życia na dworze japońskim. Służący wchodzili do komnat na czworakach, a dostojnicy raz po raz padali na twarz. Podczas audiencji Richarda Cocks szogun siedział, „nogi niczym krawiec skrzyżowawszy”, w otoczeniu mnichów o ogolonych głowach.

wiele cech odziedziczył po ojcu. Historia zdecydowanie przyznała rację Cocksowi, który utrzymywał, że jest to „najprzemysłniejsza nacja, jakie w Japonii kiedykolwiek wladalo”.

Przy tym pierwszym spotkaniu nie padła żadna wzmianka o przywilejach handlowych. Rozmówcy poprzestali na uprzejmościach, toteż audyencja upłynęła „pośród słów przypochlebnych wielu”. Po dwóch dniach Adams znów udał się do pałacu „iżby... przywilejów od starego cesarza nadanych odnowę uzyskać, jako i *gowshin* [glejt szoguna] dla swej dzięki”. Hidetada uprzejmie wysłuchał jego prośby, przedłożonej w imieniu Cocksasa, lecz na razie wstrzymał się z odpowiedzią. Adams odszedł z niczym, Cocksowi zaś przekazał ponurą wiadomość, że przywileje mogą nie zostać ratyfikowane.

Następne dni wypełniła gorączkowa seria zabiegów i spotkań: Adams usiłował przekonać najwyższych rangą dworzan, że nie mają czego się obawiać ze strony Cocksasa i jego ludzi, jeśli pozostaną oni na japońskiej ziemi. Szybko jednak stwierdził, iż nie jest to łatwe zadanie. Hidetada, który odziedziczył po ojcu głęboko zakorzenioną nieufność wobec chrześcijan, był jeszcze bardziej niż Ieyasu zdecydowany wprowadzić w życie wymierzony przeciwko nim edykt. Samemu Adamsowi co prawda chętnie pozwolił zostać w Japonii, lecz wahał się z udzieleniem swojego błogosławieństwa angielskiej kolonii z Hirado. Adams ostrzegł Cocksasa, że szogun jest z natury podejrzliwy i „do religii papistowskiej jeszcze silniej niżeli jego ojciec uprzedzony, we wszystkich swych włościach zakazał bowiem pod groźbą śmierci komukolwiek z poddanych chrześcijaństwo na papistowską modłę wyznawać”.

Hidetada był też mniej przenikliwy niż Ieyasu, nie widział więc prawie żadnej różnicy między protestantyzmem a katolicyzmem. Wkrótce stało się jasne, że jego dworzanie, dobrze znających poglądy Adamsa w kwestii katolicyzmu, szczególnie interesują się ustaleniem, co o jezuitach i franciszkanach sądzi Cocks. Wypytywali go o angielski protestantyzm i zasady tej wiary, żeby porównać jego odpowiedzi z tym, co wcześniej mówił im na ten temat Anpa Sama, któremu wszak ufali. „Radcy dworu — pisze Cocks — pewnie więcej niż dwadzieścia razy mię wzywali, iżby się wywieźć, czyli angielska nacja [protestanckie] chrześcijaństwo wyznawać”. Przesłuchania te były dla niego trudne między innymi z powodu listu króla Jakuba I, w którym władca przedstawił się jako „Wiary Chrześcijańskiej Obrońca”. Dworzanie orzekli, że dokładnie to samo mówią o sobie jezuita, muszą zatem być tego

wyznania. Bliski rozpaczy Cocks przypomniał im, iż „jezuitów i braci wszystkich z Anglii wygnano, nimem się był rodził, ile że nacja angielska z papieżem ni z doktryną jego nie trzymie”.

Doradcy szoguna słuchali tych wyjaśnień uprzejmie, nie wyśledzili się jednak podejrzeń, radzili więc Anglikom unikać jakichkolwiek kontaktów z papistami. Z kolei Cocks ostrzegł dworzan, że Hidetada nie powinien dopuścić, aby katolicy w Japonii postąpili tak samo, jak „z królami Anglii się obeszlą, których zgładzać i truć się silili a prochami wysadzać, poddanych judząc, iżby przeciw panu przyrodzonemu rebelizowali, za co z kraju wszystkich ich wygnano”. Pragnąc dowieść mocy swoich antykatolickich przekonań, zaproponował zorganizowanie angielsko-japońskiej wyprawy przeciwko Filipinom, pozostającym wówczas w rękach Hiszpanów. Byłaby to, jak twierdził, wspaniała sposobność zabicia wielu katolików. Dodał, że Hidetada „w pomoc zarówno Anglików, jak i Olendrów wątpić nie powinien”.

Słowa te wywarły wreszcie niejaki wrażenie. Utwierdziwszy się w zamiarze usunięcia wszelkich śladów po jezuitach i franciszkanach, w początkach września 1616 roku wydał Hidetada kilka nowych edyktów, na mocy których każdy, kogo posądzono by o ukrywanie chrześcijan, miał zostać zgładzony wraz z całą rodziną. Po dwóch dniach pewien dworzanie odwiedził Cocksasa i wyznał mu, że ratyfikacja przywilejów handlowych opóźnia się z powodu pogłosek, jakoby żona Williama Adamsa przechowywała chrześcijan w jego majątku w Hemi. Mocno zaniepokojony Adams „do blizkich swych napisał... iżby strzegli się dostarczyć w tej materii dowodów przeciwko sobie, gdyż życiem okupić to mogą”.

Adams co rano odwiedzał dwór, spodziewając się dobrych wiadomości, lecz za każdym razem jakaś nowa przeszkoda uniemożliwiała podpisanie przywilejów. Pewnego dnia oznajmiono mu, że normalnemu urzędowaniu „wraża aura obstrukcją uczyniła”; kiedy indziej dworzanie zajęci byli torturowaniem człowieka podejrzanego o udział w obronie zamku Osaka. Choć „bardzo go dręczyli a szarpali”, odmówił złożenia zeznań, twierdząc, iż skryłby się hańbą, gdyby uległ. Dodało to jedynie zapału oprawcom: „ogniem najwyszukaniej go męczyli, między deski cwiaka mi spiczasto nabijane kładli a przekluwali, on wszakże mimo posiadaną wiedzę skołał, nie wyznawszy ni słowa”.

Hidetada wciąż jeszcze nie był pewien, co postanowi w sprawie przywilejów handlowych dla Anglików, darzył jednak Adamsa wielkim szacunkiem i koniecznie chciał go zatrudnić jako kapitana, a zarazem nawigatora. Wiele słyszał od ojca o tym,



Tortury były w Japonii codzienną makabrą. Wiele najstraszliwszych kar, takich jak powieszenie z ciężarami, stosowano wobec schwytych chrześcijan.

jak świetnie zna się Adams na nawigacji. Wiedział też, że lewy zamierzał postawić Anjin Samę na czele ekspedycji, której celem miało być poszukiwanie legendarnego szlaku północno-zachodniego*. Adams był mocno zawiedziony, gdy plany te spłyły na

* Pomyłka autora: ma on tu na myśli szlak biegnący wzdłuż wybrzeży Ameryki, czyli północno-wschodni. Szlak północno-zachodni biegłby wzdłuż wybrzeży Ameryki (przyp. red.).

strzym, ponieważ zaprzęgnięty wojną domową Tokugawa starzy nie mógł sfinansować wyprawy.

Młody szogun miał dla Adamsa zupełnie inne zadanie. Wezwał go na dwór, żeby omówić szczegóły. „Rozumiejąc, iż ku północy leży insul kilkoro, w złota i srebra rudniki obfitych, zamierzył cesarz podbić je, spytał go zatem [Adamsa], czyli nie zechciałby — na korzystnych warunkach — podjąć się pilotowania”. Adams odparł, że przyjął już kilka zleceń od Kompanii Wschodnioindyjskiej, a jako człowiek z zasadami „dwóm panom służyć nie może”. Obiecał jednak dołożyć wszelkich starań, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o owych wyspach. Jego uczynność najwyraźniej zrobiła pewne wrażenie na Hidetadzie, szogun zaczął bowiem odnosić się do Anglików nieco życzliwiej.

W trzecim tygodniu września nabrali oni przekonania, że pat niebawem się zakończy. Hidetada przysłał Cocksowi w prezencie dziesięć kimono i zbroję, dodając do tego po dwa kimona dla Eatona i Wickhama. Wkrótce potem nadeszły dalsze prezenty od dworzan i sług szoguna, a po trzech dniach otrzymali Anglicy największy dar: Adamsowi wręczono ratyfikowane przywileje handlowe, na mocy których poddani króla Jakuba mieli prawo pozostać w Japonii. Nie wolno im było tylko „komuniję przyjmować, spowiadać się ni chrzczyć z katolikami społem”, czego troszą ani Cocks, ani żaden z jego ludzi czynić nie zamierzał. Adams dostał też od Hidetady *shuinjo* — zapieczętowany cynobrowym woskiem dokument, ponownie upoważniający go do odbywania zamorskich podróży. Był to zarazem glejt, chroniący przed atakami piratów, ponieważ napaść na statek, którego kapitan legitymował się *shuinjo*, uważano za akt wrogości wobec samego szoguna. Sprawców takiego czynu z całą pewnością dostręgnięto by i stracono.

Zaledwie kilka godzin po otrzymaniu tych jakże ważnych dokumentów Cocks, Eaton i Wickham wyruszyli z Adamsem do jego majątku w Hemi. Powrót pana ogromnie uradował wasali i „włóścian”, którzy stawali szpalerem przy drogach i wznosili powitalne okrzyki. Cocksowi jako gościowi Adamsa także zgotowano triumfalne powitanie. „Rozmaici poddani — pisze — w darze owoce mi znieśli, jako to pomarańcze, figi, gruszki, kasztany i winogrona”. Odwzajemnił im się drobnymi upominkami w postaci tkanin i pieniędzy. Rozległość majątku w Hemi oraz władza, jaką Adams miał nad swoimi sługami, wywarły na Cocksie trwałe wrażenie. W przeciwieństwie do angielskich ziemian, których władzę nad dzierżawcami ograniczały krajowe

prawa, Anjin Sama był w pełnym tego słowa znaczeniu panem swojej posiadłości. „Ma w swych włościach zagród albo gospodarstw z górą sto — napisał Richard Cocks — że o pomniejszych do tamtych przynależących nie wspomnę, a wszystko to są wasale jego, on zaś jest życia i śmierci ich panem”. Dodał, iż wszyscy ci chłopcy i robotnicy rolni są „niewolniki jego, nad którymi władzę absolutną sprawuje tak jak każdy *tono*, czyli król japoński, nad lennikami swymi”.

Anglicy przez kilka dni oddawali się w domu Adamsa rozmaitym uciechom, po czym postanowili odwiedzić czcigodnego admirała japońskiego, a zarazem bliskiego sąsiada — Mukai Shogena Tadakatsu. Gdy wyruszyli konno, Cocksowi ogromnie zaimponowało to, że towarzyszyła im grupa japońskich poddanych Adamsa, którzy biegli obok koni jako „hołdownicy [wasale]”. Kiedy przybyli na miejsce, admirał podjął ich wystawnym obiadem i wręczył drobne podarunki. Cocks bardzo się ucieszył z otrzymanego w prezencie sztyletu i napisał, że „Mukai to jeden z najlepszych druhów, jakich w Japoniiśmy sobie zjednali”.

W ostatnim dniu września nastąpił raptowny kres sielanek: błyskawiczną pocztą nadszedł z Edo list od Richarda Wickhama z katastrofalną nowiną. Otóż Hidetada wydał edykt, zabraniający japońskim kupcom nabywać jakiegokolwiek towarów od cudzoziemców zamieszkałych w Osace, Kioto i Sakai. Gdyby wiadomość ta się potwierdziła, oznaczałoby to koniec handlu Anglików z Japonią, który przecież nie wyszedł jeszcze z fazy raczkowania. Trzeba by było bowiem zlikwidować wszystkie założone dotychczas filie. Nie mogąc zrozumieć, czemu Hidetada ogłosił taki edykt tuż po ratyfikowaniu angielskich przywilejów, Cocks napisał, że „wieść owa dziwną wielce się zdawa”. Dopiero gdy do kładnie przestudiował otrzymany od szoguna dokument ratyfikacji (korzystając tym razem z pomocy wykształconego kapitana buddyjskiego), pojął, iż Anglikom mocno ograniczono swobodę ruchów. „Kazano okrętom naszym — pisze — do Hirado jeno siewijać, insze porty japońskie omijając”. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uda się doprowadzić do cofnięcia tego zakazu, faktorię trzeba będzie zamknąć, wtedy zaś skończy się słodkie życie, które on i jego ludzie wiedli w Japonii.

Adams czym prędzej ruszył do Edo, żeby prosić na dworze o zmianę polityki. Towarzyszyli mu Eaton i Cocks. Ten ostatni był mocno wytrącony z równowagi. Spotkawszy jednego z wyższych rangą dworzan, oświadczył mu: „Skoro cesarz taki rozkaz wydał, równie dobrze mógłby na niezwłoczną banicję nas sta-

wić, nie tam bowiem sprzedać nie zdołamy”. Wszelkimi sposobami próbował skłonić Hidetadę do odwołania edyktu. Powiedział nawet, że jeśli przywileje nie zostaną przywrócone, jego własne życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, ponieważ „Król Jakub umiemal będzie, iż z winy niecnot naszych przywileje nam odebrano”. „Żywot mój od tego zawisł — dodał — czy rzecz ową naprawić się da, bo w razie porażki nie wiem, jakim czołem do Anglijej wrócić bym się ośmielił”.

Hidetada okazał się jednak nieprzejednany. Nie dając posłuchu argumentom Cocks'a, zamierzał pozostawić Anglikom jedynie dalszą faktorię w Hirado. Długo zabiegali o poparcie dworzan, zanim zgodził się pójść na kompromis. Pozwolił Cocksowi na mocy wcześniejszych przywilejów sprzedać towary zgromadzone w filiach, z tym że potem angielskim kupcom wolno będzie handlować wyłącznie we włościach pana Shigenobu. Zakaz ten nie dotyczył Williama Adamsa. Jego rozległa wiedza zrobiła na szogunie wielkie wrażenie, toteż Hidetada potwierdził tytuł *hanamoto*, który Anjin Samie przyznał Ieyasu, zrównując go rangą z samurajami. Cocks nie tracił nadziei, że szogun zmieni zdanie w sprawie przywilejów handlowych, gdyż w przeciwnym razie, jak twierdził, „nasz handel w Japonii, lękam się, nie wart byłby zachodu”. Odpowiedź Hidetady brzmiała jednak odmownie, rozczarowani Anglicy postanowili zatem wyjechać z Edo.

W podróży do Hirado spotkało ich kolejne nieszczęście, z którego ledwo wyszli obronną ręką. Adams galopował wiejską drogą, gdy wtem z żywopłotu wyfrunął jakiś ptak. „Koń spłoszył się, toteż Kapitan runął tyłem na ziem i prawy bark sobie wywichnął, a mały włos nie skręciwszy karku”.

Zatrzymali się w przydrożnym zajeździe, żeby Adams mógł wydobrzeć, i nazajutrz rzeczywiście czuł się trochę lepiej. Chwilowo był jednak niezdolny do dalszej podróży. „Obawiając się, że bark znów mu się ze stawu wywichnie, postanowił Kapitan Adams spędzić w Surudze dni cztery albo i pięć”.

Dogonił Cocks'a i Eatona w Kioto, chociaż ból w barku nadal straszliwie mu dokuczał, i towarzyszył im do końca podróży. Czwartego grudnia 1616 roku trzej zawiedzeni petenci wrócili do Hirado, aby spojrzeć w oczy przyszłości, która przedstawiała się bardziej ponuro niż kiedykolwiek. Nie wszyscy byli jednak w tak podłych nastrojach. Zwłaszcza Richardowi Wickhamowi nie brakowało powodów do zadowolenia.

JAKO RYBY OŚCIENIEM SIĘ KLUJE

RICHARD Wickham miał wszelkie prawo być z siebie rad. Faktoria podupadała, Cocks narzekał, że sprawy układają się coraz gorzej, a tymczasem własne interesy Wickhama szły znakomicie. W Japonii powodziło mu się doskonale, ponieważ całą energię poświęcił gromadzeniu prywatnego majątku.

Ci, których zapraszał do siebie, stwierdzali ponad wszelką wątpliwość, że świetnie mu się wiedzie. Mieszkanie od podłogi po sufit wypełniały rozmaite skarby i kurioza, a kufry wypchane były chińskimi jedwabiami. Ze spisu nieruchomości, jakie posiadał, wynika, że opływał w dostatki i bez wahania wydawał pieniądze. Jadał na znakomitej porcelanie, herbatę parzył w srebrnym czajniczku, a piwo pijał z „polerownych” kufli. Stół w jego jadalni nakrywano obrusami z najlepszych tkanin, a w łazience stała szkatułka z pachnidłem dla gości, którzy mieliby ochotę się uperfumować. Sypialnia była ucieleśnieniem wyobrażeń o wschodnim przepychu. Zdobiła ją niezwykła kolekcja eksponatów i pamiątek z całego Wschodu: japońskie skrzynie, jawańskie włócznie i syjamskie rubiny. Nie mniej egzotyczna była spiżarnia, w której przechowywał „cukry” dla przyjaciół lasuchów, a także „konfityr słoj” i duży zapas trunków.

Przedmioty, które trzymał na widoku, były jednak niczym w porównaniu z garderobą. Ponieważ szybko zauważył, jak elegancko ubierają się Japończycy, postanowił wziąć przykład z miejscowych dworzan. Zaopatrzył się więc w kilkadziesiąt świetnie skrojonych koszul i wiele par podwiązek. Nosił kaftany godne najbardziej rozrzutnego dandysa. Jeden z nich uszyty był z fioletowej satyny i lamowany złotą koronką. Inny miał wspaniałe pomarańczowe kołnierze. Wickham sprawił też sobie całą kolekcję wstążek do kapeluszy (wśród nich kilka ze złotogłowiu), aby przydać swoim kostiumom szczyptę egzotyki.

Majątek Wickhama wart był ponad tysiąc czterysta funtów — niemało jak na kogoś, kto zarabiał raptem czterdzieści szterlingów

rocznie. Kiedy wiadomość o jego zamożności dotarła do Londynu, dyrektorzy Kompanii doznali szoku. Głośno się dziwili, że zdołał zarobić tyle pieniędzy „w stronach owych, gdzie Kompanija straty jeno ponosi”. W rzeczywistości aż nazbyt dobrze wiedzieli, jakim sposobem Wickham zbil fortunę: zamiast troszczyć się o zyski faktorii w Hirado — bo też po to go przecież zatrudniono i płaćcano — zajął się wyłącznie nabijaniem własnej kiesy.

Był to człowiek nienasyconie chciwy. Drogo do wielkich pieniędzy wytyczył sobie na długo przed lądowaniem w Japonii. Jego towarzyszy z „Goździka” zdumiewała determinacja, z jaką już podczas rejsu zaczął gromadzić srebro. Natychmiast po przybyciu do Bantamu jął za własne pieniądze kupować towary, mając nadzieję sprzedać je z zyskiem w Japonii. Gdy ta pierwsza próba zakończyła się fiaskiem, odesłał cały towar z powrotem do Bantamu, prosząc przyjaciół, żeby mu w zamian przysłali ładunek pieprzu, jedwabiu „bądź insze jakie dobra, które kapitał włożony odzyskać mi pozwolą”. Tymczasem spekulował, obracając przywiezionymi jeszcze z Anglii pieniędzmi.

Pokątny handel był zmorą Kompanii Wschodnioindyjskiej. Londyńscy kupcy kategorię potępiali tę praktykę i robili, co mogli, żeby ich pracownicy jak najmniej kupowali i sprzedawali na własny rachunek, a kapitanowie wszystkich statków mieli obowiązek udaremniać załogom prywatne operacje handlowe. Kiedy w roku 1611 Saris wyruszał w rejs, dyrekcja Kompanii wyraźnie poleciła mu dopilnować, żeby ludzie Cocksa nie prowadzili samodzielnego handlu. Dyrektorzy „rozkaz bezwzględny wydali, iż nikomu — kapitanom, kupcom, oficerom ni prostym majątkom i w ogólności żadnej inszej personie bądź personom — nie wolno handlować ni żadnych transakcyj w imieniu własnym uskuteczniać”.

Było jednak do przewidzenia, że niektórzy złamią tę zasadę. Wielu zresztą marynarzy zdecydowałoby się opuścić Anglię, gdyby nie przyświecała im nadzieja pokątnych zysków. Również kapitanowie mieli zwyczaj spekulować, inwestując własne pieniądze. William Keeling ośmielił się nawet prosić, aby dla niego jednego — jako dowódcy ważnej ekspedycji — zrobiono wyjątek, pozwalając mu handlować na własny rachunek. Dyrektorzy „największym niesmakiem zdjęci” prośbę odrzucili, proponując, że w zamian za to podwoją Keelingowi gażę. Kapitan ochoczo przyjął podwyżkę, nie przestał jednak zabiegać o zgodę na prywatny handel. Gdy kupcy zorientowali się, że gotów jest podać się do dymisji, chcąc nie chcąc, ustąpili. Wymogli jednak na nim

przysięgę, że zachowa to w sekrecie, i kazali mu dopilnować, aby podwładni nie szli za jego przykładem. Keeling dotrzymał słowa, a kilku faktorów z Bantamu nawet surowo skarcił, ostrzegając, że wyłącznie na własne ryzyko „Kompaniję pryncypjoni się przeniewierzą”.

— Spośród Anglików z Hirado bynajmniej nie tylko Wickham handlował na swój rachunek. Nealson, Sayers i młody Richard Hudson — jeden z trzech ludzi, którzy przybyli na pokładzie „Hosiandera” — również zawierali z Japończykami potajemne transakcje. Eaton założył własny syndykat wyrobów z laki. Nawet „uściwy” pan Cocks spekulował, obracając własnymi pieniędzmi. Poprosił raz Wickhama, żeby w jego imieniu zainwestował nieco srebra, lecz Wickhamowi wcale nie zależało na wzbogacaniu innych. „Zwrócił mi tyleż pieniędzy, ilem mu był dał — z irytacją pisze Richard Cocks — własne jeno w przedsięwzięciu owo włożywszy”. Nieużyte usposobienie Wickhama powodowało ciągle pretensje, podobnie jak to, że nieustannie przypominał on Cocksowi o swojej przyjaźni z sir Thomasem Smythem, pragnąc uniknąć w ten sposób wszelkiej krytyki.

W przeciwieństwie do Adamsa pozostali Anglicy nawiązali wśród japońskich mieszkańców Hirado jedynie nieliczne przyjaźnie, woląc zabawiać się we własnym gronie. Cocks i Wickham tuż po przybyciu do Japonii czuli do siebie wyraźną sympatię, lecz stosunki między nimi wkrótce się popsuły. Szczególnie irytowało to Cocks, z Wickhamem łączyło go bowiem więcej niż z resztą faktorów. Obaj uważali się za ludzi kulturalnych, a nawet wybitnych, i chętnie pisali o swoich japońskich przygodach. Lubił też czytać, nie szczędził więc czasu i pieniędzy na kupowanie książek. Wickham zgromadził sporą bibliotekę, złożoną z pięćdziesięciu ośmiu „tomiszcz i tomików”, natomiast Cocks sprowadzał z Bantamu dzieła historyczne. Wdawali się niekiedy w intelektualne dysputy, a Wickham z upodobaniem urozmaicał swoje listy aluzjami do Swetoniusza i Cyserona. Podobnie jak Cocks delektował się skandalami, zwłaszcza gdy w grę wchodziły kobiety. Pewną młodą Japonkę nazywał „swoją lisiurką”.

Słowem, mieli ze sobą wiele wspólnego, lecz Cocksowi szczególnie sprzykrzyło się grubiańskie zachowanie Wickhama. Ten porywczy, kapryśny, porywczy człowiek spędzał wiele czasu wśród pijaków — być może dlatego, że stosunkowo najlepiej znosił jego towarzystwo. Cocks twierdzi z niejaką satysfakcją, że Wickham jest nie lubiany, a ci, co z nim przestają, mają nadzieję skorzystać, gdyby w młodym wieku zabrała go śmierć. „Mniemam, iż wszystkie

tejsi Anglicy radniej komnaty jego niżeli kompaniję lakną” — pisze. Im rozpaczliwszy był stan finansów faktorii, tym mniej cierpliwości dla Wickhama miał jej zarządca. Rozumiał jednak, że całkowite zerwanie stosunków doprowadziłoby do nieznośnej sytuacji. Po pewnej szczególnie burzliwej kłótni oświadczył listownie Wickhamowi: „Słowa wszelkie, jakie padły między nami, ze szczętem z pamięcią wyżenał”. Wkrótce potem przekonał się, że adresat jest mniej wielkoduszny.

Pozostali pracownicy faktorii także zaczęli wzajemnie się irytować. Chociaż mieli wiele powodów do zadowolenia z pobytu w Japonii, niebawem znużył ich ten dziwny kraj i jego bezkompromisowi mieszkańcy. Znudziła się też sobie nawzajem. Najbardziej widocznych kłopotów przysparzał William Nealson. Wyznaczono mu stanowisko młodszego księgowego, lecz wykonywał tę pracę bez entuzjazmu, woląc folgować namiętności do alkoholu. Tuż po wyładowaniu w Hirado zaczął zdradzać objawy alkoholizmu, z jednym z nich była szalona i niczym nieuzasadniona huśtawka nastrojów. Cocks coraz częściej wytykał mu niesforne zachowanie, lecz napomnienia te, miast pomagać, wprawiały Nealsona w jeszcze większą wściekłość. Podczas jednej z takich polajanek postanowił on oddać wet za wet i w jadowitych słowach zaatakował Cocks. „Poróżniwszy się ze mną — pisze ten ostatni — od starych słów pijanych mię wyzwał i licznymi a niecierpliwymi obrzucił groźby”. Cocksowi niebawem dojadło wieczne zapijaczenie i „bombastyczne humory” Nealsona. Stwierdziwszy, że nie chce go już więcej napominać, odsunął się od niego. „Bóg świadkiem — wyznaję z żalem — iż niemasz w tym kraju Anglika, co nie wyrzucałoby mi pobażania, jakim do tych pór okazywał Imię Nealsonowi jako zniewagi, które wszystkim dzień w dzień wyrządza”.

Nie mniej irytująco zachowywał się John Osterwick, który w roku 1615 przeszedł z „Hosiandera” do pracy w faktorii. Cocks od pierwszego wejrzenia poczuł doń antypatię i scharakteryzował go jako „pysznego, nieokrzesanego młokosa, co nad ludzi wszystkich wzgardliwie się wynasza”. Odwzajemniając niechęć, Osterwick wkrótce zaczął podjudzać przeciw Cocksowi podwładnych. Zaprzyjaźniwszy się z Nealsonem, jął wmawiać mu, żeby przelożony sprzeniewierzał pieniądze z kasy Kompanii. Rozwścieczony Cocks zdołał zachować zimną krew. „Wolej, byś miał w oczy mi zarzut ten uczynił — oświadczył oszczercy — niżast innych mnie naprzeciw jątrzyć”.

Tak nieliczne grono prędzej czy później musiało podzielić się na obozy. Równie nieuchronne wydaje się to, że Richard Cocks

jako zwierzchnik stał się celem krytyki. Miał jednak sprzymierzeńca w osobie Williama Eatona. Był to człowiek lojalny, kompetentny i pracowity. On i jego przełożony szybko stwierdzili, że wiele ich łączy. Można domniemywać, że obaj pochodzili ze Staffordshire, ponieważ Cocks wyrażał się o Eatonie jako o swoim „krajanie”. Niewątpliwie dostrzegał jego nieprzeciętne zalety, skoro wysyłał go często w interesach do Osaki, Sakai i Kioto. Nawet w najczarniejszej godzinie, kiedy brakowało pieniędzy, Eaton pozostawał niezachwianie lojalny, a Cocks nie szczędził mu pochwał w listach i w dzienniku, pisząc, że jest to „człek ponad poszlakę wszelką ućciwy, przyjaciół swoich szczerzy druh”. Lojalność Eatona mogła wynikać z tego prostego faktu, że w Japonii żyło mu się szczęśliwie. Po krótkim, lecz katastrofalnym związku z O-man zakochał się w miejscowej dziewczynie imieniem Kamezo. Obsypywał ją prezentami w postaci sztuk jedwabiu i ubrań, ona zaś odwdzieczyła mu się za tę czułość, rodząc syna i córkę.

Najbardziej skomplikowane stosunki łączyły Anglików z Wiliaem Adamsem. Wiedzieli, że faktoria nadzwyczaj wiele zawdzięcza jego przyjaźni z Ieyasu, i raz po raz zwracali się do niego z prośbami o pomoc i radę. Cocks przyznawał bez ogródek, jak bardzo imponuje mu Adams swoją znajomością języka japońskiego i miejscowych obyczajów. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby Anjin Sama nie wstawił się za Anglikami na dworze, w żadnym razie nie pozwolono by im osiąść w Japonii. Żył jednak wobec swojego najbardziej wartościowego pracownika skrywaną nieufnością, podejrzewając w duchu, iż Adams potajemnie wysługuje się Holendrom i Hiszpanom. Podejrzenia te nigdy się nie potwierdziły, lecz musiały minąć trzy lata, zanim Cocks wreszcie przyznał, iż pochopnie osądził szturmana Williama. Pomylił się co do niego tak samo jak przedtem kapitan Barts, wziąwszy jego pełen dystansu sposób bycia za przejaw arogancji. Nie rozumiał też, że doradcę szoguna nie bez kozery niepokoją pijaństwo i rozpusta Anglików. A przecież za ich zachowanie musiał odpowiadać na dworze właśnie Adams, który nie zyskiwał przez to ani w oczach Hidetady, ani naczelnika faktorii.

Dopiero gdy Cocks ujrzał, jak Adams przedkłada szogunowi sprawę Anglików, pojął, że bezpodstawnie pomawiał go o dwulicowość. W liście do dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej napisał: „Znajduję, iż jest uległy, gotów służyć waszym łaskawościom najlepiej, jak potrafi”. Nieco później stwierdził też, że spokojne zachowanie Adamsa jaskrawo kontrastuje z hullajskimi

ekscesami pracowników faktorii. „Klnę się, iż mógłbym spędzić z nim lat choćby i siedm, zanim słowa jakoweś niezwyčajne padłyby między nami”.

W roku 1616 Adams uratował faktorię przed ruiną finansową. Cocks wydał majątek na rozbudowę firmy, a potem znów uszczuplił swój zapas srebra, zakładając filie w Edo i w Osace. Z powodu jego przyjęć i uczt cenne zasoby zostały jeszcze bardziej nadwężone, a w wyniku niepokojów społecznych, które nastąpiły po bitwie o zamek Osaka, znaczna część towarów, smagazynowanych w placówce Williama Eatona, uległa uszkodzeniu. Remont „Hosiandera” okazał się poważniejszy, niż zrazu przewidywano, i kosztował Cocksą ponad trzysta funtów. Wobec tak ogromnych wydatków faktoria musiała prędkiej czy później popaść w niewypłacalność.

Kiedy w listopadzie 1615 roku oficjalnie wygasła umowa między Kompanią Wschodnioindyjską a Adamsem, początkowo nie zamierzał on przedłużać kontraktu. Nie potrzebował mamej pensji, którą mu płacono: doskonale potrafił czerpać zyski z organizowanych na własną rękę wypraw handlowych i ze sprzedaży ryżu, uprawianego w Hemi. Wiedział jednak o poważnych trudnościach finansowych angielskiej faktorii, a choć niewiele go łączyło z jej pracownikami, nie życzył im źle. Jeszcze w tym samym miesiącu oświadczył Cocksowi, że może na niego liczyć przez znaczną część przyszłego roku, po czym pomógł mu przezwyciężyć szereg kryzysów.

Zimą 1615 roku udał się do Syjamu, aby wrócić stamtąd dopiero latem 1616. Rejs ten ocalił faktorię przed upadkiem. Adams wyprawił się „Morską Przygodą” do Ajutthai (gdzie w roku 1612 Lucas Antheunis założył niewielką angielską placówkę handlową) i obsypał prezentami tamtejszych urzędników syjamskich. W zamian pozwolono mu nabyć ogromną ilość cezalpinii, która nadal osiągała w Japonii wysokie ceny. Kupił jej tyle, że skrótko wyładował swoją dżonkę do granic możliwości i musiał wynająć jeszcze dwa statki, aby przewieźć cały transport do Hirado.

Chociaż oddał w ten sposób Cocksowi wielką przysługę, angielscy faktorzy z Syjamu podejrzewali go o działanie z niskich pobudek. Nie podobała im się zwłaszcza poufalskość, do której dopuszczał swoją japońską załogę. Benjamin Farie wręcz potępił go za to, że pozwala marynarzom zabierać na statek prywatne towary i handlować nimi na własny rachunek. Farie stwierdził, iż kompania Wschodnioindyjska „szkodę wielką ponosi za przy-

czyną niezmiernych przywilejów, jakich Imię Adams założył swej udziela". Nie wiedział jednak, że na japońskich statkach jest to powszechnie przyjęte i celowe postępowanie, dzięki któremu marynarzom nie przychodzi do głowy porzucić służbę.

W lipcu 1616 roku Adams wrócił do Hirado, gdzie powitał go wieść o śmierci Ieyasu. Natychmiast udał się z Cocksem do Edo. Dopiero po powrocie ze stolicy mogli sprzedać transport cezalpinii. Dzięki tej transakcji bliska bankructwa faktoria dostała potężny zastrzyk pieniędzy. Drewno sprzedano ponad trzy razy drożej, niż je kupiono. Przywiezione z tejże wyprawy skóry przyniosły stuprocentowy zysk. Srebro sypnęło się więc jak z rogu obfitości. W faktorii zapanowała wielka radość. W przepływie optymizmu Anglicy postanowili świętować Boże Narodzenie z dawną wystawnością. O świcie na „Tomaszu” i „Bożym Darze”, które jeszcze nie odplynęły, oddano salwę z armat, „aby uczcić dzień Narodzenia Pańskiego”. Skoro faktoria znów stała się wypłacalna, wszyscy zapalali chęcią zabawy, toteż Cocks znów sprowadził japońskie tancerki. Znając jego zamilowanie do kąpieli, John Totten — kapitan „Rady” — podarował mu ośmiornaście kostek mydła, a Li Tan dał mu dwie beły czarnej taty i „chińskich ciast wielkich a słodkich dziesięć”. Cocks kupił też prezenty dzieciom japońskich przyjaciół. Pewna mała dziewczynka dostała od niego wachlarz, gałkę pachnidła oraz „papieru ryżę”.

Po Bożym Narodzeniu zajęto się pewną nader pilną sprawą. Otóż minęły prawie dwa lata, odkąd nadeszła ostatnia wiadomość od Tempesta Peacocka i Waltera Carwardena, którzy wiosną 1614 roku popłynęli do Kochinchiny. Gdy wyruszyli, spodziewano się, że wrócą po czterech lub pięciu miesiącach, a już najpóźniej po pół roku, przywożąc transport jedwabiu i skóry. Do Cocksów często docierały jednak pogłoski, jakoby ich zabito lub uwięziono. Jedną z barwniejszych wersji stwierdzała, że Peacock utonął, ściągnięty na dno ciężarem złota, którym wypchał sobie kieszenie. Według innej Carwarden miał ująć cało i już zmierzać z powrotem do Japonii. Tego rodzaju historyjki krążyły przez prawie dwa lata, lecz Cocks nawet nie próbował odnaleźć swoich ludzi. Wiosną 1617 roku nadarzyła mu się wreszcie po temu sposobność, ponieważ Adams zaofiarował się, że popłynie na czele ekspedycji poszukiwawczej do Kochinchiny.

Jego nową dżonkę — „Boży Dar” — należało wyposażać w zapas żywności i olinowanie, wybrał się więc do Nagasaki, gdzie jedno i drugie można było kupić za bezcen. Po powrocie

stwierdził, że oszczędność ta bynajmniej nie przypadła do smaku młodemu królowi Figenowi — nowemu władcy lenna, który byłby wolał, żeby Adams wydał pieniądze w Hirado. Nie spodobała się też najznaczniejszym spośród działających w porcie kupców, wciąż jeszcze wzburzonych tym, że Cocks nasycił rynek cezalpinia. Co zapalczywi — od dawna zazdrośni o to, że Adams ma łatwy dostęp do dworu — nasłali nań trzech ludzi, mając im ukarać go i poniżyć. Siepacze ci wykazali niejaką nadgorliwość. Wdrapawszy się na pokład „Bożego Daru”, „za rękę kapitana Adamsa porwali i nim się był spostrzegł, z siłą wielką mu je wykręcili, mękę okrutną tudzież ciosy liczne pięściami zadając”. Adams nie całkiem jeszcze wydobrzył po upadku z konia, toteż bardzo ucierpiał. Oprawcy prawie wyłamali mu ze statku rękę, aż krzyknął z bólu, po czym rzucili się na innych członków załogi. Pochwyciwszy bosmana Johna Phebie, zagrozili, że roznieką go mieczami, a Sayersa złapali za „włosy z ciemienia wyrosłe” i obezwładnili chwytem za głowę; nieszczęśnik o mało się przy tym nie udusił.

Sytuacja przedstawiała się ponuro, ponieważ napastnicy „porzynali sobie arcygwaltownie” i najwyraźniej zamierzali usmiercić Anglików. Sądziło się, że Adams nie korzysta już z protekcji szoguna, mogą więc zrobić z nim, co zechcą. Lecz gdy tylko go puścili, sięgnął w zanadrze kimona i wyjął glejt, opatrzony podpisem i pieczęcią Hidetady. Machnął dokumentem w powietrzu, „zatem ucałował go i nad głowę wznosił, protestacją czyniąc z świadectwa wzywając w obliczu gwałtu, którego padł ofiarą”. Ten teatralny gest wywołał natychmiastowy skutek, każdemu bosmanem, kto by się targnął na posiadacza takiego glejtu, groziła kara śmierci. Napastnicy pobledli, schowali miecze do pochew i drżąc przed gniewem szoguna, czym prędzej zbiegli na brzeg.

Adams nader roztropnie przymknął oko na ten niemiły incydent i pod koniec marca 1617 roku popłynął do Kochinchiny. Po samotnym trzytygodniowym rejsie zauważył, że woda zmętniała, przybierając ziemistą barwę. Był to nieomylny znak, że „Boży Dar” zbliża się do ujścia potężnej rzeki Quang Nam. Nazajutrz samo kapitan spostrzegł owo ujście i ostrożnie skierował w nie statek, płynąc pod prąd.

Miejscowego urzędnika, który miał pieczę nad tym odcinkiem rzeki, zaintrygowało przybycie Adamsa, zaczął go więc inwigilować o cel wizyty. Zapytany odparł, że przybył na polecenie przełożonego angielskiej faktorii w Japonii, aby wyjaśnić, co stało się z Peacockiem i Carwardenem. Dodał groźnym tonem, że

jeśli zabito ich „bez nijakiej racyjey”, to on sam „sprawiedliwości szukać zamierza”. Urzędnik rzucił półgębkiem jakąś wymówkę i odszedł, obiecując ustalić okoliczności zniknięcia obu Anglików. Wkrótce po tej rozmowie powitał Adamsa sekretarz miejscowego władcy i również spytał go o powód wizyty. Tym razem Adams wyraził się bez ogródek. „Oznajmiliśmy mu... [że] przybywamy z rozkazu Króla Anglijej, iżby dociec, jaki też los mógł spotkać dwóch przysłanych tutaj Anglików... zasłyszeliśmy bowiem, jakoby ubitymi byli, lecz jaką modą stać by się to miało, wciąż nam nie wiadomo”. Sekretarz uprzejmie go wysłuchał, po czym z udawanym oburzeniem umył ręce od całej tej sprawy, stwierdzając, że Peacock i Carwarden „niefortunnym trafem utonęli, łódką płynąc”.

Adams nie wątpił, że rozmówca wie coś więcej, lecz sekretarz uciszył go i radził nie wnikać w owe delikatne sprawy. „Przeszło minęło — rzekł — i nie ma co dalej tego rozczasać”. Anglik nalegał jednak, rozwścieczony jego lekceważącym sposobem bycia. Wywołało to nieoczekiwaną reakcję. Sekretarz uniósł się raptownym gniewem i oświadczył, że „starszy z tych dwóch jegomościów nie szczędził słów wzgardliwych a wyniosłych, za nie siebie mając króla tutejszej krainy”. Zrozumiawszy, że powiedział za dużo, ugryzł się w język i odmówił dalszych informacji. Odszedł, utwierdzając Adamsa i Sayersa w przekonaniu, że istotnie kryje się za tym wszystkim jakaś niegodziwość.

W następnych dniach Adams wypytał miejscowych kupców o los Peacocka i Carwardena. Na podstawie licznych opowieści zdołał w miarę wiarygodnie zrekonstruować przebieg wydarzeń. Otóż Peacock wybrał się zapewne w górę rzeki, znechęny widokami udanych transakcji, i zamieszkał u japońskiego kupca imieniem Mangosa. Zachowywał się on życzliwie, w rzeczywistości był jednak płatnym mordercą, któremu miejscowi urzędnicy zlecili usunięcie Peacocka. Przyczyn łatwo udało się dociec: byli zaszokowani nieustannym pijaństwem Anglika i urażeni jego przechwałką, że angielska flota może sparaliżować życie w Kochinchinie, wprowadzając blokadę wszystkich portów. Nie wiadomo dokładnie, jaką zginął śmiercią, chociaż Cocks wspominał później pogłoskę — prawdopodobnie przywiezioną przez Adamsa — jakoby „zdradziecko go napadnięto... [i] w wodzie harpunami ubito, jako ryby ościeniem się kłuje”.

Drugi z Anglików skończył mniej tajemniczo. Kiedy Peacock ruszył w górę rzeki, Walter Carwarden pozostał u jej ujścia i zapewne dowiedział się od miejscowych kupców o zamordowaniu

przyjaciela. Przerażony, że czeka go podobny los, uciekł małą łódką, którą niestety przewrócił potężny szkwał. Carwarden utonął, zanim zdołał dotrzeć wpław do brzegu.

Adams groził wprawdzie zemstą, gdyby się okazało, że któregoś z Anglików zabito, lecz doskonale wiedział, jak czcza jest to groźba. Nie miał też szans odzyskać góry srebra, którą przywieźli z sobą do Kochinchiny dwaj faktorzy, znikło bowiem bez śladu. Kolejną złą nowinę przywiózł z wybrzeża Sayers: przy próbie kupna jedwabiu ukradziono mu wszystkie pieniądze. On i Adams uznali, że szczęście im nie sprzyja, i z ciężkim sercem postanowili wrócić do Hirado. Wiadomości, które przywieźli, z ponurą rezygnacją wysłuchał Cocks i topniejąca garstka jego podwładnych.

Pod nieobecność Adamsa handel szedł niesporo, toteż Cocks coraz więcej czasu poświęcał pielęgnowaniu drzewek owocowych i złotych rybek oraz komponowaniu barwnych listów, a także wpisów w dzienniku. Pewnego dnia ku jego zdumieniu Neelson przyniósł do faktorii ogromną drewnianą atrapę członka męskiego, śmiejąc się w kulak. Zapytany przez Cocksą, skąd ją ma, wyjaśnił, że przypadkiem natrafił na „ołtarz bożka starożytnego, którego Priapem zowią, czyli bogiem rozpusty, a który rodłem wielkim jest obdarzon”. Członek ten otaczały uwielbieniem kobiety, pragnące zająć w ciążę. Miały one zwyczaj chodzić w procesji wokół ołtarza, „kutasy drzewniane dzierżąc... na podobieństwo męskiego przyboru utoczone”. Neelson szybko pojął, że taki drewniany członek byłby wspaniałą ozdobą faktorii w Hirado, kupił więc od zdumionych dam jeden okaz.

Wysłuchawszy tej anegdoty, Cocks przypomniał sobie ołtarz płodności, który widział niegdyś we Francji, gdy na polecenie sir Thomasa Wilsona podróżował do Bayonne. Na ołtarzu tym również „narząd wielki się wznosił... do którego niewiasty wszystkie niezaciężne pielgrzymowały”. Kobiety te uroczystym krokiem podchodziły do penisa i ostrymi nożami „skrzybotały, czy jak kto woli zdrapywały zeń warstewkę cieniuchną, iżby potem do niego ją wprószyć a popijać”.

Chociaż w roku 1617 nękały Anglików coraz poważniejsze trudności finansowe, Cocks nie tracił nadziei, że zdoła jeszcze zrobić z faktorii w Hirado bajecznie zamożną firmę. Od dawna był w przekonaniu, iż jedyna droga do tego celu prowadzi poprzez handel z Chinami. Już w pierwszym liście do londyńskiej dyrekcji, napisanym w roku 1614, zaproponował nawiązanie



Zdumiony widokiem japońskich świątyń i kaplic (na rycinie zapewne Honna-ji koło Kioto), Richard Cocks stał ich barwne opisy przyjaciółom w Anglii. Krol Jakub nie dał im wiary i orzekł, że są to „najczelniejsze łgarstwa, jakie w życiu okazyją miał słyszeć”.

stosunków z dynastią Ming. „Kto nie szuka — stwierdził — ten i nic nie zyska”. Od nazbyt dawna polegał w chwilach kryzysu na Williamie Adamsie, postanowił więc dla odmiany zrealizować jeden z własnych pomysłów. Wysoko jednak zawiesił sobie poprzeczkę. Handlować z Chinami było znacznie trudniej niż z Syjaniem czy z Pattani, ponieważ pekińscy mandaryni karali to śmiercią. Cocks mógł zdobyć chińskie jedwabie jedynie przez pośredników.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Li Tan, od którego angielska faktoria wynajmowała niegdyś dom, okazał się skory do pomocy. Ten bogaty, wpływowy przywódca niewielkiej chińskiej kolonii osiadłej w Hirado, pozostawał w dobrych stosunkach z Anglikami i należał do ich najwierniejszych klientów. Często odwiedzał faktorię, nierzadko też przysyłał żywność i tkaniny w prezencie dla Cocks'a i reszty. Przypieczętowali tę przyjaźń, gdy Cocks na prośbę Li Tana został ojcem chrzestnym jego nowo narodzonej córki i dał jej imię Elizabeth.

Nie wszyscy jednak byli tak jak Cocks przekonani o uczciwości i prawości Chińczyka. Pewien Holender pisze o nim, że jest to „przechera”, który — dodaje wyraźnie podejrzliwym tonem — ma wspaniałe domy w Hirado i w Nagasaki, a także „żon urodzawych kilka i dzieci gromadkę”. Inni twierdzili, jakoby Li Tan był w sprawach finansowych absolutnie niegodny zaufania i zdecydowanie przeceniał swoje wpływy wśród kupców ze wschodniego wybrzeża Chin. Cocks puszczał mimo uszu te krytyczne sądy i brał zapewnienia Li Tana za dobrą monetę. Zdażył już wysłać do londyńskiej dyrekcji Kompanii list, w którym wyrażał „wielką nadzieję, iż z handlem do Kitaju dotrzeć się uda”. Przekonany, że tym razem nareszcie dokona się przełom, postanowił zaryzykować resztkę funduszy faktorii, aby z Chin dynastii Ming sprowadzić jedwabie. Wyplacił więc Li Tanowi zaliczkę w wysokości tysiąca pięciuset funtów, choć faktoria nie bardzo mogła sobie pozwolić na tak niebotyczny wydatek. Dał też Chińczykowi kosztowne prezenty.

Wiadomość o brawurowych transakcjach Cocks'a zawiózł do Bantamu Richard Wickham, który wiosną 1617 roku popłynął na lawę na pokładzie „Rady”, statek ten wracał już bowiem do Anglii. Cocks właśnie Wickhamowi zlecił zdanie sprawy z tego, co dzieje się w Hirado, sądząc, że rozeznaje się on w sytuacji Kompanii lepiej niż inni. Posłaniec wywiązał się z zadania aż nazbyt gorliwie: skorzystał z okazji, żeby poddać zwierzchnika miążdzącej krytyce, atakując wszystkie jego poczynania i cechy, począwszy od sposobu gospodarowania pieniędzmi, a skończywszy na łatwowości i głupocie.

Tyrada Wickhama przeciw Cocksowi wywołała w Bantamie życzliwy rezonans. Nowym kierownikiem tamtejszej faktorii był niejaki George Ball. Ten szemrany osobnik z wielką przyjemnością podgryzał równych sobie rangą. Uważał Cocks'a za starego gadulę i już wcześniej wytknął mu skłonność do zbytowego rozpijania się, stwierdzając: „W waszmościnych listach słów jest obfitość, lecz treści ni na lekarstwo; są one długie, aliści niemasz w nich nic prócz czczej paplaniny, bynajmniej nie licującej ze stanowiskiem, wiekiem i doświadczeniem Waszmości”. Podobnie wyraził się później król Jakub I, który co prawda z zainteresowaniem przeczytał jeden z listów Cocks'a, ale „nijak nie mógł dać wiary, iż rzeczy w nim opisane istotnie się zdarzyły” i orzekł, że są to „najczelniejsze łgarstwa, jakie w życiu okazyją miał słyszeć”.

Ball wysłuchał zarzutów Wickhama przeciw Cocksowi z mieszaniną niesmaku i rozkoszy, po czym wysmażył jadowitą dia-

trybę, odsadzając w niej od czci i wiary metody, charakter, umiejętności i uczciwość człowieka, któremu podlegali wszyscy angielscy faktorzy w Japonii. Jeden egzemplarz tego raportu wysłano do Londynu na adres sir Thomasa Smythe'a, a drugi do Hirado. Cocks przeczytał go ze zgrozą i niedowierzaniem. List zaczyna się od szablonowych „pозdrowień z serca płynących” i powitań, lecz szybko wpada w ton złośliwych inwektyw. Ball oznajmia Cocksowi, że od dawna podejrzewa go o skłonność do „wielkiej popędliwości w namiętnościach i pożałowania godnej powolności w myśleniu”; zasłyszawszy od Wickhama, jak niewydarzonym szefem faktorii jest Cocks, uznaje to za potwierdzenie swoich najgorszych obaw; nadsyłane z Hirado raporty pełne są błahostek i plotek, za to liczb w nich niewiele, a postępowanie Cocks'a jako głównego fatora graniczy z nieudolnością; musi on być chyba „ze szczętem zaślepion, ile że ludzi bynajmniej zaszczytu tego niegodnych na stanowiska wynosi”; nadmiar złego — szydlerczo dodaje Ball — korzysta z rad osobników, którzy „najradziej gardło by mu poderżnęli”. Przedmiotem najzjadlejszej napaści jest jednak sposób, w jaki Cocks próbuje nawiązać wymianę handlową z Chinami, padając — jak twierdzi kierownik bantamskiej faktorii — ofiarą podstępny Li Tana, „ministra szalbierstw wszelkich”. Ball surowo karci Cocks'a za to, że napelniał on srebrem kieszenie starego oczajduszy.

W liście do sir Thomasa Smythe'a wyraża się jeszcze ostrzej, twierdząc, jakoby Cocks zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. „Gdy imaginacją swą aż hen, ponad księżyc zamierzył — pisze — w oczekiwaniu cudów niebywałych rozum jego tak grubym bielmem się pokrył, że zapewne nie wcześniej błąd swój dojrzy, aż stratę poniesie”.

Choć Ball jest w swoich ocenach przesadnie surowy, nie całkiem mijają się z prawdą. Niepotrzebnie krytykuje sposób, w jaki rozliczono rejs „Goździka”, ponieważ sam Cocks już wcześniej przekonująco wyjaśnił, czemu dziennik okrętowy jest niekompletny. Nieuzasadnione są też pretensje o awans Eatona. Cocks miał do wyboru zaledwie siedmiu ludzi, a Eaton był niewątpliwie jednym z najbardziej kompetentnych. Natomiast najpoważniejszy zarzut Balla, jakoby Cocks wykazał nadmierną łatwowierność w stosunkach z Li Tanem, był w znacznej mierze słuszny. Kierownik faktorii zbyt łatwo zaufał Chińczykowi, który więcej złożył obietnic, niż zamierzał dotrzymać. W jego bezdennych kieszeniach Anglik zaprzepścił mnóstwo pieniędzy i niematerialnych podarunków, nie zdając sobie sprawy, że Li nie ma żadnego inte-

resu w tym, aby angielscy kupcy zdobyli przyczółek w Chinach, utraciliby wtedy bowiem monopol na handel z tym krajem. Nawet gdy jego szalbierstwa stały się całkiem oczywiste, Cocks trwał w przeświadczeniu, iż tylko za pośrednictwem Li Tana uda się może nawiązać z Chinami stosunki handlowe, dla których „wszytcy tyleśmy sobie trudu zadali”.

Kiedy Cocks przetrwał już zarzuty Balla, wystosował do Smythe'a długi list, odpierając wszelkie oskarżenia i przestrzegając sir Thomasa, aby nie wierzył wszystkiemu, co pisze kierownik bantamskiej placówki. „Nieżyczliwi mi ludzie — napisał — nie szczędzą zachodu, iżby oczernić mię w oczach waszych dostojności, celuje w tym zaś niejaki Imć Ball”. Oświadczył, że zawarte w liście Balla pomówienia „śledzienniczym tchną jadem”, i dodał, iż chętnie wróciłby do Anglii i osobiście odpowiedział na oszczerstwa. „Najlepiej postąpię, we własnej sprawie przemawiając, i oby jeno Bóg nienazbyt rychło zbawił mię żywota, a ojczyznę mą Angliją uźrzeć jeszcze dozwolił”. Lecz burza, którą rozpętał Ball, chwilowo ucichła, toteż Cocks pozostał w Hirado. Napaść Balla była jednak poniekąd usprawiedliwiona, posiadała więc w umysłach londyńskich dyrektorów ziarno zwątpienia. Cocks stanął natomiast w obliczu problemu, jak ma potraktować Wickhama po jego powrocie do Japonii.

ZERWANA PRZYJAŹŃ

WRÓCIWSZY do Hirado, Richard Wickham sprawił Cocksa wi jeszcze jedną, ostatnią już niespodziankę. Oznajmił mu mianowicie, że ma serdecznie dosyć Japonii i po prawie pięcioletnim pobycie dojrzał do tego, aby pożegnać się z kolegami.

Mógł wyjechać kilka lat wcześniej, ponieważ kapitan Sarris na odjeźdnym pozwolił mu wrócić, kiedy sam zechce. Wickham chciał jednak najpierw się wzbogacić, nim zaś zgromadził wystarczającą fortunę, aby po powrocie do Anglii mieć zapewnić wszelkie wygody, nastąpił rok 1618. W liście do matki oświadczył, że opuszcza Japonię z powodu „krzywd i udręk od wrogów znanych”. „Wszakżem był ci obiecał, najczulsza z matek — dodał raczej z poczucia odpowiedzialności niż ze szczerego serca — wrócić, zanim trzy lata przeminą”. Termin ten dawno już upłynął, lecz Wickhamowi bynajmniej nie było pilno wsiąść na któryś z wcześniej powracających statków. Dopiero po krótkim pobycie w Bantamie ogarnęła go nagle tęsknota za ojczyzną.

Wysłał jeszcze parę innych listów do rodziny, zawiadamiając ją o swojej decyzji. Poczucie taktu nigdy nie należało do mocnych stron Wickhama, toteż jego korespondencja utrzymana była w nieprzyjemnie ostrym tonie. Łajał krewnych za to, że przez cały czas, jaki spędził na obczyźnie, nie dostał od nich ani jednego listu. „Dziw to zaiste — stwierdził — iż rodzice i przyjaciele bliższe ze szczerem o mnie przypomnieć potrafią”. A choć wcale nie pragnął „tak dobrej a kochającej matki turbować”, wstrząśniety był jednak tym, że „przez lat siedm ni razu” do niego nie napisała.

W liście do ciotki wyraża się jeszcze bardziej bezpośrednio, karcąc rodzinę za to, że przez cały okres pobytu w Japonii nie zaszczyliła go ani słowem, „co mniemać mi każe, iż za umarłego mnie poczytują, nieładno uwierzyć bowiem mogę, że z innej jakowejś przyczyny na niepamięć mię skazali”. Prosił, aby ciotka przekazała najlepsze życzenia jego siostrze, „jeśli są jeszcze wśród żywych” — dodał znacząco.

Jego planowany powrót do Londynu napawał Cocksa głęboką troską. Kierownik faktorii w Hirado raz już ucierpiał z powodu niezyczliwości Wickhama, toteż obawiał się, czy agent ten nie sechce znów go oskarżyć wobec sir Thomasa Smythe'a, z którym był w przyjaźni. Otóż Wickham to właśnie zamierzał uczynić. Obiecał powiadomić londyńskich kupców o „nieporządkach i błędach wielu przez lat owych kilkoro popełnionych, z wielką dla handlu wschodnioindyjskiego szkodą i ku nacyi naszej pohańbieniu”.

Kto jak kto, ale Wickham musiał być straszliwym hipokrytą, żeby w ten sposób krytykować Cocksa. Sam przecież bez najmniejszego zapalu troszczył się o dobro Kompanii Wschodnioindyjskiej, a jego prywatny handel mocno zaszkodził interesom faktorii. Mimo to było pewne, że w Londynie wysłuchają go z uwagą, w wyniku czego Cocksowi i pozostałym faktorom mogło grozić odwołanie do Anglii i niełaska. Kompania zainwestowała w faktorię znaczne sumy i należało liczyć się z tym, że zechce poszukać kosztów ofiarnych, aby zwalić na nich winę za wszystkie niepowodzenia. Los jednak przy tej akurat okazji uśmiechnął się do Cocksa. Gdy tylko Wickham przybył do Bantamu, kończąc pierwszy etap długiej podróży do kraju, zaszkodziło mu tamtejsze niezdrowe powietrze. Opadł z sił, zaczął trząść się w ataku febry i w końcu musiał się położyć do łóżka. Przez cały pobyt w Japonii zdrowie mu dopisywało, teraz zaś dopadł go tyfus, malaria i „krwawa biegunka”. Niebawem wyzionął ducha, zabierając do grobu wszystkie zarzuty pod adresem Cocksa.

Gdy zjawili się wykonawcy testamentu, aby policzyć jego pieniądze i oszacować resztę majątku, wycenili go na oszalamiającą sumę tysiąca czterystu funtów. Zrozpaczona matka, mocno już postarzała pani Wickham, ze zdumieniem dowiedziała się, jak wielką fortunę pozostawił zmarły syn. Na wieść, że uczynił ją główną spadkobierczynią, jej łzy szybko obeschły. Udała się prosto do biura Kompanii Wschodnioindyjskiej, aby upomnieć się o należne pieniądze. Dyrektorzy odpowiedzieli jednak, że Wickham dorobił się na prywatnym handlu, i nie chcieli wypłacić ani pensa. Starowinka przez sześć lat z okładem walczyła o swoją sprawę, która trafiła w końcu aż do Sądu Najwyższego. Upór ten ostatecznie się opłacił: Kompania skapitulowała wreszcie i wypłaciła zaległą kwotę. Pani Wickham po długim oczekiwaniu doszła więc do ogromnej zamożności.

Dzięki zniknięciu Wickhama — najpierw w Japonii, a potem ze świata żywych — Cocks mógł znów oddać się gorączkowej

działalności towarzyskiej, nie obawiając się, że ktoś na niego doniesie. Adams wrócił do swojej wiejskiej posiadłości, żeby побыć z rodziną, po czym odbył dwa starannie zaplanowane prywatne rejsy do Kochinchiny i Tonkinu (dzisiejszego Wietnamu). Tymczasem Cocks nadal wydawał częste kolacje i zapraszał wielu możliwych z Hirado do faktorii na przyjęcia. Imprezy te zawsze były huczne, lecz stały się jeszcze hałaśliwsze, odkąd gospodarz zaczął samodzielnie pędzić „anyżówkę wyborną” – mocny trunk, gwarantujący szybkie i głębokie upojenie. Angażowano też coraz liczniejsze tancerki i zwykle zapraszano „śpiewaka ślepego, co na skrzypkach przygrywał”. Cocksowi zależało bowiem, żeby goście „ubawili się do syta”.

Przyjęcia te były wprawdzie przejawem rozrzutności, zarazem jednak służyły pewnym praktycznym celom. Cocks zbierał dzięki nim wiadomości i plotki, rekonstruując z nich wydarzenia, które miały miejsce w innych krajach Wschodu. Podczas jednego z bankietów zasłyszał, jakoby pewien angielski faktor z Syjamu z powodu przewlekłej samotności całkiem postradał rozum, zaatakował więc holenderskiego kupca, związał go sznurem i ołwieścił, że jest to jego prywatny jeniec. Z kolei w Kambodży jeden z faktorów zupełnie oszalał od tropikalnych upałów i nieustannej nudy. „Bezpczytelnym humorem ogarnion – pisze Cocks – za bić się zamierzył strzałem z pistoletu, dwójkiem kul nabitego”. Okazał się wszelako marnym strzelcem, bo kule ominęły ważne narządy wewnętrzne, natomiast przeszywający ból, którego przy tym doznał, nareszcie wyrwał go z odrętwienia.

Z Anglii za pośrednictwem portugalskich i holenderskich kupców docierały niewiarygodne, wręcz groteskowe wiadomości. Cocksowi doniesiono, jakoby „w Anglii krzyż olbrzymi z koroną cierniową a gwoźdźmi objawił się na firmamencie”. Na jego widok król Jakub wraz z całym dworem wpadł w panikę, „rozcili się więc twarzami na ziem i hołd prognostykowi oddali”. Pewnego katolickiego księdza, który wykpiwał to nabożeństwo, spotkał okrutny los: „Żrenic oboje z głowy mu wypadło, zaczęto umarł wnet na oczach tłumy”.

Wiadomości z Jawy i Wysp Korzennych były wprawdzie mniej sensacyjne, lecz o wiele bardziej niepokojące. Otóż holenderscy kupcy wykazywali rosnącą agresję, wymierzoną nie tylko w tubylczych wodzów, lecz i przeciwko angielskim konkurentom. Wygnali ich z obfitującej w goździki wyspy Ambon, po czym wzniesli na niej system umocnień, żeby uniemożliwić wszelkim intruzom kupowanie przypraw. Holendrzy z pół-

skiej wyspy Seram poprzysięgli zatopić każdy statek angielski, który spróbuje tam handlować. Na innych wyspach z archipelagu Moluków wymusili monopol na handel przyprawami. „groźąc tamtejszym kacykom głów utratą, jeśli by z Anglikami znosić się śmieli”. Jeszcze bardziej zatrważająca sytuacja panowała w najbogatszym ze wszystkich „spichlerzy korzennych”, a mianowicie w archipelagu Banda. Podróżnicy angielscy po raz pierwszy odwiedzili to skupisko aromatycznych wysp w roku 1603 i szybko zawarli pakt przyjaźni z tubylczymi plemionami. Już jednak Holendrzy usiłowali wygnać ich stamtąd raz na zawsze, wznosząc warowne szczyty i zmuszając miejscowych wodzów, żeby zrzekli się wszelkich praw do zbiorów muszkatu.

Garstka awanturników pod mężnym dowództwem Nathaniela Courthope'a przysięgła utrzymać się na wyspach Banda, niebawem jednak stanęła w obliczu straszliwej nowej broni. Holendrzy, którzy od dawna podziwiali sprawność bojową Japończyków, zaczęli formować z nich oddziały zaciężne.

Anglik John Alexander miał nieszczęście wpaść w ręce japońskich najemników. „Uprawdzili go... w góry... ręce związawszy, z z tyłu za nim czterech Japończyków z mieczami obnażonymi postawiono”. Szybko przekonał się, że samurajowie są nieustraszeni, a w walce wykazują się mrozącą krew w żyłach skutecznością, nieomylnie wykonywali rozkazy i zabijali bez cienia wahania. Nieszczęsny jeniec zadrżał na widok ostrych kling, pewien, że wkrótce zginie gwałtowną śmiercią w wonnych górach archipelagu Banda. Szczęśliwym dla niego trafem najemnicy wpadli w zasadzkę, zastawioną przez liczną grupę tubylców, którzy odprawdzili ich z powrotem na brzeg. Japończycy nie chcieli jednak dobrowolnie wydać jeńca, chociaż tubylcy mieli przewagę liczebną i byli lepiej uzbrojeni w broń palną. „Do łodzi swej go cisnęli z rękami i nogami spętanymi, do ładowni zepchnęli i butami po nim deptali, przyodziewek mu z grzbietu zdartyszy”. Alexandra uwolniono dopiero po długich negocjacjach.

Angielskich statków Holendrzy w tym burzliwym okresie nie przepalali, zajęci atakowaniem portugalskich i hiszpańskich. Lecz wydarzenia na wyspach Banda spowodowały wzrost napięcia na całym Wschodzie, aż w roku 1617 na wodach tego archipelagu holenderski okręt napadł angielskiego „Łabędzia”. Doszło do zaciętej bitwy, a w wyniku kanonady kilkudziesięciu angielskich marynarzy odniosło ciężkie obrażenia. Niektórych tak poraniły siekańce, że wykrwawili się na śmierć. Inni „ręce a nogi postradali i jęli się żegnać z życiem, jeśli nie od razu wyzionęli



Holendrzy podziwiali sprawność bojową samurajów i werbowali spośród nich najemników do walk z Anglikami na Wyspach Korzennych. Ci srodzy wojownicy zabijali bez wahania, z mrozącą krew w żyłach skutecznością.

ducha". Kiedy na „Łabędziu” ustał wszelki opór, niedobitków zakuto w kajdany, zawieziono na wyspy Banda i wtrącono do lochów. Harnando Ximenes, hiszpański tłumacz Cocks'a, opowiadał swojemu chlebodawcy, że „Olendrowie srodze naszymi Anglikami pomiatają”. Był to jaskrawy eufemizm: angielskich jeńców torturowano, głodzono i przykuwano pod wylotami sisek, „z których nocą łajno olenderskie z uryną zmieszane na głowy im ciekło”.

Cocks oburzony był tymi napaściami, wierzył jednak, że w Hirado do niczego podobnego nie dojdzie. Pozostawał w dobrych stosunkach z Holendrem Specksem i nie wyobrażał sobie, żeby między dwiema faktoriami, oddalonymi od siebie o nie wiele ponad sto metrów, mogła kiedyś wybuchnąć wojna. Ufność ta w znacznej mierze opierała się na tym, że szogun pod karą śmierci zabronił prowadzenia na japońskiej ziemi jakichkolwiek działań zbrojnych, była też jednak mocno podbudowana głęboką przyjaźnią Cocks'a ze Specksem. Tych dwóch zawsze łączyla serdeczna więź, toteż nadal zapraszali się nawzajem do

stołów, obficie zastawionych jadłem i napojem. Pogodni i beztroscy, nieskorzy do zwady, z radością wymieniali uprzejme gesty: wysyłali listy do Bantamu, przekazywali wiadomości i wzajemnie się pozdrawiali salutami z armat. Cocks pozwolił nawet kiedyś Speckswi przewieźć na Jawę wielki zapas hebanu, użyczając miejsca w ładowni „Hosiandera”, który właśnie ruszał w powrotny rejs.

O współpracy tej dowiedziano się niebawem w Bantamie. Tamtejsi Anglicy zebrali w kontaktach z holenderskimi sąsiadami zupełnie inne doświadczenia. Zgryźliwy kierownik faktorii, George Ball, potępił uczynne zachowanie Cocks'a jako „występek obmierzły”, uznając je za kolejny dowód jego nieudolności. Ball nigdy jednak nie był w Japonii, nie miał więc pojęcia, jak ważne jest zarówno dla Holendrów, jak i dla Anglików podtrzymywanie serdecznych kontaktów. Nie zdawał sobie sprawy, że w Hirado — małym porcie, leżącym z dala od głównych szlaków — panuje zupełnie inna sytuacja niż w Bantamie, a tamtejsi faktoryzy udzielają sobie nawzajem informacji. Nie dostrzegał też innej jeszcze, mniej uchwytywnej przyczyny, dla której Anglicy i Holendrzy osiadli w Japonii woleli pozostawać ze sobą w dobrych stosunkach. Mieszkali przecież na końcu świata — samotni, odizolowani, niemal zupełnie odcięci od rodzinnych krajów. tęsknota za ojczyzną była palącym problemem, musieli więc przyjaźnić się z sąsiadami, żeby nie oszaleć.

Dowiedziawszy się, że Cocksowi za jego uczynność udzielono nagany, Specx zachował się w sposób niezwykle: napisał do Juliana Jourdaina, nowo mianowanego „komendanta” wszystkich Anglików na Wschodzie, stając w obronie przyjaciela. „Z łałem wysłuchałem nowiny tej, iżżeś WMOść w liście do Kapitana Richarda Cocks'a dał wyraz nieukontentowaniu z przyjaźni i pomocy nam okazanej” — oznajmił, dodając, że ani mu się śni podchodzić Anglików podstępem czy utrudniać im handel. Zapewnił Jourdaina o „szczerzej swej gotowości świadczenia usług podobnych, jeśliby zaszła potrzeba, nijakich wstrętów nie czynić Waszej łaskawości obiecując”. List kończył się nader istotną radą: „Jako sąsiadom i przyjaciółom pomocy odmawiać nam nie lza, gdy drugi o nią prosi”.

To, że Specx ujął się za angielskim kolegą, może budzić podziw, lecz przyjaźń, jaką darzył Cocks'a, miała zostać wystawiona na jeszcze cięższe próby. Póki siły obu faktorii były mniej więcej równe, rywalizacja między nimi nie przekraczała pewnych granic. W czerwcu 1618 roku Cocks otrzymał jednak niepokojącą no-

winę. Otóż król Figen, dotychczas absolutnie bezstronny wobec Anglików i Holendrów, raptem podarował tym ostatnim całą ulicę, liczącą pięćdziesiąt domów. Mało tego: posłał brygadę robotników, aby pomogli nowym właścicielom zburzyć budynki i „wzniesć większe niżeli dotąd domostwo tudzież składy dwa”.

Nowina ta wtrąciła Cocksą w czarną rozpacz. Nie zdążył jeszcze dojść do siebie po tym, jak Hidetada zabronił mu handlować gdziekolwiek poza Hirado. Dopiero co ukończył list do sir Thomasa Smythe'a, w którym ubolewał, iż „nigdy jeszcze tak źle nie bywało, ile że władca przedawać a kupować w Japonii całej nam nie dozwala”. Coraz bardziej niepokoiły go też dobiegające z innych regionów Wschodu wiadomości o nasilających się atakach Holendrów na Anglików. Szczególną zgrozę wzbudziła w nim wieść, jakoby Niderlandczycy jawnie oskarżali króla Jakuba i o homoseksualizm, a pewna grupa holenderskich kupców zdołała angielską flagę i „ze wzgardą na strzepy ją podarła, iżby imi zadki sobie podetrzeć”.

Dowiedziawszy się o hojności króla Figena wobec Holendrów, Cocks dołożył wszelkich starań, aby ukryć głębokie zaniepokojenie. Specjalnie wybrał się nawet z wizytą i z podziwem zlustrował prace budowlane, które rozpoczął już Specx. Na widok rozmachu z jakim zaprojektowano nową faktorię, „ogromną zaiste”, wyciek zaniemówił. Stwierdził ze zdumieniem, że Holendrzy przy głównego gmachu wznoszą wiele innych budynków, prezentujących się równie okazale. Stawiali więc „rezydencją” z salą reprezentacyjną i szeregiem komnat mieszkalnych dla kupców, dwa magazyny, bramę z wartownią i gołębnik. Najbardziej imponujące wrażenie sprawiał kamienny blokhauz. Cocks zdał sobie sprawę, że dzięki rozbudowie faktorii Holendrzy będą mogli prowadzić handel w Hirado na zupełnie nowych zasadach, Anglicy zaś ledwie zdołają z nimi konkurować.

Miał się zresztą niebawem przekonać, że konkurencja handlowa stanowi jeszcze stosunkowo najmniejszy problem. Gdy koło północy ósmego sierpnia 1618 roku próbował mimo nieustającego nawet nocą upału zażyć nieco wytchnienia, doniesiono mu, iż z cypla nieopodal Hirado zauważono zbliżający się statek. Płynął wolno, ponieważ „skwar bezwietrzny panował”, a lekka brzoza ucichła zaraz po zapadnięciu zmroku. Po ciemku nie było widać, pod jaką żeglugę banderę, mówiono jednak, że jest to portugalski lub hiszpański przyz, zdobyty przez Holendrów, i to chyba po najjadłej bitwie, bo „maszt za burtę zwiśla obalon... cały zaś okręt srodze nadwerężonym się zdawał”.

Holendrzy bardzo rzadko wprowadzali do portu zdobyte statki. Cocks był więc mocno zaintrygowany. Wysłał Sayersa do holenderskiej faktorii, każąc mu ustalić pochodzenie przyzu i oznajmić Speckowski, że może skorzystać z angielskiej pinasy „gwoli pomocy w holowaniu, ile że okręt od lądu mało co już był oddalonym, a cisza panowała zupełna”. Na szczegółowsze wiadomości nie musiał długo czekać. Do jego drzwi zapukał lekarz z holenderskiej faktorii, prosząc o poufną rozmowę. „Odwiódź mię w sekracie — pisze Cocks — uwiadomijając, iż angielski jest to okręt, jeden spośród czterech, które Olendrowie wzięli ostatnimi czasy wposdle Moluków”.

Cocks był wstrząśnięty; do głowy mu nie przyszło, że to angielski przyz. Lecz nazajutrz rano otrzymał oficjalne potwierdzenie, iż statek został zdobyty po zacieklej bitwie morskiej, podczas której „moc ludzi wyróżnięto, resztę zaś w niewolę pobrano”. W południe Holendrzy zwrócili pinasę, zwięźle zawiadamiając, że „okręt angielski wojennym sposobem pojмали”. W sarkastycznym dopisku zawarli wiadomość dla Cocksą, iż „olenderska faktoria bez niczyjej pomocy do portu zprowadzić go zdołała”.

Cocks zdawał sobie sprawę, że sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji, a ponieważ Adamsa nie było w Hirado, postanowił działać sam. Udał się prosto do wysokiego urzędnika nazwiskiem Doi Toshikatsu i poprosił go o pomoc, chciał bowiem „nazajutrz jak najrańszą porą na pokład owego statku wnijsć”, a także ustalić, „czyli Olendrowie wrogami Anglików się mierzą”. Zamierzał po zgromadzeniu wszystkich niezbędnych informacji zwrócić się do szoguna z oficjalną skargą.

Zdobyty statek — „Bacność” — wprowadzono do portu w Hirado w biały dzień, ku nieokielzanej ucieście holenderskich zdobywców. Starali się oni wszelkimi sposobami poniżyć Anglików, wymieniając ich i drwiąc z nieszczęścia, w jakim się znaleźli. „Z wielkim animuszem okręt nasz wholowali — odnotował zgnębiony Cocks — palbę okrutną z harmat jego czyniąc”. Jacques'owi Speckowski nie udzieliła się prostacka radość pobratymców. Zdumiał się nie mniej niż Cocks i szybko przewidział, jakie problemy wynikną z takiego obrotu zdarzeń. Był zażenowany incydentem i pragnął dać wyraz ubolewaniu, wysłał zatem do angielskiej faktorii swojego tłumacza, „iżby o głębokim swym żalu mię upewnić” — czytamy u Cocksą. Specx dodał też, że gotów jest natychmiast zwrócić statek.

Cocks był całą tą aferą tak zdruzgotany, że szorstko odrzucił propozycję. Zmartwiony jego reakcją Specx „do angielskiego

domu własną osobą zawitał... słów uprzejmym nie szczędząc okręt zaś wydać mi obiecując wraz ze wszystkim, co się na nim mieści". Była to obietnica tyleż wielkoduszna, ile czcza. Statek miał burty podziurawione kulami armatnimi, a holenderscy zdobywcy „zawczasu skrzętnie go opróżnili", toteż z ładunku „nic się nie ostało".

Podczas tej rozmowy Cocks zachowywał się godnie i grał na zwłokę. Oświadczył Speckowskiemu, że jest mu „przykrym to, co się stało, i szkoda wielka, iż odstać się nie może". Szczególnie wzburzył go fakt, że Holendrzy wholowali przyz do portu na oczach miejscowej ludności. „Dość by im było okręt nasz i dobra z niego pobrać wszelkie — napisał — w kondycyjej tak oplakanej go nie sprowadzając". Speck mógł go za to jedynie przeprosić. Szczerze zmartwiony jego gniewną reakcją, oświadczył, że ładunek ze statku zabrano na polecenie zwierzchników z Bantamu. Cocks odpowiedział, że nawet podczas wojny obowiązuje kryterium moralności: „Widzi mi się, że panowie wasi z rabusiów pospolitych wolać brać wam każą — rzekł — Anglików, Hiszpanów, Portugalczyków i Chińczyków... bez nijakiego poszanowania łupiąc".

Speck cierpliwie go wysłuchał. Pragnąc odzyskać zaufanie Cocksowi, oświadczył mu, że nawet jeśli między Anglią a Niderlandami wybuchnie otwarta wojna, jego ludzie niekoniecznie będą się czuli tym związani, lecz „postąpią wedle mniemania swego". Te pojednawcze słowa tylko w niewielkim stopniu udobruchały kierownika angielskiej faktorii. Rozgoryczony i urażony, oznajmił, że Speck może zachowywać się przyjaźnie, jeśli ma ochotę „ja wszakże — powiedział — nie dbam o to wcale a wcale".

Japończyków z Hirado wypadki te zdumiały nie mniej niż Cocks. Zaczęli tłumnie przybywać do holenderskiej faktorii „wypytyując Olendrów, czemu Anglików wraz z flotą ich w niewolę wzięli, jako widziano". Holendrzy wyjaśnili, że postąpili tak, ponieważ Anglicy sprowadzali do Japonii broń i proch, od powiedz ta wprawiła jednak rozmówców w jeszcze większe pomieszanie. „Czemuż to? — spytał któryś. — Są li Angielczyści u was lennikami, że liczyć się muszą z waszymi rozkazami?" W tym Hirado tylko jeden człowiek nie był ani trochę zaskoczony. Brat króla Figena od kilku miesięcy bacznie śledził stosunki łączące Anglików z Holendrami, aż doszedł do wniosku, że przyjaźń tych dwóch nacji jest krucha i łatwo może ulec zerwaniu. „Rzekł mi — pisze Cocks — że dawno już był postrzegł, iż żywiliwość nasza wzajemna z ust radniej płynie niżli z serc, jako między sąsiady a przyjaciółmi powinna".

Cocks po kilku spotkaniach ze Specksem zwołał na nadzwyczajną naradę trzech pracowników faktorii, przebywających w Hirado — Nealsona, Sayersa i Osterwicka — chciał bowiem zdecydować, czy należy zwrócić się do szoguna z formalnym protestem. Zamierzał „skarżyć się na butę Olendrów, którzy nie dość, że ważyli się okręty angielskie pobrać w niewolę, to jeszcze jawnie do portu je wprowadzili na poharbienie nasze". Po krótkiej debacie stwierdzono, że tak rażącej zniewagi nie sposób puścić płazem. Postanowiono, iż Cocks „podróż ową długą a morską przedsięwzięć" w towarzystwie Adamsa i Nealsona.

W trakcie wszystkich dotychczasowych kryzysów Cocks i jego ludzie zwracali się do Adamsa. On jeden miał odpowiednie kontakty i dość dobrze znał język, żeby rozwiązywać problemy i naprawiać nadszarpnięte stosunki. I oto znów potrzebna okazała się jego pomoc. Anglicy postanowili udać się na dwór z delikatną misją, ale zdawali sobie sprawę, że nie zdołają uzyskać audiencji u Hidetady, jeśli nie wstawi się za nimi Adams. Lecz podjąwszy tę decyzję, znaleźli się w obliczu nie lada problemu. Otóż z Anjin samą niepodobna było się skontaktować, właśnie bowiem wyruszył do stolicy w służbie Holendrów: Speck zlecił mu misję, której celem było umocnienie stosunków z szogunem. Zdaniem Cocksowi zrobił to, ponieważ Adams był „jedynym instrumetem, po jaki Olendrowie sięgnąć mogą, iżby z majestatem w ich imieniu mediacją czynił".

Cocks mocno się tą wiadomością zaniepokoił. Wydawało się bardzo nieprawdopodobne, że Hidetada potraktuje serio protest angielskich faktorów, jeśli tuż przedtem odwiedzi go holenderska delegacja z Anglikiem na czele. Adamsa należało niezwłocznie powstrzymać. Nie było chwili do stracenia: wyruszył z Hirado przed jedenastoma dniami, miał więc niebawem znaleźć się na peryferiach stolicy. Cocks wynajął „barcę bystrą wielce" i pchnął gońca do Edo, z nadzieją, że posłaniec zdoła doścignąć Anjin Samę, zanim ten dotrze na dwór. Rozkaz brzmiał jednoznacznie: Adams ma „od nich [Holendrów] odłączywszy, przybycia mego czekać". Wyraźnie zabroniono mu „z poselstwem holenderskim przed obliczem cesarza stawać".

Tymczasem Cocks próbował zjednać sobie wpływowych dworzaków. Pozyskał dla swojej sprawy Maturę Nobutokiego — brata króla Figena, który osobiście przybył do faktorii w Hirado, aby bliżej się zapoznać z zażaleniami Anglików. Cocks powiedział mu, że zamierza oznajmić Hidetadzie, iż „Olendrowie popolicili są rabusie i morskie zbójce", prosząc władcę, aby obłożył

embargiem ich statki i towary. Nobutoki pochwalili ten plan i życzył Cocksowi powodzenia.

Zanim minęły dwa tygodnie od incydentu z „Baczością”, Cocks i Neelson wyruszyli do Edo. Zabrali ze sobą kilka sztuk akasamitu i atlasu w prezencie dla Hidetady. Zatrzymali się na krótko w porcie Shimonseki, gdzie powiedziano im, że Adams otrzymał wiadomość od Cocks’a i, jak pisze ten ostatni, „czekać mię w Kioto zamierza”. Lecz w Japonii po dobrych nowinach prawie zawsze następowały zle. Nie inaczej było i tym razem. Anjin Sama ani myślał zaniechać misji, do której naklonili go Holendrzy. Zobowiązawszy się zaprowadzić delegację Specksa przed oblicze szoguna, nie chciał łamać słowa. Nie tylko odrzucił prośbę Cocks’a, ale w dodatku przestrzegł go, że jego wyprawa do Edo od początku jest szaleństwem. Śmieszny był sam pomysł, żeby prosić szoguna o wymierzenie Specksovi kary za napastę, której dokonano na Malajach. Adams oświadczył Cocksowi, że jeśli złoży petycję, może wyrządzić angielskiej sprawie nieodwracalną szkodę.

Przeczytawszy odpowiedź Adamsa, Cocks wpadł w furję. „Ani bym zgadł, że dostanę odeń list ze zdrowym rozsądkiem i stosowną porą tak jaskrawie się rozmijający” — stwierdził. Szczególnie rozeźlony oświadczeniem Anjin Samy, iż „w służbie Kompaniję już nie pozostaje”, orzekł — i to nie po raz pierwszy — że Adams „ze szczętem zolendrzal”. Nie dostrzegł jak trafne i podbudowane doświadczeniem są rady Adamsa, który nieraz widywał u szoguna podobne delegacje portugalskie i hiszpańskie. Hidetada wszystkie odpisał z kwitkiem, mocno zirytowany, że zawracają mu głowę czymś, co zdarzyło się poza obrębem japońskich wód.

W drodze do stolicy Cocks napotkał niebawem poważniejszą przeszkodę. Zaledwie on i Neelson zdążyli wyjechać z Shimonseki, „wszczęło się ziemi niezmiernie zatrząsienie”: waliły się domy, a drzewa wyrывało z korzeniami. Zaraz potem nadciągnęły burze i rześiste ulewy. Dotarli do brodu w Ishibe, musieli — jak pisze Cocks — „wobec wód wezbrania na nocleg stanąć”. Gdy w końcu przeprawili się przez rzekę i ruszyli w dalszą podróż, w mieście Mitske napadli ich rozbisurmanieni wiosłarze. Po przybyciu do Oiso powalił Cocks’a straszliwy ból żołądka. „Za wzdęcia kolka okrutna mię chwyciła i uryny wstrzymanie, ażeby myśli, iż ducha niechybnie wyzionę”. Właściciel zajazdu bez śladu współczucia kazał Cocksowi się wynosić, Anglicy musieli więc poszukać innej kwatery.

Jak by nie dość było tych zmartwień, wkrótce znaleźli się w żenującej sytuacji, bo gdy tylko podjęli przerwana podróż, natknęli się na Holendrów, wracających z audiencji u szoguna. Cocks zachował się wobec nich lodowato. „Powitaniaśmy wymienili lada jakie — napisał później — zaczęliśmy ruszyć dalej”. Tuż potem dwaj Anglicy spotkali Adamsa, ten bowiem dyskretnie pozostał w tyle za resztą holenderskiej delegacji. „Od Edo mil dziesięć wyjechał mi naprzeciw” — czytamy u Cocks’a, którego gniew nieco złagodziła wiadomość o spodziewanych niebawem koniach i pieszej eskorcie. Z zadowoleniem usłyszał też, że Adams nieoczekiwanie postanowił cofnąć wcześniejszą odmowę i gotów jest razem z nim udać się na dwór. Anjin Sama nadal wprawdzie przekonany był o głupocie tego pomysłu, widział jednak, że Cocksowi nie da się wybić go z głowy. Wszelka krytyka byłaby daremna, rad nierad obiecał więc pomoc w załatwieniu audiencji u Hidetady.

W Edo trzem Anglikom zgotowano triumfalne powitanie. Król Figen z Hirado bawił akurat w stolicy, wysłał więc im na przeciw oddział włóczników, a syn i córka Adamsa, także obecni w mieście, wydali wspaniałą bankiet. Odbywał się właśnie wielki zjazd japońskiej arystokracji, która przybyła, aby odwiedzić kaplicę szintoistyczną, w której przed rokiem pochowano Ieyasu. W świątyniach, na ulicach i w ogrodach panował tłok. Anglicy wzięli udział w obchodach, biesiadując wraz z dworzakami i odwiedzając kaplicę. Jedyny smutny moment nastąpił, gdy podczas wizyty u króla Figena dowiedzieli się, że jest on ciężko chory na syfilis. „Osłabion był wielce — napisał Cocks — i tak francuzką chorobą przeżarty, że chyba niezadługo padł on opuści”.

Do miasta przybywało coraz więcej ludzi, aż wreszcie ulice wypełnił gęsty tłum. Pewnego dnia Anglicy ruszyli w ślad za liczną procesją do wielkiej świątyni Yemii Hachimana, boga wojny. „Zaprawdę mniemam, iż sto tysięcy z okładem mężów, niewiast i dzieci — pisze Cocks — udało się tam onego dnia gwoli nabożeństwa”. Było to malownicze widowisko, ponieważ wzdłuż trasy stał szpalerem aktorzy i komediani w fantazyjnych kostiumach. „Przed świątynią zasię czarownicy płci obojej tańczyli, gronami sokolniczych dzwonek na drągach pobrzękując”. Cocks’a zdumiała szczodrość pielgrzymów, którzy „tłumnie do pagody się cisnąc, jeden za drugim pieniądze w kapliczkę maluczką rzucali”.

Anglików spotkał ten zaszczyt, że pozwolono im odwiedzić grob Ieyasu, przy którym wartę trzymał cały poczet mnichów.

„Bardzo uprzejnie się wobec nas znalazłszy — stwierdza Cocks — wrota grobowca otwarli, wnieść nam pozwalając”. Był to jeden z najwspanialszych grobowców, jakie Cocksowi kiedykolwiek zdarzyło się oglądać — „dzieło cudne nad podziw”. Obok niego stał pomnik dwóch samurajów, którzy „żywota się zbawili, iżby szogunowi na tamtym świecie kompaniją trzymać”. Cocks wpuszczono nawet do świętego świętych — „tajnego miejsca, gdzie posąg nieboszczyka się wznosi, przede którym Japończycy wszyscy twarzami na ziemię kładą, hołd oddając”.

Adams co rano chodził na dwór w nadziei, że uda mu się pomówić z Hidetadą. Lecz szogun był zawsze zajęty — a to brał udział w uroczystościach, a to polował z sokołami na dzikie łabędzie. Po prostu nie miał już cierpliwości do Cocksów, toteż Adamsowi jako jego bynajmniej nieentuzjastycznemu orędownikowi odmówił posłuchania. W obliczu daremności misji cierpliwość obu Anglików także stopniowo się wyczerpała. „Kapitan Adams znów udał się na dwór, iżby wywieść się, czyli są dla nas jakie nowiny — pisze Cocks — aliści obejść się musiał tym, że radcy głowami mu skinęli”.

Cocks bał się, że Adamsowi nie uda się załatwić audiencji. Jakby gwoli potwierdzenia tych obaw siódmego listopada ukazał się na niebie złowieszczy znak: „Objawił się kometa, czyli gwiazda



Edo było wspaniałym miastem. Pałac szoguna (powyżej) stanowił największy kompleks budynków, lecz miasto obfitowało też w świątynie i wykwintne parki. W dni świąteczne gromadnie ścigali do nich arystokraci z orszakami sług.

plonąca, dni temu pięć albo sześć, przede świtem godzin kilkom — zanotował Cocks, dodając, że „tak blizki był słońca, iżśmy jeno ogon uźrzeli, niezmierniej jednakowoż długości”.

Nie mniej widowiskowe, lecz dużo bardziej przerażające okazało się kolejne trzęsienie ziemi, które nawiedziło miasto w godzinach porannych tego samego dnia. Wywołało ogólny popłoch: mieszkańcy w ucieczce przed spadającymi belkami wybiegli na ulice. Cocks przeżył już kilka trzęsień ziemi i miał nawet teorię, wyjaśniającą ich przyczyny. Spostrzegłszy, że zazwyczaj zdarzają się w porze przyływu, wywnioskował, iż „przy niskim wód stanie do pustych jaskiń popod ziemią moc wiatru nawiewa, któremu morze wydostać się potem nie dozwala, z czego wstrząśnienia owe się biorą, gdy wichur gwałtem zamknięty uścia dla się szuka”.

Następnie rozszalał się pożar, grożąc zagładą ocalałym budynkom. Neelson od pewnego czasu chorował na gruźlicę, lecz pragnąc zobaczyć, jak miasto obraca się w stertę popiołu, wspiął się na dach domu, w którym go umieszczono, „i w koszuli jeno a szlafroku godzin dwie albo i trzy przesiedział”. Drogo zapłacił za tę ciekawość, „z nagłą bowiem gorączki się wielkiej nabawił tudzież krwawej biegunki”. Wezwano nadwornych lekarzy szoguna, niewiele mogli jednak zrobić dla obniżenia temperatury lub uspokojenia niepohamowanego dygotu. Nie potrafili też uzec, czy wyniszczone alkoholem ciało pacjenta wytrzyma kolejny „nawał febryczny”.

Zamieszanie w Edo, wywołane najpierw przez świątynne uroczystości, a potem szaleństwo żywiołów, pokrzyżowało plany Cocksów i Adamsów. Hidetada odmówił im audiencji: ani trochę niezainteresowany rywalizacją między Anglikami a Holendrami, umył ręce od całej afery, stwierdzając, że to król Figen — nieuczestny syfilytyk — sprawiedliwości „uczynić winien zadość”. Przestrogi Adamsa w znacznej mierze okazały się więc słuszne, podobnie jak jego krytyka misji dyplomatycznej Cocksów. Ten ostatni z bólem przekonał się, że nie może już liczyć na protekcję szoguna. Natomiast Holendrów obojętność Hidetady ogromnie uradowała. Wiedzieli odtąd, że mogą napastować Anglików bez obawy przed karą.

Gdy Cocks wrócił do Hirado, doniesiono mu, że na całym Wschodzie stosunki między Anglikami a Holendrami dramatycznie się pogorszyły i narody te na dobrą sprawę pozostają w stanie wojny. Napięcie wzrosło, kiedy z Londynu wysłano liczną i doskonale uzbrojoną flotę. Jej dowódca miał rozkaz chronić angielskich

kupców w Azji. Admirałem tym był sir Thomas Dale — „jeroiczny lew”, który podczas służby w Niderlandach i Wirginii zasłynął z bezwzględnej brutalności. Zachwycony okazją do walki z Holendrami, wziął kurs prosto na Jawę. Jego armada górowała nad wrogiem zarówno liczebnie, jak i uzbrojeniem, ponieważ wiele holenderskich statków pełniło służbę w „spichlerzach korzennych”, postanowił więc to wykorzystać. Drugiego stycznia 1619 roku potężną salwą z armat rozpoczął bitwę. Wedle słów jednego z angielskich żeglarzy flota sir Thomasa Dale’a „takie Olendrom zgotowała śniadanie, iż pierzchną niechybnie, ni sekundy nie zwłóczyć”.

Holendrzy rzeczywiście uciekli, lecz bynajmniej nie ze strachu przed angielską artylerią. Popłynęli na wschód, aby nawiązać łączność z resztą swojej floty, po czym ze świeżym animuszem wrócili na pole bitwy. Tym razem spisali się dużo lepiej. Napadali na okręty, które wypadły z szyku, ścigali słabsze jednostki i w końcu zdołali rozproszyc wspaniałą armadę Dale’a. Jego strategia legła w gruzach. Załamany i upokorzony, popłynął wraz z resztą niedobitków do Indii, gdzie latem 1619 roku zachorował na malarię i zmarł. Drugiej eskadrze angielskiej powiodło się równie źle. John Jourdain, przełożony wszystkich Anglików na Wschodzie, poprowadził ją do Pattani, tam jednak czekały na nią holenderskie okręty wojenne. W starciu angielskiego dowódcę zabił strzelec wyborowy.

Do Cocks’a i malejącej garstki jego podwładnych wiadomość o tej katastrofie dotarła w sierpniu 1619 roku, kiedy do portu w Hirado triumfalnie zawinął holenderski „Angell”, przywoząc prócz zaopatrzenia dla faktorii holenderskiej trzech pojmanyh Anglików. Była to nader niepokojąca okoliczność. Holendrzy traktowali angielskich jeńców w sposób straszliwie brutalny: skuli ich wspólnym łańcuchem, bili i torturowali. W innych krajach Wschodu zdarzało im się oprowadzać schwytanych żeglarzy po ulicach i portach, aby zademonstrować tubylcom, jak niepodzielnie panuje Holandia na morzach i oceanach. Należało się liczyć z tym, że podobnie zachowują się w Japonii, gdzie tego rodzaju pokaz z pewnością wywarłby głębokie wrażenie na miejscowych władzach.

Cocks i jego ludzie sądzili, że mają niewielkie szanse uwolnić angielskich jeńców z „Angella”, ten bowiem zakotwiczony był akurat pośrodku zatoki. Lecz Adams postanowił działać. Chciał cierpieć na jakąś tropikalną chorobę, „ślabował” i „leków zatywał”, wstał z łóżka boleści i zaczął organizować śmiałą akcję ratowniczą. Jej plan zachował w całkowitej tajemnicy; nigdzie w swoich

pismach nie napomknął o tym, jak zdołał przepłynąć zatokę i dostać się na pokład holenderskiej jednostki, a potem zdjąć więźniom okowy. Jakoś jednak tego wszystkiego dokonał. Uwolniwszy dwóch spośród trzech pojmanyh Anglików, przywiózł ich do angielskiej faktorii.

Cocks z zakłopotaniem wysłuchał wiadomości o jego sukcesie, miał bowiem sobie za złe własną bierność. W liście do sir Thomasa Smythe’a opowiedział o tym incydencie z rzadką u siebie zwięzłością, wspominając tylko, że „William Gourden i Michael Payne dzięki pomocy Imc Adamsa na brzeg się salwowali”. Jeszcze mniej skłonny był opowiadać o wydarzeniach kolejnej nocy, kiedy to Anjin Sama uwolnił trzeciego jeńca — Walijczyka nazwiskiem Hugh Williams, którego nie zdołał oswobodzić podczas pierwszej próby. Sam Adams w typowy dla siebie sposób przemilczał swój czyn — tym bardziej bohaterski, że małały wskutek niego szanse przyszłych zleceń od Specksa i jego ludzi.

Holendrzy wpadli w furję na wieść o ucieczce więźniów i zażądali ich natychmiastowego wydania. Lecz Anglikom sprawiało wielką satysfakcję to, że nareszcie są górą, toteż stanowczo odmówili. Odpowiedź ta jeszcze bardziej rozwścieczyła Holendrów, którzy poprzysięgli za wszelką cenę odbić swoich jeńców. „Uzrawszy, jako prośbą ni groźbą odzyskać ich [Anglików] nie zdołają — napisał Cocks — zasadzki tajne na brzegu jeśli zastać, iżby siłą na powrót onych pojąć”. Nic to jednak nie dało, ponieważ więźniowie nie wychodzili za bramę angielskiej faktorii, zamkniętą na cztery spusty.

Specx i jego podwładni postanowili zatem urządzić przed faktorią demonstrację siły, w nadziei, że Cocks i jego ludzie dadzą się zastraszyć i ulegną. „Przyszli, iżby przede naszymi własnymi drzwiami wyzwanie nam rzucić — pisze zaniepokojony Cocks — obelżywymi słowy nas jątzać”. Do ludzi Specksa dołączyło kilkudziesięciu rozhukanych marynarzy z „Angella”, którzy robili, co mogli, aby sprowokować otwartą walkę, świadomi swojej ogromnej przewagi liczebnej nad garstką Anglików. Cocks stanowczo odmówił otwarcia bramy, ku wielkiemu niezadowoleniu zgromadzonego przed nią motłochu. „Tak ich to rozjuszyło, że ciźbą niezmierną na ląd wylegli, siłą w nasz dom wtargnąć a gardła nam poderznąć zamierzając”. Pod angielską faktorię ściągały kolejne fale napastników. Niepokój Cocks’a rósł, ponieważ każdy z jego ludzi miał wkrótce przeciwko sobie stu Holendrów. Na szczęście budynki otaczał mocny częstokół, zza którego stosunkowo łatwo było się bronić, natomiast przesko-

czyć go udaloby się tylko z największym trudem. Gdy jednak na brzeg przybywały coraz liczniejsze rzesze podochoconych alkoholem Holendrów, Anglicy zaczęli się obawiać, że koniec jest bliższy. Wyczerpani fizycznie i umysłowo, wiedzieli, iż prędzej czy później sama liczebność wroga przesądzi o ich zgonie.

Lecz szczęście raz jeszcze do nich się uśmiechnęło. Oburzona tą jawną anarchią, japońskie władze wysłały oddział wojska, aby obronił Anglików przed holenderskim motłochem. „Przybyli odsiecz nam niosąc” — napisał Cocks, który z ulgą patrzył, jak Japończycy rozpedzają tłum i przywracają porządek. Holendrzy musieli rzucić się do ucieczki.

Cocks uznał, że japońska interwencja położyła kres wybrkom Holendrów, toteż wieczorem spokojnie udał się na spoczynek. Okazało się jednak, że są to pobożne życzenia, a więc i radość przedwczesna. Nazajutrz o świcie przybyła na brzeg banda holenderskich marynarzy i zaskoczywszy Anglików zniemka, przedarła się przez bramę i wtargnęła do faktorii. „Dziesięciu chłopów w dom nasz się wdarło, w piki, miecze i katany zbitych... — pisze przerażony Cocks — ...zaczem Johna Coakera i drugiego z naszych ranili, mniemając, iż jednego zpośród ich współbraci są to zabójcy”. Intruzi szybko włamali się do pomieszczeń mieszkalnych, w których spał Cocks i jego ludzie. Anglików zbudził przerażający szczeł mieczów i palba z muszkietów.

I w tej właśnie krytycznej chwili dobre stosunki, łączące Adamsa z japońskimi mieszkańcami Hirado, przyniosły największy pożytek. Cocks podniósł alarm i już po kilku minutach oddział japońskich żołnierzy przybiegł z odsieczą, wpadł do faktorii i wygnał holenderskich napastników. „Gdyby nie spieszna pomoc Japończyków, którzy ujeli się za nami, Holendrowie niechybnie do nogi by nas wybili” — czytamy u Cocks'a. Holendrowi wyparto z faktorii, pozostała zaś w niej garstka zmęczonych i przerażonych Anglików.

Cocks tak się odtąd lękał o bezpieczeństwo swoich ludzi, że uznał za konieczne „zbrojną straż japońską dniem i nocą trzymać, karmiąc ją, pojąc i oplacając z wielkim dla majątku Waszych Łaskowości uszczerbkiem”. Nieco uspokoiła go wiadomość, że kiedy król Figen, wzburzony doniesieniami o zamieszkach, ostrzegł Holendrów, że w przyszłości wszelkie tego rodzaju napaści będą z całą surowością tłumione. Lecz motłoch Specksa prędko natychmiast złamał ten zakaz, toteż Cocks napisał do sir Thomasa Smythe'a rozpaczliwy list, donosząc zwierzchniostwie, że Holendrzy „wojnę jawną naszej angielskiej nacyi wyprowadzili na morzu i lądzie, ogniem i mieczem, klnąc się, że statki nasze i towary zagarniać, a nas samych unicestwiać będą, ile możności, jako wrogów śmiertelnych”.

Tę wybuchową sytuację jeszcze bardziej zaogniło przybycie licznej floty holenderskiej, której wojowniczy dowódca poprzyściągł śmierć Cocksowi i jego ludziom. Zdając sobie sprawę, że mielstwo będzie dotrzymać słowa, skoro Anglików strzeże japońska warta, wyznaczył pieniężną nagrodę za ich głowy. „Żywoć moją na sprzedaż wystawił — ze zgrozą napisał Cocks — obiecając każdemu, kto by mnie ubił, talarów pięćdziesiąt, i trzydzieści za każdego inszego Anglika, którego zgładzić zdołają”.

W ciągu zaledwie dwóch lat Holendrzy z najbliższych przyjaciół stali się najzjadlejszymi wrogami Anglików. Odtąd Cocks i jego ludzie nie mogli już opuszczać faktorii bez obawy, że spotka ich śmierć.

OSTATNIE ROZKAZY

RICHARD Cocks bał się, że londyńscy kupcy zlekceważą wagę sytuacji, w której się znalazł, postanowił więc zawiadomić o swoim losie starego przyjaciela, sir Thomasa Wilsona. Doniósł mu, że jego ludzi otacza gniewny, wrzaskliwy tłum – „tłuszcza niewdzięczna a łupieżcza... dla której rabunek i zdradstwo powszednim są chlebem”. Rozhukani żeglarze holenderscy sprawiali tak groźne wrażenie, że Cocks zwrócił się do Hidetady z prośbą o pomoc, lecz szogun odmówił interwencji. Nie poskąpił wprawdzie „słów życzliwych, a i sprawiedliwość nam przyobcał”, nie był jednak zainteresowany lokalnymi konfliktami, orzekł zatem, że zaprowadzenie porządku jest obowiązkiem władcy Hirado. Nie okazał też ani odrobiny współczucia, gdy na dwór przybyła delegacja portugalska, aby złożyć protest. Bez ogródek oznajmił Portugalczykom, „iż w sprawy cudze mieszać ni woląć się nie zamierza”, powołując się na fakt, że ich statki wzięte do niewoli poza granicami wód japońskich.

Znacznie bardziej niepokoiły szoguna wiadomości z Nagasaki. Doniesiono mu, jakoby część wygnanych jezuitów przekradła się z powrotem do jego państwa i oddała pod opiekę lokalnym społecznościom chrześcijan, w sekrecie wyznających swoją wiarę. Pogłoski te niebawem się potwierdziły. Niewielkie grupki jezuitów rzeczywiście wróciły do Japonii na statkach, odbywających coroczny rejs handlowy z Makau. Mnichom dość łatwo było o niepostrzeżenie zejść na ląd, gdyż przybyciu każdej z tych wielkich naw towarzyszyło spore zamieszanie. Natychmiast po wylądowaniu znikali, jakby zapadli się pod ziemię. Mieszkali oddzielnie w domach, w których mieli pewność, że nic im nie grozi, i wychodzili jedynie nocą. Dysponując całą siecią „podziemnych” kontaktów, mogli odprawiać potajemne msze prawie bez obawy prześladowania. Tak jawne lekceważenie edyktu Hidetady przeciwko chrześcijanom karano torturami i śmiercią, to jednak nie odstraszało najzarliwszych kapłanów.

Wiosną 1617 roku Hidetada otrzymał pierwsze pewne wiadomości o ich powrocie. Szczególnie gniewało go zachowanie jezuitów i franciszkanina, którzy za nic mając jego edykt, zaczęli wygłaszać publiczne kazania. Jeden z tych dwóch – padre Jean-Baptiste Machado – twierdził, że już jako dziesięcioletni chłopiec pod wpływem zasłyszanych opowieści zapragnął zginąć w Japonii męczeńską śmiercią, i oświadczał, iż jej dzień będzie najszczęśliwszy w jego życiu. Szczerść tego pragnienia została niebawem wystawiona na próbę, schwytano go bowiem w lennie Omura i oskarżono o złamanie zakazu Hidetady.

Machado ani się nie zapierał, ani nie okazał skruchy, lecz oświadczył władcy lenna Omura, że z radością podda się egzekucji na sposób japoński, przez poćwiartowanie. Życzenie to nie spełniło się: ucięto mu tylko głowę, zadając trzy bolesne ciosy, zanim z głuchym loskotem upadła na ziemię. W przerwach między cięciami skazaniec dziękował Jezusowi za swój los. Drugiego kapłana także ścięto. Wyrok zamiast zwykłego kata wykonał „pana Omury jeden z oficerów najpierwszych”. Ciało pochowano we wspólnym grobie i postawiono przy nim wartę, co jednak nie zapobiegło publicznym objawom hysterii i pobożności. „Do grobu znoszono chorych, iżby ozdrowieli – napisał naoczny świadek. – Chrześcijanie z męczeństwa tego nowych sił zaczerpnęli, a i w samych poganach podziw ono wzbudziło”. Egzekucja nie tylko nie zastraszyła miejscowej społeczności chrześcijańskiej, lecz zachęciła ją do jawnego uprawiania kultu. „Jęły się wszędy zdarzać rozliczne nawrócenia, a i odstępców niemało na łono wiary powróciło”.

W lennie Omura mieszkało wielu chrześcijan, wszczął się zatem spory zamęt. Miejscowemu władcy przysporzyła kłopotów miała decyzja dwóch europejskich księży, którym tak zaimponowało męczeństwo braci w wierze, że wyzbywszy się wszelkiej ostrożności, zaczęli wygłaszać kazania w kompletnym stroju kapłańskim. Jeden z nich – padre Alphonso – wręcz oświadczał, iż nie uznaje autorytetu cesarza Japonii, lecz tylko pana niebios. Władca lenna Omura kazał obu natychmiast stracić, tym razem jednak przedsięwziął dodatkowe środki ostrożności. Jak twierdzi Cocks, zorganizował potajemny pochówek, aby szczątki skazanych nie stały się relikwiami dla współwyznawców. „Ile że ludzie w krwi owych najpierwszych straceńców chusteczki i szaty marzali, iżby ze sobą ją unieść – napisał kierownik angielskiej faktorii – [pan lenna Omura] dwóch dalszych kazał do morza znieść, kamienie u szyj uwiązawszy”. Lecz nawet wobec tak po-

nurego losu kapłanów zapal religijny wiernych tylko się wzma-
gał. Ilekroć palono na stosie lub ścinano kolejnego męczennika,
budziło to „we wszystkich chrześcijanach ferwor wielki i mi-
stwo... o niczym inszym tedy już nie myśleli ni nie mówili, je-
śli o tym, jakby tu się do naśladowania onych przysposobić”.

Przełożeni jezuitów winą za swoje kłopoty nadal obarczali
William Adamsa. W prywatnych listach i pamiętnikach często
skarżyli się, że Anglik obrzuca ich „złóśliwymi a podłymi oszczer-
stwami”, wkrótce zaś jeli oskarżać go o to publicznie. W książce zaty-
tułowanej *A Briefe Relation of the Persecution Lately Made Against
the Catholike Christians in the Kingdome of Japonia* („Prześladowanie
chrześcijanom wyznania katolickiego w królestwie Japonii ostat-
nimi czasy wyrządzonych krótkie opisanie”) autor piętnuje
Adamsa jako sprawcę nieszczęść zakonu, twierdząc, jakoby ar-
ystokracja japońska zwróciła się przeciwko jezuitom, ponieważ
„posłuch dała słowom pewnego angielskiego nawigatora, który
opłwał był ludzi Kościoła i Hiszpanów jadem tak palącym, że
szogunowi ze szczętem ich zożydził, a wszystkie ich czyny w po-
deżnienie podał”. Autor innego dzieła utrzymuje, że całą słą-
rządzącą „słowa głupie pewnego nawigatora rozjątrzyły niepoma-
łu”. Mowa tu oczywiście o Williamie Adamsie. Miał on przekony-
wać Hidetadę, że jezuita są w rzeczywistości przebranymi żołnie-
rzami, którzy przybyli do Japonii, „iżby wojnę mu wydać, a zwycię-
stwo odniósłszy, zawładnąć państwem całym z wszystkimi jego
księstwami”.

Adams rzeczywiście wytaczał przeciwko jezuitom te własne
oskarżenia i w ogóle zrobił wiele, aby zaszkodzić ludziom, którzy
omal nie doprowadzili niegdyś do jego ukrzyżowania, lecz ci-
dzoziemscy kapłani w znacznej mierze sami sobie byli winni.
Rozwścieczyli szoguna, stając po stronie buntowników podczas
oblężenia Osaki, i z uporem rzucali wyzwanie feudalnemu ustro-
jowi, żądając od neofitów całkowitego posłuszeństwa. Co gorsza,
beztrosko zignorowali edykt Hidetady. W przeciwieństwie do
Ieyasu, który wielokrotnie „na ich niesubordynację oczy przymy-
kał”, młody szogun zdecydowany był działać. Mniej zaintereso-
wany handlem zagranicznym niż umocnieniem własnej władzy,
miażdżył każdego, kto mógł mu się przeciwstawić. Jeśli należało
w tym celu dokonać rzezi chrześcijan – zarówno Europejczyków,
jak i Japończyków – gotów był ją nakazać.

Anglicy zdawali sobie sprawę, że sytuacja wymyka się spod
kontroli, toteż uważnie śledzili jej rozwój. Zauważyli, że świątynie
chrześcijanie w Nagasaki – choć było ich wielu – zrazu własn-

nie nie zaznali przemocy. Wydawało się to tym bardziej zdumie-
wające, że władzę sprawował tam namiestnik Hasegawa, fanatyczny
wróg chrześcijaństwa. Jako człowiek ogromnie zajęty powierzał
jednak kierowanie codziennymi sprawami miasta swojemu za-
stępcy, ochrzczoneму przed kilkoma laty Murayamie Toanowi.

Choć nawrócenie Toana było tajemnicą poliszyneła, władze
powstrzymywały się od działania. Lecz podczas niespokojnych
miesiący, które nastąpiły po egzekucjach w lenie Omura, jeden
z najzjadlejszych wrogów zastępcy namiestnika oskarżył go –
a także jego rodzinę – o wyznawanie chrześcijaństwa oraz „jezu-
itów i braci wspieranie, Japonii wrogich”. Toan zaprzeczył, jako-
by finansował tajną działalność jezuicką, ale stanowczo odmówił
zaparcia się wiary. Niezlomność ta rozwścieczyła jego zwierzch-
ników, kazali więc upiec go żywcem wraz z całą rodziną. Wyrok
wykonano z istic japońską skrupulatnością.

„Mniema się – pisze Cocks – iż w Nagasaki wielkich prze-
śladowań spodziewać się należy”. Przewidywania te okazały się
trafne, na mieście tym skrupił się bowiem gniew, jakim pałał wo-
bec chrześcijaństwa szogun i jego ludzie. Wiele spośród tamtej-
szych kościołów zniszczono już po wydaniu pierwszego edyktu
przeciw chrześcijanom, lecz niektóre – chociażby wspaniałe
przybytek Santa Casa da Misericordia – oszczędzono. Teraz jed-
nak wszystkie kaplice, kościoły i grobowce zrównano z ziemią,
usiłując zatrzeć wszelki ślad chrześcijaństwa. Podekscytowani
widokiem tej orgii zniszczenia Anglicy sądzili, że oznacza ona ko-
niec katolicyzmu w Japonii. „Wszystko w perzynę obrócono – na-
pisał Cocks – i mogiły wszystkie a grobowce roztwarto, kości
umarłych z nich wybierając”.

Aby jeszcze bardziej zdruzgotać katolików, Hidetada polecił
na miejscu najbogatszych i najznamienitszych kościołów „pago-
dy wznieść”. Wysłał też „kapłanów pogańskich, iżby mieszkanie
w nich mieli, albowiem wspomnienie wszelkie po chrześcijań-
stwie z Japonii do szczętu wykorzeń pragnął”. Kazał zburzyć
nawet niewielkie kapliczki domowe i ściąć wiele kwitnących
drzew, które chrześcijanie posadzili dla upamiętnienia zmar-
łych. „Rzeczone drzewa co do jednego ścięto, ołtarze wszystkie
z ziemią zrównano – pisze Cocks – tak silnie pragnie [szogun]
pamięć wszelkich spraw takowych zatrzeć”. Kiedy wandale
Hidetady dokonali dzieła, wszystkie budowle chrześcijańskie
w Nagasaki leżały w gruzach, a na cmentarzach poniewierały się
ludzkie kości i rozkładające się trupy, wokół których latały roje
much.

Adams i Cocks śledzili losy jezuitów z dreszczykiem jadowitej uciechy, byli jednak zdumieni rozmachem, jaki przybrała pomsta szoguna, a burzeniu kościołów przyglądali się z mieszanymi uczuciami. „Bynajmniej mię ten obrót zdarzeń nie raduje” – napisał Cocks w liście do sir Thomasa Smythe’a, choć nie ukrywał zarazem, jakie to miłe, że Anglicy mogą nareszcie jeździć do Nagasaki, nie narażając się na zniewagi ze strony księży oraz ich parafian. „Za czasów owego biskupa – dodał – ...niepodobna było przejść ulicą, żeby nie wołali za nami *Lutranos* [luteranie] i *herejos* [heretycy]. Dziś zasię żaden ni ust otworzyć nie smie, iżby słowem obelżywym rzucić”. Mnichów, którym nie udało się niegdyś doprowadzić do egzekucji Williama Adamsa, uczczona, a nielicznym pozostałym w Japonii śmiałkom zagrażało najwyższe niebezpieczeństwo.

Fala prześladowań jęła niebawem ogarniać japońskich neofitów. Jesienią 1619 roku Cocks podczas kilkudniowego pobytu w Kioto usłyszał o przygotowaniach do pokazowej egzekucji miejscowych chrześcijan, skazanych na spalenie. Gdy zaczął dowieść szczegóły, dowiedział się, że w wyschniętym korycie rzeki Kamo spłonąć ma żywcem aż pięćdziesiąt dwoje najzarliwszych wyznawców z tamtejszej parafii – między innymi kilka rodzin, a także wiele matek z dziećmi, z uporem trzymających się chrześcijaństwa.

Masowe egzekucje stanowiły w Japonii widok codzienny i zawsze ścigały tłumy gapiów. Szczególne podniecenie dawali im odczuć w przeddzień publicznego spalenia, podczas którego cierpienie i ból zyskiwały barbarzyńską, swoiście teatralną oprawę. Widzowie brali udział w przygotowaniach, pomagając gromadzić drewno na stosy i wbijać słupy w ziemię. „Ilekroć kogós palili mają – napisał Holender Reyer Gysbertsz – w przeddzień wieczorem obwieszcza się i wszem wobec głosi, iż dom każdy w bliskości miejsca kaźni stojący... dostarczyć musi dwa, trzy, cztery lub pięć polan”. Gysbertsz pisze tu wprawdzie o jednej z późniejszych egzekucji, lecz wszystkie one były mniej więcej równie brutalne i przerażające. Miejscowi oficjele przywdziewali najwspanialsze szaty i przybywali na miejsce ze sporym wyprzedzeniem, aby wszystkiego doglądać. „Słupów ustawiono tyle, ilu było ludzi do spalenia, a w promieniu jakich pięci i pół sążnia od nich drewno rozłożono”. Na tak przygotowany plac sprowadzano skazańców i każdego przywiązywano liną za rękę do słupa. Gdy zaczął się nieznośny, zaczęli skakać i miotać się z bólu, toteż ich makabryczną śmierć poprzedzała mimowolna błazenada.

Pięćdziesiąt dwoje chrześcijan przywieziono na miejsce straceń dwukonnymi wozami. Kobiety z małymi dziećmi siedziały w środkowych wozach, a mężczyźni i chłopcy otwierali i zamykali pochod. Gdy ten posępny orszak zmierzał w stronę rzeki Kamo, herold obwieszczał zgromadzonym tłumom, jaki los czeka skazańców: „Szogun – wołał – władca Japonii całej, życzy sobie a rozkazuje, aby wszystkich tych ludzi żywcem spalono za to, iż są chrześcijanami”.

Skoro na spalenie skazano tak liczną grupę, oprawcy musieli wiązać ich po kilkoro do każdego słupa. Mężczyzn ustawiano plecami do siebie, a matki splatano z dziećmi. Był to rozdzierający widok, który wielu obecnych wzruszył do łez. Nigdy przedtem nie urządzono tak masowej egzekucji, toteż karnawałowa atmosfera szybko prysła, gdy widzowie zdali sobie sprawę, jak okropnych scen za chwilę będą świadkami. Jedna z matek – Tecla – miała spłonąć razem z piątką swoich dzieci, a Marthe wraz z dwuletnim synkiem, któremu dano na chrzcie imię Benoit. Madeleine związano z jej dwuletnią córeczką Regine. Wśród skazańców znalazł się niewidomy ośmiolatek.

Cocks z bólem serca przyglądał się dzieciom, które wraz z rodzicami przywiązano do pali. „Niemal było wśród nich – napisał – dziatwy drobnej lat pięciu abo sześciu”. Aby zawczasu przygotować ofiary do męczeństwa, jezuiti wydawali traktaty religijne, pouczające, jak znosić ból podczas tortur i na stosie. „Gdy katować cię poczną, oczyma wyobraźni widok Męki Pańskiej przywołaj – czytamy w pewnym modlitewniku. – Bez reszty poświęć się myśli, iż Santa Maria, chóry anielskie tudzież błogosławionych zastępy niezliczone na zmagania twe z niebios patrzają”.

Cocks był świadkiem, jak podpalono stosy i płomienie zaczęły lizać nogi skazańców. Stwierdził ze zdziwieniem, że mimo najstraszliwszych cierpień „wiary swej chrześcijańskiej zaprzecić się nie chcieli”, lecz znosili ból ze stoicyzmem, który zdumiewał zebranych. Wśród ryku ognia matki głaszały po główkach dzieci. Te, gdy męka stała się ponad ich siły, zaczęły z cicha pojękiwać. Płonęły w ramionach matek – z rozpaczą pisze Cocks – wołając: „Jezu, dusze nasze przyjąć racz”. Tecla tak mocno ścisnęła w objęciach czteroletnią córkę Lucy, że ich zwęglone ciała wtopiły się w siebie nawzajem i gdy usuwano je ze stosu, nie dały się rozdzielić. Zgromadzeni widzowie nigdy jeszcze nie oglądali tak bolesnych scen, toteż wielu jawnie płakało. Wszyscy zgodnie oświadczyli, że nic już nie jest im straszne.



Egzekucje publiczne i całopalenia obwieszczano w przeddzień wieczornym (potyżej). Miejscowa ludność pomagała przygotować plac kaźni, nieradko przynosząc pale, drewno i chrust.

Po tym publicznym całopaleniu w Kioto prześladowania przybrały dużo większy zasięg i okrutniejszą formę. Tuż potem skupiły się w Nagasaki, gdzie nastąpiła cała seria egzekucji. „Szesnaścioro jeszcze umęczono... — czytamy u Cocks’a — z czego pięcioro spalono, resztę zaśię ścięto, poćwiartowano i do worków pokładlwszy, w morzu zatopiono na głębokość sążni trzydziestu”. Zginął wtedy Domingo Jorge, portugalski kupiec, oskarżony

o ukrywanie dwóch jezuitów. Skazano go na śmierć przez poćwiartowanie. Mimo tak ostrych represji publiczne przejawy chrześcijańskiej żarliwości bynajmniej nie słabły. Nie ustawała też rozpaczliwa pogoń za relikwiami. Nawet zwłoki utopione w morzu niebawem trafiły z powrotem na ląd, „albowiem chrześcijanie, z dna je wylowiwszy, na podobieństwo relikwii po domach chowali”.

Dzięki temu, że Adams zdołał przekonać Hidetadę o szczerej niechęci Anglików do katolicyzmu, prześladowania zupełnie ich ułmięły. Wciąż jednak groziła im śmierć z rąk holenderskich konkurentów i coraz bardziej doskwierały trudności finansowe. Mieli na składzie trochę skór i konopnych lin, ale nie mogli znaleźć nabywców. Zgromadzili ogromny zapas cezalpinii, lecz rynek był nią zawałony, toteż sprzedaż szła ospale, a w handlu jedwabiem od wielu miesięcy panował zastój. Nikt w faktorii nie wspominał już o zyskach; mówiono wyłącznie o tym, jak zarobić tyle, aby w ogóle przeżyć. Eaton krakał, że podczas najbliższej zimy agentom zabraknie pieniędzy nawet na jedzenie. W liście do Londynu ubolewał nad ciężkim losem faktorów, dodając w rozpaczliwym postscriptum: „Wiele gąb tu żarłocznych okrutnie. Ratuj nas, Boże”.

Większość tych nadliczbowych „gąb” przybyła do Japonii w ostatnich miesiącach. W faktorii nadal ukrywało się trzech Anglików z „Angella”, uwolnionych dzięki Adamsowi, a paru innych regularzy pozostawiły rozmaite statki, które zawinęły do Hirado. Ci dodatkowi lokatorzy stali się niemalym ciężarem dla placówki, i tak już pogrążonej w głębokim kryzysie, często bowiem zdarzali się wśród nich ludzie chorzy lub ranni, niezdolni do pracy.

Cocks dziękował losowi, że pięciu spośród ośmiu członków założycieli wciąż jeszcze żyje i pomaga mu uprawiać warzywnik. Lecz w marcu 1620 roku ciężko rozchorował się William Nealson. Nigdy nie odznaczał się świetnym zdrowiem, a obfite spożycie alkoholu tylko osłabiło wątły organizm. Przy każdym nawrocie choroby jeździł na wyspę Iki i przy gorących źródłach częściowo wracał do formy. Tym razem jednak nie miał już siły udać się w podróż do wód. Jak czytamy u Cocks’a, „tak srodze zachorzał”, że nasuwały się poważne wątpliwości, czy w ogóle jeszcze wyzdrowieje. Dostał gorączki i wkrótce zanadto osłabł, aby wstać z łóżka. „Marniał od suchot” — pisze Cocks, i wiedział, że koniec jest bliski. W marcu (dokładnej daty nie znamy) wydał ostatnie tchnienie. Faktoria straciła swojego najbardziej zadziornego i niesfornego pracownika.



Całopalenia — zwłaszcza chrześcijan — zawsze ściągaly w Japonii licznych gapiów. Richard Cocks ze zdumieniem odnotował, że pomimo straszliwego bólu skazani „wiary swojej chrześcijańskiej zaprzeczyć się nie chcieli”.

Nie spisał testamentu, lecz wszyscy pracownicy faktorii przysięgli, że „w pełni władz umysłu i pamięci pozostając”, wyznaczył Cocks na swojego spadkobiercę. Szczerze wzruszyło to głównego faktora. Ogarnięty wyrzutami sumienia z powodu wypowiedzianych niegdyś ostrych słów, napisał w dzienniku

ze „gdyby Bóg w łaskawości swej mię pierwej do się powołał, byłbym Imię Nealsonowi tyleż w spuściznie ostawił”.

Śmierć Nealsona mocno podkopała morale Cocks i jego ludzi. Zmarły — choć pijak i utracjusz — należał wszak do grona założycieli faktorii, którzy szczylic się tym, że wbrew wszelkim przeciwnościom zdołali przetrwać na końcu świata, a każdy kolejny rok dodawał im wiary w siebie. Lecz gdy ich szeregi zaczęły rzednąć, szybko upadli na duchu i już tylko zgadywali, kto następny zachoruje lub zostanie zabity. Peacock i Carwarden dawno już zginęli w Kochinchinie: jednego zamordowano, drugi zaś utonął; Wickham wyzionął ducha w Bantamie. Po śmierci Nealsona zostało ich z pierwotnego składu raptem czterech: Cocks, Adams, Eaton i Sayers. Z Adamsem też zresztą było kruch. Cocks nie potrafił określić, co mu właściwie dolega, mógł to być jednak nawrót niedyspozycji, która dała o sobie znać po powrocie z Kochinchiny. Tamtejsze tropikalne wybrzeże miało złą sławę okolicy malarycznej, wydaje się więc całkiem prawdopodobne, że właśnie ta wyniszczająca choroba powróciła ze zdwojoną mocą. Zaledwie kilka tygodni przedtem Adamsowi starczyło jeszcze sił, aby wyzwać Cocks do wyścigu barkasów. I oto tak osłabł, że tego rodzaju wyczyny sprawiały wrażenie wspomnień z poprzedniego wcielenia. Wkrótce po wyścigach pięćdziesięcioletni Adams straszliwie podupadł na zdrowiu.

Była to dla Cocks i jego ludzi istna katastrofa. W przeciwieństwie do Nealsona, który podczas siedmioletniego pobytu w Japonii niewielu dokonał czynów godnych wzmianki, Adamsowi faktoria zawdzięczała samo swoje istnienie. We wszystkich trudnych chwilach agenci zwracali się doń z prośbą o pomoc. Polegali na nim, ilekroć trzeba było załatwić audiencję u szoguna, i korzystali z jego koneksji w kręgach kupieckich. To właśnie Adams uratował ich przed bankructwem, wyprawiając się do Syjamu, i to on wyjaśnił zagadkę zniknięcia Peacocka i Carwardena. Trzej nowi mieszkańcy faktorii, uwolnieni z holenderskiego „Angella”, winni mu byli życie, a pozostałym udało się przetrwać w Japonii wyłącznie dzięki jego pomocy i radom. I oto złożyła go choroba, a oni wkrótce zrozumieli, że już nie wyzdrowieje.

On także zdawał sobie z tego sprawę. Szesnastego maja 1620 roku wezwał Cocks i Eatona, żeby im podyktować testament: „Ja, William Adams, żeglarz w Japonii od lat ośmnastu abo i dwudziestu zamieszkały, chorym na ciele będąc, lecz w pełni przytomności, za którą do Boga Wszechmogącego dzięki zanoszę, niniejszym ostatnią swą wolę wyrażam a wiadomą czynię”.

Spisanie testamentu wymagało starannego namysłu, Adams był bowiem człowiekiem zamożnym. Oprócz posiadłości w Hemi i domu w Edo dysponował niebagatelną sumą pięciuset funtów szterlingów. Lwią część majątku podzielił na dwie połowy, jedną przeznaczając dla rodziny zostawionej w Anglii, drugą zaś dla Josepha i Susanny, spłodzonych w Japonii. O trzecim japońskim dziecku, które urodziła mu służąca z Hirado, w testamencie nie wspominał.

Postanowił, że w Anglii główną spadkobierczynią będzie Deliverance: pierwsza pani Adams dostanie najwyżej połowę pieniędzy, reszta zaś przypadnie córce. „Albowiem nie chciałem, aby małżonka jego, gdyby trafem innemu mężowi poślubioną być miała, dziecku wszytek majątek wydarła”.

Nie zapomniał też o przyjaciółach w Japonii. Cocksowi podarował cenny globus, przedstawiający firmament niebieski, a także mapy morskie i swój najlepszy miecz; Eatonowi — wszystkie książki i przyrządy nawigacyjne; synowi Josephowi — znakomitą kolekcję broni. Osterwickowi i trzem innym Anglikom zapisał po jednym ze swoich kimon. Choć często pomawiano go o to, że „zolendrzał”, żadnemu z dawnych holenderskich znajomych niczego nie pozostawił w spadku.

Cocks i Eaton — główni wykonawcy testamentu — ze smutkiem patrzyli, jak formułuje końcową klauzulę: „Co niniejszym własną ręką podpisuję, w przytomności tych, którzy imiona swe obok mego kładą”. Były to ostatnie słowa, jakie w życiu skreślił. Wkrótce po złożeniu podpisu spłynął mu się oddech i niebawem William Adams — pierwszy Anglik w Japonii — umarł, a wraz z jego śmiercią nastąpił kres całej epoki.

Nie bardzo wiadomo, gdzie spoczywa. Na angielskim cmentarzyku w Hirado, w cieniście zagajniku pośród górzących nadmiastem wzgórz? Czy też w swoim majątku w Hemi, gdzie z czasem pochowano jego japońską żonę? Epitafium ułożył Richard Cocks, składając wspomniał hold człowiekowi, dzięki któremu Anglicy zdołali urządzić się i przetrwać w Kraju Wschodzącego Słońca. „Mogę jeno oplakiwać stratę czelaka tak szlachetnego jak Kapitan William Adams — napisał — co u dwóch cesarzów japońskich w większych łaskach pozostawał, niżeli ktokolwiek spośród chrześcijan w tej świata części”. Wspominał też, że dzięki imponującej posturze Anjin Sama „mógł wedle własnej woli na pokoje wchodzić i z cesarzami dyskurs wieść, gdy niejedno z królów japońskich antyszambrował, a taki inwitacji się nie doczekał”.

Adams był rzeczywiście ogromnie wpływową osobistością. Walnie się przyczynił do wygnania jezuitów z Japonii i zadbał, żeby wymierzony przeciwko chrześcijanom edykt szoguna nie ugodził w Cocks i jego ludzi. Jedynie dzięki niemu mogli przez tyle lat działać na Wyspach Japońskich. Gdy zabrał ze sobą do grobu wszystkie swoje koneksje, nie miał już kto ujmować się na dworze za Cocksem i malejącą garstką Anglików z Hirado.

Kiedy umarł Adams, Cocks upadł na duchu. Już od dawna przeczuwał rychły koniec pobytu w Japonii, a po śmierci Anjin łamy uprzytomnił sobie z całą wyrazistością, że żyje w czasie wziętym na kredyt. Był dobrze po pięćdziesiątce i szybko zbliżał się do starości.

Stwierdził ze zdziwieniem, że myśl o wyjeździe z Japonii już go nie zasmuca. W liście do sir Thomasa Smythe'a z wiosny 1620 roku wyznał, iż jest już „Japoniją znużon do cna”. Próby handlu z Chinami i Syjaniem zakończyły się spektakularnym fiaskiem, a faktoria wciąż znajdowała się o krok od ruiny. W obliczu nieustannej groźby bankructwa stracił wiele ze swojego animuszu i „z wszelką nadzieją działania czego bądź dobrego w Japonii się był pożegnał”.

Znacznie bardziej martwiło go to, że przez siedem lat nie zdołał się wzbogacić. W przeciwieństwie do Wickhama, który znaczną część energii poświęcił gromadzeniu majątku, Cocks tylko od czasu do czasu parzył się pokątnym handlem. Zawsze jednak żył ponad stan, trwoniąc mnóstwo własnych pieniędzy na jedzenie, kobiece towarzystwo i rasowe rybki. Najbardziej spustoszyła jego kieszenie Matinga. Od lat obdarowywał ją biżuterią, jedwabiami i atlasami, kupił jej dom w Hirado i zatrudnił kilkoro służby, aby potem dowiedzieć się, że za szczodrość odplaciła mu niewiernością. W jego zapiskach czytamy, iż „niecznie sobie postąpiła, z sześciu czy siedmiu inszymi się zadając”.

Od dawna obawiał się, czy londyńscy kupcy na wieść o jego wystawnym życiu nie posądzą go, że handlował na własny rachunek. W liście do sir Thomasa Smythe'a zaręcza, iż zawsze postępował w sposób nieposzlakowanie uczciwy. „Ubogim z Anglijej żem był wyjechał — oświadcza — i żebrakiem do dom powrócę”. Usiłuje też usprawiedliwić się z wydawanych przyjęć, twierdząc, jakoby urządził je głównie dla dobra interesów: „Nijak powiedzieć się tego omnie nie da, iżbym w azardzie abo w pohulankach się lubował”.

Zanim oswoił się z myślą, że faktoria musi odtąd radzić sobie bez Adamsa, otrzymał nieoczekiwaną nowinę. Dwudziestego

trzeciego lipca 1620 roku obilo mu się o uszy, jakoby u wybrzeży Hirado spostrzeżono wielki okręt angielski, płynący w forpoczcie ogromnej floty. Wiadomość ta niebawem się potwierdziła. Kapitan Martin Pring z „Królewicza Jakuba” przyznał, że w ślad za nim istotnie nadciąga potężna armada. Jeszcze bardziej zaskakująca była informacja, iż Holendrzy i Anglicy, którzy od czterech lat pozostawali na dobrą sprawę w stanie wojny, zawarli sojusz. Dyrektorzy Kompanii z Londynu i Amsterdamu podpisali traktat pokojowy, a wszelkich aktów wrogości zaniechano. Porozumienie to nie polegało jedynie na przywróceniu dawnego *status quo*: utworzono wspólną eskadrę — Flotę Obrończą — która miała „Portugalczyków i Hiszpanów wszytkich łupić, zamęt pośród nich siejąc, gdziekolwiek ich zdybie”.

Cocks nie wierzył własnemu szczęściu. Zaledwie zdażył stracić protektora w osobie Adamsa, pojawił się nowy obrońca. Wkrótce po „Królewiczu Jakubie” przybyły trzy inne okręty: „Księżyc”, „Elżbieta” i holenderska „Trouw”. Po kilku dniach do zatoki wpłynął „Palatyn”, a w ślad za nim reszta eskadry. Jej pojawienie się zupełnie zmieniło sytuację w Hirado. Zwaśnione strony z dnia na dzień zawarły pokój, a blokadę angielskiej faktorii zniesiono. Cocks i Specx zdolali jakoś sfastrygować zerwaną przyjaźń i stwierdzili, że okoliczności sprzyjają wznowieniu współpracy, która niegdyś ściągnęła na obu miazdzącą krytykę.

Udręczeni i wygłodzeni mieszkańcy angielskiej placówki wciąż jeszcze oplakujący przedwczesną śmierć Adamsa, z ogromną radością powitali wiadomość o zawartym pokoju. „Nader miła nowina to dla nas, którzy tu mieszkamy... jako i dla każdego, kto człkiem uciążym się mieni” — napisał Eaton. Od wielu miesięcy żyli w ciągłym strachu przed śmiercią i odważali się opuszczać teren faktorii jedynie pod eskortą japońskich strażników. I oto mogli nareszcie zasnąć bez obawy, że znów zostaną atakowani. Flota Obrończa przywiozła im rekojmię bezpieczeństwa, z dawna wyczekiwane zaopatrzenie oraz cztery kufry srebrnych monet.

Na jej okrętach przybyło też jednak ponad tysiąc niesfornych wilków morskich, którym pilno było szukać rozkoszy w miejscowych burdelach. Sutenerzy z Hirado powitali ich z radością, wietrząc szansę niemałego zarobku. „Gdy ludzie nasi ulicami chodzą — napisał Cocks — Japończycy grzecznie wołają ich do się, winem poją a kurew użyczają, póko gość pjany nie zlegnie, wtedy zasię ze wszytkiego, co ma, nieszczęśnika odzierają (bywa, że do goła)”.

Adams dawno już przestrzegał, że wypuszczenie hordy rozbukanych żeglarzy na ulice Hirado może być ryzykowne. I właśnie gdy należało posłuchać tej rady, w przyplwywie euforii zupełnie ją zbagatelizowano. Niektórych marynarzy tak urzekły dostępne na lądzie orientalne rozkosze, że wszystkie oszczędności wydali na prostytutki. Inni woleli bić się i wszczynać burdy, atakując każdego, kto stanął im na drodze. Pewna grupa wdała się w awanturę z Japończykami. „Łęgo sobie podchmieliwszy, kilku naszych z miejscowymi jęło się wadzić, aż z czasem i po noże sięgnęło”. Był to fatalny błąd. Winowajców pojmano, zawleczono na pole i dano im szybką lekcję japońskiego wymiaru sprawiedliwości: głowy ścięto, „ciała zasię pośród pól rzucono ptastwu i psom na pastwę”.

Pogłoski o bijatykach i rozwiązłości musiały oczywiście niebawem dotrzeć na Jawę, gdzie purytanin Richard Fursland z ramienia Anglii przewodniczył od niedawna Radzie Obrończej. Łatwo można sobie wyobrazić, że wzbudziły w nim gniew i wzdargę. Był zwolennikiem surowej dyscypliny i już wcześniej przysiągł oczyścić Kompanię Wschodnioindyjską z co bardziej skompromitowanych osobników. Zaczął od porządków we własnym domu. Nieudolnych faktorów z Jawy odesłał z powrotem do kraju, innych zaś ukarał za grubiańskie zachowanie. Jednego ze swoich ludzi — niejakiego Johna Vincente, Włocha z pochodzenia — kazał zakuć w dyby, gdy przyłapano go *in flagrante delicto* z miejscową prostytutką.

Przyjrząwszy się temu, co działo się w innych krajach Wschodu, dostrzegł Fursland żaloszny obraz rozkładu i bankructwa. Kilka spośród najbardziej odległych faktorii dawno już opuszczono, a handel na Molukach był w zupełnym upadku. Ostatni przyczółek angielski na obfitujących w muszkat wyspach Banda utracono w roku 1620, gdy Holendrzy do reszty zdławili tam bohaterski opór Anglików. Niewielkie faktorie w sumatrzeńskiej miejscowości Jambi i w Pattani były niewypłacalne i „nielewie upadłe”. Faktor z Pattani zadłużył się na ponad sto dwadzieścia funtów i miejscowy władca zabronił mu wyjeżdżać. Mniej więcej równie ponura sytuacja panowała w Ajutthai. Niegdysiejsze marzenia Lucasa Antheunisa o faktorii, która miała rozkwitnąć dzięki handlowi z Japonią, ani trochę się nie spełniły.

Flota Obrończa także nie osiągnęła swoich ambitnych celów. Pierwszy wypad na Morze Południowocchińskie zakończył się fiaskiem z powodu błędów dowództwa. Wielki przyz portugalski zdołał się wymknąć, zdobyto więc tylko pięć dżonek z marnym

ładunkiem. Druga wyprawa powiodła się niewiele lepiej. Portugalczycy odparli atak na Makau, a większość łupu ze zdobytych statków pokryła koszt ponownego wyposażenia własnych okrętów. Fursland podjął śmiałą decyzję o przetrzuceniu angielskich jednostek Floty Obronnej na inny front, co doprowadziło do faktycznego zerwania sojuszu z Holendrami. Duch współpracy ulotnił się, zanim cokolwiek istotnego dzięki niemu osiągnięto.

Fursland poprzysiągł także położyć kres chaosowi w Hirado. Był przerażony upadkiem moralnym, w jakim według niego pograżyli się tamtejsi faktorzy. Szczególnym wstrętem napawały go opowieści o bankietach, biesiadach i tancerkach. Winą za nieszczęścia faktorii obarczył Cocks. Zawiadomił londyńskich kupców, iż jego bachanalia „nie dość, że majątku Waszych Łaskawości pokażną część pochłaniają, to jeszcze ludzi Kompaniję prawie wszystkich poprzez żywot zaiste zwierzęcy do ruiny przywodzą”. Coraz to nowe informacje o zamianach kochanek, konkubinach i nieślubnych dzieciach budziły w nim rosnące obrzydzenie. „Żal bierze na wieść o mężach, co mimo wiek swój podeszły czynom lubieżnym tak niegodnie się oddają, niebaczni na siane przy tym spustoszenie”.

Chcąc doprowadzić do ukarania Cocks'a i jego ludzi, Fursland postanowił odwołać ich na Jawę. Wiosną 1622 roku wysłał do Japonii rozkaz, aby Cocks, Eaton i Sayers, „z dawna w Japonii bawiący, nie mieszkając z niej się wydalili”.

Cocks nie miał zamiaru go posłuchać. Bał się, że zostanie obciążony odpowiedzialnością za wszelkie niepowodzenia faktorii w Hirado. Niepokoił go też bałagan w księgach rachunkowych. Postanowił zlekceważyć rozkaz pod pozorem, że musi je najpierw uporządkować. Mylnie oceniwszy nastrój Furslanda, nie zdawał sobie sprawy z powagi własnej sytuacji, napisał więc list, w którym żartem oświadczył, że gdyby przywiózł na Jawę niedokładne rozliczenia, „jeszcze by mię Wasza Łaskawość nazwał odprawił, durnia starego, iżbym rachunków dokończył”.

Pismo to nieprędko dotarło do rąk Furslanda. Zaczęła się tymczasem pora monsunów. Przez ponad cztery miesiące wiatry sprzyjały Cocksowi, Fursland nie mógł bowiem wysłać do Hirado ani jednego statku. Pod koniec pobytu w Japonii Cocks wrócił do spokojniejszego trybu życia: pielęgnował ukochany сад, karmił złote rybki i wspominał dziesięć lat, spędzonych w Kraju Wschodzącego Słońca. Miał zresztą co wspominać: podróże do szoguna, biesiady z dworzanami, wizyty w świątyniach i uroty

w gronie buddyjskich mnichów. Był dumny, że założył placówkę handlową na krańcu świata, oddaloną od Anglii o dwa lata morskiej podróży, i utrzymał ją w stanie jakiejś takiej wypłacalności. Za powód do chwały uważał także to, że zdołał zadbać o zdrowie swoich ludzi, a nawet dostarczyć im zabaw i rozrywek, o jakich większości z nich ani się przedtem śniło. Wiedział jednak, że wszystko to udało się jedynie dzięki Adamsowi, który pełnił rolę cichego anioła stróża angielskiej faktorii.

Cocks podtrzymywał kontakt z wdową, posyłając co pewien czas do Hemi mniejsze i większe upominki. W marcu 1622 podarował jej znaczną ilość białego jedwabiu, a także adamaszek i atlas dla dzieci. Zaopatrywał ją też w srebro i zaofiarował się, że sfinansuje naukę Josepha. Kiedy w pierwsze święta Bożego Narodzenia po śmierci Adama odwiedził jego najbliższych, wręczył Josephowi ojcowski miecz i sztylet. Chłopiec przyjął je z wdzięcznością i „leż kilka w chwili owej uronił”.

Joseph miał niebawem otrzymać znacznie cenniejszy dar. Wkrótce po śmierci ojca wezwał go szogun i nadał mu wszystkie przywileje, jakimi kilkanaście lat wcześniej leyasu zaszczylił Williama Adama. „Godność, którą cesarz starszy niegdyś ojcu był przyznał — czytamy u Cocks'a — władca niniejszym przelał na syna”. Potwierdził zarazem tytuł własności Josepha Adama do majątku w Hemi wraz z przynależnymi doń wsiami i polami ryżowymi.

W rok później Anglicy z ciężkim sercem patrzyli, jak do portu w Hirado zawija niesiony pierwszym wiosennym wiatrem „Byk”. Statek ten przywiózł między innymi wścieklą epistolę od Furslanda, pełną kategorycznych żądań, wżgardliwie adresowaną do „Imię Cocks'a i reszty”. Jej autor złażał faktorów za „nieposłuch wielki”, którego się dopuścili, ignorując jego wcześniejsze rozkazy. „Nie nam wiedzieć, co was do tego pchnąć mogło” — pisał, nie kryjąc, jak głęboko zaszokowany jest faktem, że ktoś „tak wiekowy” jeszcze się nie nauczył słuchać poleceń zwierzchników.

Pierwszą część listu Furslanda wypełniały zawołowane groźby, drugą zaś rozkazy. Cocks miał ustąpić ze stanowiska na rzecz nowo przybyłego Josepha Cockrama (któremu polecono zlikwidować faktorię), wydać mu księgi rachunkowe i odebrać od Li Tana całą powierzoną niegdyś sumę, „Chińczyk bowiem nazbyt już długo waści zwodzi”. W obawie, że Cocks znowu nie zechce posłuchać wezwania, Fursland na końcu listu raz jeszcze powtórzył wszystkie instrukcje, „w razie gdybyś waści polecenia na wstępie zamieszczone wyżęnął z pamięci, zanim do końca doczytać zdążysz”.

Cocks mocno się nad tym listem zasepił. Rozumiał, że zwiastuje on kres pobytu w Japonii, a zarazem koniec pracy w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Gdyby londyńscy kupcy wstrzymali mu pobory, umarłby w nędzy. Dla dżentelmena z czasów jakobińskich była to przerażająca perspektywa, zwłaszcza że niewiele miał już w Anglii żyjących przyjaciół.

Likwidacja placówki wymagała czasu. Należało zawiadomić odpowiednich urzędników, odwiedzić szoguna i jego dwór. Służącym faktorii podarowano drobne sumy pieniędzy, a nieliczne pozostałe w magazynie towary załadowano na „Byka”. Fursland miał później stwierdzić — zapewne słusznie — że były to jedynie „szmelc i rupiecie”. Niewiele wartościowych rzeczy wywieźli Anglicy z Japonii. Cocks i jego ludzie grali na zwłokę. Kilka ostatnich dni wypełniły im łzawe pożegnania. Dwudziestego drugiego grudnia 1623 roku „mieszczan wielu z żonami i rodzinami przybyło, iżby pożegnać faktorów, niektórzy zaś łzami rzewnymi owo rozstanie oblali”. Był to szczególnie smutny dzień dla Kamezo — kobiety Williama Eatona, która miała utracić równocześnie kochankę i syna. Prosiła Cocksę, żeby opiekował się chłopcem, i wkrótce po wyjeździe Anglików listownie powtórzyła tę prośbę. „Więcej na Waszmości polegam niżeli na ojcu rodzonym — napisала. — Błagam, bądź Wasć laskaw mi nad synem mym troskliwą pieczę”.

Anglikom także żal było porzucać ukochane kobiety i dzieci. Eaton uściskał córkę Helenę, a Sayers pożegnał się z kochanką i z córką. Jedynie Cocks chętnie rozstawał się z utrzymanką, niewierną Matingą, która kosztowała go majątek. O dziwo, nie zasłał z nim w ciężę, choć tyle żartowano na temat jego męskości.

Dwudziestego trzeciego stycznia na „Byku” zjawili się kilku holenderskich faktorów i wielu „japońskich druhów”, aby jeszcze pozdrowić odjeżdżających. Kapitan Cockram chciał jak najprędzej podnieść kotwicę, lecz wzruszony łzami jednych i drugich postanowił opóźnić odjazd, dzięki czemu mogło się odbyć pożegnalne przyjęcie. Trwało do późna w noc, a biesiadne odgłosy i muzyka niosły się po całej zatoce.

Zanim ostatni goście wrócili na ląd, do wschodu słońca pozostało niewiele czasu. Po zaledwie kilku godzinach snu załogę wzywano na pokład. Podniesiono kotwicę, rozwinięto żagle. Wiał północny wiatr, padał śnieg. Dzień na pełnym morzu zapowiadał się mroźny.

Miasto stopniowo nikło w oddali, aż wreszcie domy zwały się w niewyraźną smugę i nawet pałac ledwie majaczył. Potem łódź

przeistoczył się w pasmo cienia: stromy stok porośnięty sosnowym lasem mrocznie odcinał się na tle nieba. Hirado z chwili na chwilę coraz bardziej wtapiało się w horyzont. Po dziesięciu latach, sześciu miesiącach i trzynastu dniach Anglicy opuszczali Japonię.

Wlokła się za nimi ta sama chmura, która wisiała nad ich głowami od lat. Mieliby, owszem, szansę rehabilitacji, gdyby wieźli do Londynu skarb: worki srebra, na które tak łąsa była dyrekcja. Lecz faktoria w Hirado zbankrutowała; nie było czego z niej wywieźć do kraju. Po marzeniach Kompanii Wschodnioindyjskiej zostały jedynie porzucone budynki — magazyn i pomieszczenia mieszkalne, których urządzenie pochłonęło tyle pieniędzy. Nawet resztą te skądinąd mocne budynki niezbyt długo przetrwały: pod naporem huraganów i ulewnych deszczów zaczęły niebawem się rozsypywać i w końcu runęły. W kilka lat znikł wszelki ślad po Anglikach, jakby ich noga nigdy nie postąpiła w Hirado.

Dyrekcja od dawna nosiła się z zamiarem zrzucenia winy za fiasko japońskiej operacji na Richarda Cocksę. Ten jednak już przed wyjazdem z Japonii wyraźnie się załamał, a odwołanie do kraju całkiem zabiło w nim tak dotąd bujny temperament. Wyruszał w rejs jako człowiek zmęczony, przygnębiony, „drażliwej i kapryśnej dyspozycji”. Był też ciężko chory, bo wkrótce po wyjeździe z Hirado nabawił się niebezpiecznej choroby tropikalnej. Podczas długiej podróży do Londynu wydał ostatnie technienie. Pochowano go na morzu, „przy harmat wtórze”.

Edmund Sayers także zmarł przed powrotem do kraju. William Eaton wrócił więc do Anglii jako jedyny spośród założycieli faktorii. Uniknął kary, bo w trakcie prowadzonego przeciw niemu dochodzenia nabrał wody w usta. Wypytywany o rozwiazanie życia, jakie prowadził w Japonii, „chłodno a wymijająco się wysławiał”, toteż zniechęceni kupcy w końcu go odprawili. Choć dożył późnej starości, nigdy już nie pracował w Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Anglicy opuszczali wprawdzie Japonię niechętnie i bez tytułów do chwały, ale za to w samą porę. Tuż po ich wyjeździe Hideitadę zastąpił na tronie szoguna jego syn Iemitsu, znany sadysta. Pałał on namiętną nienawiścią do cudzoziemców i natychmiast zaczął ich tępić wyjątkowo barbarzyńskimi metodami. Pierwsi odczuli skutki jego gniewu jezuiści. Nielicznych, którzy pozostali jeszcze w Japonii, zamęczono w najbardziej makabryczny sposób, a wraz z nimi ich niezłomne owieczki. Potem przyszła kolej na portugalskich kupców. W roku 1637 wygnano ich — bez prawa

powrotu. Kiedy kapitan pewnego statku zlekceważył ten rozkaz, wszystkich obecnych na pokładzie wzięto w pęta i ścięto. Gniew szoguna nie ominął i Holendrów. Gdy zabrakło orędownika w osobie Adamsa, wypędzono ich z Hirado i osiedlono na wysepce Deshima w zatoce Nagasaki. Choć pozwolono im prowadzić handel na bardzo ograniczoną skalę, byli pod czujną obserwacją odcięci od wszelkich kontaktów z Japończykami.

W Kraju Wschodzącego Słońca nastął okres *sakoku* – epoka zamkniętych granic. Japonia dość już się napatrzyła cudzoziemcom i ich zjadłym wojnom bratobójczym. Po stu latach kontaktów odgrodziła się od świata, zamykając przed kupcami pełne bogactw rynki i miasta. Załogi nielicznych statków, które osiadały się przybijając do jej brzegów lub miały nieszczęście tam się rozbić, brano w niewolę, torturowano i zabijano.

Musiało minąć ponad dwieście lat, zanim Anglicy i inni Europejczycy znów zawitali do tej wschodniej krainy. Lecz gdy po dwustuletniej nieobecności zaczęli w Tokio zwiedzać pagody i świątynie, stwierdzili ze zdumieniem, że nazwisko Williama Adamsa nadal sławne jest jak kraj długi i szeroki. Opowiedziano im olśniewającą historię o tym, jak Adams wybił się na dworze szoguna, pełniąc rolę rzecznika i doradcy, nauczyciela i wyroczni. Na Japończykach głębokie i trwałe wrażenie wywarł jego tytuł *hamamoto*, posiadłość ziemską i przyjaźń z szogunem. Jedną z dzielnic Tokio nazwano na jego cześć Anjincho.

Jego imię przetrwało też w japońskich modlitwach. W uroczystym półmroku świątyni Jodoji nieopodal miejsca, gdzie stał dawniej miejski dom Williama Adamsa, rokrocznie zbierał się tłum wiernych, aby uczcić jego pamięć. Pielgrzymowali do Jodoji, ponieważ sam Adams w niej właśnie podobno się modlił.

Tam gdzie niegdyś z pokorą chylił głowę przed panteonem bóstw, po dwustu latach zgromadzeni pośród migotu lamp i świateł wspominali Anjin Samę – żeglarza z Limehouse, którego imię wciąż słynne było w całym kraju.

Powietrze gęstniało od dymu kadzidel, o zmierzchu były dzwony, a oni modlili się za duszę Samuraja Williama.

BIBLIOGRAFIA

William Adams i jego ludzie zostawili mnóstwo informacji o nowym życiu, które prowadzili w Japonii, lecz ich rękopisy – listy i dzienniki, w większości przechowywane w British Library – są bardzo trudne do odczytania. Do niedawna przeważająca ich część pozostawała nieopublikowana, a wiele spośród wcześniej wydanych ukazało się w wersjach, pozostawiających wiele do życzenia. I tak na przykład barwny pamiętnik Richarda Cocksa po raz pierwszy ukazał się nakładem Hakluyt Society w roku 1883, wiktoriański wydawca mocno go jednak ocenzurował.

Podczas zbierania materiałów do *Samuraja Williama* i w trakcie pisania książki miałem na szczęście dostęp do nowych, naukowo opracowanych wydań. Dwutomowa *The English Factory in Japan, 1613–23* Anthony'ego Farringtona, opublikowana w roku 1991 przez British Library, jest lekturą obowiązkową. Zawiera wszystkie listy i dzienniki okrętowe Adamsa oraz jego towarzyszy, a także księgi rachunkowe faktorii, testamenty i pamiętniki. Przyćmiewa wydane w roku 1850 nakładem Hakluyt Society dzieło Thomasa Rundalla *Memorials of the Empire of Japan in the XVI and XVII Centuries*.

Nieocenioną wartość ma też trzutomowa edycja dzienników Richarda Cocksa, wydana w latach 1978–81 (por. noty do rozdziału ósmego), zawierająca wszystkie materiały, których brak w wersji z roku 1883.

Wspaniałe dzieło Dereka Massarelli *A World Elsewhere, Europe's Encounter with Japan in the Sixteenth and Seventeenth Centuries*, wydane w roku 1990 nakładem Yale University Press, przedstawia szczegółową analizę działalności Anglików i Holendrów w Japonii oraz przyczyn upadku ekonomicznego faktorii w Hirado.

Dzieje katolickiego misjonarstwa w Japonii wciąż jeszcze są nie dość zbadane. Książka C.R. Boxera *Christian Century in Japan*, wydana przez Cambridge University Press w roku 1951, do dziś pozostaje podstawowym źródłem wiedzy na ten temat. Dobrym

jej uzupełnieniem może być praca Michaela Coopera *They Came to Japan: An Anthology of European Reports on Japan, 1543-1640* (wyd. Thames & Hudson 1965), zawierająca wiele informacji, zaczerpniętych z następujących pozycji: *Historia del Principio y Progreso de la Compania de Jesús en las Indias Orientales* padre Alessandra Valignano, *Historia do Japão* i *Cartas* padre Luisa Froisa oraz *Historia da Igreja do Japão* padre João Rodriguesa.

Książka Michaela Coopera *João Rodrigues's Account of Sixteenth Century Japan*, którą opublikuje niebawem Hakluyt Society, będzie jakże pożądanym suplementem do pracy tegoż autora *The Island of Japan, João Rodrigues's Account of 16th Century Japan* (wyd. Kodansha International, Tokio i Nowy Jork 1973).

Znakomity szkic tła historycznego sporządził Donald Lach w monumentalnym, bo aż dziewięciotomowym dziele *Asia in the Making of Europe* (University of Chicago Press, 1965-1993). Wiele wiadomości o Japonii, ściśle związanych z tematem niniejszej książki, znajdzie czytelnik w tomie trzecim, części czwartej, rozdziale dwudziestym trzecim. Nieocenionym źródłem może też być *Kodansha Encyclopaedia of Japan* (Kodansha, Tokio).

Nakłady wielu spośród wymienionych tu pozycji dawno już są wyczerpane. Innych — zwłaszcza wydanych po drugiej wojnie światowej — nie sposób zdobyć na Wyspach Brytyjskich. Najobszerniejszy zbiór materiałów na temat działalności Anglików w Japonii posiada tokijska Japan Foundation.

Pełne dane bibliograficzne o każdej książce podaje, wymieniając ją w poniższych notach po raz pierwszy.

Prolog, str. 13-17

Najbardziej soczysty i pikantny obraz świata, widzianego okiem człowieka z czasów elżbietzańskich, znajdzie czytelnik w dwunastotomowym dziele Richarda Hakluyta *The Principal Navigations, Voyages, Traffiques and Discoveries of the English Nation*. Autor pomieścił w nim materiał z pierwszej ręki, zebrany od kapitanów i marynarzy tuż po ich powrotach z dalekomorskich rejsów, toteż książka ta zawiera wielkie bogactwo wiadomości o Indiach, Afryce i obu Amerykach. Japonia, której żaden Anglik jeszcze wtedy nie był odwiedził, została tylko pokrótce wspomniana. Pierwsze wydanie rozszerzone ukazało się między rokiem 1598 a 1600, aby w latach 1903-1905 doczekać się wznowienia w ramach Hakluyt Society Extra Series.

William Adams należał do pokolenia ludzi o nieustannie poszerzających się horyzontach. Zupełnie podówczas nowemu przeświadczeniu, że cały świat stoi otworem, najbardziej wymownie i entuzjastycznie dał wyraz żeglarz arktyczny George Beste. Jego przedmowę do relacji z wyprawy Martina Frobishera z roku 1576 znaleźć można w książce *The Three Voyages of Martin Frobisher* (Hakluyt Society, 1867).

Rozdział pierwszy, str. 18-38

Skrótowe opisy podróży oraz bezpośrednie relacje pierwszych Europejczyków, jacy dotarli do Japonii — wraz z analizą ich wiarygodności — znajdzie czytelnik w rozdziale pierwszym *Christian Century in Japan* C.R. Boxera. Ilustrowane dzieło Michaela Coopera *Southern Barbarians, The First Europeans in Japan* (Kodansha International, 1971) skupia się na działalności jezuitów w Japonii i zawiera obszernie wyimki z Froisa i Rodriguesa. Wiadomości o wczesnych obieżyświatach portugalskich znaleźć też można w tomie czwartym monumentalnej pracy Georga Schurhammera *Francis Xavier, His Life, His Times* (Jesuit Historical Institute, Rzym 1982; zob. zwłaszcza str. 260 i następne, przypisy 95-118).

Pierwszy angielski przekład *Peregrinaçam* Fernão Mendesa Pinto, zatytułowany *The Voyages and Adventures*, ukazał się w roku 1663.

Losy rodziny Otomo dość szczegółowo omawia *The Cambridge History of Japan* (Cambridge University Press, 1993; zob. tom czwarty, opr. John Whitney Hall, str. 350-355).

Zarys historii Japonii z okresu *sengoku jidai* (wojen domowych) oparty został głównie na *A History of Japan during the Century of Early Foreign Intercourse, 1512-1651* Jamesa Murdocha i Isoh Yamagaty, po raz pierwszy wydanej przez Asiatic Society of Japan, Kobe 1903.

Angielski przekład relacji Jorge Alvareza ze spotkania z Japończykami umieszczony jest w pierwszym rozdziale *Christian Century of Japan* C.R. Boxera. Działalność Franciszka Ksawerego w Japonii wyczerpująco omawia w jego biografii Georg Schurhammer. W przypisach do tomu czwartego zawarte są obszernie cytaty z tekstów oryginalnych.

W książce C.R. Boxera *The Great Ship from Amazon* (Centro de Estudios Historicos Ultramarinos, 1959) znajdzie czytelnik naj-

celniejszą charakterystykę portugalskich kupców w Japonii, wraz z opisami kolejnych wypraw handlowych, jakie podejmowali oni rok po roku, i wyinkami z japońskich dokumentów państwowych.

Rozdział drugi, str. 39–58

Relacja z katastrofalnej wyprawy Peta i Jackmana (1580) do Japonii znajduje się w tomie trzecim *Principal Navigations* Richarda Hakluyta, zawierającym wskazówki Williama Borougha (str. 259–262), rady doktora Dee (str. 262–263), uwagi Richarda Hakluyta (str. 264–275) oraz dziennik podróży (str. 282–303).

A Historie of Travaile Richarda Willeisa ukazała się w roku 1577; opublikowane przez niego raporty z Chin i Japonii znajdzie także czytelnik w *Principal Navigations* Richarda Hakluyta. Twierdząc, że mężczyźni z Hokkaido noszą „monstrualne won-siska”, Willes bynajmniej nie dał się ponieść wyobraźni. Dowodem ilustracje w książce Savage'a Landora *Alone with the Hairy Ainu* (John Murray, 1893).

Góry lodowe przerażały wszystkich arktycznych żeglarzy i stanowiły poważne zagrożenie dla elżbietańskich galeonów. Barwny opis tych niebezpieczeństw zawiera *A True Report* Thomasa Illisa w pracy *The Third Voyage of Martin Frobisher to Baffin Island* (opr. James McDermott, Hakluyt Society, 2001, str. 197–200).

Biografie Williama Adamsa wymieniono w przypisach do rozdziału piątego. Adams jako czeladnik Nicholasa Digginsa z pewnością miał okazję czytać *A Regiment for the Sea* Williama Bournea (wyd. 1577), *Art of Navigation* Martina Cortesa (wyd. 1561 w przekładzie Richarda Edena) i *Spieghel der Zeeruaert* Lucasa Waghenaata (wyd. 1585). W roku 1598 był już doświadczonym nawigatorem, a z jego listów wynika, że posiadał przynajmniej kilka własnych przyrządów nawigacyjnych.

Rozdział trzeci, str. 59–81

Najobszerniejszy opis podróży Williama Adamsa do Japonii mieści się w trzytomowym *De Ries van Mahu en de Cordes* (wyd. Lindschoten Society, 1923–1925, opr. dr F.C. Wieder). Dzieło to zawiera ogrom wiedzy o kapitanach, załogach, wyposażeniu, uzbrojeniu i celach rejsów. Niestety, istnieje wyłącznie w wersji

holenderskiej. Jestem niesłychanie wdzięczny Marjolein van der Valk za przetłumaczenie obszernych jego fragmentów.

Krótszy opis teje podróży dostępny jest w przekładzie angielskim. *Recueil des Voyages* Constantine'a de Renneville'a z roku 1702 ukazało się po angielsku w roku 1703 jako *Collection of Voyages Undertaken by the Dutch East India Company*. Wyjątki z relacji Sebald de Weert w języku angielskim znajdzie czytelnik w drugim z dwudziestu tomów *Purchas His Pilgrims* Samuela Purchasa, wznowionym w ramach Hakluyt Society Extra Series, 1905–1907. Własną relację Williama Adamsa z podróży do Japonii, spisana zapewne w latach 1605–1611, przytacza Anthony Farrington w *The English Factory in Japan*.

Pewne drugorzędne informacje czerpałem również z innych źródeł z epoki. Uzupełniające wiadomości na temat szkorbutu znajdzie czytelnik u sir Richarda Hawkinsa w pracy *The Hawkins Voyages* (Hakluyt Society, 1878, str. 138 i dalsze) oraz w książce sir Jamesa Lancastera *Voyage to the East Indies* (Hakluyt Society, 1877). O niebezpieczeństwach, jakie niesie z sobą cisza morska, przeczytać można w *The Troublesome Voyage of Edward Fenton* (Hakluyt Society, 1959). O Wyspach Zielonego Przylądka pisze sir Richard Hawkins w *The Hawkins Voyages*. Jest też o nich mowa w opisie rejsu naokoło świata Thomasa Cavendisha z roku 1586 (patrz Richard Hakluyt, *Principal Navigations...*, tom 11, str. 291 i dalsze). O zmysłowych kobietach z Afryki Zachodniej pisze Pieter de Marees w pracy z roku 1602, wydanej po angielsku przez Oxford University Press w roku 1987 jako *Description and Historical Account of the Gold Kingdom of Guinea*.

Ogólne tło holenderskich wypraw badawczych trafnie szkicuje George Masselman w *The Cradle of Colonialism* (Yale University Press, 1963).

Rozdział czwarty, str. 82–103

Działalność Alessandra Valignano na Wyspach Japońskich dość szczegółowo omawia J.F. Moran w pracy *The Japanese and the Jesuits* (Routledge, 1993). Analizując podejmowane przez jezuitów próby asymilacji, autor pisze też o jezuitach pochodzenia japońskiego i o jezuićkiej drukarni w Japonii. Zamieszcza obszernie cytaty z prac Valignano, zatytułowanych *Sumario* i *Historia del Principio*, oraz z jego *Advertimentos*, znanych także w wersji angielskiej jako *The Customs and Ceremonies of Japan*. Działalność

jezuickiej misji omówiona została również w pracy *Christian Century in Japan* C.R. Boxera i w *Southern Barbarians* Michaela Coopera.

Praca *The Travels of Pedro Teixeira* zawiera fragmenty dwóch portugalskich relacji z przybycia „Liefde” do Japonii (Hakluyt Society, 1902): *Decada Decima* Diogo do Couto i *Relaçam Annual* Fernão Guerreiro.

Adams naprawdę bał się, że zostanie ukrzyżowany. Opis egzekucji, sporządzony przez Francesco Carlettiego, pochodzi z książki Michaela Coopera *They Came to Japan*.

Osaka wywierała ogromne wrażenie na wszystkich cudzoziemcach, podobnie jak pięknie urządzone wnętrza domów tamtejszych kupców. Opis padre Luisa Froisa i relację João Rodriguesa znajdzie czytelnik w *They Came to Japan*.

W języku angielskim ukazała się tylko jedna biografia Tokugawy Ieyasu: *The Maker of Modern Japan, The Life of Tokugawa Ieyasu* L. Sadlera (Allen & Unwin, 1937). Jego fortele i bitwy szczegółowo omawiają James Murdoch i Isoh Yamagata w dziele *A History of Japan*, poświęcając cały rozdział bitwie pod Sekigaharą.

Przebieg audiencji u Ieyasu najlepiej zrelacjonował Rodrigo de Vivero y Velasco, którego sprawozdanie znalazło się w *They Came to Japan*. Soczysty opis japońskiego więzienia, sporządzony przez ojca Diego de San Francisco, przytaczają Murdoch i Yamagata, tom 2, str. 604.

Rozdział piąty, str. 104–123

Istnieje kilka biografii Williama Adamsa i szereg esejów o nim. Większość tylko pobieżnie szkicuje jego stosunki z Sarisem, Cocksem i resztą Anglików w Japonii.

The First Englishman in Japan P.G. Rogersa (Harvill Press, 1956) przedstawia solidny zarys ogólny; *Servant of the Shogun* Richarda Tamesa (Paul Norbury Publications, 1981) to praca krótka, lecz dość wiarygodna. Spośród starszych relacji wymienić warto artykuł Arthura Diosy *In Memory of Will Adams* w „Transactions and Proceedings of the Japan Society”, 6, Londyn 1906, i *Englishman and Samurai: The Story of Will Adams* w „Far Eastern Quarterly”, 5, Wisconsin 1945. Z nowszych tekstów wspomnieć należy opracowanie Williama Corra *Adams the Pilot* (Japan Library, 1995) i *Orders for the Captain* (Wild Boar Press, Sakai 1999, wydanie prywatne). Obie ostatnie prace zawierają interesujący mate-

riał, wymagają jednak od czytelnika pewnej znajomości tła historycznego.

O Adamsie jako budowniczym statków wiele dowiedzieć się można z jego własnych listów; barwną anegdotę o bracie Juanie de Madrid przytacza Cocks w liście do sir Thomasa Wilsona z dziesiątego listopada 1614 roku. Nielatwo ustalić, jakie były dalsze losy pozostałych niedobitków z załogi „Liefde”. Wspomina się o nich w holenderskich relacjach, a ich nazwiska pojawiają się niekiedy w listach Cocks'a i jego ludzi.

Opis Nagasaki częściowo oparto na malowidłach, zdobiących japońskie parawany, zwane *byobu*. Epizod „Nossa Senhora de Graça” (znanej także jako „Madre de Deus”) bardzo szczegółowo relacjonuje C.R. Boxer w artykule *The Affair of the Madre de Deus* w „Transactions and Proceedings of the Japan Society”, 26, 1929. *Histoire de la Religion Chrétienne au Japon, 1598–1651* Leona Pagèsa (Charles Douniol, Paryż, 1867–1870) zawiera dobry opis tej bitwy morskiej. Bliższych szczegółów na temat przybycia Jacques'a Specksa i jego ludzi do Japonii dostarczają następujące książki: *Hollanders in Hirado* W.Z. Muldera (Fibula van Dishoeck, 1985), *A World Elsewhere* Dereka Massarelli i *The English Factory in Japan* Anthony'ego Farringtona. Warto też zajrzeć do pracy C.R. Boxera *Jan Compagnie in Japan* (Martinus Nijhoff, Haga 1936).

Relację z wizyty Specksa na dworze szoguna zawiera tom siódmy dziesięciotomowego wydania *Recueil des Voyages Constantine'a de Renneville'a* z roku 1725. O przebiegu poselstwa Sebastiana Vizciano opowiada Michael Cooper w *They Came to Japan*. Przed Vizcianem przybył do Japonii hiszpański gubernator Filipin, Rodrigo de Velasco y Vivero, którego sprawozdanie zamieszczono w tymże tomie. Polecam też *The Origin of Spanish and Portuguese Rivalry in Japan* E.M. Satowa w „Transactions of the Asiatic Society of Japan”, 18, Tokio 1890.

Rozdział szósty, str. 124–144

Ogólny zarys dziejów Kompanii Wschodnioindyjskiej najlepiej przedstawia John Keay w znakomitym dziele *The Honourable Company* (HarperCollins, 1991). Również trafne (choć nieco przestarzałe) wersje zawiera *The East India Company* Marguerite Wilbur (Stanford University Press, 1945), a także dwutomowe *Ledger and Sword* Becklesa Wilsona (Longmans, 1903).

Mój opis Bantamu pochodzi głównie z dziennika Edmunda Scotta, zamieszczonego w *The Voyage of Sir Henry Middleton to the Moluccas, 1604–1606* (Hakluyt Society, 1943), a także z dzienników okrętowych innych kapitanów jakobińskich, którzy jak jeden mąż określali tamtejsze powietrze mianem „zaśmiardłej potrawki”.

Dziennik podróży „Globu” znajdzie czytelnik w pracy *Peter Floris, His Voyage in the Globe* (Hakluyt Society, 1934). Dalsze informacje o angielskiej faktorii w Syjamie przytacza John Anderson w *English Intercourse with Siam in the 17th Century* (Kegan Paul, 1890). Znakomity szesnastowieczny opis Indii Wschodnich i Indochin zawiera *Voyage to the East Indies* Johna Huyghena van Linschotena (Hakluyt Society, 1885). Listy Antheunisa i jego ludzi ukazały się w zbiorze *Letters Received by the East India Company* (w sześciu tomach, nakładem rozmaitych wydawców, 1896–1902).

Szczegółowsze omówienie korespondencji króla Jakuba I z szogunem znajdzie czytelnik w artykule Dereka Massarelli *James I and Japan*, „*Monumenta Nipponica*”, 38, Tokio 1983.

W suplementach do dziennika podróży Sarisa do Japonii, zatytułowanego *Voyage to Japan, 1613* (Hakluyt Society, 1900), zawarte są listy i raport kapitana o wschodnich towarach. W wydaniu tym omówiono jedynie podróż z Bantamu do Hirado i miesiące, które Saris spędził w Japonii. O wcześniejszych etapach tego rejsu pisze Takanobu Otusuka w *The First Voyage of the English to Japan by John Saris* (dwa tomy, Tokio 1941). Z *Letters Received* dowie się czytelnik szczegółów o konfliktach na statku.

Rozdział siódmy, str. 145–168

Wiadomości o przybyciu „Goździka” do Japonii znaleźć można głównie w *Voyage to Japan* Johna Sarisa i w dzienniku Richarda Cocksa (zob. noty do rozdziału ósmego).

Liczne źródła europejskie podają przykłady ławności, z jaką Japończycy dopuszczali się aktów przemocy. Spostrzeżenia padre João Rodriguesa, przełożone na angielski w *They Came to Japan* Michaela Coopera, zaczerpnięto z *Historia da Igreja do Japão* tegoż mnicha.

Nazwisko Li Tana często pojawia się w listach Anglików. Najbardziej pouczającą analizę jego działalności handlowej przedstawia Seiichi Iwao w swoim artykule *Li Tan, Chief of the Chinese Residents at Hirado* („*Tokyo Bunko Memoirs*”, 17, Tokio 1958).

Hirado jest dziś miejscowością nowoczesną, choć prowincjonalną. Nie zachował się tam żaden ślad dziesięcioletniej obecności Anglików. Planuje się zbudowanie w śródmieściu kilku pseudo-jakobińskich domów.

Rozdział ósmy, str. 169–189

„Napomnienia” kapitana Sarisa przytacza Anthony Farrington w *The English Factory in Japan*. Cocksovi poświęcono w ostatnich latach szereg artykułów. Najlepszy z nich jest tekst Dereka Massarelli *The Early Career of Richard Cocks* w „*Transactions of the Asiatic Society of Japan*”, seria trzecia, 20, Tokio 1985. Warto też przeczytać szkic Michaela Coopera *The Second Englishman in Japan* w „*Transactions of the Asiatic Society of Japan*”, seria trzecia, 17, Tokio 1982. Polecam również Anthony’ego Farringtona *Some Other Englishmen in Japan* w „*Transactions of the Asiatic Society of Japan*”, seria trzecia, 19, Tokio 1984.

Przez długie lata jedyną łatwo dostępną edycją dziennika Cocksa pozostawało dwutomowe wydanie Hakluyt Society z 1883 roku, w którym pominięto wiele interesujących spostrzeżeń. Z czasem wyrugowała je znakomita wersja Shiryō Hensan-jo, zatytułowana *Diary kept by the head of the English factory in Japan — Diary of Richard Cocks, 1615–1622* (trzy tomy, Historiographical Institute, Tokio 1978–1981). Niestety, dzieło to ukazało się w bardzo niewielkim nakładzie.

Chaotyczne raporty Cocksa przytacza Anthony Farrington w *The English Factory in Japan*, warto też jednak zajrzeć do pracy Petera Pratta *History of Japan Compiled from the Records of the English East India Company* (dwa tomy pod redakcją M. Paske-Smitha, wyd. J.L. Thompson, Kobe 1931). Rzetelny, choć krótki opis działalności faktorii angielskiej zawiera artykuł L. Riessa *History of the English Factory at Hirado, 1613–22* w „*Transactions of the Asiatic Society in Japan*”, 26, Tokio 1898. Zob. też M. Paske-Smitha *A Glimpse of the English House and English Life at Hirado, 1613–1623* (Kobe 1927). W ostatnich latach w „*Study of Hirado City History*”, wydawanym przez Hirado Historiography Committee, ukazał się szereg nowych artykułów na ten temat. W numerze trzecim (listopad 1997) zamieszczono rzut poziomy budynków angielskiej faktorii. Z tego, jak placówkę tę zakładano, najdokładniej zdał sprawę Derek Massarella w *A World Elsewhere*.

Opowieść Francesco Carlettiego o prostytutkach z Nagasaki umieścił Michael Cooper w *They Came to Japan*. Inne fascynujące szczegóły, dotyczące japońskiej schludności, kuchni, architektury i sztuki, znajdzie czytelnik w *This Island of Japon* padre João Rodriguesa. Jest tam między innymi obszerny opis ceremonii herbacianej.

Michael Cooper w *They Came to Japan* przytacza opis zabiegu akupunktury, będący dziełem padre Lourenço Mexii. Zob. też tom trzeci (str. 263 i dalsze) *History of Japan* Engelberta Kaempfera, wznowionej w Glasgow w roku 1906.

Rozdział dziewiąty, str. 190–214

Relację z powrotu Sarisa do Anglii zaczerpnięto ze wstępu do jego *Voyage to Japan, 1613* i z rozmaitych wzmianek w *Calendar of State Papers* (Colonial Series, tomy 2–4, 1862–1878).

Istnieją dwa drukowane opisy podróży Adamsa na Riukiu. Jeden zawarty jest w *The Log Book of William Adams, 1614–19*, zamieszczonym w „Transactions and Proceedings of the Japan Society”, 13, część 2, 1915. Opis drugi przytacza Anthony Farrington w *The English Factory in Japan*. Oryginalny rękopis przechowywany jest w Bodleian Library.

Informacje o działalności misji jezuickiej i o edykcje, którą Ieyasu wydał przeciwko chrześcijanom w roku 1614, pochodzi głównie z *Christian Century in Japan* C.R. Boxera. Zob. też *Southern Barbarians* Michaela Coopera oraz *The Life of Tokugawa Ieyasu* L. Sadlera. Oblężenie Osaki szczegółowo omówili James Murdoch i Isoh Yamagata w swojej *History of Japan*. Żywszą i barwniejszą relację, opartą na listach z epoki, znajdzie czytelnik w *Histoire et description générale du Japon* Pierre’a François Xaviera de Charlevoix (dwa tomy, Paryż 1736).

Dziennik Rowlanda Thomasa z podróży „Hosianderem” zamieścił Anthony Farrington w swojej *The English Factory in Japan*, tom drugi, str. 1030–1044.

Rozdział dziesiąty, str. 215–237

Wiadomości ze Wschodu wędrowały do Londynu całymi latami. Najbardziej kompletny zbiór dokumentów znaleźć można w *Letters Received* i w *Calendar of State Papers*. Zaledwie niznacz-

ną część korespondencji katalogowano w owych czasach na bieżąco: w pewnej relacji z roku 1682 czytamy o rozmaitych listach i pamiątkach, które „niczym groch z kapustą na poddaszu gmachu [Kompanii] zwalono”.

Dziennik wyprawy Williama Keelinga z roku 1607 opublikował Samuel Purchas w *Purchas His Pilgrims* (tom drugi). Dziennik Keelinga z roku 1615 wydali ze swoimi przypisami Michael Strachan i Boies Penrose w *The East India Company Journals of Captain William Keeling and Master Thomas Bonner, 1615–1617* (University of Minnesota Press, Minneapolis 1971). Dziennik Johna Jourdaina, w którym autor opowiada o swoim pobycie na Wschodzie, ukazał się jako *The Journal of John Jourdain, 1608–1617* (Hakluyt Society, 1905).

Sporządzony przez François Carona opis rytualnego samobójstwa znajdzie czytelnik w *They Came to Japan* Michaela Coopera.

Informacje o chrześcijaństwie w Japonii zawiera także *Histoire de la Religion Chrétienne au Japon* Page’a. Zjawisko narastania wrogości wobec chrześcijan szczegółowo omówił George Elison w *Deus Destroyed: The Image of Christianity in Early Modern Japan* (Harvard University Press, 1973), obszernie cytując teksty z epoki.

Rozdział jedenasty, str. 238–251

Rozdział ten niemal w całości oparto na dzienniku Richarda Cocksa i *The English Factory in Japan* Anthony’ego Farringtona. Inwentarz majątku ruchomego Richarda Wickhama podano w *The English Factory in Japan*, tom pierwszy, str. 729–736.

Również w *The English Factory in Japan* zawarty jest opis podróży Adamsa do Ajutthai oraz rejsu „Bożym Darem” do Kocuchiny. Tę ostatnią podróż udokumentował też Edmund Sayers w *The English Factory in Japan*, tom drugi, str. 1128–1140.

Rozdział dwunasty, 252–269

Fragment dziennika Richarda Cocksa, obejmujący okres od stycznia 1619 roku do grudnia 1620, zaginął. Informacje o wydarzeniach z tych lat zaczerpnięto z listów kierownika faktorii w Hirado i jego podwładnych. Najlepsze listy pisywał Cocks do swojego wieloletniego przyjaciela, sir Thomasa Wilsona.

Dzieje walk o Wyspy Korzenne, a zwłaszcza o archipelag Banda, opowiedziałem w książce *Nathaniel's Nutmeg: How One Man's Courage Changed the Course of History* (Hodder & Stoughton, 1999). Jest tam również opis napaści japońskich piratów na jakubińskiego podróżnika, sir Edwarda Michelbourne'a.

George Masselman w *The Cradle of Colonialism* szeroko omawia katastrofalną wyprawę sir Thomasa Dale'a i śmierć Jourdaina. O pobycie Dale'a w Wirginii piszę w *Big Chief Elizabeth: How England's Adventurers Gambled and Won the New World* (Hodder & Stoughton, 2000).

Rozdział trzynasty, str. 270–288

Upadek jezuitów dość drobiazgowo analizuje C.R. Boxer w *Christian Century in Japan*. Pojedyncze przypadki prześladowań omawia Masakaru Anesaki w szczegółowej pracy *Concordance to the History of Kirishitan Missions* (suplement do tomu szóstego), 1930. Do najciekawszych świadectw należą te, które pochodzą z ówczesnych źródeł jezuickich. Zob. *A Briefe Relation of the Persecution Latelly Made Against the Catholike Christians in the Kingdome of Japonia* Pedro Morejona (St. Omer, 1619, przekład Williama Wrighta); *Exhortation to Martyrdom* (wyniki zamieszczone w *Christian Century in Japan* C.R. Boxera) oraz *The Palme of Christian Fortitude* (St. Omer, 1630, przekład Edmunda Sale'a). Makabryczne opisy tortur zawiera praca *A True Description of Mighty Kingdoms of Japan and Siam* François Carona, napisana w roku 1636, lecz wydana po angielsku dopiero w 1663. Edycja C.R. Boxera (Argonaut Press, 1935) zawiera też przerażający opis publicznych spaleń, sporządzony przez Rejera Gysbertsa, po raz pierwszy ogłoszony drukiem w roku 1637.

Testament Adamsa publikowano kilkakrotnie; najdokładniejszą wersję przytacza Anthony Farrington w *The English Factory in Japan*. Więcej o Flocie Obrończej pisze Derek Massarella w *A World Elsewhere*, przy czym jako jeden z nielicznych autorów dokładnie rozpatruje przyczyny jej porażki.

William Eaton — jedyny pracownik faktorii, który zdołał wrócić do Anglii — musiał mieć żelazne zdrowie, skoro dożył późnych lat sześćdziesiątych siedemnastego wieku. W Kompanii Wschodnioindyjskiej rozważano wtedy możliwość powrotu do Japonii; skontaktowano się więc z Eatonem, zamieszkałym w Highgate.

On jednak odrzucił propozycję, toteż plany londyńskich kupców spełzyły na niczym.

Liczne próby odszukania potomków Williama Adamsa zakończyły się fiaskiem. W długim okresie *sakoku* (epoce zamkniętych granic) każdego, kto miał domieszkę cudzoziemskiej krwi, skazywano na banicję pod groźbą śmierci. Gdyby nawet Joseph Adams dochował się dzieci lub wnuków, z pewnością zataiłby ich angielski rodowód.

SPIS ILUSTRACJI

Holenderska mapa, ok. 1596	13
Portugalscy kapitanowie	20
Wręczenie darów w Japonii	26
Mieszkańcy Kiusiu	31
Mnisi buddyjscy	35
<i>Seppuku</i> – rytualne samobójstwo w stylu japońskim	42
Wykwintni arystokraci japońscy	46
Miecz samurajski	51
Pięć statków holenderskiej floty kupieckiej	60
Mapa wyspy Praja	63
Wódz afrykański z przylądka Lopez	67
Pingwiny w Cieśninie Magellana	71
Tubylcy z południowego krańca Ameryki	73
Atak na flotę holenderską w Cieśninie Magellana	78
Jezuici w Nagasaki	85
Ukrzyżowanie po japońsku	91
Twierdza w Osace	93
Ieyasu	94
Japoński piechur i jezdny	103
Japoński statek spacerowy	106
Chłopi pańszczyźniani podczas uprawy ryżu	112
Sztuka noszenia kimona	114
Kupcy miejscowi i cudzoziemcy w Bantamie	128
Królowa Pattani i jej korowód słoni	134
Scenka uliczna z Kioto	141
Japońskie damy	149
Reda w Osace	156
Tokaidō, Wielki Trakt	158
Wielki Budda w świątyni Sanjūsangendō nieopodal Kioto ..	161
Pałac w Kioto	164
Faktoria holenderska w Hirado	173
Rybacy z Hirado	176

Przyrządzanie posiłku	183
Japońska straż przyboczna	187
Japońskie prostytutki	199
Zbrojni w arkebuzach żołnierze Ieyasu	207
Zdobycie twierdzy w Osace	211
Grajkowie	216
etykieta na dworze japońskim	231
Japońskie tortury	234
Japońska świątynia	248
Samuraj	256
Pałac szoguna w Edo	264
Publiczne obwieszczenie egzekucji	276
Publiczne palenie skazańców	278

SPIS MAP

Podróż do Japonii	10–11
Japonia	23
Azja Południowo-Wschodnia	126

Str. 15, 60, 63, 67, 71, 73, 78: *De Ries van Mahu en de Cordes*, Lindschoten Society, 1923. Str. 20, 85: detale z *namban byaku* pędzla Kano Nizena, wczesne lata XVII w., Kobe. Str. 31, 33, 43, 46, 93, 106, 114, 149, 156, 158, 161, 164, 173, 176, 187, 199, 207, 311, 216, 248, 256, 264, 276: *Atlas Japannensis* Arnoldusa Montanusa, 1670. Str. 51, 94, 183: reprodukowane za łaskawą zgodą Okura Shukokan Museum, Tokio. Str. 91, 231: z C.R. Boxera *A True Description of the Mighty Kingdoms of Japan and Siam*, 1953. Str. 102: z *zohyo monogatari*. Str. 112: detal z *tawara-kasane kosaku emaki*; Tokio. Str. 128: z *Premier livre de l'histoire de la navigation aux Indes orientales* Nicolasa Tigaulta, 1609. Str. 134: z *India orientales* Johanna Theodora de Bry i Johanna Israela de Bry, 1607. Str. 141: z *miyako meisho zu byobu*, Tokio. Str. 234, 278: z *De christianis apud Iaponicos triumphis*, 1623.

Indeks nie obejmuje *Podziękowań* i *Bibliografii*.

skrót: g. — góra, góry; kol. — kolonia; m. — miasto, miejscowość; ob. obecnie; plw. — półwysep, rz. — rzeka; w. wyspa, wyspy; zat. — zatoka.

- Adams Deliverance, córka Williama i Mary 58, 113, 193, 215, 280
- Adams Joseph, syn Williama i Oyuki 199, 280, 285
- Adams Mary ur. Hyn, żona Williama 56, 58, 111, 113, 114, 193, 215, 216, 121, 280
- Adams Oyuki, żona Williama 114, 199, 233, 280, 285
- Adams Susanna, córka Williama i Oyuki 199, 263, 280
- Adams Thomas, brat Williama 59, 60, 76
- Adams William (zw. Anjin Sama, 1564–1620), żeglarz ang. *passim*
 - przybycie do Japonii na statku „Liefde” (12 IV 1600) 13
 - dzieciństwo i młodość 55
 - nauka u cieśli okrętowego Nicolasa Digginsa 56
 - posada w Londyńskiej Kompanii Handlu z Berberią 56
 - ślub z Mary Hyn 56 zob. też Adams Mary
 - córka z Mary zob. Adams Deliverance
 - zaokrętowany na statku dostawczym „Richard Duffield” 56
 - nauka nawigacji 57
 - rejsy handlowe 58
 - na statku „Hoop” nawigatorem 59
 - wyprawa kupiecka do Japonii 59–81
 - śmierć brata 76 zob. też Adams Thomas
 - pierwsza audyencja u Tokugawy 93
 - konflikty z jezuitami 107
 - próby nawrócenia przez João Jodriguesa 107
 - kupno domu w Edo 111
 - posiadłość wiejska Hemi 111 zob. też Hemi
 - uzyskanie prawa własności do majątku 163
 - otrzymuje stopień chorążego (*hamamoto*) 112
 - zarzucenie obyczajów europejskich i przejęcie japońskich 113
 - przyjmuje imię nadane przez Japończyków Anjin Sama (Pan Pilot) 113
- ślub z Magome Oyuki 114 zob. też Adams Oyuki
 - córka z Oyuki zob. Adams Susanna
 - syn z Oyuki zob. Adams Joseph
- zatrudniony w Kompanii Wschodnioindyjskiej 167
- nieslubny syn 199, 280
- remont dżonki „Morska Przygoda” (1614) 200
- kurs na Wielką Riukiu 200
- opuszczenie wyspy 201

– pogorszenie stosunków z Cocksam 210
– wyprawa do Ajutthai (1616) 243
– zakup i wyposażenie dżonki „Boży Dar” 244
– napad na dżonkę 245
– wyprawa do Kochinchiny (1617) 245
– testament 279, 280
– kult po śmierci 288
Afryka 16, 39, 43, 60, 62, 65, 68
Afryka Północna 56, 58, 61
Afryka Zachodnia 217
Ajutthai, m. 136–139, 243, 283
Akuno-ura, m. 225
Alexander John 255
Alphonso, zakonnik 271
Alvarez Jorge kapitan 29, 30
Amboyna (ob. Ambon), w. 220
Ameryka 43, 45, 60, 72, 73, 234
Ameryka Południowa 45, 59, 68
Ameryka Północna 16
Amsterdam 282
Ange zob. Adams William
„Angell” (statek) zob. Wyprawy morskie
Anglia 40, 43, 45, 46, 51, 52, 56, 61, 90, 92, 96, 106, 113, 114, 121, 130, 132, 136,
146, 152, 154, 156–158, 162, 163, 165, 167, 169, 170, 173, 174, 187, 189, 190,
193–195, 214, 217, 219, 222–224, 226, 230, 233, 237, 253, 254, 239, 248, 249,
251, 252, 260, 261–281, 285–287
Anglicy 14, 44, 45, 46, 48, 51, 53, 56, 58–60, 66, 69, 97–99, 105, 107, 109–113,
118, 121–124, 127, 129, 135–138, 143, 150–153, 155, 156, 158–160, 163, 165,
166, 168, 169, 172, 173, 175, 177–182, 185, 186, 188, 189, 194–196, 198–200,
205, 211–213, 216, 218, 220, 221, 224–230, 233, 235, 236, 237, 240–244,
244–248, 250, 255–269, 272–274, 277, 280–283, 285–288
Anjin Sama zob. Adams William
Anjincho zob. Tokio
Anjiro (Bernard), Japończyk chrześcijanin 30, 32
Annabon (Anna-Bueno), w. 64, 68
Antheunis Lucas 127, 129, 130, 133, 136–139, 152, 243, 283
Appolonario, franciszkanin 210
Arabia 128, 142
Argentyna 70
Arima, Japończyk chrześcijanin 203
Arima Harunobu (zm. 1620), możnowładca 116, 117, 203
Arktyczny Ocean (Arktyczne Morze, Lodowaty Ocean) 15
Arktyka 43
Astrachan 40
Atlantyk 14, 58, 60–62, 68, 79, 190
Azja 48, 218, 234, 266
Azja Południowo-Wschodnia 126, 127
Azjaci 82

„Baczność” (statek) zob. Wyprawy morskie
Ball George, pracownik faktorii 249–251, 257
Banda, w. 126, 220, 255, 256, 283
Bangkok 126, 136
Bantam, m. 122–128, 131–133, 139, 140, 142, 143, 173, 177, 182, 184, 190, 202,
212, 219–223, 226, 239, 240, 249, 252, 253, 257, 260, 279
Barentsa Morze 48
Barne George 39, 40, 43–45, 57
Bayonne 170, 247
Belchior, jezuita 36
Bengalska Zatoka 131
Benoit, syn Marthe 275
Best Thomas, kapitan 217
Beste George, żeglarz 16
Beuningen van, kapitan 62, 63, 76, 77
Białe Morze 16, 45, 48
Birna 128
Biskajska Zatoka 61
Bishop Richard, marynarz 130
„Blijde Boodschop” (statek) zob. Wyprawy morskie
Bonin, w. 81
Borneo 119, 132
Borough William, żeglarz 45, 50
Boules John 165
Bourne William 57
 A Regiment for the Sea (Instrukcja morska) 57
„Boży Dar” (dżonka) zob. Adams William
*Briefe Relation of the Persecution Lately Made Against the Catholike Christians in
the Kingdome of Japonia* 272
Brouwer Hendrick, kapitan 151–153
Browne Robert, kupiec 130, 131
Brytyjskie Wyspy 46
Bubukari, władca Komorów 142
Bungo, lenno 17–22, 24, 25, 28, 37, 81, 83, 85, 86, 88–90
 – przybycie portugalskich kupców (1544) 17
 – przybycie Williama Adamsa (1600) 81
 – napady pirackie 90
Bungo władca zob. Otomo Yoshiaku
Bungo władcy syn zob. Otomo Yoshishige
Butung, w. 143
„Byk” (statek) zob. Wyprawy morskie
Cambal zob. Pekin
Carletti Francesco (1594–1606), podróżnik florenetyński 90, 177
Caron François, podróżnik hol. 227
Carvalho Diego, jezuita 178
Carvalho Valentim, prowincjał zakonu jezuitów 107, 205
Carvarden Walter, pracownik faktorii 172, 197, 199, 214, 244–247, 279
Cavendish Thomas (1560–1592), podróżnik ang. 59, 65

Celebes 143
 Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego 14
 Chancellor Nicholas, kupiec ang. 44
 Chatham, m. 55
 Chile 221
 Chiny 7, 16, 29, 36, 40, 41, 44, 49, 52, 79, 88, 89, 124, 247-251, 281
 Chińczycy 14, 15, 41, 50, 197, 249, 250, 260, 285
 Cholmogory 40
 „Cipangu” zob. Japonia
 Coaker John 268
 Cockram Joseph, kapitan 285, 286
 Cocks Richard, pracownik faktorii 153, 155, 160, 165-167, 169-178, 180-191, 194-200, 202, 203, 210-214, 216, 220, 222, 223, 235-241, 243-254, 257-271, 273-282, 284-287
 – objęcie dowództwa „Goździka” 155
 – przybycie do Kamakury 160
 – kłopoty z załogą „Goździka” 165, 166
 – kontrakt z Kompanią Wschodnioindyjską (1613) 167
 – kierownictwo faktorii 169
 – pisanie pamiętnika 169
 – lata spędzone w Anglii 170
 – rozbudowa placówki handlowej 173
 – kupno domu (1614) 174
 – służba japońska 175
 – kochanka Matinga 178
 – ogrodnictwo i hodowla złotych rybek 180
 – choroba 183
 – świadkiem egzekucji 185
 – krytyka brutalnych rządów króla Foyne 186
 – przyjaźń z Specksem 188
 – udział w święcie Bon 188
 – kłopoty z handlem 194
 – niewierna kochanka 198
 – marzenia o rozszerzeniu działalności handlowej 199
 – pogorszenie stosunków z Adamsem 210
 – pogłoski o rozwiązłym życiu 216
 – na granicy bankructwa 220
 – podróż do Edo 228
 – na dworze Hidetady 230
 – kłopoty z Wickhamem i Nealsinem 240, 241
 – trudności finansowe 247
 – ojcem chrzestnym córki Li Tana 248
 – ocena pracy wydana przez Balla 250, 251
 – atak Holendrów 266, 267
 – świadkiem egzekucji chrześcijan 275, 276
 – wykonawcą testamentu Adamsa 280
 – wyjazd z Japonii (1624) 286
 – śmierć w drodze do Anglii 287
 Colphax Simon, marynarz 165

Coning Gisbert de, marynarz 91, 197
 Cook James (1728-1779), żeglarz ang. 80
 Coppindale Ralph, kapitan 213, 214
 Cordes Simon de, wiceadmiral 61, 64, 66, 68, 72-74, 77
 Cortés Martin 57
 – *Art of Navigation* (Sztuka nawigacji) 57
 Courthope Nathaniel 255
 Couto Diogo de 36, 88
 Cuszima, w. 23, 194, 199
 Cuszimska Zatoka 194
 Cynceron (Marcus Tullius Cicero, 106-43 p.n.e.), rzymski mąż stanu 240
 „Czerwony Smok” (statek) zob. Wyprawy morskie
 Dale Thomas, admirał 266
 Daleki Wschód 40, 44, 45, 48, 52, 202
 Dee John (1527-1603), lekarz i astrolog ang. 45, 57
 Depford, m. 53, 54
 Deshima, w. 288
 Diggins Nicholas 56, 105
 Dobrej Nadziei Przylądek 16, 43, 84, 97, 130, 142
 Doi Toshikatsu, urzędnik 259
 Dorrington Henry, marynarz 212, 213
 Drake Francis (ok. 1540-1596), żeglarz ang. 53-57, 59, 70, 75
 Dunstana św. kościół zob. Londyn
 Dżahangir, Wielki Mogoł, panował 1605-1627 219
 Eaton Helena, córka Williama i Kamezo 198, 242, 286
 Eaton William, pracownik faktorii 171, 178, 188, 194-196, 199, 202, 205, 207, 225, 226, 228, 235-237, 242, 243, 250, 271, 279, 280, 282, 284, 286, 287
 – zostaje faktorem 171
 – związek z O-man zakończony oddaniem kochanki Wickhamowi 178
 – wyjazd do Osaki (1614) 194, 195
 – związek z Kamezo 198, 242, 286
 – bijatyka w Akuno-kurze 225
 – podróż do Edo 228
 – pobyt w Hemi u Adamsa 235
 – wykonawcą testamentu Adamsa 279
 – powrót do Anglii 286, 287
 Eaton William, syn Williama i Kamezo 198, 242, 286
 Edo (ob. Tokio) 23, 100, 101, 103, 106, 108, 111, 113, 114, 147, 152, 157, 158, 160, 162, 194-197, 200, 228, 229, 236, 237, 243, 244, 261-265, 280, 288 zob. też Tokio
 – Jodoji (świątynia) 288
 – Yemi Hochimada (świątynia) 263
 Elizabeth, córka Li Tana 248
 Ellis William, ang. misjonarz na Hawajach (1822) 80
 Elżbieta I Tudor (1533-1603), królowa Anglii od 1558 40, 46, 53-55, 58
 „Elżbieta” (statek) zob. Wyprawy morskie

Erazm z Rotterdamu (właśc. Gerhard Goerhards, ok. 1469–1536), filolog hol. 104
Essington Thomas, szypier 130
Europa 14, 17, 22, 27, 45, 48, 84, 87, 93, 96, 97, 205
Europejczycy 17, 19, 21, 34, 55, 86, 112, 161, 184, 189, 272, 288
Eurque, lokaj 175
Evans Christopher, marynarz 149, 164, 165

Faria Jorge de, żeglarz portug. 20
Farie Benjamin 243
Femage, kochanka Richarda Wickhama 178
Figen, wnuk króla Foyne 146, 151, 245, 258, 260, 261, 263, 265, 268
Filip II (1527–1598), król Hiszpanii od 1556 i Portugalii od 1580 43, 96
Filipiny 43, 78, 88, 95, 105, 106, 126, 229, 233
Finlandia 48
Fitch Ralph, podróżnik ang. 136
Floris Peter, przedsiębiorca ang. 127, 129–135, 138, 139
Foyne król zob. Matsura Shigenobu
Franciszek Ksawery (Francisco de Javier, 1506–1552), hiszp. jezuita 30–33
Francja 14, 170, 247
Frobisher Martin (ok. 1535–1594), żeglarz ang. 44, 47
Frois Luis, jezuita 21, 29, 41, 92, 93, 184
Fudzi, g. 111
Fukosho-ji zob. Kagoshima
Funai, m. 13, 18, 19, 21, 30, 34
Fursland Richard 283–286
Fushimi, m. 156, 228

Gama Duarte da, kapitan 36
„Geloof” (statek) zob. Wyprawy morskie
Gillingham, m. 55
„Glob” (statek) zob. Wyprawy morskie
Goa, stan w Indiach 137, 170
Gobi, pustynia 49
Goereesche Gap, kanał 59
Go-Tsuchimikado, cesarz Japonii, panował 1464–1500 28
Gorezano John, tłumacz 210–212
Gourden William, jeniec 267
„Goździk” (statek) zob. Wyprawy morskie
Gwinea 39, 45, 65
Gwinejczycy 67
Gysbertsz Reyer 274

Hakata, m. 155
Haklyut Richard (1552?–1616), ang. geograf 43–51, 145
 Podstawy nawigacji 145
Hangezou, m. 44, 45
Harrison William 157
 Opisanie Anglii 157

Harwich, m. 47
Hasegawa, namiestnik Nagasaki 273
Hawaje 79, 80
Hawkins Richard sir 62, 69
Hawkins William, żeglarz ang. 45
Hetzan zob. Kioto
Hemi, m. 23, 111, 112, 160, 163, 193, 194, 233, 235, 243, 280, 285
Henryk VIII Tudor (1491–1547), król Anglii od 1509 53
Heyward Rowland sir 40, 43–45, 57
Hidetada zob. Tokugawa Hidetada
Hideyori, infant zob. Toyotomi Hideyori
Hippon Anthony 130, 131, 135
Hirado, lenno 150, 270
Hirado, m. 145–147, 150, 151, 154, 155, 159, 162–166, 168, 169, 172, 173, 175–178, 180, 181, 183, 185, 186, 188–192, 194, 196, 197, 199, 200, 211, 213, 214, 216, 222–226, 232, 236, 237, 239–241, 243–245, 247–254, 256–261, 263, 265, 266, 268, 277, 280–285, 287, 288
 – Yasumadake (klasztor buddystów zen) 150
Hirado, w. 118, 143, 144, 146, 163, 212
Hirado, zat. 144, 175
Historia Turcji 169
Hiszpania 43, 74, 121, 154, 195, 202, 209
Hiszpanie 43, 53, 54, 74, 76–78, 95–97, 120, 121, 123, 142, 158, 170, 172, 195, 203, 205, 220, 224, 229, 231, 233, 242, 260, 272, 282
Hokkaido (dawn. Jezo) 43, 179
Holandia (Niderlandy) 14, 58, 59, 74, 96, 118–120, 260, 266
Holendrzy 57–59, 63, 64, 66, 67, 72, 76, 88, 89, 110, 119, 120, 122, 127, 130, 133, 135, 137, 138, 151–153, 167, 172, 192, 197, 202, 211, 212, 217, 220–223, 233, 242, 249, 254–263, 265–269, 274, 282–284, 288
Honda Masakumi zw. Kotsuke-no-suke, sekretarz szoguna 159, 160
Honda Masanobu, doradca Hidetady 230
Honno-ji, świątynia koło Kioto 248
Honsiu, w. 23
„Hoop” (statek) zob. Wyprawy morskie
„Hosiander” (statek) zob. Wyprawy morskie
Howard Henry lord 56
Hudson Richard 240
Hunt Richard, pracownik faktorii 220
Hyn Mary zob. Adams Mary

Iemitsu zob. Tokugawa Iemitsu
Ieasu zob. Tokugawa Ieasu
Iki, w. 171, 277
Indianie 76
Indie 16, 25, 30, 34, 45, 122, 124, 130, 132, 134–136, 139, 217–219, 222, 266
Indie Wschodnie 29, 58, 74, 78, 95, 96, 104, 118, 122, 124, 177, 217, 226
Indochiny 110, 124, 127, 129, 138
Indyjski Ocean 16, 43, 53
Inharadza, możnowładca 137

Ishibe, m. 262
 Ishida Mitsunari, władca 100, 101, 103
 Islandia 52
 Iwan IV Groźny (1530-1584), wielki ks. moskiewski 40
 Iwanogród 40

 Jackman Charles, kapitan 44-50, 52, 145, 179
 Jakub I Stuart (1566-1625), król Anglii od 1603 17, 129, 130, 134, 138, 141, 146, 159, 160, 162, 163, 232, 237, 246, 248, 249, 254, 258
 Jamaguchi, m. 34
 Jambi, m. 283
 Janszoon Pieter, cieśla okrętowy 105
 Japonia 13-21, 23, 25-27, 29, 30, 33-36, 38, 40, 41, 52, 79, 81-85, 88-90, 92-93, 97, 99, 100, 103, 104, 106, 107, 109-113, 116, 118-124, 127, 129, 132, 133, 135-140, 142-144, 146, 150, 152, 154, 157, 160, 161, 163, 166-172, 174, 176, 177, 181, 182, 184, 190-192, 196, 197, 201-206, 210, 212-215, 220, 232, 233, 225, 232, 234-237, 239-245, 250-253, 257, 260, 262, 266, 270-275, 278-381, 284, 286-288
 – wizje Europejczyków 14
 – mapy Mercatora i Wrighta 14
 – opis Marco Polo 14, 15
 – szlaki morskie do Japonii 16, 43
 – wygląd Japończyków 21
 – opis kraju 21, 41
 – kronika *Yaita-hi* 22
 – mapa 23
 – obyczaje związane z jedzeniem 26
 – „epoka straszliwych wojen domowych” (*seingoku jidai*) 27
 – zwyczaje 26, 27
 – samozwańczy tytuł cesarza „Władca Niebios” 27
 – dwór cesarski 27, 29
 – panowie feudalni (*daimyō*) 28
 – szogun (*sei taishōgun*) 28, 96
 – kaligrafia 29
 – teatr *no* 29
 – ceremonia picia herbaty 29
 – pobożność Japończyków 29
 – święto Bon 30, 188
 – kult szinto 30
 – mnisi ze szkoły *ji-shū* 31
 – sekta *hokke* 31
 – obyczaje mnichów japońskich 31
 – świątynie buddyjskie 31
 – chrześcijaństwo w Japonii
 – działalność misyjna św. Franciszka Ksawerego 34, 35
 – działalność jezuitów 30, 32, 33-35, 85, 107, 274
 – ośrodek jezuitów w Nagasaki 85
 – jezuicki szpital dla trędowatych w Bungo 85
 – franciszkanie 109

– edykt Tokugawy Ieyasu przeciw chrześcijanom 204
 – prześladowania chrześcijan 203-205
 – egzekucje chrześcijan 271, 274-277
 – Japończycy chrześcijanie 37, 38
 – samobójstwa (*seppuku*) 42, 227
 – więzienia 98
 – wojsko i sztuka wojenna 102, 105
 – stroje – kimono 114
 – prostytutka 148, 149, 177, 199
 – kult Buddy 161
 – pałac cesarski w Kioto 164
 – kuchnia japońska 182
 – medycyna naturalna, akupunktura 184
 – obrzędy pogrzebowe 227
 – tortury 234
 Japończycy 17, 20, 21, 24-26, 29, 30, 34, 35, 41, 42, 50, 82, 84-89, 95, 96, 98, 110, 116, 117, 129, 138, 140, 141, 147-151, 153, 155, 166, 174, 175, 177, 179-184, 189, 191, 192, 194, 194, 200, 203, 205, 238, 240, 255, 258, 260, 268, 272, 283, 288
 Japońskie (Wewnętrzne) Morze 23, 124, 155
 Japońskie Wyspy 17, 20, 42, 84, 122, 139, 191, 281
 Jasper, cieśla okrętowy 151
 Jawa 124, 126, 127, 129, 130, 132, 190, 219, 249, 254, 257, 266, 283, 284
 Jawajczycy 125, 220
 Jawajskie Morze 126, 133
 „Jerzy” (statek) zob. Wyprawy morskie
 Jesús Jeronimo de, franciszkanin 95
 „Jesús” (statek) zob. Wyprawy morskie
 Jezo zob. Hokkaido
 Jirobiyoe, przestępca 204
 Iodo-ji zob. Edo
 John Japan, tłumacz 142, 213
 Johnson John, szturman 130, 139
 Johnson Peter 135
 Jones Morris, lekarz okrętowy 213
 Jones Thomas, piekarz okrętowy 149
 Jorge Domingo, kupiec portug. 276
 Jourdain John, pracownik faktorii 219-221, 257, 266

 Kagoshima, m. 30-32
 – Fukusho-ji (klasztor) 31, 32
 Kamakura, m. 160, 161
 – Tokeyi (świątynia) 161
 Kambodża 254
 Kamezo, kochanka Williama Eatona 198, 242, 286
 Kamo, rz. 274, 275
 Kanmon, kanał 155
 Kanton, m. 36
 Kapsztad 190

Karelia, m. 40
Karskie Morze 48, 49, 179
Karskie Wrota, cieśnina 43
Kastylijczycy 200, 202
Kazań 40
Keeling Anna, żona Williama 218, 219, 223
Keeling William 217–223, 239, 240
– cechy osobowości 217
– zainteresowanie teatrem amatorskim 217
– ekspedycja (1607) 217
– projekt zabrania żony na wyprawę 218
– wyprawa „Czerwonego Smoka” (1615) 218
– pobyt w Bantamie 219–222
– wizyta Jorisa van Spilbergena 221
– powrót do Anglii (1616) 223
– prowadzenie prywatnego handlu 240
Kent, hrabstwo 55
Kioto (dawn. Mijako) 27, 28, 33, 34, 106, 141, 157, 158, 161, 164, 184, 208, 236, 237, 242, 262, 274, 276
– Heizan (uniwersytet) 333
– Księżycowego Kwiatu brama 34
– Słoneczników brama 34
Kitaj zob. Chiny
Kiusiu, w. 17, 22, 23, 31, 37, 88, 115, 143, 144, 146, 152, 155
Kocinchina (ob. Wietnam) 126, 194, 199, 244–247, 254, 279
Komory, w. 142
Kompania Moskiewska, angielska kompania handlowa 40
Kompania Wschodnioindyjska, angielska kompania handlowa 118, 124, 127, 129, 140, 163, 167, 168, 172, 179, 190–193, 215–218, 235, 239–243, 249, 253, 262, 282–283, 286, 287
Korea 199
Koreańczycy 155
Koreańska Cieśnina 194
Korzenne Wyspy zob. Moluki
Kraj Wschodzącego Słońca zob. Japonia
„Królewicz Jakub” (statek) zob. Wyprawy morskie
„Księżyc” (statek) zob. Wyprawy morskie
Księżycowego Kwiatu brama zob. Kioto

La Manche kanał 61
Lambart John, marynarz 165
Lancaster James, podróżnik ang. 60, 69, 124
Laos 137
Larrance, służący 176
Li Tan, przywódca kolonii chińskiej w Hirado 150, 151, 180, 197, 244, 248–251, 285
Limehouse zob. Londyn
Lindschoten John Huyghem van, hol. badacz Wschodu 137
Lisard, przyładek 106

Lizbona 170
Lodensteijn Jan Joosten van (1560–1623), podróżnik hol. 110, 138
Londyn 14, 38, 39, 44, 47, 52–56, 58, 90, 92, 93, 106, 111, 121, 122, 127, 140, 152, 155, 157, 160, 162, 170, 185, 190, 191, 193, 215, 217, 222, 223, 226, 229, 239, 250, 253, 265, 277, 282, 287, 288
– Dunstana św. kościół 39, 58
– Limehouse (dzielnica) 38, 39, 44, 47, 54, 58, 93, 111, 122, 152, 185, 215, 288
– Southwark (dzielnica) 52
– Stepney (dzielnica) 56
– Tower (twierdza) 39, 56, 92, 162, 229
– Wapping (dzielnica) 90
Londyńska Kompania do Handlu z Berberią 56
Lopez, przyładek 65, 67, 68
Luang Prabang, m. 137
Lucy, córka Tekli 275
„Lukowy”, kuchcik 175
Lyon William, żeglarz szkocki 74

„Labędź” (statek) zob. Wyprawy morskie

Machado Jean Baptiste, zakonnik 271
Machiavelli Niccolo (1469–1527), pisarz włoski 196
Macilipatnam, m. 130, 131
Madagaskar 142
Madeleine, ofiara egzekucji 275
Madрид Juan de, franciszkanin 108, 109
Magellan Ferdinand (Fernão de Magalhaes, ok. 1480–1521), żeglarz portug. w służbie hiszp. 79
Magellana Cieśnina 14, 43, 60, 62, 70, 71, 74, 78, 79, 97, 104
Magome Kageyu, teść Williama Adamsa 114, 196
Magome Oyuki zob. Adams Oyuki
Mahu Jacques (zm. 1586), admirał 59, 62, 64
Makasar, m. 126
Makau, w. 36, 37, 115, 116, 154, 165, 270, 284
Malajowie 137
Malajski Półwysep (Malaje) 30, 118, 126, 131–133, 262
Malakka, m. 16, 126
Mangosa, kupiec 246
Manila, m. 109
Manju-ji, klasztor 13
Mao Yuan 105
– *We Pei Chih* (O przygotowaniach do wojny) 105
Marayama Toan, namiestnik 273
Marchaumont, markiz 53
Marees Pieter de, hol. podróżnik 66
Maria, kochanka Edmunda Sayersa 198, 199, 286
Maria, pokojówka Li Tana 197, 198
Marthe, ofiara egzekucji 275

Matinga, kochanka Richarda Cocksa 178, 198, 224, 281, 286
Matsura Nabutoki 180, 260-262
Matsura Shigenobu (król Foyne), władca Hirado 145, 146, 147-151, 155, 165, 168, 175, 180, 185-187, 203, 237
Matsura, ród 145, 146
Maurycy Orański (1567-1625), namiestnik Niderlandów 119
Meksyk 95, 105
Menam, rz. 136-138
Mercator Gerardus (właśc. Gerhard Kremer, 1512-1594), kartograf flamandzki 14, 47
Meredith John, marynarz 143
Miguel, tłumacz 175
Mijako zob. Kioto
Miles James, marynarz 143
Ming, dynastia chińska 16, 35, 41, 214, 248, 249
Mitske, m. 262
Miura, plw. 111
Miyako-jima, w. 143
Mocha, w. 75, 77
Mokka, m. 142
Moluki (Wyspy Korzenne) 58, 74, 78, 119, 124, 126, 143, 154, 216, 217, 254, 255, 259, 283
Mongolia 49
„Morska Przygoda” (dżonka) zob. Adams William
Moskonia 16
Moskwa (Wielkie Księstwo Moskiewskie) 40
Mukai Shogen Tadakatsu, admirał 236
Myanmar zob. Pegu
Nagasaki, m. 37, 38, 85-89, 107, 110, 115-118, 177, 180, 200-202, 204, 205, 210, 244, 249, 270, 172-276
– azyl dla portugalskich kupców i księży 37
– chrzest (1562) władcy Omury Sumitady 37
– ośrodek jezuitów 85
– Santa Casa da Misericordia, klasztor 86, 89, 115, 273
– dobrze prosperujący port 115
– wizyta Adamsa i dżonki „Boży Dar” 244
– losy chrześcijan 270, 273, 274
– egzekucje chrześcijan 275, 276
Nagasaki, zat. 84, 115, 116, 143, 288
Nealson William (zm. 1620), pracownik faktorii 171, 172, 176, 194, 196, 198, 199, 213, 225, 240, 241, 247, 261, 262, 265, 277, 279
Niderlandy zob. Holandia
Ninshitsu, buddysta zen 31, 32
Noort Oliver van, hol. podróżnik 118
Norwegia 52
„Nossa Senhora de Graça” (statek) zob. Wyprawy morskie
Nowa Hiszpania, kol. hiszp. w Ameryce 120
Nowa Ziemia, w. 48

Nowogród 40

Oiso, m. 262
Oita, rz. 13
Okinawa zob. Wielka Riukiu
O-man, kochanka Williama Eatona 178, 242
Omura Sumitada (Dom Bartolomeu), władca Nagasaki 37, 38
Omura, lenno 271, 273
Osaka 91-93, 99, 101, 155, 156, 158, 194, 195, 199, 205-211, 228, 233, 236, 242, 243, 272
– Osaka (zamek) 208-211, 243
Osterwick John, marynarz 241, 261, 280
Otomo Yoshiaki, władca Bungo 18, 19, 21, 22, 24, 25, 27, 28, 83, 86
Otomo Yoshishige, syn Yoshiaki 18, 21, 24, 25, 37
Ouchi Yoshitaka, władca Jamaguchi 34
Oudewater Jan Abelszoon van, marynarz 91
Pacyfik zob. Spokojny Ocean
„Palatyn” (statek) zob. Wyprawy morskie
Palmer Job, marynarz 130
Patagonia 61
Pattani, m. 118, 131-133, 135, 136, 138, 139, 248, 266, 283
Pattani królowa 133, 134
Payne Michael, jeńiec 267
Peacock Tempest, pracownik faktorii 172, 192, 194, 199, 214, 244-246, 279
Pegu (ob. Myanmar), m. 128
Pekin 44, 50
Persja (ob. Iran) 40, 128
Peru 75
Pessoa André, gubernator Makau 117
Pet Arthur, kapitan 44-50, 52, 53, 145, 179
Petapoli, m. 130, 131
Phebie John, bosman 245
Pinto Fernão Mendes (ok. 1509-1588), żeglarz portug. 19, 21, 22, 24, 25, 27, 29, 33, 81, 83, 86
Peregrinação (Peregrynacje) 19
Piotr św. 108
Plymouth 53, 190, 191
Polo Marco (1254-1324), podróżnik wenecki 14, 15, 41
Południowe Morze 74
Południowochińskie Morze 126, 283
Ponder George, bosman 138
Portugalczyk 16, 19, 21, 22, 24, 25, 32, 36-38, 43, 62, 63, 74, 78, 84, 86, 89, 90, 96-98, 116, 120, 123, 146, 170, 181, 202, 220, 260, 270, 282, 284
Portugalia 18, 19, 24, 32, 37, 202
Potgeiter Barent, lekarz okrętowy 70
Północne Morze 47, 59
Praja, w. 62, 63
Pring Martin, kapitan 282

Quackernack Jacob, kapitan 77

Quang Nam, rz. 245

Quinsay zob. Hangezou

„Rada” (statek) zob. Wyprawy morskie

Radcliffe, m. 122

Regine, córka Madeleine 275

„Rekodajny” (statek) zob. Wyprawy morskie

„Richard Duffield” (statek) zob. Adams William

Riukiu, w. 23, 143, 200–203

Rochester, m. 55

Rodrigues João, jezuita 92, 107, 110, 118, 150, 181–183, 187, 195, 224

Historia da Igreja do Japão 181

Roe Thomas, ambasador ang. w Indochinach 219

Rosja 43, 44, 47, 52, 179

Rotterdam 58, 59, 61, 74, 81, 118

Sakai, m. 236, 242

„San Antonio” (statek) zob. Wyprawy morskie

Sanjūsangendō, świątynia koło Kioto 161

Santa Casa da Misericórdia zob. Nagasaki

Santa Maria, w. 75, 77

Santvoort Melchior van, płatnik 109, 110, 138

Saris John, kapitan 139–169, 171, 172, 174, 175, 186, 189–195, 206, 212, 218, 226, 230, 239, 242, 252

– dowódca „Goździka” 140

– kolekcja zdjęć pornograficznych 140, 147, 148, 193, 218, 226

– przybycie do Bantamu (1612) 142

– dopłynięcie do wysp Riukiu 143

– dotarcie do Japonii (1613) 144

– spotkanie ze Shigenobu 145

– uczta na cześć króla Foyne 147

– nawiązanie stosunków z kolonią Holendrów 151

– oddanie dowództwa „Goździka” Cocksovi 155

– podróż do Osaki 155

– wręczenie listu Jakuba I Tokugawie Ieyasu 160

– wycieczka do portu Uruga 162

– wyjazd do Hirado 168

– prezenty dla króla Foyne 186

– przyjazd do Londynu 191

Satsuma, lenno 30

Satsuma, możnowładca 30, 201

Sayers Edmund, pracownik faktorii 172, 194, 198, 199, 240, 245–247, 259, 261, 279, 284, 286, 287

Scott Edmund, pracownik faktorii 125

Scott John, bosmanmat 140

Sekigahara, m. 101, 205, 206

– zwycięska bitwa (1600) Tokugawy Ieyasu 101, 205, 206

Seram, w. 126, 255

Shakespeare William (1564–1616) 217

Hamlet 217*Ryszard II* 217

Shepherd John, marynarz 213

Shigenobu zob. Matsura Shigenobu

Shimonseki, m. 262

Shizuoka, m. 155, 158, 159, 163, 226, 228

Shotten Timothy, podróżnik ang. 59–62, 65, 78

Shuri zob. Wielka Riukiu

Słoneczników brama zob. Kioto

Smith Arthur, marynarz 133

Smith Thomas, nawigator 135

Smythe Thomas, kierownik Kompanii Wschodnioindyjskiej 127, 129, 130, 140, 141, 146, 171, 177, 193, 214–217, 219, 240, 250, 251, 253, 258, 267, 268, 274, 281

Southwark zob. Londyn

Spalding Augustine, pracownik faktorii 124, 127, 132

Specx Jacques, pracownik faktorii 118–121, 151, 188, 202, 256–262, 267, 268, 282

Spilbergen Joris van (1568?–1620), podróżnik hol. 221

Spokojny Ocean (Pacyfik) 14, 23, 43, 53, 58, 60, 61, 72–74, 77–79, 81, 90, 104, 106

Sprinckel Victor, pracownik faktorii 118, 133

Spring Thomas, marynarz 68

Staffordshire, m. 170, 242

Stepney zob. Londyn

Stołowa Zatoka 190

Stowe John 54

Sukadama, m. 132

Sumatra 133

Suruga, m. 237

Swetoniusz (Caius Suetonius Tranquillus, II w.), historyk rzym. 240

Syjam (ob. Tajlandia) 126, 129, 130, 133, 136–139, 152, 194, 200, 224, 225, 227, 228, 243, 248, 254, 279, 281

Syjamska Zatoka (ob. Tajlandzka Zatoka) 133

Szkoci 74

Tamiza 39, 44, 52, 54, 92, 162

Tatarzy 40

Tecla, ofiara egzekucji 275

Terasawa, możnowładca 89, 91

Termate, w. zob. Moluki

Thomas Rowland, płatnik 213

Tidore, w. zob. Moluki

Tōkaidō (Wielki Trakt, Droga Wschodniego Wybrzeża) 155, 157, 158

Tokeyi zob. Kamakura

Tokio 288 zob. też Edo

– Anjocho (dzieło) 288
Tokugawa Hidetada (1574–1632), syn Ieyasu, szogun 160, 162, 228–233,
235–237, 242, 245, 258, 261–265, 270–273, 277, 287
– Edo – rezydencja Hidetady 160
– stosunki z Anglikami 232
– prezenty dla Cocksza 235
– następcza, syn Iemitsu 287
Tokugawa Iemitsu (1604–1651), wnuk Ieyasu, szogun 287
Tokugawa Ieyasu (1542–1616), szogun 93–101, 103–107, 110, 111, 113,
116–121, 132, 155, 157, 159, 160, 163, 166, 178, 179, 191, 202–211, 223–226,
228, 229, 232–235, 237, 242, 244, 263, 272, 285
– audiencja dla Adamsa 93
– dary dla Tokugawy 96
– darowanie życia żalodze „Liefde” 99
– walki z Ishidą 103
– Adams protegowanym Tokugawy 110
– rezydencja w Shizuoka 155
– list od króla Jakuba I 159
– edykt przeciw chrześcijanom 204
– wojna Tokugawy z Hideyorem 206–209
– zwycięstwo nad Hideyorem 209, 210
– choroba 226
– śmierć 227
– grób 263
– zwycięstwo pod Sekigaharą (1600) 205
– zwycięstwo nad Hideyorem 209, 210
„Tomasz” (statek) zob. Wyprawy morskie
Tome, tłumacz 175
Tomigake, wzgórze koło Hirado 186
Tonkin (ob. Wietnam) 254
Totten John, kapitan 244
Tower zob. Londyn
Towers William, podróżnik ang. 45, 65
Toyotomi Hideyori (1595–1615), syn Hideyoshiego 94, 155, 205–210
Toyotomi Hideyoshi (1536?–1598), polityk jap. 94
Trondheim, m. 52
„Trouw” (statek) zob. Wyprawy morskie

Una Colonna, w. 81
Uraga, m. 108, 162, 167
Uraga, zat. 108
Usher David, trębacz okrętowy 142
Utrecht Jonghman von, marynarz 70

Valignano Alessandro (1539–1606), jezuita portug. 84–88, 111, 112
 Advertimentos 86
 Historia del Principio 86, 111
 Sumario 86
Vincente John 283

Vivero y Velasco Rodrigo de 158, 195
Vizziano Sebastian, ambasador Nowej Hiszpanii 120, 121, 203, 231

Waghenaer Lucas 57
 Spiegel der Zeevaert (Zwierciadło żeglarza) 57
Wajgacz, w. 43, 48, 49, 50
Walijczycy 46, 267
Wapping zob. Londyn
Warehouse, m. 47, 48
Weert Sebald de, kapitan 66–68, 71, 74
Welden, Anglik z wyspy Butung 143
Wewnętrzne Morze zob. Japońskie Morze
Weymouth, m. 219
Wickham Richard, podróżnik 170–172, 178, 183, 184, 188, 192, 194, 196–203,
205, 212, 222, 226, 235–241, 249–251, 253, 279, 281
Wickham, rodzina Richarda 252, 253
Wielka Riukiu (ob. Okinawa), w. 23, 200, 201
– Shuri (zamek) 201
Wielki Mogoł zob. Dżahangir
Wietnam zob. Kochinchina, Tonkin
Wildshire, m. 170
Willes Richard 40–42
 Podróży opisanie 41
„William” (statek) zob. Wyprawy morskie
Williams Francis, marynarz 164, 165
Williams Hugh, jeńiec 267
Willoughby Hugh (1500–1554), żeglarz ang. 16, 43
Wilson Thomas, protektor Richarda Cocksza 170, 247, 270
Wirginia 266
Wright Edward, kartograf 14
Włosi 200, 202, 283
Wołga 40
Wołgda 40
Wschodniochińskie Morze 16–18, 23, 104, 118, 135, 143, 200, 224
Wyprawy morskie 44, 47–50, 52, 53, 56, 59, 60, 62–64, 66, 68, 69, 71, 72,
74–83, 88–90, 95, 97–101, 103–105, 107–110, 116–118, 127, 130–132, 135,
136, 138–140, 142–145, 147, 150–155, 163–172, 174, 178, 181, 182, 186, 188,
190–193, 197, 202, 207, 212, 213, 219, 221, 222, 226, 239–241, 244, 249, 253,
250, 255–257, 259, 262, 266, 267, 277, 279, 282, 285, 286
„Angel”, statek hol. 266, 267, 277, 279
– zawinięcie do Hirado (1619) 266
– jeńcy angielscy 266
– uwolnienie jeńców 277
– ukrycie uwolnionych w faktorii 277, 279
„Bacznosc”, statek hol. lub portug. 259, 262
– zdobycie statku przez Holendrów (1618) 259
– wejście statku do portu w Hirado 259
„Blijde Booschop”, statek hol. 59, 72, 74
– postój statku w Rotterdamie 59

- spotkanie załogi z tubylcami w Ameryce 72
- statek w rękach Hiszpanów 74
- „Byk”, statek ang. 285, 286
 - przybycie do portu w Hirado (1623) 285
 - wypłynięcie do Anglii (1624) 286
- „Czerwony Smok”, statek ang. 219, 221, 222
 - rejs do Bantamu (1615) 219
 - wizyta Jorisa van Spilbergena 221
 - powrót do Anglii (1616) 222
- „Elżbieta”, statek ang. 282
 - wpłynięcie do portu Hirado (1620) 282
- „Geloof”, statek hol. 59, 66, 68, 74
 - postój statku w Rotterdamie 59
 - pobyt w Afryce 66
 - kurs na Amerykę Południową (1599) 68
 - powrót do Rotterdamu (1600) 74
- „Glob”, statek ang. 127, 130–132, 135, 136, 138, 139
 - wypłynięcie z Anglii (1611) 130
 - przybycie do Bantamu (1612) 127
 - pobyt w portach Indii 130, 131
 - wypłynięcie z Bantamu 132
 - podróż do Syjamu 136
 - sztorm 138
 - powrót do Indii (1613) 139
- „Goździk”, statek ang. 140, 142–145, 147, 150–155, 163–172, 174, 178, 181, 182, 186, 188, 190, 191, 193, 207, 239, 250
 - wpłynięcie do Bantamu (1612) 140
 - podróż do Japonii 142
 - port Hirado (1613) 144
 - zachowanie załogi w Hirado 150–152
 - wypłynięcie do innych portów Japonii 155
 - opuszczenie Japonii 168
 - obyczaje na statku 178–181
 - z powrotem Bantam (1614) 190
 - powrót do Plymouth (1614) 190
 - rozliczenie rejsu 250
- „Hoop”, statek hol. 59, 64, 77, 79, 80
 - postój w Rotterdamie 59
 - ostatni rejs w nieznanie (1599) 79, 80
- „Hosiander”, statek hol. 212, 213, 240, 241, 243, 257
 - przybycie do Hirado (1615) 212
 - awanturmicza załoga 213
 - remont statku 243
- „Jerzy”, statek ang. 44, 47–49, 52
 - zakotwiczony na Tamizie 44
 - wypłynięcie z Limehouse (wiosna 1580) 47
 - rejs na Morze Północne 47
 - spotkanie z górą lodową 52
 - powrót do Londynu (grudzień 1580) 52

- „Jesús”, statek 56
 - w niewoli u janczarów 56
- „Królewicz Jakub”, statek ang. 282
- „Księżyc”, statek ang. 282
 - wpłynięcie do Hirado (1620) 282
- „Liefde”, statek ang. 59, 62, 63, 68, 71, 74–83, 88–90, 95, 97–101, 103–105, 107–110, 118, 138, 197
 - wypłynięcie z Rotterdamu 59
 - zajęcie portu na wyspie Praja 63
 - wzięcie na hol „Geloofa” 68
 - postoje na wyspach Mocha i Santa Maria (1599) 75
 - u brzegów Ameryki Południowej 75
 - walka z Indianami 76
 - przybycie do brzegów Japonii (1600) 81
 - zawinięcie do portu w Osace 93
 - zatonięcie 104
 - odtworzenie kopii „Liefde” 105
- „Łabędź”, statek ang. 22, 255, 256
 - wpłynięcie do Bantamu 22
 - najazd Holendrów (1617) 255
 - jeńcy umieszczeni na wyspach Banda 256
- „Nossa Senhora de Graça” („Nasza Pani Łaskawa”), statek 116–118
 - wypłynięcie do Nagasaki (1609) 116
 - atak Japończyków 116
 - zatonięcie statku 117
- „Palatyn”, statek ang. 282
 - wypłynięcie do Hirado (1620) 282
- „Rada”, statek ang. 192, 226, 244, 249
 - kupno statku przez udziałowców Kompanii Wschodnioindyjskiej (1614) 192
 - z Londynu do Hirado 226
 - rejs na Jawę (1617) 249
- „Rękodajny”, statek ang. 192, 226
 - kupno statku przez udziałowców Kompanii Wschodnioindyjskiej (1614) 192
 - w Indiach Wschodnich 226
- „San Antonio”, statek portug. 202
 - zajęcie przez Holendrów 202
- „Tomasz”, statek 226, 244
 - z Bantamu do Hirado 226
- „Trouw”, statek hol. 59, 60, 69, 74, 282
 - postój w Rotterdamie 59
 - kurs do Indii Wschodnich 74
 - wejście do portu Hirado (1620) 282
- „William”, statek ang. 44, 47–50, 52
 - zakotwiczony na Tamizie 44
 - wypłynięcie z Limehouse (1580) 47
 - rejs na Morze Północne 47
 - na Morzu Karskim 49

SPIS TREŚCI

– spotkanie z górą lodową	52
– zaginięcie	52
„Złota Lania”, statek ang. Francisca Drake’a	53, 75
– powrót z podróży dookoła świata i wpłynięcie do Plymouth (1580)	53
– wizyta królowej Elżbiety I na statku	53
Ximénes Hernando, tłumacz	142, 256
Yaita-hi, kronika jap.	22
Yasuemon, kupiec	153, 166, 179, 188, 210, 211
Yasumadake	zob. Hirado
Yemi Hachimana	zob. Edo
Yodogimi (1566–1615), matka Hideyoriego	207
York, m.	229
Yorkshire, m.	157
Yoshiaki	zob. Otomo Yoshiaki
Yoshishige	zob. Otomo Yoshishige
Yoske, kucharz	175
Zante, m.	50
Zielonego Przylądka Wyspy	62, 64
„Złota Lania”	zob. Wyprawy morskie

Podziękowania	9
Prolog	13
Rozdział pierwszy	18
Na dworze w Bungo	18
Rozdział drugi	39
Góry lodowe Orientu	39
Rozdział trzeci	59
Na pełnym morzu	59
Rozdział czwarty	82
W imię ojca	82
Rozdział piąty	104
Samuraj William	104
Rozdział szósty	124
Do nieznanym krajów	124
Rozdział siódmy	145
Przywitanie z imię Adamsem	145
Rozdział ósmy	169
Pod dachem Richarda Cocksa	169
Rozdział dziewiąty	190
Samurajska wojna	190
Rozdział dziesiąty	215
Kwestia języka	215
Rozdział jedenasty	238
Jako ryby ościeniem się kłuje	238
Rozdział dwunasty	252
Zerwana przyjaźń	252
Rozdział trzynasty	270
Ostatnie rozkazy	270
Bibliografia	289
Spis ilustracji	302
Źródła ilustracji	304
Indeks	305

Jaki-los gorszy od losu Robinsona mógł spotkać żeglarza nieznanych mórz? Wylądowanie wśród ludu stojącego wyżej od przybysza z Europy. Literatura opisała to tylko raz, ciętym piórem Swifta, jako pobyt kapitana Lemuela Gullivera w krainie mądrych koni.

W dziejach poznawania odległych krain zdarzyło się to też jeden jedyny raz. Swift mógł słyszeć o wcześniejszej o stulecie przygodzie kapitana Williama Adamsa, który ostatkiem sił dobił 12 kwietnia 1600 roku do wybrzeży Japonii.

Ciąg dalszy znamy z powieści Jamesa Clavella, a zwłaszcza filmu *Szogun* (1981). Giles Milton opowiada jednak, jak się to rozegrało naprawdę. W swym znakomitym reportażu historycznym wykorzystuje niepublikowane nigdy, a nawet nieznanne świadectwa angielskie, portugalskie, holenderskie, przede wszystkim zaś – po raz pierwszy – japońskie. Oddając głos fascynującym relacjom, Milton stawia nas w samym sercu zderzenia kultur.

Ta baśniowa, lecz autentyczna historia jest jednym z najbardziej wymownych epizodów epoki wielkich odkryć. Prosty, choć świadom tajemniców nawigacji żeglarz z londyńskiego Limehouse zdobył sobie szacunek największego bodaj z władców nowożytnej Japonii. Klęskę zadały mu dopiero właśnie europejskich rywali. Wraz z nim przegrał świat Zachodu: Japonia na dwa wieki zamknęła swoje granice.

Z wszystkich ludzi epoki elżbietańskiej samuraja Williama spotkała z pewnością najosobliwsza przygoda.

Giles Milton, urodzony w 1966 roku angielski pisarz i publicysta, absolwent uniwersytetu w Bristolu, jest wybitnym znawcą historii podróży i wielkich odkryć geograficznych. Napisał wiele książek poświęconych tej tematyce, m. in. *The Riddle and the Knight*, *Nathaniel's Nutmeg* i *Big Chief Elizabeth*. Współpracuje na stałe z kilkoma gazetami i czasopismami, zarówno w Anglii, jak i za granicą.



www.noirsurblanc.pl

ISBN 83-7392-068-4



9 788373 920682 >